V.E.
SCHWAB
NIEWIDZIALNE
ŻYCIE
ADDIE
LARUE

V. E.
SCHWAB

NIEWIDZIALNE ŻYCIE ADDIE LARUE

Przełożył Maciej Studencki

Dla Patricii, która ani razu nie zapomniała.

„Starzy bogowie mogą być wielcy, ale nie są ani życzliwi, ani łaskawi. Są za to kapryśni i niestali, niczym światło księżyca na wodzie albo cienie w czasie burzy. Jeżeli upierasz się, by ich wezwać, zachowaj ostrożność: starannie formułuj życzenia i przygotuj się na to, że za ich spełnienie zapłacisz słoną cenę. Ale bez względu na to, w jak rozpaczliwym położeniu się znajdziesz, nigdy nie módl się do tych, którzy odpowiadają po zapadnięciu zmroku”.

– Estele Magritte
1642–1719

Villon-sur-Sarthe, Francja
29 lipca 1714

Dziewczyna ucieka, by ocalić życie.

Letni skwar praży jej plecy, ale nie goni jej wściekła tłuszcza z pochodniami. Za nią pozostały tylko lampiony z weselnego przyjęcia, czerwonawy blask zachodzącego słońca, prześwitujący ponad wzgórzami, a dziewczyna biegnie, jej spódnica plącze się w trawie, gdy umyka w kierunku lasu, próbując zdążyć przed zachodem.

Wiatr niesie głosy, wołające jej imię:

– Adeline? Adeline? Adeline!

Przed sobą widzi rozciągnięty, długi cień, zbyt długi, jego kontury zaczynają się już rozmazywać, a z jej włosów sypią się białe kwiatki, zaścielające grunt jak małe gwiazdy. Zostawia za sobą całe konstelacje, prawie takie, jak ta na jej policzkach.

Siedem piegów. Po jednym na każdą miłość jej życia: tak powiedziała Estele, kiedy dziewczyna była jeszcze mała.

Po jednym na każde życie, którego zazna.

Po jednym na każdego boga, który jej strzeże.

Teraz te siedem znaków z niej szydzi. Obietnice. Kłamstwa. Nie miała ukochanych, nie zaznała życia, nie napotkała bogów, a w dodatku teraz kończy jej się czas.

Mimo to nie zwalnia ani nie ogląda się za siebie. Nie chce widzieć życia, które czeka na nią za plecami, nieruchome jak rysunek, masywne niczym grobowiec.

Zamiast tego woli uciekać.

CZĘŚĆ PIERWSZA

BOGOWIE, KTÓRZY ODPOWIADAJĄ PO ZMROKU

Tytuł dzieła: Revenir
Autor: Arlo Miret
Data: 1721–1722
Technika: rzeźba – drewno jesionowe i marmur
Własność: Muzeum Orsay
Opis: Seria drewnianych rzeźb, pięć ptaków w różnych pozycjach i na różnych etapach tuż przed wzbiciem się do lotu, zamontowanych na wąskim marmurowym cokole.

Kontekst: Miret sumiennie prowadził pamiętnik, co pozwala nam na wgląd w umysł artysty i proces twórczy. Inspiracją dla Revenir była figurka znaleziona na paryskiej ulicy zimą 1715 roku: drewniany ptaszek ze złamanym skrzydłem. Według świadectwa samego artysty został on odtworzony jako piąty w serii (jednak z całymi skrzydłami), tuż przed wzbiciem się w powietrze.

Przybliżona wartość: 175 000 dolarów

Nowy Jork, Stany Zjednoczone Ameryki
10 marca 2014

I

Dziewczyna budzi się w cudzym łóżku.

Leży tam kompletnie nieruchoma, próbując zatrzymać czas, tak jakby wstrzymywała oddech, tak jakby potrafiła powstrzymać zegarek od tykania, siłą woli sprawić, by chłopak u jej boku jeszcze się nie zbudził i by zachował wspomnienie wspólnie spędzonej nocy.

Oczywiście wie, że nie potrafi tego zrobić. Zdaje sobie sprawę, że chłopak o wszystkim zapomni, tak jak pozostali.

To nie jego wina. To nigdy nie jest wina żadnego z nich.

On wciąż śpi, a ona patrzy, jak jego ramiona powoli unoszą się i opadają. Obserwuje miejsce, gdzie ciemne włosy zawijają się na karku, a potem patrzy na bliznę rozciągniętą wzdłuż żeber. Dawno zapamiętane szczegóły.

Chłopak ma na imię Toby.

Poprzedniej nocy powiedziała mu, że nazywa się Jess. Skłamała, ale tylko dlatego, że nie może wypowiedzieć swojego prawdziwego imienia. To jedna ze złośliwości rozsianych niczym pokrzywy w wysokiej trawie, ukryte kolce, które mają ranić. Czymże jest człowiek, jeżeli nie ciągiem śladów, które po sobie pozostawia wśród innych ludzi? Nauczyła się stąpać pomiędzy cierniami, lecz pewnych ran nie da się uniknąć: wspomnień, fotografii, imion.

W ciągu ostatniego miesiąca nazywała się już Claire, Zoe i Michelle, ale dwie noce temu, kiedy miała na imię Elle i późnym wieczorem zamykali kawiarnię po jednym z jego koncertów, Toby powiedział, że zakochał się w dziewczynie imieniem Jess, tylko jeszcze jej nie spotkał.

Dlatego teraz przybrała imię Jess.

Toby zaczyna się wiercić, a ona czuje stary, znany ból w piersi, gdy chłopak się przeciąga, przewraca na drugi bok, ale jeszcze się nie budzi, o nie. Jego twarz znajduje się teraz o kilka centymetrów od jej twarzy, usta ma sennie rozchylone, spod ciemnych kędziorów ledwie widać oczy, a ciemne rzęsy spoczywają na jasnych policzkach.

Pewnego razu cień drażnił się z dziewczyną podczas spaceru nad Sekwaną. Powiedział jej wówczas, że ma ulubiony typ, sugerując, że większość mężczyzn (a także kilka kobiet), których wybierała, wyglądała całkiem podobnie do niego.

Te same ciemne włosy, te same bystre oczy i wyraziste rysy twarzy.

To było nie fair.

Przecież cień wyglądał w ten sposób tylko dzięki jej wyobrażeniu. To ona nadała mu ten kształt, wybrała postać, w jakiej go będzie oglądać.

„Nie pamiętasz – powiedziała mu wtedy – jak byłeś tylko cieniem i dymem?”

„Kochanie – odparł głębokim, cichym głosem – byłem wtedy samą nocą”.

Teraz jest ranek, inne miasto i inne stulecie, jasne promienie słońca przebijają się przez zasłony, a Toby znów się przewraca, powoli wznosząc się nad powierzchnię snu. Dziewczyna która nazywała się, a może nazywa się, Jess, wstrzymuje oddech, próbując wyobrazić sobie taki dzień, kiedy chłopak się budzi, widzi ją i pamięta.

Uśmiecha się, gładzi ją po policzku i mówi „Dzień dobry”.

Nigdy się to jednak nie wydarzy, a ona nie chce oglądać dobrze znanej, pustej miny, nie chce patrzeć, jak partner próbuje wypełnić luki w miejscach, gdzie powinny się znajdować wspomnienia o niej, by wreszcie przejść nad tym do porządku dziennego z wystudiowaną nonszalancją. Widziała tę scenę wystarczająco często, zna to wszystko na pamięć, więc zsuwa się z łóżka i idzie boso do salonu.

Dostrzega odbicie w lustrze w korytarzu i zauważa to, co wszyscy: siedem piegów, rozrzuconych niczym gwiazdozbiór na jej nosie i policzkach.

Jej prywatna konstelacja.

Pochyla się i chucha na lustro, po czym próbuje napisać palcem swoje prawdziwe imię: A… d…

Dociera do drugiej litery, kiedy poprzednia znika. To nie kwestia medium: dzieje się tak niezależnie od tego, jak próbuje wyrazić swoje imię czy opowiedzieć swoją historię. A próbowała wiele razy: ołówkiem, atramentem, farbą lub krwią.

Adeline.

Addie.

LaRue.

To bez sensu.

Litery osypują się lub blakną. Dźwięki zamierają jej w gardle.

Odsuwa palce od lustra i odwraca się, omiatając wzrokiem salon.

Toby jest muzykiem – i to widać wszędzie naokoło.

Pod ścianami stoją instrumenty. Po stołach rozrzucono nabazgrane pięciolinie i notatki – takty na wpół zapamiętanych melodii pomieszane z listami zakupów i spraw do załatwienia. Tu i tam zadziałała także inna ręka. Na parapecie kuchennego okna rosną kwiaty, chociaż Toby nie pamięta od kiedy. Obok leży książka o Rilkem, której zakupu również nie potrafi sobie przypomnieć. Rzeczy pozostają, nawet jeśli wspomnienia znikają.

Wstanie zwykle zajmuje Toby'emu dłuższą chwilę, toteż Addie robi sobie herbatę. On jej nie pija, a przecież tam stoi, puszka liściastego cejlonu i pudełko jedwabnych torebeczek. Pamiątka po wieczornej wycieczce do sklepu spożywczego: chłopak i dziewczyna wędrujący po alejkach, trzymający się za ręce, bo nie mogli zasnąć. Kiedy nie chciała, żeby wieczór się skończył, nie była gotowa odpuścić.

Podnosi kubek i wdycha aromat herbaty, a wspomnienia unoszą się wraz z parą.

Londyński park. Patio w Pradze. Wspólna sala w Edynburgu.

Przeszłość narysowana na teraźniejszości jak malowidło na jedwabiu.

W Nowym Jorku wstaje chłodny poranek, okna są zamalowane mroźnymi wzorami, więc ściąga koc z kanapy i owija nim ramiona. Jeden koniec sofy zajmuje futerał od gitary, a drugi – kot Toby'ego, więc Addie siada na stołku przy pianinie.

Kot, który także ma na imię Toby („W ten sposób mogę mówić sam do siebie i nie brzmi to dziwnie”, wyjaśnił chłopak) patrzy na Addie, która dmucha na herbatę.

Zastanawia się, czy kot ją pamięta.

Dłonie jej się ogrzały, więc stawia kubek na pianinie, otwiera pokrywę, rozciąga palce i zaczyna grać, najciszej, jak potrafi. Słyszy, jak Toby – ten w sypialni – się przeciąga, i całe jej ciało tężeje z przerażenia.

To najtrudniejszy moment.

Addie mogła, a nawet powinna była wyślizgnąć się, kiedy chłopak wciąż jeszcze spał, kiedy ranek był jeszcze przedłużeniem nocy, chwilą uwięzioną w bursztynie. Teraz jest już jednak za późno, więc zamyka oczy, pochyla głowę i gra dalej. Słyszy pomiędzy nutami jego kroki, porusza dalej palcami i wyczuwa, że Toby stanął w drzwiach. Będzie tam stał, chłonąc całą scenę, próbując odtworzyć kolejność wydarzeń z poprzedniego wieczoru, zastanawiać się, czy urwał mu się film i jak to możliwe, że poznał dziewczynę i zaprosił ją do domu. Czy nie wypił za dużo i dlaczego nic z tego nie pamięta.

Wie jednak, że Toby nie przerwie jej, dopóki gra, więc rozkoszuje się muzyką jeszcze przez kilka sekund, a potem kończy, podnosi wzrok i udaje, że nie zauważa jego zmieszanej miny.

– Dzień dobry – mówi radośnie, a jej akcent, kiedyś świadczący o francuskim pochodzeniu, jest teraz tak słaby, że tylko ona go słyszy.

– Och… dzień dobry – odpowiada chłopak, przeczesując dłonią czarne loki. Trzeba mu oddać, że wygląda jak zawsze: trochę oszołomiony i zaskoczony, że w jego salonie siedzi ładna dziewczyna, która pod kocem ma na sobie tylko majtki i koszulkę jego ulubionej kapeli.

– Jess – podpowiada mu imię, którego chłopak nie znajduje, bo w jego pamięci go nie ma. – W porządku, jeżeli nie pamiętasz – dodaje.

Toby rumieni się i przegania drugiego Toby’ego, kota, a potem zapada się w głębokie poduchy kanapy.

– Przepraszam… To do mnie niepodobne. Nie jestem takim facetem.

Addie się uśmiecha.

– A ja nie jestem taką dziewczyną.

Wówczas on też się uśmiecha, a ten uśmiech jest niczym promień światła, przed którym pierzchają cienie na jego twarzy. Kiwa głową

w kierunku pianina, a ona chciałaby, żeby powiedział coś w rodzaju: „Nie wiedziałem, że potrafisz grać", lecz Toby zamiast tego mówi:

– Jesteś naprawdę dobra. – I rzeczywiście, to prawda. Zadziwiające, czego można się nauczyć, kiedy się ma czas.

– Dzięki – odpowiada, przesuwając palcami po klawiszach.

Toby wydaje się teraz zdenerwowany. Ucieka do kuchni.

– Kawy? – pyta, przeszukując szafki.

– Znalazłam już herbatę.

Zaczyna grać inny utwór. Nic skomplikowanego, kilka prostych nut. Początek czegoś. Znajduje melodię, podkręca ją i pozwala, żeby płynęła jej między palcami, a Toby pośpiesznie wraca do pokoju z parującym kubkiem w dłoniach.

– Co to było? – pyta, a oczy mu błyszczą, tak jak każdemu artyście: pisarzowi, malarzowi, muzykowi, kiedy nadchodzi chwila inspiracji. – Brzmiało znajomo.

Dziewczyna wzrusza ramionami.

– Grałeś mi to wczoraj wieczorem.

W sumie nie jest to kłamstwo. Rzeczywiście jej to grał… ale już po tym, jak zapoznała go z tą melodią.

– Naprawdę? – pyta ze zmarszczonymi brwiami. Odstawia kawę, sięga po ołówek i notatnik z najbliższego stolika. – Boże, ale musiałem być narąbany. – Jednak mówiąc to, kręci głową: Toby nigdy nie był jednym z tych, którzy komponują na dopingu. – Pamiętasz coś więcej? – pyta, przewracając strony notatnika. Addie zaczyna znowu grać, prowadząc go przez kolejne nuty. Chłopak tego nie wie, ale pracuje nad tym utworem już od paru tygodni. To znaczy pracują.

Razem.

Dziewczyna uśmiecha się lekko, grając melodię raz jeszcze. To trawa pomiędzy pokrzywami. Tu można zrobić bezpieczny krok. Nie może pozostawić własnego tropu, ale jeżeli będzie ostrożna, może dać znak komuś innemu. Nic konkretnego, oczywiście, lecz inspiracja rzadko jest konkretna.

Toby łapie gitarę, balansując instrumentem na jednym kolanie, i gra razem z nią, mamrocząc pod nosem:

– To jest dobre, to jest inne, to naprawdę coś!

Addie przestaje grać i się podnosi.

– Powinnam już iść.

Melodia rozpada się na strunach, kiedy Toby podnosi głowę.

– Co? Ale ja cię nawet nie poznałem!

– Tak jest – potwierdza dziewczyna, zmierzając do sypialni po swoje ubranie.

– Tylko że chciałbym cię poznać! – mówi on, odstawiając gitarę i idąc za nią przez mieszkanie. To jest ta chwila, kiedy wszystko wydaje się bardzo nie w porządku, jedyny moment, kiedy Addie czuje, że czara goryczy zaraz się przeleje. Spędziła całe tygodnie, poznając go, a jemu zaledwie chwilę zajęło zapomnienie jej. – Przyhamuj trochę.

Nienawidzi tej części. Nie powinna była zwlekać. Lepiej by było, gdyby zniknęła z jego pola widzenia równie szybko, jak z pamięci, ale zawsze ma nadzieję, że tym razem będzie inaczej, że tym razem zostanie zapamiętana.

„Ja pamiętam!" – odzywa się ciemność w jej uchu.

Kręci głową, odganiając natrętny głos.

– Po co ten pośpiech? – pyta Toby. – Pozwól mi przynajmniej zrobić ci śniadanie.

Addie jest jednak zbyt zmęczona, żeby znów grać w tę grę, więc ucieka się do kłamstwa: mówi, że ma coś do zrobienia, i nie zwalnia ani na chwilę, ponieważ jeżeli zostanie, nie będzie miała siły wyjść, a cały cykl powtórzy się raz jeszcze; tym razem zacznie się rano, nie wieczorem. Mimo to nie będzie ani trochę łatwiej, gdy dobiegnie końca, a jeśli Addie ma zacząć ponownie, woli być piękną nieznajomą z baru niż zapomnianą podrywką po przelotnej przygodzie.

Za chwilę to i tak nie będzie miało najmniejszego znaczenia.

– Jess, czekaj – odzywa się Toby, łapiąc ją za rękę. Rozpaczliwie szuka właściwych słów, a potem poddaje się i zaczyna raz jeszcze: – Gram dzisiaj koncert w Alloway. Powinnaś przyjść. Ten bar jest…

Oczywiście Addie doskonale wie, gdzie to jest. Tam spotkali się po raz pierwszy, piąty i dziewiąty. A kiedy zgadza się przyjść, chłopak uśmiecha się olśniewająco. Jak zwykle.

– Obiecujesz? – pyta jeszcze.

– Obiecuję.

– To widzimy się w barze – mówi pełen nadziei, kiedy dziewczyna odwraca się i wychodzi.

Ogląda się jeszcze na niego i mówi:

– Tylko mnie nie zapomnij!

Stare przyzwyczajenie, przesąd… Błagalna prośba.

Toby kręci głową.

– Jak mógłbym zapomnieć?

Addie uśmiecha się tak, jakby to był tylko niewinny żart.

Kiedy zmusza się do zejścia po schodach, wie jednak doskonale, że zapominanie już się zaczęło, że kiedy tylko chłopak zamknie drzwi, ona zniknie z jego życia.

II

Marzec to taki kapryśny miesiąc.

Jest jak szew pomiędzy zimą a wiosną, tyle że „szew” sugeruje równe brzegi, a marzec wygląda bardziej jak poszarpana linia ściegów wykonanych niewprawną dłonią, wahających się gwałtownie pomiędzy mroźnymi podmuchami stycznia a czerwcową zielenią. Zanim człowiek nie wyjdzie z domu, nie wiadomo, na co się natknie.

Estele zwykła określać te dni jako niespokojne. To wtedy bogowie o cieplejszej krwi zaczynają się wiercić w łóżkach, a ci chłodni – układać do snu. Wtedy również marzyciele najczęściej wpadają na kiepskie pomysły, a wędrowcy błądzą.

Addie zawsze miała skłonność do jednego i drugiego.

To ma sens, ponieważ urodziła się dziesiątego marca, dokładnie w „nierównym ściegu”, chociaż minęło wiele czasu, od kiedy miała ochotę świętować urodziny.

Odkąd sięga pamięcią, obawiała się tego święta, za każdym razem oznaczającego, że dojrzewa i się starzeje… a potem na całe wieki urodziny stały się bezużyteczne, błahsze niż wieczór, podczas którego zrzekła się duszy.

Te daty, śmierci i odrodzenia, zlały się w jedno.

Mimo to na urodziny należy jej się prezent.

Zatrzymuje się więc przed butikiem i patrzy na swoje odbicie w witrynie.

Na wystawie stoi manekin upozowany tak, jakby właśnie dawał krok naprzód, z głową lekko przechyloną, jak gdyby słuchał jakiejś piosenki. Jego długi tors tkwi w pasiastym swetrze, a nogawki tęczowych legginsów

znikają w wysokich butach za kolano. Na palcach uniesionej dłoni zaczepiono kołnierz kurtki, przewieszonej przez ramię. Addie przygląda się manekinowi i zaczyna naśladować jego pozę, przesuwając ciężar ciała i przechylając głowę. Może to ten dzień, obietnica wiosny wisząca w powietrzu, a może po prostu sama jest w nastroju na coś nowego.

Wnętrze butiku pachnie niezapalonymi świeczkami i nowymi ubraniami. Addie przesuwa palcem po bawełnianych i jedwabnych tkaninach, zanim znajdzie pasiasty sweter. Okazuje się kaszmirowy. Przerzuca go przez ramię razem z tęczowymi legginsami. Doskonale zna swój rozmiar.

Nie zmienił się od dawna.

– Cześć! – Radosna sprzedawczyni ma dwadzieścia parę lat, tak jak Addie, chociaż tylko jedna z nich jest prawdziwa i się starzeje, a druga to wizerunek uwięziony w bursztynie. – Mam przygotować przymierzalnię?

– Och, poproszę – mówi Addie, ściągając parę butów z wystawy. – Teraz mam wszystko, czego potrzebuję. – Podąża za tamtą w kierunku trzech kabin za zasłonkami z tyłu sklepu.

– Jeżeli będę mogła jakoś pomóc, proszę mnie zawołać – mówi dziewczyna, a potem zaciąga zasłonę i Addie zostaje sama z ławeczką, pełnowymiarowym lustrem i ubraniami.

Ściąga buty i strząsa z siebie kurtkę, po czym rzuca ją na ławeczkę. Drobne monety grzechoczą w kieszeniach, z jednej coś wypada, uderza w podłogę z tępym stukiem i toczy się po wąskiej przymierzalni. Zatrzymuje się dopiero przy listwie pod ścianką.

To pierścień.

Krążek wyrzeźbiony z jesionowego drewna. Doskonale go zna: kiedyś go uwielbiała, teraz stał się czymś wstrętnym.

Addie patrzy na niego przez chwilę. Jej palce drżą zdradziecko, ale nie sięga po pierścionek, nie podnosi go, tylko staje do niego tyłem i dalej się przebiera. Wkłada sweter, potem legginsy, na końcu naciąga buty. Manekin był chudszy i wyższy, lecz Addie podoba się ten strój: ciepło kaszmiru, legginsy gładko opinające nogi, miękki dotyk futrówki w butach.

Odrywa po kolei metki z cenami, ignorując zera.

„Joyeux anniversaire, sto lat niech żyje nam”, myśli, spoglądając na swoje odbicie w lustrze. Przechyla głowę, tak jakby również słyszała jakąś piosenkę. Widzi nowoczesną kobietę z Manhattanu, nawet jeśli z lustra spogląda na nią ta sama twarz, którą zna od wieków.

Addie rzuca swoje stare rzeczy na podłogę przymierzalni niczym cień. Pierścionek leży w rogu, zlekceważony. Jedyna rzecz, którą zabiera z powrotem, to kurtka.

Miękkie okrycie z czarnej skóry, wytartej, a przez to cienkiej niczym jedwab. Ludzie określają obecnie takie rzeczy mianem „vintage” i są skłonni zapłacić za nie fortunę. To jedyna rzecz, której Addie nie chciała zostawić w płonącym Nowym Orleanie, chociaż jego zapach przylgnął do niej niczym smród dymu, jego piętno pozostało już na zawsze. Nie obchodzi jej to, bo uwielbia tę kurtkę.

Wtedy była nowa, a teraz idealnie się dopasowała. Poza tym wygląda na swój wiek, inaczej niż właścicielka, która przypomina sobie teraz opowieść o Dorianie Grayu: w jej przypadku upływ czasu widać na bydlęcej skórze, nie na obrazie.

Addie wychodzi zza zasłony przymierzalni.

Z przeciwnej strony butiku patrzy na nią zmieszana sprzedawczyni.

– Wszystko pasuje? – pyta, zbyt grzeczna, by przyznać, że nie pamięta, by wpuszczała kogokolwiek do przymierzalni. Boże, błogosław obsługę klienta.

Addie smutno kręci głową.

– Są takie dni, kiedy człowiek zostaje z tym, w czym przyszedł – mówi, zmierzając ku drzwiom.

Kiedy sprzedawczyni znajdzie jej ciuchy, rozciągnięte na podłodze przymierzalni niczym duch dziewczyny, nie będzie pamiętała, do kogo należały, a Addie zniknie jej z oczu, umysłu i pamięci.

Zarzuca kurtkę na ramię, zawieszając ją na jednym palcu, i wychodzi prosto w słońce.

Villon-sur-Sarthe
lato 1698

III

Adeline siedzi na koźle obok ojca.

Ojca, który pozostaje dla niej zagadką: poważnego olbrzyma, czującego się najlepiej w swoim warsztacie.

Za ich plecami stos drewnianych wyrobów przykryty płótnem wygląda jak małe zwłoki pod kocem. Koła wozu turkoczą na drodze, kiedy Maxime, krzepka klacz, ciągnie ich coraz dalej od domu.

Dalej i dalej – te słowa sprawiają, że puls dziewczynki przyspiesza.

Adeline ma siedem lat, tyle samo, ile piegów na buzi. Jest bystra, malutka i szybka jak wróbelek. Od miesięcy błagała ojca, żeby wziął ją ze sobą na targ. Błagała, aż jej matka stwierdziła, że oszaleje, a ojciec w końcu się zgodził. Tato jest snycerzem, rzeźbi w drewnie, a trzy razy do roku wybiera się w podróż wzdłuż rzeki Sarthe, aż do miasta Le Mans.

Dzisiaj jedzie z córką.

Dzisiaj Adeline po raz pierwszy w życiu opuszcza Villon.

Ogląda się na matkę, stojącą ze skrzyżowanymi ramionami pod starym cisem na końcu alejki, lecz po chwili droga skręca i matka znika. Wioska przesuwa się wokół nich, oto domki, a to pola, tam stoi kościół, a dalej rosną drzewa. Monsieur Berger orze swoje pole, Madame Therault wiesza pranie, a jej córka Isabelle siedzi w pobliżu na trawie, splatając wianki z kwiatów, z językiem wysuniętym, by łatwiej było jej się skupić.

Kiedy Adeline opowiedziała jej o planowanej podróży, Isabelle wzruszyła ramionami i odparła:

– A mnie się podoba tutaj!

Tak jakby ktoś nie mógł chcieć zobaczyć innego miejsca, nawet jeżeli podoba mu się rodzinna okolica.

Teraz podnosi wzrok, patrzy na Adeline i macha jej, kiedy wóz przejeżdża obok. Po chwili ojciec i córka zbliżają się do granic wioski, najdalszej okolicy, do której kiedykolwiek dotarła dziewczynka. Wóz podskakuje na kamieniu i trzęsie się, jakby również przekraczał jakiś próg. Adeline wstrzymuje oddech, oczekując, że poczuje, jak naciąga się w niej jakaś lina, wiążąca ją z rodzinnym miasteczkiem.

Nie ma jednak żadnych więzów ani szarpnięcia. Wóz jedzie dalej, a Adeline czuje się trochę zdenerwowana, a trochę wystraszona. Ogląda się na niknące z tyłu domki Villon, które dotąd było całym jej światem, a teraz staje się tylko jego częścią. Z każdym krokiem klaczy widok się oddala, aż całe miasteczko wygląda jak jedna z figurek ojca, dość mała, by mieścić się w jego zrogowaciałej dłoni.

Od Le Mans dzieli ich cały dzień jazdy. Podróż upłynie łatwiej dzięki koszykowi matki i towarzystwu ojca: dziewczynka wyjmuje z koszyka chleb i ser, by nasycić głód, a ojciec zapewnia jej powód do śmiechu i szerokie ramiona, które osłaniają Adeline przed gorącym letnim słońcem.

W domu jest cichym mężczyzną, poświęcającym czas przede wszystkim pracy, ale w drodze zaczyna się otwierać, mówić, opowiadać.

A kiedy tak się dzieje, z jego ust płyną cudowne historie.

Zbierał te historie tak, jak ktoś inny mógłby zbierać drzewo w lesie.

– Il était une fois, był sobie raz… – zaczyna, a potem roztacza przed nią wizje pałaców i władców, złota i przepychu, balów maskowych i wspaniałych miast. „Był sobie raz…” Tak zaczyna się każda baśń.

Adeline nie zapamiętuje samych historii, ale za to doskonale pamięta, w jaki sposób ojciec je wygłasza: słowa płyną gładko niczym woda w rzece między kamieniami, a ona zastanawia się, czy snuje takie baśnie również wtedy, kiedy jedzie na targ sam, mówiąc do Maxime swoim spokojnym, życzliwym tonem. Ciekawe, czy opowiada historie drewnianym rzeźbom, kiedy nad nimi pracuje? Czy też są przeznaczone tylko dla Adeline?

Dziewczynka żałuje, że nie potrafi ich zapisać.

Później ojciec nauczy ją stawiać litery. Matka wpadnie w złość, kiedy się o tym dowie, i oskarży go, że uczy córkę, jak marnować cenny czas,

lecz Adeline i tak będzie się przekradać do jego warsztatu, a on pozwoli jej ćwiczyć pisanie własnego imienia w delikatnej warstwie pyłu z drewna, który zawsze pokrywał podłogę.

Dzisiaj może jednak tylko słuchać.

Rolniczy krajobraz przesuwa się obok nich: tętniący życiem obraz świata, który dziewczynka już zna. Pola to pola, takie same jak pole jej rodziców. Drzewa rosną w podobnych szpalerach, a kiedy przejeżdżają przez jakąś wioskę, to wygląda ona niczym odbicie Villon. Adeline zaczyna się zastanawiać, czy cały świat jest równie nudny jak jej własny.

A wtedy na horyzoncie pojawiają się mury Le Mans.

W pewnej odległości wyrastają kamienne granie: wielobarwny kręgosłup wijący się wśród wzgórz. Wygląda na setki razy większy od Villon, a przynajmniej tak go ocenia Adeline, wstrzymując oddech, kiedy w końcu przejeżdżają przez bramy do chronionego fortyfikacjami miasta.

Trafiają w labirynt zatłoczonych ulic. Ojciec kieruje wóz pomiędzy domy ściśnięte ciasno jak kamienie w miejskim murze, aż wąska uliczka dociera do rynku.

W Villon oczywiście też jest rynek, trochę większy niż ich podwórko, ale tutaj, w Le Mans, to olbrzymia przestrzeń. Spod mnóstwa stóp, wozów i straganów nie widać ani skrawka ziemi. Kiedy ojciec zatrzymuje Maxime, Adeline staje na koźle i ogląda targ: w powietrzu unosi się intensywny zapach chleba i cukru, a wszędzie jak sięgnąć wzrokiem znajdują się ludzie. Nigdy nie widziała ich tak wielu, a co dopiero nieznajomych! Przed nią rozciąga się morze obcych, nieznanych twarzy, osób w nieznanych ubraniach, nieznanymi głosami wykrzykujących nieznane słowa. Dziewczynka czuje się tak, jakby drzwi do jej świata szeroko się otworzyły, a znany jej dom okazał się mieć o wiele więcej pokoi, niż przypuszczała.

Ojciec opiera się o wóz i zagaduje przechodniów, a jego dłonie poruszają się wokół drewnianego klocka. W jednej trzyma nożyk i struga nim powierzchnię drewna, tak swobodnie, jakby obierał jabłko. Wąskie strużyny spadają spomiędzy jego palców na ziemię. Adeline uwielbia oglądać go przy pracy, patrzeć, jak figurki przybierają kształt, tak jakby były tam przez cały czas, ale ukryte niczym pestki w brzoskwini.

Dzieła ojca są piękne, a z jego szorstkich, ogromnych rąk wychodzą gładkie, misternie rzeźbione kawałki drewna.

Pomiędzy miskami i kubkami, między narzędziami pracy leżą również zabawki na sprzedaż i małe drewniane figurki – koń, chłopiec, dom, ptak.

Adeline wychowywała się wśród takich ozdóbek, ale jej ulubioną nie jest ani zwierzę, ani człowiek.

Najbardziej spodobał jej się pierścionek.

Nosi go na cienkim rzemyku na szyi: jesionowe drewno, wypolerowane i gładkie jak kamień. Ojciec wyrzeźbił go, kiedy się urodziła, dla dziewczyny, którą kiedyś się stanie, a Adeline nosi go niczym talizman, amulet, klucz. Jej dłoń wędruje często ku temu krążkowi, gładzi go kciukiem, tak jak jej matka dotyka różańca.

Łapie go teraz jak kotwicę w czasie burzy, siedząc z tyłu wozu i oglądając wszystko naokoło. Znajduje się dość wysoko, by widzieć budynki okalające rynek. Wspina się na palce, zastanawiając, dokąd sięgają, aż przechodzący obok koń zaczepia o ich wóz i wstrząsa nim. Adeline niemal spada, na szczęście ojciec w porę łapie ją za ramię.

Pod koniec dnia wszystkie drewniane towary zostają sprzedane, a ojciec daje Adeline miedzianego sou, mówiąc, żeby kupiła sobie coś, co jej się spodoba. Chodzi więc między straganami, oglądając ciastka i słodycze, czapki, stroje i lalki, ale w końcu decyduje się na notes, pergamin zszyty mocną nicią. Ekscytują ją puste strony i koncepcja, że może wypełnić tę przestrzeń wedle własnego uznania.

Nie może już sobie pozwolić na ołówki, lecz ojciec dokłada drugą monetę i kupuje paczkę czarnych patyczków. Wyjaśnia, że to węgiel, i pokazuje jej, jak przyciskać czarną końcówkę do papieru, prosto lub pod kątem, żeby zamienić ostre krawędzie w miękki cień. Kilkoma szybkimi pociągnięciami rysuje w rogu kartki ptaka, a ona spędza następną godzinę na kopiowaniu linii, zainteresowana obrazkiem dużo bardziej niż literami, które napisał pod spodem.

Kiedy dzień ma się już ku końcowi, ojciec pakuje wóz.

Zatrzymają się na noc w lokalnej gospodzie. Po raz pierwszy w życiu Adeline będzie spać w obcym łóżku i obudzi się wśród nieznajomych dźwięków i zapachów. Nastąpi krótka chwila, nie dłuższa niż ziewnięcie, kiedy nie będzie wiedziała, gdzie się znajduje, a serce zacznie jej bić mocniej – najpierw ze strachu, a potem z innej przyczyny. Jeszcze nie potrafi nazwać tej emocji.

A kiedy wrócą do domu, do Villon, Adeline będzie już inną osobą. Wszystkie okna w jej pokoju zostały szeroko otwarte, by wpuścić czyste powietrze, promienie słońca i wiosenną świeżość.

Villon-sur-Sarthe
jesień 1703

IV

Villon to katolickie miasteczko, przynajmniej z wierzchu.

W centrum stoi kościół, poważna kamienna budowla, gdzie wszyscy przychodzą dla zbawienia duszy. Matka i ojciec Adeline klękają tam dwa razy w tygodniu, czynią znak krzyża, odmawiają modlitwy i rozmawiają o Bogu.

Adeline ma teraz dwanaście lat, więc postępuje podobnie. Modli się jednak tak samo, jak ojciec przewraca bochenki chleba, jak matka, która liże kciuk, żeby pozbierać rozsypane odrobiny soli.

Odruchowo, bardziej automatycznie niż z głębi serca.

Kościół w Villon nie jest nowy, podobnie jak mieszkający w nim Bóg, lecz Adeline myśli o Nim w ten sposób dzięki Estele, która mówi, że zmiana jest najbardziej niebezpieczna, kiedy pozwalamy, by nowe zastąpiło stare.

Estele, która należy do wszystkich, do nikogo i do siebie.

Estele, która rosła jak drzewo w sercu miasteczka nad rzeką i z pewnością nigdy nie była młoda, która wykiełkowała z ziemi z sękatymi dłońmi, skórą pomarszczoną niczym kora i korzeniami wypuszczonymi dość głęboko, by piła z własnej, ukrytej studni.

Estele, która wierzy, że nowy Bóg to stworzenie z filigranu. Sądzi, że On należy do wielkich miast i królów, że siedzi nad Paryżem na złotej poduszce i nie ma czasu dla wieśniaków, a wśród drzew, kamieni i rzecznej wody nie ma dla niego miejsca.

Ojciec Adeline uważa, że Estele jest szalona.

Matka powiedziała kiedyś, że tę kobietę czeka Piekło. Kiedy Adeline jej to powtórzyła, Estele wybuchła śmiechem, który brzmiał jak szelest suchych liści, i odparła, że nie ma takiego miejsca, jest tylko chłodna, ciemna ziemia i obietnica snu.

– A co w takim razie z Niebem? – zapytała wtedy Adeline.

– Niebo to miłe miejsce w cieniu i rozłożyste drzewo nad moimi kośćmi.

Dwunastoletnia Adeline zastanawia się, do którego boga powinna się teraz modlić, żeby ojciec zmienił zdanie. Załadował wóz towarami na sprzedaż w Le Mans, zaprzągł do niego Maxime, ale po raz pierwszy od sześciu lat nie zabiera córki ze sobą.

Obiecał przywieźć jej świeżą dostawę pergaminu i nowe narzędzia do szkicowania, ale oboje wiedzą, że wolałaby nie dostać żadnego prezentu, a za to pojechać wraz z nim; bardziej by chciała zobaczyć świat poza Villon, niż otrzymać kolejny notes. Zaczyna brakować jej inspiracji, nauczyła się na pamięć krajobrazów swojego miasteczka i znanych twarzy.

W tym roku jednak matka zadecydowała, że jazda na targ byłaby czymś niewłaściwym, czymś, co się nie mieści w głowie, chociaż Adeline doskonale wie, że ona sama wciąż mieści się na koźle obok ojca.

Matka życzyłaby sobie, żeby dziewczynka była taka jak Isabelle Therault, słodka, grzeczna i całkowicie obojętna wobec świata. Isabelle woli spuścić wzrok i robić na drutach, zamiast patrzeć na chmury lub zastanawiać się, co czeka za zakrętem albo jeszcze dalej, za wzgórzami.

Tylko że Adeline nie wie, jak być podobna do Isabelle.

Co więcej, zwyczajnie nie chce być podobna do Isabelle.

Pragnie tylko pojechać do Le Mans, a kiedy już tam dotrze, obserwować ludzi, przyglądać się sztuce, smakować nowych dań i odkrywać rzeczy, o których jeszcze nie słyszała.

– Proszę! – mówi, kiedy ojciec wspina się na wóz. Powinna ukryć się pomiędzy towarem, schować bezpiecznie pod płótnem. Teraz jednak jest już na to za późno, a kiedy Adeline łapie za koło, matka chwyta ją za rękę i odciąga.

– Dość tego! – oświadcza gniewnie.

Ojciec spogląda na nie, a potem odwraca wzrok. Wóz odjeżdża, a gdy Adeline próbuje się wyrwać i pobiec za nim, dłoń matki znów się unosi

i tym razem ląduje na policzku dziewczynki.

Łzy napływają jej do oczu, na policzkach pojawia się rumieniec (który po pewnym czasie ustąpi siniakowi), a następnie dociera do niej głos matki, który jest niczym drugie uderzenie:

– Nie jesteś już dzieckiem.

Adeline rozumie wówczas, choć tak naprawdę niczego nie rozumie, że została ukarana za to, że urosła. Jest tak wściekła, że chce uciec, wrzucić robótki ręczne matki do kominka i połamać wszystkie na wpół ukończone postacie w pracowni ojca.

Zamiast tego patrzy tylko, jak wóz skręca i znika za drzewami. Zaciska dłoń na pierścionku od ojca. Czeka, aż matka ją puści i każe wracać do codziennych obowiązków.

Wtedy idzie poszukać Estele.

Estele, która nadal czci starych bogów.

W wieku pięciu, może sześciu lat Adeline po raz pierwszy widziała, jak kobieta wrzuca do rzeki kamienny kubek. To była ładna rzecz, z koronkowym wzorkiem po bokach, a staruszka pozwoliła mu spaść i upajała się chlupnięciem. Oczy miała zamknięte, a jej usta się poruszały, a kiedy Adeline zaczaiła się na nią na ścieżce do jej chaty, Estele wyjaśniła, że modliła się do bogów.

– O co?

– Dziecko Marie nie rozwija się tak, jak powinno – odparła tamta. – Poprosiłam bogów rzeki, żeby wszystko płynęło gładko. Potrafią pomóc w takich sprawach.

– Ale dlaczego dałaś im kubek?

– Ponieważ bogowie są chciwi, moja Addie.

„Addie". Zdrobnienie, któremu jej matka była niechętna, bo uważała je za chłopięce. Ojciec lubił używać tego imienia, ale tylko wtedy, kiedy byli sami. Dźwięczało w jej umyśle niczym donośny dzwon. Odpowiadało jej o wiele bardziej niż „Adeline".

Teraz odnajduje Estele w ogródku, zgiętą wpół pomiędzy bujnymi pnączami kabaczków a ciernistymi zaroślami jeżyn, pochyloną nisko jak wykrzywiona gałąź.

– Addie – wita ją staruszka, nie podnosząc nawet wzroku.

Jest jesień, a ziemię pokrywają zawiązki owoców, które nie dojrzały tak, jak powinny. Addie trąca je czubkiem buta.

– Jak do nich mówisz? – pyta. – Do starych bogów. Czy wzywasz ich po imieniu?

Estele prostuje się, a jej stawy trzeszczą niczym suche gałązki. Jeśli pytanie ją zaskoczyło, nie daje tego po sobie poznać.

– Nie mają imion.

– Czy jest jakieś zaklęcie?

Staruszka rzuca jej znaczące spojrzenie.

– Zaklęcia rzucają wiedźmy, a wiedźmy zbyt często płoną na stosach.

– W takim razie jak się do nich modlisz?

– Składam ofiarę i błogosławię im, a mimo to są kapryśni. Nie muszą wcale odpowiadać.

– I co się robi, jak nie odpowiedzą?

– Żyje się dalej.

Dziewczynka przygryza wargę.

– Ilu jest bogów, Estele?

– Tylu, ile masz pytań – odpowiada stara kobieta, ale w jej głosie nie słychać pogardy, więc Addie wie, że musi zaczekać, wziąć na wstrzymanie, aż nie zobaczy, że Estele mięknie. To jak czekanie pod drzwiami sąsiada, kiedy się w nie zapukało, a on jest w domu. Po pewnym czasie słychać kroki, niski zgrzyt zamka i wiadomo, że zaraz drzwi staną otworem.

Estele wzdycha, jakby właśnie otwierała jakieś wrota.

– Starzy bogowie są wszędzie – wyjaśnia. – Pływają w rzece, rosną w polu i śpiewają w gałęziach drzew. Są w promieniach słońca padających na łany pszenicy, pod kiełkującymi roślinami na wiosnę i w pnączach, obrastających ścianę kościoła. Zbierają się na obrzeżach dnia, o świcie i o zmierzchu.

Adeline mruży oczy.

– Nauczysz mnie? Jak ich wzywać?

Staruszka znów wzdycha. Świetnie wie, że Adeline LaRue jest nie tylko sprytna, ale i uparta. Sunie przez ogród ku domowi, a dziewczynka za nią, obawiając się, że zanim Estele dotrze do frontowych drzwi, zanim odpowie, może zakończyć tę rozmowę. Estele jednak ogląda się za siebie, jej oczy błyszczą życiem w pomarszczonej twarzy.

– Są pewne reguły.

Adelinie nienawidzi reguł, lecz wie, że czasem są niezbędne.

– Na przykład jakie?

– Musisz się przed nimi ukorzyć. Musisz zaproponować im prezent, coś dla ciebie cennego. A nade wszystko musisz bardzo uważać, o co prosisz.

Adeline zastanawia się przez chwilę.

– I to wszystko?

Twarz Estele pochmurnieje.

– Starzy bogowie mogą być wielcy, ale nie są ani życzliwi, ani łaskawi. Są za to kapryśni i niestali, niczym światło księżyca na wodzie albo cienie w czasie burzy. Jeżeli upierasz się, by ich wezwać, zachowaj ostrożność: starannie formułuj życzenia i przygotuj się na to, że za ich spełnienie zapłacisz słoną cenę – mówi i nachyla się ku Adeline, rzucając na nią cień. – Ale bez względu na to, w jak rozpaczliwym położeniu się znajdziesz, nigdy nie módl się do tych, którzy odpowiadają po zapadnięciu zmroku.

Dwa dni później ojciec Adeline przywozi jej świeży zapas pergaminu i paczkę grafitowych ołówków związanych sznurkiem. Dziewczynka wybiera najlepszy z nich, zakopuje w ziemi za ogródkiem i modli się, by następnym razem, kiedy ojciec pojedzie do Le Mans, wziął ją ze sobą.

Jednak bogowie, jeżeli nawet ją słyszą, nie odpowiadają.

A ojciec nigdy już nie zabiera jej na targ.

Villon-sur-Sarthe
wiosna 1707

V

Jedno mrugnięcie, a lata opadają niczym liście.

Adeline ma teraz szesnaście lat i wszyscy mówią o niej jak o letnim kwiecie, o czymś, co zostanie zerwane, wstawione do wazonu, na chwilę zakwitnie, a potem zgnije. Tak jak Isabelle, która marzy o rodzinie zamiast o wolności i wydaje się zadowolona, że rozkwitnie, a potem szybko zwiędnie.

Nie, Adeline zdecydowała, że woli być drzewem, jak Estele. Jeśli musi zapuścić korzenie, wolałaby kwitnąć swobodnie niż być starannie przystrzyżona, stać i rosnąć samotnie pod gołym niebem. Lepsze to niż zostać ściętą na opał i spłonąć w czyimś kominku.

Dźwiga pranie na biodrze i wspina się na wzgórek, żeby następnie zejść zachwaszczonym zboczem ku rzece. Kiedy dociera na brzeg, odwraca kosz do góry dnem, wyrzucając brudne rzeczy na trawę, a tam, ukryty niczym sekret, pomiędzy spódniczkami i fartuchami tkwi jej szkicownik. Nie pierwszy: zbiera je rok po roku, starannie wypełnia każdy wolny cal, żeby jak najlepiej wykorzystać wszystkie strony.

Jednak każdy z nich jest niczym wątła świeczka, płonąca w bezksiężycową noc, zawsze wypalająca się zbyt szybko.

To, że oddaje ich kawałki, również nie pomaga.

Zsuwa buty i siada na zboczu, a spódnica rozpościera się wokół niej. Przesuwa palcami po trawie i znajduje postrzępioną krawędź kartki z jednym z jej ulubionych rysunków, złożonej na czworo i wciśniętej w ziemię na brzegu rzeki tydzień wcześniej, tuż po świcie. Symboliczny dar, posiany jak ziarno.

Adeline wciąż modli się do nowego Boga, kiedy musi, ale gdy rodzice nie patrzą, zwraca się też do starych. Świetnie to ze sobą godzi: trzyma jednego w policzku niczym pestkę czereśni, a szepcze do innych.

Żaden z nich dotąd nie odpowiedział.

Mimo to Adeline jest przekonana, że słuchają.

Kiedy poprzedniej wiosny Georges Caron zaczął na nią spoglądać w szczególny sposób, modliła się, żeby przestał, i rzeczywiście, zaczął zamiast niej zauważać Isabelle, która teraz jest jego żoną, nosi ich pierwsze dziecko i wygląda na wymęczoną wszystkimi uciążliwościami ciąży.

Gdy poprzedniej jesieni Arnaud Tulle wyjawił swoje intencje wobec niej, Adeline modliła się, żeby znalazł sobie inną dziewczynę. Nie znalazł, ale tej zimy zachorował i zmarł. Adeline czuła jednocześnie ulgę i wyrzuty sumienia, a mimo to karmiła strumień kolejnymi cennymi przedmiotami.

Modliła się, a ktoś jej wysłuchiwał, ponieważ wciąż pozostawała wolna. Wolna od zalotów, od małżeństwa, od wszystkiego poza Villon. Pozostawiona sama sobie, by rosnąć.

I marzyć.

Siedzi teraz na stoku, szkicownik ma na kolanach. Wyciąga z kieszeni sakiewkę, kawałek węgla i kilka mocno już zużytych cennych ołówków, grzechoczących jak drobne monety w dzień targowy.

Kiedyś obwiązywała rysiki kawałkami szmatki, żeby mieć czyste palce, dopóki jej ojciec nie wymyślił, jak dopasować wąskie opaski z drewna do poczerniałych patyczków, i nie pokazał jej, jak trzymać nożyk, strugać brzegi i ostrzyć ołówki niczym igły. Teraz obrazy są wyraźniejsze, kontury wyrazistsze, a szczegóły – lepiej widoczne. Rysunki kwitną na papierze niczym plamy: pejzaże Villon, portrety mieszkańców, linie włosów jej matki, oczy ojca, dłonie Estele, a wreszcie, ukryta między brzegami a szyciem każdej kartki…

Tajemnica Adeline.

Jej nieznajomy.

Wypełnia każdy fragment wolnej przestrzeni jego wizerunkiem: twarzą rysowaną tak często, że każdy kolejny raz przychodzi jej bez wysiłku, linie rozwijają się same. Potrafi wyczarować go z pamięci, mimo że nigdy się nie spotkali.

Jest przecież tylko tworem jej wyobraźni, rysowanym najpierw z nudy, a potem z tęsknoty.

Nie prawdziwą osobą, tylko marzeniem, które ma dotrzymywać jej towarzystwa.

Nie pamięta, kiedy to się zaczęło: pewnego dnia przyjrzała się wszystkim potencjalnym zalotnikom i u każdego znalazła jakiś brak.

Arnaud miał przyjemne oczy, ale żadnego podbródka.

Jacques był wysoki, lecz głupi jak but.

Georges był silny, jednak dłonie miał szorstkie, tak samo jak charakter.

Dlatego ukradła każdemu to, co wydawało jej się przyjemne, i złożyła sobie z tych fragmentów kogoś nowego.

Nieznajomego.

Zaczęło się od zabawy, ale im częściej Adeline go rysowała, tym wyraźniejsze były kontury, tym pewniej trzymała ołówek.

Czarne kędziory, jasne oczy, mocna linia szczęki. Pochyłe ramiona i linia górnej wargi niczym łuk kupidyna. Mężczyzna, którego nigdy nie spotkała, życie, którego nie znała, i świat, o którym mogła tylko marzyć.

Kiedy czuje niepokój, powraca do rysowania, po raz kolejny kreśląc znane rysy, a gdy nie może spać, myśli o nim. Nie o linii jego policzków czy też zieleni jego oczu, którą sama wyczarowała, lecz o jego głosie i dotyku. Leży tylko i wyobraża go sobie obok, jego długie palce rysujące wzory na jej skórze. Opowiada jej przy tym rozmaite historie.

Nie takie, jak jej ojciec, o rycerzach i królestwach, księżniczkach i złodziejach. Nie baśnie z morałem ostrzegającym przed przekraczaniem granic, ale opowieści brzmiące prawdą, relacje z podróży do lśniących miast, do świata poza Villon. Mimo że słowa, które Adeline wkłada mu w usta, są z pewnością pełne błędów i kłamstw, zmyślony głos nieznajomego sprawia, że brzmią tak cudownie, tak realnie.

– Gdybyś tylko mogła to zobaczyć – mówi.

– Oddałabym za to wszystko – odpowiada dziewczyna.

– Pewnego dnia... – przyrzeka młodzieniec. – Pewnego dnia pokażę ci to. Zobaczysz wszystko.

Te słowa sprawiają, że Adeline cierpi, mimo że sama je wymyśla: w zabawie pojawiają się pragnienia zbyt autentyczne, zbyt niebezpieczne.

Dlatego nawet w wyobraźni postanawia skierować konwersację na bezpieczniejsze tory.

– Opowiedz mi o tygrysach – prosi go. O tych wielkich kotach opowiadała jej Estele, która słyszała o nich od murarza podróżującego kiedyś z pewną kobietą, utrzymującą, że widziała tygrysa.

Nieznajomy uśmiecha się, rozcapierza długie palce i opowiada jej o jedwabistym futrze, ostrych zębach i wściekłym ryku dzikich zwierząt.

Na brzegu rzeki leży zapomniane pranie. Adeline z roztargnieniem obraca w palcach jednej dłoni swój drewniany pierścionek, a drugą rysuje. Szkicuje jego oczy, usta, zarys nagich ramion, a obraz z każdą linią nabiera więcej życia. Z każdym pociągnięciem rysika powstaje nowa historia.

– Opowiedz mi, jak się tańczy w Paryżu.

– Opowiedz mi o żeglowaniu po morzu.

– Opowiedz mi wszystko!

Nie było w tym żadnego niebezpieczeństwa. Nikt nie czynił jej wyrzutów… przynajmniej, kiedy była młoda. Wszystkie dziewczyny lubią pomarzyć. Wyrośnie z tego, orzekli rodzice, ale Adeline czuła, że coraz bardziej obrasta marzeniami, i coraz mocniej trzymała się nadziei, że w jej życiu pojawi się coś więcej.

Świat powinien się powiększać, a ona czuje, że jest odwrotnie: kurczy się i zaciska wokół niej, niczym łańcuchy na nogach, kiedy proste linie jej ciała zaczynają się zaokrąglać i nagle kawałek węgla w jej palcach staje się czymś niestosownym, podobnie jak myśl, że woli samotność od towarzystwa Arnauda, Georges'a czy też dowolnego innego mężczyzny, który mógłby ją zechcieć.

Adeline nie zgadza się na to wszystko, nie pasuje do niczego: stanowi zniewagę dla swojej płci, jest upartym dzieckiem w ciele kobiety. Siada z pochyloną głową i mocno trzyma szkicownik, tak jakby jego karty były drzwiami.

A kiedy unosi głowę, jej wzrok zawsze wędruje ku granicom miasteczka.

– Marzycielka – mówi wzgardliwie matka.

– Marzycielka – powtarza z żalem ojciec.

– Marzycielka – stwierdza ostrzegawczo Estele.

A przecież słowo to nie wydaje się takie złe.
Przynajmniej dopóki Adeline się nie obudzi.

Nowy Jork
10 marca 2014

VI

Samotne poruszanie się po świecie podlega pewnemu rytmowi.

Człowiek odkrywa, bez czego może się obyć, a bez czego nie. Na życie składają się proste potrzeby i małe radości. Nie pożywienie, nie schronienie, nie podstawowe rzeczy, których wymaga ludzkie ciało (ale nie ciało Addie), lecz to, co trzyma człowieka przy zdrowych zmysłach. To, co przynosi radość i sprawia, że życie jest łatwiejsze do zniesienia.

Addie myśli o swoim ojcu i jego rzeźbach, o tym, jak zestrugiwał korę, a potem drewno, by odnaleźć kształty pod spodem. Michał Anioł nazywał je aniołem ukrytym w marmurze, ale jako dziecko jeszcze tego nie wiedziała. Ojciec miał swoją nazwę: tajemnica w drewnie. Wiedział, jak ująć materiału, warstwa po warstwie, kawałek po kawałku, dopóki nie odnalazł jego istoty. Wiedział również, kiedy posuwał się za daleko. Jedno pociągnięcie za dużo i drewno w jego dłoniach przestawało być delikatne, a robiło się kruche.

Addie miała trzysta lat, by praktykować sztukę swojego ojca, by zestrugać samą siebie do najistotniejszych prawd, by nauczyć się, bez czego nie potrafi żyć.

Dowiedziała się więc, że daje sobie radę bez jedzenia (nie umrze z głodu), a także bez ogrzewania (zimno jej nie zabije). Kiedy jednak próbowała żyć bez sztuki, bez zdumienia otaczającym światem, bez pięknych rzeczy, czuła, że ogarnia ją szaleństwo. Kiedyś rzeczywiście oszalała.

Tym, czego potrzebuje, są opowieści.

Opowieści to sposób na zachowanie własnego „ja”, na zostanie zapamiętaną i na zapomnienie.

Opowieści mają tyle form: można stworzyć je węglem, zapisać w piosence, na malowidle, w wierszu albo filmie. No i w książce.

Addie odkryła, że książki pozwalają jej żyć tysiąc razy albo odnaleźć siłę w jednym, długim życiu.

Dwie przecznice dalej w kierunku Flatbush widzi na chodniku dobrze znany składany zielony stolik zawalony książkami, a za nim Freda skulonego na koślawym krześle, z czerwonym nosem w M is for Malice. Staruszek wyjaśnił jej kiedyś, gdy jeszcze był przy K is for Killer, że przed śmiercią chce przeczytać całą „alfabetyczną” serię powieści Sue Grafton. Addie ma nadzieję, że mu się uda. Dręczy go dokuczliwy kaszel, siedzenie na zimnie tylko pogarsza sytuację… a mimo to zawsze tam jest, kiedy Addie przechodzi w pobliżu.

Fred się nie uśmiecha ani nie rozmawia o błahostkach. Addie wie tylko tyle, ile wyciągnęła z niego słowo po słowie w ciągu ostatnich dwóch lat, powoli i z trudem. Staruszek jest wdowcem, mieszka na piętrze, a książki należały do jego żony, Candace. Kiedy zmarła, spakował je wszystkie i zniósł, żeby sprzedać: dzięki temu pozwala jej odchodzić po kawałku. Jakby wyprzedawał swój żal po stracie bliskiej osoby. Addie wie także, że siedzi tu na dole, ponieważ boi się śmierci w pustym mieszkaniu oraz tego, że nikt go nie znajdzie i nikomu nie będzie go brakowało.

– Kiedy kopnę w kalendarz tutaj, przynajmniej ktoś zauważy – mawia.

Jest dość opryskliwy, lecz Addie go lubi. Dostrzega w jego złości smutek i powściągliwy żal.

Dziewczyna podejrzewa, że w gruncie rzeczy wcale nie zależy mu na sprzedaży książek.

Nie oznacza ich cenami, nie przeczytał więcej niż kilku z nich, a czasami ma tak paskudny nastrój i odzywa się tak chłodnym tonem, że odstrasza potencjalnych klientów. Mimo to nadal do niego przychodzą i nawet kupują książki, ale za każdym razem, kiedy kolekcja na stoliku się zmniejsza, skądś pojawia się nowe pudło, a jego zawartość po rozpakowaniu uzupełnia puste miejsca. W ciągu ostatnich kilku tygodni Addie zaczęła dostrzegać między starymi wydaniami całkiem nowe, a wśród sczytanych tomików w miękkich oprawach nietknięte okładki

i grzbiety. Zastanawia się więc, czy to Fred je kupuje, czy inni ludzie zaczęli mu je ofiarowywać.

Zwalnia przy stoliku, a jej palce tańczą nad tomami.

Kolekcja zawsze wydaje się pełna sprzeczności: thrillery, biografie, romanse, przeważnie w popularnych wydaniach, czasem tylko zalśnią grzbiety książek w twardej oprawie. Zatrzymywała się już setki razy, by im się przyjrzeć, ale dzisiaj tylko łapie książkę z samego końca gestem lekkim i zwinnym, niczym iluzjonistka. Popis kuglarstwa, ot co. Perfekcja wypracowana dzięki wiekom praktyki. Addie wkłada książkę pod pachę i odchodzi.

Staruszek nawet nie podnosi wzroku.

Nowy Jork
10 marca 2014

VII

Stragany stoją na brzegu parku niczym grono starych przekupek.

Zima przerzedziła je, ale minęła, i teraz liczba stoisk z białymi daszkami zaczyna znów rosnąć. Na placu pojawiają się pierwsze kolorowe kropki, tam, gdzie pomiędzy warzywami, mięsem i chlebem oraz innymi produktami, niewrażliwymi na zimno, wyskakują nowe towary.

Addie przemyka między ludźmi, zmierzając do małego białego namiotu, stojącego przy frontowej bramie Prospect Park. „Wstawaj – Pobudka!" to stragan z kawą i ciastkami prowadzony przez dwie siostry, które kojarzą się Addie z Estele; gdyby tylko staruszka istniała w dwóch osobach, różniących się charakterem. Gdyby była życzliwsza, delikatniejsza, a może po prostu, gdyby żyła innym życiem w innych czasach.

Siostry pracują tutaj przez cały rok, czy pada śnieg, czy praży słońce. Stanowią wyjątek: stały element w ciągle zmieniającym się mieście.

– Hej, cukiereczku – mówi Mel, ta z szerokimi ramionami i burzą loków, zawsze promieniejąca słodyczą, która sprawia, że nieznajomi czują, jakby należeli do rodziny. Addie uwielbia to swobodne ciepło, w które każdy ma ochotę się wtulić jak w ulubiony stary sweter.

– Co ci podać? – pyta Maggie, starsza i chudsza. Na pozór wygląda, jakby rzadko się uśmiechała, ale zaprzeczają temu zmarszczki wokół jej oczu i ust.

Addie zamawia dużą kawę i dwie muffinki, jedną z jagodami, a drugą z kawałkami czekolady, płaci pomiętą dziesięciodolarówką, znalezioną na

stoliku u Toby'ego. Mogłaby oczywiście ukraść coś z targu, ale lubi ten stragan i kobiety, które go prowadzą.

– Masz dziesięć centów? – pyta Maggie.

Addie znajduje drobne w kieszeni, najpierw wyciąga kilka ćwierćdolarówek, potem dziesięć centów – i oto jej palce trafiają na drewniany pierścionek. Znów jest przy niej, ciepły pomiędzy chłodnymi metalowymi monetami. Dotyka go i zaciska zęby. Ten krążek jest jak natrętna myśl, której nie można się pozbyć. Przebierając wśród drobnych, Addie stara się go nie dotykać, wyciąga dłoń pełną bilonu, opierając się pokusie ciśnięcia go w krzaki. To i tak nic nie zmieni: pierścionek zawsze znajduje drogę z powrotem.

Ciemność szepcze Addie do ucha, owijając ramiona wokół jej szyi niczym szal:

„Zawsze jestem przy tobie".

Dziewczyna wyławia dziesięć centów i chowa resztę drobnych do kieszeni.

Maggie wręcza jej cztery dolary.

– Skąd jesteś, laleczko? – pyta Mel, zauważając leciutki ślad akcentu w głosie Addie, teraz, po latach, zredukowany już do delikatnie zanikającego „s" i lekko zmiękczonego „t". Minęło już tyle czasu, a mimo to Addie nie może się go pozbyć.

– Stąd i stamtąd – odpowiada wymijająco – ale urodziłam się we Francji.

– Och, la la – mówi Mel bezbarwnym, przeciągłym dialektem z Brooklynu.

– Proszę bardzo, słoneczko – odzywa się Maggie, podając Addie torbę ze słodkościami i wysoki kubek. Addie zaciska dłoń wokół papieru, rozkoszując się ciepłem ogrzewającym jej chłodne palce. Kawa jest ciemna i mocna, a kiedy bierze łyk, czuje ciepło spływające w dół i znów jest w Paryżu, w Stambule i w Neapolu.

Niezły kęs wspomnień.

Rusza ku bramie parku.

– Orewuar! – woła za nią Mel, twardo wymawiając każdą głoskę, a Addie uśmiecha się do parującego napoju.

Powietrze w parku jest rześkie. Słońce stoi wysoko, próbując ogrzewać świat, ale w cieniu wciąż panuje jeszcze zima, toteż Addie podąża za światłem i opada na trawiasty wzgórek pod bezchmurnym niebem.

Umieszcza jagodową muffinkę na papierowej torbie i sączy kawę, oglądając książkę pożyczoną ze stolika Freda. Nie sprawdziła wcześniej, co bierze, ale teraz czuje się nieco rozczarowana na widok taniego wydania w miękkiej oprawie, o wytartej okładce, z niemieckim tytułem.

Brzmi on: Kinder und Hausmärchen, a jako autorzy figurują „Brüder Grimm".

Baśnie braci Grimm.

Jej niemiecki zardzewiał. Trzymała go w głębi umysłu, w odległym kącie, do którego nie zaglądała od czasów wojny. Teraz go odkurza, wiedząc, że pod warstwami brudu znajdzie tę wiedzę nietkniętą, gotową do użycia. Dobrodziejstwo pamięci. Dziewczyna przewraca teraz kruche, stare strony, a wzrok potyka się o słowa.

Dawno, dawno temu uwielbiała takie baśnie.

Kiedy była dzieckiem, świat był mały, a ona marzyła o otwartych drzwiach.

Teraz jednak Addie wie już aż za dobrze, że takie opowieści pełne są głupich ludzi robiących głupie rzeczy, że ostrzegają przed bogami, potworami i chciwymi śmiertelnikami, którzy chcą zbyt wiele, a potem nie rozumieją, co utracili. Dopóki nie zapłacą pełnej ceny, a wówczas jest już zbyt późno, by zażądać zwrotu.

Z jej serca wznosi się głos ciemny jak dym:

„Nigdy nie módl się do bogów, którzy odpowiadają po zapadnięciu zmroku".

Addie rzuca książkę i kładzie się na trawie, zamykając oczy i próbując cieszyć się słońcem.

Villon-sur-Sarthe
29 lipca 1714

VIII

Adeline dotąd chciała być drzewem.

Rosnąć dziko i ukorzenić się głęboko, nie należeć do nikogo, tylko do ziemi pod stopami i nieba nad głową, tak jak Estele. Byłoby to życie niekonwencjonalne i może nieco samotne, ale przynajmniej decydowałaby sama o sobie. Należałaby tylko do siebie.

Niestety, mieszkanie w miejscach takich jak Villon niesie ze sobą pewne niebezpieczeństwa.

Mrugnięcie – i mija rok.

Następne mrugnięcie – i przelatuje pięć następnych.

Ta wioska jest jak szpara w bruku, dość szeroka, by pewne rzeczy się w niej gubiły. To miejsce, gdzie czas wpada w poślizg i się zaciera, gdzie potrafi zniknąć miesiąc, rok albo całe życie. Gdzie każdy rodzi się i jest chowany na tej samej dziesięciometrowej działce.

Dlatego Adeline miała zamiar zostać drzewem.

Jednak potem pojawili się Roger i jego żona Pauline. Dorastali razem, potem wzięli ślub, a potem zniknęli, podczas kiedy Addie wydawało się, że minęło tylko tyle czasu, ile potrzeba na zasznurowanie butów.

Trudna ciąża, poród z komplikacjami, w efekcie nie jedno nowe życie, lecz dwie śmierci.

Pauline zostawiła trójkę małych dzieci, zamiast dodać do nich czwarte. Ziemia na jej mogile była jeszcze świeża, gdy Roger zaczął szukać kolejnej żony, matki dla swoich dzieci, drugiego życia, wyłącznie kosztem Adeline.

Oczywiście powiedziała „nie”.

Adeline ma dwadzieścia i trzy lata, jest już zbyt stara na zamążpójście.

Dwadzieścia i trzy – jedna trzecia życia już minęła.

Dwadzieścia i trzy – i właśnie wręczono ją, niczym dorodną maciorę, mężczyźnie, którego nie kochała, nie chciała poślubić i nawet nie znała.

Powiedziała „nie" i dowiedziała się, ile jest warte jej słowo. Dowiedziała się, że – tak jak Estele – obiecała poświęcić się wiosce, a wioska właśnie ma potrzebę.

Matka stwierdziła, że to obowiązek Adeline.

Ojciec oznajmił, że to łaska, lecz Addie nie mogła zrozumieć, wobec kogo.

Estele nic nie powiedziała, ponieważ doskonale zdawała sobie sprawę, że to nie fair. Wiedziała, że to właśnie ryzykuje kobieta, która próbuje poświęcić się miejscu zamiast konkretnej osobie.

Adeline chciała być drzewem, a ludzie nadeszli z toporem.

I oddali ją tamtemu.

W noc przed ślubem dziewczyna leży bezsennie i myśli o wolności. O ucieczce. Może wykradnie konia ojca, mimo że wie, jakie to szaleństwo?

Czuje się dość szalona, by to zrobić.

Zamiast tego zaczyna się modlić.

Oczywiście modliła się już od dnia zaręczyn. Połowę swoich rzeczy oddała rzece, drugą pogrzebała na polu i porośniętym krzakami zboczu na granicy miasteczka i lasu. Teraz nie ma już ani czasu, ani niczego, co mogłaby złożyć w ofierze.

Adeline leży w ciemności, obracając w palcach drewniany pierścionek na rzemyku. Chciałaby wyjść z domu i pomodlić się znowu, w środku nocy, lecz pamięta przerażające ostrzeżenia Estele przed tymi, którzy mogliby jej teraz odpowiedzieć. Dlatego zaciska złożone dłonie i modli się do Boga swojej matki. Modli się o pomoc, o cud, o jakieś wyjście. Aż wreszcie, gdy zapada najczarniejsza noc, modli się o śmierć Rogera. Cokolwiek, byle tylko uciec.

Natychmiast czuje wyrzuty sumienia, więc cofa tę ostatnią prośbę, tak jakby pośpiesznie wciągała oddech… i czeka.

Słońce wyłania się zza horyzontu jak wielkie żółtko, rozlewając złote światło po polach.

Adeline wyślizguje się z domu przed świtem, nie przespawszy ani chwili. Idzie krętą ścieżką przez wysoką trawę za warzywnikiem, a jej spódnice wilgotnieją od rosy. Skupia się na ich ciężarze, w dłoni trzyma ulubiony ołówek. Nie chce go oddawać, ale brakuje jej już czasu i darów, które mogłaby ofiarować.

Wciska ołówek zaostrzonym końcem w ziemię na polu.

– Pomóż mi – szepcze do trawy, której źdźbła wyraźnie rysują się na tle rozświetlonego nieba. – Wiem, że tam jesteś. Wiem, że słuchasz. Proszę. Proszę.

Trawa jest jednak tylko trawą, a wiatr – wiatrem. Żadne z nich nie odpowiada, nawet gdy Adeline przyciska czoło do ziemi i zaczyna łkać.

Roger nie ma zbyt wielu wad.

Nie ma jednak również zbyt wielu zalet. Jego skóra jest blada i woskowata, blond włosy mu rzedną, a jego głos brzmi jak świst wiatru. Kiedy kładzie dłoń na jej ramieniu, jego uchwyt wydaje się słaby, a gdy nachyla się ku niej, śmierdzi mu z ust.

A Adeline? Jest jak pozostawiona zbyt długo w ogródku jarzyna o grubej skórze i zdrewniałym wnętrzu, która ukryła się pod ziemią, lecz teraz zostanie wykopana i ugotowana.

– Nie chcę go poślubić! – mówi z palcami wbitymi w zarośniętą ziemię.

– Adeline! – woła jej matka, tak jakby z zagrody uciekło jakieś zwierzę.

Dziewczyna wstaje, pozbawiona emocji poza żalem i wściekłością. Kiedy wchodzi do domu, matka widzi tylko ziemię na jej dłoniach i wysyła córkę do miednicy. Adeline próbuje usunąć brud spod paznokci, szczotka kłuje ją w palce. Matka upomina ją tymczasem:

– Co sobie pomyśli twój mąż?

„Mąż”.

To słowo ciąży jej jak kamień młyński: potwornie ciężki i kompletnie pozbawiony ciepła.

Matka cmoka z dezaprobatą.

– Nauczysz się cierpliwości, jak będziesz miała dzieci pod opieką.

Adeline znów wyobraża sobie Isabelle: dwóch chłopców trzyma się jej spódnicy, a trzecie dziecko leży w koszyku przy kominku. W ciągu ostatnich dwóch lat postarzała się o dziesięć. Zawsze jest zmęczona, a jej policzki, kiedyś rumiane od śmiechu, teraz są zapadnięte.

– Wyjście za mąż dobrze ci zrobi – mówi matka Adeline.

Dzień mija jak ogłoszenie wyroku.

Słońce opada niczym kosa żniwiarza.

Adeline niemal słyszy świst ostrza, kiedy matka upina jej włosy w koronę, wplatając kwiaty w miejsce klejnotów. Sukienka jest prosta i lekka, ale dziewczynie wydaje się tak ciężka, jakby wykonano ją z kolczugi.

Chce jej się krzyczeć.

Zamiast tego łapie drewniany pierścionek zawieszony na szyi, tak jakby pomagał utrzymać jej równowagę.

– Będziesz musiała go zdjąć przed ceremonią – instruuje ją matka, a Adeline kiwa głową, lecz zaciska palce na krążku.

Ojciec przychodzi ze stodoły cały w trocinach, pachnący świeżym drewnem. Kaszle, a w jego piersi rozlega się przy tym słaby grzechot, jakby przesypujących się ziaren. Ten kaszel dręczy go od roku, ale mężczyzna nie pozwala o nim rozmawiać.

– Jesteś już gotowa? – zagaja.

Co za głupie pytanie.

Matka mówi o weselnej biesiadzie, tak jakby było już po niej. Adeline patrzy przez okno na słońce zapadające za horyzont i nie słucha słów, ale słyszy ogień w głosie matki, żarliwe potwierdzenie słuszności własnej decyzji. Dostrzega cień ulgi nawet w oczach ojca. Ich córka próbowała wyciąć sobie własną ścieżkę, ale teraz wszystko jest już znów na swoim miejscu, krnąbrna owieczka wróciła do stada i podąża właściwą drogą.

W domu jest za ciepło, powietrze wydaje się ciężkie i nieruchome. Adeline nie może oddychać.

W końcu bije kościelny dzwon: wybrzmiewa niski dźwięk, taki sam jak na pogrzebach, a dziewczyna zmusza się, żeby wstać.

Ojciec dotyka jej ramienia.

Jego twarz jest smutna, lecz uścisk mocny.

– W końcu pokochasz męża – mówi, ale słowa te brzmią bardziej jak życzenie niż obietnica.

– Będziesz dobrą żoną – dodaje matka, jednak słowa te brzmią bardziej jak rozkaz niż życzenie.

A potem w drzwiach pojawia się Estele, w takim stroju, jakby obchodziła żałobę. A właściwie dlaczego by nie? To ta kobieta nauczyła ją marzyć i wierzyć w upartych bogów, wypełniła głowę Adeline myślami o wolności, rozdmuchiwała w niej żar nadziei i pozwoliła jej sądzić, że ma prawo do własnego życia.

Za jej siwą głową rzednie światło dnia. Wciąż jeszcze jest czas, mówi sobie Adeline, ale ubywa go z każdym oddechem.

Czas. Często słyszała, jak porównywano go do piasku w klepsydrze, przesypującego się w stałym tempie. To jednak kłamstwo: czuje, jak czas przyspiesza i miażdży ją swoim ciężarem.

Ogarnia ją panika, a serce bije jej jak bęben. Przed nią rozciąga się ścieżka, pojedyncza ciemna linia, prosta i wąska, prowadząca na rynek miasteczka. Na jej końcu czeka kościół, jasny i nieruchomy niczym płyta nagrobna. Adeline wie, że jeśli tam wejdzie, już z niego nie wyjdzie.

Jej przyszłość upłynie w tym samym tempie, co przeszłość, tylko gorzej: żadnej wolności, zamiast niej małżeńskie łóżko i łoże śmierci, pomiędzy nimi być może dziecięce łóżeczka, a kiedy umrze, to będzie tak, jakby nigdy nie żyła.

Nie będzie Paryża.

Ani zielonookiego kochanka.

Ani podróży statkiem do dalekich krajów.

Ani obcego nieba.

Ani życia poza miasteczkiem.

Ani w ogóle żadnego życia, chyba że…

Adeline wyrywa się z uchwytu ojca i staje na ścieżce.

Matka odwraca się i patrzy na nią tak, jakby córka ruszała do ucieczki: dziewczyna ma na to ochotę, ale wie, że nie może.

– Przygotowałam podarunek dla męża – mówi Adeline, jej umysł pracuje gorączkowo. – Tylko że zostawiłam go w domu.

Matka rozluźnia się, spoglądając na córkę z aprobatą.

Ojciec sztywnieje, patrząc podejrzliwie.

Estele mruży oczy, doskonale wiedząc, co się święci.

– Zaraz go przyniosę – ciągnie Adeline, ruszając z powrotem.

– Pójdę z tobą – mówi ojciec, a jej serce skacze w piersi, dłonie drżą, lecz Estele go zatrzymuje.

– Jean – mówi szelmowskim tonem – Adeline nie może być twoją córką i jego żoną naraz. To dorosła kobieta, a nie dziecko, którego trzeba pilnować.

Ojciec patrzy córce w oczy i mówi:

– Tylko szybko.

Adeline już biegnie.

Ścieżką do domu, przez drzwi, do wnętrza, na drugą stronę, do okna otwartego na pole i w kierunku odległej linii drzew. Las trzyma straż na wschodnim krańcu miasteczka, po przeciwnej stronie niż słońce. Kryją go już cienie, chociaż dziewczyna wie, że wciąż jeszcze jest dość światła i dość czasu.

– Adeline?! – woła ojciec, ale ona nie ogląda się za siebie.

Zamiast tego wyskakuje przez okno: wystający kawałek drewna rozdziera ślubną sukienkę, a ona wypada na zewnątrz i biegnie.

– Adeline? Adeline!

Głosy krzyczą za nią, ale z każdym krokiem słabną. Po chwili jest już po drugiej stronie pola i wbiega do lasu, mijając linię drzew. Grzęźnie po kolana w gęstej letniej ściółce.

Trzyma kurczowo drewniany pierścionek, czując, że musi się z nim rozstać, jeszcze zanim ściągnie rzemyk z szyi. Nie chce go poświęcać, ale zużyła wszystkie dary, oddała ziemi wszystko, co mogła, i żaden z bogów nie odpowiedział. Teraz zostało jej już tylko to, światło dnia gaśnie, miasteczko wzywa ją z powrotem, a ona rozpaczliwie pragnie uciec.

– Proszę – szepcze. Głos jej się łamie na tym słowie, gdy rzuca pierścionek na omszały grunt. – Zrobię wszystko.

Drzewa szumią jej nad głową, a potem zamierają, tak jakby również czekały. Tymczasem Adeline modli się do wszystkich bogów w lasach wokół Villon, do każdego, kto jej wysłucha. Jej życie nie może tak wyglądać. To nie może być wszystko.

– Odpowiedz – błaga, a jej ślubna sukienka nasiąka wilgocią.

Zaciska powieki i wytęża słuch, ale słyszy tylko własny głos na tle wiatru, i imię, odbijające się echem w jej uszach niczym dźwięk pulsu.

„Adeline…”

„Adeline…”

„Adeline…”

Pochyla głowę, opiera ją o ziemię, wbija w nią palce i wrzeszczy:

– Odpowiedz mi!

Cisza wydaje się z niej szydzić.

Adeline mieszkała tu przez całe życie, lecz nigdy nie słyszała, żeby w lesie było tak cicho. Ogarnia ją chłód, ale nie wie, czy nadciągający z lasu, czy z wnętrza jej ciała, z samych kości, które poddają się w ostatniej walce. Oczy wciąż ma mocno zamknięte, i pewnie dlatego nie dostrzega, że słońce nad miasteczkiem za jej plecami ześlizgnęło się już za horyzont, a zmierzch ustępuje miejsca nocy.

Modli się dalej, niczego nie zauważając.

Villon-sur-Sarthe
29 lipca 1714

IX

Kiedy pojawia się dźwięk, brzmi jak niskie dudnienie, głębokie i odległe jak grzmot.

Śmiech, myśli Adeline, otwierając oczy, i w końcu dostrzega, że światło dnia zanikło.

Podnosi wzrok, ale nikogo nie widzi.

– Jest tam kto?

Śmiech zamienia się w głos dobiegający gdzieś zza niej.

– Nie musisz klęczeć – mówi. – Zobaczmy, jak wyglądasz na stojąco.

Zrywa się z ziemi i odwraca, lecz widzi tylko otaczającą ją ciemność, środek nocy po zachodzie letniego słońca. Wówczas Adeline orientuje się, że popełniła błąd. To jeden z tych bogów, przed którymi ją ostrzegano.

– Adeline? Adeline?! – nawołują głosy z miasteczka, słabe i odległe jak wiatr.

Mruży oczy, by przejrzeć cienie pomiędzy drzewami, lecz nie kryje się tam żaden kształt, żaden bóg – słychać tylko głos, bliski niczym oddech na policzku.

– Adeline, Adeline – mówi kpiąco – wołają cię!

Znów się odwraca, lecz wokół niej zalegają tylko głębokie cienie.

– Pokaż się! – żąda głosem ostrym i kruchym niczym szkło. Coś muska jej ramię, ociera się o dłoń, owija wokół niej jak kochanek. Dziewczyna przełyka ślinę. – Czym jesteś?

Cień się cofa.

– Czym jestem? – pyta jedwabistym głosem, z lekkim rozbawieniem. – To zależy, w co wierzysz.

Głos rozdziela się na dwa, grzechocze pomiędzy gałęziami i wije się po mchu, nakładając się na siebie, aż dobiega zewsząd.

– A więc powiedz mi... powiedz mi... powiedz... – odzywa się echem. – Czy jestem diabłem… diabłem… czy cieniem… cieniem… cieniem? Czy może potworem… potworem… czy też bogiem… bogiem… bogiem… a może…

Cień zaczyna się zlewać w jedno, kłęby ciemności nadciągają ze wszystkich stron lasu niczym burzowe chmury. Kiedy jednak zbierają się w jednym miejscu, ich krawędzie nie są już mglistymi smugami, lecz wyraźnymi liniami, układającym się w kształt mężczyzny, widoczny w odległym świetle latarni z miasteczka za jego plecami.

– Czy może jestem tym?

Głos dobiega teraz z idealnych ust. Cień otwiera szmaragdowe oczy pod czarnymi brwiami, czarne loki tańczą nad czołem i twarzą, którą Adeline zna aż za dobrze. Tą, którą wyczarowywała tysiąc razy z grafitu, węgla i marzeń.

To nieznajomy.

Jej własny nieznajomy.

Adeline wie, że to sztuczka, cień przebrany za mężczyznę, ale jego widok i tak zapiera jej dech w piersiach. Ciemność spogląda po sobie, po raz pierwszy widząc się w tej formie, i najwyraźniej jest zadowolona.

– Aha, więc ta dziewczynka mimo wszystko w coś wierzy – mruczy, podnosząc wzrok. – No dobrze, wezwałaś mnie, oto jestem.

„Nigdy nie módl się do tych, którzy odpowiadają po zapadnięciu zmroku”.

Adeline wie o tym – o, jak dobrze o tym wie – ale tylko on odpowiedział na jej modły. Tylko on był skłonny pomóc.

– Jesteś gotowa zapłacić?

Zapłacić.

Cena.

Pierścionek.

Adeline pada na kolana i przetrząsa ściółkę wokoło, aż znajduje rzemyk i wyciąga pierścionek ojca.

Wyciąga go ku bóstwu: jasne drewno jest ubrudzone ziemią, a ono podchodzi. Może wygląda jak istota z krwi i kości, ale porusza się jak cień.

Jeden krok i jest już koło niej, przesłaniając wszystko. Chwyta pierścień jedną dłonią, drugą kładzie na policzku Adeline. Jego kciuk głaszcze piega pod jej okiem, na krawędzi konstelacji.

– Moja droga – mówi ciemność, biorąc pierścionek. – Nie robię w błyskotkach.

Drewniany krążek kruszy się w jego dłoni i rozlatuje w pył, drobny jak dym. Z ust dziewczyny dobiega zdławiony dźwięk: sama utrata przedmiotu była dość bolesna, ale gdy zobaczyła, jak ulatuje z tego świata niczym brudna smuga, zabolało jeszcze bardziej. Jeśli jednak nie pierścień, to co?

– Proszę – mówi Adeline. – Oddam, cokolwiek zechcesz.

Druga dłoń cienia wciąż spoczywa na jej policzku.

– Zakładasz, że zechcę czegokolwiek – odpowiada, unosząc jej podbródek. – A ja przyjmuję zapłatę w tylko jednej monecie – wyjaśnia, przysuwając się jeszcze bliżej. Jego zielone oczy są niemożliwie jasne, a głos miękki niczym atłas. – Mogę wiele zdziałać, ale wyłącznie w zamian za ludzką duszę.

Serce Adeline skacze w piersi.

Przypomina jej się matka klęcząca w kościele, mówiąca o Bogu i Niebie. Słyszy ojca opowiadającego historie o życzeniach i zagadkach. Myśli o Estele, która wierzy tylko w drzewo ponad jej kośćmi… która powiedziałaby, że dusza to nic więcej jak ziarno zwracane do ziemi… Chociaż to przecież ona ostrzegała ją przed ciemnością.

– Adeline – odzywa się ciemność, a imię dziewczyny prześlizguje się pomiędzy jej zębami jak mech. – Jestem tutaj. Powiedz mi, po co.

Czekała tak długo, aż ktoś do niej przyjdzie, udzieli odpowiedzi i zada pytania, że z początku trudno jej znaleźć właściwe słowa.

– Nie chcę wychodzić za mąż.

Kiedy to mówi, czuje się taka mała. Całe życie wydaje jej się nieistotne, a bóg patrzy na nią krytycznie, tak jakby oceniał ją podobnie, jakby pytał: „Czy to już wszystko?”.

Nie, to jeszcze nie wszystko. Oczywiście jest więcej.

– Nie chcę należeć do nikogo – mówi Adeline z nagłą pasją. Usta stają się szeroko otwartymi drzwiami, przez które wylewają się z niej słowa, cała reszta życzeń: – Nie chcę należeć do nikogo innego, tylko do samej

siebie. Chcę być wolna. Żyć, tak jak chcę, znaleźć własną drogę, kochać albo być sama, ale tylko z własnego wyboru. Jestem zmęczona brakiem wyboru, przerażona latami, które przeciekają mi przez palce. Nie chcę umrzeć tak, jak żyłam, bo to żadne życie. Nie chcę…

Cień przerywa jej niecierpliwie:

– I czemu ma służyć opowiadanie mi, czego nie chcesz? – Jego dłoń przeczesuje jej włosy i spoczywa na karku, by przyciągnąć ją jeszcze bliżej. – Powiedz mi, czego pragniesz najbardziej.

Adeline podnosi wzrok.

– Chcę mieć szansę na prawdziwe życie. Chcę być wolna – mówi, myśląc o latach, które traci. Mrugnięcie i znika pół życia. – Chcę więcej czasu.

Mierzy ją wzrokiem, a jego zielone oczy zmieniają odcień, błyszcząc raz jak wiosenna trawa, raz jak letnie liście.

– Ile?

Dziewczyna myśli. Pięćdziesiąt lat? Sto? Każda liczba wydaje się zbyt mała.

– Ach – mówi ciemność, trafnie odczytując jej milczenie. – A więc nie wiesz – konkluduje, a zielone oczy ciemnieją. – Prosisz o czas bez ograniczeń. Chcesz wolności bez zasad. Pragniesz żyć bez skrępowania, dokładnie tak, jak ci się podoba.

– Tak – odpowiada Adeline, zachłystując się z ekscytacji. Tymczasem cień się krzywi, jego dłoń opada i nagle już go nie ma przy niej. Opiera się o drzewo kilka kroków dalej.

– Odmawiam.

Adeline cofa się jak rażona piorunem.

– Co? – pyta. Zaszła tak daleko, oddała wszystko, co miała, i dokonała wyboru. Nie może wrócić do tamtego życia, do przeszłości i teraźniejszości bez przyszłości. – Nie możesz odmówić!

Ciemna brew się unosi, lecz na twarzy mężczyzny nie ma śladu uśmiechu.

– Nie jestem jakimś dżinnem, zobowiązanym ci służyć na każde skinienie. – Odsuwa się od drzewa. – Ani też pomniejszym leśnym duszkiem spełniającym życzenia za świecidełka śmiertelników. Jestem silniejszy niż twój bóg i starszy niż twój diabeł. Jestem ciemnością

pomiędzy gwiazdami i korzeniami rosnącymi pod ziemią. Jestem obietnicą i możliwością, a jeżeli chodzi o gry, to ja ustalam reguły, ja rozstawiam pionki i ja wybieram, kiedy zacząć. A dzisiaj to ja mówię: nie.

„Adeline? Adeline? Adeline?!”

Światła miasteczka, tuż za lasem, wydają się teraz bliższe. Na polu widać pochodnie. Ludzie już po nią idą.

Cień ogląda się przez ramię. Zapraszam na exsites.pl

– Wracaj do domu, Adeline. Z powrotem do swojego skromnego życia.

– Dlaczego? – błaga, łapiąc go za ramię. – Dlaczego mi odmawiasz?

Ociera dłonią jej policzek, a gest ten jest miękki i ciepły niczym dym z kominka.

– Nie prowadzę instytucji dobroczynnej. Prosisz o zbyt wiele. Ile lat minie, póki się nie nasycisz? Ile, zanim dostanę swoją dolę? Zawieram umowy na czas ograniczony, a twoja prośba jest bezterminowa.

Adeline będzie wspominać tę chwilę tysiące razy.

Z frustracją, z żalem, smutkiem, rozczulając się nad sobą i potwornie się wściekając.

W końcu dotrze do niej, że rzuciła na siebie klątwę, jeszcze zanim zrobił to cień.

Jednak tu i teraz widzi tylko migoczące pochodnie ludzi z Villon i zielone oczy nieznajomego, o którym kiedyś marzyła. Czuje, że życzenie wyślizguje jej się z rąk.

– Chcesz zakończenia? – pyta. – W takim razie odbierz mi życie, kiedy będę go miała dość. Możesz sobie wziąć moją duszę, kiedy nie będę jej już chciała.

Cień przechyla głowę, raptownie zaintrygowany.

Jego usta wyginają się w uśmiechu, dokładnie takim jak na jej rysunkach, podejrzliwym i tajemniczym… a potem przyciąga ją do siebie niczym kochanek. Jego skóra jest niczym dym, kości – jak z powietrza, a kiedy przyciska usta do jej ust, Adeline czuje, jak zmieniają się pory roku, a zmierzch staje się nocą. Potem jednak cień całuje ją jeszcze mocniej, gryząc w dolną wargę, a cierpienie miesza się z rozkoszą. Dziewczyna czuje miedziany smak krwi na języku.

– Umowa stoi – szepcze bóg tuż przy jej twarzy.

A potem cały świat czernieje, a ona osuwa się w nicość.

Villon-sur-Sarthe
29 lipca 1714

X

Adeline drży.

Patrzy i widzi, że siedzi na stosie mokrych liści.

Sekundę temu spadała, tylko przez chwilę, tyle, ile trzeba, by zaczerpnąć oddechu, ale czas, jak się wydaje, przeskoczył naprzód. Nieznajomy odszedł, a razem z nim resztki światła. Letnie niebo pomiędzy koronami drzew wygląda jak płachta czarnego atłasu, na której nisko wisi księżyc.

Adeline wstaje i przygląda się dłoniom, próbuje przeniknąć wzrokiem brud, by dostrzec jakikolwiek ślad przemiany.

Czuje się jednak… tak samo. Może tylko trochę kręci jej się w głowie, tak jakby podniosła się zbyt szybko albo wypiła za dużo wina na pusty żołądek, ale po chwili to uczucie mija, a ona ma wrażenie, jakby świat się lekko przechylił, ugiął, ale potem wrócił do równowagi, w tę samą bruzdę, którą się toczył.

Oblizuje wargi, spodziewając się poczuć smak krwi, lecz znak pozostawiony przez nieznajomego zniknął, podobnie jak on sam.

Skąd ma wiedzieć, czy zaklęcie zadziałało? Prosiła o czas, o życie: czy będzie musiała zaczekać rok, trzy lub pięć, by przekonać się, czy czas ją zmienia? Czy naciąć skórę nożem, by zobaczyć, czy i jak się goi? Ale nie, prosiła przecież o życie, a nie o życie bez uszczerbku, więc, szczerze mówiąc, boi się sprawdzić. A co, jeżeli jej skóra ustąpi pod ostrzem, jeśli obietnica cienia była tylko snem, albo gorzej – kłamstwem?

Wie tylko jedną rzecz: niezależnie od tego, czy umowa była prawdziwa, czy nie, nie musi baczyć na kościelne dzwony, nie poślubi Rogera. Oprze

się woli rodziny, a jeśli będzie musiała, opuści Villon. Wie, że zrobi wszystko, czego trzeba, ponieważ uciekła w ciemność i od tej chwili jej życie tak czy inaczej będzie należało tylko do niej.

Kiedy Adeline wychodzi z lasu, uznaje tę myśl za ekscytującą. Straszną, ale ekscytującą.

Dopiero w połowie drogi przez pole zdaje sobie sprawę, jaka cisza panuje w miasteczku.

I jak tam ciemno.

Odświętne lampiony wygaszono, dzwony przestały bić, nikt jej nie woła.

Adeline zmierza w kierunku domu, a tępy strach z każdym krokiem zyskuje na ostrości i staje się coraz bardziej przenikliwy. Kiedy w końcu tam dociera, jej umysł aż pulsuje niepokojem. Frontowe drzwi stoją otworem, z wnętrza domu wylewa się na ścieżkę plama światła. Dziewczyna słyszy, jak matka nuci w kuchni, a ojciec rąbie drzewo z boku budynku. Normalny wieczór, ale coś tu jest nie tak: to nie miał być normalny wieczór.

– Maman! – woła Adeline, wchodząc do domu.

Talerz upada na podłogę, a matka wydaje okrzyk; nie bólu, lecz zaskoczenia.

– Co ty tu robisz? – pyta z gniewem. Tego właśnie oczekiwała Addie, takiego gniewu.

– Przepraszam – zaczyna wyjaśniać. – Wiem, że jesteś pewnie wściekła, ale nie mogłam…

– Kim jesteś?!

Te słowa zostają wysyczane, a dziewczyna zdaje sobie wówczas sprawę, że straszna mina matki nie oznacza gniewu zlekceważonej kobiety, ale przerażenie.

– Maman…

Matka krzywi się na sam dźwięk tego słowa.

– Wynoś się z mojego domu!

Adeline przebiega przez pomieszczenie i łapie ją za ramiona.

– Nie opowiadaj głupstw. To ja, A…

Próbuje powiedzieć „Adeline”.

I na próbie się kończy. Trzy sylaby to żadne wyzwanie, ale po pierwszej z nich traci oddech i nie jest w stanie wymówić dalszego ciągu. Powietrze w jej gardle staje się ciężkie jak kamień i dziewczyna bezradnie milczy. Próbuje znów, tym razem krótszej wersji, „Addie", a następnie chociaż nazwiska „LaRue", ale nic to nie daje. Słowa pomiędzy jej umysłem a językiem napotykają niewidzialną barierę. Mimo to, gdy nabiera do płuc powietrza, by wypowiedzieć inne słowo, każde inne słowo, wszystko odbywa się tak, jak powinno: płuca pracują, gardło się rozluźnia.

– Przestań – błaga matkę.

– A cóż to? – pyta niski, głęboki głos. Ten sam, który koił myśli Adeline, kiedy chorowała, który opowiadał jej baśnie, gdy siedziała na podłodze jego warsztatu.

Ojciec stoi w drzwiach z ramionami pełnymi drewna.

– Papa – wita go Adeline, a on się cofa, jakby słowa go raniły.

– Ta kobieta jest szalona! – zawodzi matka. – Albo przeklęta!

– Jestem waszą córką… – próbuje znów dziewczyna.

Ojciec krzywi się gwałtownie.

– Nie mamy dzieci.

Te słowa są jak tępy nóż, lecz ranią dużo głębiej.

– Nie – mówi Adeline, kręcąc głową z niedowierzaniem. Co za absurd. Ma dwadzieścia i trzy lata. Spędziła je pod tym dachem. – Przecież mnie znacie!

Jak mogliby nie znać? Podobieństwo było zawsze uderzające: oczy ojca, podbródek matki: brwi jednego z rodziców i usta drugiego. Każdy kawałek jest wierną kopią oryginału.

Widzą to przecież. Muszą widzieć.

Dla nich to jednak tylko diabelska sztuczka.

Matka żegna się znakiem krzyża, a ojciec chwyta Adeline, która już, już chce zatonąć w jego objęciach, lecz w jego uścisku nie ma ciepła, kiedy wlecze ją ku drzwiom.

– Nie… – błaga dziewczyna.

Matka teraz płacze, z jedną dłonią przy ustach, a drugą – na drewnianym krzyżyku na szyi. Nazywa własną córkę demonem, potworem, szaloną osobą. Ojciec nie mówi nic, tylko zaciska mocniej dłoń na jej ramieniu, wyciągając ją z domu.

– Odejdź – mówi, na wpół błagalnie.

Na jego twarzy widać smutek, ale nie ten, który wynika z wiedzy. Nie, to smutek zarezerwowany dla zagubionych, dla drzewa rozdartego przez piorun, dla okulawionego konia, dla rzeźby rozszczepionej na jedno pociągnięcie noża przed końcem.

– Proszę – żebrze Adeline. – Papa...

Jego twarz tężeje, a on wypycha ją w ciemność i zatrzaskuje drzwi. Słychać szczęk zasuwanego rygla. Adeline zatacza się, drżąc ze zdumienia i przerażenia. A potem odwraca się i ucieka.

– Estele... – Addie wymawia to imię jak modlitwę, najpierw pod nosem, po cichu, a potem głośno, wykrzykując je, kiedy zbliża się do domu staruszki. – Estele!

Wewnątrz błyska płomień lampki, a kiedy dziewczyna dociera na skraj rzucanej przez nią plamy światła, starsza kobieta stoi na progu, czekając na gościa, który ją wołał.

– Jesteś nieznajomą czy duchem? – pyta ostrożnie.

– Ani jednym, ani drugim – odpowiada Adeline, chociaż wie, jak wygląda: obszarpana sukienka, potargana fryzura i potok słów, które brzmią jak zaklęcia. – Jestem człowiekiem z krwi i kości. Znam cię od urodzenia. Sporządzasz talizmany w kształcie dzieci, żeby prawdziwe dzieciaki przeżyły zimę bez szwanku. Uważasz, że brzoskwinia to najsłodszy owoc, a ściany kościoła są za grube, by modlitwy się przez nie przedostały. Chcesz być pochowana nie pod kamieniem, ale w cieniu wielkiego drzewa.

Coś przemyka przez twarz staruszki, a Adeline wstrzymuje oddech w nadziei, że zostanie rozpoznana, lecz nic z tego.

– Chytry z ciebie duch – mówi Estele – ale nie przekroczysz tego progu.

– Nie jestem duchem! – wrzeszczy Adeline, ukazując się w pełnym świetle. – Uczyłaś mnie o starych bogach i o tym, jak ich wezwać, ale popełniłam błąd. Nie odpowiadali, a słońce zachodziło tak szybko! – Zaciska ramiona wokół żeber, trzęsąc się cały czas. – Pomodliłam się zbyt późno, coś odpowiedziało, a teraz wszystko jest nie tak!

– Głupia dziewczyna – szydzi Estele i nareszcie brzmi jak dawna znajoma Adeline. Tak jakby faktycznie ją poznawała.

– Co mam teraz zrobić? Jak to naprawić?

Staruszka tylko kręci głową.

– Ciemność rozgrywa własną grę, według swoich reguł – mówi. – A ty przegrałaś. – Z tymi słowami wycofuje się do wnętrza domu.

– Czekaj! – krzyczy Adeline, kiedy tamta zamyka drzwi.

Rygiel wędruje na swoje miejsce.

Dziewczyna całym ciałem uderza w deski, łkając, aż nogi odmawiają jej posłuszeństwa. W końcu klęka na zimnym kamiennym progu i wali pięścią w drzwi.

A wówczas rygiel nagle się odsuwa.

Drzwi się otwierają i Estele staje nad nią.

– Co to ma znaczyć? – pyta, mierząc wzrokiem dziewczynę skuloną na jej schodach.

Staruszka wygląda, jakby nigdy się nie spotkały. Tak jakby ostatnie wspomnienia sprzed zamknięcia drzwi zostały po chwili wymazane.

Spojrzenie kobiety przesuwa się po poplamionej weselnej sukni, potarganych włosach, ziemi pod paznokciami, ale nie wydaje się, żeby Estele poznawała dziewczynę, na jej pomarszczonej twarzy maluje się raczej ostrożna ciekawość.

– Jesteś duchem? Czy nieznajomym człowiekiem?

Adeline zaciska powieki. Co się tu dzieje? Imię wciąż staje jej kością w gardle, ale kiedy była duchem, została przegnana, więc przełyka z trudnością ślinę i odpowiada:

– Nieznajomą! – Po jej twarzy zaczynają płynąć łzy i zdobywa się na jeszcze jeden wysiłek: – Proszę… Nie mam dokąd pójść – błaga.

Starsza kobieta patrzy na nią przez dłuższą chwilę, a potem kiwa głową.

– Zaczekaj tu – mówi i wraca do domu. Adeline nigdy się nie dowie, co tamta miała zamiar zrobić, ponieważ drzwi się zamykają i pozostają zamknięte, a dziewczyna zostaje na klęczkach przed progiem, dygocząc ze zdenerwowania bardziej niż z zimna.

Nie wie, jak długo tam klęczy, ale kiedy zmusza się do wstania, nogi ma zesztywniałe. Podnosi się jednak i przechodzi obok domu Estele ku linii drzew, pomiędzy pierwszymi drzewami stojącymi na straży i dalej, w ciemną gęstwinę.

– Pokaż się! – krzyczy.

Słychać jednak tylko łopot skrzydeł, szelest liści, szmer lasu, któremu ktoś przerywa sen. Adeline wyobraża sobie jego twarz, zielone oczy, czarne loki, próbuje zmusić ciemność, by znów przybrała kształt, jednak upływają kolejne chwile, a ona nadal jest sama.

„Nie chcę należeć do nikogo”.

Wchodzi głębiej w las. Ta część jest dzika, stopy więzną jej w plątaninie jeżynowych krzaków, drapiących jej gołe nogi. Mimo to Adeline nie zatrzymuje się, dopóki drzewa nie zamkną się wokół niej, a ich gałęzie nie zasłonią jej księżyca.

– Wzywam cię! – wrzeszczy.

„Nie jestem jakimś dżinnem, zobowiązanym ci służyć na każde skinienie”.

Niska gałąź, na wpół zagrzebana w ściółce, rośnie dość wysoko, by złapać jej stopy. Dziewczyna pada, uderza boleśnie kolanami o szorstką ziemię i szarpie zarośniętą glebę.

„Proszę. Oddam, cokolwiek zechcesz”.

Wówczas pojawiają się łzy, nagłe i gorzkie. Głupia, głupia, głupia! Uderza pięściami o ziemię.

To złośliwa sztuczka, myśli Adeline, potworny sen, który zaraz się skończy.

Taka jest natura snów. Nie trwają wiecznie.

– Obudź się – szepcze w ciemność.

„Obudź się”.

Zwija się w kłębek na ściółce, zamyka oczy i widzi pobrużdżone łzami policzki matki, bezsilny smutek ojca oraz zmęczone spojrzenie Estele. Widzi również, jak mężczyzna z ciemności się uśmiecha. Słyszy jego głos, kiedy szepcze decydujące słowa.

„Umowa stoi”.

Nowy Jork
10 marca 2014

XI

W trawie obok niej ląduje frisbee.

Addie słyszy głośny tupot i otwiera oczy w samą porę, żeby zobaczyć wielki czarny nos zbliżający się do jej twarzy. Po chwili pies obsypuje ją mokrymi pocałunkami, a ona wybucha śmiechem i siada, głaszcze jego gęste futro i łapie go za obrożę, zanim dobierze się do jej papierowej torby z drugą muffinką.

– Nic się nie stało! – mówi w kierunku kogoś, kto głośno ją przeprasza.

Odrzuca frisbee w tamtym kierunku, a pies odbiega za zabawką. Addie nagle drży, od gwałtownego przebudzenia i z zimna.

Na tym polega kłopot z marcową pogodą. Ciepło nie trwa długo, pojawia się raczej chwilami, kiedy marzec ogłasza wiosnę, dość, by odtajać, jeśli siedzi się na słońcu, ale potem znów robi się zimno. Słońce się przesuwa, nadchodzi cień. Addie znowu drży, podnosi się z trawy i otrzepuje legginsy.

Powinna była ukraść cieplejsze spodnie.

Wpycha papierową torbę do kieszeni, wkłada książkę Freda pod pachę i wychodzi z parku. Zmierza przez Union Street na wschód, ku nadbrzeżnej części miasta.

W połowie drogi zatrzymuje się na dźwięk skrzypiec. Nuty toczą się niczym dojrzałe owoce.

Na chodniku siedzi na stołku kobieta z instrumentem pod brodą. Melodia jest powolna i słodka: te dźwięki przypominają Addie Marsylię, Budapeszt i Dublin.

Garstka ludzi przystaje w pobliżu, żeby posłuchać, a gdy utwór dobiega końca, rozlegają się niegłośne brawa, po czym słuchacze ruszają w swoją stronę. Addie wygrzebuje ostatnie drobne z kieszeni, wrzuca je do otwartego futerału, a potem idzie dalej, lżejsza i pełna nowych doznań.

Kiedy dociera do multipleksu na Cobble Hill, sprawdza godziny seansów na ekranie, a potem popycha drzwi i przyspiesza kroku w drodze przez zatłoczone lobby.

– Hej! – mówi, przywołując nastolatka z miotłą. – Chyba zostawiłam torebkę w sali numer trzy.

Łatwo jest kłamać, kiedy dobiera się właściwe słowa.

Chłopak pokazuje jej gestem, żeby przeszła, nawet nie podnosząc wzroku. Addie przemyka pod pluszową liną, przy której stoi bileter, i dalej, do zaciemnionego hallu, z każdym krokiem zwalniając. Za drzwiami sali, na której wyświetlany jest film akcji, rozlega się ściszony grom. Zza innych słychać wysokie i niskie głosy z akompaniamentem muzyki – to komedia romantyczna. Dziewczyna idzie spokojnie korytarzem, oglądając plakaty z adnotacjami „Wkrótce w kinach” i informacyjne paski prezentujące filmy grane w poszczególnych salach. Widziała je już dziesiątki razy, ale i tak to robi.

W numerze piątym właśnie kończy się seans, drzwi otwierają się jak szeroko, strumień ludzi wypływa na korytarz. Addie przeciska się pod prąd do pustoszejącej sali i znajduje w drugim rzędzie wywrócony kubełek popcornu. Białe kłębuszki i złote ziarna zaścielają lepką podłogę. Podnosi go i maszeruje z powrotem do lobby, do baru, czeka w kolejce za trzema dziewczynkami i podchodzi do lady.

Przeczesuje dłonią włosy, mierzwiąc je lekko, i oddycha głęboko.

– Przepraszam, ale jakiś dzieciak kopnął mój popcorn – mówi. Kręci głową, a chłopak za ladą powtarza ten gest irytacji. – Czy mógłbyś skasować mnie tylko za dosypkę, a nie za nowy…? – milknie, sięgając do kieszeni, tak jakby chciała wyciągnąć portfel, lecz chłopak już bierze od niej kubełek.

– Nie przejmuj się – mówi, rozglądając się. – Załatwię to.

Addie rzuca mu promienny uśmiech.

– Jesteś wielki! – odpowiada, patrząc mu prosto w oczy, a on rumieni się gwałtownie i duka, że to przecież nie problem, wcale nie problem,

nawet jeśli wzrokiem szuka kierownika. Wyrzuca resztkę popcornu do śmieci i napełnia kartonowy pojemnik świeżą porcją, po czym przekazuje go jak tajemnicę wojskową tuż nad ladą.

– Miłego seansu.

Ze wszystkich wynalazków, których wdrożenie Addie obserwowała – kolei parowej, światła elektrycznego, fotografii, telefonów, samolotów czy komputerów – jej ulubionym jest kino.

Książki są cudowne, niewielkie, przenośne i trwałe, ale kiedy siedzi w ciemności w sali z szerokim ekranem wypełniającym jej pole widzenia, cały świat znika i Addie na kilka godzin staje się kimś innym: bohaterką romansu, kryminału, komedii lub filmu przygodowego, a wszystko to w rozdzielczości 4K i z wielokanałowym dźwiękiem.

Kiedy na ekranie pojawiają się napisy końcowe, jej serce powoli wypełnia ciężar. Przez pewien czas czuła się nieważka, lecz teraz wraca do siebie, opadając, aż jej stopy znów lądują na ziemi.

Gdy Addie wychodzi z kina, jest już prawie szósta i słońce zaczyna zachodzić.

Wraca krętą drogą przez ulice obramowane drzewami, park i targ, teraz zamknięty, ku zardzewiałemu zielonemu stolikowi po drugiej stronie. Fred wciąż siedzi na swoim krześle, czytając M is for Malice.

Wzór grzbietów na stole nieco się zmienił: tutaj puste miejsce po sprzedanej książce, a tam nowa, dodana do kolekcji. Światło dzienne jest coraz słabsze, toteż staruszek wkrótce będzie musiał spakować książki w pudła i zanosić je po jednym na górę, do swojego mieszkanka. Addie wiele razy oferowała pomoc, ale Fred woli robić to samodzielnie. Kolejne echo Estele. Uparty jak osioł.

Addie kuca teraz przy stoliku i wstaje z pożyczoną książką w dłoni, tak jakby tomik po prostu spadł z blatu na chodnik. Stawia go ostrożnie z powrotem, starając się nie potrącić innych książek. Fred musi właśnie czytać jakiś wyjątkowo dobry fragment powieści, bo wydaje tylko pomruk, nie podnosząc wzroku, nie zwracając uwagi na nią, na książkę ani na papierową torbę, którą Adeline stawia na wierzchu, zawierającą muffinkę z kawałkami czekolady.

Fred lubi właśnie takie.

Zwierzył się Addie pewnego ranka, że Candace zawsze wytykała mu słabość do słodyczy, mówiła, że to go zabije, ale ponieważ życie to dziwka z wypaczonym poczuciem humoru, to ona odeszła pierwsza, a on wciąż je takie gówna (to jego słowa, nie jej).

Temperatura spada, więc Addie wpycha dłonie do kieszeni i życzy Fredowi dobrej nocy, a potem odchodzi ulicą, plecami do nisko wiszącego słońca, z długim cieniem przed sobą.

Jest już ciemno, kiedy Addie dociera do Alloway, jednego z miejsc, które cieszą się sławą meliny, chociaż tę reputację psuje nieco fakt, że bar stał się popularny wśród celebrytów pragnących poczuć powiew prawdziwego Brooklynu. Kilku ludzi stoi przed wejściem, paląc, plotkując, czekając na przyjaciół, a Addie na chwilę przystaje przy nich. Sępi papierosa, tylko po to, żeby coś zrobić, opiera się pokusie podejścia do drzwi tak długo, jak się da, walcząc z poczuciem déjà vu.

Zna tę drogę.

Wie, dokąd prowadzi.

Inspiracją przy projektowaniu wnętrza Alloway musiał być kształt butelki whisky: wąska szyjka to wejście, a ciemny drewniany bar rozszerza się w kierunku sali pełnej stolików i krzeseł. Addie zajmuje miejsce przy kontuarze. Mężczyzna po lewej stawia jej drinka, a ona mu na to pozwala.

– Niech zgadnę – mówi facet. – Różowe?

Addie zastanawia się, czy nie zamówić whisky, tylko po to, żeby zobaczyć jego zaskoczoną minę, ale nigdy jej nie lubiła. Zawsze wolała słodkie trunki.

– Szampana.

Gość po lewej zamawia go, a potem gadają o niczym, aż ktoś do niego dzwoni, więc odchodzi na stronę, obiecując, że zaraz wróci. Addie wie, że nie wróci, i jest mu za to wdzięczna, gdy sączy szampana i czeka, aż Toby pojawi się na scenie.

Chłopak wchodzi, siada na stołku z jednym kolanem w górze, by oprzeć na nim gitarę, i uśmiecha się do widowni nieśmiało, niemal przepraszająco. Nie umie się jeszcze odpowiednio zaprezentować, ale Addie jest przekonana, że się nauczy. Zanim zacznie grać, spogląda na tłumek widzów, a dziewczyna zamyka oczy i pozwala, by muzyka otoczyła

ją ze wszystkich stron. Toby gra kilka coverów, następnie jedną folkową piosenkę, a potem – to.

Podczas gdy pierwsze akordy płyną przez Alloway, Addie wraca myślą do jego mieszkania. Siedzi przy pianinie, układa nuty, a on tam jest, tuż przy niej, z dłonią na jej palcach.

Teraz docierają do niej również słowa owinięte wokół melodii, która staje się jego własną piosenką. Tak jak drzewo zapuszczające korzenie. Chłopak to zapamięta: nie ją, oczywiście, nie Addie, ale właśnie ich piosenkę.

Melodia dobiega końca, po czym wybuchają brawa. Toby zbliża się ukradkiem do baru, zamawia jacka danielsa z colą, ponieważ właściciele serwują mu go za darmo, i gdzieś pomiędzy pierwszym a trzecim łykiem uśmiecha się do Addie. Dziewczyna przez chwilę sądzi, a nawet ma nadzieję, że Toby coś pamięta, ponieważ patrzy na nią, tak, jakby ją znał, ale w rzeczywistości po prostu bardzo by tego chciał. W przytłumionym świetle pociągająca osoba może wydawać się znajoma.

– Przepraszam – mówi chłopak, przechylając głowę jak za każdym razem, kiedy jest zakłopotany. Tak właśnie zrobił dzisiaj rano, gdy znalazł ją w swoim salonie.

Ktoś ociera się o ramię Addie, przeciskając się do wyjścia. Dziewczyna mruga i scena z wnętrza znika.

To była tylko jej wyobraźnia. Nie weszła. Wciąż stoi na ulicy, a papieros wypalił się w jej palcach do cna.

Mężczyzna przytrzymuje jej drzwi.

– Wchodzisz?

Addie kręci głową i zmusza się, by zrobić krok w tył, z dala od drzwi, baru i chłopaka, który powinien właśnie wchodzić na scenę.

– Dzisiaj nie – odpowiada.

Ten wzlot nie jest wart upadku.

Nowy Jork
10 marca 2014

XII

Addie idzie przez most Brookliński, a wokół niej zapada noc.

Ciepło obiecujące wiosnę wycofało się jak fala odpływu, a na jego miejsce nasunął się znów wilgotny zimowy chłód. Dziewczyna owija się mocniej kurtką. Gdy zaczyna długi spacer wzdłuż Manhattanu, z jej ust ulatują kłęby pary.

Łatwiej byłoby pojechać metrem, lecz Addie woli nie zanurzać się pod ziemię, gdzie powietrze jest gęste i cuchnie stęchlizną, a tunele przypominają grobowce. Komuś, kto nie może umrzeć, poczucie uwięzienia, zakopania żywcem wydaje się przerażające. Poza tym dziewczyna nie ma dzisiaj nic przeciwko temu, żeby się przespacerować. Zna swoje możliwości i potrafi docenić uczucie zmęczenia, którego kiedyś się bała.

Mimo to jest już późno: kiedy dociera do Baxtera na Pięćdziesiątej Szóstej Ulicy, jej policzki są odrętwiałe, a nogi – strudzone.

Mężczyzna w eleganckim szarym płaszczu przytrzymuje drzwi, a Addie czuje na skórze przyjemne mrowienie, gdy wchodzi do dobrze ogrzanego, marmurowego lobby Baxtera. Marzy o gorącym prysznicu i miękkim łóżku, więc zmierza ku otwartej windzie, wtedy jednak mężczyzna w recepcji zrywa się zza kontuaru.

– Dobry wieczór – wita ją. – W czym mogę pomóc?

– Przyszłam do Jamesa – oznajmia Addie, nie zwalniając kroku. – Dwudzieste trzecie piętro.

Tamten marszczy czoło.

– Nie ma go.

– To jeszcze lepiej – odpowiada dziewczyna, wchodząc do windy.

– Proszę pani! – woła, ruszając za nią. – Nie może pani tak po prostu… – Jego głos milknie, kiedy drzwi windy zaczynają się zamykać. Wie, że nie zdąży, więc odwraca się do biurka i sięga po słuchawkę, by wezwać ochronę, i to ostatnia rzecz, którą widzi Addie, zanim drzwi zamkną się do końca. Zapewne zdąży unieść słuchawkę do ucha, a może nawet wykręci numer, zanim kompletnie zapomni o dziewczynie. Wówczas spojrzy na telefon i będzie się zastanawiał, o co mu chodziło, a potem będzie wylewnie przepraszać osobę po drugiej stronie i z powrotem zapadnie w fotel.

Apartament należy do Jamesa St. Claira.

Poznali się w kawiarni w centrum kilka miesięcy wcześniej. Wszystkie miejsca były już zajęte, kiedy tam wszedł, z blond kosmykami wymykającymi się spod zimowej czapki i zaparowanymi okularami. Tamtego dnia Addie była Rebeką, a James, zanim się przedstawił, zapytał, czy może usiąść przy jej stoliku, zobaczył, że czyta Chéri Colette i zdobył się na kilka słów w łamanej, wstydliwej francuszczyźnie. Usiadł i wkrótce przyjazne uśmiechy przeszły płynnie w równie przyjazną rozmowę. To zabawne, jak niektórym ludziom przełamanie pierwszych lodów zabiera całe wieki, podczas gdy inni po prostu czują się wszędzie jak w domu.

James był właśnie taką osobą, którą można było natychmiast polubić.

Kiedy zapytał Addie, czym się zajmuje, powiedziała, że jest poetką (łatwe kłamstwo, nikt nigdy nie zapytał o dowód), a on wyznał, że akurat skończył jedną pracę i jeszcze nie zaczął drugiej. Sączyła kawę tak długo, jak się dało, lecz w końcu jej filiżanka była pusta, i jego też, a nowi klienci krążyli w poszukiwaniu wolnych miejsc niczym myszołowy, ale kiedy zaczął wstawać, poczuła dobrze znany smutek. Wtedy James zapytał, czy lubi lody, a mimo że był styczeń, a chodniki śliskie od lodu i soli, powiedziała, że tak, i tym razem wstali jednocześnie.

Teraz Addie wpisuje sześć cyfr na klawiaturze przy jego drzwiach i wchodzi.

Światła zapalają się, wydobywając z ciemności podłogi z jasnego drewna i czyste marmurowe kontuary, grube zasłony i meble, które wciąż

jeszcze wyglądają na nieużywane. Wysoki fotel. Kremowa kanapa. Stół zastawiony porządnie ułożonymi książkami.

Odpina buty, zdejmuje je tuż za drzwiami i człapie na bosaka po apartamencie. Rzuca kurtkę na oparcie fotela. W kuchni nalewa sobie kieliszek merlota, znajduje kawałek gruyère'a w szufladzie lodówki i pudełko delikatesowych krakersów w szafce, po czym niesie je na zaimprowizowany piknik w salonie. Za oknami od podłogi do sufitu rozpościera się miasto.

Addie przegląda płyty, znajduje winylowe wydanie Billie Holiday, zapuszcza je na gramofonie i wycofuje się na kremową kanapę. Siada z podkulonymi kolanami i zaczyna jeść.

Uwielbia to mieszkanie i chętnie sama by takie nabyła. Swoje własne. Z łóżkiem, w którym odciśnięty byłby kształt jej ciała. Z pełną garderobą. Dom, przystrojony pamiątkami życia, jakie wiodła, materialnymi dowodami istnienia. Nie udaje jej się jednak zatrzymać niczego na dłużej.

Nie żeby nie próbowała.

Przez te wszystkie lata zbierała książki, dzieła sztuki, ukrywała piękne stroje w zamkniętych skrzyniach, ale bez względu na to, czego próbowała, zawsze znikały. Jedno po drugim albo wszystkie naraz, skradzione w dziwnych okolicznościach lub po prostu zniszczone przez czas. Miała dom tylko w Nowym Orleanie, lecz nawet on nie należał do niej, tylko do nich obojga, a teraz zresztą już i tak przepadł.

Jedyną rzeczą, która trzymała jej się uparcie, był pierścionek.

Był taki czas w jej życiu, kiedy nie przyszłoby jej nawet do głowy, by się go pozbyć. Czas, kiedy opłakiwała jego stratę. Czas, gdy jej serce pragnęło go zatrzymać, jeszcze wiele dekad później.

Teraz nie może znieść jego widoku. To niepożądany ciężar w jej kieszeni, niechciany przedmiot, przypominający o kolejnej stracie. Za każdym razem, kiedy jej palce muskają drewno, Addie czuje, jak ciemność całuje jej dłoń i podsuwa jej krążek z powrotem.

„Widzisz? Teraz jesteśmy kwita".

Addie dygocze, trzęsąc kieliszkiem, a kropla czerwonego wina przelewa się nad brzegiem i ląduje na kremowej tkaninie kanapy niczym krew. Dziewczyna nie przeklina, nie skacze na równe nogi, by przynieść wodę

gazowaną i ściereczkę. Patrzy tylko, jak plama wsiąka w kanapę i znika. Tak jakby jej tu nigdy nie było.

Tak jakby nie było tu samej Addie.

Wstaje i idzie przygotować sobie kąpiel, odmoczyć miejski brud w aromatyzowanych olejkach, wyszorować się do czysta kosztownym mydłem.

Kiedy wszystko przecieka ci przez palce, uczysz się cenić przyjemne rzeczy.

Addie kładzie się w wannie i wzdycha, wciągając mgłę o zapachu lawendy i mięty.

Poszli tamtego dnia z Jamesem na lody, zjedli je we wnętrzu lodziarni, nachylając się i podkradając sobie nawzajem posypkę. Chłopak położył czapkę na stole, prezentując blond kędziory w pełnej okazałości. Tak, był wyjątkowo atrakcyjny, ale trwało dłuższą chwilę, zanim zauważyła te spojrzenia.

Przywykła do przelotnych zerknięć. Jej rysy są ostre, lecz kobiece, oczy lśnią jasno nad konstelacją piegów na policzkach. Ktoś kiedyś powiedział jej, że jest ponadczasowo piękna, ale tym razem było inaczej. Ludzie odwracali głowy i patrzyli na nich przeciągle. A kiedy zaczęła się zastanawiać na głos, co jest grane, spojrzał na nią z radosnym zdumieniem i wyznał, że jest aktorem grającym w popularnym serialu. Zarumienił się przy tym, odwrócił wzrok, a potem znów na nią popatrzył, tak jakby przygotowywał się na jakąś gruntowną zmianę jej nastawienia. Addie nigdy jednak nie widziała go w tej roli, a nawet gdyby, to czyjaś sława nie mogła zbić jej z tropu. Żyła zbyt długo, by tak się stało, i znała zbyt wielu artystów. Mimo to – a może właśnie z tego powodu – Addie wolała takich, którzy nie uważali się za skończonych; takich, którzy wciąż pracowali nad swoim ostatecznym kształtem.

Dlatego James i Addie gadali dalej.

Pokpiwała sobie z jego mokasynów, swetra i okularów w drucianych oprawkach.

Powiedział jej, że urodził się w niewłaściwej dekadzie.

Na to odparła, że ona urodziła się w niewłaściwym stuleciu.

James się roześmiał, Addie nie, ale w jego manierach było rzeczywiście coś staroświeckiego. Miał zaledwie dwadzieścia sześć lat, lecz

wypowiadał się ze swobodną intonacją, powolną precyzją mężczyzny, który zna wagę własnego głosu. Należał do tych młodych ludzi, którzy ubierali się jak ich ojcowie, uprawiali maskaradę, tak jakby chcieli zbyt szybko się zestarzeć.

Hollywood również to dostrzegało. Dostawał role w filmach, których akcja rozgrywała się w innych czasach.

– Mam twarz stworzoną do filmów kręconych w sepii – zażartował.

Addie się uśmiechnęła.

– To i tak lepiej niż twarz stworzona do radia.

Miał przemiłą powierzchowność, lecz było w niej coś niewłaściwego: zbyt gorliwy uśmiech człowieka, który ukrywał jakąś tajemnicę. Ledwie skończyli lody, jego maska spadła. Swobodna radość zamigotała jeszcze raz i zgasła, a James upuścił plastikową łyżeczkę do kubka, zamknął oczy i powiedział:

– Przepraszam.

– Za co? – spytała, a wtedy on odchylił się na fotelu i przeczesał włosy palcami. Dla nieznajomych dla ulicy mogło to wyglądać jak beztroski, koci gest przeciągania, ale Addie dostrzegła w jego twarzy cierpienie, kiedy ciągnął:

– Jesteś taka piękna, życzliwa i zabawna.

– Ale? – nacisnęła, wyczuwając rychłą zmianę.

– Jestem gejem.

Wypluł z siebie to słowo, a potem wyjaśnił, skąd taka presja i dlaczego nienawidzi wścibskich spojrzeń ze strony mediów i stawianych przez nie wymogów. Ludzie zaczynali zastanawiać się i szeptać, a on nie był gotów na ujawnienie tej informacji.

Addie zdała sobie wówczas sprawę, że są na scenie: ustawieni przed wielką szklaną płaszczyzną wystawy lodziarni i widoczni dla wszystkich. James wciąż przepraszał, mówił, że nie powinien był flirtować, nie powinien wykorzystywać jej w ten sposób, ale dziewczyna nie słuchała. Błękitne oczy zaszkliły mu się podczas tej przemowy, a ona zaczęła się zastanawiać, czy to sztuczka, którą stosował, kiedy scenariusz przewidywał łzy – jeżeli w tym kierunku to zmierzało. Oczywiście Addie również miała swoje tajemnice, ale nie mogła ich ujawnić, choćby chciała.

Mimo to wiedziała, jak to jest, kiedy prawda zostaje głęboko ukryta, jak wymazana z czyjegoś życia.

– Zrozumiem, jeżeli teraz będziesz chciała odejść – powiedział.

Addie nie wstała jednak, ani nie sięgnęła po płaszcz. Pochyliła się tylko, żeby podkraść jagódkę z jego pucharka.

– Nie wiem, jak tobie, ale mnie siedzi się tu całkiem przyjemnie – powiedziała radośnie.

James zadrżał, odetchnął, zamrugał oczami, by ukryć łzy, a w końcu się uśmiechnął.

– Mnie też! – powiedział i od tej chwili świat naokoło stał się lepszy.

Dużo łatwiej dzielić wspólny sekret niż ukrywać go przed drugą osobą. Kiedy wyszli z lodziarni, trzymając się za ręce, byli konspiratorami, którym od tajemnic kręciło się w głowie. Nie przejmowała się, czy zostanie zauważona: wiedziała, że jeżeli nawet ktoś robi im zdjęcia, ona się na nich nie pojawi.

(Oczywiście, że robiono im zdjęcia, ale jej twarz, jakże dogodnie, zawsze była poruszona, zasłonięta lub w cieniu. Addie przez kolejny tydzień pozostała tajemniczą dziewczyną, aż tabloidy, jak zawsze, zainteresowały się pikantniejszym tematem).

Wrócili wtedy tutaj, do jego apartamentu w Baxterze, na drinka. Na stołach pełno było książek i dokumentów o drugiej wojnie światowej. Powiedział jej, że przygotowuje się do roli, czytając wszystkie relacje bezpośrednich świadków, jakie potrafił znaleźć. Pokazał jej drukowane reprodukcje, a Addie stwierdziła, że fascynuje ją ten okres i zna kilka historii. Opowiedziała mu je tak, jakby zasłyszała je od kogoś innego, jakby doświadczył ich ktoś nieznajomy, nie ona. James słuchał jej, skulony w kącie kremowej kanapy, z zaciśniętymi powiekami, z balansującą na piersi szklanką whisky.

Zasnęli obok siebie na olbrzymim łożu, dzieląc się ciepłem, a następnego ranka Addie obudziła się przed świtem i wyślizgnęła z mieszkania, oszczędzając obojgu zakłopotania przy pożegnaniu.

Ma poczucie, że mogliby zostać przyjaciółmi, gdyby James ją zapamiętał. Próbuje o tym nie myśleć (przysięgłaby, że czasami jej pamięć działa w przód równie dobrze jak w tył, ukazując jej ścieżki, którymi Addie

nigdy nie podąży. Ale ta droga prowadzi prosto w otchłań szaleństwa, toteż nauczyła się wybierać inny kierunek).

Teraz ona znów tu jest, lecz jego nie ma.

Owija się w jeden z miękkich szlafroków frotte Jamesa, otwiera przeszklone drzwi i wychodzi na balkon sypialni. Wieje ostry wiatr, a mróz kłuje ją w bose podeszwy. Miasto rozpościera się wokół niej jak niskie nocne niebo, pełne sztucznych gwiazd, a Addie wsuwa dłonie w kieszenie i wyczuwa coś, co leży na dnie jednej z nich.

Mały krążek z gładkiego drewna.

Wzdycha, wyciąga pierścień, opiera łokcie na balustradzie i zmusza się, by spojrzeć na przedmiot leżący na otwartej dłoni, przyjrzeć mu się, tak jakby nie znała każdej jego krzywizny i wzoru słojów. Wodzi palcami drugiej dłoni po krążku, opierając się pokusie, by włożyć go na palec. Myślała o tym oczywiście w mrocznych chwilach, kiedy była znużona, ale postanowiła nie dać się złamać.

Przechyla dłoń i wypuszcza pierścień, który spada za krawędź balkonu, w dół, w dół, prosto w ciemność.

Addie wraca do apartamentu, nalewa sobie następny kieliszek wina i wchodzi do wspaniałego łoża. Wsuwa się pod kołdrę, pomiędzy prześcieradła z egipskiej bawełny, i zaczyna żałować, że nie weszła do Alloway, nie usiadła za barem i nie zaczekała na Toby'ego, z jego nieporządnymi lokami i nieśmiałym uśmiechem. Na Toby'ego, który pachnie miodem, potrafi pieścić ciało dziewczyny równie dobrze jak swój instrument i zajmuje tak dużo miejsca w łóżku.

Villon-sur-Sarthe
30 lipca 1714

XIII

Dotyk czyjejś dłoni wyrywa Adeline ze snu.

Przez chwilę dziewczyna znajduje się poza czasem i przestrzenią. Sen przywarł do niej mocno: śniła, bo przecież to nie mogło zdarzyć się naprawdę, o modlitwach wznoszonych do milczących bogów, o umowie zawartej w ciemności, o tym, że została zapomniana.

Zawsze miała bogatą wyobraźnię.

– Obudź się – żąda głos, który zna od zawsze.

Ręka na ramieniu znów nią potrząsa, a Adeline mruga, by otrząsnąć się ze snu, i widzi deski sufitu w stodole, słomę, kłującą ją tu i ówdzie, a także klęczącą przy niej Isabelle z blond włosami upiętymi w koronę i brwiami ściągniętymi z niepokoju. Jej twarz szczuplała z każdym dzieckiem, tak jakby każde narodziny kradły jej kawałek życia.

– Wstawaj, głupia.

Tak w każdym razie powinna powiedzieć Isabelle, z szyderstwem złagodzonym życzliwym tonem. Jednak jej usta są wygięte w grymasie niepokoju, a czoło zmarszczone troską. Zawsze okazywała przejęcie w ten sposób, całą twarzą, ale kiedy Adeline chce dotknąć kciukiem czoła pomiędzy jej brwiami (by wygładzić zmarszczki zaniepokojenia, tak jak to robiła już tysiąc razy), Isabelle cofa się z dala od dotyku nieznajomej.

A więc to jednak nie był sen.

– Mathieu! – woła tamta przez ramię, a Adeline widzi jej najstarszego syna, stojącego z kubłem w otwartych wrotach stodoły. – Przynieś mi koc!

Chłopiec znika w słonecznym blasku.

– Kim jesteś? – pyta Isabelle. Adeline zaczyna odpowiadać, zapomniawszy, że własne imię nie przejdzie jej przez gardło.

– Co ci się stało? – drąży dziewczyna. – Zabłądziłaś?

Adeline przytakuje.

– Skąd jesteś?

– Stąd.

Zmarszczki na czole Isabelle się pogłębiają.

– Villon? Ależ to niemożliwe. Spotkałabym cię. Mieszkam tu przez całe życie.

– To tak jak ja – mamrocze Adeline, a Isabelle najwyraźniej uznaje prawdę za złudzenie, ponieważ kręci głową, tak jakby odganiała jakąś myśl.

– Gdzież się podziewa ten chłopak? – gdera pod nosem. Odwraca się znów do nieznajomej. – Możesz wstać?

Chwyta ją pod ramię i wychodzą na podwórze. Adeline jest brudna, ale Isabelle nie puszcza. Ta prosta uprzejmość i ciepły dotyk drugiej dziewczyny sprawiają, że Addie ze wzruszenia czuje w gardle wielką gulę. Isabelle traktuje ją jak dzikie stworzenie: mówi do niej przyciszonym głosem i porusza się powoli, prowadząc Adeline do domu.

– Czy się nie zraniłaś?

„Tak”, myśli Addie, ale wie, że Isabelle pyta o zadrapania, rozcięcia i lekkie rany, a tego nie jest pewna. Spogląda po sobie. To, co najgorsze, skrywała przedtem ciemność, a teraz znalazło się w pełnym świetle. Sukienka Adeline – podarta. Jej pantofle zniszczone. Skóra brudna od ziemi i ściółki. Poprzedniego wieczoru czuła, jak kolce jeżyn drapią i rwą jej skórę, ale dzisiaj nie znajduje żadnych otarć ani rozcięć, ani śladu krwi.

– Nie – odpowiada cicho, kiedy wchodzą do domu.

Nie ma tu śladu Mathieu ani Henriego, drugiego dziecka. Tylko mała Sara śpi w koszyku niedaleko kominka. Isabelle sadza Adeline w krześle z dala od niemowlaka i stawia garnek z wodą na piecu.

– Jesteś taka dobra – szepcze Adeline.

– „Byłem przybyszem, a przyjęliście mnie” – odpowiada Isabelle.

To cytat z Biblii.

Gospodyni przynosi do stołu miednicę i szmatkę. Klęka u stóp Adeline, zdejmuje jej brudne pantofle, ustawia je przy kominku, a potem zaczyna

czyścić dłonie tamtej z brudu lasu, usuwając ziemię spod paznokci.

Robiąc to, zasypuje ją pytaniami, a Adeline próbuje odpowiadać, naprawdę próbuje, ale wciąż nie potrafi wypowiedzieć swojego imienia, a kiedy mówi o życiu w miasteczku, o leśnych cieniach, o umowie, którą zawarła, słowa opuszczają jej usta, ale nie docierają do uszu Isabelle. Twarz tamtej przybiera nieobecny wyraz, jej wzrok wędruje gdzieś daleko, a kiedy Adeline w końcu milknie, rozmówczyni otrząsa się, tak jakby przez chwilę śniła.

– Przepraszam – mówi jej najstarsza przyjaciółka z uśmiechem zakłopotania. – Co powiedziałaś?

Z czasem Adeline nauczy się świetnie kłamać, a słowa będą płynąć z jej ust niczym wino, łykane przez słuchaczy. Prawda jednak zawsze zatrzyma się na końcu jej języka. Nikt poza nią nie będzie mógł usłyszeć jej historii.

Kiedy niemowlak zaczyna się wiercić, Isabelle wciska jej w dłonie kubek.

– Do najbliższego miasteczka jest godzina jazdy – mówi, podnosząc opatulone dziecko. – Czy przeszłaś całą tę drogę pieszo? Musiałaś chyba… – mówi oczywiście do Adeline, ale jej głos jest cichy i kojący, całą uwagę poświęca Sarze, chuchając w miękki meszek na głowie dziecka. Adeline musi przyznać, że przyjaciółka jest stworzona do roli matki, zbyt szczęśliwa, by zauważyć, że koncentruje się na córce, nie na gościu. – I co z tobą zrobimy? – grucha do dziecka.

Na ścieżce przed domem słychać kroki, nadchodzi ktoś w ciężkich butach, a Isabelle prostuje się nieco, klepiąc córkę po plecach.

– To mój mąż, Georges.

Adeline świetnie go zna. Pocałowali się raz, kiedy mieli oboje po sześć lat, gdy całusy znaczyły niewiele więcej niż pionki w grze. Teraz jednak jej serce skacze w panice i dziewczyna wstaje, a odstawiany kubek stuka o stół.

Nie obawia się Georges’a.

Boi się, co będzie, kiedy Isabelle przejdzie przez drzwi.

Łapie ją za ramię, nagle i mocno. Po raz pierwszy przez twarz tamtej przelatuje cień strachu. Potem jednak się otrząsa i klepie Adeline po dłoni.

– Nie martw się – mówi. – Pogadam z nim. Wszystko będzie dobrze. – Zanim Adeline może odmówić, wciska jej dziecko w ramiona i rusza ku drzwiom.

– Czekaj, proszę!

W jej sercu rodzi się strach, lecz Isabelle już znika na podwórzu. Drzwi pozostają otwarte, głosy wznoszą się i opadają, lecz słów nie da się rozpoznać. Niemowlę w jej ramionach pomrukuje, a Adeline kołysze się lekko, próbując uspokoić dziecko i siebie. Sara milknie, więc odkłada ją do koszyka i wówczas słyszy za plecami syk gwałtownie nabieranego powietrza.

– Odsuń się od niej! – To Isabelle. Jej głos jest wysoki i spanikowany. – Kto cię tu wpuścił?

Cała chrześcijańska życzliwość w jednej chwili znika, wymazana przez matczyny strach.

– Ty sama – mówi Adeline, walcząc ze śmiechem, ale nie radosnym, raczej szaleńczym.

Gospodyni patrzy na nią z przerażeniem.

– Kłamiesz! – mówi, ruszając naprzód, powstrzymywana tylko przez rękę męża na ramieniu. On również widział Adeline i oznaczył ją w umyśle jako niebezpieczne stworzenie, wilka, który dostał się do ich domu.

– Nikogo nie chcę skrzywdzić – zastrzega dziewczyna.

– W takim razie odejdź! – nakazuje Georges.

Co innego mogłaby zrobić? Porzuca dziecko, zostawia na stole kubek z rosołem i miednicę, opuszcza swoją najstarszą przyjaciółkę. Wychodzi pośpiesznie na podwórze, po czym ogląda się przez ramię: Isabelle przyciska dziecko do piersi, a Georges zastawia drzwi z siekierą w dłoni, tak jakby Adeline była drzewem, które należy ściąć, by nie rzucało cienia na ich dom.

A potem on również znika. Drzwi się zamykają i słychać szczęknięcie rygla.

Adeline stoi na środku ścieżki, niepewna, co dalej robić, dokąd pójść. Jej umysł próbuje podążać wytartymi, głębokimi koleinami. Nogi nosiły ją w to miejsce i z powrotem zbyt wiele razy. Jej ciało zna drogę. Idź nią, skręć w lewo i dotrzesz do domu, który nie jest już twój, mimo że stopy już się tam kierują.

Stopy! Adeline kręci głową. Zostawiła pantofle przy kominku Isabelle do suszenia.

Para buciorów Georges'a stoi oparta o ścianę koło drzwi. Adeline zabiera je i zaczyna iść. Nie do domu, w którym dorastała, ale z powrotem ku rzece, nad którą zaczęły się jej modły.

Dzień jest już ciepły, powietrze wibruje upałem, a ona zrzuca buty na brzeg i wchodzi do płytkiego strumienia.

Uczucie zimna zapiera jej dech. Rzeka omywa jej łydki, całuje pod kolanami. Addie spogląda w dół, szukając swojego skrzywionego odbicia, na wpół spodziewając się, że go tam nie będzie, że zobaczy tylko odbite w wodzie niebo. Jednak wizerunek jest na swoim miejscu, zniekształcony tylko przez falującą wodę.

Włosy, nie tak dawno zaplecione, teraz rozwiane, oczy szeroko otwarte. Siedem piegów jak plamy farby na skórze. Twarz ściągnięta strachem i gniewem.

– Dlaczego nie odpowiedzieliście? – syczy do odbicia słońca w strumieniu.

Ale rzeka tylko się śmieje, cicho i ślisko, bulgocząc naokoło kamieni.

Walczy ze sznurówkami gorsetu ślubnej sukienki, ściąga brudny strój i wrzuca go do wody. Prąd ciągnie materiał, ale jej palce nie chcą go puścić, nie chcą, by rzeka zabrała ostatni znak jej dawnego życia. Ma teraz zbyt mało, by cokolwiek jeszcze oddać.

Zanurza się cała, wyciąga ostatnie kwiaty z włosów, zmywa ze skóry pozostałości ściółki. Wychodzi z wody, czując przenikliwe zimno, tak jakby teraz była krucha i całkiem nowa.

Słońce stoi wysoko na niebie, panuje upał, więc Adeline rozkłada sukienkę do wyschnięcia na trawie i kładzie się koło niej na zboczu w samej halce. Siedzą obok siebie w milczeniu, a sukienka wygląda jak duch panny młodej. Dziewczyna opuszcza wzrok i zdaje sobie sprawę, że to wszystko, co posiada.

Suknia. Halka. Para skradzionych butów.

Podnosi patyk i zaczyna nerwowo rysować wzorki w szlamie przy brzegu. Każde jej pociągnięcie rozmywa się zbyt szybko, by działał tu tylko prąd rzeki. Kreśli linię i patrzy, jak jej początek zaczyna znikać, zanim jeszcze dotrze do końca. Próbuje napisać swoje imię, ale dłoń

nieruchomieje, jakby wiązały ją te same sznury, które oplatają jej gardło, kiedy próbuje je wymówić. Rzeźbi głębszą linię, wydłubuje piasek, ale to bez różnicy. Wkrótce ta bruzda również znika. Adelina łka z wściekłością i odrzuca patyk.

Łzy szczypią ją w oczy, lecz słyszy tupot małych stóp i mruga: stoi nad nią chłopczyk o okrągłej twarzy. Czteroletni syn Isabelle. Addie kołysała go kiedyś w ramionach i kręciła się z nim, aż oboje dostawali zawrotów głowy i wybuchali śmiechem.

– Cześć – mówi chłopczyk.

– Cześć – odpowiada dziewczyna, a głos jej lekko drży.

– Henri! – rozlega się głos matki i po chwili zza górki wychodzi również Isabelle, z koszem prania na biodrze. Widzi Adeline siedzącą na trawie i wyciąga dłoń, nie do przyjaciółki, lecz do syna. – Chodź tutaj – rozkazuje, wbijając spojrzenie błękitnych oczu w dziewczynę. – Kim jesteś? – pyta, a Adeline czuje się, jakby stała na skraju stromego zbocza, a ziemia usuwała jej się spod nóg. Pochyla się, traci równowagę i znów czuje, jakby spadała w czeluść. – Zabłądziłaś?

Déjà vu. Déjà su. Déjà vécu.

Już widziane. Już poznane. Już przeżyte.

Były tu już kiedyś, szły tą drogą, albo bardzo podobną, więc Adeline wie, gdzie stawiać stopy, wie, co powiedzieć, jakie słowa wywołają współczucie. Wie, że jeśli poprosi w odpowiedni sposób, Isabelle zabierze ją do domu, owinie kocem i poda kubek rosołu i wszystko będzie dobrze… aż przestanie.

– Nie – odpowiada. – Tylko przechodzę przez okolicę.

To niewłaściwa odpowiedź i spojrzenie Isabelle twardnieje.

– To niestosowne, żeby kobieta podróżowała sama, zwłaszcza w takim stanie.

– Wiem – przyznaje Adeline. – Miałam więcej, ale zostałam obrabowana.

Isabelle blednie.

– Przez kogo?

– Nieznajomego, w środku lasu – odpowiada. To wcale nie kłamstwo.

– Zranił cię?

„Tak – myśli Adeline – i to boleśnie”. Zmusza się jednak, by pokręcić głową i odpowiedzieć:

– Będę żyła.

Nie ma innego wyboru.

Isabelle odstawia pranie.

– Zaczekaj tutaj – mówi, znów przyjazna i szczodra. – Zaraz wrócę.

Podnosi syna i odwraca się ku domowi. Kiedy tylko znika z widoku, Adeline zabiera suknię, wciąż jeszcze mokrą na krawędziach, i wkłada ją.

Isabelle oczywiście znów zapomni.

Będzie w połowie drogi do domu, gdy zwolni i zacznie się zastanawiać, dlaczego wróciła bez prania. Zrzuci to na zmęczenie, zresztą trudno się dziwić, jak się ma trójkę dzieci (w tym niemowlaka), i wróci nad rzekę. Tym razem nie będzie żadnej kobiety siedzącej na brzegu ani sukienki rozciągniętej w słońcu, tylko patyk porzucony w trawie i gładka powierzchnia przybrzeżnego szlamu.

Adeline rysowała rodzinny dom setki razy.

Zapamiętała dobrze kąt nachylenia dachu, wzór na powierzchni drzwi, cień warsztatu ojca i gałęzie starego cisa, stojącego niczym strażnik na skraju podwórza.

Właśnie tam teraz stoi, schowana za jego pniem. Obserwuje Maxime pasącą się za stodołą, matkę wieszającą płótno do wyschnięcia i ojca strugającego kawał drewna.

Kiedy tak na nich patrzy, zdaje sobie sprawę, że nie może tu zostać.

W sumie mogłaby, znalazłaby sposób, żeby przemykać od domu do domu jak kamień puszczony „kaczką” po rzece, ale tego nie zrobi, ponieważ im dłużej o tym myśli, tym bardziej czuje się nie jak rzeka albo kamień, lecz jak dłoń zmęczona rzucaniem.

Oto Estele zamykająca drzwi.

Oto Isabelle, w jednej chwili życzliwa, w następnej przerażona.

Później, dużo później, Addie zacznie grać w grę opartą na tych cyklach, sprawdzi, jak długo jest w stanie przeskakiwać z jednej grzędy na drugą, zanim spadnie. Teraz jednak ból jest jeszcze zbyt świeży, zbyt ostry. Addie nie potrafi zgłębić sztuki poruszania się w ten sposób, nie umie

wytrzymać umęczonej miny ojca i przygany w oczach Estele. Adeline LaRue nie potrafi być nieznajomą pośród ludzi, których zna od zawsze.

Obserwowanie, jak ją zapominają, sprawia jej zbyt wiele bólu.

Matka wraca do domu, a Adeline porzuca bezpieczną pozycję za drzewem i rusza przez podwórze, ale nie ku frontowym drzwiom, tylko do warsztatu ojca.

Jest tam okno z zamkniętymi okiennicami i zgaszona lampa; jedyne oświetlenie zapewnia promień słońca wpadający przez otwarte drzwi. To wystarczy, by rozejrzeć się po wnętrzu. Addie zna tu wszystkie zakamarki. Powietrze pachnie świeżym drewnem, ziemnym i słodkim aromatem, podłoga jest zasłana trocinami i drewnianym pyłem, a wszędzie widać dzieła rąk jej ojca. Drewniany koń, wzorowany oczywiście na Maxime, ale nie większy od kota. Zestaw misek, zdobionych tylko słojami drewna, z którego je wycięto. Kolekcja ptaków wielkości dłoni, z rozłożonymi lub złożonymi skrzydłami, a także uchwyconych w locie.

Adeline nauczyła się szkicować świat węglem i grafitem, ale jej ojciec zawsze tworzył nożem: rzeźbił kształty z niczego, dawał im szerokość, głębokość i życie.

Dziewczyna wyciąga teraz dłoń i muska palcem koński nos, tak jak to robiła już setki razy.

Co tu robi?

Tego nie wie.

Być może żegna się w ten sposób z ojcem, którego ukochała najbardziej w życiu.

Takim właśnie go zapamięta, nie ze smutną nieświadomością w oczach czy też ponurą miną, gdy prowadził ją do kościoła, lecz poprzez rzeczy, które uwielbiał. Zapamięta, jak nauczył ją trzymać kawałek węgla, wyczarowując kształty i cienie własną dłonią. Zachowa piosenki, opowieści i widoki z pięciu letnich podróży na targ, kiedy Adeline była dość duża, by pojechać z ojcem, ale nie dość duża, by było to nieobyczajne. Zapamięta podarunek, drewniany pierścionek, wyrzeźbiony dla pierwszej i jedynej córki w dniu jej narodzin, który Adeline ofiarowała ciemności.

Nawet teraz jej dłoń wędruje do szyi, by dotknąć rzemyka, i coś głęboko wewnątrz niej wzdryga się na myśl, że przepadł na zawsze.

Stół zasłany jest skrawkami pergaminu pokrytymi rysunkami i wymiarami, znakami z przeszłości i przyszłości. Na brzegu leży ołówek, po który sięga teraz Adeline, mimo że w jej piersi odzywa się echo przerażenia.

Dotyka rysikiem kartki i zaczyna pisać:

„Drogi Ojcze…”

Ale kiedy ołówek wędruje po papierze, litery znikają tuż po tym, jak zostały nakreślone. Gdy Adeline kończy pisać te dwa niepewne słowa, już ich nie widać. Uderza gniewnie dłonią w stół, przewracając słoiczek pokostu i wylewając cenny olej na notatki ojca i drewno pod spodem. Rzuca się, by pozbierać papiery, brudząc dłonie i strącając jednego z drewnianych ptaszków.

Nie ma jednak powodu do paniki.

Pokost przesiąka przez wszystko i znika niczym kamień w wodzie. To przedziwna sprawa: co to oznacza? Jak rozpoznać, co zostało utracone, a co nie?

Pokost zniknął, ale nie pojawił się z powrotem w słoiku, który leży na boku pusty, pozbawiony zawartości. Pergaminy leżą nietknięte, bez śladu oleju, podobnie jak stół pod nimi. Tylko jej dłonie pozostają brudne: pokost podkreśla linie papilarne na jej opuszkach i te na dłoniach. Gapiąc się na nie, Addie robi krok do tyłu i słyszy straszny trzask drewna, pękającego pod jej obcasem.

To drewniany ptaszek: jedno z jego skrzydeł rozszczepiło się na ubitej ziemi stanowiącej podłogę warsztatu. Adeline krzywi się ze współczuciem: był jej ulubioną figurką z całego stada, uchwyconą w chwili wznoszenia, w pierwszej fazie lotu.

Klęka, by go podnieść, lecz kiedy wstaje, kawałki drewna znikają z ziemi, a drewniany ptaszek w jej dłoni znów jest cały. Z zaskoczenia niemal go upuszcza, choć nie wie, dlaczego to akurat wydaje jej się niemożliwe. Sprawiono, że żaden człowiek jej nie poznaje, widziała, jak znika z umysłów tych, których znała i kochała, niczym słońce zachodzące za chmurę, patrzyła, jak każdy znak, który usiłowała pozostawić, był wymazywany.

Ale ptak to co innego.

Być może dlatego, że teraz trzyma go w dłoniach, a może dlatego, że przez chwilę wydaje się jej to błogosławieństwem? Naprawiła przecież skutki wypadku, wyprostowała coś nieprawidłowego, a nie tylko doświadczyła zwykłego wymazania swoich uczynków. Nie może pozostawić po sobie śladu? Adeline nie myśli o tym teraz w ten sposób. Nie spędziła jeszcze całych miesięcy na obracaniu klątwy w dłoniach, uczeniu się na pamięć jej kształtu, przyglądaniu się gładkim powierzchniom w poszukiwaniu pęknięć.

W tej chwili trzyma tylko nietkniętego ptaszka, wdzięczna, że nic mu się nie stało.

Już ma odłożyć figurkę na miejsce, do reszty stada, kiedy coś ją powstrzymuje. Możliwe, że to dziwna atmosfera tej chwili, a może tęsknota za poprzednim życiem, nawet jeśli ono nie będzie tęsknić za nią – ale wsuwa ptaszka do kieszeni sukienki i ociągając się, wychodzi z szopy, a potem oddala się od domu.

Idzie drogą obok powykręcanego cisa, a potem za zakręt, aż dociera do granic miasteczka. Dopiero wówczas ogląda się za siebie: jej spojrzenie po raz ostatni wędruje ku linii drzew za polem, ku gęstemu cieniowi rozciągniętemu pod słońcem, a potem Addie odwraca się plecami do lasu, miasteczka Villon i życia, które już nie należy do niej, i zaczyna iść.

Villon-sur-Sarthe
30 lipca 1714

XIV

Villon znika za zakrętem jak oddalający się wóz. Dachy powoli zsuwają się za okoliczne drzewa i wzgórza. Kiedy Adeline wreszcie zdobywa się na odwagę, by spojrzeć za siebie, miasteczka już nie widać.

Wzdycha, odwraca się i idzie dalej, krzywiąc się z powodu dziwnego kształtu butów Georges'a.

Są o połowę za duże. Adeline znalazła na sznurze do suszenia skarpetki i upchnęła je w czubkach buciorów, żeby pasowały, ale w czwartej godzinie marszu czuje, że otarła skórę na stopach do krwi, która teraz zbiera się we wnętrzu obuwia. Obawia się choćby spojrzeć, więc nawet tego nie robi, skupia się tylko na drodze przed sobą.

Zdecydowała się iść do otoczonego murami miasta Le Mans. To najdalsze miejsce, jakie kiedykolwiek odwiedziła, i nigdy jeszcze nie była tam sama.

Wie, że świat jest dużo większy niż miasta nad Sarthe, ale teraz myśli tylko o drodze przed sobą. Każdy krok, który na niej stawia, oddala ją o krok od Villon i życia, które już do niej nie należy.

„Chciałaś być wolna", mówi głos w jej głowie. Nie należy do niej, o nie, jest głębszy, gładki niczym atłas i pachnie dymem z drewna.

Dziewczyna omija wsie i miasteczka, a także samotne gospodarstwa wśród pól. Droga ma również dłuższe odcinki, na których świat wokół niej wydaje się całkiem pusty. Tak jakby artysta naszkicował tylko krajobraz, a potem coś oderwało go od pracy.

Gdy Adeline słyszy nadjeżdżający wóz, zmyka w cień pobliskiego gaju i czeka, aż przejedzie. Nie chce zbaczać zbyt daleko od drogi, ale przez

ramię widzi między drzewami żółty błysk letnich owoców i żołądek przypomina jej, że jest pusty.

Sad.

Drzewa znakomicie ocieniają ją od upału, powietrze tu jest chłodne. Adeline zrywa dojrzałą brzoskwinię z niskiej gałęzi i chciwie zatapia zęby w jej miąższ. Żołądek kurczy się boleśnie wokół słodkiego kąska. Mimo bólu dziewczyna zjada również gruszkę i garść mirabelek, a potem nabiera garściami wodę ze studni na skraju sadu, aż wreszcie zmusza się, by ruszyć dalej, opuścić schronienie i wrócić na szlak w upale.

Cienie są już długie, kiedy w końcu siada na brzegu rzeki i ściąga buty, by ocenić stan swoich stóp.

Brak uszkodzeń.

Na skarpetkach nie ma ani kropli krwi. Na piętach – choćby jednego otarcia. Nie widać śladu przebytych mil ani godzin spędzonych na wiejskiej drodze, chociaż w trakcie podróży czuła ból przy każdym kroku. Słońce nie spaliło jej ramion, mimo że przez cały dzień czuła, jak piecze. Żołądek skręca się, pragnąc czegoś więcej ponad podkradzione owoce, ale kiedy światło dnia znika, a wzgórza ciemnieją, w pobliżu nie widać żadnych latarni ani domów.

Wyczerpana kuli się na brzegu rzeki i próbuje zasnąć, lecz nad wodą latają rozmaite owady, które dobierają jej się do skóry, więc wycofuje się na łąkę i zapada w wysoką trawę. Robiła tak wiele razy, kiedy była młodsza i chciała pobyć sama. Trawa pochłaniała wówczas dom, warsztat, dachy innych budynków w Villon, właściwie wszystko poza niebem nad jej głową, niebem, które mogło znajdować się wszędzie.

Teraz, kiedy patrzy na nakrapiany gwiazdami firmament o zmierzchu, tęskni za domem. Nie za Rogerem ani przyszłością, której sobie nie życzyła, ale za uściskiem sękatej dłoni Estele, kiedy staruszka pokazywała jej, jak omijać zarośla jeżyn, i za cichym nuceniem ojca, pracującego w swojej szopie, za aromatem drewna i pyłem drzewnym unoszącym się w powietrzu. Za fragmentami jej życia, których nigdy nie chciała utracić.

Wsuwa dłoń do kieszeni sukienki, szukając rzeźbionego ptaszka. Nie chciała robić tego wcześniej, na wpół przekonana, że go tam nie będzie, że kradzież zostanie wymazana z rzeczywistości tak jak każde inne

działanie… jednak figurka wciąż tam jest, a jej gładka powierzchnia wydaje się ciepła.

Adeline wyciąga ją, unosi na tle nieba i zastanawia się nad ograniczeniami klątwy.

Nie mogła zniszczyć rzeźby.

Ale mogła ją zabrać.

W opozycji do rosnącej listy zakazów – nie może pisać, wymówić swojego imienia ani pozostawić znaku – zapisuje to jako pierwszą rzecz, którą może zrobić. A więc może kraść. Upłynie sporo czasu, zanim pozna granice klątwy, a jeszcze więcej, zanim zrozumie poczucie humoru cienia, zanim on spojrzy na nią nad kieliszkiem wina i stwierdzi, że udana kradzież to działanie doskonale anonimowe. Złodziej nie zostawia śladów.

W tej chwili jednak jest po prostu wdzięczna za ten talizman.

„Nazywam się Adeline LaRue", myśli, trzymając drewnianego ptaszka. „Urodziłam się w Villon, w roku 1691, w kamiennym domu koło starego cisa, a moi rodzice to Jean i Marthe".

Opowiada historię swojego życia figurce, tak jakby bała się, że zapomni o sobie, podobnie jak inni o niej zapominają, nieświadoma, że jej umysł jest teraz idealną klatką, a pamięć – doskonałą pułapką. Nigdy nie zapomni, chociaż kiedyś tego zapragnie.

Zapada coraz głębsza noc, a fiolet nieba ustępuje miejsca czerni. Adeline patrzy w górę, w czerń, i zaczyna podejrzewać, że ciemność odwzajemnia jej spojrzenie, że to bóg, a może demon, o okrutnym spojrzeniu i szyderczym uśmiechu, o rysach wykrzywionych tak, jak nigdy ich nie narysowała.

Kiedy tak się gapi z wyciągniętą szyją, gwiazdy wydają się układać w twarz, linię policzków i brwi. Iluzja przybiera na sile, aż Adeline na wpół spodziewa się, że nocne niebo rozedrze się i skręci, tak jak cienie w lesie, a przestrzeń pomiędzy gwiazdami rozstąpi się, odsłaniając szmaragdowe oczy.

Gryzie się w język, żeby go nie wezwać, w razie gdyby ktoś inny zdecydował się odpowiedzieć.

Nie znajduje się przecież w Villon. Nie wie, jacy bogowie mogą się tu czaić.

Później jej wola osłabnie.

Później nastaną noce, kiedy pragnienie przeważy nad ostrożnością, a Adeline będzie wrzeszczeć, kląć i wyzywać go, by przyszedł i stawił jej czoła.

Później tak, ale dziś wieczorem jest zmęczona, głodna i nie ma ochoty marnować tej resztki energii, jaka jej została, na bogów, którzy nie odpowiedzą.

Dlatego zwija się w kłębek na boku, zaciska powieki i czeka, aż nadejdzie sen, a w międzyczasie przypomina sobie pochodnie na polu pod lasem i głosy wołające jej imię.

„Adeline, Adeline, Adeline".

Te słowa uderzają w nią, bębniąc w jej skórę jak deszcz.

Budzi się nieco później ze wzdrygnięciem. Świat naokoło jest atramentowo czarny, a ulewa już przemoczyła jej sukienkę. Właśnie zaczyna się nagła, potężna burza.

Spieszy przez łąkę do najbliższych drzew, a przemoczona spódnica wlecze się za nią po ziemi. W domu uwielbiała stukot kropel deszczu o ściany. Zwykle leżała na łóżku, nie śpiąc i słuchając, jak świat się oczyszcza, tu jednak nie ma łóżka ani schronienia. Stara się wyżąć wodę z sukienki, ale mokra tkanina już wychładza jej skórę, więc dziewczyna kuli się pomiędzy korzeniami drzew, dygocząc pod dziurawym baldachimem gałęzi.

„Nazywam się Adeline LaRue", powtarza sobie. „Ojciec nauczył mnie, jak marzyć, matka nauczyła mnie, jak być żoną, a Estele nauczyła mnie, jak rozmawiać z bogami".

Jej myśli wędrują ku Estele, która zwykle stawała w deszczu z rozpostartymi dłońmi, tak jakby chciała schwytać burzę. Estele, która nigdy nie dbała o towarzystwo innych ludzi.

Staruszka prawdopodobnie byłaby całkiem zadowolona, gdyby została sama na świecie.

Adeline próbuje wyobrazić sobie, co powiedziałaby stara kobieta, gdyby ją teraz zobaczyła, ale za każdym razem, kiedy próbuje przypomnieć sobie przenikliwe oczy i znaczący uśmiech, widzi tylko spojrzenie Estele, gdy spotkały się po raz ostatni: jak twarz staruszki zmarszczyła się, a potem wygładziła: znajomość całego życia została wytarta niczym łza z policzka.

Nie, nie powinna myśleć o Estele.

Adeline obejmuje kolana ramionami i próbuje zasnąć, a kiedy znów się budzi, pomiędzy gałęziami sączą się promienie słońca. Na mchu tuż obok niej skacze zięba, dziobiąc brzeg jej sukienki. Odgania ptaka, sprawdza, czy drewniana figurka nadal spoczywa w jej kieszeni, i wstaje. Zatacza się z głodu, zdając sobie sprawę, że od półtora dnia nie miała w ustach nic poza kilkoma owocami.

„Nazywam się Adeline LaRue", myśli, wracając ku drodze. To zdanie staje się mantrą wypowiadaną, by zabić czas, odmierzyć kroki, więc powtarza je wciąż i wciąż.

Skręca i zatrzymuje się, gwałtownie mrugając, tak jakby słońce zaświeciło jej prosto w oczy. To nie słońce, lecz świat przed nią pogrążył się nagle w jaskrawej żółci: zielone pola pokrył koc koloru najczystszego żółtka.

Ogląda się przez ramię, lecz droga za nią wciąż jest zielona i brązowa, jak to w lecie. Przed sobą ma pole gorczycy, chociaż wówczas jeszcze tego nie wie. Wie tylko, że widok ten jest przepiękny. Patrzy na pole i na chwilę zapomina o głodzie, bolących nogach, nagłej stracie, tylko dziwi się jasnej, pochłaniającej wszystko barwie.

Brnie przez pole, a kwiaty muskają jej dłonie. Adeline nie boi się, że zdepcze jakieś rośliny. Za nią łodygi już się prostują, maskując jej ślad. Kiedy dociera do dalszego końca pola, ścieżki i zieleni za nią już nie ma; wydaje jej się to przeraźliwie nudne, toteż szuka wzrokiem nowego zachwycającego widoku.

Wkrótce potem dostrzega większe miasteczko i już decyduje się je ominąć, kiedy dociera do niej aromat, od którego skręca jej się żołądek.

Masło i drożdże – słodki, mocny zapach świeżego chleba.

Jej sukienka, pomarszczona i brudna, wygląda jak pranie, które spadło z linki, jej włosy są potarganą szopą, ale głód sprawia, że Adeline o nic nie dba. Podąża za aromatem pomiędzy domami i wąską alejką ku ryneczkowi. Słyszy coraz wyraźniej ludzkie głosy, a kiedy skręca za róg, widzi kilka kobiet, zgromadzonych wokół wspólnego pieca chlebowego. Siedzą na kamiennej ławie wokół niego, śmiejąc się i szczebiocząc niczym ptaki na gałęzi, a tymczasem w otwartej gardzieli pieca rosną pulchne bochenki. Ich widok, do bólu zwyczajny, aż prowokuje do działania.

Adeline czai się przez chwilę w cieniu za rogiem, słuchając ich wysokich głosów, lecz potem głód pcha ją naprzód.

Nie musi przeszukiwać kieszeni, by wiedzieć, że nie ma w nich żadnych monet. Być może mogłaby coś wymienić za chleb, lecz ma tylko drewnianego ptaszka, a kiedy odnajduje go w fałdach sukienki, jej palce nie chcą puścić figurki. Mogłaby żebrać, lecz wówczas przypomina jej się twarz matki, z oczami pełnymi potępienia.

I wreszcie ostatnia możliwość: kradzież. Oczywiście to zły postępek, lecz Adeline jest zbyt głodna, by zważać na jego grzeszny charakter. Pozostaje tylko jedna kwestia: jak to zrobić? Piec jest otoczony ludźmi i niezależnie od tego, jak szybko jej wspomnienie jest wymazywane z pamięci świadków, wciąż jest istotą z krwi i kości, nie duchem. Nie może po prostu podejść i wziąć sobie bochenka bez rozpętania awantury. Pewnie wkrótce o niej zapomną, ale na jakie niebezpieczeństwo będzie narażona, zanim to się stanie? Jeżeli złapie chleb, a potem ucieknie, jak daleko będzie musiała odbiec? I jak szybko?

Potem jednak słyszy cichy głos zwierzęcia, ginący w szczebiocie kobiet.

Okrąża kamienną chatę i po drugiej stronie alejki znajduje swoją szansę.

W cieniu, obok worka jabłek i stosu szczap na podpałkę, stoi muł, leniwie przeżuwając paszę.

Wystarczy jedno ostre smagnięcie i muł wyrywa naprzód, dziewczyna ma nadzieję, że bardziej ze zdziwienia niż z bólu. Zwierzę rusza przed siebie, wysypując jabłka i roztrącając szczapy, a po chwili wpada na ryneczek. Spokojna atmosfera ustępuje miejsca chaosowi: muł odbiega, ciągnąc za sobą worek z ziarnem, a kobiety skaczą na równe nogi. Milkną śmiechy i szczebioty, za to rozlegają się przerażone krzyki.

Adeline przemyka ku piecowi lekko jak chmurka, wyciąga z kamiennej gardzieli najbliższy bochenek. Parzy jej palce tak, że niemal go upuszcza, ale jest przeraźliwie głodna, a ból, jak się okazuje, szybko mija. Bochenek należy do niej, a gdy muł zostaje okiełznany, worek ziarna powieszony tam, gdzie przedtem, jabłka pozbierane, a kobiety wracają na swoje miejsce przy piecu, jej już tam nie ma.

Opiera się o ścianę stajni na skraju miasta i rozdziera zębami skórkę chleba. Czuje, że ciasto jest niedopieczone, ale nie obchodzi jej to.

Przełyka z trudem wielkie, ciężkie, słodkie kęsy, które wypełniają jej żołądek i przytępiają uczucie głodu. Zaczyna myśleć jasno, napięcie opada z ciała i po raz pierwszy, od kiedy opuściła Villon, czuje się chociaż w części, jeśli nie w całości, człowiekiem. Odsuwa się od ściany stajni i znów zaczyna iść, podążając za słońcem i rzeką ku Le Mans.

„Nazywam się Adeline…" – zaczyna powtarzać w myślach, lecz nagle przerywa.

Nigdy nie podobało jej się to imię, a teraz nie może go nawet wymówić. Jakiekolwiek miano wybierze, będzie mogła je tylko pomyśleć. Adeline to kobieta pozostawiona przez nią w Villon, tuż przed weselem, którego sobie nie życzyła. Ale „Addie"… Addie była podarunkiem od Estele: krótszym, ostrzejszym, szybszym imieniem dla dziewczyny, która jeździła na targi i stawała na palcach, by spojrzeć ponad dachy, tej, która rysowała i marzyła o dłuższych opowieściach, wspanialszych światach i życiu pełnym przygód.

Dlatego teraz, w trakcie marszu, powtarza swoją mantrę raz jeszcze, inaczej.

„Nazywam się Addie LaRue…"

Nowy Jork
11 marca 2014

XV

Za cicho tu bez Jamesa.

Addie nigdy nie uważała go za głośnego – owszem, za czarującego, radosnego, lecz nie krzykliwego – jednak teraz zdaje sobie sprawę, jak ważne miejsce zajmował w tej przestrzeni, kiedy byli tu razem.

Tego wieczoru puścił jakąś płytę i śpiewał do muzyki, robiąc jednocześnie grzanki z serem na sześciopalnikowej kuchence. Zjedli je na stojąco, bo miał ten apartament od niedawna i jeszcze nie zdążył kupić krzeseł do kuchni. Wciąż ich tu brakuje, ale teraz nie ma tu również Jamesa (ponieważ kręci film gdzieś indziej) i apartament rozciąga się wokół niej, zbyt cichy i zbyt przestronny jak na jedną osobę. Wysokie piętro i podwójne szyby sprawiają, że hałas miasta niknie, a Manhattan zostaje zredukowany do nieruchomego, szarego obrazu za oknem.

Addie puszcza płytę za płytą, lecz muzyka odbija się tylko echem od ścian. Próbuje oglądać telewizję, lecz brzęczenie kanałów informacyjnych jest jeszcze gorsze od innych, podobnie jak metaliczny chór głosów w radiu, zbyt odległych, zbyt nieprawdziwych.

Niebo na zewnątrz wygląda niczym szary szum, rzadka mżawka zaciera kontury budynków. Taki dzień powinno się spędzać przy kominku, z kubkiem herbaty i ukochanymi książkami.

James ma wprawdzie kominek, ale gazowy, a kiedy Addie szuka ulubionej mieszanki w kuchennej szafce, znajduje tylko puste pudełko upchnięte z tyłu. Wszystkie książki w tym apartamencie traktują o historii, nie ma tu żadnej beletrystyki. Addie wie, że nie potrafi spędzić tu całego dnia sama.

Znów się ubiera, tym razem we własne ciuchy, i wygładza narzutę na łóżku, mimo że obsługa na pewno wróci tu przed Jamesem. Po raz ostatni rzuca okiem na ponury krajobraz za oknem, kradnie z garderoby szalik, miękki, kaszmirowy, w szkocką kratę, jeszcze z metkami, a potem wychodzi. Elektroniczny zamek pika, kiedy zamyka drzwi.

Z początku nie wie, dokąd idzie.

Są dni, kiedy wciąż jeszcze czuje się jak lew w klatce, przemierzający wyznaczoną przestrzeń. Jej stopy decydują same, niosąc ją w kierunku górnego Manhattanu.

„Nazywam się Addie La Rue", powtarza sobie podczas spaceru.

Trzysta lat, a część jej umysłu nadal obawia się, że zapomni. Oczywiście zdarzały się sytuacje, kiedy żałowała, że ma tak dobrą pamięć; kiedy oddałaby wszystko, by oszaleć i zniknąć. Czasem najlepszym wyjściem jest zatracić się w sobie.

Tak jak tytułowy bohater Piotrusia Pana J.M. Barriego.

Na końcu, gdy Piotruś siedzi na skale, wspomnienie Wendy Darling wymyka mu się z pamięci. To oczywiście bardzo smutne, kiedy ktoś zapomina.

Zapomniany czuje się wtedy bardzo samotny.

Pamięta pewne rzeczy jako jedyny.

„Ja cię pamiętam", szepcze cień, niemal przyjaźnie, tak jakby to nie on rzucił na nią klątwę.

Być może to kiepska pogoda, a może sentymentalny nastrój jest powodem, dla którego Addie wędruje wzdłuż wschodniej krawędzi Central Parku aż do Osiemdziesiątej Drugiej Ulicy, a potem ku granitowym korytarzom Metropolitan Museum of Art.

Addie zawsze miała sentyment do muzeów.

Do przestrzeni, gdzie gromadzona jest historia wyrwana ze swoich miejsc, gdzie sztuka prezentowana jest w uporządkowany sposób, a artefakty spoczywają na postumentach lub wiszą na ścianach z podpisami na białych tabliczkach. Czasami Addie sama czuje się jak muzeum. Takie, które tylko ona może zwiedzać.

Przecina główny hol, przechodząc pod kamiennymi łukami i przez kolumnady, przemyka przez dział starożytnej Grecji i Rzymu, potem przez wystawę dzieł z Oceanii, przy których zatrzymywała się już setki razy, aż

dociera do sali rzeźby europejskiej, pełnej wspaniałych marmurowych figur.

Jedno pomieszczenie dalej Addie dostrzega wreszcie to, co znajduje się tam od dawna.

Eksponat wystawiony jest w szklanej gablotce na ścianie, obramowany z obu stron przez inne rzeźby z żelaza lub srebra. Nie jest wielki, jak na rzeźbę, długości jej ramienia, od łokcia do koniuszków palców. Pięć drewnianych ptaszków przycupniętych na marmurowej listwie, wyglądających, jakby za sekundę miały odlecieć. Jej wzrok przyciąga piąta figurka: z uniesionym dziobem i skrzydłami, z miękkim meszkiem pierza uchwyconym kiedyś w drewnie, a teraz wystawiona w muzeum.

Tytuł rzeźby to Revenir. Powracać.

Addie pamięta, jak pierwszy raz znalazła to dzieło, malutki cud umieszczony na czystym białym sześcianie. Jego autorem był Arlo Miret, człowiek, którego nie znała ani nigdy nie spotkała, a mimo to, proszę, stworzył to dzieło, wykorzystując kawałek jej historii, jej przeszłości. Znalazł go i uczynił z niego coś godnego zapamiętania, wartościowego i przepięknego.

Żałuje, że nie może dotknąć figurki ptaszka, przesunąć palcem po jego skrzydełkach tak, jak zawsze robiła. Wie, że to nie ten, którego zgubiła, że tego nie wyrzeźbiły silne dłonie jej ojca, tylko nieznajomy artysta. Jednak znajduje się tu, w gablotce, prawdziwy i w jakiś sposób należący do niej.

Dotrzymała tajemnicy, zapisała się w kronikach. To pierwszy znak, który pozostawiła po sobie na tym świecie, na długo, zanim poznała prawdę, że idee są dziwniejsze niż wspomnienia, że trwają dłużej i szukają sposobów, by zakorzenić się w umysłach.

Le Mans, Francja
31 lipca 1714

XVI

Le Mans leży na polach nad Sarthe niczym śpiący olbrzym.

Minęło ponad dziesięć lat, od kiedy Addie pozwolono na ostatnią podróż do miasta za murami, którą odbyła na koźle wozu obok ojca.

Teraz serce zaczyna jej bić mocniej, kiedy przekracza bramę Le Mans. Tym razem nie ma konia, ojca ani wozu, ale w przedwieczornym świetle miasto wygląda na równie ludne i gwarne, jak je zapamiętała. Nie próbuje nawet wtopić się w tłum: jeśli nawet ktoś czasem spogląda w jej stronę i zauważa dziewczynę w poplamionej białej sukience, zachowuje swoją opinię dla siebie. Łatwiej być samą wśród tak wielu ludzi.

Addie nie wie tylko, dokąd pójść. Zatrzymuje się na chwilę, by pomyśleć, aż nagle słyszy stukot kopyt, zbyt szybki, zbyt blisko niej, i o mały włos nie zostaje rozjechana przez wóz.

– Z drogi! – krzyczy woźnica, a ona odskakuje, wpadając od razu na kobietę z koszykiem gruszek, który się przechyla. Trzy czy cztery owoce spadają na bruk.

– Patrz, jak chodzisz! – warczy tamta, lecz kiedy Addie pochyla się, by pomóc jej pozbierać rozsypane gruszki, kobieta wrzeszczy na nią i przydeptuje jej palce.

Addie wycofuje się, wsuwając w kieszenie dłonie i zaciskając jedną z nich na drewnianym ptaszku. Potem idzie krętymi ulicami ku centrum miasta. Jest tu wiele dróg, ale wszystkie wyglądają tak samo.

Myślała, że poczuje się tu jak u siebie, ale tak nie jest: miasto, które pamięta, to wymysł z dawno minionego snu. Kiedy była tu ostatnio, Le Mans wydawało jej się cudem, wspaniałym, pełnym życia miejscem:

zapamiętała gwarny, skąpany w słońcu targ, głosy dźwięczące echem odbitym od kamienia i szerokie ramiona ojca, zasłaniające jej mroczne strony miasta.

Teraz jednak, gdy jest tu sama, nad jego murami zawisł mrok, który wymazał cały czar, pozostawiając tylko ostre krawędzie, wystające ponad mglistą zasłonę. Jedna wersja miasta zastąpiona przez inną.

„Palimpsest".

Nie zna jeszcze tego słowa, ale za pięćdziesiąt lat w paryskim salonie usłyszy je po raz pierwszy i pojmie koncepcję wymazanej przeszłości, nadpisanej przez teraźniejszość, i przypomni sobie tę chwilę w Le Mans.

W miejscu, które zna, ale tak jakby go nie znała.

To głupota: oczekiwać, że Le Mans zostanie takie samo, kiedy wszystko inne się zmienia. Kiedy ona sama się zmieniła, przeistoczyła się z dziewczynki w młodą kobietę, a potem stała się tym, czym teraz jest – widmem czy też duchem.

Przełyka ślinę i prostuje się, zdecydowana zachować równowagę.

Addie nie potrafi znaleźć gospody, w której zatrzymywali się z ojcem. Choćby ją znalazła, co miałaby tam zrobić? Nie ma czym zapłacić za pokój, a zresztą gdyby nawet miała pieniądze, kto wynająłby go samotnej kobiecie? Le Mans to miasto, jednak nie tak duże, żeby podobna rzecz uszła uwagi wynajmującego.

Przemierzając ulice, coraz mocniej ściska figurkę w kieszeni. Obok ratusza jest targ, ale właśnie go zamykają: stoły pustoszeją, wozy odjeżdżają z placu, na ziemi pozostały nędzne resztki sałaty i kilka gnijących ziemniaków, lecz zanim zdąży pomyśleć, żeby je zebrać, znikają w mniejszych i szybszych rączkach.

Na skraju placu znajduje się tawerna z gospodą.

Patrzy, jak mężczyzna zsiada z wierzchowca, jabłkowitej klaczy, i przekazuje lejce stajennemu, zwracając się od razu ku otwartym drzwiom, za którymi słychać zgiełk dobrej zabawy. Addie obserwuje, jak stajenny prowadzi klacz przez ulicę do obszernej drewnianej stajni i znika w ciemnościach. Wzrok dziewczyny przyciąga jednak nie stajnia ani koń, lecz torby wciąż przewieszone za siodłem. Dwie ciężkie sakwy, pękate niczym worki z ziarnem.

Addie przechodzi przez plac i wślizguje się do stajni za mężczyzną i klaczą, stąpając tak lekko i szybko, jak to możliwe. Promienie słońca wpadają do wnętrza pomiędzy belkami dachu, sprawiając, że w pomieszczeniu panuje łagodny półmrok, rozjaśniany tylko kilkoma smugami światła. Chętnie narysowałaby taką scenę.

Tuzin koni stoi w boksach, a po drugiej stronie budynku stajenny nuci do klaczy: zdejmuje z niej uprząż, rzuca siodło na przegrodę pomiędzy boksami i zaczyna czyścić zwierzę zgrzebłem. Sam ma strasznie rozczochraną fryzurę.

Addie pochyla się nisko i skrada ku boksowi z tyłu stajni. Torby wiszą na drewnianej przegrodzie między końmi. Dłonie dziewczyny wystrzeliwują błyskawicznie ku skórzanym pasom, grzebią pomiędzy sprzączkami i pod klapami toreb. Nie ma tam sakiewek z pieniędzmi, ale Addie znajduje ciężki płaszcz do jazdy, bukłak wina i nóż do oddzielania kości z ostrzem długości jej dłoni. Zakłada płaszcz na ramiona, broń chowa do jednej kieszeni, wino do drugiej i przechodzi dalej, cicha niczym duch.

Nie dostrzega pustego wiadra, zanim jej but nie uderzy w nie z głośnym stukiem. Wiadro wywraca się ze stłumionym łupnięciem na siano, a Addie wstrzymuje oddech i ma nadzieję, że szurające kopyta zagłuszą ten dźwięk. Jednak stajenny przestaje nucić. Dziewczyna pochyla się niżej, zgina niemal wpół w cieniu najbliższego boksu. Mija pięć sekund, potem dziesięć, a potem w końcu znowu słychać nucenie. Addie prostuje się i rusza ku kolejnemu boksowi, gdzie wielki koń pociągowy żuje ziarno, a koło niego wisi torba na szerokim pasie. Jej palce wędrują ku klamrze.

– Co ty wyprawiasz?

Głos odzywa się tuż za nią, zdecydowanie zbyt blisko. Stajenny nie nuci już ani nie czyści jabłkowitej klaczy, lecz stoi w przejściu pomiędzy boksami ze szpicrutą w dłoni.

– Przepraszam pana – mówi Addie bez tchu. – Szukam konia mojego ojca. Chciał coś ze swojej torby.

Patrzy na nią nieruchomo, z twarzą na wpół zakrytą ciemną czupryną.

– A który to koń?

Addie żałuje teraz, że nie przyjrzała się zwierzętom równie dobrze jak ich torbom, ale nie może się zawahać, wówczas jej kłamstwo by się wydało, więc odwraca się szybko ku wielkiemu pociągowemu konisku.

– Ten.

To dobre kłamstwo, o ile kłamstwa mogą być gorsze i lepsze: takie, które z łatwością mogłoby ujść za prawdę, gdyby tylko wybrała innego rumaka. W brodzie stajennego błyska ponury uśmiech.

– Ach – mówi, klepiąc po dłoni szpicrutą – jaka szkoda. To akurat mój koń.

Addie czuje mdłości, a jednocześnie ma ochotę wybuchnąć śmiechem.

– Mogę spróbować jeszcze raz? – szepcze, przesuwając się ku bramie stajni.

Gdzieś w pobliżu odzywa się rżenie klaczy, a inny koń tupie kopytem. Szpicruta przestaje uderzać o dłoń mężczyzny, Addie rzuca się w bok, pomiędzy boksy, a stajenny depcze jej po piętach.

Jest szybki i nic dziwnego, przecież umie łapać szalejące konie, ale ona jest lżejsza i ma więcej do stracenia. Jego dłoń chwyta kołnierz skradzionego płaszcza, ale nie potrafi złapać dziewczyny: jego ciężkie kroki zwalniają, a Addie myśli, że udało jej się uciec… Wówczas jej uszu dobiega jasny, wyraźny dźwięk dzwonka na ścianie stajni, a zaraz potem – dochodzący z zewnątrz tupot buciorów.

Jest niemal przy bramie, gdy pojawia się w niej drugi mężczyzna, niczym wielki cień zagradzający przejście.

– Koń ci się wyrwał?! – krzyczy, lecz potem dostrzega ją: w skradzionym płaszczu i zbyt dużych butach, z resztkami siana pod podeszwami. Addie rzuca się w tył, prosto w ramiona stajennego. Mężczyzna zaciska na jej rękach palce ciężkie jak kajdany, a kiedy dziewczyna próbuje się uwolnić z uścisku, chwyta dość mocno, by zostawić siniaki.

– Złapałem ją, jak kradła – mówi. Jego szorstka broda drapie jej skórę.

– Puść mnie – błaga Addie, lecz on trzyma ją mocno.

– To nie stragan na targu – drwi drugi, dobywając noża zza pasa. – Wiesz, co tu robimy ze złodziejami?

– To pomyłka, proszę, puśćcie mnie.

Ostrze noża kiwa niczym palec.

– Nie, dopóki nie zapłacisz.

– Nie mam pieniędzy.

– W porządku – rzuca drugi mężczyzna, przysuwając się. – Złodzieje płacą własnym ciałem.

Addie próbuje się wyrwać, ale stajenny przytrzymuje ją żelaznym chwytem, gdy nóż drugiego mężczyzny rozcina sznurówki jej sukienki. A kiedy skręca się po raz kolejny, nie chce już uciec: próbuje dosięgnąć noża ukrytego w kieszeni skradzionego płaszcza. Jej palce dwukrotnie muskają drewnianą rękojeść, zanim w końcu ją łapią.

Dźga w dół i w tył, czując, jak ostrze pogrąża się w mięśniu uda stajennego. Ten wrzeszczy z bólu i odpycha ją jak szerszenia, przed siebie, prosto na nóż drugiego mężczyzny.

Jej ramię eksploduje bólem, gdy ostrze wgryza się w jej ciało i przejeżdża wzdłuż obojczyka, pozostawiając szlak piekącego gorąca. W głowie Addie pojawia się pustka, lecz jej nogi już się poruszają, niosąc ją przez wrota stajni na zewnątrz, na rynek. Rzuca się za beczkę, do kryjówki, a mężczyźni wypadają za nią, przeklinając, z twarzami ściągniętymi wściekłością i czymś jeszcze gorszym, pierwotnym głodem.

A potem, nagle, w pół kroku, zaczynają zwalniać.

Ich zdecydowane ruchy słabną i zwalniają, aż mężczyźni nieruchomieją. Cel pościgu zniknął im z oczu i z umysłów. Rozglądają się, a potem patrzą po sobie. Stajenny dźgnięty nożem stoi teraz prosto, w spodniach nie ma dziury, a na tkaninie nie widać śladu krwi. Znak, który na nim zostawiła, został wymazany.

Jeden szturcha drugiego, śmieją się i wracają do stajni. Addie pochyla się, aż jej czoło dotyka drewnianych klepek. Obojczyk jej pulsuje, ból kreśli wzdłuż niego wyraźną linię, a kiedy przyciska dłoń do rany, palce ma ubrudzone czerwienią.

Nie może tu zostać, skulona za beczką, toteż podnosi się i zatacza. Czuje się słabo, ale fala mdłości szybko mija, a ona wciąż idzie. Jedną dłonią ściska ramię, drugą trzyma nóż pod skradzionym płaszczem. Sama nie wie, kiedy decyduje się opuścić Le Mans, lecz wkrótce maszeruje już przez jakiś dziedziniec, z dala od stajni, potem przez kręte uliczki, mijając sprośne gospody i tawerny, przez tłum, z każdym krokiem uciekając od hałaśliwego śmiechu tego miasta.

Ból w ramieniu słabnie. Addie najpierw odczuwała palące gorąco, potem tępe pulsowanie, aż wreszcie nie czuje nic. Przesuwa palcami po ranie, ale już jej nie ma. Krew na jej sukience również znika, pochłonięta jak słowa napisane na pergaminie ojca, czy też linie rysowane

w przybrzeżnym szlamie. Jedyne ślady pozostały na jej skórze: strup z wyschniętej krwi wzdłuż obojczyka i brązowiejąca czerwona plama na dłoni. Addie wbrew sobie podziwia przez chwilę przedziwną magię, stanowiącą dowód, że cień na swój sposób dotrzymał słowa. Przekręcił, zniekształcił, zmienił jej życzenia w coś złego i zepsutego, ale przynajmniej zapewnił jej to.

Życie bez śmierci.

Z jej gardła wydobywa się szaleńczy chichot, w którym jest tyleż ulgi, co przerażenia. Może odczuwać prawdziwy głód (dopiero zaczyna odkrywać to uczucie). Mogą boleć ją stopy, chociaż nie będzie na nich otarć ani odcisków. Może czuć ból promieniujący z rany w ramieniu, zanim rozcięcie się zagoi. Ciemność uwolniła ją być może od śmierci, ale nie od cierpienia.

Po wielu latach pozna prawdziwe znaczenie tego słowa, jednak w tej chwili, kiedy maszeruje prosto w gęstniejący zmrok, z ulgą przyjmuje fakt, że wciąż żyje.

Z ulgą, która mija, gdy Addie dociera do granic miasta.

To najdalsze miejsce, do którego zawędrowała w życiu.

Le Mans majaczy jeszcze w zapadających ciemnościach za jej plecami, a przed nią kamienne mury otwierają się na pejzaż pełen porozrzucanych miasteczek, wyglądających jak zagajniki, za którymi rozciągają się pola, za nimi zaś leży… sama nie wie co.

Kiedy Addie była mała, lubiła wbiegać na wzgórza wokół Villon, aż na szczyt, za którym zbocze zaczynało gwałtownie opadać, i zatrzymywać się z bijącym sercem, kiedy jej ciało pochylało się, tak bliskie upadku.

Gdyby ktoś wtedy delikatnie ją popchnął, przyciąganie ziemskie dokonałoby dzieła.

Teraz nie otwiera się przed nią urwisko, lecz Addie czuje się tak, jakby balansowała na jego skraju.

Wówczas słyszy w ciemności głos Estele.

– Jak dojść na koniec świata? – spytała kiedyś, a gdy Addie nie potrafiła odpowiedzieć, staruszka uśmiechnęła się i sama odparła: – Krok po kroczku.

Addie nie idzie na koniec świata, ale musi dokądś pójść, więc w tej właśnie chwili podejmuje decyzję.

Uda się do Paryża.

Poza Le Mans to jedyne miejsce, którego nazwę zna, miejsce tyle razy wymieniane przez jej nieznajomego, pojawiające się w każdej baśni opowiadanej przez ojca, siedziba bogów i królów, pełna złota, majestatu i obietnic.

„Tak się to zaczyna”, powiedziałby, gdyby mógł ją teraz widzieć.

Addie robi pierwszy krok, czując, że ziemia ustępuje pod jej stopą, chwieje się, ale tym razem nie spada w przepaść.

Nowy Jork
12 marca 2014

XVII

Dużo lepszy dzień.

Słońce wyszło zza chmur, powietrze nie jest takie zimne, a w Nowym Jorku jest mnóstwo rzeczy, za które można go uwielbiać.

Jedzenie, sztuka, wydarzenia kulturalne… ale Addie najbardziej lubi skalę tej metropolii. Miasteczko czy wieś zwiedzało się szybko: wystarczył tydzień, żeby obejść wszystkie zakamarki w Villon i poznać twarze wszystkich mieszkańców. Tymczasem w ośrodkach takich jak Paryż, Londyn, Chicago czy Nowy Jork nie musi zwalniać, nie musi smakować ich małymi kęsami, żeby wrażenie nowości trwało dłużej. Takie miasta może pochłaniać tak łapczywie, jak chce, co dzień, a nowe dania same będą wjeżdżać na stół.

Takie miejsca można zwiedzać latami, a mimo to wciąż odkrywać w nich nowe aleje, schody czy drzwi.

Zapewne dlatego nie zauważyła tego wcześniej.

Kawałek w bok i w dół po schodkach kryje się sklep, na wpół ukryty w linii budynków przy ulicy. Markiza, niegdyś fioletowa, obecnie niemal kompletnie zszarzała, ale wypisaną białymi literami nazwę sklepu wciąż da się odczytać.

Ostatnie Słowo.

Sądząc po nazwie, antykwariat. Jego wystawa pełna jest książek poukładanych w stosy. Puls Addie nieco przyspiesza. Była pewna, że odnalazła wszystkie antykwariaty w Nowym Jorku. Przewędrowała w tym celu niemal każdy zakamarek pięciu okręgów, a mimo to miasto nadal ma tajemnice, niektóre ukryte przed ludzkim wzrokiem: bary w piwnicach,

tajne spelunki, kluby tylko dla członków, a także inne, znajdujące się na widoku. Tak jak easter eggi w filmach, nawiązania, które dostrzega się dopiero po drugim czy trzecim obejrzeniu. A jednocześnie zupełnie nie jak easter eggi, ponieważ niezależnie od tego, ile razy obejdzie te kwartały, czy też ile godzin, dni czy lat spędzi na nauce planu Nowego Jorku, kiedy tylko odwraca się do miasta plecami, wydaje się ono przesuwać i zmieniać kształt. Budynki rosną i maleją, firmy otwierają się i zamykają, ludzie przybywają i odchodzą, a talia tasuje się po raz kolejny i znowu, i jeszcze raz.

Oczywiście teraz wchodzi do antykwariatu.

Cichy dzwonek oznajmia jej przybycie, lecz dźwięk szybko ginie wśród stosów książek w różnym stanie. Niektóre księgarnie są zorganizowane do tego stopnia, że wyglądają bardziej jak galeria niż sklep. Niektóre wydają się sterylne, zarezerwowane tylko dla nowych, nietkniętych tomików.

Ale nie ta.

Ten antykwariat to labirynt książek poukładanych w stosy i stojących na półkach w dwóch, a czasem nawet w trzech rzędach: pomieszane oprawy skórzane, kartonowe i papierowe. Do takich Addie najbardziej lubi zachodzić – i czasem nawet gubić się w ich czeluściach.

Przy drzwiach stoi lada z kasą, ale nikogo za nią nie ma, więc Addie idzie niezaczepiana przez nikogo pomiędzy regałami, szukając drogi wzdłuż półek z bestsellerami. Antykwariat wydaje się niemal pusty. Są tu tylko starszy biały mężczyzna, przeglądający rządek thrillerów, i przepiękna czarnoskóra dziewczyna, siedząca po turecku na skórzanym fotelu na końcu alejki. Na jej palcach i w uszach lśni srebro, na kolanach ma otwarty olbrzymi album z reprodukcjami dzieł sztuki.

Addie przechodzi pod tabliczką „Poezja”, a ciemność szepcze tuż przy niej, zęby niemal muskają jej skórę niczym ostrze.

„Pójdź ze mną, zostań moją miłą”[1].

To refren towarzyszący Addie od wielu lat, powtarzany do znudzenia.

„Nie wiesz, czym jest miłość”.

Nie zatrzymuje się, skręca za róg, przejeżdżając palcami po grzbietach książek z działu „Teologia”. Przeczytała już Biblię, Upaniszady i Koran, po tym, jak około stu lat temu przeżyła zwrot w stronę religii, a teraz przechodzi koło Szekspira, który stworzył własny kult.

Zatrzymuje się w sekcji „Wspomnienia” i czyta tytuły na grzbietach: tak wiele „Ja”, „Mnie” i „Moje”. Zaimki dzierżawcze u wszystkich dzierżących pióro. Cóż to za luksus: móc opowiedzieć swoją historię, którą ktoś przeczyta i zapamięta.

Coś trąca ją w łokieć, więc patrzy w dół i widzi parę bursztynowych oczu wyglądających znad jej rękawa, tkwiących w masie pomarańczowego futra. Kot wygląda na równie starego, jak książka w jej dłoni. Otwiera paszczę i wydaje z siebie coś pomiędzy ziewnięciem i miauknięciem, głuchy, świszczący odgłos.

– Cześć – mówi Addie i drapie kocura między oczami, wywołując niski pomruk rozkoszy.

– Ha – odzywa się za nią męski głos. – Książek nie zadaje się zwykle z klientami.

Addie odwraca się i już ma skomentować imię kota, ale traci wątek, gdy dostrzega rozmówcę, ponieważ przez chwilę, króciutką chwilkę, zanim zogniskuje wzrok na jego twarzy, jest pewna, że…

Ale to nie on.

Oczywiście, że nie.

Włosy chłopaka, chociaż czarne, opadają luźnymi splotami wokół jego twarzy, a oczy za okularami w grubej oprawie są raczej szare niż zielone. Jest w nich coś kruchego, tak jakby były ze szkła, nie z kamienia, a kiedy mówi, jego głos jest uprzejmy i ciepły, niewątpliwie ludzki.

– Czy pomóc ci coś znaleźć?

Addie kręci głową.

– Nie – odpowiada i odchrząkuje. – Na razie tylko przeglądam półki.

– Doskonale – stwierdza chłopak z uśmiechem. – Przeglądaj sobie dalej.

Odprowadza go wzrokiem, czarna czupryna niknie w labiryncie tytułów, a potem dziewczyna odwraca się z powrotem do kota.

Ale zwierzak również zniknął.

Addie wraca więc do pamiętników na półce i kontynuuje poszukiwania. Jej uwaga przenosi się teraz ze „Sztuki” na „Historię świata”. Dziewczyna cały czas czeka, by chłopak pojawił się ponownie, by zacząć cykl od nowa, zastanawiając się, jak mu odpowiedzieć, kiedy się do niej znów odezwie.

Powinna poprosić o pomoc, pozwolić, by poprowadził ją między półkami – ale sprzedawca nie wraca.

Dzwonek u drzwi odzywa się znów, ogłaszając nadejście nowego klienta, a tymczasem Addie dociera do „Klasyki". Beowulf. Antygona. Odyseja. W zasięgu wzroku ma kilkanaście wersji tego ostatniego tytułu i właśnie wyciąga jedną z nich, kiedy słyszy nagły wybuch śmiechu, wysokiego i radosnego. Wygląda przez lukę między półkami i widzi blond dziewczynę opierającą się o ladę. Po drugiej stronie stoi chłopak, ten sam, który chwilę wcześniej odezwał się do Addie, czyszcząc okulary brzegiem koszuli.

Pochyla głowę, muskając policzki ciemnymi rzęsami.

Nie patrzy nawet na dziewczynę, która wspina się na palce, by być bliżej niego. Wyciąga dłoń i gładzi rękaw jego koszuli tym samym gestem, którym Addie przesuwała dłoń wzdłuż grzbietów książek na półkach, a on uśmiecha się spokojnie i nieśmiało. W tym momencie resztki podobieństwa do cienia znikają.

Addie wkłada książkę pod pachę, po czym zmierza ku drzwiom, korzystając z odwróconej uwagi sprzedawcy.

– Hej! – słyszy głos, jego głos, ale dalej idzie ku wyjściu. Za chwilę ją zapomni. Za chwilę jego umysł pozbędzie się tego wspomnienia, a chłopak… Ręka ląduje na jej ramieniu. – Musisz za to zapłacić.

Odwraca się. To sprzedawca, lekko zdyszany i bardzo zirytowany. Addie ogląda się na schodki i drzwi. Widocznie pozostały otwarte, a chłopak musiał być tuż za nią… ale mimo wszystko to dziwne. Wyszedł za nią ze sklepu. Zapraszam na exsites.pl

– No i? – pyta, zdejmując rękę z jej ramienia i stając przed nią z rozpostartymi dłońmi.

Mogłaby oczywiście uciec, ale książka nie jest tego warta. Addie sprawdza cenę: niewysoka, ale nie ma tyle przy sobie.

– Przepraszam – mówi, oddając mu tomik.

Marszczy ze zdumieniem brwi, a na czole widać linię zbyt głęboką jak na jego wiek: takie zmarszczki powstają po latach, a on nie może mieć więcej niż trzydziestkę. Patrzy na książkę i dla odmiany unosi brew nad krawędź okularów.

– Sklep pełen starych książek, a ty kradniesz wytarte, tanie wydanie Odysei? Wiesz chyba, że nie dostaniesz za nie sensownej ceny, prawda?

Addie wytrzymuje jego spojrzenie.

– A kto mówi, że chciałam je odsprzedać?

– Przecież to wydanie w klasycznej grece!

Tego akurat nie zauważyła, nie żeby miało to jakiekolwiek znaczenie. Uczyła się najpierw łaciny, ale potem poznała również grekę.

– O, ja głupia – mówi cierpkim tonem. – Powinnam była przecież ukraść angielski przekład.

Chłopak niemal – niemal! – się uśmiecha, ale wyraźnie wygląda na speszonego i skonsternowanego. W końcu kręci głową.

– Dobra, weź to – mówi, wyciągając książkę. – Myślę, że sklep może sobie na to pozwolić.

Musi zwalczyć nagłą pokusę, by odepchnąć jego rękę. Addie czuje, jakby okazał jej litość.

– Henry! – woła przepiękna czarna dziewczyna, stając w drzwiach. – Mam zadzwonić po policję?

– Nie! – odkrzykuje, wciąż patrząc na Addie. – Wszystko w porządku. – Mruży oczy, przyglądając jej się uważnie. – To niezamierzona pomyłka!

Odwzajemnia spojrzenie chłopaka – Henry'ego. Potem wyciąga dłoń po książkę i zabiera ją, a sprzedawca znika z powrotem w sklepie.

[1] Pierwszy wers wiersza Christophera Marlowe'a Namiętny pasterz do swej lubej, w przekładzie Stanisława Barańczaka.

CZĘŚĆ DRUGA

NAJCIEMNIEJSZA PORA NOCY

Tytuł dzieła: Pewna zapomniana noc

Autor: Samantha Benning

Data: 2014

Technika: akryl na płótnie i drewnie

Własność: galeria Lisette Price, Nowy Jork

Opis: Obraz w przeważającej części monochromatyczny, farba układa się w mapę skomponowaną z czerni, grafitów i szarości. Na tym tle wyróżnia się siedem białych punktów.

Kontekst: Znany jako samodzielne dzieło, obraz ten jest jednak tylko pierwszym z wciąż uzupełnianej serii, zatytułowanej Gwiazdy mojego życia, w której Benning przedstawia członków rodziny, przyjaciół i kochanków jako różne konstelacje na niebie.

Przybliżona wartość: 11 500 dolarów

Nowy Jork
12 marca 2014

I

Henry Strauss wraca do antykwariatu.

Bea znów zajęła miejsce na zniszczonym skórzanym fotelu, z błyszczącym albumem na kolanach.

– Gdzie byłeś?

Spogląda z powrotem przez otwarte drzwi i marszczy czoło.

– Nigdzie.

Dziewczyna wzrusza ramionami i przewraca kolejne kartki przewodnika po sztuce neoklasycyzmu, którego nie ma zamiaru kupować.

– To nie biblioteka – wzdycha Henry pod nosem, wracając za kasę. – Przepraszam – mówi do klientki przy ladzie. – Na czym skończyliśmy?

Na imię ma Emily, o ile Henry dobrze pamięta, a teraz przygryza wargę.

– Jeżeli o mnie chodzi, to właśnie chciałam zapytać, czy nie miałbyś ochoty na drinka.

Chłopak śmieje się, nieco nerwowo (to przyzwyczajenie, którego chyba nigdy się nie pozbędzie). Emily jest ładna, naprawdę śliczna, ale jej oczy szklą się niepokojącym blaskiem, więc Henry czuje ulgę, że nie musi kłamać co do planów na ten wieczór.

– To może innym razem – mówi dziewczyna z uśmiechem.

– To może innym razem – zgadza się Henry, a ona zabiera swoją książkę i odchodzi.

Ledwie zamkną się za nią drzwi, Bea odchrząkuje znacząco.

– No co? – pyta chłopak, nie odwracając się.

– Mogłeś chociaż wziąć od niej numer.

– Mamy plany – mówi, stukając kartonikami biletów o ladę.

Słyszy ciche skrzypienie skóry, kiedy dziewczyna podnosi się z fotela.

– Wiesz co? – mówi, obejmując go ramieniem – najwspanialszą rzeczą w planach jest to, że można przełożyć je także na inne dni.

Odwraca się, jego ręce wznoszą się ku jej talii i oto stają złączeni, jak uczniowie w torturze szkolnego tańca, zataczający szerokie kręgi, jakby złapano ich w sieć lub skuto łańcuchami.

– Beatrice Helen – mówi kpiąco chłopak.

– Henry Samuelu.

Stoją tak na środku sklepu, dwoje dwudziestoparolatków obejmujących się jak dzieci. Raz na jakiś czas Bea przechyla się nieco mocniej, mówi, że znalazła kogoś (nowego) i że zasługuje na szczęście (po raz kolejny). Trzymają się jednak umowy: ona nie wspomina Tabithy, a Henry nie mówi nic o Profesorce. Każde ma swoich pokonanych wrogów i swoje bitewne blizny.

– Wybaczcie – mówi starszy facet, któremu jest chyba autentycznie przykro, że im przerywa. Wyciąga ku nim książkę, a Henry uśmiecha się i odrywa od przyjaciółki, przemykając z powrotem za ladę, żeby obsłużyć klienta. Bea bierze swój bilet z kontuaru i zapowiada, że spotkają się na koncercie, a Henry potwierdza skinieniem głowy, wtedy starszy facet wychodzi, a reszta popołudnia upływa pod znakiem rozmazanego ciągu nieszkodliwych nieznajomych.

Za pięć szósta odwraca tabliczkę na drzwiach z „otwarte” na „zamknięte” i zaczyna zamykać sklep. Ostatnie Słowo nie należy do niego, ale równie dobrze mogłoby tak być. Minęło kilka tygodni, odkąd właścicielka pojawiła się tu po raz ostatni. Meredith podróżuje po świecie za pieniądze z polisy ubezpieczeniowej swojego zmarłego męża. Jesień życia to dla niej nowa wiosna.

Henry wsypuje garść suchej karmy do czerwonej miseczki za ladą, należącej do Książka, starego kociego rezydenta antykwariatu, i chwilę później pomarańczowa głowa pojawia się nad tomikami z działu „Poezja”. Kocur lubi się ukrywać za stosami książek i przesypiać tam całe dnie. Jego obecność zdradzają od czasu do czasu tylko pusta miseczka i sapnięcie zaskoczonego klienta, który nagle dostrzega łypnięcie żółtych oczu zza półki.

Książek to jedyna istota, która rezyduje w antykwariacie dłużej od Henry'ego.

Chłopak pracuje tu od pięciu lat, od czasów, kiedy studiował jeszcze teologię. Z początku dorabiał sobie w sklepie do stypendium, ale potem studia się skończyły, a praca została. Henry wie, że powinien znaleźć sobie inne zajęcie, ponieważ płaca tutaj jest gówniana, a on ma za sobą dwadzieścia jeden lat kosztownej formalnej edukacji. Czasem słyszy głos swojego starszego brata Davida, brzmiący dokładnie tak samo jak głos ich ojca, spokojnie pytającego, jakie „perspektywy" wiążą się z tą pracą i czy naprawdę Henry chce spędzić życie w ten sposób. Młodszy brat nie wie jednak, co innego miałby robić, i nie potrafi zdobyć się na rzucenie tej pracy. To jedyna rzecz w życiu, która mu jeszcze wychodzi.

Poza tym, prawdę mówiąc, Henry uwielbia to miejsce: zapach książek i ich masę obciążającą półki, stare, sczytane tytuły i ciągle pojawiające się nowe, a nade wszystko lubi nowojorczyków za to, że zawsze znajdą się wśród nich czytelnicy.

Bea upiera się, że każdy, kto pracuje w księgarni, chce być pisarzem, ale Henry nigdy nie rozważał takiej kariery. Owszem, próbował coś tam pisać, ale nigdy mu nie szło. Nie potrafi znajdować właściwych słów, konstruować historii, dobrać odpowiedniego rejestru. Nie umie wymyślić niczego, co można by postawić na półce w antykwariacie.

Woli być strażnikiem opowieści niż ich autorem.

Wyłącza światła w sklepie, chwyta bilet, płaszcz i udaje się na spektakl Robbiego.

Henry nie miał czasu się przebrać.

Przedstawienie zaczyna się o siódmej, Ostatnie Słowo zamyka się o szóstej, a on i tak nie jest pewien, jak powinien się ubrać na spektakl off-off-Broadway o elfach w Bowery, więc wciąż ma na sobie ciemne dżinsy i znoszony sweter. Bea określa ten strój mianem „modny bibliotekarz", mimo że chłopak nie pracuje w bibliotece (czego ona najwyraźniej nie potrafi zrozumieć). Sama natomiast wygląda niebywale stylowo, jak zawsze: biały blezer z rękawami podwiniętymi do łokci, wąskie srebrne pierścionki na palcach i takież kółka w uszach, grube dredy upięte w koronę na czubku głowy. Kiedy czekają w kolejce, Henry

zastanawia się, czy niektórzy ludzie po prostu mają naturalny styl, czy też są tak zdyscyplinowani, żeby codziennie o siebie zadbać.

Przesuwają się do przodu, aż w końcu docierają do drzwi i okazują bilety.

Sztuka to jedna z tych dziwnych mieszanek teatru i nowoczesnego tańca, które funkcjonują tylko w takich miejscach jak Nowy Jork. Według Robbiego jest luźno oparta na Śnie nocy letniej: trochę tak, jakby ktoś wyszlifował Szekspirowską frazę na gładko i podkręcił kolory.

Bea trąca go w bok.

– Zauważyłeś, jak na ciebie patrzyła?

Henry mruga.

– Co? Kto?

Dziewczyna przewraca oczami.

– Jesteś zupełnie beznadziejny.

Wokół nich kłębi się tłumek. Przedzierają się przez niego, kiedy ktoś łapie Henry'ego za ramię. Dziewczyna, owinięta w artystycznie podartą suknię, z wymalowanymi zielenią abstrakcyjnymi wzorami na skroniach i policzkach, najwyraźniej jedna z aktorek dzisiejszego przedstawienia. Henry kojarzy pozostałości podobnego makijażu na skórze Robbiego; widział je kilkanaście razy w ciągu ostatnich kilku tygodni.

Aktorka unosi ku niemu pędzel i miskę pełną złota.

– Nie zostałeś jeszcze przyozdobiony – mówi poważnie. Zanim zdąży ją powstrzymać, zostawia złoty pył na jego policzkach, muskając twarz chłopaka pędzlem delikatnie jak piórkiem. Z bliska Henry dostrzega lekki błysk w jej oczach.

Unosi wysoko głowę.

– Jak wyglądam? – pyta, naśladując nadąsaną minę modela.

Mimo że to żarty, dziewczyna posyła mu szczery uśmiech i mówi:

– Idealnie!

Na dźwięk tego słowa przechodzi go dreszcz i na chwilę przenosi się gdzieś indziej, czyjaś dłoń trzyma w ciemności jego rękę, a kciuk muska jego policzek. Otrząsa się z tego wrażenia.

Bea pozwala dziewczynie namalować lśniący pasek wzdłuż nosa i złotą kropkę na brodzie, a potem jeszcze przez pół minuty z nią flirtuje, zanim

w hallu teatru nie rozlegnie się dzwonek i zielony elf umknie z powrotem w tłum, a oni zaczną zmierzać ku widowni.

Henry bierze Beę pod ramię.

– Nie myślisz chyba, że jestem idealny, prawda?

Dziewczyna prycha.

– Nie, skąd!

Chłopak uśmiecha się wbrew sobie, a tymczasem kolejny aktor, ciemnoskóry mężczyzna z różowym złotem na policzkach, wręcza im po gałązce z liśćmi zbyt zielonymi, by były prawdziwe, a przy tym zatrzymuje życzliwy, lśniący smutkiem wzrok na Henrym.

Pokazują bilety starszej bileterce – siwiutkiej i niskiej – a ona łapie łokieć Henry'ego i prowadzi ich na miejsca, a potem klepie go po ramieniu i odchodzi przejściem między fotelami, mrucząc:

– Ależ grzeczny chłopczyk.

Henry sprawdza numery na biletach, po czym przesiadają się na właściwe siedzenia, trzy miejsca w centralnej części rzędu. Chłopak siada na środku, Bea z jednej strony, a z drugiej zostaje pusty fotel, należący do Tabithy, ponieważ to oczywiście ona kupiła wszystkim bilety kilka miesięcy temu, kiedy byli wciąż razem, gdy wszystko działo się w liczbie mnogiej, a nie pojedynczej.

Tępy ból ściska żebra Henry'ego. Chłopak żałuje teraz, że nie kupił drinka za dziesięć dolarów.

Światła gasną, kurtyna idzie w górę, odsłaniając królestwo neonowych świateł i pomalowanej sprayem stali. Na środku tego wszystkiego Robbie siedzi na tronie w pozie prawdziwego króla goblinów.

Włosy podwinięte ma w wysoką falę, a na twarzy linie fioletu i złota, układające się w dziwny, oszałamiający wzór. Kiedy się uśmiecha, Henry przypomina sobie, jak się zakochali, kiedy obaj mieli jeszcze po dziewiętnaście lat i rządziła nimi mieszanina pożądania, samotności i marzeń. A kiedy Robbie się odzywa, jego głos dźwięczy w całym teatrze jak kryształ.

– Oto historia bogów – mówi.

Scena wypełnia się aktorami, zaczyna grać muzyka i przez moment jest dobrze.

Po chwili jednak świat się zapada, wszystko wokół nich cichnie, a Henry znika.

Pod koniec sztuki rozgrywa się scena, która odciśnie się w najgłębszym miejscu umysłu Henry'ego, niczym naświetlony kadr na kliszy fotograficznej.

Robbie, król Bowery, wstaje z tronu, kiedy na scenę spada gęsty deszcz, i mimo że chwilę wcześniej była pełna ludzi, teraz jest na niej tylko Robbie. Wyciąga dłoń, dotykając kurtyny wody, która rozstępuje się wokół jego palców, nadgarstka, a potem ramienia, ponieważ aktor przesuwa się, aż całe jego ciało znajduje się pod opadającą falą.

Odchyla głowę, a deszcz zmywa złoto i brokat z jego skóry, spłaszczając idealną fryzurę na jego czaszce, wymazując wszystkie ślady magii, zmieniając go z ospałego, aroganckiego księcia goblinów w chłopca: śmiertelnego, wrażliwego, samotnego.

Światła gasną i przez długą chwilę w teatrze słychać tylko deszcz, słabnący ze stałej ściany w rytmiczną ulewę, a potem w cichy stuk kropel o scenę.

Aż wreszcie, w końcu, cichnie.

Światła się zapalają, cała obsada wychodzi na scenę, widzowie biją brawa. Bea wiwatuje i patrzy na Henry'ego. Z jej twarzy uchodzi cała radość.

– Coś nie tak? – pyta. – Wyglądasz, jakbyś miał zemdleć.

Chłopak przełyka ślinę i kręci głową.

Jego ręka pulsuje bólem, a kiedy spojrzy w dół, dostrzega, że wbił paznokcie w bliznę na dłoni, rysując świeżą, krwawą linię.

– Henry?

– Czuję się dobrze – odpowiada, wycierając dłoń w plusz fotela. – To było dobre. To było znakomite.

Wstaje i opuszcza widownię w ślad za Beą.

Tłum rzednie, aż w hallu zostają głównie przyjaciele i członkowie rodzin aktorów, czekający, aż artyści pojawią się ponownie. Henry czuje jednak wzrok, skupioną na sobie uwagę. Gdziekolwiek spojrzy, widzi przyjazną twarz, ciepły uśmiech, a czasem nawet coś więcej.

W końcu Robbie wpada do hallu i zarzuca obojgu ramiona na szyje.

– Moi wielbiciele! – oznajmia dźwięcznym aktorskim tenorem.

Henry prycha, a Bea wyciąga czekoladową różę – stary dowcip, zrozumiały tylko dla nich, ponieważ kiedyś Robbie poskarżył się, że trzeba wybierać pomiędzy czekoladkami a kwiatami, a Bea zauważyła wówczas, że to akurat walentynki, a poza tym kwiaty to typowy prezent wręczany po przedstawieniu, z kolei Robbie odpowiedział, że on wcale nie uważa się za typowego, a poza tym co, jeśli nabierze apetytu?

– Wspaniale wypadłeś – mówi Henry, i to prawda. Robbie rzeczywiście gra wspaniale, i to od zawsze. Żeby dostać pracę w nowojorskim teatrze, trzeba opanować całą triadę: taniec, muzykę i grę aktorską. Robbie wciąż jeszcze znajduje się o kilka przecznic od Broadwayu, ale Henry nie ma najmniejszych wątpliwości, że jego przyjaciel w końcu się tam dostanie.

Przejeżdża dłonią po włosach Robbiego.

Kiedy są suche, mają barwę palonego cukru, ciemnopłowy kolor gdzieś między brązem a rudym, zależnie od oświetlenia. Teraz jednak wciąż wyglądają na mokre po ostatniej scenie. Przez moment Robbie nachyla się ku przyjacielowi, opierając ciężar głowy na jego dłoni. Henry'emu zapiera dech w piersiach i musi przypomnieć swojemu sercu, że to nie dzieje się naprawdę, już nie.

Teraz klepie przyjaciela po plecach, a Robbie prostuje się niczym reanimowany, ożywiony nową energią. Wznosi swoją różę niczym buławę i ogłasza:

– Na imprezę!

Kiedyś Henry myślał, że imprezy po spektaklach odbywają się tylko po ich zejściu z afisza, że w ten sposób obsada żegna się z wielbicielami, ale potem nauczył się, że dla dzieciaków z teatru każde wystawienie jest okazją do świętowania, ochłonięcia po scenicznym haju albo do jego podtrzymania, tak jak w przypadku ekipy Robbiego.

Jest już prawie północ, a oni tłoczą się w mieszkaniu na trzecim piętrze w budynku bez windy w SoHo, przy ściemnionym świetle i czyjejś playliście łomoczącej w stereo przez bezprzewodowe głośniki. Aktorzy krążą po mieszkaniu jak krew przez arterie, z twarzami jeszcze w scenicznym makijażu, lecz już bez kostiumów, w pół drogi pomiędzy odgrywanymi postaciami a własną tożsamością.

Henry popija letnie piwo i pociera kciukiem bliznę na dłoni, co wkrótce wejdzie mu w nawyk.

Bea przez chwilę dotrzymywała mu towarzystwa.

Dziewczyna woli od teatralnych imprez uroczyste obiady, preferuje miejsca, gdzie siedzi się przy elegancko zastawionym stole i prowadzi interesujące rozmowy. Nie takie, w których pije się z plastiku i przekrzykuje głośną muzykę. Najpierw stoi obok Henry'ego w rogu pokoju, w ścisku, i narzeka, przyglądając się paradzie aktorów, tak jakby byli reprodukcjami w jednym z jej albumów o sztuce. Potem jednak porywa ją inny chochlik z Bowery, a Henry krzyczy za nią: „zdrajczyni!", mimo że w rzeczywistości cieszy się jej radością.

W tym samym czasie Robbie tańczy na środku pokoju, zawsze w centrum zainteresowania.

Wzywa gestem Henry'ego, ale ten kręci głową, ignorując zaproszenie, niczym zew grawitacji, tyle że z otwartymi ramionami czekającymi na końcu upadku. Nawet w najgorszych czasach byli idealną parą, a różnice między nimi przypominały oddziaływania grawitacyjne: Robbie zawsze pozostawał na orbicie, w słonecznym blasku, a Henry roztrzaskiwał się na ziemi.

– Hej, przystojniaku.

Henry odwraca się, podnosząc wzrok znad piwa, i widzi odtwórczynię jednej z głównych ról w sztuce, oszałamiająco piękną dziewczynę z rdzawo czerwonymi wargami i białą koroną w kształcie lilii. Złoty brokat na jej policzkach nałożono przez szablon, toteż wygląda niczym wzór na murze. Patrzy na niego z tak widoczną żądzą, że powinno mu to schlebiać, tymczasem czuje się smutny, samotny i zagubiony.

– Napij się ze mną.

Jej błękitne oczy lśnią, gdy wyciąga ku niemu tackę z dwoma szotami, w których rozpuszcza się coś małego i białego. Henry przypomina sobie wszystkie historie o tym, jak ktoś przyjął jedzenie lub picie od elfów, lecz sięga po szklaneczkę. Wychyla ją, z początku czując słodycz, lekkie pieczenie tequili, ale potem świat zaczyna tracić ostrość na krawędziach.

Chce się poczuć lżejszy i radośniejszy, ale pokój ciemnieje i Henry wyczuwa nadchodzącą burzę.

Miał dwanaście lat, kiedy przetoczyła się pierwsza z nich. Nie spodziewał się jej. Jednego dnia niebo było błękitne, drugiego nadeszły niskie, gęste chmury, a trzeciego zerwał się wiatr i zaczęło padać.

Minęły lata, zanim Henry zaczął myśleć o tych mrocznych okresach jako burzach i wierzyć, że miną, jeżeli wytrzyma dość długo.

Rodzice oczywiście chcieli dobrze, ale zawsze mówili mu takie rzeczy jak: „Rozchmurz się", „Będzie lepiej" czy, co gorsze: „Nie jest jeszcze tak źle". Łatwo powiedzieć to komuś, kto nigdy nie przeżył choćby dnia deszczu. David, najstarszy brat Henry'ego, jest lekarzem, a mimo to wciąż nie rozumie. Jego siostra Muriel twierdzi, że każdy artysta przeżywa takie burzliwe okresy, a potem daje mu kapsułkę z trzymanego w torebce pudełka po miętówkach. „Moje małe, różowe parasolki", jak je nazywa, nawiązując do jego metafory, tak jakby to był tylko niewinny żarcik, a nie przenośnia, za pomocą której Henry próbował im uprzytomnić, co się dzieje w jego głowie.

To tylko burza, myśli znowu, a jednak opuszcza to miejsce, usprawiedliwiając się, że musi zaczerpnąć świeżego powietrza. Na imprezie jest za ciepło, a on chce znaleźć się na zewnątrz, wyjść na dach, spojrzeć w górę i przekonać się, że niebo nie jest pochmurne, lecz pełne gwiazd, chociaż oczywiście nie ma tu gwiazd, przecież nie w SoHo.

W połowie korytarza zatrzymuje się, przypominając sobie sztukę i widok Robbiego w deszczu, a wówczas przechodzi go dreszcz i decyduje się iść na dół, nie do góry. Postanawia wrócić do domu.

Jest już niemal przy drzwiach, kiedy za rękę łapie go dziewczyna z wzorem pnączy na twarzy. Ta, która malowała go złotem.

– To ty! – mówi.

– To ty! – powtarza Henry.

Dziewczyna wyciąga dłoń i zmazuje złotą plamkę z jego policzka. Ten fizyczny kontakt jest tak intensywny, jakby przeskoczyła między nimi iskra, jak błysk energii tam, gdzie skóra dotyka skóry.

– Nie wychodź – prosi aktorka, a on próbuje znaleźć jakąś odpowiedź, lecz wówczas ona przyciąga go, a on ją całuje, szybko, lecz z uczuciem, i wycofuje się, usłyszawszy zdumione westchnienie.

– Przepraszam – mówi Henry automatycznie, tak jak wypowiada się „proszę", „dziękuję" czy „w porządku".

Ona jednak wplata dłoń w jego kędziory.

– Za co? – pyta, przyciągając jego usta do swoich.

– Jesteś pewna? – mamrocze chłopak, wiedząc, jaką odpowiedź usłyszy, ponieważ widział już ten błysk w jej oczach, blade chmury przepływające przez jej tęczówki. – Czy tego właśnie chcesz?

Chce usłyszeć prawdę, ale dla niego nie ma już prawdy, a dziewczyna tylko się uśmiecha i ciągnie go za sobą przez najbliższe drzwi.

– Tak, dokładnie tego chcę! – mówi.

A potem są już w sypialni, drzwi zamykają się ze szczęknięciem, odcinając hałas imprezy za ścianą, jej usta wędrują ku jego wargom, w ciemności nie widzi jej oczu i tak łatwo mu uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę.

Wtedy Henry na chwilę znika.

Nowy Jork
12 marca 2014

II

Addie idzie w kierunku górnego Manhattanu, czytając Odyseję w świetle ulicznych latarni. Minęło już trochę czasu, od kiedy czytała cokolwiek po grecku, ale poetycka fraza eposu pomaga jej wrócić w koleiny starego języka, a w chwili, kiedy Baxter pojawia się w zasięgu wzroku, porzuca obraz greckiego statku na morzu, spodziewając się już tylko kieliszka wina i gorącej kąpieli.

Niestety nie będzie jej dane ani jedno, ani drugie.

Ma bardzo dobre wyczucie czasu – albo właśnie wyjątkowo złe, zależy, jak na to spojrzeć: wychodzi zza zakrętu na Pięćdziesiątą Szóstą Ulicę, dokładnie w tej samej chwili, kiedy czarna limuzyna zatrzymuje się przed Baxterem i James St. Clair wysiada na chodnik. Wraca właśnie z planu zdjęciowego, opalony i najwyraźniej radosny. Na nosie mimo ciemności ma okulary przeciwsłoneczne. Addie zwalnia i staje po przeciwnej stronie ulicy, kiedy portier pomaga mu wyładować bagaż i wnosi go do środka.

– Cholera! – mruczy pod nosem dziewczyna, kiedy jej marzenia o spokojnej nocy rozwiewają się w nicość. Nie będzie kąpieli z bąbelkami ani lampki merlota.

Wzdycha i wycofuje się na skrzyżowanie, zastanawiając, co dalej.

Po lewej Central Park rozpościera się jak wielkie zielone prześcieradło w centrum miasta.

Po prawej wznosi się poszarpana panorama Manhattanu, całe kwartały stłoczonych budynków, od Midtown aż do Financial District.

Skręca w prawo, wybierając drogę do East Village.

Zaczyna jej burczeć w żołądku, a w okolicach Drugiej Ulicy dostrzega szansę na kolację. Młody człowiek na chodniku zsiada właśnie z roweru, wypakowuje zamówienie z zapinanej na zamek torby za siodełkiem i pośpiesznie wnosi jej zawartość do budynku. Addie przysuwa się do roweru i sięga do torby. To chińskie jedzenie, zgaduje po rozmiarze i kształcie pojemników o zagiętych kartonowych krawędziach, wyposażonych w druciane uchwyty do noszenia. Wybiera kartonik wraz z parą jednorazowych pałeczek i zmyka, zanim facet przy drzwiach zdąży zapłacić.

Swego czasu po kradzieży czuła wyrzuty sumienia.

Ale sumienie się wyczerpało, tak jak wiele innych rzeczy. Owszem, głód jej nie zabija, ale kiedy jest głodna, brzuch boli ją tak, jakby miała umrzeć.

Przechodzi w kierunku Alei C, napychając usta makaronem lo mein, podczas gdy nogi niosą ja przez East Village ku ceglanemu budynkowi z zielonymi drzwiami. Wyrzuca pusty kartonik do kubła na śmieci stojącego na rogu i dociera do wejścia dokładnie w chwili, kiedy z domu wychodzi jakiś mężczyzna. Addie uśmiecha się do niego, a on odpowiada uśmiechem i przytrzymuje jej drzwi.

Następnie wspina się po wąskich schodach na ostatnie piętro, aż do stalowych drzwi na szczycie, i maca dłonią wzdłuż zakurzonej górnej krawędzi futryny w poszukiwaniu srebrnego kluczyka, odkrytego zeszłej jesieni, kiedy wraz z kochanką dotarły do domu, ale jeszcze na schodach zwarły się w miłosnym uścisku. Usta Sam szukały wrażliwych punktów poniżej jej szczęki, a umazane farbą palce wślizgiwały się za pasek jej dżinsów.

Dla Sam była to jedna z rzadkich chwil, kiedy działała pod wpływem impulsu.

Dla Addie był to drugi miesiąc tego romansu.

Związku niewątpliwie pełnego szybkiej namiętności, ale tylko dlatego, że czas to luksus, na jaki Addie nie może sobie pozwolić. Pewnie że marzy o sennych porankach z pierwszą kawą, stopach na kolanach partnerki lub partnera i leniwym śmiechu z żartów zrozumiałych tylko dla nich dwojga, ale te przyjemności dostępne są tylko tym, którzy dobrze się znają. Addie nie może liczyć na spokojną intymność, osiąganą powoli przez wiele dni, tygodni czy miesięcy. To nie dla niej. Mimo że pragnie wspólnych

poranków, poprzestaje na wieczorach, a jeśli to nie może być miłość na dłuższy dystans, no cóż… przynajmniej nie jest sama.

Palce znajdują klucz, który cicho zgrzyta, kiedy wyciąga go z kryjówki. Trzy razy próbuje go przekręcić w starym, zardzewiałym zamku, tak samo jak ostatnio: w końcu drzwi się otwierają i dziewczyna wychodzi na dach budynku. Natychmiast owiewa ją rześki wiatr, więc Addie wsuwa dłonie w kieszenie skórzanej kurtki i idzie na drugą stronę.

Nie ma tu wiele więcej ponad trzy stare plastikowe leżaki. Każdy ma jakąś usterkę: zapadnięte siedzisko, odchylone oparcie, złamany podłokietnik. Obok stoi brudna lodówka, a pomiędzy sznurkami do suszenia prania ktoś rozwiesił lampki choinkowe, zmieniając dach w obskurną oazę, smaganą wiatrem i deszczem.

Panuje tu względny spokój, nie cisza (bo tego Addie jeszcze nie doświadczyła w żadnym mieście; czasem myśli nawet, że to coś, co zagubiło się w dawnych czasach), ale właśnie spokój, o ile to możliwe w tej części Manhattanu. Mimo to nie jest to ten sam spokój, który przytłaczał ją w mieszkaniu Jamesa, nie milczenie i pustka mieszkania zbyt dużego dla jednej osoby. Na dachu docierają do niej odległe krzyki, trąbienie klaksonów i basowe dudnienie dalekiej muzyki, zredukowane do nieszkodliwego szumu.

Dach otoczony jest niskim ceglanym murkiem. Addie opiera na nim łokcie i patrzy, aż kontury budynków znikają, a ona widzi tylko światła Manhattanu, układające się we wzory na tle rozległego, bezgwiezdnego nieba.

Addie tęskni za gwiazdami.

W 1965 poznała chłopaka, któremu zwierzyła się z tej tęsknoty, a on zawiózł ją w pewne miejsce, godzinę drogi od Los Angeles, tylko po to, żeby mogła je zobaczyć. Jego twarz promieniała dumą, kiedy zatrzymał się w ciemności i wskazał ku górze. Addie wychyliła się i spojrzała na kilka żałosnych łańcuszków świetlnych plamek na niebie. Poczuła wówczas głęboki żal, jak po stracie kogoś bliskiego, i po raz pierwszy w tym stuleciu zatęskniła za Villon. Za domem. Za miejscem, gdzie gwiazdy były tak jasne, że formowały na niebie rzekę, potok srebra i fioletu na ciemnym tle.

Podnosi wzrok ponad dachy i zastanawia się, czy po tak długim czasie ciemność wciąż ją obserwuje, mimo że minęło już tyle lat. Cień powiedział jej kiedyś, że nie śledzi każdego człowieka: świat był wielki i pełen dusz, a on miał do roboty dużo więcej niż myśleć tylko o niej.

Drzwi na dach otwierają się za nią z trzaskiem i wytacza się przez nie kilkoro ludzi.

Dwóch chłopaków i dwie dziewczyny.

I Sam.

W białym swetrze i jasnoszarych dżinsach wygląda jak namalowana jednym pociągnięciem pędzla, wysoka, smukła i jasna na tle ciemnego dachu. Teraz nosi dłuższe włosy: niesforne blond loki, wyślizgujące się z nieporządnego koka. Rękawy ma podciągnięte, a na przedramionach widać smugi czerwonej farby. Addie zastanawia się, nad czym pracuje jej była kochanka. Sam jest malarką, tworzy głównie abstrakcje. Jej mieszkanie, już i tak małe, zagracają rzędy płócien porozstawiane pod ścianami. Używa skróconej formy imienia, a pełnym brzmieniem, Samantha, podpisuje się tylko na ukończonych pracach. No i pozwala używać go w łóżku.

Pozostała czwórka sadowi się hałaśliwie na dachu (jeden z facetów opowiada właśnie jakąś historię), lecz Sam zostaje z tyłu i z przechyloną głową chłonie orzeźwiające nocne powietrze. Addie żałuje, że nie ma nic innego, na czym mogłaby się skupić, kotwicy, która powstrzymałaby ją przed niemal magnetycznym przyciąganiem tamtej dziewczyny.

Ależ ma!

Odyseja.

Addie już ma pogrążyć się w lekturze, kiedy błękitne oczy Sam odrywają się od nieba i odnajdują jej wzrok. Malarka uśmiecha się i przez chwilę jest znowu sierpień, i śmieją się do siebie przy piwie na barowym patio. Addie odgarnia włosy z karku, żeby ochłodzić się od upału, a Sam przechyla się i dmucha na jej skórę. Jest wrzesień i leżą obie w łóżku Samanthy, z dłońmi zaplątanymi w prześcieradłach i swoich ciałach, a usta Addie dotykają ciepłej ciemności pomiędzy nogami Sam.

Teraz serce Addie wali mocno, kiedy tamta zostawia swoich znajomych i idzie swobodnie w jej kierunku.

– Przepraszam, że zakłóciliśmy twój spokój.

– Och, nie szkodzi – odpowiada Addie, zmuszając się do odwrócenia wzroku, tak jakby przyglądała się panoramie miasta. Przy Samancie zawsze czuła się jak słonecznik, nieświadomie odwracający się ku światłu tamtej.

– Ostatnio wszyscy chodzą ze spuszczonymi głowami – myśli głośno Sam. – Fajnie zobaczyć kogoś, kto patrzy w górę.

Czas wpada w poślizg: malarka powiedziała to samo, kiedy spotkały się po raz pierwszy. I szósty. I dziesiąty. Ale to nie tylko łatwy tekst na podryw. Sam ma oko do takich spraw: zawsze czujnie obserwuje otoczenie, poszukując nowych tematów, a kiedy przygląda się komuś lub czemuś, widzi więcej niż tylko postać.

Addie odwraca się i czeka na dźwięk oddalających się kroków, ale zamiast tego słyszy pstryknięcie zapalniczki. Sam staje obok niej, a blond lok tańczy na skraju jej pola widzenia. Addie poddaje się i odwraca się do niej.

– Mogę ci jednego podkraść? – pyta, kiwając głową w kierunku papierosów.

Sam się uśmiecha.

– Możesz, ale nie musisz. – Wyciąga jednego z paczki i wręcza go jej wraz z jaskrawobłękitną zapalniczką. Addie wsadza sobie papierosa do ust i naciska kciukiem zapalniczkę. Na szczęście wiatr wieje przez cały czas, więc ma wymówkę: płomień szybko gaśnie.

A potem gaśnie jeszcze raz. I znów. I znów.

– Proszę.

Sam podchodzi: jej ręka muska ramię Addie, kiedy przesuwa się, żeby zasłonić ją od wiatru. Pachnie niczym ciastka z kawałkami czekolady, pieczone przez jej sąsiada za każdym razem, kiedy ten się stresuje, a trochę jak lawendowe mydło, którego używa do zmywania farby z palców, i kokosowa odżywka, którą pozostawia na włosach na noc.

Addie nigdy nie lubiła zapachu tytoniu, ale dym rozgrzewa ją nieco od środka, a dzięki papierosowi ma co zrobić z dłońmi, ma się na czym skupić poza Sam. Stoją tak blisko, że oddychają tym samym powietrzem, a potem tamta wyciąga dłoń i dotyka jednego z piegów na prawym policzku Addie, dokładnie tak samo jak przy pierwszym spotkaniu. To taki prosty gest, a jednocześnie tak intymny.

– Masz tu gwiazdy – zauważa, a serce Addie ściska się boleśnie.

Déjà vu. Déjà su. Déjà vécu.

Musi oprzeć się pokusie, by przylgnąć do tamtej, by przesunąć dłonią po jej smukłej szyi i zatrzymać się na karku, gdzie jej ręka tak świetnie pasuje. Stoją w milczeniu, wydmuchując kłęby jasnego dymu, podczas gdy pozostała czwórka śmieje się i wykrzykuje za ich plecami, aż jeden z chłopaków – Eris? Aaron? – woła Sam, która bez wahania rusza w jego kierunku. Addie znów musi się powstrzymać, by nie chwycić tamtej za rękę.

Udaje jej się to.

Oparta o niski, ceglany murek, słucha, jak rozmawiają o życiu, o starzeniu się, o tym, co muszą zrobić przed śmiercią, i złych decyzjach, a potem jedna z dziewczyn mówi:

– Cholera, spóźnimy się!

Szybko więc dopijają piwo, gaszą papierosy i zmywają się przez drzwi, niczym fala odpływu.

Sam wychodzi ostatnia.

Zwalnia, ogląda się przez ramię i uśmiecha po raz ostatni do Addie, a potem znika w środku. Addie wie, że gdyby ruszyła biegiem, mogłaby ją złapać, zdążyłaby jeszcze przed zamknięciem drzwi.

Nie rusza się z miejsca.

Metalowa płyta z łomotem wskakuje na miejsce.

Addie bezsilnie opiera się o murek.

„Kiedy ktoś o mnie zapomina – myśli – to trochę tak, jakbym traciła rozum. Zaczynam się zastanawiać, co jest prawdziwe… czy ja sama jestem prawdziwa? No i jak cokolwiek może być prawdziwe, jeżeli nie może być zapamiętane? To jak z tym koanem zen, mówiącym o drzewie upadającym w lesie.

Jeżeli nikt tego nie słyszał, czy to się naprawdę stało?

Jeżeli ktoś nie może pozostawić po sobie śladu, czy w ogóle istnieje?”

Gasi papierosa na parapecie i odwraca się plecami do panoramy miasta, a potem rusza ku połamanym leżakom i wciśniętej pomiędzy nie lodówce. Znajduje ostatnie piwo pływające w resztkach stopionego lodu i odkręca kapsel, siadając na najmniej uszkodzonym leżaku.

Dzisiejsza noc nie wydaje się aż tak zimna, a Addie jest zbyt zmęczona, by szukać innego łóżka.

W blasku lampek choinkowych da się czytać, toteż dziewczyna wyciąga się na leżaku i otwiera Odyseję, po czym odpływa do dziwnych lądów, potworów i mężczyzn, którzy nie mogą wrócić do domu, aż ostatecznie chłód nocy kołysze ją do snu.

Paryż, Francja
9 sierpnia 1714

III

Skwar wisi nad Paryżem jak niski sufit.

Sierpniowe powietrze jest ciężkie, a wydaje się jeszcze cięższe pomiędzy kamiennymi budowlami, gdzie unosi się smród gnijących resztek jedzenia i innych śmieci, w mieście, gdzie mieszka tak wielka liczba ludzi, stłoczona razem.

Za sto pięćdziesiąt lat Haussmann odciśnie na tym mieście swoje piętno, ujednolici fasady budynków i pomaluje je tą samą jasną paletą kolorów, tworząc świadectwo sztuki, piękna i równości.

O takim Paryżu marzy Addie i takiego widoku kiedyś dożyje.

Tymczasem jednak biedacy w łachmanach gromadzą się całymi tłumami, a szlachetnie urodzeni w jedwabnych strojach spacerują po ogrodach. Ulice pełne są konnych powozów, na placach roi się od ludzi, a tu i ówdzie ponad pospolitą tkankę miasta wystrzeliwują wysokie wieże. Bogactwo paraduje alejami i wznosi się wraz z pałacami i posiadłościami, podczas gdy przy wąskich uliczkach tłoczą się rudery, a kamienie są brudne od sadzy i dymu.

Addie jest zbyt przejęta, żeby zauważyć którąkolwiek z tych rzeczy.

Krąży brzegiem placu, patrząc, jak kupcy rozbierają stoiska i przeganiają kopniakami obdarte dzieci, chowające się wśród straganów w poszukiwaniu resztek. Dłoń Addie wślizguje się do kieszeni spódnicy i oprócz drewnianego ptaszka znajduje cztery miedziane sou, które znalazła pod podszewką skradzionego płaszcza. Cztery sou to cały jej majątek.

Robi się późno, chmury wyglądają na deszczowe, a Addie musi znaleźć miejsce na nocleg. Powinno to być łatwe, przecież prawie na każdej ulicy jest jakaś gospoda, ale ledwie przekroczy próg pierwszej z nich, a właściciel wyrzuca ją z powrotem na ulicę.

– To nie burdel – mówi kpiąco, patrząc na nią z góry.

– A ja nie jestem kurwą – odpowiada dziewczyna, ale mężczyzna w odpowiedzi prycha tylko i pstryka palcami, tak jakby chciał się pozbyć niechcianych resztek.

Druga gospoda jest pełna, trzecia za droga, czwarta przyjmuje jedynie mężczyzn. Kiedy Addie wkracza przez drzwi piątej, słońce zniknęło już za horyzontem, a wraz z nim resztka otuchy. Dziewczyna przygotowuje się na odmowę pod dowolnym pretekstem…

…ale tym razem nikt jej nie wyrzuca.

Przy wejściu wita ją starsza kobieta, chuda i sztywna, z długim nosem i małymi, bystrymi oczami jastrzębia. Rzuca okiem na Addie i prowadzi ją korytarzem. Pokoje są małe i brudne, ale każdy z nich ma ściany, drzwi, okno i łóżko.

– Za cały tydzień – mówi twardo właścicielka. – Z góry.

Addie traci nadzieję. Tydzień wydaje się strasznie długim okresem w sytuacji, gdy jej wspomnienie trwa tylko chwilę, godzinę czy dzień.

– Jak będzie? – rzuca ostro tamta.

Addie ostrożnie wyciąga z kieszeni trzy miedziaki. Kobieta chwyta je błyskawicznie, niczym wrona kradnąca skórkę od chleba. Znikają w sakiewce przy jej pasie.

– Mogę dostać rachunek? – prosi dziewczyna. – Jakiś dowód, że zapłaciłam?

Kobieta patrzy na nią z urazą.

– Prowadzę uczciwy interes!

– Jestem pewna, że tak. Ale ma pani tyle pokojów – tłumaczy Addie. – Łatwo zapomnieć, które z nich są…

– Wynajmuję od trzydziestu czterech lat – przerywa jej właścicielka – i jeszcze nigdy nie zapomniałam twarzy najemcy!

To okrutny żart, myśli Addie, a tamta odwraca się i odchodzi, zostawiając dziewczynę samą w pokoju.

Zapłaciła za tydzień, ale wie, że będzie miała szczęście, jeżeli uda jej się tu przetrwać choćby dzień. Rano zapewne zostanie wyrzucona, a kobieta wzbogaci się o trzy sou, podczas gdy Addie zostanie sama na ulicy.

W zamku tkwi brązowy kluczyk, dziewczyna przekręca go, ciesząc się ze stanowczego szczęknięcia, brzmiącego niczym kamień wrzucany do strumienia. Nie musi nic rozpakowywać, nie ma ubrań na zmianę. Zrzuca tylko podróżny płaszcz, wydobywa drewnianego ptaszka z kieszeni i stawia go na parapecie. Talizman przeciw ciemności.

Wygląda przez okno, spodziewając się zobaczyć dachy wspaniałych paryskich budowli i ich wysokie wieże, a przynajmniej Sekwanę. Odeszła jednak zbyt daleko od rzeki, a okienko wychodzi na wąską alejkę, za którą widać kamienną ścianę kolejnego domu. Może znajdować się wszędzie.

Ojciec Addie opowiedział jej mnóstwo baśni o Paryżu. W jego historiach miasto to jawiło się jako miejsce pełne złota i przepychu, czarów i marzeń, które wystarczyło tylko odkryć. Teraz dziewczyna zastanawia się, czy kiedykolwiek je widział, czy było dla niego tylko nazwą, tłem, na którym łatwo było umieścić książąt i rycerzy, poszukiwaczy przygód i królowe.

Wszystkie te opowieści zlały się w jej umyśle w jedno, przestały tworzyć odrębne obrazy, a stały się czymś w rodzaju palety, pełnej odcieni. Może miasto nie było jednak tak wspaniałe? Może oprócz świateł były w nim również i cienie?

Noc jest szara i pełna wilgoci, głosy kupców i turkot wozów zagłusza deszcz, który właśnie zaczął padać, więc Addie kuli się na wąskim łóżku i próbuje zasnąć.

Myślała, że uda jej się spędzić tu całą noc, tymczasem deszcz jeszcze pada, a ciemność dopiero ustępuje miejsca brzaskowi, kiedy właścicielka gospody wali do drzwi, a po chwili klucz szczęka w zamku i pokoik wypełnia się hałasem. Szorstkie dłonie wywlekają Addie z łóżka. Jakiś mężczyzna trzyma ją za ramię, a kobieta patrzy na nią drwiąco i pyta:

– Kto cię tu wpuścił?

Addie próbuje wytrzeć z oczu resztki snu.

– Pani – wyjaśnia, żałując, że tamta nie mogła schować dumy w kieszeń i jednak wypisać jej rachunku. Tymczasem wszystko, co ma, to klucz do

drzwi, i zanim zdoła go pokazać, właścicielka wymierza jej kościstą dłonią mocny policzek.

– Nie kłam, dziewczyno – syczy ostrzegawczo. – To nie jest przytułek dla żebraków.

– Zapłaciłam – protestuje Addie, osłaniając bezskutecznie twarz. Trzy sou w sakiewce za pasem kobiety raczej nie posłużą za dowód. – Rozmawiałyśmy przecież. Mówiła pani, że prowadzi tę gospodę od trzydziestu czterech lat…

Przez chwilę na twarzy kobiety pojawia się niepewność… ale zaraz znika. Addie nauczy się pewnego dnia, żeby pytać ludzi o tajemnice, o szczegóły, które znałaby tylko bliska osoba lub przyjaciel, ale nawet to nie zawsze zadziała. Będzie nazywana oszustką, wiedźmą, upiorem i szaloną. Zostanie wypędzona z dziesięciu różnych powodów, lecz tylko jeden będzie prawdziwy.

Ludzie jej nie pamiętają.

– Wynocha! – rozkazuje właścicielka, a Addie ledwie ma czas złapać płaszcz, zanim mężczyzna wyciąga ją z pokoiku. W połowie korytarza przypomina sobie, że zostawiła drewnianą figurkę na parapecie i próbuje się uwolnić, żeby po nią wrócić, lecz tamten ściska ją mocno za ramię.

Wyrzuca ją na ulicę, trzęsącą się z nerwów. Jedyna pociecha, że przez półotwarte drzwi wylatuje jeszcze jej drewniany ptaszek i ląduje na bruku, łamiąc skrzydełko.

Tym razem jednak sam się nie naprawi.

Leży teraz obok niej, a odłamek drewna wygląda niczym piórko, podczas gdy kobieta znika we wnętrzu domu. Addie powstrzymuje się od parsknięcia śmiechem. Nie bawi jej sama sytuacja, ale jej szalony charakter, absurdalne zakończenie tej nocy.

Jest bardzo późno albo bardzo wcześnie. Miasto ucichło, po niebie dalej przewalają się ciężkie od deszczu, szare chmury, ale dziewczyna wie, że ciemność na nią patrzy. Podnosi figurkę i wkłada ją do kieszeni, gdzie spoczywa ostatni miedziak. Wstaje, owija się szczelniej płaszczem, a skraj jej sukienki jest już mokry.

Addie idzie wąską uliczką, kompletnie wyczerpana. Znajduje schronienie pod drewnianym daszkiem i opada na bruk zaułka pomiędzy budynkami, by doczekać tam świtu.

Zapada w niemal gorączkowy sen, czując dłoń matki na czole, słysząc, jak jej głos wznosi się i opada w łagodnie nuconej melodii, gdy poprawia koc na ramionach córki. Wie, że musi być chora: tylko wtedy matka jest wobec niej miła. Addie leży tam, trzymając się znikających wspomnień, a tymczasem głośny stukot kopyt i turkot drewnianych wozów zagłuszają na wpół szeptaną piosenkę matki, nuta po nucie, aż dziewczyna budzi się i otrząsa z sennego oparu.

Jej spódnica jest sztywna od brudu, poplamiona i pognieciona od krótkiego, niespokojnego snu.

Deszcz przestał padać, lecz miasto wygląda na równie brudne jak wówczas, gdy do niego przybyła.

W Villon porządna burza oczyściłaby świat, pozostawiając go świeżym i pachnącym.

Zdaje się jednak, że nic nie jest w stanie zmyć brudu z paryskich ulic.

Jeżeli już, deszcz tylko pogorszył sytuację: świat wygląda na mokry i nijaki, a wokół stoją kałuże brązowe od błota i nieczystości.

A jednak wśród całego tego łajna wyczuwa jakiś słodki zapach.

Podążając za nim, dociera do tętniącego życiem targu: sprzedawcy wykrzykują ceny znad stołów i ze straganów, gdaczą kury w klatkach zdejmowanych z wozów.

Addie jest głodna jak wilk. Nie pamięta, kiedy ostatnio jadła. Sukienka na nią nie pasuje, ale nie szkodzi, ukradła ją ze sznurka z praniem dwa dni przed przybyciem do Paryża, mając dość tej, którą nosiła od dnia niedoszłego ślubu. Mimo że spędziła wiele dni bez jedzenia i picia, strój nie jest ani trochę luźniejszy. Podejrzewa więc, że w gruncie rzeczy nie musi jeść i gdyby przestała, nie umrze z głodu… lecz jej pusty, boleśnie kurczący się żołądek i drżące nogi nie chcą o tym słyszeć.

Przygląda się pełnemu ludzi targowi, obracając w kieszeni ostatnią monetę. Nie chce jej wydawać, ale może nie będzie musiała? Skoro jest tu tylu ludzi, kradzież powinna przyjść jej z łatwością. Tak uważa, lecz paryscy kupcy są równie chytrzy jak złodzieje i zachowują dwukrotnie większą czujność. Addie przekonuje się o tym boleśnie: miną całe tygodnie, zanim nauczy się kraść jabłka, a jeszcze więcej, zanim dojdzie do mistrzostwa w tej dziedzinie.

Dzisiaj podejmuje niezgrabną próbę ściągnięcia bułki z ziarnami ze stoiska piekarza. Mięsista łapa od razu chwyta ją za nadgarstek.

– Złodziejka!

Dostrzega kątem oka strażników miejskich przepychających się przez tłum, i natychmiast zalewa ją fala strachu: wyląduje w celi albo w dybach! Wciąż jest istotą z krwi i kości, nie nauczyła się jeszcze otwierać zamków, oczarowywać mężczyzn, żeby wycofali zarzuty, ani uwalniać się z kajdan równie szybko, jak jej twarz znika z pamięci ludzi.

Dlatego teraz błagalnie wręcza piekarzowi ostatnią monetę.

Ten bierze ją, macha uspokajająco do strażników, wszystko w porządku, i sou znika w jego kiesce. Bułka kosztuje o wiele mniej, ale mężczyzna nie wydaje jej reszty, oświadczając, że to opłata za próbę kradzieży.

– Ciesz się, że nie obetnę ci palców – warczy, odpychając ją od siebie.

I tak Addie ląduje na paryskiej ulicy, z bułką i połamaną figurką, za to bez grosza przy duszy.

Wybiega z targu i zwalnia dopiero na brzegu Sekwany. Dopiero tam wgryza się w bułkę, próbując jeść małymi kęsami, żeby wystarczyło na dłużej, ale po chwili już jej nie ma, a Addie nadal czuje głód, tak jakby ktoś kapnął kropelkę wody do pustej studni.

Przypomina jej się Estele.

Rok temu staruszce zaczęło dzwonić w uszach.

Dźwięk odzywał się przez cały czas, jak twierdziła, w dzień i w nocy, a kiedy Addie zapytała ją, jak może znieść ciągły hałas, Estele wzruszyła ramionami.

– Z czasem da się przywyknąć do wszystkiego – oznajmiła.

Addie nie sądzi jednak, by potrafiła przyzwyczaić się do uczucia głodu.

Gapi się na statki płynące po rzece i na katedrę wznoszącą się za zasłoną mgły. Przebłyski piękna lśnią niczym klejnoty na tle brudnych kamieni, zbyt dalekie, żeby były prawdziwe.

Stoi tam, dopóki nie zda sobie sprawy, że czeka. Czeka, aż ktoś jej pomoże, aż zjawi się i naprawi jej życie, ale nikt nie nadchodzi. Nikt o niej nie pamięta, a Addie może sobie czekać przez wieczność.

Dlatego odchodzi stamtąd.

A idąc, przygląda się Paryżowi. Notuje w pamięci ten dom i tamtą ulicę, mosty, powozy i bramy ogrodów. Zauważa róże rosnące za murem

i piękno ukryte w jego pęknięciach.

Miną całe lata, zanim nauczy się, jak funkcjonuje to miasto, zanim zapamięta krok po kroku układ dzielnic, każdego sprzedawcę, każdy sklep i ulicę. Zanim dostrzeże niuanse każdego miejsca, znajdzie mocne i słabe punkty, nauczy się, jak żyć i przeżyć w przestrzeni pomiędzy innymi ludźmi, jak ułożyć sobie między nimi życie.

W końcu Addie osiągnie w tym mistrzostwo.

Stanie się perfekcyjną złodziejką, szybką i nieuchwytną.

Będzie przemykać przez domy niczym filigranowy duch, przebiegać przez salony i kraść wino, które potem wypije na dachu pod gołym niebem.

Każde złodziejskie zwycięstwo będzie nagradzać uśmiechem.

W końcu dojdzie do takiej biegłości, ale jeszcze nie teraz.

Teraz próbuje tylko zagłuszyć czymś uporczywy głód i dławiący strach. Teraz jest sama w dziwnym mieście, bez pieniędzy, bez przeszłości i bez przyszłości.

Z pierwszego piętra ktoś wylewa bez ostrzeżenia zawartość wiadra. Gęsta, brązowa ciecz rozpryskuje się na bruku u jej stóp. Addie odskakuje, próbując uniknąć oblania, i zderza się z dwiema kobietami w eleganckich sukniach, które patrzą na nią tak, jakby sama była brudną plamą.

Wycofuje się więc i siada na stopniach pobliskiego domu, lecz chwilę później zza drzwi wyskakuje kobieta, która grozi jej miotłą, oskarżając o podkradanie klientów.

– Idź do doków, żeby tam sprzedawać swój towar – łaja.

Z początku Addie nie ma pojęcia, o co chodzi tamtej. Ma puste kieszenie i żadnego towaru na sprzedaż. Kiedy jednak mówi to na głos, kobieta patrzy na nią dziwnie.

– Masz przecież ciało, prawda?

Addie oblewa się rumieńcem, kiedy dociera do niej sens.

– Nie jestem kurwą – protestuje, a kobieta uśmiecha się chłodno i cynicznie.

– Nie masz o sobie przypadkiem za dobrego mniemania? – pyta, kiedy Addie się podnosi i rusza w dalszą drogę. – W każdym razie samą dumą się nie wykarmisz! – krzyczy za nią tamta, a jej głos brzmi niczym krakanie wrony.

Dziewczyna owija się szczelniej płaszczem i zmusza nogi, by poniosły ją dalej ulicą, choć sprawiają wrażenie, jakby miały się pod nią załamać. W pewnej chwili widzi otwarte wrota kościoła. Nie olbrzymiego, z imponującymi wieżami, jak Notre Dame, ale małego, kamiennego kościółka, wciśniętego pomiędzy budynki w wąskiej uliczce.

Nigdy nie była religijna, inaczej niż jej rodzice. Zawsze czuła, że stoi w pół drogi pomiędzy starymi a nowymi bogami, lecz spotkanie z demonem w lesie dało jej do myślenia. Każdemu cieniowi musi odpowiadać jakieś światło. Być może ciemność ma odpowiednik po drugiej stronie, a Addie mogłaby zrównoważyć swoje życzenie. Estele pewnie tylko by prychnęła, lecz skoro jeden bóg rzucił na nią klątwę, staruszka nie powinna jej winić, że szuka pomocy u innego.

Ciężkie drzwi otwierają się, a ona wsuwa się do środka, mrugając, żeby oczy przyzwyczaiły się do nagłej ciemności. Dostrzega witrażowe okna.

Wciąga powietrze, uderzona przez ciszę i piękno tego wnętrza, kolebkowe sklepienie, czerwone, niebieskie i zielone światło malujące wzory na ścianach. „To dzieło sztuki", myśli, ruszając naprzód, kiedy na jej drodze staje mężczyzna.

Rozpościera ramiona, ale jego gest ani trochę nie wygląda na powitanie.

Ksiądz zagradza jej drogę, kręcąc głową.

– Przykro mi – mówi, zaganiając ją jak zabłąkaną kurę, z powrotem przejściem między ławkami. – Nie mamy miejsca. Wszystko zajęte.

I po chwili Addie znów znajduje się na stopniach kościoła, słyszy, jak po drugiej stronie zasuwa się ciężki rygiel. Gdzieś w głębi jej umysłu rozlega się chichot Estele.

– A widzisz? – mówi ochryple. – Tylko nowi bogowie mają zamki w drzwiach!

Addie nie decyduje się na wizytę w dokach z własnej woli.

Stopy wybierają za nią: niosą ją wzdłuż Sekwany, kiedy słońce zachodzi nad rzeką, prowadzą w dół po schodach, skradzione buty łomoczą po deskach. Tu, w cieniu statków, wśród skrzyń, baryłek, linek i kołyszących się łodzi panuje półmrok. Śledzą ją dziesiątki oczu: mężczyźni zerkają znad swojej pracy, a kobiety przyglądają się jej, przeciągając się niczym koty.

Wszystkie wyglądają niezdrowo: zbyt mocny makijaż, usta umalowane jaskrawą czerwienią. Ich suknie, mimo że podarte i brudne, i tak wyglądają lepiej niż strój Addie.

Nie zdecydowała jeszcze, po co tu jest, nawet kiedy zdejmuje z ramion płaszcz, nawet gdy podchodzi do niej mężczyzna. Jego ręka już wędruje po jej ciele, tak jakby sprawdzał jędrność owocu.

– Ile? – pyta opryskliwie.

Addie nie ma pojęcia, ile warte jest jej ciało, czy też za ile jest gotowa je sprzedać. Kiedy nie odpowiada, jego dłoń robi się niecierpliwa, a uścisk mocniejszy.

– Dziesięć sou – mówi, a mężczyzna śmieje się, co brzmi niczym warkot psa.

– Kimże jesteś, księżniczką?

– Nie – odpowiada. – Dziewicą.

W domu, w Villon, zdarzało się czasem w nocy, że Addie marzyła o rozkoszy. Wyczarowywała wówczas z ciemności nieznajomego, czuła jego usta na swoich piersiach, wyobrażała sobie, że jej ręka, wślizgująca się pomiędzy uda, należy do niego.

– Moja miłości – mówił nieznajomy, przyciskając ją do łóżka, a czarne loki przesłaniały jego szmaragdowe oczy.

– Mój ukochany – odpowiadała zdławionym szeptem, kiedy w nią wchodził, a jej ciało otwierało się na jego potęgę. Gdy pchał mocniej, wzdychała, gryząc rękę, by nikt tego nie usłyszał. Jej matka mawiała, że rozkosz kobiety to grzech śmiertelny, ale w tamtych chwilach Addie to nie obchodziło: czuła wówczas tylko tęsknotę i żądzę. Nieznajomy szeptał z ustami tuż przy niej, napięcie rosło niczym burza w misie jej bioder, a potem również w umyśle. Adeline wciągała go na siebie, pozwalając mu wnikać coraz głębiej i głębiej, aż burza się przełamywała i przetaczał się przez nią grzmot.

Tym razem wygląda to zupełnie inaczej.

W stękaniu nieznanego mężczyzny nie ma ani grama poezji, brakuje melodii i harmonii, poza stałym rytmem posunięć, kiedy się w nią wpycha. Nie ma toczącej się rozkoszy, tylko nacisk, ból i jedna rzecz wpychana w drugą, ciasną. Addie patrzy w nocne niebo zamiast na jego poruszające się ciało i czuje, jak ciemność odpowiada spojrzeniem.

Przez chwilę są znowu w lesie, a jego usta znajdują się przy jej twarzy. Czuje bąbelki krwi na ugryzionej wardze, kiedy cień szepcze:

„Umowa stoi”.

Mężczyzna wykonuje ostatnie pchnięcie, kończy i opada na nią bezwładnie, ciężki jak z ołowiu. To nie może być to, to nie może być życie, za które Addie oddała wszystko, to nie może być przyszłość, która wymazała jej przeszłość. Panika łapie ją za gardło, ale ten nieznajomy o to nie dba ani nawet nie zauważa jej stanu. Podnosi się i rzuca garść monet na bruk u jej stóp, a potem odchodzi. Addie opada na kolana, żeby pozbierać zapłatę, a potem opróżnia żołądek do Sekwany.

Później, pytana o pierwsze wrażenia z Paryża, o te straszne kilka miesięcy, będzie opowiadać, że miała mnóstwo problemów, a wspomnienia z tego okresu zlewają jej się w mglistą plamę. Powie, że nie pamięta tamtych czasów zbyt dokładnie.

Ale oczywiście pamięta wszystko doskonale.

Pamięta smród gnijącego jedzenia i śmieci, słonawą wodę w Sekwanie, postacie z doków. Pamięta chwile życzliwości, wymazywane przez zamknięcie drzwi lub świt, pamięta, jak opłakiwała utracony dom, świeży chleb i ciepły kominek, spokojną harmonię swojej rodziny i mocny rytm Estele. Życie, które wiodła i oddała za takie, jakie sobie wyobrażała, ale zostało skradzione i zastąpione tym.

Pamięta jednak również, jak zachwycała się miastem i światłem przenikającym je o poranku i wieczorem, wspaniałością wyrzeźbioną w nieociosanych kamieniach. Mimo brudu, kłopotów i rozczarowań Paryż był pełen niespodzianek. Piękno przeświecało przez pęknięcia.

Addie pamięta krótki okres wytchnienia tej pierwszej jesieni, cudowną zmianę kolorów liści nad ścieżkami, z zielonych na złociste, jak na wystawie u złotnika. A potem nastąpił szybki, nagły skok w zimę.

Pamięta chłód, który kąsał palce u rąk i nóg, a potem pochłaniał je w całości. Chłód i głód. Oczywiście miewali chude miesiące również w Villon, kiedy pierwszy podmuch zimy kradł ostatki zbiorów albo ostatni jej oddech niszczył nowe zasiewy, ale tutaj to całkiem nowa odmiana głodu. Atakuje ją od środka, przeciągając pazurami po żebrach. Wyczerpuje jej siły: chociaż Addie wie, że nie może jej zabić, wiedza ta nie

pomaga złagodzić bólu i strachu. Nie straciła ani grama wagi, lecz jej żołądek skręca się, tak jakby zaczynał się sam trawić. Tak samo jak na stopach nie pojawiają się odciski, jej nerwy nie chcą przywyknąć do cierpienia. Dziewczyna nigdy nie czuje odrętwienia, ułatwiającego życie, kiedy głód wchodzi w nawyk. Ból jest zawsze świeży, ostry i jasny, podobnie jak jej pamięć.

Pamięta także to, co najgorsze.

Pamięta nagły atak mrozu, brutalny przypływ chłodu, który zalał miasto, a za nim nadeszła fala chorób, niczym jesienny podmuch rozsypujący stosy martwych lub umierających liści. W całym mieście było widać i słychać wozy, transportujące ponury ładunek. Addie odwracała twarz, próbując nie patrzeć na kościste kształty wrzucone niedbale na deski. Owijała się szczelniej skradzionym płaszczem i brnęła ulicą, marząc o letnim skwarze, kiedy chłód przenikał ją aż do kości.

Wydawało jej się wówczas, że już nigdy nie zazna ciepła. Była w dokach jeszcze dwukrotnie, ale ziąb zmusił klientów do wycofania się pod dach, do ciepłych burdeli. Tymczasem Addie przekonała się, że mróz wyzwala w paryżanach okrutne instynkty. Bogaci barykadowali się w swoich domach i siadali przy kominkach, podczas gdy na ulicach zima dziesiątkowała biednych. Nie dało się przed nią ukryć… albo inaczej – dało się, ale wszystkie kryjówki zostały zajęte.

Pierwszego roku Addie jest zbyt znużona, by walczyć o miejsce.

Zbyt zmęczona, by szukać schronienia.

Smaga ją kolejny zimny powiew, więc dziewczyna kuli się, a oczy zachodzą jej łzami. Skręca w wąską uliczkę, by uciec przed gwałtownym wiatrem. Nagła cisza i spokój ciepłej alejki, gdzie nie docierają mroźne podmuchy, sprawia, że uginają się pod nią nogi. Opada w zakamarek pod schodami i patrzy, jak palce jej sinieją. Zdaje jej się, że dostrzega szron na skórze i sennie zastanawia się nad przemianą, jaka ją dotknęła. Kiedy oddycha, z jej ust unosi się para, każdy wydech na krótko zasłania widok, a szare miasto rozpływa się w biel, w biel, w biel. To dziwne, jak świat wydaje się z każdym oddechem coraz bielszy, tak jakby chuchała na szybę. Addie zastanawia się, ilu oddechów trzeba, żeby całkiem się schował. Został wymazany, tak jak ona.

Może to jej wzrok się zaćmiewa?

Nie obchodzi jej to.

Jest zmęczona.

Jest bardzo zmęczona.

Nie uda się jej pozostać na jawie, a poza tym – po co miałaby próbować?

Sen jest miłosierny.

Może obudzi się dopiero na wiosnę, jak księżniczka w jednej z baśni ojca, na trawiastym brzegu Sarthe? A Estele trąci ją stopą w znoszonym trzewiku i będzie przezywać „śpiącą królewną”?

Tak wygląda śmierć.

A w każdym razie Addie przez chwilę myśli, że tak musi wyglądać śmierć.

Wokół niej panuje ciemność, mróz nie osłabia smrodu zgnilizny, a dziewczyna nie jest w stanie się poruszyć. Potem jednak przypomina sobie, że nie może umrzeć. Serce upiera się przy tym, żeby bić, a płuca – napełniać się powietrzem. Addie po chwili zdaje sobie sprawę, że jej ciało nie jest martwe, tylko przywalono je z każdej strony czymś ciężkim. Wokół niej pełno jest jakichś pakunków i na chwilę ogarnia ją panika, ale wciąż jeszcze nie obudziła się na dobre ze snu. Przewraca się i przygniatający ją ciężar przesuwa się nieco. Ciemność się otwiera, a przez szparę widać skrawek szarego nieba.

Addie wije się i wierci, aż udaje jej się wyswobodzić jedno ramię, a potem drugie: wyciąga je w górę. Dopiero gdy zaczyna przepychać się między pakunkami, wyczuwa pod płótnem kości, a potem jej dłoń trafia na woskowatą skórę, a potem jej palce zaplątują się w kosmyk czyichś włosów, i teraz już jest przytomna, och, jak bardzo przytomna: gorączkowo pełznie, przedziera się pomiędzy ciałami.

W końcu dociera do samej góry i na zewnątrz, a jej dłoń ląduje na kościstych plecach martwego mężczyzny. Zaraz obok spoglądają na nią niewidzące, szkliste oczy, a pod nimi widać szeroko otwarte usta. Addie gramoli się z wozu i spada na ulicę, prawie wymiotując i łkając, nadal wśród żywych.

Z jej piersi wydobywa się potworny dźwięk, ochrypły kaszel, coś pomiędzy płaczem a śmiechem.

Zaraz potem słychać wrzask. Dopiero po dłuższej chwili zdaje sobie sprawę, że nie dobiega on z jej popękanych ust. Na środku drogi stoi obszarpana kobieta z dłońmi uniesionymi do ust w geście przerażenia. Addie nie może jej winić za taką reakcję.

Ależ to musiał być dla niej wstrząs, kiedy zobaczyła, jak jeden z trupów wygrzebuje się ze stosu na wozie.

Kobieta żegna się znakiem krzyża, a Addie woła ochrypłym, złamanym głosem:

– Nie jestem martwa! – Tamta jednak oddala się chwiejnym krokiem, więc Addie wyładowuje wściekłość na wozie. – Nie jestem martwa! – krzyczy znów, kopiąc w drewniane koło.

– Hej! – wrzeszczy mężczyzna trzymający za nogi chudego, skurczonego truposza.

– Odsuń się! – krzyczy drugi, trzymający te same zwłoki za ramiona.

Oczywiście nie pamiętają, jak wsadzali ją na wóz. Addie wycofuje się, a oni z rozmachem dorzucają najnowsze ciało na stos. Ląduje na pozostałych z mdlącym łomotem, a jej żołądek kurczy się na myśl, że była przed chwilą częścią tego ładunku, nawet jeżeli na krótko.

Woźnica strzela z bata i konie powoli ruszają, koła turkoczą na bruku. Dopiero kiedy wóz zniknie za zakrętem, a Addie wsunie drżące dłonie do kieszeni skradzionego płaszcza, zda sobie sprawę, że są puste.

Drewniany ptaszek zniknął.

Ostatni ślad jej przeszłości odjechał ze stosem trupów.

Przez następne miesiące za każdym razem, kiedy sięgnie po figurkę, dłoń z nawyku będzie błądzić po kieszeni tym samym gestem, jakim mogłaby odgarniać niesforny lok. Nie będzie przypominać swoim palcom, że już nic nie znajdą, ani sercu, które zatrzyma się na chwilkę za każdym razem, kiedy dziewczyna zorientuje się, że kieszeń jest pusta. Poza smutkiem będzie jednak czuć również wielką ulgę. Od opuszczenia Villon wiele razy obawiała się utraty tej ostatniej pamiątki.

Teraz, po zniknięciu ptaszka, pod żalem wyczuwa skrywane zadowolenie.

Pękło ostatnie, kruche ogniwo łączące ją z poprzednim życiem. Addie została naprawdę, skutecznie i na dobre wyzwolona.

Paryż
29 lipca 1715

IV

„Marzycielka” to za delikatne słowo.

Wyczarowuje w umyśle słuchacza skojarzenia z jedwabistym snem, z leniwymi dniami spędzanymi w wysokiej trawie, ze smugami węgla na miękkim pergaminie.

Addie wciąż trwa przy tych marzeniach, ale jednocześnie uczy się, jak być ostrzejszą. Mniej dłonią artysty, a bardziej nożem, temperującym czubek ołówka.

– Nalej mi – rozkazuje, wyciągając butelkę, a mężczyzna wyciąga korek i napełnia dwa kieliszki, wyjęte z niskiej półki w wynajętym pokoju. Wręcza jej jeden z nich, lecz Addie nie dotyka szkła. Mężczyzna wychyla swój kielich jednym łykiem, a zaraz potem odstawia go i sięga ku jej sukni. – Po co ten pośpiech? – pyta dziewczyna, powstrzymując jego dłoń. – Zapłaciłeś za pokój, mamy całą noc.

Stara się go nie odpychać, a raczej sprawiać wrażenie, że opór wynika z fałszywego wstydu. Niektórzy mężczyźni, jak odkryła, czerpią przyjemność z lekceważenia kobiet. Addie unosi swój kieliszek do jego głodnych ust i wlewa czerwony płyn pomiędzy wargi tamtego, starając się zrobić to uwodzicielsko, a nie na siłę.

Klient wypija całe wino, a potem odtrąca kieliszek. Niezgrabnie łapie ją za biust, walcząc ze sznurówkami i gorsetem.

– Nie mogę się docze... – bełkocze, lecz narkotyk w winie zaczyna działać, więc mężczyzna wkrótce milknie, a język zmienia mu się w bezwładną kluchę.

Opada na łóżko, wciąż trzymając ją za suknię, a chwilę później wywraca oczami i kładzie się na boku, zasypiając, jeszcze zanim jego głowa spocznie na cienkiej poduszce.

Addie pochyla się i pcha, aż niedoszły klient spadnie z łóżka, waląc się na podłogę jak worek ziarna. Wydaje z siebie zduszony jęk, ale nadal śpi.

Dziewczyna może już poluzować sznurówki sukni i znów swobodnie oddychać. Sukienka wedle paryskiej mody jest dwa razy ciaśniejsza od wiejskiej i w połowie tak praktyczna.

Wyciąga się na łóżku, wdzięczna, że ma je tylko dla siebie, przynajmniej na tę noc. Nie chce myśleć o jutrzejszym poranku, kiedy zostanie zmuszona zacząć wszystko od nowa.

Na tym polega szaleństwo całej sytuacji. Każdy dzień wygląda niczym bursztyn, w którym jest uwięziona jak mucha. Nie da się myśleć z wyprzedzeniem kilku dni lub tygodni, jeśli człowiek żyje chwilą. Czas zaczyna tracić swoje znaczenie, a mimo to Addie nie traci jego poczucia. Nie może się pomylić, choćby chciała, więc doskonale wie, jaki to miesiąc, dzień i wieczór. Wie, że minął już rok.

Rok, od kiedy uciekła przed ślubem.

Rok, od kiedy pobiegła do lasu.

Rok, od kiedy sprzedała duszę za to. Za wolność. Za czas.

Rok, podczas którego uczyła się ograniczeń nowego życia.

Krążyła, spętana przez klątwę, jak lew w klatce (teraz już widziała lwy, które przywieziono do Paryża wiosną w menażerii. Nie wyglądały jak bestie z jej wyobraźni: o wiele wspanialsze i o wiele żałośniejsze, o majestacie pomniejszonym przez rozmiary klatek. Addie oglądała je tuzin razy, uważnie przyglądała się ich smutnym spojrzeniom, skierowanym pomiędzy widzami w kierunku wejścia do namiotu, jedynego skrawka wolności).

Spędziła ten rok związana warunkami umowy, zmuszona, by cierpieć, lecz nie umierać, czuć głód, ale nie chudnąć, pragnąć, ale nie usychać. Każda chwila odcisnęła się w jej pamięci, lecz ona sama znika ze wspomnień innych, jeśli choć na chwilę zniknie z widoku. Wystarczy najmniejszy bodziec, zamknięte drzwi, chwila snu. Nie może pozostawić znaku w niczyim umyśle ani na żadnym przedmiocie.

Dotyczy to także mężczyzny bezwładnie leżącego na podłodze.

Wyciąga z kieszeni spódnicy zakorkowaną buteleczkę laudanum i unosi ją pod światło. Po trzech próbach i zmarnowaniu dwóch fiolek cennego leku zorientowała się, że sama nie może zaprawić nim trunku, jej dłoń nie może narobić szkód, ale jeśli wleje laudanum do butelki wina i zakorkuje ją z powrotem, a potem pozwoli, by ofiara sama nalała go do kieliszków, to nie ona jest za wszystko odpowiedzialna.

Widzicie?

Addie się uczy.

Chociaż to edukacja naznaczona samotnością.

Przechyla butelkę, resztka mlecznobiałej substancji przelewa się w szkle, a dziewczyna zastanawia się, czy gdyby ją wypiła, przespałaby całą noc bez marzeń, głębokim, spokojnym, narkotycznym snem.

– Jakież rozczarowanie!

Na dźwięk tego głosu Addie niemal upuszcza laudanum. Rozgląda się badawczo po pokoiku, ale nie znajduje mówiącego.

– Przyznaję, moja droga, że oczekiwałem czegoś więcej.

Głos wydaje się dochodzić ze wszystkich mrocznych miejsc, a potem tylko z jednego. Gromadzi się w najciemniejszym kącie pokoju jak dym, aż wreszcie przybiera znaną postać i wychodzi w krąg światła rzucanego przez płomień świecy. Czarne loki rozsypują mu się na czole, cienie czają w zagłębieniach jego twarzy, a zielone oczy gorzeją własnym, wewnętrznym światłem.

Na widok nieznajomego serce zdradziecko wyrywa się jej z piersi, aż Addie przypomina sobie, że to tylko on.

Cień z lasu.

Żyła pod jego klątwą przez rok i w tym czasie przyzywała go wiele razy. Błagała go nocami, wrzucając do Sekwany monety, na których utratę nie mogła sobie pozwolić, żebrała o spotkanie, tak by mogła wreszcie zapytać: dlaczego, dlaczego, dlaczego.

Teraz rzuca buteleczką laudanum prosto w jego głowę.

Cień ani drgnie. Nie musi jej łapać. Fiolka przelatuje przez niego na wskroś i rozbija się o ścianę. On uśmiecha się do niej z politowaniem.

– Witaj, Adeline.

„Adeline”. Myślała, że już nigdy nie usłyszy tego imienia. Jego brzmienie boli ją niczym siniak, mimo że w głębi serca jest nim

zachwycona.

– To ty! – rzuca.

Cień pochyla lekko głowę i krzywi usta w uśmiechu.

– Tęskniłaś?

Pędzi ku niemu jak buteleczka laudanum sprzed chwili, na wpół oczekując, że przeleci na wylot i roztrzaska się o ścianę, ale jej dłonie napotykają istotę z krwi i kości, a przynajmniej dobrą jej iluzję. Wali pięściami w jego twardą pierś, lecz równie dobrze mogłaby uderzać w drzewo – byłoby to równie bezsensowne.

Spogląda na nią, rozbawiony.

– Widzę, że tak.

Odrywa się od niego. Chce jej się wrzeszczeć, wściekać, łkać.

– Zostawiłeś mnie. Zabrałeś mi wszystko i odszedłeś. Wiesz, ile nocy błagałam…

– Słyszałem cię – przerywa z okrutną radością.

Addie rzuca mu wściekły, pogardliwy uśmiech.

– Ale nie przyszedłeś!

Ciemność rozpościera dłonie, tak jakby chciała powiedzieć: „A teraz jestem”. Dziewczyna chce go uderzyć, mimo że to bez sensu, chce przegnać go, wyrzucić z tego pokoju, ale musi najpierw zapytać, musi wiedzieć.

– Dlaczego? Dlaczego mi to zrobiłeś?

Jego ciemne brwi unoszą się w fałszywym zdumieniu, z udawanym przejęciem.

– Spełniłem twoje życzenie.

– Prosiłam tylko o więcej czasu, o wolność w życiu…

– Dałem ci obie te rzeczy. – Wskazuje łóżko. – Ubiegły rok nie odbił się na twoim zdrowiu… – Przerywa mu zdławionym warknięciem, ale on ciągnie: – Jesteś nietknięta, prawda? Nie masz żadnych ran. Nie starzejesz się. Nie marniejesz. A co do wolności, to czy ktokolwiek został wyzwolony bardziej od ciebie? Za swoje czyny nie odpowiadasz przed nikim.

– Wiesz, że nie tego chciałam.

– Nie wiedziałaś, czego właściwie chcesz – mówi ostro, podchodząc do niej. – A jeżeli wiedziałaś, powinnaś być ostrożniejsza.

– Zwiodłeś mnie…

– Zgrzeszyłaś – odzywa się cień, niemal dotykając jej ciała. – Nie pamiętasz, Adeline? – obniża głos do szeptu. – Byłaś tak arogancka, tak bezczelna. Potykałaś się o słowa jak o korzenie. Gadałaś o wszystkim, czego nie chciałaś.

Jest teraz bardzo blisko, jego dłoń wędruje po jej ramieniu, a ona zmusza się, żeby nie dać mu satysfakcji, nie wycofać się, nie pozwolić, żeby zagrał wilka i zmusił ją do odegrania roli owcy… ale to trudne. Mimo że wygląda jak nieznajomy z jej marzeń, nie jest mężczyzną ani nawet człowiekiem. To tylko maska, która na niego nie pasuje. Addie dostrzega to, co się za nią kryje, bezkształtne i bezkresne, potworne i przerażające. Za spojrzeniem szmaragdowych oczu migocze ciemność.

– Prosiłaś o wieczność, a ja powiedziałem: nie. Błagałaś i prosiłaś, a potem… pamiętasz, co powiedziałaś? – kiedy znów się odzywa, jego głos nadal należy do niego, ale dziewczyna słyszy w nim echo własnych słów.

„Odbierz mi życie, kiedy będę go miała dość. Możesz sobie wziąć moją duszę, kiedy nie będę jej już chciała”.

Wycofuje się z dala od tych słów, od niego, a w każdym razie próbuje, ale tym razem cień jej na to nie pozwala. Dłoń zaciska się na jej ramieniu, a druga spoczywa na jej karku, jakby w miłosnym geście.

– Czyż nie leżało w moim interesie, by uczynić twoje życie nieprzyjemnym? Naciskać cię, byś w końcu się poddała?

– Nie musiałeś – szepcze, nienawidząc drżenia w swoim głosie.

– Moja droga Adeline – mówi cień, a jego dłoń prześlizguje się z jej karku we włosy. – W moim interesie liczą się ludzkie dusze, nie litość. – Jego palce zaciskają się, odchylając głowę dziewczyny i zmuszając ją do spojrzenia mu prosto w oczy. W jego twarzy nie ma czułości, jest natomiast feralne piękno.

– Chodź – szepcze. – Daj mi to, czego chcę, a umowa zostanie wypełniona i twoja niedola się skończy.

Dusza w zamian za rok, jeden rok, rozpaczy i szaleństwa?

Dusza za miedziaki w paryskich dokach?

Dusza? Za całe cierpienie i nic więcej?

A mimo to skłamałaby, twierdząc, że nie zadrżała, że żadna część jej umysłu nie chciała się poddać, ugiąć pod presją, nawet jeżeli tylko przez

chwilę. Pewnie ta sama część, która zadaje pytanie:

– I czym się wtedy stanę?

Cień wzrusza lekceważąco ramionami, tymi, które tyle razy rysowała, które to ona powołała do istnienia.

– Niczym, moja droga – mówi bez ogródek. – Ale lepsze nic niż to życie. Poddaj się, a uwolnię cię od cierpienia.

Jeśli nawet jakaś mała część umysłu Addie zadrżała i chciała zrezygnować z umowy, to trwało to tylko przez chwilę. Marzycielka musi być uparta.

– Odmawiam – warczy.

Cień spogląda na nią z wściekłością, a zielone oczy ciemnieją niczym szmata nasiąkająca wilgocią.

Jego ręce opadają.

– Dasz za wygraną – syczy. – Już wkrótce.

Nie cofa się ani nie odwraca, żeby odejść. Po prostu znika, pochłonięty przez ciemność.

Nowy Jork
13 marca 2014

V

Henry Strauss nigdy nie był rannym ptaszkiem.

Chociaż chciałby nim być. Marzy, by wstawać o wschodzie słońca, pić pierwszą kawę, kiedy miasto wciąż jeszcze się budzi, i mieć przed sobą dobrze zapowiadający się dzień.

Ba, próbował być rannym ptaszkiem. Pewnego razu zdołał wstać przed świtem i było to doprawdy ekscytujące: patrzył, jak świat budzi się do życia, i czuł, przynajmniej przez chwilę, że go wyprzedza, zamiast z trudem za nim nadążać. Potem jednak zasiedział się w nocy, kolejny dzień zaczął się później, a teraz czuje, jakby w ogóle nie miał czasu. Jakby zawsze się na coś spóźniał.

Dzisiaj na przykład będzie to śniadanie z Muriel, jego młodszą siostrą.

Biegnie ulicą, w głowie wciąż jeszcze lekko mu dzwoni po poprzednim wieczorze, i najchętniej odwołałby to spotkanie. Powinien je odwołać, odwoływał je jednak już trzy razy w ciągu ostatniego miesiąca i nie chce być gównianym braciszkiem. Muriel próbuje tylko być dobrą siostrą i jest to całkiem miłe. A w dodatku to coś nowego.

Nigdy wcześniej tu nie był. To nie jedna z lokalnych kawiarni (chociaż prawdę mówiąc, Henry unika kafejek w pobliżu. Jedna kojarzy mu się z Vanessą, druga z Milo, a espresso w trzeciej smakuje jak węgiel drzewny). Dlatego pozwolił wybierać Muriel, a ona zaproponowała „pewną uroczą dziurkę” znaną jako Słonecznik, która najwyraźniej nie ma szyldu ani adresu, a jedyny sposób, żeby ją znaleźć, to jakiś hipsterski radar, którym natura oczywiście nie obdarzyła Henry’ego.

W końcu dostrzega pojedynczy słonecznik, namalowany od szablonu na murze po przeciwnej stronie ulicy. Biegnie, żeby zdążyć na zielonym, wpada na rogu na obcego faceta i mamrocze przeprosiny (chociaż tamten mówi, że nic się nie stało, nic się nie stało, zupełnie nic się nie stało). Kiedy w końcu znajduje wejście, kelnerka już ma mu powiedzieć, że brakuje wolnych miejsc, ale gdy patrzy na niego zza pulpitu, uśmiecha się i mówi, że zaraz coś ogarnie.

Henry rozgląda się za Muriel. Zawsze miała elastyczne podejście do punktualności, więc właśnie spóźnia się jeszcze bardziej niż on. W głębi duszy jest zadowolony, ponieważ to daje mu chwilę na oddech, na przygładzenie włosów i uwolnienie się od szalika, który próbuje go udusić… a nawet na zamówienie kawy. Próbuje poprawić swój wygląd, mimo że to bez znaczenia: nie zmieni tego, co widzi jego siostra. Dla niego jednak ma to znaczenie. Musi mieć.

Pięć minut później do kawiarni wpada Muriel. Jak zwykle wygląda i porusza się niczym tornado ciemnych loków i niezachwianej pewności siebie.

Muriel Strauss w wieku dwudziestu czterech lat opisuje świat w kategoriach „autentyczności pojęciowej” oraz „prawdy kreatywnej”. Zdążyła już zostać pieszczoszką artystycznych scen Nowego Jorku, ale była nią tylko do ukończenia pierwszego semestru na Tischu. Szybko zdała sobie sprawę, że dużo lepiej wychodzi jej krytyka sztuki niż jej tworzenie.

Henry naprawdę uwielbia siostrę, ale Muriel zawsze była niczym mocne perfumy.

Najlepsza w małych dawkach i z pewnej odległości.

– Henry! – krzyczy, zrzucając płaszcz i opadając z dramatyzmem na krzesło. – Wyglądasz świetnie – mówi, co nie jest prawdą.

Jej brat odpowiada tylko:

– Ty też, Mur.

Muriel uśmiecha się szeroko i zamawia flat white, a Henry przygotowuje się wewnętrznie na krępującą ciszę. Szczerze mówiąc, nie ma pojęcia, o czym miałby rozmawiać z siostrą. Na szczęście Muriel jest mistrzynią w podtrzymywaniu konwersacji, więc jej brat sączy czarną kawę i rozsiada się wygodnie, podczas gdy ona omawia najpierw najnowszy skandal w tymczasowej galerii sztuki, potem swoje plany na

Paschę, a wreszcie zachwyca się najnowszym festiwalem sztuki eksperymentalnej w parku High Line, chociaż jeszcze się nie zaczął. Dopiero kiedy kończy ciskać gromy na pewne dzieło sztuki ulicznej, które bezsprzecznie nie było kupą śmieci, ale komentarzem do marnotrawstwa kapitalizmu, podczas gdy Henry zachęcająco chrząka i przytakuje, Muriel przypomina sobie o ich starszym bracie.

– Pytał o ciebie.

Jeszcze nigdy nie powiedziała czegoś takiego. Nie chodzi o Davida: nigdy nie powiedziała czegoś takiego Henry'emu.

Dlatego Henry nie może się powstrzymać.

– Dlaczego?

Jego siostra przewraca oczami.

– Pewnie dlatego, że mu na tobie zależy.

Niewiele brakuje, żeby Henry zakrztusił się kawą.

Davidowi Straussowi zależy na wielu rzeczach: na swoim statusie najmłodszego szefa oddziału chirurgicznego w szpitalu Sinai i zapewne na zdrowiu pacjentów. Zawsze znajduje czas na lekturę Midrasza, nawet jeżeli musi to zrobić w środku tygodnia i późnym wieczorem. Dba o swoich rodziców, dumnych z jego osiągnięć. Davida Straussa nie obchodzi natomiast młodszy brat, chyba że mowa o tym, jak ten brat rujnuje reputację rodziny.

Henry spogląda na zegarek, mimo że nie pokazuje on aktualnej godziny – ani właściwie żadnej, jeśli już o to chodzi.

– Sorki, siostra – mówi, odsuwając krzesło. – Muszę otworzyć interes.

Muriel przerywa tyradę (chociaż nigdy tego nie robiła!) i wstaje od stolika, żeby objąć go ramionami w pasie i mocno uściskać, tak jakby miały to być przeprosiny, wyraz czułości, a może nawet miłości. Jest o głowę niższa od brata, co wystarczyłoby, żeby mógł oprzeć podbródek na jej głowie, gdyby byli sobie tak bliscy (ale nie są).

– Nie izoluj się od nas – prosi, a Henry przyrzeka, że nie będzie.

Nowy Jork
13 marca 2014

VI

Addie budzi się, kiedy ktoś dotyka jej policzka.

Tak delikatnie, że z początku myśli, iż to sen, ale w końcu otwiera oczy i widzi światełka choinkowe na dachu, a potem zmartwioną Sam, kucającą obok leżaka. Wokół głowy ma imponującą blond grzywę rozpuszczonych włosów.

– Cześć, śpiąca królewno! – mówi, wkładając z powrotem do paczki niezapalonego papierosa.

Addie otrząsa się i siada, okrywając się kurtką. Jest chłodny, pochmurny poranek. Niebo wygląda jak połać bieli, bez słońca. Nie planowała spać tak długo. Nie żeby musiała dokądkolwiek zdążyć, ale poprzedniego wieczoru, kiedy jeszcze czuła palce, wydawało jej się to całkiem niezłym pomysłem.

Odyseja spadła jej z kolan i leży teraz na dachu z okładką mokrą od porannej rosy. Addie podnosi ją, próbuje otrzepać i wygładza kartki tam, gdzie się pozaginały i pobrudziły.

– Można tu zamarznąć – oznajmia Sam, pomagając Addie wstać. – Chodź.

Zawsze wyraża się w ten sposób: stwierdzenia zamiast pytań, rozkazy, które brzmią jak zaproszenia. Teraz ciągnie towarzyszkę ku drzwiom, a Addie jest zbyt zziębnięta, by protestować. Idzie za Sam po schodach do jej mieszkanka, udając, że nie zna drogi.

Drzwi otwierają się, ukazując prawdziwe szaleństwo.

Korytarz, sypialnia i kuchnia pełne są dzieł sztuki i przeróżnych artefaktów. Jedyne puste pomieszczenie to przestronny salonik,

znajdujący się na tyłach mieszkania. Nie ma tam kanapy ani stołu, są natomiast dwa wielkie okna, sztaluga i stołek.

– Tutaj zarabiam na życie – powiedziała Sam, kiedy po raz pierwszy przyprowadziła Addie do domu.

A tamta odparła:

– Domyślam się.

Sam upchnęła wszystkie swoje rzeczy w trzech czwartych mieszkania, żeby zachować w pozostałej części spokój i ciszę. Przyjaciel proponował jej przestrzeń do pracy na szalenie korzystnych warunkach, ale było tam zimno, a ona potrzebuje do pracy ciepła.

– Przepraszam – mówi teraz Sam, przeciskając się koło płótna i przeskakując nad skrzynką. – Trochę tu aktualnie ciasno.

Addie nigdy nie widziała tego mieszkania w innym stanie. Z przyjemnością obejrzałaby, nad czym pracuje Sam, i dowiedziała się, dlaczego artystka ma pod paznokciami białą farbę i smugę różu na szyi pod uchem. Zamiast tego posłusznie idzie za nią do kuchni, ostrożnie omijając bałagan. Sam włącza jednym pstryknięciem ekspres do kawy, a wzrok Addie prześlizguje się po wnętrzu, rejestrując zmiany. Nowy fioletowy wazon, stos rozpoczętych, ale nieskończonych książek, pocztówka z Włoch. Ciągle rosnąca kolekcja kubków, z niektórych wyrastają czyste pędzle.

– Malujesz – mówi, kiwając głową ku rzędowi płócien opartych o kuchenkę.

– Tak jest – potwierdza Sam z uśmiechem. – Głównie abstrakcje. Sztuka nonsensu, jak ją nazywa mój przyjaciel Jake. Ale to nie nonsens, chodzi tylko o to, że… inni ludzie malują to, co widzą, a ja to, co czuję. Może to mylące, zamiana jednego zmysłu na inny, ale ja uważam, że to piękne.

Sam nalewa kawę do dwóch kubków, jednego zielonego, szerokiego jak miska, a drugiego wysokiego i niebieskiego.

– Koty czy psy? – pyta, zamiast „zielony czy niebieski”, mimo że na żadnym kubku nie ma niczego, co by przypominało koty albo psy.

Addie mówi:

– Koty.

Sam bez słowa wyjaśnienia wręcza jej wysoki niebieski kubek.

Ich palce dotykają się na chwilę. Stoją bliżej, niż myślała Addie, dość blisko, by dostrzegła pasemka srebra na błękitnych tęczówkach Sam, dość blisko, by Sam mogła policzyć piegi na jej twarzy.

– Masz tu gwiazdy – mówi.

„Déjà vu", myśli znów Addie. Wolałaby odsunąć się i wyjść, by nie przeżywać na nowo szaleństwa tej sytuacji. Zamiast tego obejmuje kubek dłońmi i bierze dłuższy łyk. Kawa w pierwszej chwili wydaje się mocna i gorzka, ale pozostawia na języku bogaty, słodki posmak.

Wzdycha z przyjemnością, a Sam uśmiecha się olśniewająco.

– Dobre, prawda? – pyta. – Cała tajemnica to…

„Pokruszone ziarna kakaowca", myśli Addie.

– …pokruszone ziarna kakaowca – mówi Sam, i również przełyka kawę ze swojego kubka, który, jak wydaje się teraz Addie, jest w istocie miseczką. Malarka opiera się na kuchennym blacie i zwiesza głowę nad kawą, tak jakby składała ją w ofierze.

– Wyglądasz jak zwiędły kwiat – kpi Addie.

Sam mruga do niej i unosi kubek.

– Podlej mnie i patrz, jak zakwitam.

Addie nigdy nie widziała jej rano w takiej formie. Oczywiście budziła się koło niej, ale były to niespokojne poranki, naznaczone przeprosinami. Efekt braku wspomnień. Nikomu nie zależy na tym, żeby przedłużać takie chwile. Teraz jednak jest inaczej. To pierwsze poranne wspomnienie.

Sam kręci głową.

– Przepraszam, nie zapytałam nawet, jak się nazywasz.

To jedna z rzeczy, które Addie w niej kocha, jedna z pierwszych jej cech, które zauważyła. Sam żyje i kocha całym sercem, dzieląc się ciepłem, które większość ludzi rezerwuje tylko dla najbliższych. Najpierw potrzeba chwili, potem rozsądek. Zaprosiła Addie do domu, ogrzała ją, a dopiero teraz przyszło jej do głowy, żeby zapytać o imię.

– Madeline – mówi Addie. To najbliższe prawdy.

– Umm – mruczy Sam. – Marka moich ulubionych ciastek. A ja jestem Sam.

– Cześć, Sam – wita się Addie, tak jakby smakowała to imię po raz pierwszy.

– Aha, a co robiłaś na dachu? – pyta tamta, tak jakby dopiero teraz przyszło jej to do głowy.

– Och – odpowiada Addie, uśmiechając się z zakłopotaniem. – Nie planowałam tam zasnąć. Nawet nie pamiętam, jak siadałam na leżaku. Musiałam być bardziej zmęczona, niż mi się wydawało. Właśnie się wprowadziłam, pod 2F, i chyba jeszcze nie przywykłam do całego tego hałasu. Nie mogłam spać, aż w końcu odpuściłam i poszłam na górę, złapać trochę świeżego powietrza i popatrzeć na wschód słońca nad miastem.

Kłamstwa przychodzą jej łatwo dzięki wieloletniej praktyce.

– To jesteśmy sąsiadkami! – cieszy się Sam. – Wiesz co – dodaje, odstawiając pusty kubek – z przyjemnością bym cię kiedyś namalowała.

Addie zwalcza ochotę, by powiedzieć: „Ależ już to zrobiłaś!”.

– To znaczy nie wyglądałoby to dokładnie jak ty – ciągnie Sam, idąc do korytarza. Addie podąża za nią i patrzy, jak tamta się zatrzymuje i przesuwa palcami po rządku obrazów, a potem przekłada je niczym winylowe płyty w sklepie muzycznym. – Mam tu taką serię, nad którą pracuję – wyjaśnia. – Człowiek jako niebo.

Tępy ból odzywa się echem w sercu Addie, gdy przypomina sobie, jak pół roku wcześniej leżały w łóżku, a Sam rysowała palcami linie łączące piegi na jej policzkach, lekkim ruchem, tak jakby muskała je pędzlem.

– Wiesz, mówią, że ludzie są jak płatki śniegu, każdy z nich inny – powiedziała – ale ja uważam, że każdy człowiek jest jak niebo. Niektórzy bywają pochmurni, inni wzburzeni, jeszcze inni pogodni, ale żaden z nich nie jest taki sam.

– A jakim rodzajem nieba ja jestem? – zapytała wtedy. Sam popatrzyła na nią przeciągle, nie mrugając, a potem cała pojaśniała, zupełnie tak jak setki artystów, których widziała Addie, setki razy, blaskiem nagłej inspiracji, tak jakby ktoś zapalił jej pod skórą żarówkę. Nagle ożywiona, wyskoczyła z łóżka, ciągnąc za sobą Addie do salonu.

Przez godzinę siedziała na parkiecie, owinięta tylko w koc, słuchając mamrotania Sam mieszającej farby, skrzypienia pędzla na płótnie, a potem nagle się skończyło, a kiedy Addie podeszła, żeby obejrzeć obraz, zobaczyła nocne niebo. Ale nie takie, jakie mógłby namalować każdy. Śmiałe pociągnięcia grafitowej i smolistej czerni, a pomiędzy nimi cienkie

skrawki jaśniejszej szarości, nakładane tak grubą warstwą, że niemal wystawały z płótna. Na tej powierzchni widniała garść rozrzuconych srebrnych kropek. Wydawały się przypadkowo rozmieszczone, tak jakby kapnęły z pędzla, ale było ich dokładnie siedem, małych i odległych jak gwiazdy.

Głos Sam sprawia, że Addie powraca ze wspomnień do kuchni.

– Żałuję, że nie mogę ci pokazać mojego ulubionego – mówi malarka. – Pierwszy obraz z serii, Pewna zapomniana noc. Opchnęłam go jednemu kolekcjonerowi na Lower East Side. To była pierwsza poważna rzecz, którą sprzedałam. Zapewniła mi trzymiesięczny czynsz i dzięki niej trafiłam do galerii. Mimo wszystko trudno mi się rozstawać ze sztuką. Wiem, że musiałam, bo koncepcja głodującego artysty jest stanowczo przereklamowana, ale codziennie tego żałuję. – Głos jej łagodnieje. – Najbardziej zwariowane jest to, że każdy obraz z tej serii jest inspirowany przez jakąś osobę. Przyjaciół, sąsiadów, nieznajomych z ulicy… pamiętam wszystkich, ale za żadne skarby nie mogę sobie przypomnieć, kim była tamta modelka.

Addie przełyka ślinę.

– Myślisz, że to dziewczyna?

– Taa, pewnie. W tym obrazie była taka energia…

– Może ci się przyśniła?

– Może – rozważa Sam. – Nigdy nie pamiętałam snów. Ale wiesz co… – milknie, patrząc na Addie tak jak tamtej nocy w łóżku, i jej twarz się rozjaśnia. – Przypominasz mi ten obraz. – Dotyka dłonią jej twarzy. – Boże, to brzmi jak najgorszy tekst na podryw, jaki mogę sobie wyobrazić. Przepraszam. Pójdę wziąć prysznic.

– Powinnam już zmykać – oznajmia Addie. – Dziękuję za kawę.

Sam przygryza wargę.

– Musisz?

Nie, nie musi. Addie wie, że mogłaby towarzyszyć tamtej pod prysznicem, owinąć się ręcznikiem, usiąść na podłodze salonu i zobaczyć, jaki obraz Sam wymyśli dzisiaj. Mogłaby. Mogłaby. Mogłaby rozpoczynać tę chwilę przez wieczność, ale wie, że nie ma żadnej przyszłości. Tylko nieskończoną liczbę teraźniejszości, a przeżyła ich już z Sam tyle, ile mogła znieść.

– Przepraszam – mówi z bólem w sercu, lecz Sam tylko wzrusza ramionami.

– Zobaczymy się jeszcze – stwierdza ufnie. – Jesteśmy przecież sąsiadkami.

Addie zdobywa się na blady uśmiech.

– Prawda.

Sam odprowadza ją do drzwi, a Addie z każdym krokiem musi opierać się pokusie zerknięcia za siebie.

– Tylko się nie izoluj od sąsiadów! – mówi malarka.

– Nie będę – obiecuje Addie. Drzwi się zamykają. Opiera się o nie i wzdycha, słuchając kroków Sam oddalających się przez zagracony korytarz, a potem prostuje się i odchodzi stamtąd.

Na zewnątrz okazuje się, że marmurowo białe niebo popękało, a w szczelinach widać cienkie wstążki błękitu.

Mróz już sobie poszedł, toteż Addie znajduje kawiarnię z ogródkiem, wystarczająco zatłoczoną, żeby kelner przechodził pomiędzy stolikami na zewnątrz nie częściej niż co dziesięć minut, i zamawia kawę, nie tak dobrą jak u Sam, gorzką, bez śladu słodyczy, ale dość ciepłą, by przegonić resztki chłodu. Stawia kołnierz kurtki, znów otwiera Odyseję i próbuje ją czytać.

O proszę, tu Odyseusz myśli, że zmierza do domu, by ostatecznie wrócić do Penelopy po potwornościach wojny, ale czytała tę historię już dość wiele razy, by wiedzieć, jak daleko jeszcze do końca jego podróży.

Przewraca kartki.

„Czy w rzece będę
spędzał noce na utrapionym
czuwaniu, omdlały, aż chłód
zjadliwy i rześka rosa zdławią
gasnące tchnienie? Od rzeki
wieje wczesnym rankiem zimny
wiatr”[2].

Kelner znów wystawia głowę na zewnątrz, a Addie podnosi wzrok znad książki i patrzy, jak chłopak marszczy czoło na widok zamówionej i przyniesionej na stolik kawy, usiłując wypełnić lukę w pamięci i przypomnieć sobie, jak obsługiwał tę klientkę. Dziewczyna wydaje się jednak siedzieć tu od dłuższej chwili i w tym momencie bitwa jest już

w połowie wygrana, tym bardziej że zaraz potem kelner zwraca uwagę na parę przy wejściu, czekającą na wolne miejsce.

Wraca do czytania, ale to bez sensu: nie jest w nastroju na starych facetów zagubionych na morzu ani na przypowieści o samotności. Wolałaby dać się porwać lekturze, zapomnieć o całym świecie. Może jakaś fantastyka albo romans?

Kawa jest już i tak całkiem zimna, więc Addie wstaje z książką w dłoni i rusza w kierunku Ostatniego Słowa, żeby znaleźć coś nowego.

[2] Homer, Odyseja w przekładzie Jana Parandowskiego.

Paryż
29 lipca 1716

VII

Addie stoi pod markizą sklepu kupca bławatnego.

Po przeciwnej stronie ulicy kipi aktywnością pracownia krawiecka, nienarzekająca na brak klientów nawet teraz, pod koniec dnia. Pot ścieka po karku dziewczyny, kiedy odwiązuje i zawiązuje z powrotem czepek, ratując go przed podmuchem wiatru. Ma nadzieję, że ten kawałek materiału pozwoli jej uchodzić za pokojówkę wielkiej pani i zapewni niewidzialność zarezerwowaną dla służby. Jeśli Bertin uzna ją za służącą, nie będzie się przyglądał zbyt uważnie i być może nie zauważy jej sukienki, ściągniętej z manekina tydzień wcześniej w podobnym sklepie po drugiej stronie Sekwany. Z początku był to całkiem ładny strój, dopóki Addie nie rozerwała spódnicy o wystający gwóźdź, ktoś nie wysypał wiadra popiołu za blisko jej stóp i nie poplamiła rękawa czerwonym winem. Zapraszam na exsites.pl

Addie żałuje, że jej ubrania nie są tak odporne na zmiany jak ona sama, zwłaszcza że ma tylko tę jedną sukienkę. Nie ma sensu kolekcjonować garderoby ani niczego innego, jeśli nie ma się miejsca, gdzie można to schować (w późniejszych latach będzie próbowała chować błyskotki niczym sroka w gnieździe, ale coś zawsze się sprzysięgnie, żeby wykraść je z powrotem. Tak jak drewnianą figurkę ptaszka, zgubioną wśród zwłok na wozie. Wygląda na to, że nie jest w stanie zachować niczego na dłużej).

W końcu ostatni klient opuszcza pracownię – to lokaj niosący pod pachami dwa pudła owinięte wstążkami – i zanim ktokolwiek inny wejdzie do sklepu, Addie spieszy przez ulicę prosto do drzwi krawca.

To wąski lokal. Przestrzeń zajmuje stół, na którym piętrzą się bele tkanin, obok stoją dwa manekiny krawieckie z najnowszymi modelami sukni: z watowanymi biodrami, marszczonymi rękawami i gorsetem zbyt ciasnym, by normalnie oddychać. Żeby taką włożyć, trzeba co najmniej dwóch par rąk, i tyluż, żeby ją zdjąć. W tym okresie najwytworniejsze paryżanki funkcjonują niczym mocno zawiązane paczki, których najwyraźniej nie należy otwierać.

Dzwoneczek przy drzwiach oznajmia jej przybycie, a krawiec, monsieur Bertin, patrzy na nią kwaśno spod brwi gęstych niczym zarośla jeżyn.

– Zamykam już – oznajmia sucho.

Addie, wzór dyskrecji, pochyla głowę.

– Przyszłam na polecenie madame Lautrec.

Podsłuchała to nazwisko podczas kilku spacerów, ale to właściwa riposta. Krawiec prostuje się, nagle tryskając entuzjazmem.

– Jestem do usług państwa Lautreców – mówi, chwytając tabliczkę i ołówek, a Addie drgają palce. Przez moment żałuje, że nie może już rysować tak jak dawniej. – To jednak dziwne – zastanawia się krawiec na głos, rozprostowując dłonie – że madame wysłała pokojówkę, a nie lokaja.

– Zachorował – odpowiada gładko Addie. Uczy się kłamać, płynąć z prądem konwersacji, nadążać za rozmówcą. – Dlatego wysłała mnie, a nie jego. Madame życzy sobie wyprawić bal, i dlatego potrzebuje nowej sukni.

– Ależ oczywiście – zgadza się Bertin. – Masz jej rozmiar?

– Tak.

Patrzy na nią, oczekując, że wyciągnie teraz kawałek papieru.

– Nie. Mam dokładnie jej rozmiar, właśnie tak. Taki sam jak mój. Dlatego mnie przysłała – wyjaśnia dziewczyna.

Addie sądzi, że to całkiem chytre kłamstwo, ale krawiec tylko marszczy czoło i odwraca się ku zasłonie z tyłu pracowni.

– Przyniosę miarę…

Dziewczyna dostrzega w przelocie pomieszczenie za zasłoną, tuzin manekinów krawieckich i góry jedwabiu. Kiedy Bertin znika na zapleczu, ona również znika pomiędzy manekinami i rolkami muślinu oraz bawełny, opartymi o ścianę. To nie jest jej pierwsza wizyta w tej pracowni. Poznała

już dobrze wszystkie zakręty i zakamarki dość duże, by się w nich ukryć. Teraz wciska się w jedno z takich miejsc, a gdy Bertin wraca na miejsce z taśmą w dłoni, zapomina o madame Lautrec i jej osobliwej pokojówce.

Między belami materiałów jest duszno, toteż Addie z radością wita dźwięk dzwonka i szczęk zamka, kiedy Bertin zamyka pracownię. Pójdzie teraz do pokoju na górze, zje trochę zupy i wymoczy obolałe dłonie, a potem zaśnie we własnym łóżku, jeszcze przed północą. Dziewczyna czeka w ciszy, czeka na skrzypienie podłogi pod jego krokami nad głową.

Potem może już wędrować po lokalu i przyglądać się wszystkiemu z bliska.

Słabe szare światło sączy się przez wystawowe okno, kiedy Addie przebiega przez pracownię, odciąga ciężką zasłonę i przechodzi na zaplecze.

Słabnące promienie słońca wpadają przez pojedyncze okno, ale to wystarczy, by się tu rozejrzeć. Na tylnej ścianie wiszą na wpół ukończone peleryny, więc dziewczyna odnotowuje w pamięci, żeby wrócić tu, kiedy lato zacznie ustępować miejsca jesieni i przyjdą pierwsze chłody. Tymczasem jednak skupia uwagę na centrum pomieszczenia, gdzie stoi kilkanaście manekinów krawieckich niczym tancerki zajmujące pozycje na parkiecie: ich wąskie talie owijają zieleń i szarość, granat z białymi dodatkami i błękit z żółtym wykończeniem.

Addie uśmiecha się, rzuca czepek na stół i rozpuszcza włosy.

Przesuwa dłonią po rolkach wzorzystego jedwabiu i kolorowej bawełny, a potem rozkoszuje się teksturą tkanin lnianych i wełnianych. Dotyka fiszbinów w gorsetach i rozkloszowanych bioder, wyobrażając sobie siebie w każdej z sukni. Mija muślin i wełnę, prostą i mocną, ale zatrzymuje się na dłużej przy fałdach czesanki i warstwach atłasu, delikatniejszych niż wszystko, co widziała w Villon.

W domu. Trudno o nim zapomnieć, nawet teraz, kiedy nic niej z nim już nie wiąże.

Wybiera sukienkę ze stanikiem w kolorze letniego błękitu i staje jak wryta, wstrzymując oddech, kiedy kątem oka dostrzega ruch. Na szczęście to tylko zwierciadło oparte o ścianę. Odwraca się i ogląda swoją postać w srebrzystej tafli, tak jakby była portretem innej osoby, chociaż prawdę mówiąc, wygląda na siebie samą, Addie LaRue we własnej osobie.

Ostatnie dwa lata dłużyły jej się jak dziesięć, a jednak nie widać tego po niej. Powinna już dawno temu schudnąć, i to tak, że zostałyby skóra i kości, żylasta, twarda dziewczyna, tymczasem ma równie pełną buzię, jak tego lata, kiedy opuściła dom. Jej skóra pozostała nietknięta przez czas i doświadczenie, bez jednej zmarszczki, poza znanymi piegami na czystej palecie policzków. Zmianę widać tylko po jej oczach: w brązach i złocie pojawiła się plama cienia.

Addie mruga, zmusza się do odwrócenia wzroku od swojego odbicia i sukni.

Po drugiej stronie pokoju stoi trójka ciemnych kształtów. To męskie manekiny krawieckie, w spodniach, kamizelkach i fraczkach. W słabym świetle te bezgłowe postacie wydają się żywe, tak jakby pochylały się ku sobie, wymieniając uwagi na jej temat. Przygląda się krojowi ich strojów, doceniając brak fiszbinowych gorsetów oraz szerokich spódnic, i myśli, nie po raz pierwszy i z pewnością nie ostatni, o ile prościej byłoby być mężczyzną, o ile łatwiej byłoby jej poruszać się po świecie i o ile mniejszym kosztem.

A potem sięga do najbliższego manekina i ściąga z niego frak, odpiąwszy guziki na froncie. Rozbierając go, czuje intymną bliskość, która cieszy ją tym bardziej, że mężczyzna pod jej palcami nie jest prawdziwy, więc nie może jej złapać, obmacać ani odepchnąć.

Uwalnia się ze sznurówek sukni i naciąga mozolnie spodnie, po czym podwiązuje nogawki pod kolanami. Wkłada koszulę i zapina na niej kamizelkę, a potem dopasowuje do ramion pasiasty fraczek i wiąże pod szyją koronkowy żabot.

W zbroi męskiej mody czuje się bezpiecznie, ale gdy odwraca się do lustra, traci cały zapał. Ma zbyt wydatne piersi, za wąską talię, a jej szerokie biodra wypychają spodnie w niewłaściwym miejscu. Frak trochę pomaga, lecz nic nie ukryje jej twarzy. Łuk jej ust, linia policzków, gładkość czoła – wszystko zbyt okrągłe i miękkie, by mogła ujść za mężczyznę.

Bierze nożyczki i próbuje przyciąć luźne kędziory nad ramionami, jednak sekundę później odrastają, a loki na podłodze znikają, jak uprzątnięte niewidzialną ręką. Nie może pozostawić śladu, nawet na sobie. Znajduje wobec tego szpilkę i upina jasnobrązowe fale w stylu, jaki

podpatrzyła u mężczyzn, łapie trójgraniasty kapelusz z jednego z manekinów i wkłada na głowę.

Z pewnej odległości, być może, jeśli ktoś spojrzy na nią tylko przelotnie, mogłoby się udać, wieczorem, pewnie tak, kiedy ciemność jest dość gęsta, by rozmyć szczegóły… ale z bliska, nawet w sztucznym świetle, iluzja się nie obroni.

Mężczyźni w Paryżu bywają delikatni, czasem nawet ładni, ale wciąż pozostają mężczyznami.

Addie wzdycha i zrzuca przebranie. Następna godzina upływa jej na przymierzaniu kolejnych sukni. Pod koniec tęskni już za swobodą spodni i niekrępującym komfortem męskiej koszuli. Suknie są jednak piękne i bogate. Najbardziej podoba jej się prześliczna zielono-biała, niestety nie jest jeszcze ukończona: kołnierz i rąbek czekają na koronkowe obszycie. Będzie musiała wpaść tu za tydzień lub dwa. Ma nadzieję, że uda jej się przechwycić suknię, zanim zniknie, owinięta w papier i wysłana do domu jakiejś baronowej.

W końcu wybiera ciemnoszafirową z szarymi dodatkami. Przypomina jej nocną burzę, chmury zasnuwające niebo. Jedwab całuje jej skórę, tkanina jest nowa, świeża, nieskazitelna i zbyt wytworna jak na jej potrzeby – to suknia na bankiety i bale, ale Addie to nie obchodzi. Jeśli nawet będzie przyciągać zdumione spojrzenia, co z tego? Zapomną, zanim zdążą wziąć ją na języki.

Addie zostawia swoją sukienkę udrapowaną na manekinie krawieckim i nie przejmuje się czepkiem ściągniętym tego ranka z czyjegoś sznurka z praniem. Odchyla zasłonę i prześlizguje się przez pracownię, a spódnica na niej szeleści, znajduje zapasowy klucz, który Bertin trzyma w szufladzie stołu, i ostrożnie otwiera drzwi, przytrzymując dzwonek. Zamyka je za sobą, kuca, żeby wsunąć żelazny klucz przez szparę pod drzwiami, a potem wstaje, odwraca się i wpada na mężczyznę stojącego na ulicy.

Nic dziwnego, że go nie zauważyła: cały jest ubrany na czarno, od trzewików do kołnierza, więc wtapia się w ciemność. Mamrocze przeprosiny, wycofując się, kiedy jej wzrok pada na linię jego szczęki, kruczoczarne loki i oczy, intensywnie zielone, mimo że nic ich nie oświetla.

Uśmiecha się do niej.

– Adeline. – To imię zgrzyta w jego ustach niczym krzemień rozpalający iskrę między jej żebrami. Spojrzenie mężczyzny błądzi po jej nowej sukni. – Dobrze wyglądasz.

– Wyglądam tak samo.

– Zaleta nieśmiertelności, tak jak chciałaś.

Tym razem ona nie łyka przynęty, nie wrzeszczy, nie przeklina i nie wypomina mu z wściekłością wszystkich ograniczeń klątwy, lecz mężczyzna musi dostrzegać walkę, jaką toczy, żeby się opanować, ponieważ wybucha śmiechem, cichym i beztroskim jak letnia bryza.

– Chodź – mówi cień, podając jej ramię. – Odprowadzę cię.

Nie dodaje „do domu". Gdyby był środek dnia, odrzuciłaby tę ofertę z pogardą, tylko po to, by zrobić mu na złość (oczywiście cień nie pojawiłby się przy niej w środku dnia). Jest jednak późno, a w nocy samotnie chodzą tylko dziewczyny wiadomej profesji.

Addie nauczyła się, że kobiety, a przynajmniej kobiety o pewnym statusie, nigdy nie poruszają się publicznie same, nawet w dzień. Trzyma się je niczym rośliny w doniczkach, schowane za zasłonami w domach. A kiedy wychodzą, to tylko w grupach, bezpieczne w klatce własnego towarzystwa, i zawsze przy świetle dziennym.

Samotny spacer przed południem oznacza skandal, ale samotny spacer w środku nocy to coś innego, Addie wie o tym doskonale. Czuła już spojrzenia osądzających ją ludzi, zerkających z prawa i z lewa. Kobiety patrzą na nią z okien wzrokiem pełnym pogardy, mężczyźni na ulicach próbują ją kupić, a dewotki chcą ocalić jej duszę, tak jakby już jej nie sprzedała. Chyliła już kornie głowę przed kościołami, więcej niż raz, ale tylko po to, by znaleźć schronienie, nie zbawienie.

– I cóż? – pyta cień, wyciągając ramię.

Może jest bardziej samotna, niż chciałaby przyznać.

Może towarzystwo wroga jest lepsze niż żadne.

Addie nie przyjmuje jego ramienia, ale rusza naprzód. Nie musi się oglądać, by wiedzieć, że mężczyzna idzie za nią krok w krok. Jego obcasy stukają cicho po bruku, a lekki wiaterek naciska na jej plecy niczym dłoń.

Idą w ciszy, aż dziewczyna nie może jej już dłużej znieść i jej determinacja się załamuje. Patrzy przez ramię i widzi go z lekko odchyloną głową, z ciemnymi rzęsami na tle jasnych policzków. Oddycha

swobodnie, mimo że wokół unosi się nocny fetor. Lekki uśmiech błądzi na jego ustach – wygląda na całkowicie odprężonego. Kpi z niej całym swoim wizerunkiem, mimo że jego kontury się zamazują, ciemność na tle ciemności, dym w cieniu, przypominający, czym jest, a czym nie jest.

W końcu przerywa milczenie, a słowa sypią się z jej ust:

– Możesz przyjąć każdy kształt, jaki ci odpowiada, zgadza się?

Cień lekko pochyla głowę.

– Tak jest.

– W takim razie zmień się – żąda Addie. – Nie mogę znieść tego wyglądu.

Odpowiada fałszywie smutnym uśmiechem.

– Podoba mi się ta forma. Tobie chyba też.

– Kiedyś tak było – mówi dziewczyna – ale przez ciebie ją znienawidziłam.

Zbyt późno spostrzega, że w ten sposób ujawniła przed nim pęknięcie w swojej zbroi.

Teraz cień nigdy nie zmieni wyglądu.

Addie zatrzymuje się na wąskiej, krętej uliczce, przed domem, o ile można go nazwać w ten sposób. Waląca się drewniana rudera, jak stos podpałki, opuszczona, ale nie pusta.

Kiedy cień zniknie, Addie przeciśnie się przez lukę między deskami, próbując nie zahaczyć o nic rąbkiem nowego stroju, przebiegnie po nierównej podłodze i wejdzie po połamanych stopniach na strych, mając nadzieję, że nikt inny nie znalazł tego miejsca przed nią.

Wyślizgnie się z sukni o barwie burzowych chmur, złoży ją starannie i owinie kawałkiem bibuły, a potem położy się na posłaniu z juty i desek, spojrzy w górę przez popękane deski sufitu pół metra nad głową, wierząc, że nie będzie padać, i że inni bezdomni nie zakradną się do domu pod nią.

Jutro ten pokoik zostanie zajęty, a za miesiąc cały budynek spłonie, ale nie ma sensu martwić się teraz o przyszłość.

Cień przesuwa się za nią niczym zasłona.

– Jak długo jeszcze wytrzymasz? – zastanawia się na głos. – Po co się męczyć przez kolejny dzień, jeśli i tak nie znajdziesz wytchnienia?

Sama zadawała sobie te pytania w środku nocy, w chwilach słabości, kiedy zima wgryzała się mrozem w jej skórę albo głód drapał ją aż do

kości, kiedy wszystkie miejsca były zajęte, codzienna praca leżała odłogiem, noc zapowiadała się niespokojnie, a ona nie mogła już znieść myśli, że następnego dnia będzie musiała wstać i robić to samo od nowa. Mimo to, kiedy słyszy te pytania, powtórzone jej prosto w twarz jego głosem, a nie we własnej głowie, tracą całą poprzednią zjadliwość.

– Nie rozumiesz? – mówi, a jego zielone oczy błyszczą ostro jak rozbite szkło. – To życie nie ma innego końca, tylko taki, jaki proponuję. Musisz tylko się pod…

– Widziałam słonia – przerywa mu Addie, a jej słowa padają jak zimna woda na rozżarzone węgle. Ciemność za nią nieruchomieje, a ona mówi dalej, ze wzrokiem utkwionym w walącym się domu, dziurawym dachu i nocnym niebie powyżej. – A nawet dwa. Przechadzały się po pałacowym parku, jako część jakiejś wystawy. Nie wiedziałam wcześniej, że istnieją takie wielkie zwierzęta. A znów innego dnia na placu słyszałam skrzypka – ciągnie opanowanym głosem – którego muzyka doprowadziła mnie do łez. To była najpiękniejsza melodia, jaką kiedykolwiek słyszałam. Piłam wino prosto z butelki i oglądałam zachód słońca nad Sekwaną przy wtórze dzwonów z Notre Dame. Nic podobnego nie wydarzyłoby się w Villon. – Odwraca się, żeby popatrzeć na swojego prześladowcę. – A to dopiero dwa lata. Pomyśl, ile nowych rzeczy zobaczę przez cały ten czas, który jeszcze mam.

Po czym rzuca mu złośliwy uśmieszek, szczerząc zęby w triumfie na widok jego pochmurniejącej twarzy.

To małe zwycięstwo, a mimo to słodkie: widzieć, jak traci humor, chociaż na chwilę.

Nagle cień znajduje się blisko niej, zbyt blisko, a powietrze pomiędzy nimi pachnie zgaszoną świecą. Po chwili Addie odróżnia również woń letnich nocy, ziemi, mchu i wysokiej trawy, falującej pod gwiazdami… a także czegoś mroczniejszego: krwi rozpryśniętej na skałach i wilków w głębi lasu.

Pochyla się ku niej, aż jego policzek prawie dotyka jej twarzy, a kiedy się odzywa, to ledwie dosłyszalnym szeptem:

– Myślisz, że będzie łatwiej. Nie będzie. Prawie nie istniejesz. Każdy rok, który przeżyjesz, będzie dla ciebie jak całe ludzkie życie, a w każdym życiu zostaniesz zapomniana. Twój ból nie ma znaczenia. Twoje życie nie

ma sensu. Lata będą jak kule u twoich nóg. Zmiażdżą cię, kawałek po kawałku, a kiedy nie będziesz mogła wytrzymać, zaczniesz błagać, żebym uwolnił cię od cierpienia.

Addie cofa głowę, by spojrzeć cieniowi w twarz, ale on znika.

Stoi sama w wąskiej uliczce. Wciąga powietrze powoli, z drżeniem, zmusza się do odetchnięcia, a potem prostuje się, wygładza suknię i wchodzi do zrujnowanego budynku, który przynajmniej dzisiaj wieczorem może nazwać domem.

Nowy Jork
13 marca 2014

VIII

Dzisiaj w antykwariacie jest gwarno.

Jakiś dzieciak bawi się w chowanego z niewidzialnym, bo wymyślonym przyjacielem, podczas gdy jego ojciec przegląda książki o historii wojskowości. Student z koledżu sprawdza różne wydania Blake'a, a chłopak, którego spotkała wczoraj, stoi za ladą.

Przygląda mu się z nawyku. Weszło jej to w krew tak jak kartkowanie książek.

Czarne włosy, potargane i nieposkromione, wpadają mu do oczu. Odgarnia je, ale po chwili znów opadają, sprawiając, że wygląda na młodszego.

Addie ocenia, że chłopak ma szczerą, otwartą twarz, więc raczej nie potrafi dochowywać tajemnic.

Kolejka do kasy jest krótka. Dziewczyna staje pomiędzy działami „Poezja" a „Wspomnienia". Stuka paznokciami w półkę i kilka sekund później w ciemności pomiędzy stosami książek pojawia się pomarańczowa głowa. Addie z roztargnieniem głaszcze Książka i czeka, aż kolejka zmniejszy się z trzech osób do dwóch, a potem do jednej.

Chłopak – ma na imię Henry – dostrzega ją w pobliżu i coś przemyka przez jego twarz, zbyt szybko, by zdążyła to odczytać, a potem ponownie zwraca uwagę na stojącą przed nim kobietę.

– Tak, pani Kline – zapewnia ją. – Nie, wszystko w porządku. A jeśli to nie to, czego pani chciała, proszę przynieść ją z powrotem.

Kobieta wychodzi z pełną torbą, a wtedy Addie pojawia się przy kasie.

– No cześć – mówi radośnie.

– Cześć – odpowiada Henry ostrożnie. – W czym mogę pomóc?

– Już mówię – odzywa się dziewczyna z wystudiowanym uśmiechem, kładąc Odyseję na ladzie pomiędzy nimi. – Przyjaciółka kupiła mi tę książkę, ale już ją mam. Miałam nadzieję, że będę mogła ją wymienić na inną.

Przygląda jej się, unosząc za okularami ciemne brwi.

– Mówisz poważnie?

– No wiem – odpowiada Addie ze śmiechem. – Trudno uwierzyć, że już mam Odyseję po grecku, ale…

Kiwa się na piętach.

– Naprawdę mówisz poważnie!

Addie jąka się, zdziwiona gniewem w jego głosie.

– M-myślałam, że mogę chociaż zapytać…

– To nie biblioteka – mówi strofująco chłopak. – Nie możesz wymienić książki na inną ot tak.

Addie się prostuje.

– Pewnie, że nie – stwierdza z nutą oburzenia. – Ale, jak już powiedziałam, ja jej nie kupiłam. Zrobiła to moja przyjaciółka, a właśnie słyszałam, jak powiedziałeś pani Kline, że…

Twarz mu kamienieje, tak jakby zatrzaskiwał jakieś drzwi.

– Wiesz co, mam dla ciebie radę: jak będziesz chciała następnym razem zwrócić książkę, nie oddawaj jej tej samej osobie, której ją przedtem ukradłaś.

Addie czuje w piersi nagły ciężar.

– Co?

Chłopak kręci głową.

– Byłaś tu przecież wczoraj.

– Nie by…

– Pamiętam cię.

Dwa słowa, a wystarczą, żeby zachwiać całym jej światem.

„Pamiętam cię”.

Addie kołysze się jak uderzona, czując, że za chwilę upadnie. Próbuje się opanować.

– Nie, nie pamiętasz – mówi twardo.

Henry mruży szarozielone oczy.

– Owszem, pamiętam. Weszłaś tu wczoraj, w zielonym swetrze i czarnych dżinsach. Ukradłaś używany egzemplarz Odysei, a ja cię przyłapałem, ale i tak ci go dałem, bo kto w ogóle kradnie używaną Odyseję po grecku? A ty masz czelność wracać tutaj i próbować wymienić ją na coś innego? Kiedy nawet jej nie kupiłaś, tylko ukradłaś?

Addie zamyka oczy, bo świat zaczyna tańczyć jej przed oczami.

Nie rozumie.

Nie może…

– Słuchaj – mówi Henry stanowczo. – Chyba najlepiej będzie, jeśli już sobie pójdziesz.

Dziewczyna otwiera oczy i widzi, jak pokazuje na drzwi, ale stopy odmawiają jej posłuszeństwa. Nie chcą jej nieść dalej, nie po tych dwóch słowach.

„Pamiętam cię”.

Trzysta lat.

Przez trzysta lat nikt ich nie wypowiedział, przez cały ten czas nikt ani razu jej nie zapamiętał. Addie ma ochotę złapać go za rękaw, pociągnąć ku sobie i zażądać, żeby powiedział jej, dlaczego, jak, co takiego specjalnego jest w chłopaku z antykwariatu – ale mężczyzna od historii wojskowości chce płacić, dzieciak trzyma się jego nogawki, a chłopak w okularach gapi się na nią i w ogóle wszystko jest nie tak. Łapie się lady, czując, jakby miała zemdleć. Jego wzrok łagodnieje, ale tylko troszkę.

– Proszę – cedzi pod nosem. – Idź już.

Addie próbuje.

Ale nie może.

Dociera do otwartych drzwi, od ulicy dzielą ją cztery małe schodki, kiedy coś w niej pęka.

Siada na krawędzi najbliższego stopnia, opiera głowę na dłoniach i czuje, jakby miała wybuchnąć płaczem albo śmiechem, ale zamiast tego patrzy tylko przez fasetowaną szybę w drzwiach antykwariatu. Ogląda chłopaka za każdym razem, kiedy pojawia się w jej polu widzenia. Nie może oderwać od niego oczu.

„Pamiętam cię. Pamiętam cię. Pamiętam cię. Pamiętam cię. Pamiętam cię. Pamiętam cię. Pamiętam cię. Pamiętam cię. Pamiętam cię. Pamiętam

cię. Pamiętam cię. Pamiętam cię. Pamiętam cię. Pamiętam cię. Pamiętam…”

– Co ty tu robisz?

Mruga gwałtownie i widzi, że Henry stoi przed nią w otwartych drzwiach, ze skrzyżowanymi ramionami. Słońce opadło już nisko na niebie, jego promienie słabną.

– Czekam na ciebie – mówi, czując zażenowanie na dźwięk tych słów. – Chciałam cię bardzo przeprosić. Za całą tę aferę z książką.

– W porządku – ucina chłopak.

– Nie, nie w porządku – odpowiada, wstając ze schodów. – Pozwól zaprosić się na kawę.

– Nie musisz tego robić.

– Nalegam. W ramach przeprosin.

– Pracuję teraz.

– Proszę.

W jej głosie brzmi niezwykła, potężna mieszanka nadziei i pragnienia. Teraz to oczywiste, że chodzi o coś więcej niż kradzież książki i przeprosiny, więc chłopak patrzy jej prosto w oczy, a ona zdaje sobie sprawę, że robi to po raz pierwszy. W jego badawczym wzroku jest coś dziwnego, ale najwyraźniej dostrzega w jej oczach iskrę, dzięki której zmienia zdanie.

– Jedną kawę – mówi. – I nadal masz zakaz wstępu do antykwariatu.

Addie czuje, że znów może normalnie oddychać.

– Umowa stoi.

Nowy Jork
13 marca 2014

IX

Dziewczyna siedzi na stopniach prowadzących do antykwariatu przez następną godzinę, aż do jego zamknięcia.

Henry przekręca klucz w zamku, odwraca się i dostrzega ją, a ona przygotowuje się wewnętrznie na puste spojrzenie, potwierdzające, że sytuacja sprzed godziny była wyjątkiem, pojedynczym błędem po stuleciach sprawnie działającej klątwy.

Tymczasem chłopak ją poznaje. Jest pewna, że ją poznaje.

Jego brwi unoszą się pod poplątanymi kędziorami, tak jakby był zaskoczony, że Addie jeszcze tam jest, ale irytacja na jego twarzy ustąpiła miejsca innej emocji, co peszy ją jeszcze bardziej. Mniej wrogiej niż podejrzliwość, ostrożniejszej niż ulga, lecz wciąż przepięknej, ponieważ w jego oczach widać rozpoznanie. To nie pierwsze spotkanie, ale drugie, a właściwie trzecie, i po raz pierwszy od wieków nie tylko ona poznaje inną osobę, ale i vice versa.

– Co dalej? – pyta Henry i wyciąga dłoń, nie po to, żeby za nią chwyciła, ale wskazując jej gestem, by prowadziła. Ruszają i mijają kilka przecznic w krępującym milczeniu. Addie zerka na niego ukradkiem, ale te spojrzenia nic jej nie mówią, podziwia tylko linię jego nosa i szczęki.

Chłopak jest chudy i ma głodny, wilczy wzrok. Mimo że nie wydaje się zbyt wysoki, garbi się, tak jakby chciał wyglądać na niższego, mniejszego, nie rzucać się w oczy. Może w odpowiednim stroju, może we właściwym otoczeniu, może, może… ale im dłużej Addie mu się przygląda, tym słabsze jest podobieństwo do tamtego nieznajomego.

A mimo to…

Jest w nim coś, co przyciąga jej uwagę, co nie daje jej spokoju, trochę tak, jakby zaczepiła rękawem swetra o gwóźdź.

Dwa razy Henry dostrzega, że Addie na niego patrzy, i marszczy brwi.

Addie zauważa jego ukradkowe spojrzenie tylko raz i się uśmiecha.

W kawiarni każe mu zająć stolik, podczas gdy ona zamawia napoje, a on waha się, tak jakby z jednej strony chciał zapłacić, a z drugiej bał się otrucia, ale po chwili wycofuje się do narożnej loży. Zamawia mu latte.

– Trzy osiemdziesiąt – mówi dziewczyna za ladą.

Addie wzdryga się na te słowa. Wyciąga z kieszeni parę banknotów, resztę tego, co wzięła z mieszkania Jamesa. Nie ma pieniędzy na dwie kawy, a nie może po prostu odejść z nimi od kasy, ponieważ czeka na nią chłopak, który pamięta.

Patrzy w kierunku stolika, gdzie siedzi, z założonymi ramionami, wyglądając przez okno.

– Eve! – wzywa baristka. – Eve!

Addie podskakuje, zdając sobie sprawę, że to o nią chodzi.

– Aha – odzywa się chłopak, kiedy siada naprzeciwko niego. – Eve?

„Nie", myśli.

– Tak – mówi. – A ty to…

„Henry", myśli, tuż zanim on się przedstawi.

– Henry. – To imię pasuje do niego jak płaszcz. Henry, miękko i poetycko. Henry, spokojnie i mocno. Czarne loki, jasne oczy za grubymi oprawkami. Znała tuzin różnych Henrych, w Londynie, Paryżu, Bostonie i Los Angeles, ale ten jest całkiem inny niż którykolwiek z tamtych.

Jego spojrzenie pada na stolik, jego kubek i jej puste dłonie.

– Nic sobie nie kupiłaś.

Zbywa tę uwagę machnięciem dłoni.

– Nie chce mi się pić – kłamie.

– To dziwne.

– Dlaczego? – Wzrusza ramionami. – Powiedziałam, że zapraszam ciebie na kawę. Poza tym… – waha się sekundę – …zgubiłam portfel, a w kieszeni nie miałam dość drobnych na dwie kawy.

Henry marszczy czoło.

– Czy to dlatego ukradłaś książkę?

– Nie ukradłam jej. Chciałam ją wymienić, a poza tym przeprosiłam.

– Naprawdę?

– Tak, kupując ci kawę.

– A, jak już przy tym jesteśmy – mówi, wstając. – Jaką chcesz?

– Co?

– Kawę. Nie mogę tu siedzieć i pić jej sam, bo czuję się jak dupek.

Uśmiecha się.

– Weź mi gorącą czekoladę. Gorzką.

Brwi znów podjeżdżają mu do góry. Podchodzi, żeby zamówić, przy czym rzuca coś, co sprawia, że baristka śmieje się głośno i pochyla ku niemu jak kwiat ku słońcu. Henry wraca z drugim kubkiem i croissantem i stawia je przed nią, co znów sprawia, że jej dług rośnie. Równowaga została zachwiana, potem przywrócona i znów zachwiana. Grała w tę grę setki razy, każda partia składała się z małych gestów, a nieznajomi uśmiechali się zza stolika.

Ale dzisiaj naprzeciwko nie siedzi nieznajomy, a do tego wcale się nie uśmiecha.

– No to o co w końcu chodziło z tą książką? – pyta Henry.

– Szczerze? – Addie obejmuje dłońmi kubek. – Nie sądziłam, że zapamiętasz.

Pytanie grzechocze jej w głowie jak drobne w kieszeni, jak kamyki w porcelanowej misie. Podskakuje w jej umyśle, tak jakby miało zaraz wykipieć.

„Jak mnie zapamiętałeś? Jak? Jak?”

– Do Ostatniego Słowa nie przychodzi aż tylu klientów – mówi Henry. – A jeszcze mniej próbuje uciec bez płacenia. Chyba zrobiłaś na mnie wrażenie.

„Wrażenie”.

Wrażenie jest jak znak.

Addie przesuwa palcem po pianie na swojej czekoladzie i patrzy, jak mleczne pęcherzyki zrastają się z powrotem. Henry tego nie zauważa, ale przecież zauważył ją i zapamiętał.

„Co tu się dzieje?”

– No więc… – zaczyna mówić chłopak, ale nie kończy zdania.

– No więc... – powtarza dziewczyna, ponieważ nie potrafi określić, czego chce. – Opowiedz mi o sobie.

„Kim jesteś? Dlaczego tu jesteś? Co się z nami dzieje?”

Henry przygryza wargę i mówi:

– To będzie krótka opowieść.

– Zawsze chciałeś pracować w antykwariacie?

Patrzy na nią zadumanym wzrokiem.

– Nie jestem pewien, czy to praca marzeń, ale ją lubię. – Unosi latte do ust, kiedy ktoś przepycha się obok, potrącając jego krzesło. Henry łapie kubek w samą porę, ale tamten facet zaczyna przepraszać. I nie chce skończyć.

– Hej, tak mi przykro – zapewnia, z twarzą skrzywioną wyrzutami sumienia.

– W porządku.

– Ale nie wylałeś przeze mnie kawy? – pyta tamten z autentycznym przejęciem.

– Nie – odpowiada Henry. – Już wszystko dobrze.

Jeżeli nawet dostrzega nadmierną gorliwość obcego mężczyzny, to nie daje po sobie tego poznać. Koncentruje uwagę na Addie, tak jakby mógł zniechęcić tamtego siłą woli.

– To było dziwne – komentuje dziewczyna, kiedy przepraszający mężczyzna w końcu sobie idzie.

Henry wzrusza ramionami.

– To się zdarza.

Addie chodziło o coś innego, ale jej myśli są jak wagony jadącego pociągu, a ona nie może sobie pozwolić na wykolejenie.

– No więc: antykwariat. To twoja własność?

Chłopak kręci głową.

– Nie. W sumie mógłby być, bo jestem jedynym pracownikiem, ale należy do Meredith, która spędza większość czasu na statkach wycieczkowych. Ja tylko tam pracuję. A ty? Co robisz, kiedy nie kradniesz książek?

Addie rozważa to pytanie w umyśle, zastanawiając się nad jedną z wielu możliwych odpowiedzi, z których wszystkie są fałszywe, aż wreszcie decyduje się na coś bliskiego prawdy.

– Jestem łowczynią talentów – mówi. – Głównie muzycznych, ale także sztuk wizualnych.

Twarz Henry'ego tężeje.

– Powinnaś poznać moją siostrę.

– Tak? – pyta Addie, żałując, że skłamała. – Jest artystką?

– Chyba powiedziałaby, że wspiera sztukę, że to też jakaś działalność artystyczna. Lubi… – tu Henry wykonuje zamaszysty gest – …rozwijać surowy potencjał i kształtować narrację kreatywnej przyszłości.

Addie myśli, że naprawdę chciałaby poznać jego siostrę, ale nie mówi tego na głos.

– A ty masz rodzeństwo? – pyta chłopak.

Ona kręci głową, odrywając końcówkę croissanta, ponieważ on go nie tknął, a jej burczy w brzuchu.

– Szczęściara – komentuje Henry.

– Samotna – odpala Addie.

– Aha, w takim razie może chciałabyś poznać moje rodzeństwo? David, lekarz, naukowiec i nadęty dupek, oraz Muriel, czyli, no, po prostu… Muriel.

Patrzy na nią, a ona znów dostrzega tę dziwną intensywność i myśli, że to może dlatego, że tak niewielu ludzi w mieście nawiązuje kontakt wzrokowy, ale nie potrafi oprzeć się wrażeniu, że Henry szuka czegoś w jej twarzy.

– O co chodzi? – pyta, a on zaczyna coś mówić, ale zmienia zdanie.

– Twoje piegi wyglądają jak gwiazdy.

Addie się uśmiecha.

– Słyszałam to już. Moja mała konstelacja. To pierwsza rzecz, jaką wszyscy dostrzegają.

Henry wierci się na krześle.

– A co widzisz, kiedy patrzysz na mnie? – pyta.

Jego głos wydaje się niefrasobliwy, lecz za tym pytaniem coś się kryje, jakaś sprawa większej wagi, niczym kamień schowany w śnieżce. Czekał do tej chwili, by zadać to pytanie, a odpowiedź ma dla niego duże znaczenie.

– Widzę chłopaka z ciemnymi włosami, życzliwymi oczami i szczerą twarzą.

Unosi nieco brwi.

– I to wszystko?

– Oczywiście nie – odpowiada Addie. – Ale jeszcze cię nie znam.

– Jeszcze... – powtarza, a coś w jego głosie przypomina uśmiech.

Dziewczyna ściąga usta i przygląda mu się jeszcze raz.

Przez chwilę są jedyną milczącą parą w gwarnej kawiarni.

Jeśli ktoś żyje dość długo, nauczy się, jak odczytywać innych. Otwierać ich jak książki i znajdować podkreślone fragmenty oraz czytać między wierszami.

Addie obserwuje jego twarz, delikatne zmarszczki, pojawiające się, kiedy jego brwi wędrują w górę i w dół, linię jego warg, to, jak Henry pociera dłoń, tak jakby chciał pozbyć się uciążliwego bólu, i jak się pochyla, skupiając na niej całą uwagę.

– Widzę kogoś, kto się przejmuje – mówi powoli Addie. – Może nawet za bardzo. Kto czuje zbyt wiele. Widzę kogoś zagubionego i spragnionego. Osobę, która umiera z głodu w świecie pełnym jedzenia, ponieważ nie może się zdecydować, czego chce.

Henry gapi się na nią. Już się nie uśmiecha, a dziewczyna wie, że za bardzo zbliżyła się do prawdy.

Addie śmieje się nerwowo, a jej śmiech przywraca ich do rzeczywistości.

– Przepraszam – mówi, kręcąc głową. – Za głęboko. Powinnam chyba poprzestać na stwierdzeniu, że jesteś przystojny.

Usta Henry'ego krzywią się lekko, ale jego oczy pozostają poważne.

– Przynajmniej uważasz, że jestem przystojny.

– A ja? Jak wyglądam? – pyta Addie, próbując rozładować napiętą atmosferę.

Tymczasem Henry po raz pierwszy nie patrzy jej w oczy.

– Nigdy nie byłem dobry w odczytywaniu ludzkich zachowań. – Szturcha kubek i wstaje, a Addie myśli, że schrzaniła sprawę. Chłopak zaraz wyjdzie.

Potem jednak Henry spogląda na nią i mówi:

– Zgłodniałem. A ty?

I dziewczyna znów może oddychać swobodnie.

– Zawsze jestem głodna – mówi.

Tym razem, kiedy Henry wyciąga dłoń, Addie wie, że powinna ją złapać.

Paryż
29 lipca 1719

X

Addie właśnie odkryła chocolate.

Trudniej ją dostać niż sól, szampana czy srebro, a mimo to markiza trzyma przy łóżku całą puszkę ciemnych, słodkich płatków. Addie smakuje rozpuszczający się skrawek na języku, zastanawiając się, czy właścicielka liczy co wieczór, ile kawałków zostało, czy zauważy brak dopiero wtedy, gdy jej palce dotkną dna puszki. Niestety, markizy nie można o to zapytać, bo nie ma jej w domu. Gdyby była, Addie nie leżałaby rozciągnięta na jej łożu.

Nigdy się jednak nie spotkały.

I przy odrobinie szczęścia nigdy się to nie stanie.

Markiz i jego żona prowadzą bogate życie towarzyskie, toteż przez ostatnich kilka lat Addie chętnie nawiedzała ich miejską rezydencję.

„Nawiedza” to odpowiednie słowo dla kogoś, kto żyje jak duch.

Dwa razy w tygodniu właściciele zapraszają przyjaciół na kolację do swojego miejskiego domu, raz na dwa tygodnie wyprawiają tu większy bal, a raz w miesiącu (ten wieczór wypada właśnie dzisiaj) udają się powozem na drugi koniec Paryża, by grać w karty z innymi szlachetnie urodzonymi, i wracają dopiero wczesnym rankiem.

Teraz służba udała się już do własnych kwater, niewątpliwie po to, by pić i korzystać z odrobiny wolności. Będą się zmieniać na posterunku, co oznacza, że w danej chwili tylko jedna osoba będzie stała na straży u stóp schodów, podczas gdy reszta zajmie się swoimi sprawami. Być może również zagrają w karty, a może tylko będą się rozkoszować świętym spokojem panującym w domu pod nieobecność właścicieli.

Addie kładzie kolejny kawałek czekolady na języku i układa się wygodnie na łożu markizy, zapadając w miękki puch. Zdaje się, że jest tu więcej poduszek niż w całym Villon, a w każdej dwa razy tyle pierza. Najwidoczniej arystokraci są ze szkła i mogliby się stłuc, gdyby przypadkiem położyli się na zbyt twardym łóżku. Addie wyciąga ramiona jak dziecko robiące aniołka na śniegu i wzdycha z rozkoszy.

Spędziła ponad godzinę na przeglądaniu garderoby markizy, ale nie ma dość rąk, żeby samodzielnie włożyć którąkolwiek z sukien, więc owinęła się w peniuar z błękitnego jedwabiu, delikatniejszy niż jakakolwiek odzież, którą kiedykolwiek posiadała. Jej własna sukienka, rdzawa z kremowymi koronkami, leży porzucona na szezlongu. Kiedy dziewczyna na nią patrzy, przypomina jej się suknia ślubna, porzucona na trawie nad brzegiem Sarthe, biały strój, niczym wylinka jej własnej skóry.

Wspomnienie przylgnęło do jej pamięci jak pajęczyna.

Addie otula się ciaśniej peniuarem, wciąga różany aromat z jego mankietu, zamyka oczy i wyobraża sobie, że to jej łóżko i jej życie. Przez kilka minut jest jej dość przyjemnie, ale w pokoju panuje duchota, powietrze stoi nieruchomo, a ona obawia się, że jeżeli poleży jeszcze przez chwilę, łoże ją pochłonie. Albo jeszcze gorzej: zaśnie i obudzi się szarpana za ramię przez panią domu. Ucieczka mogłaby być bolesna, biorąc pod uwagę, że sypialnia jest na pierwszym piętrze.

Potrzebuje całej minuty, by wygrzebać się z łoża: dłonie i kolana grzęzną w piernatach, kiedy czołga się ku brzegowi, a potem spada niezgrabnie na dywan. Wstaje, trzymając się ozdobnego słupka. W jego dębowym drewnie wyrzeźbiono delikatne gałęzie, toteż Addie rozmyśla o drzewach, oglądając resztę pomieszczenia i rozważając, czym się zająć. Przeszklone drzwi prowadzą na balkon, a drewniane – na korytarz. Poza tym znajdują się tu komoda, szezlong i toaletka z wypolerowanym lustrem.

Siada na miękkim stołku przed toaletką, a jej palce tańczą między buteleczkami perfum i słoiczkami kremów, nad miękkim puszkiem z pierza do nakładania pudru i miseczką srebrnych szpilek do włosów.

Bierze garść tych ostatnich i zaczyna podkręcać sobie loki, upinając je następnie wokół twarzy, tak jakby miała jakiekolwiek pojęcie, jak to robić. Modna fryzura wygląda obecnie jak burza loków, ale niektórym może

przypominać również gniazdo wróbli. Jeszcze tego nie wie, ale ma szczęście: przynajmniej nie oczekują od niej, że będzie nosiła perukę, jedną z tych potwornych, pudrowanych konstrukcji, wyglądających jak wieże z bezy, które wejdą w modę za pięćdziesiąt lat.

Po chwili burza loków jest gotowa, lecz potrzebuje ostatecznego akcentu: Addie podnosi grzebień z masy perłowej, wyglądający jak pióro, i wsuwa go w loki za uchem.

To przedziwne, jak drobne zabiegi składają się na znaczącą różnicę w wyglądzie!

Siedząc na wyścielanym siedzeniu w otoczeniu luksusów, w pożyczonym błękitnym peniuarze, z upiętymi lokami, Addie niemal się zapomina, tak jakby była kimś innym. Młodą damą, panią domu, której wolno się wszędzie poruszać bez utraty reputacji.

Wyróżniają ją tylko piegi na policzkach, przypominające, kim była, jest i zawsze będzie.

Piegi można jednak łatwo przykryć.

Bierze puszek do pudru, a jej dłoń jest w pół drogi do policzka, kiedy powietrze porusza lekki podmuch, niosący nie zapach Paryża, lecz woń otwartych pól, a niski głos odzywa się:

– Wolałbym raczej, żeby chmury zasłoniły gwiazdy na niebie.

Addie błyskawicznie zerka w lustro, na odbicie pomieszczenia za jej plecami. Drzwi na balkon wciąż są zamknięte, lecz w sypialni znajduje się teraz ktoś poza nią. Cień opiera się o ścianę nonszalancko, tak jakby przebywał tu już od dłuższej chwili. Nie jest zaskoczona, widząc go, przecież pojawia się co roku, ale czuje niepokój. Zawsze będzie go czuła.

– Dobry wieczór, Adeline – mówi ciemność i chociaż stoi po drugiej stronie pokoju, słowa te muskają jej skórę niczym liście.

Odwraca się na stołku, unosząc wolną dłoń ku dekoltowi peniuaru.

– Idź sobie.

Cień cmoka z rozczarowaniem.

– Minął rok i to wszystko, co masz mi do powiedzenia?

– Nie.

– W takim razie co?

– Mówię: „nie” – wyjaśnia Addie. – To moja odpowiedź na twoje pytanie, jedyny powód, dla którego tu jesteś. Zjawiłeś się, żeby zapytać,

czy się poddaję, a odpowiedź brzmi: „nie”.

Jego uśmiech faluje i zmienia się w drapieżny grymas. Znika dżentelmen, pojawia się wilk.

– Och, moja Adeline, ale się zrobiłaś groźna!

– Nie jestem twoja – odpala.

Ostrzegawczy błysk białych zębów, a potem wilk się wycofuje, znowu udając człowieka. Wchodzi w plamę światła, mimo to pozostając w mroku. Ciemność zamazuje jego kontury.

– Dałem ci nieśmiertelność, a ty spędzasz wieczory, jedząc cukierki przy cudzych łóżkach. Wyobrażałem sobie, że stać cię na więcej.

– A jednak skazałeś mnie na dużo mniej. Przyszedłeś się napawać?

Cień przesuwa dłonią po drewnianym słupku, wzdłuż rzeźbionych gałęzi.

– Tyle jadu na naszą rocznicę, a ja przybyłem tylko po to, żeby zaproponować ci kolację.

– Nie widzę żadnego jedzenia. I nie życzę sobie twojej obecności.

Porusza się jak dym, w jednej chwili stoi po przeciwnej stronie pokoju, a w następnej tuż za nią.

– Na twoim miejscu nie byłbym tak pochopny – mówi, gładząc długim palcem perłowy grzebień w jej włosach. – Nie lekceważ jedynego towarzystwa, jakie będziesz miała w życiu.

Zanim zdąży się od niego odsunąć, znów ma za sobą tylko powietrze, cień znajduje się po drugiej stronie pokoju, przy drzwiach, a jego ręka sięga ku ozdobnemu sznurowi zakończonemu chwostem.

– Ani się waż! – protestuje Addie, skacząc na równe nogi, ale jest za późno. Cień ciągnie za sznur i chwilę później rozlega się głośny dzwonek. – Niech cię! – syczy dziewczyna, słysząc kroki na schodach.

Już się odwraca, żeby złapać swoją sukienkę i jeszcze parę rzeczy, a potem rzucić się do ucieczki, kiedy cień łapie ją za ramię niczym niegrzeczne dziecko i zmusza do pozostania u jego boku. Drzwi otwierają się i staje w nich pokojówka.

Powinna się wzdrygnąć na widok dwójki nieznajomych w domu jej państwa, ale po jej minie nie widać, żeby była wstrząśnięta. Próżno szukać u niej oznak zaskoczenia, gniewu czy strachu. Ma nieobecny, zbyt spokojny wyraz twarzy, właściwy śpiącym i oszołomionym. Stoi

z pochyloną głową i splecionymi dłońmi, czekając na rozkazy, a Addie z rosnącym przerażeniem, ale i ulgą zdaje sobie sprawę, że na kobietę rzucono urok.

– Dziś wieczorem będziemy biesiadować w salonie – mówi cień, tak jakby dom należał do niego. W jego głosie słychać nowy ton, nową warstwę, niczym jedwab rozpostarty na kamieniu. Słowa falują w powietrzu, owijają się wokół pokojówki, a Addie czuje, jak prześlizgują się również po jej skórze, ale nie mają na nią wpływu.

– Oui, monsieur – odpowiada służąca, kłaniając się lekko.

Odwraca się, by poprowadzić ich na dół schodami. Cień ogląda się na Addie i uśmiecha.

– Chodź – mówi, a jego szmaragdowe oczy płoną arogancją. – Słyszałem, że markiz ma jednego z najlepszych kuchmistrzów w Paryżu.

Podaje jej ramię, ale ona go nie przyjmuje.

– Nie oczekujesz chyba, że zjem kolację właśnie z tobą?

Wysuwa brodę.

– Pozwolisz, żeby taki posiłek zmarnował się tylko dlatego, że to ja będę siedział przy stole? Myślę, że burczenie w brzuchu zagłuszy te dumne deklaracje. Ale… rób jak chcesz, moja droga. Zostań tu, w cudzym pokoju, i obżeraj się kradzionymi słodyczami. Zjem bez ciebie.

I z tymi słowami wychodzi. Addie chciałaby zatrzasnąć za nim drzwi, ale cień i tak już popsuł jej wieczór, niezależnie od tego, na co sama się zdecyduje. Jeżeli nawet zostanie w sypialni, będzie się cały czas zastanawiać, co jej prześladowca robi na dole.

Dlatego idzie za nim.

Za siedem lat Addie obejrzy na paryskim placu przedstawienie kukiełkowe. Odbędzie się ono na wozie z zasłonami, za którymi będzie stał lalkarz z dłońmi wzniesionymi nad drewnianymi figurkami. Ich kończyny będą podskakiwać na nitkach.

Wtedy przypomni sobie ten wieczór.

Tę kolację.

Służba z całego domu porusza się wokół nich jak na nitkach, gładko i bezgłośnie, wykonując wszystkie ruchy w takim samym sennym tempie. Krzesła zostają odsunięte, obrusy wygładzone, butelki szampana

odkorkowane, a ich zawartość nalana do wysokich kryształowych kieliszków.

Ale jedzenie zjawia się zbyt szybko: pierwsze danie przybywa, kiedy służący nalewają wina. Najwyraźniej cień objął władzę nad ich umysłami jeszcze przed wejściem do sypialni, zanim zadzwonił na pokojówkę i zanim zaprosił Addie na wieczerzę.

W tej bogato zdobionej jadalni powinien wydawać się nie na miejscu. Jest przecież pierwotną mocą, bogiem nocnego lasu, demonem pochodzącym z ciemności, a mimo to zachowuje się ze swobodą i gracją arystokraty rozkoszującego się posiłkiem.

Addie dotyka srebrnych sztućców i złoconego brzegu talerza.

– I to ma mi zaimponować?

Cień patrzy na nią zza stołu.

– A nie zaimponowało? – pyta, kiedy słudzy z ukłonami wycofują się pod ściany.

Prawdę mówiąc, czuje się raczej wystraszona i zaniepokojona tym pokazem. Zna potęgę demona, a przynajmniej myślała, że ją zna, ale co innego zawrzeć z nim umowę, a co innego doświadczyć takiej potęgi osobiście. Do czego mógł ich zmusić? Jak daleko mogli się posunąć? Czy było to dla niego równie łatwe, jak pociąganie za nitki dla lalkarza?

Stawiają przed nią pierwsze danie, kremową zupę o barwie pomarańczowego świtu. Pachnie wspaniale, a szampan pieni się w szkle, ale Addie nie sięga po jedno ani drugie.

Ciemność dostrzega ostrożność wypisaną na jej twarzy.

– Daj spokój, Adeline – prosi. – Nie jestem jednym z Magicznego Ludu, nie próbuję cię usidlić za pomocą jedzenia i picia.

– Mimo to… nie ma przecież nic za darmo.

Cień wzdycha przeciągle, a jego oczy lśnią nieco bledszą zielenią.

– Proszę, częstuj się – mówi, unosząc kieliszek i biorąc głęboki łyk.

Po dłuższej chwili Addie daje za wygraną i również podnosi kieliszek do ust. Pierwszy łyk szampana smakuje inaczej niż wszystko, co do tej pory piła. Po języku przebiega jej tysiąc delikatnych bąbelków, słodkich i ostrych. Gdyby jeszcze siedziała przy innym stole, z innym mężczyzną i w inny wieczór, rozpłynęłaby się z rozkoszy.

Zamiast delektować się każdym łyczkiem, natychmiast opróżnia kieliszek, a kiedy go odstawia, w głowie nieco jej szumi. Służący natychmiast zjawia się u jej boku, by dolać jej trunku.

Ciemność sączy swoje wino i patrzy w milczeniu, jak Addie je. Cisza w jadalni gęstnieje, ale dziewczyna nie robi nic, by przerwać milczenie.

Zamiast tego koncentruje się najpierw na zupie, potem na rybie, a potem na porcji wołowiny w cieście. To więcej, niż zjadła przez ostatnie miesiące, ba, przez całe lata! Po chwili czuje się przepełniona. Zwalnia tempa i przygląda się mężczyźnie, który nie jest mężczyzną, siedzącemu naprzeciwko niej przy stole, oraz cieniom, które kulą się w jadalni za jego plecami.

Nigdy wcześniej nie spędzili ze sobą tyle czasu.

Przedtem spotkali się tylko na chwilę w lesie, na kilka minut w pokoju, na pół godziny nad Sekwaną. Teraz po raz pierwszy cień nie wisi nad nią niczym widmo, nie kryje się na skraju jej pola widzenia. Teraz siedzi naprzeciwko niej w całej okazałości i chociaż Addie zna szczegóły jego twarzy, rysowała je setki razy, wbrew sobie studiuje je w ruchu.

A on jej na to pozwala.

W jego zachowaniu nie ma krzty nieśmiałości.

Jeżeli już, jej uwaga zdaje się mu pochlebiać.

Przesuwa nożem w poprzek talerza, a potem nadziewa na widelec kawałek mięsa, jego czarne brwi unoszą się, a usta rozciągają w kąciku. Mniej człowiek, a bardziej zbiór detali nakreślonych wprawną dłonią.

Z czasem to się zmieni. Cień nadmie się, rozszerzy, by wypełnić luki pomiędzy liniami jej rysunku, odebrać jej ten wizerunek, aż Addie nie będzie w stanie pojąć, jak w ogóle mógł być jej dziełem.

Teraz jednak jedynym szczegółem, który należy do niego i tylko do niego, są szmaragdowe oczy.

Wyobrażała je sobie setki razy – i owszem, zawsze były zielone, lecz w jej snach miały tylko jeden odcień, stonowaną zieleń letnich liści.

Oczy cienia są inne.

Niepokojące, zmienne, odbijające najmniejszą zmianę humoru i nastroju.

Miną całe lata, zanim Addie nauczy się mowy tych oczu, w końcu jednak się dowie, że rozbawienie barwi je na kolor bluszczu latem,

rozdrażnienie na odcień zielonych jabłek, a rozkosz… rozkosz sprawia, że ciemnieją, tak jak niemal czarny las nocą, tylko ich kontury pozostają zielone.

Dziś wieczorem są koloru wodorostów unoszących się w nurcie strumienia.

Pod koniec kolacji będą jednak miały całkiem inną barwę.

W jego postaci da się wyczuć pewną ospałość. Siedzi tam, z łokciem na obrusie, jego rozproszona uwaga wędruje po jadalni, głowę ma leciutko przechyloną, niczym ktoś, kto nasłuchuje dalekiego dźwięku, podczas gdy eleganckie palce przesuwają się po podbródku, jakby bawiła go postać, którą przybrał. Zanim Addie się spostrzeże, znów przerywa milczenie:

– Jak się nazywasz?

Jego wzrok prześlizguje się z dalekiego kąta pokoju na towarzyszkę przy stole.

– Dlaczego muszę się jakoś nazywać?

– Wszystkie rzeczy się jakoś nazywają – oświadcza Addie. – Nazwy mają swój cel. Imiona dają władzę – wyjaśnia, przechylając ku niemu kieliszek. – Wiesz o tym, inaczej nie ukradłbyś mojego.

W kąciku jego ust czai się wilczy uśmieszek.

– Jeśli to prawda, że imiona dają władzę, to dlaczego miałbym podać ci swoje? – rzuca z rozbawieniem.

– Ponieważ muszę się jakoś do ciebie zwracać i jakoś o tobie myśleć. A same przekleństwa nie wystarczą.

Cień najwyraźniej się tym nie przejmuje.

– Używaj dowolnego imienia, mnie to bez różnicy. Jak nazywałaś nieznajomego w swoich notatnikach? Mężczyznę, na podstawie którego wyobraziłaś sobie mnie?

– To ty przyjąłeś jego formę, żeby ze mnie zakpić. Wolałabym, żebyś wyglądał inaczej, jak chcesz, byle nie tak.

– W każdym moim postępku dopatrujesz się przekory – rozmyśla na głos, wodząc kciukiem po brzegu kieliszka. – Przybrałem taką postać, by dostosować się do ciebie. Żeby cię uspokoić.

W jej piersi rozpala się gniew.

– Zniszczyłeś jedyną rzecz, którą jeszcze miałam.

– Jaka szkoda, że miałaś tylko marzenia.

Opiera się pokusie rzucenia w niego kieliszkiem, wiedząc, że to nie skończy się dobrze. Zamiast tego patrzy na służącego pod ścianą i wyciąga ku niemu kieliszek, by go ponownie napełnił. Ten jednak stoi dalej. Żaden z nich nie rusza się z miejsca. Są poddani woli cienia, nie jej. Addie wstaje więc i sama bierze butelkę.

– A jak on się nazywał, ten twój nieznajomy?

Wraca na miejsce, napełnia sobie kieliszek i koncentruje wzrok na tysiącu lśniących bąbelków, wznoszących się od dna.

– Nie miał imienia ani nazwiska – mówi.

Ale to oczywiście kłamstwo, a cień spogląda na nią tak, jakby o tym wiedział.

Prawdę mówiąc, próbowała przez lata nadawać mu różne imiona: Michel, Jean, Nicolas, Henri, Vincent – ale żadne nie pasowało. A potem, pewnej nocy, imię znalazło się samo, z łatwością, kiedy leżała skulona w łóżku, wyobrażając sobie go przytulonego do niej, jego długie palce w swoich włosach. W jej ustach pojawiło się słowo proste jak oddech, naturalne jak powietrze.

Luc.

Sądziła, że to zdrobnienie od Luciena, lecz teraz, siedząc naprzeciwko cienia, rozwiązuje łamigłówkę, a ironia tej sytuacji parzy ją jak zbyt gorący napój, jak żar w jej piersi.

Luc.

A może skrócone imię Lucyfera?

W jej głowie rozbrzmiewają echem słowa niesione wiatrem.

„Czy jestem diabłem, czy ciemnością?”

Addie nie wie tego i nigdy się nie dowie, lecz imię zostało już naznaczone jego piętnem, niechże więc je ma.

– Luc – mamrocze.

Cień uśmiecha się w okrutnej imitacji radości i unosi kieliszek, tak jakby wznosił toast.

– Może być Luc.

Addie wychyla swojego szampana, starając się pozostać na rauszu. Ten efekt zaraz minie, wyczuwa już, że jej ciało neutralizuje alkohol z każdym kieliszkiem, ale koniecznie chce poczuć się pijana, przynajmniej przez chwilę.

– Nienawidzę cię – mówi.

– Och, Adeline – odpowiada cień, odstawiając kieliszek. – Gdzie byś była beze mnie? – pyta, obracając kryształową nóżkę w palcach, a ona widzi w fasetkach kryształu inne życie – swoje i jednocześnie nie swoje. To wersja, w której Adeline nie uciekła o zachodzie słońca do lasu i nie wezwała ciemności, by ją wyzwoliła, a ślub się odbył.

W szkle kieliszka widzi siebie, a przynajmniej taką siebie, jaką mogłaby się stać, z dziećmi Rogera u boku i niemowlakiem na biodrze. Jej twarz jest blada i ziemista ze zmęczenia. Potem widzi siebie obok męża w łóżku, a pomiędzy nimi zieje chłód, widzi siebie zgiętą przy kominku tak samo, jak kiedyś zginała się jej matka, z tymi samymi zmarszczkami, palcami bolącymi od zaszywania dziur w ubraniach, zbyt obolałymi, żeby utrzymać stare ołówki. Widzi, jak inna Adeline więdnie i chudnie, szybko przebywając krótką drogę, znaną każdemu w Villon: wąską ścieżkę prowadzącą od kołyski do mogiły. Mały kościół czeka na nią, nieruchomy i szary jak nagrobek.

Addie widzi to wszystko i jest wdzięczna, że cień nie pyta, czy chciałaby wrócić, zamienić to życie na tamto, ponieważ mimo żalu, szaleństwa, poczucia straty, głodu i bólu wciąż wzdraga się przed tym, co zobaczyła w szkle.

Posiłek dobiega końca, a służący stoją w półmroku pod ścianami, czekając na następny rozkaz swojego pana, z głowami pochylonymi w ukłonie i pustymi twarzami. Addie nie może myśleć o nich inaczej niż jako o zakładnikach.

– Życzę sobie, żebyś ich odesłał.

– Nie masz już więcej życzeń – ostrzega ją, ale Addie patrzy mu prosto w oczy i wytrzymuje to spojrzenie (teraz, kiedy cień ma już imię, łatwiej jej myśleć o nim jak o mężczyźnie, któremu można rzucić wyzwanie). Po chwili cień wzdycha, odwraca się do najbliższego lokaja, każe mu otworzyć butelkę dla służby i odejść.

Teraz są sami i jadalnia wygląda na mniejszą niż przedtem.

– Proszę – mówi Luc.

– Kiedy markiz i jego żona wrócą i zastaną służących pijanych, ukarzą ich.

– A ja się zastanawiam, kogo obwinią za brakujące czekoladki w sypialni. Albo za błękitny peniuar. Czy sądzisz, że nikt nie cierpi, kiedy kradniesz?

Addie patrzy z oburzeniem, a na twarz występują jej rumieńce.

– Nie dałeś mi przecież wyboru!

– Dałem ci, o co prosiłaś, Adeline. Czas bez ograniczeń. Życie bez zakazów.

– Rzuciłeś na mnie klątwę zapomnienia.

– Prosiłaś o wolność. Nie ma większej wolności. Możesz poruszać się po świecie bez przeszkód, bez więzów, bez zobowiązań.

– Przestań udawać, że wyświadczyłeś mi przysługę! Okrutnie ze mnie zakpiłeś!

– Ubiliśmy interes. – Przy tych słowach jego dłoń uderza ciężko o stół, a w oczach jarzą się żółte iskry irytacji, przeskakujące szybko niczym błyskawice. – Przyszłaś do mnie i błagałaś. Żebrałaś. Ty dobrałaś słowa, ja wybrałem warunki. Nie ma odwrotu. Ale jeżeli życie cię zbytnio męczy, powiedz tylko słowo…

I znów pojawia się nienawiść, która przychodzi dziewczynie dużo łatwiej.

– Rzucenie na mnie tej klątwy było wielkim błędem. – Język jej się rozwiązuje, a ona nie wie, czy to szampan, czy zdążyła się przyzwyczaić do jego obecności, oswoić z nim, tak jak ciało oswaja się ze zbyt ciepłą kąpielą. – Gdybyś dał mi to, o co prosiłam, z czasem wypaliłabym się, żyjąc pełnią życia, i skorzystalibyśmy na tym oboje. Teraz jednak, bez względu na to, jak będę zmęczona, nie oddam ci duszy już nigdy.

Luc się uśmiecha.

– Uparta jesteś, lecz nawet skała ściera się na proch.

Addie prostuje się na krześle.

– Uważasz się za kota igrającego ze zdobyczą, ale ja nie jestem myszą i nie dam się pożreć.

– Mam nadzieję, że nie – odpowiada, rozpościerając dłonie. – Tak dawno nikt nie rzucił mi wyzwania.

Gra. Dla niego wszystko jest grą.

– Nie doceniasz mnie.

– Czy rzeczywiście? – pyta uprzejmie, unosząc czarną brew, a potem dopija szampana. – No to zobaczymy.

– O tak – mówi Addie, podnosząc swój kieliszek. – Zobaczymy.

Dostała dziś wieczorem prezent od cienia, choć on zapewne nawet o tym nie wie. Czas nie ma twarzy ani żadnej postaci, z którą można by walczyć. Z szyderczym uśmiechem manipulując słowami, cień dał jej to, czego potrzebowała: nieprzyjaciela.

W tym momencie Addie orientuje się, gdzie i z kim stoczy decydującą bitwę.

Pierwsze strzały mogły paść w Villon, kiedy ukradł jej życie wraz z duszą, ale to tutaj oznacza wypowiedzenie wojny.

Nowy Jork
13 marca 2014

XI

Addie podąża za Henrym do baru – zbyt zatłoczonego i za głośnego.

Wszystkie bary w Brooklynie takie są: za mało miejsca i zbyt wielu ludzi. Merchant najwyraźniej nie należy do wyjątków, nawet w czwartek. Addie i Henry przeciskają się na wąskie patio pod gołym niebem, aż znajdują ciasne miejsce pod markizą. Mimo to dziewczyna i tak musi się nachylić, żeby dosłyszeć jego głos wśród wszechobecnego gwaru.

– Skąd jesteś? – pyta go.

– Z Newburgh, w północnej części stanu. A ty?

– Villon-sur-Sarthe – odpowiada. Słowa z trudem przechodzą jej przez usta.

– Francja? A nie masz akcentu.

– Dużo podróżowałam.

Henry zamawia porcję frytek na dwoje i dwa piwa w promocji (wyjaśniając, że praca w antykwariacie nie jest zbyt dobrze płatna). Addie żałuje, że nie może wrócić do kontuaru i przynieść normalnych drinków, ale już skłamała chłopakowi na temat portfela i nie chce go oszukiwać, na pewno nie po kradzieży Odysei.

A do tego strasznie się boi.

Boi się, że Henry odejdzie.

Boi się, że straci go z oczu.

Cokolwiek to jest, błąd systemu, pomyłka, piękny sen czy też łut niemożliwego szczęścia, boi się to zakończyć i pozwolić mu odejść.

Jeden błędny krok i obudzi się bez niego. Jedno niewłaściwe słowo i ta nić się urwie, klątwa zatrzaśnie się z powrotem i spotkanie się zakończy,

Henry zniknie, a ona zostanie sama.

Zmusza się, by wrócić do rzeczywistości i cieszyć się nią, póki trwa. Pewnie nie potrwa długo, ale tu i teraz…

– Powiesz, o czym teraz myślisz? – pyta Henry, przekrzykując gwar.

Addie się uśmiecha.

– Nie mogę się doczekać lata – mówi, i to nie kłamstwo. Wiosna była długa i deszczowa, a ona ma już dość chłodu. Lato oznacza gorące dni i jasne noce, oznacza kolejny rok życia, jeszcze jeden rok bez…

– Gdybyś mogła dostać jedną rzecz, tylko jedną – wtrąca się Henry w jej myśli – to co by to było?

Obserwuje ją zmrużonymi oczami, tak jakby była książką, nie osobą, czymś, co można odczytać. Addie odpowiada mu takim spojrzeniem, jakby był duchem, cudem, czymś niemożliwym.

„Właśnie to”, myśli, ale zamiast powiedzieć to na głos, podnosi pustą szklankę i mówi:

– Jeszcze jedno piwo.

XII

Addie jest w stanie przypomnieć sobie każdą sekundę życia, ale tego wieczoru z Henrym wszystkie chwile wydają się zlewać w jedną. Czas ślizga się, kiedy kolędują od baru do baru, najpierw happy hour, potem kolacja, wreszcie wieczorne drinki, a za każdym razem, kiedy mają wybór: rozejść się lub kontynuować wieczór razem, wybierają to drugie.

Zostają razem, a każde z nich czeka, aż to drugie powie: „Robi się późno", „Muszę lecieć" albo „No to na razie". Tak jakby zawarli niepisaną umowę, jakby nie chcieli przeciąć tej więzi, czymkolwiek jest. Addie wie doskonale, dlaczego sama obawia się zakończenia spotkania, ale zastanawia się nad motywacją Henry'ego, nad samotnością, którą widzi w jego oczach, nad tym, dlaczego kelnerzy, barmani i wszyscy inni patrzą na niego z uwielbieniem, którego on zdaje się nie dostrzegać.

I nagle jest prawie północ, a oni jedzą tanią pizzę, spacerując pod rękę tej pierwszej ciepłej wiosennej nocy. Nad ich głowami płyną niskie chmury, oświetlane księżycowym światłem.

Addie patrzy w górę, tak samo jak Henry. Przez chwilę, ale króciutką, chłopak wydaje się potwornie, nieznośnie smutny.

– Tęsknię za gwiazdami – wyznaje.

– Ja też – odpowiada dziewczyna.

Chłopak patrzy na nią i się uśmiecha.

– Kim jesteś?

Oczy ma lekko szkliste i wymawia „kim" prawie jak „hm", co sprawia, że brzmi to nie jak pytanie o tożsamość, lecz bardziej o to, jak to się stało, że wciąż idzie obok niego, a Addie chce go zapytać o to samo, tyle że ona ma ważny powód, a on jest tylko podchmielony.

Poza tym absolutnie zwyczajny.

Ale przecież nie może być normalny.

Normalni ludzie jej nie pamiętają.

Docierają do stacji metra i Henry się zatrzymuje.

– Na mnie pora.

Jego palce wyślizgują się z jej dłoni i proszę, oto Addie znów czuje stary, znany strach, że wszystko się kończy, że coś ustępuje miejsca nicości, że wspólne chwile zostaną skreślone, a wspomnienia wymazane. Nie chce, żeby ten wieczór dobiegł końca.

Nie chce, żeby czar prysł. Nie chce, żeby…

– Chciałbym się jeszcze z tobą spotkać – mówi Henry.

Addie czuje w piersi rozkwitającą nadzieję, tak wielką, że aż bolesną. Słyszała te słowa setki razy, ale po raz pierwszy czuje, że mają jakąś szansę realizacji.

– Też bym chciała, żebyś się jeszcze ze mną spotkał.

Henry uśmiecha się, tak jakby uśmiech ten promieniował z całej jego twarzy.

Wyciąga smartfona, a Addie czuje nagłą rozpacz. Mówi mu, że jej komórka się zepsuła, podczas gdy prawda wygląda tak, że jeszcze nigdy nie potrzebowała telefonu. Nawet gdyby miała do kogo zadzwonić, i tak by nie mogła: jej palce ślizgałyby się bezużytecznie po ekranie. Nie ma również maila. Nie może przesłać nikomu żadnej wiadomości, w związku z klątwą uniemożliwiającą jej pisanie.

– Nie wiedziałem, że obecnie w ogóle można funkcjonować bez komórki i maila.

– Takie staroświeckie upodobanie – mówi Addie.

Wtedy chłopak proponuje, że następnego dnia przyjdzie do niej. Gdzie mieszka? A ona czuje się teraz tak, jakby wszechświat sobie z niej kpił.

– Nocuję u przyjaciela, który wyjechał z miasta. A może spotkamy się w antykwariacie?

Henry kiwa głową.

– Niech będzie antykwariat – mówi i zaczyna się powoli wycofywać.

– W sobotę?

– W sobotę.

– Tylko nie zniknij bez śladu.

Addie śmieje się, cicho i bezradnie. A potem on rusza w stronę stacji metra, stawia pierwszy krok, a ją ogarnia panika.

– Czekaj! – woła. – Muszę ci coś powiedzieć.

– O Boże – jęczy Henry. – Masz innego faceta.

Pierścionek wydaje się wypalać dziurę w jej kieszeni.

– Nie.

– Pracujesz w CIA i wyjeżdżasz jutro na ściśle tajną misję.

Addie śmieje się w głos.

– Nie!

– A więc…

– Tak naprawdę nie mam na imię Eve.

Cofa się, zaskoczony.

– No dobrze…

Dziewczyna nie wie, czy potrafi to powiedzieć, czy klątwa jej na to pozwoli, ale musi spróbować.

– Nie zdradziłam ci mojego prawdziwego imienia, ponieważ… hmm, to raczej skomplikowane. Ale lubię cię i chciałabym, żebyś wiedział… żebyś usłyszał o tym ode mnie.

Henry prostuje się, trzeźwiejąc.

– W takim razie jak się nazywasz?

– Mam na imię A… – dźwięk zamiera jej w gardle, na sekundę, tak jakby zanikły mięśnie odpowiedzialne za jego wymawianie, jakby trybiki zardzewiały… lecz potem wydostaje się na wolność: – Addie – mówi i z trudnością przełyka ślinę. – Nazywam się Addie.

Słowa zawisają pomiędzy nimi.

A potem Henry się uśmiecha.

– No to pięknie – stwierdza. – Dobranoc, Addie.

I tyle.

Dwie sylaby spływają z języka.

To najwspanialsze słowo, jakie słyszała. Chciałaby zarzucić mu dłonie na szyję i słuchać w kółko swojego imienia, którego brzmienie wypełnia ją jak ożywcze powietrze, sprawia, że czuje się jak istota z krwi i kości.

Prawdziwa osoba.

– Dobranoc, Henry – żegna się Addie, chcąc, żeby odwrócił się i odszedł, ponieważ czuje, że nie jest w stanie zrobić tego pierwsza.

Stoi więc jak wmurowana u szczytu schodów prowadzących do metra, dopóki chłopak nie zniknie jej z pola widzenia, wstrzymuje oddech i czeka, aż nić się urwie, świat otrząśnie się i wróci do poprzedniego stanu. Czeka, aż pojawią się obawa i poczucie straty, aż okaże się, że to był tylko chwilowy fuks, kosmiczny błąd, pomyłka, która właśnie została wyprostowana i nie wydarzy się już nigdy.

Nic podobnego jednak się nie dzieje.

Addie czuje w sercu nadzieję i radość.

Jej obcasy wystukują rytm na chodniku i mimo że upłynęło tyle lat, na wpół oczekuje, że obok niej pojawi się ktoś idący w tym samym tempie. Że usłyszy jego głos, cichy, słodki i kpiący, owijający się wokół niej jak mgła. Dziś wieczorem jednak cień nie pojawia się u jej boku.

Wieczór jest spokojny, a ona idzie sama, ale choć raz „sama" nie oznacza „samotna".

„Dobranoc, Addie", powiedział przed chwilą Henry, a ona ciągle się zastanawia, czy udało mu się przełamać klątwę.

Uśmiecha się i szepcze do siebie:

– Dobranoc, Ad…

Klątwa zaciska się jednak wokół jej gardła, a własne imię więźnie w nim, tak jak zawsze.

A przecież…

A przecież…

„Dobranoc, Addie".

Przez trzysta lat badała ograniczenia klątwy i znajdowała miejsca, gdzie kraty tego więzienia nieco się poddawały, wyginały, ale nigdy jej nie puściły.

Aż do teraz.

W jakiś nieprawdopodobny sposób Henry odnalazł drogę do jej celi.

Jakimś cudem ją pamięta.

Ale jak? Jak? Zadaje sobie to pytanie w takt uderzeń serca, lecz w gruncie rzeczy nie zależy jej na odpowiedzi.

W tej chwili przypomina sobie tylko dźwięk swojego imienia, tego prawdziwego, w ustach Henry'ego, i to jej wystarczy, wystarczy, wystarczy.

Paryż
29 lipca 1720

XIII

Scena została przygotowana, wszystko jest na swoim miejscu.

Addie wygładza obrus na stole, ustawia porcelanową zastawę, kieliszki – nie kryształowe, ze zwykłego szkła – i wyjmuje kolację z kosza. Nie jest to posiłek z pięciu dań, podawany przez służących, ale dania są świeże i obfite. Bochenek chleba, jeszcze ciepły, spory klin sera, pieczona wieprzowina i czerwone wino. Dziewczyna czuje dumę na widok tego wszystkiego, tym większą, że nie używała żadnych czarów (poza klątwą), żeby zdobyć jedzenie. Nie zrobiła tego siłą woli, jednym spojrzeniem czy zaklęciem.

Poza tym jest dumna nie tylko ze stołu.

Chodzi również o sam pokój: to nie ukradziona komuś jadalnia, nie nora żebraka. Addie może uznać to miejsce za własne, przynajmniej na jakiś czas. Znalezienie go zajęło jej dwa miesiące, a wyszykowanie dwa tygodnie, ale było warto. Z zewnątrz wygląda niepozornie: potłuczone szkło i spaczone deski. To prawda, niższe piętra są kompletnie zrujnowane. Biegają tam tylko szczury, czasem pojawiają się bezdomne koty, zimą tłoczą się biedacy szukający jakiegokolwiek schronienia, ale jest pełnia lata, większość nędzarzy nocuje na ulicach, a Addie zarezerwowała najwyższe piętro dla siebie. Zabiła deskami schody i zostawiła drogę tylko przez wysoko umieszczone okno, jak dziecko w drewnianej twierdzy. To raczej niekonwencjonalne wejście, ale pokój, który się za nim kryje, był tego wart. To jej tymczasowe mieszkanie.

Jest tam łóżko, na którym piętrzą się koce, obok niego skrzynia pełna skradzionych ubrań. Na parapecie zgromadziła improwizowaną kolekcję

błyskotek, szkła, porcelany i kości, poustawianych niczym rządek ptaszków.

W centrum wąskiego pomieszczenia dwa krzesła stoją przy stole pokrytym jasnym lnianym obrusem, a na jego środku spoczywa bukiet kwiatów zebranych nocą w królewskim ogrodzie i przemyconych w fałdach spódnicy. Addie wie, że ten stan nie potrwa długo: wiatr zdmuchnie przedmioty z parapetu, wybuchnie pożar lub nadejdzie powódź, zawali się podłoga albo ktoś inny znajdzie ten tajny apartament i uzna go za swój.

Przez ostatni miesiąc pilnowała go jednak, zbierała i ustawiała elementy wyposażenia, by stworzyć złudzenie życia, prawdę mówiąc, nie tylko dla siebie samej.

Dla cienia.

Dla Luca.

A raczej po to, żeby zrobić mu na złość, by dowieść, że żyje i jest wolna. Nie ustąpi mu ani na krok i nie pozwoli, by kpił z niej, udając litość.

Wygrał pierwszą rundę, ale ona wygra drugą.

Dlatego stworzyła sobie dom i przygotowała go na wizytę, upięła włosy i włożyła rudobrunatną jedwabną sukienkę w kolorze jesiennych liści, a nawet wcisnęła się w gorset, mimo że nienawidzi fiszbinów.

Miała cały rok na zaplanowanie tego wszystkiego, włącznie z wystrojem wnętrza i kostiumem, a kiedy porządkuje pokój, obraca w umyśle rozmaite riposty, ostrząc broń przed spodziewaną dyskusją. Wyobraża sobie jego pchnięcia i własne kontry, a także jego oczy, rozjaśniające się i ciemniejące w trakcie rozmowy.

„Ale się zrobiłaś groźna!” – powiedział, a Addie ma zamiar pokazać mu, jak bardzo.

Słońce już zaszło, więc pozostało jej tylko oczekiwanie. Mija godzina i zaczyna burczeć jej w brzuchu. Chleb stygnie w płóciennym zawiniątku, lecz dziewczyna nie pozwala sobie uszczknąć ani kęsa. Staje przy oknie, wychyla się i patrzy na miasto, na którego ulicach mężczyźni już rozpalają latarnie.

A cień nie przychodzi.

Addie nalewa sobie kieliszek wina, skradzione świeczki kapią woskiem na obrus, atmosfera gęstnieje, robi się coraz później, aż w pewnej chwili

„bardzo późno” zamienia się w „bardzo wcześnie”.

A on wciąż się nie zjawia.

Świeczki migoczą i gasną, więc Addie siedzi w ciemności, świadoma, że nic się już nie zmieni.

Noc minęła, pierwszy brzask pojawia się na niebie i nagle jest już jutro, a ich rocznica minęła, z pięciu lat zrobiło się sześć – bez jego towarzystwa, bez jego twarzy, bez pytań, czy Addie nie ma już dość, i nagle świat się kołysze, ponieważ to nieuczciwe, to oszukaństwo, to nie w porządku.

Miał przyjść. Tak przecież wygląda ich taniec. Nie chciała, żeby przyszedł, nigdy tego nie chciała, ale oczekiwała tego i to on sprawił, że zaczęła tego oczekiwać. Dał jej linę, na której balansowała, wątły promyk nadziei, ponieważ znienawidziła go, ale przedmiot nienawiści to wciąż przedmiot… jedyna rzecz, jaką ma.

Oczywiście o to właśnie mu chodziło.

Dlatego na stole stoi pusty kieliszek, a obok niego nietknięty talerz i krzesło, na którym nikt nie siedzi.

Addie wygląda przez okno i wspomina jego spojrzenie, kiedy wznosili toast, linię jego ust, kiedy wypowiadali sobie wojnę… i nagle zdaje sobie sprawę, jaka jest głupia, jak łatwo dała się sprowokować.

Nagle pokój, stół, zastawa, jedzenie, cała ta scena wydaje się przerażająca i żałosna. Addie nie może znieść tego widoku, nie może oddychać w rudej jedwabnej sukni. Rozdziera więc gorset, rozsypuje fiszbiny, wyciąga szpilki z włosów, uwalnia się z ciasnego więzienia sukni, zmiata wszystko ze stołu i rozbija opróżnioną butelkę o ścianę.

Szkło gryzie ją w dłoń, dziewczyna czuje ostry, prawdziwy ból, jak nagłe oparzenie, tyle że bez trwałej blizny, ale już jej to nie obchodzi. Po chwili rozcięcia się zabliźniają, kieliszki i butelka są całe, nietknięte. Kiedyś myślała, że to błogosławieństwo, ale teraz ograniczenia klątwy tylko ją rozwścieczają.

Rozwala wszystko, ale po chwili wszechświat drga i wraca do poprzedniego stanu, tak jakby chciał z niej zakpić.

Addie wrzeszczy.

Rozpala się w niej gniew, gorący i jasny, wściekłość na Luca i na samą siebie, ale po chwili ustępuje miejsca strachowi, żalowi i przerażeniu: musi spędzić następne trzysta sześćdziesiąt pięć dni sama, nie słysząc

swojego imienia, nie widząc swojego odbicia w czyichkolwiek oczach. Ani na jedną noc nie znajdzie wytchnienia od klątwy i będzie musiała czekać kolejny rok albo pięć, albo dziesięć. Dopiero teraz zdaje sobie sprawę, jak bardzo zależało jej na tych spotkaniach, na obecności cienia. Bez niego otwiera się pod nią bezdenna przepaść.

Pada na podłogę, a wokół niej rozciągają się ruiny poprzedniego wieczoru.

Minie wiele lat, zanim zobaczy po raz pierwszy morze, potężne fale rozbijające się o poszarpane białe klify, i przypomni sobie wówczas złośliwe słowa Luca:

„Nawet skała ściera się na proch".

Zasypia o poranku, mocnym, krótkim snem pełnym koszmarów. Kiedy się budzi, słońce stoi wysoko nad dachami Paryża, ale ona nie potrafi zmusić się do wstania, więc śpi przez cały dzień i pół następnej nocy, a kiedy się budzi, jej poobijany umysł znów jest cały, jak paskudnie złamana kość, zrośnięta i twarda tam, gdzie przedtem była miękka.

– Dość – mówi sobie, wstając z podłogi. – Dość! – powtarza, pochłaniając chleb, już czerstwy, i ser, nadtopiony od słońca.

Dość.

Oczywiście zdarzą jej się jeszcze inne ciemne noce, inne nieszczęśliwe poranki, a jej determinacja będzie coraz mniejsza, w miarę jak dni będą się wydłużać, rocznica spotkania – zbliżać, a zdradziecka nadzieja wkradać do jej serca. Smutek jednak zniknął, zastąpił go wściekły upór, który Addie będzie pielęgnować, osłaniając i podsycając jego płomień, aż będzie trzeba czegoś więcej niż zwykłe dmuchnięcie, żeby go zgasić.

Nowy Jork
13 marca 2014

XIV

Henry Strauss idzie sam do domu ciemnymi ulicami.

„Addie”, myśli, bezgłośnie wypowiadając to imię.

Addie, która spojrzała na niego i zobaczyła chłopaka z ciemnymi włosami, życzliwymi oczami i szczerą twarzą.

Nikogo więcej. Nikogo poza tym.

Czuje zimny powiew, więc otula się mocniej płaszczem, patrząc w bezgwiezdne niebo.

A potem się uśmiecha.

CZĘŚĆ TRZECIA

TRZYSTA LAT I DWA SŁOWA

Tytuł dzieła: Szkic z salonu, bez tytułu

Autor: Bernard Rodel

Data: ok. 1751–1753

Technika: piórko na pergaminie

Własność: Biblioteka Brytyjska, eksponat z wystawy Salon paryski

Opis: Widok słynnego salonu Madame Geoffrin, pełnego postaci pogrążonych w rozmowach lub odpoczywających. W grupie można rozpoznać kilka znanych osób – Rousseau, Woltera czy Diderota – lecz najbardziej interesującym elementem rysunku są trzy kobiety, stojące w różnych miejscach pokoju. Jedna to oczywiście sama Madame Geoffrin, drugą, jak się uważa, jest Suzanne Necker, lecz tożsamość trzeciej, eleganckiej kobiety z piegowatą twarzą, pozostaje tajemnicą.

Kontekst: Poza ilustracjami do Encyklopedii Diderota Rodel pozostawił po sobie wiele szkiców, z których część przedstawia spotkania towarzyskie w salonie Madame Geoffrin. Piegowata kobieta pojawia się na kilku z nich, ale nigdzie nie została wymieniona z nazwiska.

Przybliżona wartość: nieznana

Paryż
29 lipca 1724

I

Wolność to para portek i męski kaftan.

Bluza i trójgraniasty kapelusz.

Gdyby tylko Addie wiedziała o tym wcześniej!

Cień twierdził, że dał jej wolność, ale w rzeczywistości żadna kobieta nie mogła być wolna, nie w świecie, gdzie krępuje się je sukniami i gorsetami, a potem jeszcze zamyka w domach, w świecie, gdzie tylko mężczyznom wolno poruszać się swobodnie.

Addie spaceruje ulicą ze skradzionym koszykiem w ręku. Starsza kobieta stoi w drzwiach, trzepiąc dywan, a na stopniach kafejki siedzą robotnicy. Żaden z nich nawet nie mrugnie, ponieważ nie widzą idącej samotnie kobiety – widzą młodego mężczyznę, jeszcze niedawno chłopaka, obijającego się po próżnicy. Nie zastanawiają się, że taki spacer to dziwna sprawa albo że to skandal. W ogóle nie reagują.

Pomyśleć tylko, że mogłaby ocalić duszę, gdyby tylko poprosiła o taki strój!

Minęły cztery lata, od kiedy cień przestał ją odwiedzać.

Cztery lata. Kiedy zaczyna się każdy następny rok, przysięga sobie, że nie zmarnuje czasu na czekanie, ale to obietnica, której mimo wysiłków nie potrafi dotrzymać. Addie jest jak zegarek, nakręcany coraz mocniej, kiedy zbliża się rocznica, jak ciasno zwinięta sprężyna, która rozwinie się dopiero o świcie. Odprężenie nie wiąże się jednak z radością ani ulgą, raczej z rezygnacją i świadomością, że czekanie zacznie się teraz od nowa.

Cztery lata.

Cztery razy nadeszła zima, a potem lato. Cztery rocznicowe noce upłynęły bez wizyt.

Dobrze, że przynajmniej pozostałe należą do niej. Może je spędzać, jak jej się podoba, ale ta jedna noc w roku to własność Luca, nawet kiedy go przy niej nie ma.

Mimo to nie spisze tych godzin na straty, nie uzna ich za czas, który należy tylko do niego.

Addie mija grupę mężczyzn i pozdrawia ich, uchylając kapelusza, a przy okazji wykorzystując ten gest, by naciągnąć go niżej na czoło. Dzień się jeszcze nie skończył, a w jasny letni wieczór lepiej zachować większą odległość od widzów, ponieważ przy bliższej obserwacji iluzja się wyda. Mogła zaczekać godzinę dłużej i przejść bezpiecznie pod osłoną mroku, ale szczerze mówiąc, nie potrafiła już znieść czekania i wlokących się sekund.

Zwłaszcza dzisiaj.

Tego wieczoru zdecydowała się uczcić wolność.

Wspiąć się na szczyt Notre Dame, siąść z panoramą miasta przed oczami i urządzić sobie piknik.

Z jej ręki zwisa koszyk pełen jedzenia. Po latach osiągnęła biegłość w podkradaniu rzeczy ze sklepów i straganów, a ostatnie kilka dni spędziła na kompletowaniu zawartości koszyka. Znajduje się tam bochenek chleba, kawał peklowanego mięsa, kawałek sera i nawet nieduży słoik miodu.

Miód! Tego luksusu Addie nie skosztowała od czasów, kiedy mieszkała w Villon. Ojciec Isabelle miał pasiekę i wybierał z uli bursztynowy syrop, który potem sprzedawał na targu, a dziewczynki wylizywały niemal puste plastry, aż palce lepiły im się od słodyczy. Teraz unosi zdobycz ku zachodzącemu słońcu, oglądając złotą zawartość pod światło.

W tym momencie znikąd pojawia się mężczyzna.

Potrąca ją ramieniem, a cenny słoiczek wyślizguje jej się z dłoni i roztrzaskuje na bruku. Przez chwilę Addie myśli, że została zaatakowana albo ktoś próbuje ją okraść, ale nieznajomy już duka przeprosiny.

– Ty głupcze! – syczy do niego, przenosząc wzrok ze złotej zawartości słoiczka, w której lśni teraz szkło, na sprawcę jej nieszczęścia. Jest młody,

o jasnej karnacji, ma miłą twarz z wysokimi kośćmi policzkowymi i włosy koloru jej zmarnowanego miodu.

I nie jest sam.

Jego towarzysze robią wrażenie ludzi, którzy zaczęli wieczorną zabawę koło południa: zatrzymują się, wiwatując i śmiejąc się z jego pomyłki. Nieuważny młodzieniec czerwieni się gwałtownie, najwyraźniej zakłopotany.

– Naprawdę bardzo przepraszam… – zaczyna, ale wówczas jego twarz się zmienia. Najpierw widać na niej zaskoczenie, potem rozbawienie, a Addie dopiero wówczas zdaje sobie sprawę z tego, jak blisko niego się znajduje i jak jasno zachodzące słońce oświetla jej twarz. Jest już jednak za późno: młody człowiek przejrzał jej przebranie, a jego dłoń spoczywa wciąż na jej ramieniu. Przez chwilę dziewczyna boi się, że niezgrabiasz ujawni jej tożsamość.

Kiedy jednak jego kompani wołają, żeby się pośpieszył, odkrzykuje im, żeby poszli dalej bez niego. Stoją teraz razem na bruku uliczki, a Addie jest gotowa, by wyrwać się i uciec, ale na twarzy młodzieńca nie ma śladu cienia ani złośliwości, tylko dziwny zachwyt.

– Puszczaj – rozkazuje mu, obniżając głos o parę tonów, co najwyraźniej jeszcze bardziej go nakręca, nawet kiedy uwalnia jej ramię, cofając gwałtownie dłoń.

– Przepraszam, zapomniałem się – mówi raz jeszcze. A potem dodaje z łobuzerskim uśmieszkiem: – Ty chyba też.

– Nic podobnego – oznajmia Addie. Jej palce wędrują w kierunku krótkiego noża, ukrytego w koszyku. – Specjalnie się tak przebrałam.

Jego uśmiech robi się wówczas jeszcze szerszy. Opuszcza wzrok, dostrzega rozbity słoik miodu na ulicy i kręci głową.

– Muszę ci to wynagrodzić – stwierdza. Addie już ma mu powiedzieć, żeby się tym nie kłopotał, że wszystko jest w porządku, kiedy młody człowiek wyciąga szyję, spoglądając w dół ulicy, mówi triumfalnie: – Aha! – i bierze ją pod rękę, jakby zostali właśnie przyjaciółmi. – Chodź – mówi, prowadząc ją w kierunku kawiarni na rogu. Nigdy nie była w takim miejscu, nigdy nie zdobyła się na odwagę, by tego spróbować, zwłaszcza samotnie i w tak niedoskonałym przebraniu. Młodzieniec ciągnie ją tam jednak, tak jakby nic nie stało na przeszkodzie, a w ostatniej chwili

obejmuje ją ramieniem. Ciężar jego ręki opada na nią tak nagle i z taką zażyłością, że Addie już ma zrzucić ją z siebie, ale dostrzega jego uśmieszek i zdaje sobie sprawę, że dla niego to gra, że uczynił z siebie powiernika jej tajemnicy.

Wnętrze kawiarni kipi życiem i energią, słychać gwar głosów i czuć bogaty, przydymiony aromat.

– Teraz ostrożnie – mówi młody człowiek, a w oczach tańczą mu figlarne ogniki. – Trzymaj się blisko i pochyl głowę albo nas odkryją.

Addie podąża za nim do lady, a on zamawia dwie niewielkie filiżanki z czarnym, rzadkim płynem wyglądającym jak atrament.

– Siądź tam, pod ścianą, gdzie nie dociera zbyt wiele światła – radzi jej.

Wciskają się w narożne miejsce. Młodzieniec stawia pomiędzy nimi filiżanki i odwraca ich uszka tak, żeby każdemu było wygodnie chwycić, po czym oświadcza jej, że to kawa. Słyszała oczywiście o tym napoju, stanowiącym w Paryżu ostatni krzyk mody, ale kiedy unosi porcelanowe naczynie do ust i upija łyczek, czuje rozczarowanie.

Kawa jest ciemna, mocna i gorzka, jak czekoladowe płatki, które jadła wiele lat temu, tylko bez nuty słodyczy. Młody człowiek patrzy na nią z oczekiwaniem jak szczeniak, więc przełyka napój i uśmiecha się do niego, trzymając filiżankę w obu dłoniach. Spod nisko nasuniętego kapelusza obserwuje kawiarnię pełną mężczyzn przy stolikach: niektórzy z nich mają pochylone głowy, inni się śmieją, grają w karty lub przekazują sobie skrawki papieru. Addie patrzy na nich i po raz kolejny nie może wyjść ze zdumienia, jak swobodnie mogą poruszać się po świecie i przekraczać rozmaite granice.

Potem jednak zwraca uwagę na towarzysza, który spogląda na nią z nieukrywaną fascynacją.

– O czym myślałaś? Teraz, tuż przed chwilą?

Nie przedstawił jej się, nie dokonał formalnej prezentacji: po prostu zaczyna rozmowę, tak jakby znali się od lat, a nie od kilkunastu minut.

– Myślałam właśnie – zaczyna powoli Addie – jak to łatwo jest być mężczyzną.

– To dlatego włożyłaś to przebranie?

– Tak – mówi. – A poza tym nienawidzę gorsetów.

Młodzieniec śmieje się, tak szczerze i swobodnie, że uśmiech pojawia się również na jej ustach.

– Masz jakieś imię? – pyta, a ona nie wie, czy chodzi o prawdziwe imię, czy o przybraną męską tożsamość, lecz w końcu decyduje się na „Thomasa". Rozmówca obraca to imię w ustach niczym kawałek owocu.

– Thomas… Miło cię poznać – stwierdza w końcu. – Jestem Remy Laurent.

– Remy – powtarza Addie, smakując miękkość imienia i jego wznoszącą intonację. Pasuje do niego, dużo lepiej niż „Adeline" kiedykolwiek pasowało do niej. Jest młode, urocze i będzie ją prześladowało tak jak wiele innych imion, podskakujących niczym jabłka w strumyku. Bez względu na to, ilu jeszcze mężczyzn spotka, imię „Remy" zawsze będzie jej się kojarzyło z nim, żywym, radosnym chłopakiem, którego byłaby w stanie może nawet pokochać, gdyby miała taką szansę.

Pociąga kolejny łyk, starając się nie trzymać filiżanki zbyt kurczowo, opiera się na łokciu i rozsiada swobodnie, tak jak mężczyźni, kiedy nie spodziewają się, że ktokolwiek ich obserwuje.

– Zadziwiające! – zachwyca się Remy. – Widać, że dokładnie zbadałaś mężczyzn!

– Naprawdę?

– Zachowujesz się właśnie tak jak jeden z nas.

Addie mogłaby mu powiedzieć, że miała na to mnóstwo czasu, że przez lata obserwacja i naśladowanie stały się dla niej rodzajem gry, a przy okazji ją bawią. Teraz potrafiłaby zagrać tuzin różnych postaci, zna szczegóły różniące księżną od markizy i robotnika portowego od kupca.

Zamiast tego mówi tylko:

– Każdy ma swój sposób na zabicie czasu.

Remy znów się śmieje, unosi filiżankę, ale w pewnym momencie, między jednym łykiem a drugim, jego uwagę przykuwa coś po drugiej stronie pomieszczenia, co najwyraźniej go zaskakuje. Krztusi się kawą, a na jego policzkach pojawia się rumieniec.

– O co chodzi? – niepokoi się Addie. – Wszystko w porządku?

Remy kaszle, niemal upuszczając filiżankę. Wskazuje gestem człowieka, który właśnie wszedł do kawiarni.

– Znasz go? – pyta dziewczyna.

Remy dławi się ze zdumienia:

– A ty nie? Przecież to Monsieur Wolter!

Addie przechyla głowę. To nazwisko nic jej nie mówi.

Młodzieniec wydobywa z kieszeni płaszcza paczuszkę: to cienka broszurka z nadrukiem na okładce. Addie marszczy brwi na widok pochyłej czcionki tytułu i zanim zdąży przebiec wzrokiem przez połowę liter, Remy otwiera książeczkę i pokazuje jej ścianę słów wydrukowanych eleganckim czarnym tuszem. Wiele lat minęło od czasu, kiedy ojciec próbował ją uczyć czytania, i to na prostych, pisanych literach.

Jej rozmówca spogląda, jak Addie wpatruje się w stronę.

– Potrafisz to przeczytać?

– Znam litery – przyznaje – ale nie jestem dość wykształcona, by pojąć ich znaczenie. A gdybym nawet zdołała odczytać cały wers, to obawiam się, że zapomniałabym, od czego się zaczynał.

Remy kręci głową.

– To zbrodnia, że kobietom nie zapewnia się takiej samej edukacji jak mężczyznom. Świat bez czytania! Nie wyobrażam sobie tego. Całe długie życie bez wierszy, sztuk teatralnych czy pism filozofów. Szekspira, Sokratesa, nie mówiąc już o Kartezjuszu!

– Czy to wszystko? – pyta kpiąco dziewczyna.

– No i Wolter – uzupełnia młodzieniec. – Oczywiście, Wolter. I eseje, i powieści!

Addie nie zna tego słowa.

– Powieść to pojedyncza, długa historia, całkowicie zmyślona. Pełna wątków romansowych, komediowych lub przygodowych – wyjaśnia jej.

Dziewczyna przypomina sobie baśnie, które opowiadał ojciec, kiedy była dzieckiem, a także historie o starych bogach, snute przez Estele. Ale ta „powieść", o której mówi Remy… To brzmi jak coś o wiele większego. Addie przesuwa palcami po stronie broszurki, lecz skupia uwagę na Remym, podczas gdy on wpatruje się w Woltera.

– Masz zamiar mu się przedstawić?

Przerażony, gwałtownie wraca do niej spojrzeniem.

– Nie, nie, nie dzisiaj. Lepiej tak to zostawić, pomyśl, ile będę miał do opowiadania. – Rozsiada się na swoim miejscu, promieniejąc radością. – Widzisz? To właśnie uwielbiam w Paryżu.

– W takim razie nie jesteś stąd.

– A kto jest? – Teraz już nic go nie rozprasza. – Nie, pochodzę z Rennes, a mój ojciec jest drukarzem. Jestem najmłodszy z rodzeństwa. Ojciec popełnił poważny błąd: posłał mnie do szkoły, a im więcej czytałem, tym więcej myślałem, a im więcej myślałem, tym bardziej upewniałem się, że muszę być w Paryżu.

– Rodzina nie miała nic przeciwko?

– Oczywiście, że miała! Ale musiałem tu przyjechać. Tu są wszyscy filozofowie, tu mieszkają marzyciele. Tu bije serce świata, tu znajduje się jego umysł, a wszystko się zmienia. – W jego oczach tańczy światło. – Życie jest tak krótkie! Każdej nocy w Rennes, kiedy kładłem się do łóżka, leżałem bezsennie i myślałem, że minął kolejny dzień mojego życia i kto wie, ile mi zostało. Zapraszam na exsites.pl

Ta sama obawa sprawiła tamtej pamiętnej nocy, że Addie pobiegła do lasu; ta sama wątpliwość doprowadziła ją do zawarcia umowy z cieniem.

– I oto jestem – oznajmia Remy promiennym tonem. – Nie chciałbym być nigdzie indziej. Czyż tu nie jest cudownie?

Addie przypomina sobie witraże i zamknięte drzwi kościoła, wspaniałe ogrody i płoty wokół nich.

– Tak, czasem potrafi tu tak być – odpowiada z wahaniem.

– Ach, uważasz mnie za idealistę.

Dziewczyna w przebraniu unosi filiżankę do ust.

– Myślę, że mężczyznom jest tu łatwiej.

– To prawda – przyznaje Remy i wskazuje ruchem głowy jej przebranie. – A mimo to – dodaje z szelmowskim uśmiechem – wydajesz mi się kimś, kogo niełatwo powstrzymać. Aut viam invenium aut faciam i tak dalej.

Addie nie zna jeszcze łaciny, a Remy nie proponuje przetłumaczenia tych słów, ale za dziesięć lat sama znajdzie je w słowniku i pozna ich znaczenie.

„Znajdę drogę albo sama ją sobie utoruję”.

Uśmiechnie się wtedy nikłym cieniem uśmiechu, który udało mu się w końcu u niej wywołać dziś wieczór.

Młody człowiek się rumieni.

– Pewnie cię nudzę.

– Wcale nie – protestuje Addie. – Powiedz mi, czy myśliciel to opłacalny zawód?

Parska śmiechem.

– Nie, wcale nie. Ale poszedłem w ślady ojca. – Wyciąga ręce wnętrzem do góry, a ona zauważa ślady tuszu na liniach dłoni i w zgięciach palców, podobne do tych, które pozostawiał węgiel na jej skórze. – To dobra praca – zauważa Remy.

Jednak oprócz jego słów słuchać również inny, stłumiony odgłos: burczenie w brzuchu.

Addie niemal zapomniała o stłuczonym słoiku i zmarnowanym miodzie. Przecież koszyk z resztą uczty stoi u jej stóp!

– Byłeś kiedykolwiek w Notre Dame?

Nowy Jork
15 marca 2014

II

Addie myślała, że po tylu latach pogodziła się już z czasem.

Sądziła, że zawarła z nim rozejm albo przynajmniej znaleźli sposób na pokojową koegzystencję: nie jako przyjaciele, ale przynajmniej nie jako wrogowie.

A mimo to czas pomiędzy czwartkowym wieczorem a sobotnim popołudniem upływa bezlitośnie wolno, odliczając każdą sekundę ze skrupulatnością staruszki supłającej grosiki, by zapłacić za chleb. Ani razu nie przyspiesza, ani razu Addie nie traci poczucia czasu. Zdaje się, że nie może go zabić ani popędzić. Minuty pęcznieją wokół niej w nieprzebyty ocean godzin pomiędzy teraz i wtedy, pomiędzy tym miejscem a antykwariatem, między nią i Henrym.

Spędziła dwie ostatnie noce przy Prospect Park, w mieszkaniu z dwiema sypialniami i wykuszowym oknem – całkiem przytulnym apartamencie. Należy on do Gerarda, autora ilustracji do książek dla dzieci, którego poznała pewnej zimy. Wielkie, podwójne łoże, stos kołder, ciche, hipnotyczne tykanie grzejnika, a Addie i tak nie mogła zasnąć. Mogła tylko liczyć, czekać i żałować, że nie powiedziała „jutro", bo wówczas musiałaby wytrzymać tylko jeden dzień, a nie dwa.

Przez trzysta lat znosiła jakoś upływ czasu, ale teraz, kiedy ma teraźniejszość i jakąś przyszłość, nie może się doczekać wyrazu twarzy Henry'ego i dźwięku swojego imienia padającego z jego ust.

Bierze długi prysznic, aż skończy się ciepła woda, wyciera się do sucha i układa włosy na trzy różne sposoby. Potem siada na blacie kuchennej wyspy, podrzucając pojedyncze płatki śniadaniowe i próbując złapać je na

język. Tymczasem wskazówki zegara na ścianie przesuwają się z dziesiątej trzynaście na dziesiątą czternaście. Addie jęczy z nudów. Ma się spotkać z Henrym dopiero o siedemnastej, a czas zdaje się zwalniać z każdą minutą. Ma wrażenie, że zaraz zwariuje.

Dawno nie czuła takiej monotonii. Nie może się na niczym skupić i doprowadza ją to do szaleństwa. Dopiero kiedy mija ranek, zdaje sobie sprawę, że wcale nie jest znudzona.

Jest nerwowa.

Tak nerwowa, jakby dopiero dotarło do niej prawdziwe znaczenie słowa „jutro", niosącego rzeczy, które się jeszcze nie zdarzyły. Słowa oznaczającego przyszłość, podczas gdy od tak dawna żyła tylko teraźniejszością.

Addie nie przywykła do zdenerwowania.

Nie ma powodu do zdenerwowania, gdy ktoś zawsze jest sam, kiedy każdy krępujący moment zostaje wymazany zamknięciem drzwi, chwilą nieobecności, a każde spotkanie jest nowym początkiem. Czystą, niezapisaną kartą.

Zegar pokazuje teraz jedenastą i dziewczyna decyduje, że nie wytrzyma już ani chwili w czterech ścianach.

Zmiata kilka pozostałych na podłodze płatków, zostawia wszystko w mieszkaniu tak, jak je zastała, i wychodzi prosto w ciepłe brooklińskie przedpołudnie. Przemyka między butikami, rozpaczliwie pragnąc skoncentrować się na czymś innym poza czekaniem, a przy okazji kompletując nowy strój, ponieważ ten, który ma na sobie, nie wystarczy. Przecież miała go na sobie już raz przedtem!

„Przedtem" to kolejne słowo, które straciło znaczenie, a teraz je odzyskuje.

Addie wybiera jasne dżinsy, parę czarnych jedwabnych pantofli, bluzkę z głębokim dekoltem, narzuca na to swoją skórzaną kurtkę, mimo że nie pasuje do reszty stroju. To jedyna rzecz, której nie mogłaby zostawić.

Inaczej niż pierścionek, nie wróci do niej sama.

Potem pozwala pełnej entuzjazmu dziewczynie w eleganckiej drogerii usadzić się na stołku i przez kolejną godzinę wypróbowuje rozmaite rozświetlacze, kredki do kresek i cienie. Kiedy makijażystka kończy pracę, z lustra spogląda na Addie śliczna, ale cudza twarz: ciepły odcień jej oczu

chłodzi wieczorowy makijaż, skóra jest zbyt gładka, a spod matowego podkładu nie widać siedmiu piegów.

Słyszy głos Luca, który zasnuwa jej odbicie niczym mgła:

„Wolałbym raczej, żeby chmury zasłoniły gwiazdy na niebie".

Addie odsyła sprzedawczynię na poszukiwanie koralowej szminki, a kiedy tylko zostaje sama, wyciera ciemne chmury wokół oczu.

W jakiś sposób wytrzymuje aż do szesnastej, ale wtedy stoi już pod antykwariatem, pękając z nadmiaru nadziei i obaw. Zmusza się więc do okrążenia całego kwartału, licząc płyty chodnikowe i zapamiętując każdy sklepik z osobna, aż jest już kwadrans przed siedemnastą i nie zniesie ani minuty dłużej.

Cztery małe stopnie, jedne drzwi.

I jeden wielki strach.

A co, jeżeli…

Co, jeśli spędzili za dużo czasu osobno?

Co, jeśli pęknięcie się zasklepiło, a klątwa znów działa jak dawniej?

Co, jeśli to był tylko szczęśliwy traf? Albo okrutny żart?

Co, jeśli… co, jeśli… co, jeśli…

Addie wstrzymuje oddech, otwiera drzwi i wchodzi.

Tymczasem Henry'ego tu nie ma. Zamiast niego za kasą stoi ktoś inny.

To dziewczyna, ta sama co poprzednio. Siedziała wtedy skulona na skórzanym fotelu i zawołała Henry'ego po imieniu, kiedy wybiegł, by złapać Addie na chodniku. Teraz opiera się o kasę, przeglądając wielki album pełen błyszczących zdjęć.

Dziewczyna wygląda jak dzieło sztuki: jest uderzająco piękna, odcień jej ciemnej skóry podkreśla srebrny strój, sweter ma zsunięty z ramienia. Na dźwięk dzwonka podnosi wzrok.

– Mogę jakoś pomóc?

Addie zacina się, wytrącona z równowagi wirem pragnień i obaw.

– Mam nadzieję, że tak – mówi. – Szukam Henry'ego.

Tamta patrzy na nią, przygląda jej się bacznie…

A potem spomiędzy półek dobiega znany głos:

– Bea, czy sądzisz, że to wygląda… – Henry wychodzi zza rogu, wygładzając koszulę i milknąc na widok Addie. Przez ułamek sekundy wydaje jej się, że to koniec, że Henry ją zapomniał i znów została sama,

a słoneczna pogoda w jej życiu skończyła się jak ucięta nożem. Potem jednak Henry się uśmiecha i mówi: – Przyszłaś wcześniej.

A jej kręci się w głowie od nadziei, światła i powietrza.

– Przepraszam – odzywa się bez tchu.

– Nie ma za co. Widzę, że poznałaś już Beatrice. Bea, to Addie.

Uwielbia brzmienie swojego imienia w ustach Henry'ego.

Luc zwykł nim operować jak bronią, nożem przecinającym jej skórę, ale Henry wymawia je niczym dźwięk dzwonka, lekko i jasno. Wybrzmiewa pomiędzy nimi echem.

Addie… Addie… Addie…

– Déjà vu – oznajmia Bea, kręcąc głową. – Spotkałaś kiedyś kogoś po raz pierwszy, ale miałaś pewność, że już widziałaś tę osobę?

Addie czuje, że niewiele brakuje, by wybuchła śmiechem.

– Tak.

– Nakarmiłem już Książka – mówi Henry do Beatrice, naciągając płaszcz. – Nie rozsypuj już więcej kocimiętki w dziale horrorów. – Ona podnosi dłonie z brzęczącymi bransoletkami w geście urażonej niewinności. Henry odwraca się do Addie ze wstydliwym uśmiechem. – Gotowa?

Są w połowie drogi do drzwi, kiedy Bea pstryka palcami.

– Barok! – woła. – A może neoklasycyzm?

Addie patrzy na nią zmieszana.

– Okresy w sztuce?

Tamta kiwa głową.

– Mam teorię, że każda twarz przynależy do pewnego okresu. Czasu. Szkoły malarstwa.

– Bea robi doktorat – wtrąca Henry. – Z historii sztuki, w razie jakbyś nie zauważyła.

– Henry najwyraźniej należy do romantyzmu. Nasz przyjaciel Robbie do postmodernizmu, oczywiście do nurtu awangardowego, nie minimalistycznego. Ale ty… – W zadumie kładzie palec na usta. – W tobie jest coś ponadczasowego.

– Przestań flirtować z dziewczyną, którą zabieram na randkę – mówi Henry.

„Randka”. To słowo przejmuje ją dreszczem. Randka to coś, na co trzeba się zdecydować, co trzeba zaplanować. Nie łut szczęścia ani okazja, tylko czas poświęcony pewnej osobie, jakaś chwila w przyszłości.

– Bawcie się dobrze! – woła radośnie Bea. – I nie siedźcie do późna.

Henry przewraca oczami.

– Cześć, Bea – żegna się, przytrzymując drzwi.

– Mam u ciebie dług – dodaje tamta.

– Masz darmowy dostęp do książek.

– Prawie jak w bibliotece!

– To nie biblioteka! – odkrzykuje chłopak, a Addie uśmiecha się, wychodząc za nim na ulicę. To najwyraźniej żart zrozumiały tylko dla nich, coś, co oboje znają, a ona czuje bolesną tęsknotę za takim czymś i zastanawia się, jak by to było, znać kogoś tak dobrze i z wzajemnością. Zastanawia się, czy mogliby z Henrym również żartować w ten sposób… gdyby znali się dość długo.

To chłodny wieczór, a oni idą obok siebie, nie pod rękę, ale muskając się łokciami, nachylając nieco ku sobie. Addie zachwyca się chłopakiem u swojego boku, z nosem w szaliku owiniętym wokół szyi i twarzy, zachwyca się nieznaczną zmianą w jego zachowaniu, nieco większą swobodą w jej obecności. Kilka dni temu była dla niego jeszcze nieznajomą, a teraz już się znają. Uczą się siebie nawzajem w takim samym tempie, oboje dopiero zaczynają, dla obojga jest to nowa sytuacja, ale oboje są o krok dalej na drodze od nieznanego do zażyłości. Krok, którego nigdy nie wolno było jej zrobić z nikim poza Lukiem.

A mimo to...

Oto idzie z tym właśnie chłopakiem.

„Kim jesteś?”, myśli, a tymczasem okulary Henry’ego zachodzą mgłą. Chłopak dostrzega, że Addie na niego zerka, i mruga do niej porozumiewawczo.

– Dokąd mnie prowadzisz? – pyta, kiedy docierają do stacji metra. Henry spogląda na nią i uśmiecha się nieśmiało.

– Niespodzianka – odpowiada, kiedy idą po schodach w dół.

Wsiadają w pociąg linii G na Greenpoint, dojeżdżają na miejsce, po czym cofają się pół przecznicy. Stają przez niepozorną witryną z napisem „Ekspresowe pranie” w oknie. Henry przytrzymuje drzwi, a Addie

wchodzi. Rozgląda się wśród pralek, słucha białego szumu płukania i łomotu wirówek.

– To pralnia samoobsługowa – mówi.

Ale w oczach Henry'ego płonie łobuzerski blask.

– To tajna melina!

Na te słowa pamięć gwałtownie podsuwa jej wspomnienie: Addie znów jest w Chicago, niemal sto lat wcześniej, jazz krąży jak dym w podziemnym barze, w powietrzu unosi się ciężki aromat dżinu i cygar, słychać brzęk szklanek, a prawdziwe przeznaczenie tego miejsca od dawna jest tajemnicą poliszynela. Siedzą pod witrażem przedstawiającym anioła unoszącego puchar, szampan szczypie ją w język, ciemność uśmiecha się tuż przy niej i ciągnie ją na parkiet, do tańca, i to jest początek końca wszystkiego.

Addie otrząsa się i wraca do rzeczywistości. Henry przytrzymuje otwarte drzwi z tyłu pralni, a ona przygotowuje się na ciemne wnętrze, na wymuszony powrót do przeszłości, ale zamiast tego dostrzega światła neonów i elektroniczne dźwięki automatów do gier. Dokładniej: flipperów. Maszyny poustawiano pod ścianami, blisko siebie, by zrobić miejsce również dla stołów, krzeseł i drewnianego baru.

Rozgląda się, zdezorientowana. To nie melina, a przynajmniej nie w ścisłym znaczeniu tego słowa. To po prostu jeden lokal ukryty za innym, palimpsest na odwrót.

– No i co? – pyta Henry, uśmiechając się nieśmiało. – Co o tym myślisz?

Addie czuje, że odpowiada uśmiechem, a w głowie kręci jej się z ulgi.

– Uwielbiam to miejsce.

Jest wcześnie, ale w barze znajduje się już całkiem sporo osób.

Henry prowadzi ją dumnie do kąta i zajmuje dla nich parę starych flipperów, kładąc na każdym z nich chwiejny stosik ćwierćdolarówek. Dziewczyna wstrzymuje oddech, wrzucając pierwszą monetę, przygotowana, że ćwiartka brzdęknie zaraz w otworze z napisem „zwrot". Dwudziestopięciocentówka wpada jednak, gdzie trzeba, i maszyna budzi się do życia z radosną kakofonią kolorów i dźwięków.

Addie wypuszcza powietrze z ulgą i zachwytem.

Zapewne jest anonimowa, a po jej grze nie pozostanie ani śladu, tak jak po kradzieżach. Zapewne, ale w tej chwili zupełnie się o to nie martwi.

Odciąga gałkę, puszcza ją i zaczyna grać.

III

– Jak to możliwe, że tak ci to dobrze wychodzi? – dziwi się Henry, kiedy dziewczyna zdobywa kolejne punkty.

Addie nie jest pewna. Szczerze mówiąc, nigdy wcześniej nie grała i musiała spróbować kilka razy, żeby wczuć się w reguły, ale teraz już radzi sobie znakomicie.

– Szybko się uczę – odpowiada, a po chwili kulka prześlizguje się pomiędzy flipperami.

– REKORD! – oznajmia mechaniczny głos z wnętrza maszyny.

– Dobra robota! – przekrzykuje elektroniczny hałas Henry. – Teraz zapisz to zwycięstwo.

Ekran miga, czekając na wprowadzenie imienia. Addie się waha.

– O, w ten sposób – podpowiada Henry, pokazując jej, jak przemieszczać się czerwonym kursorem pomiędzy literami. Odsuwa się, ale kiedy dziewczyna próbuje, kursor się nie porusza. Światełko błyska tylko przy literze „A”, jakby z niej kpiło.

– To bez znaczenia – mówi, cofając się od maszyny, a on podchodzi.

– Nowe maszyny, stare problemy. – Henry uderza pudło biodrem, i kwadracik nieruchomieje wokół „A”. – No proszę.

Chce ustąpić jej miejsca, ale Addie łapie go za ramię.

– Wprowadź moje imię, a ja przyniosę następną kolejkę.

Teraz jest jej łatwiej, ponieważ bar jest pełen gości. Zgarnia dwa piwa z kontuaru i przeciska się z powrotem przez tłum, zanim barman zdąży się odwrócić. Kiedy wraca do maszyn z kuflami w dłoniach, widzi litery, błyskające z ekranu jaskrawą czerwienią.

„ADI”

– Nie wiedziałem, jak się pisze twoje imię – mówi Henry.

Oczywiście zapisał je źle, ale to nie ma znaczenia. Nic się nie liczy, tylko te trzy litery świecące jej prosto w oczy, wyglądające niemal jak pieczęć albo podpis.

– Zmiana – oznajmia Henry, kładąc dłonie na jej biodrach i kierując ją do maszyny, na której przed chwilą grał. – Zobaczymy, czy zdobędę lepszy wynik.

Addie wstrzymuje oddech i ma nadzieję, że nikomu się to nie uda.

Grają, aż kończą im się ćwierćdolarówki i piwo, aż w barze robi się zbyt tłoczno i nieprzyjemnie. W końcu nie słyszą swoich głosów przez dzwonienie i hałas maszyn oraz krzyki innych ludzi, a wówczas wychodzą z ciemnego salonu gier. Wracają przez lśniącą nowością pralnię na ulicę, wciąż kipiąc energią.

Na zewnątrz jest już ciemno. Na niebie wisi niski baldachim gęstych, szarych chmur, zapowiadający deszcz, a Henry wsuwa dłonie do kieszeni i rozgląda się po ulicy.

– Co teraz?

– Chcesz, żebym wybrała?

– To równouprawniona randka – mówi chłopak, kołysząc się na piętach. – Ja zorganizowałem początek, a teraz twoja kolej.

Addie nuci pod nosem, patrząc na lewo i na prawo, przywołując z umysłu plan tej okolicy.

– Dobrze, że znalazłam portfel – mówi, klepiąc się po kieszeni. Oczywiście niczego nie znalazła, ale pozwoliła sobie świsnąć kilka banknotów dwudziestodolarowych z kuchennej szuflady ilustratora, zanim opuściła jego mieszkanie. Sądząc po ostatnich recenzjach w „Timesie” i plotkach na temat wysokości jego honorarium za najnowszą książkę, Gerard nie odczuje braku tych pieniędzy.

– Tędy – decyduje i rusza chodnikiem.

– Daleko jeszcze? – pyta Henry kwadrans później, kiedy wciąż idą.

– Myślałam, że jesteś nowojorczykiem – odpowiada Addie kpiąco.

Mimo to chłopak maszeruje raźno, dotrzymując jej kroku. Pięć minut później skręcają za róg i docierają do celu. Napis „Nitehawk” rozświetla

ciemną ulicę rządkiem białych żarówek, układających się w litery na ceglanej fasadzie, a nad wejściem da się dostrzec czerwony neon: KINO.

Addie odwiedziła wszystkie kina w Brooklynie, wielkie multipleksy z miękkimi fotelami i małe, niezależne salki ze zniszczonymi kanapami, obejrzała każdy film, nowości i nostalgiczne perełki.

Nitehawk jest jednym z jej ulubionych miejsc.

Ogląda tablicę z repertuarem, po czym kupuje dwa bilety na Północ, północny zachód, ponieważ Henry mówi, że nigdy nie widział tego filmu, a potem bierze go za rękę i prowadzi go korytarzem w ciemność.

Pomiędzy siedzeniami zainstalowano małe stoliki, na każdym leży plastikowe menu i kawałki papieru, na których wypisuje się zamówienie. Addie oczywiście nigdy nie mogła z tego skorzystać, bo litery stawiane ołówkiem znikały, a kelner zapominał o niej, kiedy tylko tracił ją z oczu, więc pochyla się i patrzy, jak Henry wypełnia ich karteczkę, zachwycona, że nareszcie może coś zamówić.

Na ekranie pojawiają się kolejne zwiastuny, a miejsca wokół nich się zapełniają. Henry ujmuje jej dłoń, a ich palce splatają się jak ogniwa w łańcuchu. Spogląda na jego twarz, ledwie widoczną w przyćmionym świetle sali kinowej. Czarne kędziory, wysokie kości policzkowe, usta układające się w łuk kupidyna. Cień podobieństwa.

Nie po raz pierwszy dostrzega cechy Luca w twarzy kogoś innego.

– Gapisz się na mnie – szepcze Henry, podczas gdy z ekranu grzmi kolejny zwiastun.

Addie mruga.

– Przepraszam. – Kręci głową. – Wyglądasz jak ktoś, kogo kiedyś znałam.

– Mam nadzieję, że go lubiłaś.

– W sumie to nie – odpowiada, a wówczas on patrzy na nią z udawaną urazą, a ona musi się powstrzymać od parsknięcia śmiechem. – To było bardziej skomplikowane.

– Ach. Miłość?

Dziewczyna znowu kręci głową.

– Nie… – odpowiada niepewnie. – Ale wyglądał wyjątkowo uroczo.

Henry się śmieje, tymczasem światło gaśnie i zaczyna się film.

Pojawia się inny kelner: schylając się, podaje im jedzenie. Addie skubie frytki z talerza, wygodnie rozparta na fotelu, i skupia się na filmie. Zerka, żeby sprawdzić, czy Henry'emu też się podoba, ale chłopak nawet nie patrzy na ekran. Jego twarz, godzinę wcześniej rozjaśniona i pełna energii, zastygła w grymasie napięcia. Jedno kolano podskakuje nerwowo.

Pochyla się ku niemu i szepcze:

– Nie podoba ci się?

Posyła jej w odpowiedzi blady uśmiech.

– Jest w porządku – mówi, wiercąc się w fotelu. – Tylko trochę wolny.

Addie już chce powiedzieć: „Przecież to Hitchcock", ale zamiast tego szepcze:

– Warto zaczekać, obiecuję.

Henry odwraca się ku niej ze zmarszczonym czołem.

– Widziałaś już ten film?

Oczywiście, że go widziała.

Po raz pierwszy w 1959, w kinie w Los Angeles, a potem w latach siedemdziesiątych, na podwójnym seansie razem z Intrygą rodzinną, i jeszcze raz, kilka lat temu, w Greenwich Village, w ramach retrospektywy. Hitchcock często bywa wskrzeszany: jego filmy wracają do kin w regularnych odstępach czasu.

– Tak – odszeptuje. – Ale nie mam nic przeciwko obejrzeniu go jeszcze raz.

Henry nic nie mówi, jednak najwyraźniej ma coś przeciwko. Jego kolano znów podskakuje, a kilka minut później wstaje i wychodzi do lobby.

– Henry! – woła za nim, zmieszana. – Co się dzieje? Coś nie tak?

Dogania go, kiedy chłopak otwiera drzwi kina i wychodzi na chodnik.

– Przepraszam – bełkocze. – Potrzebowałem trochę powietrza.

Ale najwyraźniej nie w tym rzecz. Chłopak idzie przed siebie.

– Powiedz coś.

Zwalnia kroku.

– Wolałbym, żebyś mi powiedziała.

– Ale co?

– Że już widziałaś ten film.

– Ale przecież ty nie widziałeś. A ja mogłam obejrzeć go jeszcze raz. Lubię oglądać rzeczy po parę razy.

– A ja nie! – odpala ostro Henry, a potem łagodnieje. – Przepraszam. – Kręci głową. – Bardzo przepraszam. Nie powinienem cię obciążać tym problemem. – Przesuwa dłonią po włosach. – Ja tylko… – Znów kręci głową. Odwraca się, by na nią spojrzeć, a jego oczy w ciemności wydają się szkliste. – Czy kiedykolwiek czułaś się tak, jakby kończył ci się czas?

Addie mruga i nagle znów klęczy trzysta lat wcześniej w środku lasu, wpijając paznokcie w omszałą ziemię, a za nią rozbrzmiewają kościelne dzwony.

– Nie chodzi mi o normalne tempo, rozumiesz, tak jak się mówi, że „czas ucieka” – precyzuje chłopak. – Raczej o poczucie, że upływa zbyt szybko, że próbujesz go złapać, przytrzymać, ale on ci się wymyka. Z każdą sekundą jest go mniej i coraz mniej powietrza, i czasem, kiedy siedzę bez ruchu, zaczynam o tym myśleć, a kiedy o tym myślę, nie mogę oddychać. Muszę wstać. Muszę się ruszyć z miejsca.

Oplata tułów ramionami, wbijając palce w żebra.

Addie dawno nie słyszała podobnego tonu, ale pamięta go doskonale: pamięta strach, potężny i miażdżący.

„Mrugam i mija połowa mojego życia.

Nie chcę umrzeć tak samo, jak żyłam.

Urodzona i pochowana na tej samej dziesięciometrowej działce”.

Łapie go za ramię.

– Chodź – mówi, ciągnąc go ulicą. – Idziemy.

– Dokąd? – pyta Henry, a jej dłoń opada, łapie jego palce i mocno ściska.

– Znaleźć ci coś nowego.

Paryż
29 lipca 1724

IV

Remy Laurent jest jak bukłak pełen śmiechu. Wesołość wylewa się z niego przy każdej okazji.

Idą razem przez Île de la Cité, a on przechyla kapelusz na głowie Addie, łapie ją za kołnierz, obejmuje ramieniem i pochyla głowę, tak jakby chciał wyszeptać jej sprośny sekret. Z zachwytem bierze udział w jej grze, a ona z równym zachwytem wita kogoś, z kim może w nią zagrać.

– Thomas, ty błaźnie! – drwi głośno, kiedy mijają gromadę mężczyzn.

– Thomas, ty hultaju! – woła, kiedy przechodzą obok wylotu alejki, w którym stoi para kobiet, czy też dziewcząt, chociaż mocno uróżowanych i przebranych w obszarpane koronki. Podejmują ten okrzyk.

– Thomas – powtarzają prowokującymi, słodkimi głosami – zostań naszym hultajem! Thomas, chodź się zabawić!

Wślizgują się do wspaniałej katedry i przemykają w cieniu do schodów na północną wieżę. Wspinają się po nich, aż dotrą na obolałych nogach na szczyt. Dyszą ciężko po wysiłku, napawając się widokiem z wieży. Remy rozpościera swój płaszcz na kamieniu, wskazując jej gestem, by usiadła. Dzielą się pożywieniem, a Addie podczas jedzenia przygląda się dziwnemu towarzyszowi.

Remy jest pod każdym względem przeciwieństwem Luca. Jego czupryna wygląda jak korona z lśniącego złota, oczy ma błękitne niczym letnie niebo, ale różnica jest widoczna jeszcze bardziej w jego zachowaniu: swobodnym uśmiechu, szczerym śmiechu i tryskającej energią młodości. Jeśli Luc ekscytuje ją jako uosobienie ciemności, to

Remy – jako promień słońca w samo południe, a jeśli nawet nie wydaje się tak przystojny jak tamten, to tylko dlatego, że jest człowiekiem.

Jest prawdziwy.

Dostrzega, że Addie mu się przygląda, i wybucha śmiechem.

– Obserwujesz mnie, żeby udoskonalić swoją sztukę? Muszę powiedzieć, że doszłaś do mistrzostwa w naśladowaniu postury i manier młodego paryżanina.

Dziewczyna patrzy po sobie i zdaje sobie sprawę, że siedzi z jednym kolanem uniesionym, a ramieniem opartym leniwie na nodze.

– Jednak obawiam się, że jesteś zbyt ładna, nawet w ciemności. – Przysuwa się i łapie ją za dłoń. – Jak masz naprawdę na imię?

Tak bardzo chciałaby mu powiedzieć.

Próbuje, próbuje, myśląc, że może tylko tym razem słowo przejdzie jej przez gardło. Zacina się jednak zaraz po „A", więc zmienia zdanie i mówi:

– A…nna.

– Anna – powtarza Remy, zakładając niesforny kosmyk za jej ucho. – Pasuje do ciebie.

Przez następne lata Addie będzie używać setek imion i usłyszy te słowa niezliczoną liczbę razy, aż zacznie zastanawiać się nad tym, czy imiona w ogóle są ważne. Sama koncepcja nazywania ludzi zacznie tracić znaczenie, tak jak słowo wypowiedziane zbyt wiele razy z rzędu, rozpadające się na bezużyteczne głoski i sylaby. Ta zużyta fraza stanie się dla niej dowodem, że imię w rzeczywistości nie ma sensu, mimo że tęskni za tym, by wymówić i usłyszeć własne.

– Powiedz mi, Anno – odzywa się znów Remy – Kim jesteś?

I wtedy opowiada mu swoją historię, a przynajmniej próbuje: wyjawia dziwną i krętą drogę swojego życia, a potem, kiedy historia ta nie dociera nawet do jego uszu, zaczyna od nowa, opowiadając mu inną wersję prawdy, unikając ostrych krawędzi i wygładzając szorstkie fragmenty tak, by brzmiała bardziej prawdopodobnie dla zwykłego człowieka.

Historia Anny jest bladym cieniem prawdy o Adeline.

Dziewczyna ucieka przed życiem kobiety. Zostawia za sobą wszystko, co kiedykolwiek znała, i umyka do miasta, pozbawiona wszystkiego, samotna, ale wolna.

– Niewiarygodne – podsumowuje Remy. – I tak po prostu odeszłaś?

– Musiałam – odpowiada Addie i to już nie jest kłamstwo. – Przyznaj, uważasz mnie za szaloną.

– To prawda – zgadza się młodzieniec z radosnym uśmiechem. – Najbardziej szaloną, jaką znam. I najbardziej niesamowitą. Jakaż odwaga!

– Nie czułam się odważna – stwierdza Addie, skubiąc skórkę chleba. – Raczej tak, jakbym nie miała wyboru. Tak jakbym… – Słowa więzną jej w gardle, a ona nie jest pewna, czy to klątwa, czy tylko luka w pamięci. – Czułam, jakbym tam umierała.

Remy z namysłem kiwa głową.

– Małe miasteczka to brak perspektyw, ale niektórym to wystarczy. Żyją, wiedząc, gdzie postawią następny krok. Ale jeśli idzie się w ślady innych, nie utoruje się własnej drogi. Nie pozostawi po sobie niczego, ani znaku.

Addie czuje, że ściska ją w gardle.

– Czy sądzisz, że życie ma jakąkolwiek wartość, jeżeli nie zostawia się po sobie niczego na świecie?

Remy poważnieje. Musiał zauważyć smutek w jej głosie, ponieważ mówi:

– Myślę, że można to zrobić na wiele sposobów. – Wyciąga z kieszeni broszurkę. – Oto dzieło pana Woltera, ale musiały istnieć także dłonie, które złożyły czcionki do druku. Musiał powstać tusz, dzięki któremu litery są czytelne, i musiało wyrosnąć drzewo, z którego zrobiono papier. Wszystkie te elementy się liczą, chociaż zasługi przypisuje się tylko temu, którego nazwisko widnieje na okładce.

Oczywiście fałszywie odczytał jej obawy, założył, że pytanie wypłynęło z innego, bardziej powszechnego strachu. Mimo to jego słowa mają swoją wagę, chociaż miną lata, zanim Addie odkryje, jak wielką.

Zapada między nimi milczenie, ciężkie od myśli obojga. Wraz z nastaniem nocy letni skwar ustąpił miejsca chłodniejszej bryzie. Późna pora zawisa nad nimi niczym płachta.

Po zejściu z wieży, na ulicy, Remy odzywa się:

– Już noc. Pozwól mi się odprowadzić do domu.

Addie kręci głową.

– Nie musisz.

– Ależ tak! – protestuje. – Może i przebrałaś się za mężczyznę, ale ja poznałem prawdę, toteż honor nie pozwala mi cię zostawić. Lepiej nie chodzić samotnie w ciemności.

Nawet nie wie, jak wiele racji jest w jego słowach. Ściska jej się serce na myśl, że nić zawiązana tego wieczoru miałaby się zerwać. Zaczynają się zachowywać wobec siebie ze swobodą wynikającą nie z dni ani miesięcy znajomości, ale zaledwie z godzin, mimo wszystko jednak jest to coś delikatnego i przyjemnego.

– W takim razie… dobrze – oświadcza Addie, a on odpowiada uśmiechem pełnym czystej radości.

– Prowadź!

Nie ma żadnego domu, do którego mogłaby go zabrać, ale rusza w kierunku miejsca, gdzie zatrzymała się kilka miesięcy wcześniej. Z każdą chwilą serce ściska jej się boleśnie, ponieważ każdy krok zbliża ją do zakończenia tej znajomości. A kiedy skręcają w ulicę, na której umieściła swój zmyślony dom, i zatrzymują się przed drzwiami, które w rzeczywistości wcale do niej nie należą, Remy pochyla się i całuje ją raz, w policzek. Nawet w mroku dostrzega, że się zarumienił.

– Chciałbym się znów z tobą spotkać – wyznaje młodzieniec. – W dzień lub w nocy, w przebraniu kobiety lub mężczyzny. Proszę, spotkajmy się jeszcze raz.

Serce jej pęka, ponieważ oczywiście nie będzie żadnego jutra, tylko dzisiaj, a ona nie jest gotowa na zerwanie tej nici, na zakończenie nocy, więc odpowiada:

– Pozwól się odprowadzić do domu. – A kiedy on otwiera usta w proteście, Addie naciska: – Lepiej nie chodzić samotnie w ciemności.

Patrzy jej prosto w oczy i być może rozumie, o co jej chodzi, a może tak samo jak ona nie ma ochoty kończyć tego wieczoru, ponieważ podaje jej ramię i mówi:

– Jakiż rycerski gest! – I ruszają razem dalej. Zdają sobie sprawę, że cofają się tą samą drogą, którą przed chwilą przyszli, i wybuchają śmiechem. Podczas spaceru do jej zmyślonego domu się ociągali, jednak teraz idą pośpiesznie, pełni oczekiwania.

Kiedy docierają do jego kwatery, nie udają nawet, że mają zamiar się pożegnać. Remy prowadzi ją po schodach, trzymając mocno za dłoń,

żwawo i bez tchu, a gdy stają w progu jego wynajętego pokoju, nie zwlekają ani chwili.

Addie czuje, że ściska ją lekko w piersi na myśl o tym, co się zaraz wydarzy.

Seks zawsze dotąd był dla niej obowiązkiem, koniecznością wynikającą z okoliczności, czasem wymaganą walutą, a ona była gotowa zapłacić tę cenę. Nawet teraz spodziewa się, że młodzieniec pchnie ją na łóżko i zedrze z niej ubranie, spodziewa się, że cały nastrój pryśnie pod wpływem gwałtownego aktu pozbawionego subtelności.

Tymczasem Remy wcale się na nią nie rzuca. W jego ruchach daje się wyczuć pewien pośpiech, ale trzyma instynkty na wodzy. Zdejmuje jej kapelusz z głowy i kładzie go delikatnie na biurku. Jego palce prześlizgują się po jej karku, wsuwają we włosy, a ich usta się spotykają. Całuje ją nieśmiało, badawczo.

Po raz pierwszy Addie nie czuje niechęci ani strachu, tylko nerwowy dreszcz, a napięta atmosfera wisząca między nimi pełna jest zawrotnego pożądania.

Gorączkowo rozpina jego spodnie, podczas gdy dłonie młodzieńca poruszają się wolniej, ale skuteczniej, ściągając jej bluzę przez głowę i odwiązując muślin owinięty wokół jej piersi.

– To dużo łatwiejsze niż zdejmowanie gorsetu – mruczy, całując ją tuż poniżej szyi, a ona po raz pierwszy od czasów nocy we własnym łóżku w Villon czuje gorąco przepływające przez policzki, po skórze i między nogami.

Prowadzi ją na posłanie, wyciskając pocałunki coraz niżej, wzdłuż szyi, na krągłości piersi, a potem uwalnia się z odzieży i wchodzi do łóżka, obok niej, na nią. Addie otwiera się przed nim, wstrzymując oddech, kiedy się w nią wsuwa, a Remy cofa się, zerka na dziewczynę, żeby się upewnić, że wszystko w porządku, a kiedy ona kiwa potakująco głową, opuszcza głowę, całuje ją, i dopiero wtedy kontynuuje, wchodząc jeszcze dalej i głębiej.

Jej plecy wyginają się w łuk, kiedy napięcie przełamuje się w rozkosz, głęboką i toczącą się coraz szybciej. Ich ciała poruszają się i naciskają na siebie, a ona chciałaby wymazać z pamięci wszystkich innych mężczyzn, wszystkie inne noce, ich śmierdzące oddechy i niezgrabne cielska, tępe

pchnięcia, kończące się nagłym, raptownym spazmem, zanim się wycofali i rozdzielili. Dla nich to, co mokre, było mokre, to, co ciepłe – ciepłe, a ona była tylko narzędziem służącym ich rozkoszy.

Nie potrafi wyrzucić z pamięci tamtych nocy, więc decyduje się na palimpsest. Niech Remy nadpisze tamte wspomnienia.

Tak to powinno wyglądać od początku.

Imię, które szepcze w jej włosy, nie należy do niej, ale to nie ma znaczenia. W tej chwili może być Anną. Może być kimkolwiek.

Oddech Remy'ego przyspiesza, kiedy młodzieniec porusza się coraz szybciej i wchodzi głębiej, a Addie czuje, że ona również nabiera prędkości, jej ciało sztywnieje wokół niego, doprowadzone na sam skraj ruchami jego bioder i blond włosami muskającymi jej twarz. Zaciska się coraz ciaśniej i ciaśniej, aby w końcu rozlecieć się na milion iskier, a kilka chwil później on również osiąga finał.

Remy opada na posłanie obok niej, ale nie odwraca się do niej plecami. Odgarnia kosmyk włosów z jej policzka, całuje ją w czoło i śmieje się cicho, niemal niesłyszalnie, ale ten śmiech ogrzewa ją całą.

Opada z powrotem na poduszkę, a potem ogarnia ich sen, jego – kamienny, po wyczerpującej rozkoszy, a jej lekki, ledwie drzemka, ale bez marzeń.

Teraz Addie w ogóle nie śni.

Prawdę mówiąc, nic jej się nie przyśniło od tamtej nocy w lesie, a jeśli nawet, to jest to jedyna rzecz, której nie pamięta. Być może w jej głowie nie ma już miejsca na inne wspomnienia, a może to jeszcze jeden aspekt klątwy. Możliwe zresztą, że to jakieś dziwne miłosierdzie, oszczędzające jej koszmarów.

Zostaje przy nim, ciepła i pełna szczęścia, i na parę godzin niemal zapomina.

Remy przez sen odwraca się do niej plecami, a ona dotyka dłonią miejsca między jego łopatkami i wyczuwa, jak jego skóra unosi się i opada, kiedy młodzieniec oddycha; wodzi palcami po kręgosłupie, przyglądając się jego ciału tak, jak on oglądał ją w porywach namiętności. Dotyka go lekko, jak piórkiem, ale po chwili Remy porusza się, przesuwa i odwraca ku niej.

Przez chwilę jego twarz nadal jest otwarta, szczera i pełna ciepła. Ta sama twarz, która pochylała się ku niej na ulicy i uśmiechała, kiedy dzielili wspólny sekret w kawiarni, odprowadził ją do domu, a potem poszli do niego.

Jednak przez chwilę potrzebną, by się w pełni obudzić, tamta twarz znika, a wraz z nią pamięć o tym wszystkim. Przez pełne sympatii błękitne oczy przemyka cień, a usta zaciskają się w wąską kreskę. Otrząsa się lekko i unosi na łokciu, zdenerwowany widokiem nieznajomej osoby we własnym łóżku.

Ponieważ teraz Addie jest oczywiście nieznajomą.

Po raz pierwszy od wczorajszego spotkania marszczy brwi, duka słowa powitania, zbyt sztywne i formalne, cały zakłopotany, a Addie czuje, że serce jej pęka. Remy próbuje być grzeczny, ale ona nie może tego znieść, więc wstaje i ubiera się najszybciej, jak potrafi, tak jakby odwracała kolejność, w jakiej zdejmował z niej ubranie. Nie przejmuje się sznurówkami czy sprzączkami ani nie odwraca ku niemu, dopóki nie czuje ciepła jego dłoni niemal pieszczotliwie dotykającej jej ramienia i przychodzi jej do głowy rozpaczliwa, dzika myśl, że może, może istnieje jakiś sposób, by ocalić więź pomiędzy nimi. Odwraca się, mając nadzieję, że popatrzą sobie w oczy, ale Remy opuszcza wzrok, odwraca głowę i wtyka jej w dłoń trzy monety.

Ostatnia nadzieja gaśnie.

To zapłata.

Minie wiele lat, zanim Addie nauczy się czytać po grecku, jeszcze więcej, zanim pozna mit o Syzyfie, ale kiedy to się stanie, pokiwa głową ze zrozumieniem. Dłonie obolałe od pchania głazu pod górę, serce ciężkie od widoku głazu staczającego się z powrotem.

W tej chwili jednak nie ma do towarzystwa mitycznego króla.

Teraz jest tylko ten piękny chłopak, odwrócony do niej plecami.

Tylko Remy, który ani drgnie, by powstrzymać Addie, gdy ta śpiesznie rusza ku drzwiom.

Coś przyciąga jej wzrok, plik kartek leżący krzywo na podłodze. Broszurka z kawiarni, najnowsze pisma Woltera. Addie nie wie, co każe jej wziąć książeczkę, być może chce mieć pamiątkę po tej nocy, coś więcej niż przeklęte miedziaki w dłoni, ale w jednej chwili broszura leży na podłodze

wśród rozrzuconych ubrań, a w następnej dziewczyna przyciska ją do piersi razem z resztą swoich rzeczy.

Teraz potrafi kraść już dość swobodnie i nawet jeżeli akurat tym razem wyszło jej to niezgrabnie, Remy nie zauważył. Siedzi na łóżku, odwracając od niej wzrok.

Nowy Jork
15 marca 2014

V

Addie prowadzi Henry'ego ulicą, a po chwili skręca za róg i staje przed niepozornymi stalowymi drzwiami, oklejonymi starymi afiszami. W pobliżu stoi facet palący jednego papierosa za drugim i przeglądający zdjęcia na telefonie.

– Jowisz – mówi Addie, nie czekając, aż ją zagadnie. Mężczyzna prostuje się i popycha drzwi, za którymi znajduje się wąski podest, z którego ciąg schodów prowadzi w dół, znikając z pola widzenia. – Witajcie w Czwartej Szynie.

Henry rzuca jej ostrzegawcze spojrzenie, ale Addie łapie go za rękę i ciągnie do środka. Drzwi zatrzaskują się za nimi, a chłopak ogląda się przez ramię.

– Przecież nie ma czegoś takiego jak czwarta szyna – mówi, a Addie uśmiecha się szeroko.

– No właśnie – odpowiada.

Uwielbia to w Nowym Jorku. Jest tu tak dużo ukrytych pomieszczeń, nieskończona liczba drzwi prowadzących do nieskończonej liczby pokoi, a jeżeli ktoś ma dość czasu, znajdzie większość z nich: część przypadkiem, inne w trakcie rozmaitych przygód. Chowa je w pamięci niczym zakładki pomiędzy kartami książki.

Jedna klatka schodowa prowadzi do drugiej, szerszej i kamiennej. Łukowaty sufit sklepia się nad ich głowami, tynk ustępuje miejsca kamieniowi, a potem ceramicznym płytkom. Tunel rozświetla tylko ciąg elektrycznych lamp, rozwieszonych tak rzadko, że ledwie rozjaśniają panujący tu mrok. Szlak z okruszków, jak w baśni. W tym świetle Addie

z przyjemnością dostrzega wyraz twarzy Henry'ego, kiedy chłopak zdaje sobie sprawę, gdzie właściwie się znajdują.

Nowojorskie metro ma niemal pięćset czynnych stacji, lecz liczba porzuconych tuneli pozostaje sporna. Część z nich jest otwarta dla zwiedzających, jako pomniki przeszłości lub niedokończone etapy przyszłości, niektóre zaś to niewiele więcej niż zamknięte tory pomiędzy działającymi liniami.

No i są jeszcze tajemnice.

– Addie… – bąka Henry, ale ona unosi palec i przechyla głowę. Wsłuchuje się w ciszę.

Muzyka dociera do nich najpierw jako echo, odległy pomruk, który nie tylko słyszą, ale czują całym ciałem. Z każdym krokiem w dół jest głośniejsza, zdaje się wypełniać powietrze wokół nich, najpierw mruczy, potem pulsuje, a w końcu uderza.

Przed sobą mają ceglany tunel, zaznaczony tylko białą, namazaną strzałką, pokazującą w lewo. Za rogiem muzyka potężnieje. Jeszcze jeden ślepy zaułek, jeszcze jeden zakręt i…

Dźwięki zwalają się na nich miażdżącą falą.

Cały tunel wibruje potężnymi basami, pogłosem akordów niosących się w kamiennych ścianach. Reflektory migoczą zimną bielą, a stroboskopowe światło wyławia z ukrytego klubu nieruchome kadry: wijący się tłum, ciała skaczące do rytmu, dwóch muzyków z elektrycznymi gitarami na betonowej scenie, kilku barmanów uchwyconych w pół gestu.

Ściany tunelu są wykładane szarymi i białymi płytkami tworzącymi szerokie pasy, wiją się łukami nad głową i zaginają niczym żebra, tak jakby znajdowali się w brzuchu jakiejś wielkiej, zapomnianej bestii, której serce bije równym rytmem.

W Czwartej Szynie wyzwalają się pierwotne instynkty. Luc uwielbiałby to miejsce.

Ale ten konkretny klub należy do niej. Addie sama znalazła ten tunel i pokazała go muzykowi-menedżerowi szukającemu nowego miejsca, a później tego samego wieczoru, gdy siedzieli z głowami pochylonymi nad papierową serwetką, zasugerowała mu nazwę. Jego długopis, jej pomysł. Na pewno obudził się następnego dnia z kacem i pierwszymi szkicami Czwartej Szyny. Pół roku później zauważyła faceta stojącego przed

stalowymi drzwiami. Zobaczyła logo, które zaprojektowali razem, chociaż w bardziej stonowanej wersji, namalowane pod odłażącymi plakatami, i poczuła dreszcz na myśl, że znowu podszepnęła coś światu, by na własne oczy zobaczyć, jak staje się to rzeczywistością.

Teraz ciągnie Henry'ego do zaimprowizowanego baru.

To proste: ścianę tunelu za szerokim blokiem jasnego kamienia, służącym jako kontuar, podzielono na trzy części. Klient ma trzy możliwości: wódka, bourbon albo tequila. Przed każdą sekcją stoi barman, czekający na zamówienia.

Addie pokazuje mężczyźnie za barem dwie wódki.

Transakcja odbywa się bez słów, bo próba przekrzyczenia ściany dźwięku nie ma większego sensu. Dziewczyna porozumiewa się z obsługą na migi i kładzie na barze dziesięciodolarówkę, a barman, wysoki, szczupły czarny mężczyzna ze srebrnym pyłem na powiekach, nalewa dwa szoty i rozpościera dłonie, jakby rozdawał karty.

Henry unosi swoją szklaneczkę, Addie robi to samo, po czym ich usta poruszają się równocześnie (on zapewne mówi „na zdrowie", a ona odpowiada francuskim „salut"), ale nie słyszą swoich słów, a gdy trącają się szkłem, czują tylko słabą wibrację stuknięcia w opuszkach.

Wódka wpada jej do żołądka jak zapalona zapałka i dziewczyna czuje gorąco między żebrami.

Odstawiają puste szklaneczki na bar. Addie ciągnie Henry'ego ku masie ciał pod sceną, kiedy barman łapie go za rękę.

Następnie z uśmiechem stawia na kontuarze trzecią szklaneczkę i nalewa wszystkim jeszcze raz. Przyciska dłonie do piersi w uniwersalnym geście oznaczającym „ja stawiam".

Wychylają drugą kolejkę i znów pojawia się gorąco wędrujące z żołądka do żył, a potem ręka Henry'ego w jej dłoni, ciągnącej go w tłum. Addie ogląda się i widzi barmana patrzącego za nimi. Nachodzi ją dziwne uczucie, jak resztki snu, chce coś powiedzieć, ale muzyka jest jak ściana, a wódka wygładza ostre krawędzie jej myśli. Zaraz potem to wrażenie znika, a oni wciskają się w tłum.

Wysoko ponad nimi może być wczesna wiosna, lecz tutaj panuje późne lato, wilgotne i ciężkie. Muzyka jest płynna, a powietrze gęste jak syrop, kiedy wpadają w plątaninę kończyn. Tunel za sceną ma ceglane ściany,

które tworzą świat echa, miejsce, gdzie dźwięki się zaginają, odbijają, a każda nuta niesie się dłużej, słabnie, ale nigdy nie milknie. Gitarzyści grają skomplikowany riff w idealnym współbrzmieniu, wzmagając echa od ścian, wzburzając powierzchnię morza głów przed sceną.

A potem w krąg światła reflektora wchodzi dziewczyna.

Nastoletni chochlik – „elf", jak powiedziałby Luc – w krótkiej czarnej sukience i glanach. Platynowobiałe włosy ma upięte w dwa koczki na czubku głowy, a ich końce są szpiczaste niczym segmenty korony. Jedyny kolor to smuga czerwieni na ustach i tęczowa maska namalowana na oczach. Gitarzyści przyspieszają, ich palce fruwają nad strunami. Powietrze drży, a rytm tętni w skórze, mięśniach i kościach.

Dziewczyna zaczyna śpiewać.

Jej głos brzmiałby jak jęk upiora, gdyby upiory potrafiły jęczeć melodyjnie. Sylaby się zlewają, spółgłoski zacierają i Addie odkrywa, że nachyla się ku głośnikom, chcąc usłyszeć słowa, które jednak cofają się, znikają pod rytmem, wchłaniane przez dziką energię Czwartej szyny.

Gitary grają hipnotycznym chórem.

Wokalistka wygląda niemal jak lalka, marionetka na sznurkach.

Addie myśli, że Luc pokochałby ją, i zastanawia się przez chwilę, czy odwiedził to miejsce, od kiedy je odkryła. Wciąga powietrze tak, jakby mogła wywąchać ciemność, niczym dym. Siłą woli nakazuje sobie przestać, opróżnia głowę z myśli o cieniu, robi tam miejsce dla chłopaka obok, podskakującego w rytm muzyki.

Henry porusza się z odchyloną głową, zaparowanymi okularami i potem ściekającym w dół policzków jak łzy. Przez ułamek sekundy wygląda niemożliwie smutno, a ona przypomina sobie cierpienie w jego głosie, kiedy mówił o straconym czasie.

Potem jednak patrzy na nią i uśmiecha się, smutek znika, tak jakby była to tylko gra świateł, a ona zastanawia się, kim jest Henry, skąd pochodzi i jak się tu znalazł, wie, że to wszystko jest zbyt piękne, żeby było prawdziwe, ale w tej chwili jest zadowolona, że stoi obok niej.

Zamyka oczy i poddaje się rytmowi, znajduje się w Berlinie, Mexico City, Madrycie i zarazem tutaj, teraz, razem z nim.

Tańczą, aż wszystko ich boli.

Dopóki nie obleje ich pot, a powietrze nie stanie się za gęste, by nim oddychać.

Dopóki rytm się nie uspokoi, a kolejna bezgłośna rozmowa nie przepłynie pomiędzy nimi jak iskra.

Dopóki Henry nie pociągnie jej ku barowi i dalej do tunelu, z powrotem tą drogą, którą przyszli, ale ruch zorganizowano tu w jednym kierunku, schody i stalowe drzwi prowadzą tylko do środka.

Dopóki Addie nie przechyli głowy w przeciwnym kierunku, ku ciemnemu łukowi w ścianie tunelu koło sceny, nie poprowadzi go w górę wąskimi schodami, na których muzyka będzie cichnąć z każdym stopniem, a w uszach nie przestanie im szumieć.

Dopóki nie wypadną prosto w chłodny marcowy wieczór, wypełniając płuca świeżym powietrzem.

Pierwszym czystym dźwiękiem, który słyszy Addie, jest jego śmiech.

Henry odwraca się ku niej z oczami jaśniejącymi szczęściem i zaróżowionymi policzkami, odurzony mniej wódką, a bardziej atmosferą Czwartej Szyny.

Wciąż się śmieje, kiedy nadchodzi burza.

Rozlega się trzask pioruna i sekundę później zaczyna padać. Nie drobny deszczyk, nawet nie ostrzegawcze krople, po chwili ustępujące miejsca gęstszemu deszczowi, tylko nagła kurtyna ulewy. Deszcz, który uderza w człowieka jak ściana wody, mocząc go w przeciągu kilku chwil do suchej nitki.

Addie zachłystuje się raptownym uderzeniem chłodu.

Znajdują się o kilka metrów od najbliższej markizy, lecz żadne z nich nie biegnie w kierunku osłony.

Dziewczyna unosi głowę i uśmiecha się do deszczu, pozwalając, by krople całowały jej skórę.

Henry patrzy na nią, ona odwzajemnia spojrzenie, a potem on rozpościera ramiona, tak jakby witał burzę, przy czym jego pierś unosi się i opada. Woda leje się po czarnych rzęsach, ześlizguje się po twarzy, wymywając z jego ubrania ciężką atmosferę klubu, a Addie zdaje sobie sprawę, że mimo powierzchownego podobieństwa Luc nigdy tak nie wyglądał.

Nie był młody.

Ani tak ludzki.

Ani tak żywy.

Ciągnie Henry'ego ku sobie, zachwycając się bliskością jego ciała, tak ciepłego w chłodnym deszczu. Odgarnia dłonią jego włosy i po raz pierwszy nie wracają na swoje miejsce, odsłaniając ostre linie jego twarzy, zapadnięte policzki i oczy błyszczące tak jasną zielenią, jakiej jeszcze u niego nie widziała.

– Addie – szepcze, a ten dźwięk wywołuje u niej ciarki. Kiedy ją całuje, smakuje jak sól i lato, lecz pocałunek ten wygląda za bardzo jak kropka, a ona nie jest jeszcze gotowa na zakończenie tego wieczoru, więc odwzajemnia pocałunek, zamieniając kropkę w znak zapytania, a potem w wykrzyknik.

Potem biegną oboje, nie w poszukiwaniu osłony przed deszczem, ale do metra.

Wpadają do jego mieszkania z mokrymi ciuchami przyklejonymi do ciała.

Przywierają do siebie już w korytarzu, cały czas czując, że to jeszcze nie dość blisko. Addie ściąga mu okulary, rzuca je na pobliskie krzesło, zrzuca z siebie kurtkę, a mokra skóra klei się do niej. Znowu się całują, namiętnie, dziko, łapczywie. Jej palce gładzą jego żebra i ciągną niecierpliwie pasek jego dżinsów.

– Jesteś pewna? – pyta Henry, a ona w odpowiedzi przyciąga jego głowę i całuje go prosto w usta, prowadzi jego dłonie ku guzikom swojej koszuli i sama odpina jego pasek. On przyciska ją do ściany i wymawia jej imię, którego brzmienie przeszywa ją niczym błyskawica, niczym ogień w umyśle. Addie czuje, że go pragnie.

Zaraz potem trafiają do łóżka i przez chwilę, tylko przez moment, dziewczyna jest gdzieś indziej, kiedy indziej, a ciemność owija się wokół niej i szepcze jej imię tuż przy nagiej skórze.

Dla niego była jednak Adeline, tylko Adeline. Jego Adeline. „Moja Adeline".

Tu i teraz w końcu ma na imię Addie.

– Powiedz to jeszcze raz – błaga.

– Co? – mruczy Henry.

– Moje imię.

Uśmiecha się.

– Addie – szepcze z ustami przy jej szyi.

„Addie”. Pocałunki wiodą w dół, przez obojczyk.

„Addie”. Przez brzuch…

„Addie”. Przez biodra…

Jego usta znajdują gorące miejsce pomiędzy jej nogami, a ona wplata palce w jego czarne kędziory, z rozkoszy wyginając plecy w łuk. Czas drży i traci ostrość. Pocałunki Henry’ego wędrują z powrotem, aż docierają do ust, a potem ona znajduje się na wierzchu i przyciska go do łóżka.

Nie pasują do siebie idealnie. Henry nie został dla niej stworzony tak jak Luc, ale to nawet lepiej, ponieważ jest prawdziwy, życzliwy, ludzki, a przede wszystkim pamięta.

Kiedy jest już po wszystkim, Addie opada bez tchu na łóżko, obok niego, krople deszczu i potu chłodzą jej skórę. Henry przytula się do niej, wciąga ją w krąg swojego ciepła, a ona wyczuwa, jak puls pod jego żebrami zwalnia, niczym metronom powoli wracający do poprzedniego tempa.

Pokój cichnie, słychać tylko rytmiczne bębnienie deszczu o okna. Wokół unosi się senna atmosfera, jak zwykle po wybuchach namiętności. Wkrótce Addie wyczuwa, że Henry zasypia.

Spogląda w sufit.

– Tylko nie zapomnij – mówi cicho, tonem błagalnej modlitwy.

Ramiona Henry’ego sztywnieją, jego ciało wynurza się spod powierzchni drzemki.

– Nie zapomnij czego? – mruczy i zaraz zapada z powrotem w sen.

Addie czeka, aż jego oddech się uspokoi, a potem szepcze prosto w ciemność:

– Mnie.

Paryż
29 lipca 1724

VI

Addie wybiega w noc, ocierając łzy z policzków.

Owija się mocniej kaftanem, mimo że letnia noc jest ciepła, i samotnie wędruje przez śpiące miasto. Nie zmierza w kierunku rudery, którą ostatnio nazywała domem, po prostu idzie, ponieważ za żadne skarby świata nie chce się zatrzymać.

Maszeruje przed siebie.

W pewnej chwili zdaje sobie sprawę, że nie jest już sama. W powietrzu wokół wyczuwa zmianę, subtelny podmuch, niosący woń liści z wiejskiego lasu, aż w pewnej chwili cień jest obok niej, podąża tym samym tempem, krok w krok. Elegancka postać, ubrana wedle najnowszej paryskiej mody, w stroju z jedwabnym kołnierzem i mankietami.

Tylko czarne kędziory wiją się wokół twarzy, dzikie i wolne.

– Adeline, Adeline – nuci przyjemnym głosem. Addie przez chwilę znów jest w łóżku, a głos Remy'ego szepcze: „Anna, Anna" prosto w jej włosy.

Minęły cztery lata bez wizyty.

Przez cztery lata wstrzymywała oddech i chociaż nigdy się do tego przed nim nie przyzna, jego widok jest jak oddech po wynurzeniu spod wody. Straszna, rozdzierająca płuca ulga. Addie nienawidzi tego cienia, boga, potwora w skradzionej postaci, lecz wciąż to on jest jedyną osobą, która ją pamięta.

Nie żeby przez to jej wstręt był mniejszy.

Jeżeli już, to jeszcze większy.

– Gdzie się podziewałeś? – rzuca gniewnie.

W jego oczach lśni arogancka przyjemność.

– A co, tęskniłaś za mną? – pyta, a ona nie ufa sobie na tyle, by odpowiedzieć. – No, daj spokój – naciska Luc. – Nie sądziłaś chyba, że cokolwiek ci ułatwię?

– Minęły cztery lata – odpowiada, krzywiąc się na gniew we własnym głosie. To zabrzmiało, jakby go potrzebowała.

– Cztery lata? To nic. To oddech. Mrugnięcie.

– A mimo to zjawiłeś się dziś wieczorem.

– Znam cię, moja droga. Wyczuwam, kiedy twoja determinacja słabnie.

Palce Remy'ego wciskające jej monety w dłoń, nagły ciężar smutku i ciemność, przyciągana przez cierpienie jak wilk wyczuwający krew.

Luc spogląda na jej spodnie, upięte pod kolanami, i męską bluzę, rozpiętą pod szyją.

– Przyznam, że wolałem cię w czerwieni – wyrokuje.

Serce skacze jej w piersi na wspomnienie nocy sprzed czterech lat, kiedy po raz pierwszy nie przyszedł. Cień z lubością przypatruje się jej zaskoczeniu.

– A więc widziałeś – mówi Addie.

– Jestem nocą. Widzę wszystko. – Podchodzi, przynosząc woń letniej burzy, aromat liści. – Włożyłaś wtedy dla mnie przepiękną suknię.

Rumieniec wstydu spływa po jej policzkach, a po chwili pojawia się również gorący gniew: a więc wtedy ją podglądał! Patrzył, jak jej nadzieja gaśnie wraz ze świeczkami, jak oczekiwania Addie walą się w gruzy, a ona zostaje sama w ciemności.

Nienawidzi go jeszcze bardziej, owija się tą nienawiścią jak płaszczem, ciasno, jeszcze ciaśniej, a potem przywołuje na usta uśmiech.

– Myślałeś, że uschnę bez twojej obecności? Otóż nie.

Ciemność mruczy:

– To tylko cztery lata… Może następnym razem zaczekam dłużej, a może… – Jego dłoń chwyta jej podbródek i przesuwa twarz Addie ku sobie. – …zrezygnuję z tych wizyt i zostawię cię, żebyś chodziła po ziemi aż do jej końca.

Ta myśl mrozi jej krew w żyłach, lecz nie daje tego po sobie poznać.

– Jeśli to zrobisz – mówi beznamiętnie – nigdy nie dostaniesz mojej duszy.

Wzrusza ramionami.

– Mam tysiąc innych, dojrzałych do zerwania. Ty masz tylko jedną. – Przysuwa się bliżej, za blisko, jego kciuk kreśli linię po jej policzku, palce wślizgują się na kark. – Tak łatwo byłoby cię zapomnieć… Przecież wszyscy inni już to zrobili – kpi. Dziewczyna próbuje się odsunąć, ale jego dłoń jest jak z kamienia i trzyma ją mocno. – Postaram się być miły. Pójdzie szybko. Powiedz teraz „tak", zanim zmienię zdanie – nagli.

Przez jedną straszną chwilę Addie nie ufa sobie na tyle, żeby odpowiedzieć. Wciąż jeszcze czuje wagę monet na dłoni, a w sercu – cierpienie po nagle zakończonej nocy. Dostrzega triumfalne ogniki tańczące w oczach Luca i to wystarczy, by wróciła do zdrowych zmysłów.

– Nie – wypala, a słowo to brzmi jak warknięcie.

I oto na idealnej twarzy cienia pojawia się gniew, niczym prezent dla niej.

Jego dłoń opada, postać znika jak dym i Addie po raz kolejny zostaje sama w ciemności.

Jest taka chwila, kiedy widać, że noc ma się już ku końcowi.

Gdy ciemność ostatecznie zaczyna słabnąć i przestaje panować na niebie. To powolny proces, tak powolny, że Addie go nie zauważa, dopóki światło brzasku nie wpełznie na niebo, dopóki księżyc i gwiazdy nie zbledną i nie osłabnie poczucie, że Luc jej się przygląda.

Wspina się na Notre Dame i siada na wieży, z panoramą Paryża u stóp, patrzy, jak dwudziesty dziewiąty lipca staje się trzydziestym, a słońce wstaje nad miastem.

Prawie zapomniała o broszurce zabranej z mieszkania Remy'ego.

Trzymała ją tak kurczowo, że bolą ją palce. Teraz, w wodnistym świetle poranka, odcyfrowuje tytuł, bezgłośnie składając słowa. La Ligue ou Henry le grand. To powieść, nowe słowo, chociaż jeszcze go nie zna. Addie otwiera okładkę i próbuje przeczytać pierwszą stronę. Dociera do końca pierwszego wersu, a potem słowa rozpadają się na pojedyncze litery, a litery zamazują. Musi oprzeć się pokusie odrzucenia przeklętej książki, zrzucenia jej z wieży na bruk.

Zamiast tego zamyka oczy, oddycha głęboko i myśli o Remym, nie o jego słowach, lecz o jego spokojnym, zadowolonym tonie, kiedy mówił

o czytaniu, o przyjemności w jego oczach, radości i nadziei.

To będzie wyczerpująca podróż, pełna przystanków, zaczynania od nowa i tysiąca chwil frustracji.

Przeczytanie pierwszej powieści zajmie jej prawie rok: spędzi go na pracowitym odczytywaniu każdego wersu, próbach odnalezienia sensu całego zdania, potem strony, wreszcie rozdziału. Minie cała dekada, zanim czytanie zacznie przychodzić jej naturalnie, zapomni o samym akcie odczytywania liter i zacznie znajdować przyjemność w śledzeniu fabuły.

Będzie to trwało sporo czasu, ale akurat czasu Addie ma pod dostatkiem.

Otwiera oczy i zaczyna czytać jeszcze raz.

Nowy Jork
16 marca 2014

VII

Addie budzi się, gdy dociera do niej zapach przyrumienionych tostów i skwierczenie masła na gorącej patelni. Miejsce w łóżku obok niej jest puste, a drzwi ledwie uchylone, więc słyszy, jak Henry porusza się po kuchni, a w tle cicho pomrukuje radio. W sypialni jest chłodno, ale w łóżku ciepło. Addie wstrzymuje oddech i próbuje zachować tę chwilę w pamięci, jak to robiła już tysiąc razy, kurczowo trzymając się przeszłości i teraźniejszości, jak najdłużej odwlekając przyszłość i nieuchronną klęskę.

Dzisiaj jest jednak inaczej.

Ponieważ ktoś pamięta.

Odrzuca kołdrę i patrzy na podłogę sypialni w poszukiwaniu ubrania, lecz nie widzi ani śladu przemoczonych dżinsów ani koszulki, tylko znaną skórzaną kurtkę przewieszoną przez krzesło. Znajduje pod nią szlafrok i owija się nim, chowając nos w kołnierzu. Jest miękki i znoszony, pachnie czystą bawełną i płynem zmiękczającym, a troszeczkę również szamponem kokosowym. Ten zapach już zawsze będzie się jej kojarzył właśnie z tym facetem.

Człapie boso do kuchni, gdzie Henry nalewa właśnie kawę z zaparzacza.

Podnosi wzrok i się uśmiecha.

– Dzień dobry.

Dwa słowa, od których świat drży w posadach.

Nie „przepraszam”, nie „nie pamiętam”, ani też „musiałem się nieźle urżnąć”.

Po prostu „dzień dobry”.

– Wrzuciłem twoje ciuchy do suszarki – informuje ją. – Niedługo powinny być gotowe. Weź sobie jakiś kubek.

Większość ludzi ma półkę z kubkami, lecz Henry ma ich całą ścianę. Zwisają z haczyków wieszaka po pięć w siedmiu rzędach. Niektóre we wzorki, inne jednobarwne, ale nie ma dwóch takich samych.

– No nie wiem, chyba nie masz dość kubków.

Henry rzuca jej spojrzenie z ukosa i prawie się uśmiecha: to tak, jakby ktoś zaświecił światło za zasłoną, jakby brzeg słońca pokazał się zza chmur, bardziej obietnica uśmiechu niż czytelna mina, ale i tak robi się jej od tego cieplej.

– Takie obyczaje panowały w mojej rodzinie – wyjaśnia. – Każdy, kto wpadł na kawę, mógł wybrać sobie takie naczynie, jakie mu odpowiadało danego dnia.

Jego kubek stoi na blacie: grafitowy, z wnętrzem pokrytym czymś, co wygląda na płynne srebro. Burzowa chmura i jej podszewka. Addie przygląda się ścianie, próbując wybrać coś dla siebie. Sięga po wielki porcelanowy kubas w niebieskie listki i waży go w dłoni, a po chwili dostrzega kolejny. Już ma odwiesić ten pierwszy, kiedy Henry ją powstrzymuje.

– Obawiam się, że ten wybór jest ostateczny – zauważa, smarując tost masłem. – Jutro możesz spróbować na nowo.

„Jutro”. To słowo sprawia, że w jej sercu kiełkuje radość.

Henry nalewa kawę, a Addie opiera łokcie na blacie i obejmuje dłońmi parujące naczynie, wdychając słodko-gorzki aromat. Przez sekundę, nie dłużej, jest znów w Paryżu: siedzi w kącie kawiarni z kapeluszem nasuniętym na czoło, a Remy popycha ku niej filiżankę i mówi: „Spróbuj”. Tym właśnie są dla niej wspomnienia, przeszłością sięgającą do teraźniejszości, palimpsestem trzymanym pod światło.

– Aha, słuchaj – mówi Henry, przywołując ją do rzeczywistości. – Znalazłem to na podłodze. To twoje?

Addie podnosi wzrok i dostrzega drewniany pierścionek.

– Nie dotykaj! – woła i wyrywa mu go z dłoni, za szybko. Wnętrze krążka muska czubek jej palca i kręci się wokół paznokcia jak moneta wirująca na płaskiej powierzchni ze swobodą igły kompasu wskazującej północ. – Cholera! – cedzi Addie, otrząsa się i upuszcza przedmiot. Spada

ze stukiem na podłogę, tocząc się może półtora metra, aż zatrzymuje się na brzegu dywanu. Dziewczyna łapie własne palce, tak jakby je poparzyła, a serce wali jej mocno.

Nie włożyła go przecież!

A nawet gdyby… jej spojrzenie wędruje ku oknu, ale jest rano, promienie słońca wlewają się przez firanki. Ciemność jej tu nie znajdzie.

– Co się stało? – pyta Henry, wyraźnie zdezorientowany.

– Nic – odpowiada Addie, potrząsając dłonią. – To tylko drzazga. Głupia sprawa. – Powoli klęka, starając się dotykać tylko zewnętrznej powierzchni krążka. – Przepraszam – mówi, wstając. Zostawia pierścionek na blacie pomiędzy nimi, kładąc dłonie po obu jego stronach. W sztucznym świetle blade drewno wydaje się prawie szare. Addie spogląda na pamiątkę z przeszłości. – Czy miałeś kiedykolwiek coś, co uwielbiałeś i czego zarazem nienawidziłeś, ale nie mogłeś tego wyrzucić? Coś, co prawie chciałeś zgubić, tak żeby już tego nie mieć, ale jednocześnie tak, żeby to nie była twoja wina? – próbuje zadawać te pytania lekkim, swobodnym tonem.

– Tak, mam coś takiego – odpowiada Henry. Otwiera szufladę i wyciąga mały przedmiot ze złota, gwiazdę Dawida. Wisiorek bez łańcuszka.

– Jesteś żydem?

– Kiedyś byłem – dwa słowa, tylko tyle chce powiedzieć. Skupia uwagę znów na jej pierścionku. – Wygląda na stary.

– I taki jest – odpowiada Addie. Dokładnie tak stary, jak ona. Oboje powinni się zamienić w proch już dawno temu. Przyciska ręką krążek i czuje, jak jego gładka, drewniana krawędź wrzyna jej się we wnętrze dłoni. – Należał do mojego ojca – mówi; to nie kłamstwo, ale zaledwie początek prawdy. Chwyta pierścionek i wkłada go do kieszeni. Prawie nic nie waży, ale może go wyczuć. Zawsze go wyczuwa. – No dobra – mówi ze zbyt szerokim uśmiechem. – Co mamy na śniadanie?

Ile razy Addie o tym marzyła?

O gorącej kawie i toście z masłem, o promieniach słońca wlewających się przez okna, o dniu, kiedy nie musi zaczynać znajomości od nowa, o tym, by nieznajomy lub nieznajoma siedzący obok niej nie pogrążał się

w krępującym milczeniu, o prostej przyjemności wspólnych wspomnień poprzedniej nocy.

– Musisz naprawdę uwielbiać śniadania – mówi Henry, a ona zdaje sobie sprawę, że uśmiecha się promiennie do jedzenia.

– To mój ulubiony posiłek – odpowiada, nadziewając kawałek jajka.

W miarę jedzenia jej nadzieja zaczyna jednak słabnąć.

Nie jest głupia. Cokolwiek to jest, nie potrwa wiecznie. Addie żyje zbyt długo, by sądzić, że to szczęśliwy traf; nosi piętno klątwy dość długo, by przywyknąć do tego losu.

Zaczyna się zastanawiać, czy to przypadkiem nie pułapka.

Jakaś nowa tortura, obmyślona, by ją złamać, zmusić do gry. Po wszystkich latach głos Luca owija się wokół niej, miękki, niski i triumfujący:

„Masz tylko mnie i zawsze będziesz mieć tylko mnie. Jedynego, który cię pamięta".

Zawsze zagrywał tą kartą: jego bronią była uwaga, jaką jej poświęcał, a Addie nie sądzi, żeby tak łatwo jej się pozbył. Ale jeśli to nie pułapka, to co? Przypadek? Łut szczęścia? A może oszalała? Nie byłby to pierwszy raz. Być może zamarzła na dachu nad mieszkaniem Sam i została uwięziona w marzeniu sennym.

Być może żadne z tych wydarzeń nie było prawdziwe.

A przecież… oto jego dłoń na jej palcach, oto jego miękki aromat na szlafroku, oto jej imię, kiedy przywołuje ją z powrotem.

– Gdzie odpłynęłaś? – pyta, a ona nadziewa kolejny kawałek jajka i unosi go między nimi.

– Gdybyś mógł jeść tylko jedną rzecz przez całą resztę życia, to co byś wybrał?

– Czekoladę – odpowiada Henry bez wahania. – Tak ciemną, że niemal gorzką. A ty?

Addie się zastanawia. Życie to bardzo dużo czasu.

– Ser – odpowiada trzeźwo, a Henry kiwa głową, a potem zapada pomiędzy nimi milczenie, wynikające mniej ze skrępowania, a bardziej z nieśmiałości. Nerwowy śmiech pomiędzy ukradkowymi spojrzeniami: dwoje nieznajomych, którzy nie są już nieznajomymi, ale wiedzą o sobie jeszcze niedużo.

– Gdybyś mogła mieszkać w miejscu, gdzie panuje tylko jedna pora roku, to jaka byłaby to pora?

– Wiosna – odpowiada Addie – kiedy wszystko jest nowe.

– A ja wolę jesień, kiedy wszystko zanika.

Oboje wybrali pory znajdujące się na spoinach roku, nierówne linie, kiedy natura nie jest ani po tej, ani po tamtej stronie, tylko balansuje na skraju. Addie zastanawia się na głos:

– Czy wolałbyś nie czuć nic czy odczuwać wszystko?

Przez twarz Henry'ego przemyka cień, chłopak waha się, patrzy na niedojedzony posiłek, a potem na zegar na ścianie.

– Cholera, muszę iść do antykwariatu – mówi, prostuje się i wkłada talerz do zlewu. Ostatnie pytanie pozostaje bez odpowiedzi.

– Powinnam wracać do domu – odpowiada Addie i również wstaje. – Przebrać się i trochę popracować. – Oczywiście nie ma żadnego domu, żadnego ubrania na zmianę i żadnej pracy, ale stara się grać normalną osobę z normalnym życiem, która śpi z chłopakiem i budzi się, słysząc „dzień dobry" zamiast „kim jesteś?".

Henry wychyla resztkę kawy jednym haustem.

– Jak się znajduje zdolnych ludzi? – pyta, a Addie przypomina sobie, że przedstawiła mu się jako łowczyni talentów.

– Trzeba mieć oczy szeroko otwarte – odpowiada, wychodząc zza blatu.

Chłopak łapie ją za rękę.

– Chciałbym się jeszcze z tobą spotkać.

– Też bym chciała, żebyś się jeszcze ze mną spotkał – odpowiada mu niczym echo.

– Dalej nie masz telefonu?

Kręci głową, a on przez chwilę stuka palcami w blat i się zastanawia.

– W Prospect Park zbierają się food trucki. Spotkamy się tam o szóstej?

Addie się uśmiecha.

– Jesteśmy umówieni. – Owija się ciaśniej szlafrokiem. – Mogę przed wyjściem wziąć prysznic?

Henry ją całuje.

– Oczywiście. Jak będziesz wychodzić, zatrzaśnij drzwi.

Na jej twarzy znów pojawia się uśmiech.

– Tak zrobię.

Chłopak wychodzi, zamykając za sobą, ale tym razem ten dźwięk nie napawa jej rozpaczą. To tylko drzwi, nie koniec znajomości. Nie kropka, raczej wielokropek. Ciąg dalszy nastąpi.

Bierze długi, gorący prysznic, zawija mokre włosy w turban z ręcznika i przechadza się po pokojach, oglądając wszystko, czego nie zdążyła zobaczyć wczoraj wieczorem.

W apartamencie Henry'ego panuje mały bałagan: mieszkanie jest zagracone, podobnie jak wiele innych nowojorskich mieszkań, przedmioty nie pozostawiają dość miejsca, by oddychać. Widać tu mnóstwo pozostałości po porzuconych hobby. Szafka z farbami olejnymi i zaschniętymi, sztywnymi pędzlami w poplamionym kubku. Notatniki i dzienniki, większość pusta. Kilka drewnianych klocków i nóż do strugania. Gdzieś w zakamarkach wspomnień o życiu sprzed klątwy Addie odnajduje melodię, którą nucił przy pracy ojciec, ale rusza dalej, wypierając to wspomnienie. Zwalnia dopiero wówczas, gdy dociera do aparatów fotograficznych.

Cały ich rządek gapi się na nią z półki wielkimi ślepiami czarnych obiektywów.

Klasyczne modele, myśli dziewczyna, chociaż określenie to nigdy do niej specjalnie nie przemawiało.

Pamięta, jak aparaty były jeszcze wielkimi bestiami na trójnogach, a fotograf ukrywał się pod ciężką zasłoną. Pamięta, jak wynaleziono kliszę fotograficzną w postaci filmu, najpierw czarno-białą, a potem kolorową, jak nieruchome obrazki zaczęły się ruszać na filmach, jak fotografia analogowa stała się cyfrowa i całe tony zdjęć oraz filmów zaczęły mieścić się na dłoni.

Przesuwa palcami po obudowach aparatów jak po skorupach żółwi, wyczuwając pod opuszkami kurz. Wszędzie jest pełno fotografii.

Wiszą na ścianach, stoją na stolikach i leżą na stosie w kącie, czekając na powieszenie. Jest tu Beatrice w galerii sztuki, ciemna sylwetka na tle jasno oświetlonej ściany. Beatrice i Henry blisko siebie, jej spojrzenie skierowane w górę, jego w dół, właśnie zaczynają się śmiać. Fotografia chłopaka – jak zgaduje Addie, Robbiego. Bea ma rację: wygląda, jakby wyszedł z imprezy w lofcie Andy'ego Warhola. Tłum za nim jest cały rozmazany, ale Robbie wyszedł ostro: parska śmiechem, fioletowy brokat

podkreśla jego kości policzkowe, na nosie ma zielone smugi, a na skroniach – złote.

Inne zdjęcie, wiszące w korytarzu. Oto cała trójka siedzi na kanapie, Bea w środku, Robbie z nogami na jej kolanach, a Henry po drugiej stronie, z brodą leniwie opartą na dłoni.

Po drugiej stronie korytarza – przeciwieństwo poprzedniego zdjęcia. Pozowane rodzinne zdjęcie naprzeciwko improwizacji. Znowu Henry siedzący na skraju kanapy, ale sztywno wyprostowany, tym razem pomiędzy dwójką ludzi, którzy najwyraźniej są jego rodzeństwem. Siostra z burzą loków i oczami tańczącymi za parą kocich okularów, z matczyną dłonią spoczywającą na ramieniu. Starszy brat, poważniejszy, jak odbicie ojca, stojącego za kanapą. No i młodszy syn, chudy, nieufny, z uśmiechem, który nie sięga oczu.

Henry patrzy na Addie ze zdjęć, na których sam jest, i z tych, które zrobił. Dziewczyna wyczuwa na nich obecność artysty w kadrze. Mogłaby stać tam w nieskończoność, przyglądając się tym zdjęciom, próbując odnaleźć w nich prawdę o nim, tajemnicę, odpowiedź na pytanie krążące jej w głowie.

Widzi jednak tylko kogoś smutnego, zagubionego, poszukującego.

Przenosi wzrok na książki.

Henry ma eklektyczny zbiór, zajmujący większość powierzchni w każdym pokoju. Półka w salonie, druga, węższa, w korytarzu, stos przy łóżku, drugi na stoliku. Komiksy i podręczniki, a także tytuły takie jak Reviewing the Covenant i Jewish Theology. Są tu powieści, biografie, tanie wydania w miękkiej oprawie i porządne, w twardej, wszystko pomieszane, niektóre stare i rozlatujące się, inne nowiutkie. Spomiędzy stron wystają zakładki, zaznaczające niedokończone lektury.

Jej palce wędrują ponad grzbietami, aż zatrzymują się nad pękatym złotym albumem. Historia świata. 100 artefaktów. Addie zastanawia się, czy rzeczywiście dałoby się wydobyć esencję czyjegoś życia, a co dopiero cywilizacji, spisując listę rzeczy. Czy to faktycznie uzasadniony sposób, by zmierzyć czyjąś wartość, nie przez interakcje z żywymi ludźmi, ale przez rzeczy, jakie zostawił po sobie ten ktoś. Próbuje zestawić własną listę. Historię Addie LaRue.

Figurka ptaszka, wykonana przez jej ojca, zgubiona pod ciałami w Paryżu.

Broszura skradziona z pokoju Remy'ego.

Drewniany pierścionek.

Te rzeczy pozostawiły swoje piętno na niej. A co z jej spuścizną? Jej twarz, zaklęta w setce dzieł sztuki. Jej melodie w setkach piosenek. Pomysły zapuściły korzenie i wybujały wysoko, ale nasiona, z których wyrosły, pozostają niewidoczne.

Addie przechadza się po mieszkaniu, a pusta ciekawość ustępuje miejsca konkretnym poszukiwaniom. Szuka tropów, czegoś, co pomoże jej wyjaśnić, kim jest Henry Strauss, czegokolwiek.

Na stoliku leży laptop. System odpala bez pytania o hasło, ale kiedy Addie muska palcem panel dotykowy, kursor ani drgnie. Stuka w klawisze, lecz nic się nie dzieje.

Technologia się zmienia.

Klątwa dalej jest ta sama.

Tylko że wcale nie.

To znaczy nie całkiem.

Dlatego Addie przechodzi z pokoju do pokoju, szukając podpowiedzi. A właściwie odpowiedzi na pytanie.

„Kim jesteś, Henry?"

W szafce z lekarstwami na półce stoi kilka buteleczek, na ich etykietach wielosylabowe nazwy. Za nimi fiolka różowych kapsułek oznaczona tylko samoprzylepną karteczką z małą, ręcznie narysowaną parasolką.

W sypialni kolejna półka, a na niej stos notatników rozmaitych kolorów i rozmiarów.

Przegląda je, ale wszystkie są puste.

Na parapecie jeszcze jedno zdjęcie Henry'ego i Robbiego. Na tej fotografii stoją objęci, Robbie z twarzą przy policzku Henry'ego i czołem opartym o skroń tamtego. W tej pozie jest coś intymnego, w półprzymkniętych oczach Robbiego, w dłoni Henry'ego obejmującej głowę towarzysza, tak jakby go podtrzymywał lub przyciskał. Usta Robbiego w pogodnym uśmiechu. Szczęście. Dom.

Przy łóżku na bocznym stoliku leży staroświecki zegarek. Nie ma wskazówki minutowej, a godzinowa wskazuje czas tuż po szóstej, mimo

że zegar na ścianie twierdzi, że jest dziewiąta trzydzieści dwie. Addie unosi zegarek do ucha, ale bateria musiała się wyczerpać.

A potem, w najwyższej szufladzie, chusteczka skropiona krwią. Kiedy Addie ją podnosi, wypada z niej pierścień, diamencik osadzony w platynowej obrączce. Patrzy na pierścionek zaręczynowy i zastanawia się, dla kogo mógł być przeznaczony, kim był Henry, zanim się poznali, i co sprawiło, że znalazł się na jej drodze.

– Kim jesteś? – szepcze do pustego pokoju.

Owija pierścionek w poplamioną chusteczkę i odkłada na miejsce, a potem zasuwa szufladę.

VIII

– Cofam tamto – oznajmia Addie. – Gdybym przez resztę życia mogła jeść tylko jedną rzecz, to byłyby to te frytki.

Henry śmieje się i podkrada kilka z rożka w jej dłoni, kiedy czekają w kolejce po gyros. Food trucki formują kolorowy pas wzdłuż Flatbush Avenue, a ludzie tłoczą się w kolejkach po kanapki z homarem, grzanki z serem, bagietki bánh mì i kebab. Jedna z kolejek stoi nawet po lodowe sandwicze, chociaż marcowa pogoda już się ochłodziła i wszystko wskazuje, że noc będzie raczej rześka, a nawet zimna. Addie cieszy się, że zabrała czapkę i szalik, a na nogi włożyła nie płaskie pantofle, ale wysokie kozaki, mimo że może schronić się w cieple ramion Henry'ego, przynajmniej do chwili, kiedy kolejka po falafele maleje, a on zajmuje miejsce na jej końcu.

Addie patrzy, jak chłopak podchodzi do kontuaru i składa zamówienie, obserwuje kobietę w średnim wieku, obsługującą klientów: tamta pochyla się, opierając łokcie na kontuarze, i rozmawia z Henrym, który poważnie kiwa głową. Kolejka za nim rośnie, ale kobieta najwyraźniej tego nie dostrzega. Nie uśmiecha się, wręcz przeciwnie, wydaje się, że za chwilę się rozpłacze. Sięga do jego dłoni i ściska ją.

– Następny!

Addie mruga, dociera do czoła swojej kolejki i wydaje resztę ukradzionej gotówki na jagnięcy gyros i napój jagodowy. Po raz pierwszy od dłuższego czasu żałuje, że nie dysponuje kartą kredytową ani w ogóle niczym więcej poza ubraniem i drobnymi w kieszeni. Żałuje, że przedmioty prześlizgiwały jej się przez palce jak piasek, że nie może mieć rzeczy, jeśli jej nie ukradnie.

– Patrzysz na tę bułkę, jakby złamała ci serce.

Podnosi wzrok na Henry'ego i się uśmiecha.

– Wygląda tak dobrze, że myślę o tym, jak mi będzie smutno, kiedy zniknie.

Chłopak wzdycha w udawanej rozpaczy.

– Najgorszy moment każdego posiłku następuje, kiedy jedzenie się kończy.

Z łupami w garści znajdują w parku trawiasty stok, oświetlony plamą szybko rzednącego słonecznego światła. Henry dokłada falafel i pierożki do jej gyrosa i frytek, a potem pałaszują te przysmaki, dzieląc się i wymieniając kąski jak karty w remiku.

Chłopak sięga po falafel, a wówczas Addie przypomina sobie kobietę z food trucka.

– O co tam chodziło? Kobieta z tego trucka wyglądała, jakby miała się rozpłakać. Znasz ją?

Henry kręci głową.

– Powiedziała, że przypominam jej syna.

Addie patrzy na niego. Nie sądzi, żeby ją okłamał, ale nie powiedział również całej prawdy. Coś pominął, jednak Addie nie wie, jak o to zapytać. Nadziewa pierożka i pochłania go w całości.

Jedzenie to jedna z najlepszych rzeczy w życiu.

No, nie tylko jedzenie. Dobre jedzenie. Pomiędzy posileniem się a satysfakcją z posiłku zieje prawdziwa przepaść, i mimo że Addie spędziła większą część trzystu lat, jedząc tylko po to, by nie czuć głodu, to przez ostatnie pięćdziesiąt odkrywała wciąż nowe smaki i uczyła się nimi delektować. Jej życie w sporej części przesiąkło rutyną, ale jedzenie wciąż jest jak muzyka, sztuka przyprawiona obietnicą czegoś nowego.

Wyciera palce z tłuszczu i kładzie się na trawie obok Henry'ego, czując się cudownie pełna. Wie, że ten stan nie potrwa długo. Że poczucie pełni jest jak wszystko inne w jej życiu: zawsze kończy się za wcześnie. Ale tu i teraz czuje się… idealnie.

Zamyka oczy, uśmiecha się i myśli, że mimo spadającej temperatury mogłaby zostać w parku przez całą noc, aż zmierzch zmieni się w zmrok, a ona wtuli się w Henry'ego i będą patrzeć w niebo z nadzieją, że ujrzą gwiazdy.

Z kieszeni jego płaszcza odzywa się dzwonek.

Henry odbiera telefon.

– Cześć, Bea – mówi, po czym raptownie siada. Addie słyszy tylko połowę tej rozmowy, ale może odgadnąć resztę. – Nie, oczywiście, że nie zapomniałem… Wiem, że się spóźniłem, przepraszam… Już jadę… Tak, pamiętam. – Rozłącza się i chowa głowę w dłoniach. – Bea wyprawia dzisiaj przyjęcie z wyżerką, a ja miałem przyjechać z deserem.

Spogląda w kierunku food trucków, jakby w którymś z nich kryło się rozwiązanie tej sytuacji, patrzy w niebo, które powoli ciemnieje, przeczesuje dłońmi włosy i wypluwa potok cichych przekleństw. Ale nie czas pogrążać się w rozpaczy, nie teraz, kiedy jest tak późno.

– Chodź – rozkazuje Addie, pomagając mu wstać. – Znam jedno miejsce.

Najlepsza francuska piekarnia na Brooklynie nie ma szyldu.

Można ją znaleźć tylko dzięki maślano żółtej markizie nad wąską witryną, wciśniętą pomiędzy dwie szerokie wystawy sklepowe w budynkach z czerwonej cegły. Należy do faceta imieniem Michel. Michel przychodzi do pracy co rano, jeszcze przed świtem, i zaczyna powoli tworzyć małe dzieła sztuki: tarty jabłkowe z owocami pokrojonymi na plasterki cienkie jak papier, ciastka opéra, oprószone z wierzchu proszkiem kakaowym, i ptifurki pokryte malutkimi różyczkami oraz marcepanem.

Sklep jest teraz zamknięty, lecz Addie widzi cień właściciela, który porusza się po piekarni od tyłu, toteż zdecydowanie stuka w szklane drzwi i czeka.

– Jesteś tego pewna? – pyta Henry, ale cień przesuwa się ku drzwiom i szczęka otwierany zamek.

– Sklep zamknięty – mówi Michel z ciężkim akcentem, tymczasem Addie błyskawicznie przestawia się z angielskiego na francuski, wyjaśniając, że jest przyjaciółką Delphine, a mężczyzna łagodnieje na wzmiankę o swojej córce, a potem już kompletnie się rozkleja, zalany potokiem francuszczyzny, co Addie doskonale rozumie. Potrafi mówić po niemiecku, włosku, hiszpańsku i w gwarze szwajcarskiej, ale francuski w jej ustach brzmi inaczej. Francuski to chleb pieczony przez jej matkę,

francuski to dłonie ojca rzeźbiącego w drewnie. Francuski to Estele, mrucząca do roślin w swoim ogródku.

Francuski to powrót do domu.

– Dla przyjaciół Delphine wszystko! – oświadcza Michel, otwierając drzwi.

W małym sklepiku Nowy Jork znika, a pojawia się Paryż, z aromatem cukru i masła unoszącym się w powietrzu. Gablotki są w większości puste, na półkach spoczywa zaledwie garść pięknych dzieł, kolorowych i rozsianych niczym dzikie kwiaty na jałowym polu.

Addie zna Delphine, chociaż tamta oczywiście jej nie pamięta. Zna również Michela: odwiedza jego sklep tak, jak ktoś mógłby odwiedzać fotografię, żywe wspomnienie.

Henry trzyma się kilka kroków z tyłu, kiedy Addie i Michel rozmawiają o niczym, oboje zachwyceni okazją do pogawędki w ojczystym języku. W końcu cukiernik umieszcza pozostałe ciastka w osobnych różowym pudełkach i wręcza jej wszystkie, a kiedy dziewczyna proponuje, że zapłaci, zastanawiając się, czy mogą sobie na to pozwolić, Michel kręci głową i dziękuje jej, że mógł na chwilę wrócić do domu, a ona życzy mu dobrej nocy. Kiedy już są z powrotem na chodniku, Henry gapi się na nią, tak jakby właśnie wykonała magiczną sztuczkę, dziwną i cudowną zarazem.

Bierze ją w objęcia.

– Jesteś niesamowita – mówi, a ona się rumieni, bo nigdy dotąd nie miała widowni.

– Proszę – oznajmia, wpychając mu pakunek z ciastkami w dłonie. – Wspaniałej imprezy.

Uśmiech Henry’ego niknie. Marszczy czoło.

– To nie idziemy razem?

Addie nie wie, jak powiedzieć „nie mogę”, skoro nie potrafi wyjaśnić, dlaczego nie, jeśli była gotowa spędzić z nim kolejną noc. Mówi więc tylko:

– Nie powinnam.

A on na to:

– Proszę!

Ale ona wie, jaki to potworny pomysł, wie, że nie utrzyma swojej klątwy w tajemnicy przed tak wieloma osobami, wie, że nie może go zatrzymać tylko dla siebie, że ta gra udawała jej się przez tyle czasu tylko cudem.

Tak właśnie dociera się na koniec świata.

Taką cenę płaci się za wieczne życie.

Następuje jeden dzień, potem jeszcze jeden i następny, a Addie bierze z nich, co się da, cieszy się każdą skradzioną sekundą, każdą chwilą… aż minie ostatnia z nich.

Dlatego w końcu się zgadza.

Idą, trzymając się za ręce, podczas gdy wieczór z chłodnego robi się zwyczajnie zimny.

– Powinnam coś wiedzieć na temat twoich przyjaciół? – pyta Addie

Henry zastanawia się na głos.

– Hm, Robbie to aktor. Naprawdę dobry, chociaż potrafi być nieco… trudny? – Oddycha głęboko. – Byliśmy razem, jeszcze w koledżu. To pierwszy facet, w którym się zakochałem.

– Ale nie wyszło wam?

Śmieje się w odpowiedzi, ale wyraźnie z wysiłkiem.

– Nie. Rzucił mnie. Słuchaj, to było wieki temu. Teraz jesteśmy przyjaciółmi, niczym więcej. – Kręci głową, tak jakby chciał otrząsnąć się ze wspomnień. – Będzie jeszcze Bea, którą poznałaś. Jest świetna, robi doktorat i mieszka z facetem o imieniu Josh.

– Są razem?

Henry parska śmiechem.

– Nie, Bea jest les. A on jest gejem… jak sądzę. Nie wiem właściwie, tak przypuszczam. Bea zapewne zaprosi Mel albo Elise, to zależy, z którą z nich obecnie chodzi, bo to coś jak wahadło. Och, i nie pytaj o Profesorkę – dodaje. Addie patrzy na niego zaintrygowana, a on mówi: – Kilka lat temu Bea miała romans z profesorką z Columbii. Bardzo się zaangażowała, ale tamta wzięła ślub z kimś innym i wszystko się rozleciało.

Addie powtarza sobie imiona, a Henry się uśmiecha.

– To nie test – mówi. – Nie możesz oblać.

Chciałaby, żeby miał rację.

Obejmuje ją teraz nieco mocniej, waha się, bierze oddech i w końcu wyznaje:

– Jest jeszcze coś, o czym powinnaś wiedzieć. O mnie.

Serce zatrzymuje jej się na ułamek sekundy i Addie przygotowuje się na ciąg dalszy, niechętną opowieść, jakieś wyjaśnienie tego, co się z nimi dzieje, lecz Henry spogląda tylko w bezgwiezdne niebo i mówi:

– Była taka dziewczyna…

Dziewczyna. Ale to niczego nie tłumaczy.

– Na imię miała Tabitha – mówi Henry, a ona czuje cierpienie w każdej sylabie. Przypomina sobie o pierścionku w jego szufladzie, zawiniętym w zakrwawioną chusteczkę.

– Co się stało?

– Oświadczyłem jej się, a ona powiedziała „nie".

To prawda, myśli Addie, a przynajmniej jakaś jej wersja… ale zaczyna sobie zdawać sprawę, jak biegle Henry omija kłamstwa, równocześnie nie opowiadając do końca prawdy.

– Wszyscy mamy blizny – mówi. – Po ludziach z naszej przeszłości.

– Ty też? – pyta chłopak, a ona przez chwilę wraca do Nowego Orleanu i pokoju w nieładzie, do zielonych oczu gorejących wściekłością, kiedy dom zaczyna płonąć.

– No pewnie… – odpowiada cicho. A potem kontynuuje, delikatnie sondując grunt: – Wszyscy mamy swoje tajemnice.

Patrzy na nią, a ona widzi w jego oczach to, czego jej nie powie, ale to nie Luc i zieleń niczego jej nie zdradza.

„Powiedz mi – myśli – o cokolwiek tu chodzi".

Ale on milczy.

Docierają do domu Bei bez słowa, zamek domofonu odskakuje, a kiedy wspinają się po schodach, Addie myśli, że może wszystko będzie w porządku.

Może pod koniec wieczoru będą ją już pamiętać.

Może, jeżeli przyszła z Henrym…

Może…

Potem jednak drzwi się otwierają i staje w nich Bea, podpierając się w biodrach dłońmi w rękawicach kuchennych. Z głębi mieszkania dociera

gwar głosów, a ona mówi:

– Henry Straussie, jesteś tak spóźniony, że lepiej, żebyś przyniósł ten deser!

Henry wyciąga przed siebie pakunek z ciastkami jak tarczę, a kiedy Bea przejmuje paczkę z jego rąk, dostrzega stojącą za nim dziewczynę.

– A kto to taki?

– To Addie – mówi chłopak. – Poznałyście się w sklepie.

Bea przewraca oczami.

– Henry, naprawdę nie masz aż tylu przyjaciół, żeby nie wiedzieć, komu przedstawiałeś Addie, a komu nie. Poza tym – dodaje, rzucając jej łobuzerski uśmieszek – nie zapomniałabym twarzy takiej jak twoja. Jest w niej coś… ponadczasowego.

Henry marszczy czoło.

– Owszem, poznałyście się i powiedziałaś dokładnie to samo. – Zerka na Addie. – Pamiętasz to, prawda?

Ta się waha pomiędzy nieprawdopodobną prawdą a łatwym kłamstwem. Powoli kręci głową i zaczyna mówić:

– Bardzo mi przykro, ja…

Zostaje jednak ocalona: pojawia się dziewczyna w żółtej sukience na ramiączkach, która najwyraźniej śmiało rzuciła wyzwanie chłodnej pogodzie za oknem, a Henry szepcze Addie do ucha, że to Elise. Tamta całuje Beę, wyjmuje jej pakunek z rąk i informuje, że nie może znaleźć korkociągu, a potem zjawia się Josh, żeby odebrać od nich płaszcze, i zaprasza ich głębiej.

Apartament to przerobiony loft, jedna z tych wielkich, otwartych przestrzeni: korytarz przechodzi w salon, salon przechodzi w kuchnię, a całe mieszkanie litościwie pozbawione jest ścian i drzwi.

Domofon znów dzwoni i chwilę później wpada chłopak, niczym kometa wchodząca w atmosferę, z butelką wina w jednej dłoni i szalikiem w drugiej. Mimo że Addie widziała go tylko na zdjęciach w mieszkaniu Henry’ego, natychmiast orientuje się, że to Robbie.

Mknie przez korytarz, całuje Beę w policzek, macha Joshowi, ściska Elise, odwraca się ku Henry’emu i dopiero wtedy ją zauważa.

– Kim jesteś? – pyta.

– Bądź grzeczny – ostrzega Henry. – To Addie.

– Dziewczyna Henry’ego – dodaje Bea, a Addie natychmiast tego żałuje, bo słowa te momentalnie gaszą dobry nastrój Robbiego. Henry najwyraźniej też to dostrzega, bo bierze ją za rękę i uzupełnia: – Addie jest łowczynią talentów.

– O, naprawdę? – pyta Robbie, odzyskując wigor. – Jakiej specjalności?

– Sztuka, muzyka, wszystko po trochu.

– A to łowcy talentów nie specjalizują się zwykle w jednej dziedzinie? – drąży ze zdziwieniem młody aktor.

Bea wymierza mu kuksańca łokciem.

– Zachowuj się! – strofuje go, sięgając po wino.

– Nie wiedziałem, że mieliśmy przyjść z partnerami – usprawiedliwia się Robbie, idąc za nią do kuchni.

Gospodyni klepie go po ramieniu.

– Możesz sobie pożyczyć Josha.

Stół z jedzeniem stoi pomiędzy kanapą i kuchennym blatem. Bea ustawia przy nim dodatkowe krzesło, podczas gdy Henry otwiera dwie pierwsze butelki wina, Robbie nalewa je do kieliszków, Josh niesie sałatkę na stół, Elise sprawdza, jak się mają lazanie w piekarniku, a Addie schodzi wszystkim z drogi.

Przywykła, że jest w centrum uwagi albo w ogóle jej na sobie nie skupia, że staje się na krótko centrum świata rozmaitych nieznajomych albo krąży niczym cień na jego skraju. Ta sytuacja jest całkiem inna i nowa.

– Mam nadzieję, że jesteście głodni! – oznajmia Bea, stawiając lazanie i pieczywo czosnkowe na środku stołu.

Henry krzywi się nieznacznie na widok włoskiego dania, a Addie niemal wybucha śmiechem, przypominając sobie niedawną ucztę koło rządka food trucków. Zawsze jest głodna, ostatni posiłek to tylko wspomnienie, więc z wdzięcznością przyjmuje talerz.

Paryż
29 lipca 1751

IX

Samotna kobieta to skandaliczny widok.

Addie się tym nie przejmuje, ba, uwielbia zgorszone szepty. Siedzi w Tuileriach, ze spódnicą rozpostartą wokół niej na ławce. przekłada strony książki i wie, że ktoś ją obserwuje. A dokładnie – gapi się na nią. Ale po co się martwić? Kobieta siedząca samotnie w słońcu nie popełnia przecież zbrodni, a komentarze nie rozejdą się poza park. Przechodnie być może będą zaskoczeni i odnotują tę dziwną sytuację, ale zapomną o wszystkim, zanim będą mieli szansę o tym poplotkować.

Odwraca stronę, a jej oczy wędrują po wydrukowanych słowach. Obecnie kradnie książki równie chętnie jak jedzenie, strawę dla ciała i dla ducha. Od traktatów filozoficznych woli powieści, historie o przygodach i ucieczkach, ale ta konkretna książka to tylko rekwizyt, klucz, który ma zapewnić jej wstęp w pewne konkretne miejsce.

Dobrze zaplanowała dzisiejszy pobyt w parku: usiadła na skraju ogrodu, na trasie, którą – jak wie – chadza Madame Geoffrin. A kiedy tamta faktycznie nadchodzi ścieżką, Addie wie, co robić.

Odwraca stronę, udając, że pochłonęła ją lektura.

Kątem oka widzi zbliżającą się kobietę z naręczem kwiatów, jej pokojówka idzie o krok za nią. Wtedy Addie wstaje z oczami wciąż utkwionymi w książce, odwraca się i robi dwa kroki, zanim nastąpi nieuniknione zderzenie. Stara się jednak nie potrącić tamtej, lecz raczej zaskoczyć ją. Książka upada na ścieżkę pomiędzy nimi.

– Głupiutka dziewczyna! – rzuca gniewnie Madame Geoffrin.

– Bardzo przepraszam! – mówi jednocześnie Addie. – Czy nic się pani nie stało?

– Nie – odpowiada kobieta, opuszczając wzrok na książkę. – Ale cóż to sprawiło, że zapomniałaś o całym świecie?

Pokojówka podnosi tomik i podaje swojej pani.

Geoffrin odczytuje tytuł.

Myśli filozoficzne.

– Diderot – zauważa. – Kto nauczył cię czytać takie wzniosłe rzeczy?

– Mój ojciec.

– Ojciec? No to miałaś szczęście.

– Na początku, tak – potwierdza Addie – ale kobieta musi wziąć odpowiedzialność za własną edukację, ponieważ żaden mężczyzna tego nie zrobi.

– Jakie to prawdziwe – odpowiada Madame.

Odgrywają pewien scenariusz, chociaż tamta tego nie wie. Większość ludzi ma tylko jedną szansę, by zrobić dobre pierwsze wrażenie, ale na szczęście Addie miała ich kilka.

Starsza kobieta marszczy brwi.

– Ale sama, w parku, bez służącej? Bez przyzwoitki? Czy nie przejmujesz się, że ludzie będą gadać?

Addie uśmiecha się wyzywająco.

– Stawiam własną wolność wyżej od nieskazitelnej reputacji.

Madame Geoffrin śmieje się, bardziej zaskoczona niż rozbawiona.

– Moja droga, można walczyć z systemem, ale można go również ograć. Jak się nazywasz?

– Marie Christine – odpowiada dziewczyna. – La Trémoille – dodaje, z przyjemnością dostrzegając, jak tamta szerzej otwiera oczy. Addie spędziła dobry miesiąc, poznając nazwiska arystokratycznych rodzin i orientując się, jak blisko Paryża mieszkają. Odsiewała te, które mogłyby wywołać zbyt wiele pytań, a w końcu znalazła familię o dość rozłożystym drzewie genealogicznym, by daleka kuzynka miała szansę przemknąć niezauważona. Chociaż właścicielka słynnego salonu szczyci się, że zna wszystkich, na szczęście nie może znać ich równie dobrze.

– La Trémoille. Mais non! – mówi Madame Geoffrin, ale w jej głosie nie ma niedowierzania, tylko zaskoczenie. – Będę musiała zbesztać Charlesa

za to, że trzymał cię w ukryciu.

– Koniecznie! – potwierdza Addie z zawstydzonym uśmiechem, wiedząc, że nigdy do tego nie dojdzie. – No cóż, madame. – Wyciąga dłoń po książkę. – Powinnam już iść. Nie chciałabym wystawiać na szwank również pani reputacji.

– Nonsens – stwierdza Madame Geoffrin z błyskiem radości w oku. – Jestem odporna na skandale. – Oddaje dziewczynie tomik, ale gest ten nie oznacza pożegnania. – Musisz koniecznie przyjść do mojego salonu. Będzie tam twój Diderot.

Addie waha się przez ułamek sekundy. Przy poprzednim spotkaniu popełniła błąd, decydując się na fałszywą skromność, ale przynajmniej dowiedziała się, że pani Geoffrin woli kobiety, które trwają przy swoim, więc tym razem uśmiecha się z zachwytem.

– Bardzo bym chciała!

– No to świetnie – oznajmia Madame. – Przyjdź za godzinę.

Addie musi teraz szyć intrygę precyzyjnie. Jeden zgubiony ścieg i wszystko rozejdzie się w szwach.

Patrzy więc po sobie.

– Och – mówi z rozczarowaną miną. – Obawiam się, że nie mam czasu, by iść do domu i się przebrać, ale jestem pewna, że nie ma w tym nic niewłaściwego?

Wstrzymuje oddech, czekając na odpowiedź, a ta w końcu pada, nader życzliwa.

– Nie martw się – stwierdza Madame Geoffrin. – Moje pokojówki na pewno znajdą coś, co będzie na ciebie pasować.

Idą razem przez park, a pokojówka za nimi.

– Dlaczego nigdy przedtem się nie spotkałyśmy? Znam wszystkich wartych zauważenia.

– Nie jestem warta zauważenia. A poza tym przyjeżdżam tu tylko latem.

– Mówisz z czystym paryskim akcentem!

– To kwestia czasu i praktyki – odpowiada dziewczyna i tym razem oczywiście mówi prawdę.

– Wciąż jesteś niezamężna?

Kolejny zakręt, kolejna próba. Addie była już wdową i mężatką, ale dzisiaj decyduje, że nie nadaje się do małżeństwa.

– Nie. Muszę coś wyznać: nie chcę władcy, a nie znalazłam jeszcze nikogo równego sobie.

Ta odpowiedź zyskuje jej aprobujący uśmiech Madame.

Przepytywanie trwa przez całą drogę po parku, a potem na ulicę Saint-Honoré, gdzie starsza z nich w końcu idzie się przebrać na spotkanie.

Addie z żalem patrzy, jak tamta odchodzi.

Od tej chwili musi radzić sobie sama.

Pokojówka prowadzi ją na górę, wyciąga z pobliskiej garderoby suknię i kładzie ją na łóżku. To luźna, wzorzysta sukienka z jedwabiu ozdobionego brokatem i koronkowym kołnierzem. Sama by takiej nie wybrała, ale musi przyznać, że strój jest bardzo piękny. Addie widziała kiedyś sztukę mięsa przybraną ziołami i przygotowaną do pieczenia; tak właśnie kojarzy jej się obecna francuska moda.

Siedzi przed lustrem i upina włosy, słucha, jak na dole otwierają się i zamykają drzwi, a dom rozbrzmiewa głosami przybywających gości. Musi zaczekać, aż salon wypełni się ludźmi, aż będzie mogła wtopić się w tłum.

Kończy poprawiać fryzurę, wygładza sukienkę, a kiedy z dołu dochodzi już jednostajny gwar, głosy mieszają się z brzęczeniem szkła, schodzi do głównego pokoju.

Za pierwszym razem dostała się tutaj tylko dzięki szczęściu, a nie inscenizacji. Ze zdumieniem odkryła miejsce, gdzie kobietom wolno było mówić, a przynajmniej słuchać, gdzie mogła przebywać sama bez osądzania ani protekcjonalności. Cieszyła się jedzeniem, napojami, rozmową i towarzystwem. Mogła udawać, że znajduje się między przyjaciółmi, nie obcymi ludźmi.

Przynajmniej dopóki nie dostrzegła Remy’ego Laurenta.

Oto siedział na niskim stołku pomiędzy Wolterem a Rousseau, przemawiając i wymachując dłońmi, z palcami wciąż poplamionymi tuszem drukarskim.

Addie poczuła się wtedy, jakby się potknęła albo zaczepiła suknią o wystający gwóźdź.

Wytrącona z równowagi.

Jej kochanek z wiekiem zrobił się ociężały, a różnicę pomiędzy rokiem dwudziestym trzecim i pięćdziesiątym pierwszym widać na zmarszczkach

jego twarzy. Czoło ma pobrużdżone od godzin spędzonych nad książkami, a na nosie – parę okularów, ale kiedy jakiś temat zapalił iskrę w jego oczach, ponownie zobaczyła chłopaka, którym kiedyś był, pełnego pasji młodzieńca, który przybył do Paryża, by odnaleźć właśnie to: wielkie umysły i ich wielkie idee.

Dzisiaj go tu nie ma.

Addie chwyta kieliszek wina z niskiego stolika i przechadza się między pokojami, jak cień rzucany na ścianę, niezauważona, lecz swobodna. Słucha, prowadzi przyjemne rozmowy i czuje, że wokół niej tworzy się historia. Spotyka naturalistę zajmującego się z upodobaniem morskimi stworzeniami, a kiedy wyznaje mu, że nigdy nie była nad morzem, raczy ją przez kolejne pół godziny opowieściami o życiu skorupiaków. To niezwykle przyjemny sposób na spędzenie popołudnia, a potem wieczoru – tego wieczoru bardziej niż innych, po to, by oderwać się od niewesołych myśli.

Minęło sześć lat, ale Addie nie chce o tym myśleć. Ani o nim.

Zachodzi słońce, a wino zostaje zastąpione przez porto. Addie w towarzystwie naukowców i literatów bawi się wspaniale.

Powinna zorientować się w porę, że cień popsuje jej wieczór.

Luc wchodzi do salonu niczym powiew chłodnego wiatru, cały w czerni i odcieniach szarości, od trzewików do fularu. Jedynym kolorowym akcentem są jego zielone oczy.

Minęło sześć lat. Ulga nie jest odpowiednim słowem opisującym uczucia Addie na jego widok, a mimo to – najbliższym prawdy. Dziewczyna czuje, że kamień spada jej z serca, może oddychać swobodniej, a całe ciało się rozluźnia. Nie znajduje w tym co prawda upodobania, tylko najprostsze, fizyczne wytchnienie. Zamienia to, co nieznane, na to, co pewne.

Czekała, a teraz już nie musi.

O nie, teraz przygotowuje się na kłopoty i zmartwienia.

– Monsieur Lebois! – anonsuje Madame Geoffrin, witając nowego gościa, a Addie zastanawia się przez sekundę, czy może spotkali się tu przypadkiem; może jej cień lubi ten salon i kiełkujące tu idee, ale przecież ludzie, którzy się tu spotykają, czczą postęp, a nie bogów. Poza tym wzrok

Luca już skupia się na niej, a na jego twarzy widać nieszczery grymas i złowróżbne iskry w oczach.

– Madame – odzywa się głośno, tak by jego słowa docierały do każdego zakątka pokoju. – Obawiam się, że otwiera pani podwoje swego salonu zbyt szeroko.

Addie czuje nagły ciężar w brzuchu, Madame Geoffrin cofa się zaś nieco, kiedy rozmowy cichną, a w końcu zapada milczenie.

– Co ma pan na myśli?

Dziewczyna próbuje się wycofać, lecz w salonie jest mnóstwo ludzi, a drogę zagradzają krzesła i stoły.

– Tę kobietę, o tam – mówi Luc, a głowy zaczynają się odwracać ku Addie. – Czy ją pani zna? – pyta. Madame Geoffrin oczywiście jej nie zna, już zapomniała, ale jest zbyt dobrze wychowana, by przyznać się do takiej pomyłki.

– Mój salon jest otwarty dla wielu osób, monsieur.

– Tym razem jednak była pani zbyt szczodra – nie ustępuje Luc. – Ta kobieta jest oszustką i złodziejką. Wyjątkowo nędzne stworzenie. Proszę spojrzeć – podkreśla słowa gestem – ma na sobie jedną z pani sukien. Niech pani sprawdzi kieszenie i upewni się, że nie ukradła czegoś więcej niż tylko stroju!

Ot tak, obrócił grę Addie przeciwko niej.

Dziewczyna rusza ku drzwiom, ale wokół niej stoją mężczyźni, nagle czujni.

– Zatrzymać ją! – woła Madame, a Addie nie ma wyboru, porzuca to wszystko, biegnie ku drzwiom i wypada przez nie, byle dalej od salonu, prosto w noc.

Oczywiście nikt za nią nie biegnie.

Tylko Luc.

Ciemność depcze jej po piętach, chichocząc cicho.

Addie odwraca się do niego i rzuca mu wyzwanie:

– Myślałam, że masz lepsze rzeczy do roboty niż mnie prześladować.

– Mam, ale to takie zabawne!

Kręci głową.

– Nic nie szkodzi. Popsułeś jedną chwilę, zrujnowałeś jeden wieczór, ale dzięki mojemu darowi mam milion następnych, nieskończoną liczbę

szans, by zaistnieć na nowo. Mogłabym tam teraz wrócić. Wszyscy zapomnieli o twoich obelgach, tak samo jak o mojej twarzy.

Jego zielone oczy lśnią złośliwością.

– Wróć, a okaże się, że moje słowa nie znikają z ich umysłów tak szybko jak twoje – mówi i wzrusza ramionami. – Oczywiście nie będą cię pamiętać, ale idee są dużo dziwniejsze od wspomnień. Zapuszczają korzenie dużo szybciej.

Za pięćdziesiąt lat Addie przekona się, że cień ma rację.

Idee rzeczywiście są o wiele dziwniejsze od wspomnień.

A ona również potrafi je zaszczepić.

Nowy Jork
16 marca 2014

X

W tym wieczorze jest coś magicznego.

Największa przyjemność kryje się w najprostszych czynnościach.

Addie spędza pierwszą godzinę, wstrzymując oddech i przygotowując się na katastrofę, ale gdzieś pomiędzy sałatką a głównym daniem, pomiędzy pierwszym a drugim kieliszkiem wina w końcu się rozluźnia. Siedzi pomiędzy Henrym a Elise, między ciepłem a śmiechem, i prawie wierzy, że to prawda, że znalazła swoje miejsce: normalna dziewczyna u boku normalnego chłopaka na normalnej kolacji u przyjaciół. Rozmawiają z Beą o sztuce, z Joshem o Paryżu, a z Elise o winie. Dłoń Henry'ego odnajduje jej kolano pod stołem, a wszystko jest tak cudownie proste i ciepłe. Chciałaby zatrzymać ten wieczór niczym czekoladkę na języku, radować się każdą sekundą, zanim stopnieje.

Tylko Robbie wydaje się nieszczęśliwy, mimo że Josh przez cały czas próbuje z nim flirtować. Kręci się na krześle: aktor, który chciałby znaleźć się w centrum zainteresowania. Pije za dużo i za szybko, nie potrafi usiedzieć spokojnie dłużej niż kilka minut. Tę samą nerwową energię Addie dostrzegła wcześniej u Henry'ego, ale dziś wieczorem akurat on wydaje się spokojny.

W pewnym momencie Elise wychodzi do łazienki, a Addie myśli, że to koniec, za chwilę posypią się kolejne klocki domina. I rzeczywiście, kiedy tamta wraca do stołu, Addie dostrzega na jej twarzy zmieszanie, ale takie, jakie się raczej ukrywa, niż okazuje. Elise milczy, tylko kręci głową, tak jakby chciała pozbyć się jakiejś myśli, z nikłym uśmiechem na twarzy. Addie wyobraża sobie, że tamta zastanawia się, czy nie przesadziła

z alkoholem, wyobraża sobie, jak Elise odciąga Beatrice na stronę podczas deseru i szepcze, że nie może przypomnieć sobie imienia tej dziewczyny obok Henry'ego.

Tymczasem Robbie i gospodyni przyjęcia pogrążeni są w rozmowie.

– Bea… – jęczy aktor. – Nie możemy po prostu…

– Moja impreza, moje zasady. W twoje urodziny poszliśmy do seksklubu w Bushwick.

Robbie przewraca oczami.

– To była scena muzyczna z motywami ekshibicjonistycznymi!

– To był seksklub – mówią Bea i Henry w tej samej chwili.

– Czekaj – mówi Addie, pochylając się. – To twoje urodziny?

– O nie! – wykrzykuje Bea.

– Beatrice nienawidzi urodzin – wyjaśnia Henry. – Nie chce nam powiedzieć, kiedy przypada jej rocznica. Wiemy tylko, że któregoś kwietnia. Albo marca. Albo maja. Dlatego każda uroczysta kolacja wiosną może być imprezą z okazji jej urodzin.

Bea pociąga łyk wina i wzrusza ramionami.

– Nie widzę sensu. To przecież tylko dzień. Po co przydawać mu znaczenia?

– Oczywiście po to, żebyś mogła dostać prezenty – wyjaśnia Robbie.

– A ja to rozumiem – mówi Addie. – Najlepsze dni to te, których nie planujemy.

Robbie patrzy na nią spode łba.

– Czekaj, jak masz na imię? Andy?

Chce go poprawić, ale czuje, że głoski więzną jej w gardle. Klątwa trzyma mocno, dławiąc jej głos.

– Addie – mówi Henry. – A ty jesteś dupkiem.

Przy stole wyczuwa się nerwowe poruszenie. Elise, najwyraźniej chcąc oczyścić atmosferę, wgryza się we francuskie ciastko i mówi:

– Ten deser jest przecudowny, Henry!

A on odpowiada:

– To dzięki Addie.

To wystarczy, żeby wytrącić Robbiego z równowagi, jak kieliszek, z którego rozlewa się wino. Wciąga powietrze i hałaśliwie wstaje od stołu.

– Idę na dymka.

– Nie tu – ostrzega Bea. – Wyjdź na dach.

W tej chwili Addie już wie, że to koniec tego pięknego wieczoru, drzwi się zamkną, ponieważ nie może ich powstrzymać, a kiedy zniknie mu z oczu…

Josh wstaje.

– Ja też sobie zapalę.

– Chcesz się tylko wykręcić od zmywania – stwierdza Bea, ale tamci dwaj już zmierzają ku drzwiom, za chwilę znikną z widoku, a Addie zniknie z ich umysłów. A więc to północ, myśli dziewczyna, zaklęcie traci moc, a ona sama zamienia się w dynię.

– Powinnam już iść – mówi.

Bea próbuje ją przekonać, żeby została, żeby nie pozwoliła się wkurzać Robbiemu, a Addie odpowiada, że to nie jego wina, że ma za sobą naprawdę długi dzień, dziękuje za wspaniałą kolację i towarzystwo. Rzeczywiście, miała szczęście, że udało jej się tak długo wysiedzieć bez problemu, przeżyć ten wieczór i zyskać odrobinę normalności.

– Addie, czekaj – prosi Henry, ale ona szybko go całuje i wymyka się z mieszkania, zbiega w dół schodami i dalej, prosto w ciemność.

Wzdycha i zwalnia, a chłodne powietrze kłuje ją w płuca. Mimo drzwi i ścian pomiędzy nimi wyczuwa wagę tego, co właśnie zaszło. Żałuje, że jednak nie została, że kiedy Henry powiedział „Czekaj”, nie odpowiedziała mu „Chodź ze mną”, ale wie, że to nie fair, kazać mu wybierać. On zapuścił korzenie, ona ma tylko gałęzie.

A potem słyszy za sobą kroki, więc zwalnia i drży, nawet teraz, po tak długim czasie, oczekując Luca.

Luca, który zawsze wie, kiedy jest odsłonięta.

Tym razem jednak to nie ciemność we własnej osobie, tylko chłopak w zaparowanych okularach i rozpiętym płaszczu.

– Wyszłaś tak szybko – odzywa się Henry.

– Ale mnie dogoniłeś – odpowiada Addie.

Może powinna czuć wyrzuty sumienia, ale w tym momencie jest mu tylko wdzięczna.

Nabrała wprawy w gubieniu rzeczy i ludzi.

Ale Henry wciąż idzie obok niej.

– Przyjaciele potrafią czasem być kłopotliwi, no nie?

– Tak – stwierdza Addie, chociaż nie ma o tym zielonego pojęcia.

– Przepraszam – mówi Henry, wskazując gestem budynek za ich plecami. – Nie wiem, co w niego wstąpiło.

Ale Addie wie.

Wystarczy żyć dość długo, a ludzie robią się jak otwarte książki. Robbie jest powieścią romantyczną, historią o złamanych sercach. Najwyraźniej usycha z miłości.

– Powiedziałeś, że jesteście tylko przyjaciółmi.

– Bo jesteśmy – upiera się Henry. – Kocham go jak brata, i zawsze będę. Ale nie… to znaczy nigdy…

Przypomina jej się zdjęcie, na którym głowa Robbiego oparta jest o policzek Henry'ego, a potem wyraz jego twarzy, kiedy Bea przedstawiła ją jako dziewczynę Henry'ego. Zastanawia się, jak chłopak może tego nie dostrzegać.

– Wciąż cię kocha.

Z jej rozmówcy schodzi powietrze.

– Wiem – przyznaje. – Ale nie mogę odwzajemnić tej miłości.

„Nie mogę". Nie „nie odwzajemnię". Nie „nie powinienem".

Addie patrzy mu prosto oczy.

– Czy chciałbyś mi powiedzieć coś jeszcze?

Nie wie, czego od niego oczekuje, jakie wyznanie mogłoby wyjaśnić jego obecność u jej boku, ale kiedy odpowiada jej spojrzeniem, przez sekundę dostrzega w jego oczach oślepiający smutek.

Potem jednak Henry przyciąga ją do siebie, wydaje głośny jęk i mówi cichym, zrezygnowanym tonem:

– Ale się obżarłem!

A ona śmieje się wbrew sobie.

Jest zbyt chłodno, by stać w jednym miejscu, więc spacerują razem w ciemności, a ona nawet nie zauważa, że są pod jego domem, dopóki nie dostrzeże niebieskich drzwi. Jest tak zmęczona, a on promieniuje takim ciepłem. Addie nie chce odchodzić, a on jej o to nie prosi.

Nowy Jork
17 marca 2014

XI

Addie budziła się już w różnych sytuacjach.

Ze szronem osiadającym na skórze lub w słońcu tak gorącym, że powinno ją poparzyć. Samotnie i w miejscach, w których spodziewała się być sama, a nie była. W środku srożącej się wojny i we wnętrzu kadłuba, o który biły fale oceanu. Przy dźwięku syren, hałasie miasta i w ciszy, a raz nawet z wężem zwiniętym przy głowie.

Ale Henry Strauss budzi ją pocałunkami.

Składa je jeden po drugim, niczym pączki kwiatów, po czym pozwala im rozkwitnąć na jej skórze. Addie uśmiecha się i odwraca do niego, a potem zarzuca sobie na szyję jego ramiona niczym płaszcz.

Ciemność w jej głowie szepcze: „Beze mnie zawsze będziesz sama".

Ona woli jednak słuchać bicia serca Henry'ego i cichego pomruku jego głosu w jej włosach, kiedy pyta, czy nie zgłodniała.

Jest już późno, a on powinien być w pracy, ale mówi jej, że Ostatnie Słowo w poniedziałki jest zamknięte. Pewnie nie wie, że zapamiętała drewnianą tabliczkę z wypisanymi godzinami pracy antykwariatu. „Nieczynne tylko w czwartki".

Nie poprawia go jednak.

Ubierają się i schodzą powoli do sklepiku na rogu, gdzie Henry kupuje jajka i tosty z serem przy ladzie, a Addie zapuszcza się do chłodziarki w poszukiwaniu soku.

Wówczas słyszy dzwonek przy drzwiach.

Po chwili widzi również płową czuprynę i znaną twarz, kiedy do sklepu wpada Robbie. Wówczas czuje, że traci nadzieję, tak jak wtedy, kiedy ktoś

się potknie, straci równowagę i próbuje ją odzyskać nagłym szarpnięciem.

Addie nabrała wprawy w gubieniu…

Ale nie jest jeszcze gotowa.

Chciałaby zatrzymać czas, ukryć się i zniknąć.

Nie może jednak tego zrobić. Robbie dostrzega Henry'ego, a Henry dostrzega ją i nagle znajdują się w trójkącie jednokierunkowych ulic. Komedia pamięci, braku i strasznego pecha. Henry obejmuje ją w talii, a Robbie spogląda na dziewczynę lodowato i mówi:

– A to kto?

– To nie jest śmieszne – odpowiada Henry. – Wciąż jesteś pijany?

Oburzony Robbie cofa się o krok.

– Jestem… co? Nie. Nigdy nie widziałem tej dziewczyny. A ty nigdy nie wspominałeś, że się z kimś spotykasz.

Wygląda to jak zderzenie samochodów odtwarzane w zwolnionym tempie, a Addie wie, że musiało się kiedyś zdarzyć: nieunikniona kolizja ludzi, miejsc, czasu i okoliczności.

Henry jest ucieleśnieniem niemożliwości, a jego spotkanie okazuje się dziwną i piękną przystanią w jej życiu. Ale jest także człowiekiem, a ludzie mają przyjaciół, rodziny i tysiące nitek wiążących ich z innymi ludźmi. Inaczej niż ona, nigdy nie był odcięty, nigdy nie egzystował w próżni.

Sytuacja taka jak ta musiała się kiedyś przydarzyć.

Mimo to Addie nie jest jeszcze gotowa.

– Do kurwy nędzy, Rob, przecież wczoraj ją poznałeś!

– Jestem pewien, że bym to pamiętał – stwierdza Robbie, a jego oczy ciemnieją. – Ale wiesz, ostatnio trudno je wszystkie odróżnić…

Henry robi krok naprzód i przestrzeń pomiędzy nimi niebezpiecznie się kurczy. Addie dociera na miejsce pierwsza, łapie jego uniesioną rękę i odciąga.

– Henry, przestań.

Żyli dotąd pod pięknym kloszem, ale teraz szkło zaczyna pękać.

Robbie patrzy na Henry'ego jak ogłuszony, jak zdradzony. Addie doskonale to rozumie. Tamtemu wydaje się to nieuczciwe. Tak to już bywa.

– Chodź – mówi, ściskając jego dłoń. Henry w końcu patrzy na nią. – Proszę, chodź ze mną.

Wychodzą na ulicę. Atmosfera poranka prysła, została w sklepie razem z sokiem pomarańczowym i tostami.

Henry trzęsie się z wściekłości.

– Przepraszam – mówi w końcu. – Robbie potrafi być niezłym dupkiem, ale to było już…

Addie staje, zamyka oczy i opiera się o ścianę.

– To nie jego wina. – Mogłaby to uratować, przytrzymać pękający klosz, zatkać szczeliny palcami… ale na jak długo? Ile czasu będzie miała Henry'ego tylko dla siebie? Jak długo jeszcze potrafi odwracać jego uwagę od klątwy? – Nie sądzę, żeby mnie pamiętał.

Jej towarzysz mruży oczy, najwyraźniej zdezorientowany.

– Dlaczego miałby cię nie zapamiętać?

Addie waha się chwilę.

Łatwo być szczerą, gdy żadne jej słowa nie są niewłaściwe, bo nikt ich nie zapamięta… Kiedy to, co powie, należy tylko do niej.

Henry jest jednak inny, słucha jej, zapamiętuje i nagle każde słowo ma znaczenie, a szczerość staje się brzemieniem.

Ma tylko jedną szansę.

Może mu skłamać, tak jak zrobiłaby z każdym innym, ale jeżeli zacznie, nigdy nie będzie w stanie skończyć. Co więcej, nie chce mu opowiadać kłamstw. Zbyt długo czekała, żeby ktoś ją wysłuchał i zobaczył.

Dlatego rzuca się na głęboką wodę prawdy.

– Wiesz, że niektórzy ludzie mają prozopagnozję? Nie rozpoznają twarzy przyjaciół, rodziny, ludzi, których znają przez całe życie?

Henry spogląda ze zdziwieniem.

– Teoretycznie tak…

– No to ja mam coś dokładnie odwrotnego.

– Zapamiętujesz każdego?

– Nie – zaprzecza Addie. – To znaczy tak. Zapamiętuję, ale nie o to mi chodzi. Ważne jest to, że ludzie mnie nie pamiętają. Nawet jeżeli spotkamy się setki razy. Zapominają kompletnie.

– To nie ma najmniejszego sensu.

Nie ma. Oczywiście, że nie ma.

– Wiem, ale tak wygląda prawda – przyznaje. – Gdybyśmy w tej chwili wrócili do sklepu, Robbie by mnie nie pamiętał. Mógłbyś mnie

przedstawić, ale kiedy bym odeszła, zniknęła mu z oczu, znów by zapomniał.

Henry kręci głową.

– Jak? Dlaczego?

Dwa krótkie pytania, a jaka długa byłaby odpowiedź?

„Ponieważ byłam głupia”.

„Ponieważ się bałam”.

„Ponieważ nie uważałam”.

Siada pod betonową ścianą i wyjaśnia:

– Ponieważ rzucono na mnie klątwę.

Henry patrzy na nią osłupiały, z szeroko otwartymi oczami za okularami.

– Nie rozumiem.

Addie bierze głęboki oddech, próbując opanować zdenerwowanie. A potem, ponieważ zdecydowała się powiedzieć prawdę, zaczyna opowiadać:

– Nazywam się Addie LaRue. Urodziłam się w Villon, we Francji, w tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym pierwszym roku. Moi rodzice mieli na imię Jean i Marthe. Mieszkaliśmy w kamiennym domu, obok którego rósł stary cis…

Villon-sur-Sarthe
29 lipca 1764

XII

Wóz zatrzymuje się ze zgrzytem niedaleko rzeki.

– Mogę podwieźć cię bliżej – proponuje woźnica z lejcami w dłoni. – Została jeszcze jakaś mila.

– W porządku – odpowiada Addie. – Znam drogę.

Nieznany wóz z woźnicą mógłby przyciągnąć uwagę, a ona wolałaby wrócić tak, jak opuściła wioskę, tak, jak niegdyś poznała całą tę okolicę – na piechotę.

Płaci mu i schodzi z wozu, rąbek jej szarej peleryny muska ziemię. Nie obciążała się bagażem, nauczyła się podróżować bez niego, a raczej pozbywać się rzeczy równie swobodnie, jak wchodzi w ich posiadanie. Tak jest prościej, poza tym trudno jej utrzymać coś przy sobie na dłużej.

– Jesteś stąd? – pyta, a Addie mruży oczy, kiedy słońce świeci jej prosto w twarz.

– Tak – potwierdza. – Ale dawno tu nie byłam.

Woźnica mierzy ją wzrokiem.

– No, chyba jednak niezbyt dawno?

– Zdziwiłbyś się – ucina Addie, a on strzela z bata i wóz odjeżdża. Po chwili zostaje sama w okolicy, którą zna jak własną kieszeń. Była tu ostatnio pięćdziesiąt lat wcześniej.

Dziwne, jej nieobecność trwała dwa razy dłużej niż okres, kiedy tu mieszkała, a mimo to czuje się jak w domu.

Nie wie, kiedy postanowiła tu wrócić ani jak to się stało, ale decyzja ta wzbierała w niej niczym pierwsza letnia burza, przetaczająca się ciężko po niebie i obiecująca obfity deszcz, aż Addie zaczęła dostrzegać na

horyzoncie ciemne chmury i usłyszała w swojej głowie grzmot, naglący ją do powrotu.

Być może taki powrót jest czymś w rodzaju rytuału? Swego rodzaju oczyszczeniem, sposobem, by pozostawić Villon za sobą? Czy próbuje zapomnieć… a może właśnie zatrzymać wspomnienia?

Wie tylko, że na pewno tu nie zostanie.

Promienie słońca odbijają się setką iskier od powierzchni Sarthe i przez chwilę Addie zastanawia się nad modlitwą. Zanurzyłaby dłonie w płytkim korycie, ale nie ma nic na ofiarę dla bogów rzeki. Nie ma im również nic do powiedzenia. Nie odpowiedzieli na jej błagania, kiedy to miało jeszcze znaczenie.

Za zakrętem rzeki, za zagajnikiem wyrasta pośród niskich wzgórz Villon: szare kamienne domy przycupnięte w dolince. Miasteczko nieco się rozrosło, utyło niczym mężczyzna w średnim wieku, jego obwód urósł, ale to wciąż Villon. Tam stoi kościół, niedaleko rynek, a dalej, za nim, ciemnozielona linia drzew.

Addie nie idzie przez miasto, zamiast tego okrąża je od południa.

Ku domowi.

Stary cis nadal stoi niczym strażnik na końcu dróżki. Pięćdziesiąt lat dodało nieco węzłów na jego konarach i pogrubiło jego pień, ale poza tym to to samo drzewo. Przez chwilę, kiedy widzi tylko krawędź domu, czas przeskakuje, przesuwa się, i Addie znów ma dwadzieścia trzy lata, wraca do domu z miasteczka, znad rzeki albo od Isabelle, z praniem w koszu na biodrze albo z tabliczką do rysowania pod pachą, za chwilę zobaczy w otwartych drzwiach matkę, upapraną mąką po łokcie, usłyszy miarowe uderzenia topora ojca i cichy szelest ogona Maxime, ich klaczy, odganiającej muchy i żującej trawę.

Potem jednak podchodzi bliżej domu i złudzenie znika, zapadając się z powrotem w pamięć. Klaczy oczywiście nie ma, a warsztat ojca w podwórzu zapadł się nieco. Samo podwórze zarosło trawą, a za nim, ciemna i nieruchoma, stoi chata rodziców.

Czego się spodziewała?

Pięćdziesiąt lat. Addie wiedziała, że ich tu już nie będzie, ale mimo to widok tego miejsca, porzuconego i rozpadającego się, wytrąca ją

z równowagi. Jej stopy poruszają się same, niosą ją ścieżką wydeptaną w trawie do chylącej się ruiny warsztatu.

Ostrożnie otwiera drzwi, które gniją i kruszą się, a potem wchodzi.

Promienie słońca padają na połamane deski, znacząc ciemne zakamarki pasami światła. W powietrzu zamiast zapachu świeżego drewna, pierwotnego i słodkiego, unosi się woń rozkładu: panuje tu wilgoć, a kąty porasta pleśń. Narzędzia, które ojciec ostrzył codziennie, teraz leżą porzucone i zardzewiałe. Półki w większości zieją pustką: drewniane ptaszki zniknęły, pod zasłoną pajęczyn i brudu spoczywa tylko wielka niedokończona misa.

Addie przesuwa dłonią po brudnej powierzchni i patrzy, jak za jej palcami kurz natychmiast zrasta się z powrotem.

Od jak dawna go tu nie ma?

Zmusza się, by wyjść znów na podwórze, i staje jak wryta.

Dom zbudził się do życia, a przynajmniej coś zaczęło się dziać. Z komina wznosi się wąska wstążka dymu, a w otwartym oknie lekko faluje zasłona.

Ktoś wciąż tu jest.

Powinna już sobie iść, wie, że powinna, to miejsce nie należy już do niej, lecz zamiast tego rusza przez podwórze, a potem wyciąga dłoń, by zapukać do drzwi. Palce zwalniają, przypomina sobie tamtą noc, ostatnią w tamtym życiu.

Stoi teraz przed drzwiami, chcąc, by jej dłoń wybrała za nią, ale jej obecność została już zauważona. Zasłona wydyma się, za oknem przemyka cień, a Addie cofa się o dwa kroki, potem stawia jeszcze trzeci, kiedy drzwi uchylają się nieco, w sam raz, żeby odsłonić skrawek pomarszczonego policzka i gniewnie patrzące niebieskie oko.

– Kto tam?

Głos starszej kobiety jest cienki i drżący, ale i tak uderza Addie niczym kamień, prosto w serce, pozbawiając ją oddechu. Dziewczyna jest pewna, że nawet gdyby była śmiertelna, a jej umysł z czasem zwiotczał, i tak rozpoznałaby głos matki.

Drzwi otwierają się z jękiem, i oto na progu stoi staruszka, zwiędła niczym roślina w zimie. Powykręcane palce trzymają wytartą chustę. Jest stara, niemal prastara, ale żyje.

– Czy ja cię znam? – pyta matka, jednak jej ton nie świadczy o tym, by rozpoznawała nowo przybyłą. To tylko starcza wątpliwość i niepewność.

Addie kręci przecząco głową.

Potem będzie się zastanawiać, czy nie powinna odpowiedzieć „tak", czy w umyśle matki, pozbawionym wspomnień, nie znalazłoby się miejsce dla tej jednej prawdy, czy nie mogłaby zaprosić córki do środka, usiąść z nią przy kominku i wspólnie zjeść prostego posiłku, tak żeby Addie zachowała w pamięci inną matkę, nie tylko tę, która wygoniła ją z domu jako nieznajomą.

Ale teraz odpowiada inaczej.

Próbuje wytłumaczyć sobie, że ta kobieta przestała być jej matką, kiedy ona sama przestała być córką tamtej, ale to oczywiście nic nie daje. Mimo to musi tak pozostać. Addie odbyła już żałobę i chociaż przeżyła wstrząs na widok twarzy matki, ból trwa krótko.

– Czego chcesz? – pyta obcesowo Marthe LaRue.

To kolejne pytanie, na które Addie nie potrafi odpowiedzieć, ponieważ tego nie wie. Spogląda ponad ramieniem staruszki na ciemne wnętrze, które kiedyś było ich domem, i wtedy w jej sercu rodzi się dziwna nadzieja. Jeśli matka żyje, to może, może… A jednak wie, że nie. Wie, ponieważ widziała pajęczyny na drzwiach warsztatu i pleśń na niedokończonej misie. Wie, bo dostrzega zmęczenie na twarzy Marthe i zaniedbane wnętrze chaty.

– Przepraszam – mówi, wycofując się spod drzwi.

Staruszka nawet nie pyta, za co te przeprosiny, tylko patrzy na nią bez zmrużenia oka.

Drzwi zamykają się z jękiem, a Addie, odchodząc, zyskuje pewność, że nigdy już nie zobaczy matki.

Nowy Jork
17 marca 2014

XIII

Łatwo jej snuć tę opowieść.

Zresztą sama historia nigdy nie wydawała jej się trudna.

Próbowała podzielić się tą tajemnicą wiele razy: z Isabelle, z Remym, z przyjaciółmi i nieznajomymi, z każdym, kto chciał jej wysłuchać, i za każdym razem obserwowała, jak na ich twarzach pojawia się nieobecny wyraz, patrzyła, jak słowa zawisają przed nią w powietrzu niczym dym, który wkrótce się rozwiewa.

Henry patrzy jednak na nią, a co więcej, uważnie słucha.

Słucha, kiedy Addie opowiada mu o weselu i modlitwach, które nie zostały wysłuchane, o ofiarach składanych o świcie i o zmroku. O ciemności w lesie, paradującej w ludzkiej postaci, o jej życzeniu i jego odmowie, a w końcu o jej pomyłce.

„Możesz sobie wziąć moją duszę, kiedy nie będę jej już chciała".

Henry słucha, kiedy dziewczyna mówi mu o wiecznym życiu i zapomnieniu, o tym, jak się poddała. Kiedy kończy opowieść, wstrzymuje oddech, oczekując, że Henry zamruga, otrząśnie się i zapyta, co właściwie chciała mu powiedzieć. Zamiast tego chłopak mruży oczy z osobliwym skupieniem, a ona zdaje sobie sprawę, że zarejestrował każde słowo.

– Zawarłaś umowę? – pyta obojętnie, z irytującym spokojem.

No tak, uznał ją za szaloną.

Oczywiście jej nie wierzy.

Tak właśnie go straci. Nie dlatego, że ją zapomni, ale dlatego, że jej nie wierzy.

Wtedy, nagle, kompletnie bez powodu, Henry wybucha śmiechem.

Opiera się o stojak dla rowerów, z głową w dłoniach, i śmieje się, a ona zastanawia się, czy nie oszalał, myśli, że po wysłuchaniu jej opowieści coś w nim pękło, a w pewnym momencie zaczyna podejrzewać, że chłopak z niej szydzi.

Ale tak nie brzmi śmiech, jaki można usłyszeć w reakcji na dowcip.

Ten wydaje się zbyt maniakalny, zbyt intensywny.

– Zawarłaś umowę – mówi znowu.

Addie przełyka ślinę.

– Słuchaj, wiem, jak to brzmi, ale…

– Wierzę ci.

Dziewczyna mruga z zaskoczeniem.

– Co?

– Wierzę ci – powtarza Henry.

Dwa słowa, które słyszy równie rzadko, jak „pamiętam cię”, i to powinno wystarczyć, ale nie wystarczy. Nic tu nie ma sensu, ani zachowanie Henry’ego, ani ta rozmowa. Nic nie miało sensu od samego początku, a ona zbytnio bała się zapytać, obawiała się tej wiedzy, tak jakby wiedziała, że kiedy usłyszy prawdę, sen się skończy, ale teraz dostrzega drżenie jego ramion i czuje, że to samo dzieje się z jej sercem.

Chciałaby zapytać: „Kim jesteś? Dlaczego jesteś inny? Jak mnie zapamiętujesz, skoro nikt inny tego nie potrafi? Dlaczego mi wierzysz, że zawarłam umowę?”.

W końcu wypowiada jednak tylko jedno słowo:

– Dlaczego?

Henry odsłania twarz i patrzy w górę, na nią. Jego zielone oczy lśnią gorączkowo, kiedy mówi:

– Ponieważ ja też zawarłem taki pakt.

CZĘŚĆ CZWARTA

CZŁOWIEK, KTÓRY NIE MOKNĄŁ NA DESZCZU

Tytuł dzieła: Otwórz się na miłość

Autorzy: Muriel Strauss (projekt) i Lance Harringer (wykonanie)

Data: 2011

Technika: rzeźba w aluminium, stali i szkle

Własność: Tisch School of Arts

Opis: Wystawione początkowo jako interaktywna instalacja: serce z aluminium, w którym wywiercono dziurki, zawieszone nad wiadrem. Na stole obok słoje rozmaitych kształtów i rozmiarów, zawierające różnokolorowe płyny, w tym wodę, alkohol i farby. Uczestnicy interakcji mieli opróżnić jeden, dowolnie wybrany słoik do wnętrza serca. Płyn natychmiast zaczynał wyciekać, z szybkością zależną od lepkości nalanej substancji.

Kontekst: Ta rzeźba była głównym elementem portfolio autorki koncepcji podczas ostatniego roku studiów, zawierającego kolekcję prac inspirowanych rodziną. Strauss nie przyporządkowała wówczas żadnego członka rodziny do konkretnego dzieła, ale upierała się, że Otwórz się na miłość zostało zaprojektowane jako „hołd dla wyczerpania będącego efektem seryjnej monogamii i świadectwo niebezpieczeństw związanych z niezrównoważonymi uczuciami”.

Przybliżona wartość: Nieznana. Dzieło zostało ofiarowane Tisch School of Arts i trafiło na stałą wystawę.

Nowy Jork
4 września 2013

I

Chłopiec rodzi się z pękniętym sercem.

Na scenę wkraczają lekarze, którzy składają je z powrotem w całość i dziecko zostaje odesłane do domu. Wszyscy uznają, że przeżyło dzięki nieprzeciętnemu szczęściu. Doktor mówi, że teraz jest już lepiej, że chłopczyk może normalnie żyć, a mimo to, kiedy dorasta, jest przekonany, że coś z nim jest nie tak.

Krew krąży, jak trzeba, zastawki otwierają się i zamykają, a na ekranach i wydrukach wszystko działa tak, jak powinno. Dzieje się jednak coś złego.

Lekarze zostawili serce zbyt szeroko otwarte.

Zapomnieli przyśrubować pancerzyk z powrotem.

Teraz chłopiec czuje... za dużo.

Inni ludzie nazwaliby go wrażliwym, ale to coś więcej. Czułość nastawiono na cały regulator, a pokrętło się złamało. Chwile radości zapisują się jako krótkie, lecz ekstatyczne. Cierpienie trwa długo i jest wyjątkowo intensywne.

Kiedy umiera pierwszy pies Henry'ego, chłopiec płacze przez tydzień. Gdy jego rodzice się kłócą, a on nie potrafi znieść złości w ich słowach, ucieka z domu i mija ponad doba, zanim udaje się go sprowadzić z powrotem. Kiedy David wyrzuca do śmieci jego pluszowego misia z dzieciństwa, kiedy Abigail, pierwsza dziewczyna Henry'ego, wystawia go do wiatru na potańcówce, kiedy muszą w szkole wykonać sekcję świni, kiedy Henry gubi kolekcjonerską kartę, którą podarował mu przed śmiercią dziadek, kiedy chłopak odkrywa, że Liz zdradziła go podczas wycieczki w ostatniej klasie, kiedy Robbie rzuca go na pierwszym roku…

Za każdym razem, bez względu na to, jak duży czy też mały jest ból, Henry czuje się tak, jakby serce znów pękało mu w piersi.

Ma czternaście lat, kiedy po raz pierwszy kradnie łyk alkoholu z barku ojca, tylko po to, by złagodzić cierpienie. Szesnaście, kiedy wyjmuje dwie tabletki z szafki matki, żeby stępić ostrze bólu. Dwadzieścia, kiedy ćpa tak długo, że dostrzega pęknięcia na swojej skórze i wydaje mu się, że rozlatuje się na kawałki.

Okno w jego sercu jest ciągle uchylone.

Wpuszcza do wnętrza światło.

Wpuszcza burze.

Wpuszcza wszystko.

Czas biegnie tak kurewsko szybko.

Mrugnięcie – i Henry jest w połowie edukacji szkolnej, sparaliżowany myślą, że cokolwiek zechce robić w życiu, będzie to oznaczało, że nie wybrał setki innych rzeczy, więc zmienia kierunek studiów kilka razy, aż w końcu ląduje na teologii. Przez chwilę ta ścieżka wydaje mu się słuszna, lecz w rzeczywistości to tylko reakcja na widok dumy na twarzach rodziców, zakładających, że wychowali przyszłego rabina. Szczerze mówiąc, nie pragnie jednak praktykować religii: uważa święte teksty za doskonałe historie, porywające epickie dzieła, a im dłużej je studiuje, tym mniej w to wierzy.

Mruga jeszcze raz – i ma dwadzieścia cztery lata, podróżuje po Europie, myśląc, mając nadzieję, że zmiana otoczenia zapali w nim jakąś iskrę, że przebłyski większego, wspanialszego świata pozwolą mu znaleźć cel w życiu. Przez chwilę wydaje się, że faktycznie tak jest, ale Henry nadal nie ma pracy ani przyszłości, ta podróż to tylko interludium. Kiedy dobiega końca, jego konto jest puste, a on sam nie zbliżył się ani na centymetr do jakiegokolwiek rozwiązania.

Mruga znowu – i ma dwadzieścia sześć lat. Zostaje wezwany do gabinetu dziekana, który dostrzegł właśnie, że Henry nie wkłada w pracę całego serca, a teraz radzi mu, żeby znalazł inną drogę w życiu, zapewniając jednocześnie, że młody człowiek na pewno znajdzie w sobie powołanie, ale tu właśnie leży problem: Henry nigdy nie czuł się powołany do robienia jednej, konkretnej rzeczy w życiu. Nie czuje, żeby

coś pchało go zdecydowanie w jednym kierunku, raczej setki słabych szturchańców w różne strony, a teraz wszystkie specjalizacje wydają się poza jego zasięgiem.

Mruga po raz kolejny – i ma dwadzieścia osiem lat, wszyscy naokoło wyprzedzili go w swoich dziedzinach, a on wciąż usiłuje odnaleźć swoją drogę, ledwie zauważając ironię losu: chcąc żyć, uczyć się i odnaleźć siebie, kompletnie się zagubił.

Mruga – i poznaje dziewczynę.

Henry po raz pierwszy zobaczył Tabithę Masters, kiedy tańczyła.

Na scenie musiało być z dziesięć tancerek. Henry przyszedł, żeby zobaczyć występ Robbiego, ale to jej ruchy go przyciągnęły, pochwyciła go grawitacja jej ciała. Ścigał ją wzrokiem przez całe przedstawienie: była tak piękna, że zapierało mu dech, ale jednocześnie jej piękna nie dało się uchwycić na zdjęciu, ponieważ magia kryła się przede wszystkim w ruchach. Poruszała się tak, jakby opowiadała historię za pomocą melodii, wygiętych pleców, rozpostartej dłoni i powolnego opadania na mroczną scenę.

Poznali się podczas afterka.

Na scenie jej rysy były maską, płótnem dla sztuki innych artystów, ale w zatłoczonym pokoju Henry dostrzegał tylko jej uśmiech. Rozjaśniał całą jej twarz, od ostro zakończonego podbródka do linii włosów, stawał się pochłaniającą wszystko radością, od której chłopak nie mógł oderwać oczu. Śmiała się z czegoś (nigdy się nie dowiedział, z czego), a wyglądało to tak, jakby ktoś przyszedł i włączył wszystkie światła w pokoju.

Wtedy właśnie, w tamtym pokoju, serce znów zaczęło go boleć.

Potrzebował trzydziestu minut i trzech drinków, żeby uspokoić się i normalnie z nią przywitać, i od tamtego momentu wszystko było już łatwe. Płynnie zsynchronizowali częstotliwości i znaleźli wspólny rytm, a pod koniec wieczoru zakochał się po uszy.

Zakochiwał się już wcześniej.

W Sophii (w liceum).

W Robbiem (w koledżu).

W Sarah, Etanie, Jennie – ale wszystko to były trudne, burzliwe związki, pełne startów i zatrzymań, złych decyzji i ślepych uliczek. Z Tabithą było jednak inaczej. Łatwiej.

Dwa lata.

Tak długo byli razem.

Dwa lata kolacji i śniadań, lodów w parku, prób baletu i bukietów róż, nocy spędzanych u siebie nawzajem, weekendowych brunchów i nałogowego oglądania seriali, a także podróży na północ stanu i spotkań z rodzicami Henry'ego.

Dwa lata ograniczania spożywanego alkoholu i czystości od narkotyków tylko dla niej, dbania o elegancki ubiór i kupowania rzeczy, na które nie mógł sobie pozwolić, ale i tak je kupował, ponieważ chciał, żeby się uśmiechała, chciał ją uszczęśliwić.

Dwa lata i ani jednej kłótni. Teraz Henry myśli, że może akurat to nie było jednak takie dobre.

Dwa lata – i ich związek się rozleciał, gdzieś między pytaniem a odpowiedzią.

Henry klęknął z pierścionkiem na środku parku i okazał się pierdolonym idiotą, ponieważ Tabitha powiedziała „nie".

Powiedziała „nie", ale nie to było najgorsze.

– Jesteś wspaniały – stwierdziła. – Naprawdę jesteś. Ale nie…

Nie dokończyła zdania. Nie musiała, ponieważ wiedział, jakie słowa padłyby potem.

„Ale nie jesteś tym właściwym".

„Ale to nie wystarczy".

– Myślałem, że chciałaś wyjść za mąż.

– Tak, i pewnego dnia wyjdę za mąż.

Usłyszał głośno i wyraźnie następne zdanie, chociaż nigdy nie padło.

„Ale nie za ciebie".

A potem odeszła, a teraz Henry jest tu, w barze, pijany, ale nie dość.

Wie, że nie dość, ponieważ wciąż widzi wokół siebie świat, ponieważ ten wieczór jest jeszcze zbyt realny, ponieważ wszystko jeszcze go boli. Leży na stole, z głową opartą na złożonych ramionach, patrząc przez

kolekcję pustych butelek na blacie przed sobą. Widzi w nich swoje zniekształcone odbicia.

Merchant jest pełen ludzi, których gwar tworzy ścianę białego szumu, więc Robbie musi krzyczeć, żeby Henry go słyszał:

– Pierdolić ją!

Z jakiegoś powodu Henry nie czuje się lepiej, może dlatego, że mówi to jego były chłopak.

– Czuję się świetnie – odpowiada automatycznie, tak jak zawsze odpowiadają ludzie, kiedy są pytani, jak się mają, nawet jeżeli w rzeczywistości czują, że wyrwano im serce z zawiasów.

– Tak będzie najlepiej – dodaje Bea, a gdyby powiedział to ktokolwiek inny, posłałaby go do kąta za oklepane teksty. Dziesięć minut kary za wygłaszanie banałów. Jednak dziś wieczorem mają dla niego tylko to.

Dopija kieliszek stojący przed nim i sięga po następny.

– Zwolnij, dzieciaku – mówi Bea, masując mu kark.

– Czuję się świetnie – powtarza Henry.

Oboje znają go dość dobrze, żeby rozpoznać kłamstwo. Wiedzą o jego pękniętym sercu, oboje pomagali mu przetrwać życiowe burze. Są jego najlepszymi przyjaciółmi, tymi, dzięki którym jeszcze się trzyma, przynajmniej na razie. Teraz jednak pojawiło się zbyt dużo pęknięć, a pomiędzy ich słowami a jego uszami, ich dłońmi a jego skórą otwiera się przepaść.

Siedzą obok, ale Henry czuje się tak, jakby znajdowali się daleko.

Podnosi wzrok i przygląda się im. Na ich twarzach widzi tylko litość, ani odrobiny zaskoczenia, i po chwili zrozumienie spływa na niego jak chłodny prysznic.

– Wiedzieliście, że powie „nie”.

Milczenie trwa o ułamek sekundy za długo. Bea i Robbie wymieniają spojrzenie, tak jakby próbowali się porozumieć, które z nich ma przejąć inicjatywę, a potem Robbie sięga przez stół ku jego dłoni.

– Henry…

Cofa rękę.

– Wiedzieliście.

Wstaje tak gwałtownie, że niemal pada na stolik za sobą.

Bea patrzy na niego z napięciem.

– Daj spokój, siadaj!

– Nie. Nie. Nie.

– Hej – uspokaja go Robbie. – Odprowadzę cię do domu.

Henry jednak nienawidzi współczującego wzroku przyjaciela, więc kręci głową, mimo że od tego pokój rozmazuje mu się przed oczami.

– Nie – mówi. – Chcę zostać sam.

To największe kłamstwo, jakie w życiu wypowiedział.

Dłoń Robbiego opada, a Bea kręci głową. Pozwalają Henry'emu odejść.

Henry nie czuje się jeszcze dostatecznie pijany.

Idzie do monopolowego i kupuje butelkę wódki od gościa, który patrzy na niego tak, jakby Henry miał już dość alkoholu, ale również tak, jakby było jasne, że potrzebuje go więcej. Chłopak wychodzi ze sklepu i odkręca butelkę zębami, a tymczasem zaczyna padać.

W kieszeni brzęczy telefon.

Zapewne Bea. Albo Robbie. Nikt inny by nie zadzwonił.

Pozwala, żeby komórka brzęczała dalej, wstrzymuje oddech, aż telefon cichnie. Henry obiecuje sobie, że jeśli zadzwonią jeszcze raz, odbierze, jeśli zadzwonią ponownie, powie im, że nie czuje się dobrze… ale telefon milczy.

Nie wini ich za to, ani teraz, ani później. Wie, że niełatwo się z nim przyjaźnić, wie, że powinien to przewidzieć, powinien...

Butelka wyślizguje mu się z dłoni i roztrzaskuje na chodniku, a on powinien ją tam zostawić, jednak tego nie robi. Sięga, by ją podnieść, lecz traci równowagę i upada, a kiedy próbuje się pozbierać, jego dłoń trafia na rozbite szkło.

To boli, oczywiście, że boli, ale ten ból łagodzi nieco wódka, niezmierzone pokłady żalu, pęknięte serce i wszystko poza tym.

Henry wydobywa z kieszeni chusteczkę, skrawek białego jedwabiu z wyszytą srebrem literą „T". Nie chciał przynosić pudełka, klasycznego, bezosobowego opakowania, które zawsze zdradza, jakie pytanie padnie za chwilę, tymczasem teraz, gdy wyciąga chusteczkę, pierścionek wypada mu z kieszeni i toczy się w podskokach po mokrym chodniku.

W jego głowie brzmi echo słów:

„Jesteś wspaniały, Henry. Naprawdę jesteś. Ale nie…"

Przyciska chusteczkę do poranionej dłoni. Po sekundzie jedwab nasiąka czerwienią. Już po chusteczce.

„Ale to nie wystarczy”.

Dłonie i głowy zawsze mocno krwawią.

To David mu o tym powiedział, David, jego brat, lekarz, który już w wieku dziesięciu lat wiedział, kim chce zostać.

Łatwo trzymać się ścieżki, kiedy biegnie prosto, a kolejne etapy są ponumerowane.

Henry patrzy, jak chusteczka przesiąka czerwienią, spogląda na pierścionek z diamentem leżący na ulicy i myśli, czy by go tam nie zostawić, ale nie może sobie na to pozwolić, więc zmusza się do jego podniesienia.

Napij się za każdym razem, kiedy słyszysz, że to nie wystarczy.
Jesteś niewłaściwych rozmiarów.
Wyglądasz niewłaściwie.
Skupiasz się na niewłaściwych rzeczach.
Masz niewłaściwą motywację.
I niewłaściwe wyczucie czasu.
Pracujesz w niewłaściwym miejscu.
Idziesz przez życie niewłaściwą drogą.
Masz przed sobą niewłaściwą przyszłość.
I teraźniejszość.
Ty sam jesteś niewłaściwy.
Ty nie.
(Nie ja?).
Czegoś tu brakuje.
(Brakuje…)
Między nami.
Co mogłem zrobić?
Nic. Chodzi tylko o to…
(Kim jesteś).
Nie sądziłam, że to na poważnie.
(Jesteś zbyt…
…miły

…miękki
…wrażliwy).
Po prostu nie widzę nas razem.
Poznałam kogoś.
Przepraszam.
Tu nie chodzi o ciebie.
(Przełknij to).
Nie pasujemy do siebie.
Nie nadążasz.
Tu nie chodzi o ciebie.
To nie zależy od nas, w kim się zakochamy.
(A w kim nie).
Jesteś bardzo dobrym przyjacielem.
Kiedyś uszczęśliwisz tę właściwą dziewczynę.
Zasługujesz na więcej.
Zostańmy przyjaciółmi.
Nie chcę cię stracić.
Tu nie chodzi o ciebie.
Przepraszam.

II

Teraz już wie, że wypił za dużo.

Próbował osiągnąć etap, na którym nie czułby już nic, ale wydaje mu się, że właśnie go minął i zawędrował dalej, w gorsze rejony. W głowie mu się kręci i to wcale nie jest przyjemne. Znajduje w tylnej kieszeni kilka kapsułek, które zostawiła mu Muriel podczas ostatniej wizyty. „Moje małe, różowe parasolki", tak je nazwała. Henry łyka je teraz bez popijania, a tymczasem drobny deszczyk zmienia się w ulewę.

Woda wsiąka mu we włosy, ścieka po okularach i za kołnierz koszuli.

Nie obchodzi go to.

Może deszcz opłucze go do czysta.

Może zmyje go kompletnie.

Henry dociera do budynku, w którym mieszka, ale nie jest w stanie wspiąć się na sześć schodków prowadzących ku drzwiom na klatkę, potem na dwadzieścia cztery do swojego mieszkania, należącego do przeszłości, w której widział przed sobą jakąś przyszłość, więc opada bezwładnie na podest, odchyla głowę, spogląda w miejsce, gdzie zza krawędzi dachu widać niebo, i zastanawia się, ile stopni trzeba przejść, by stanąć nad tą krawędzią. Zmusza się, żeby przestać o tym myśleć, przyciska dłonie do oczu i wmawia sobie, że to tylko burza.

Przygotujmy się na najgorsze i przeczekajmy ją.

To tylko burza.

Tylko burza.

„Tylko…"

Henry nie jest pewien, kiedy tamten mężczyzna siada koło niego na schodach.

W jednej sekundzie chłopak jest sam, a w następnej już nie.

Słyszy pstryknięcie zapalniczki i widzi kątem oka tańczący płomyk. A potem dociera do niego głos. Przez sekundę wydaje się rozbrzmiewać zewsząd, a po chwili już tylko z miejsca tuż obok.

– Kiepska noc – odzywa się tamten. To pytanie bez pytajnika na końcu.

Henry odwraca się i widzi mężczyznę w gładkim, smoliście czarnym garniturze i szerokim czarnym płaszczu. Przez jedną straszną sekundę wydaje mu się, że to jego brat David, który zjawił się tu, żeby przypomnieć Henry'emu, jak bardzo wszystkich rozczarował.

Mają takie same czarne włosy, taką samą ostrą linię szczęki, ale David nie pali, nie dałby się zaciągnąć wołami do tej części Brooklynu, no i nie jest ani w połowie tak przystojny. Im dłużej Henry mu się przypatruje, tym mniejsze jest podobieństwo, a tym bardziej dociera do niego, że mężczyzna nie moknie.

Deszcz wciąż mocno pada, wsiąkając w wełniany płaszcz Henry'ego i jego bawełnianą koszulę, przyciskając zimne palce do jego ciała. Tymczasem nieznajomy w eleganckim garniturze nie zadaje sobie trudu, by osłonić przed ulewą płomyk zapalniczki czy samego papierosa. Zaciąga się głęboko, opiera łokcie o mokre stopnie i unosi twarz, tak jakby witał deszcz.

Krople go omijają.

Zacinają wszędzie wokoło, ale mężczyzna pozostaje suchy.

Henry'emu przychodzi wtedy do głowy, że to duch. Albo czarownik. Albo, co najbardziej prawdopodobne, halucynacja.

– Czego właściwie chcesz? – pyta nieznajomy, wciąż przyglądając się chmurom, a Henry instynktownie się krzywi, ale w głosie tamtego nie ma gniewu. Jeżeli już, to ciekawość. Powoli opuszcza głowę i patrzy na Henry'ego najbardziej zielonymi oczami, jakie ten w życiu widział. Tak jasnymi, że lśnią w ciemności.

– Właśnie teraz, w tej chwili – precyzuje tamten. – Czego chcesz?

– Chcę być szczęśliwy – odpowiada Henry.

– Ach – mówi nieznajomy, a dym wyślizguje mu się z ust. – Tego nikt ci nie może dać.

„Nie chodzi o ciebie".

Henry nie ma pojęcia, kim jest ten mężczyzna, ani nawet czy jest prawdziwy, ale wie, mimo umysłu zamglonego alkoholem i narkotykiem, że powinien wstać i wejść do domu. Nie potrafi jednak zmusić swoich nóg, żeby się poruszyły, cały świat jest za ciężki, a z jego ust wylewają się teraz kolejne słowa:

– Nie wiem, czego ode mnie chcą – żali się. – Nie wiem, kim mam być według nich. Mówią mi, żebym był sobą, ale wcale nie o to im chodzi, a ja jestem już zmęczony… – głos mu się łamie – …tym, że wciąż nie spełniam ich oczekiwań. Zmęczony… nie chodzi o to, że jestem sam, to mi nie przeszkadza. Ale to – zaplata palce na piersi – to mnie boli.

Dłoń mężczyzny ujmuje go za brodę.

– Spójrz na mnie, Henry – mówi nieznajomy, który nie zapytał go wcześniej o imię.

I Henry podnosi wzrok, patrzy w te błyszczące oczy. Coś się w nich przewija niczym dym, a nieznajomy jest piękny, przypomina wilka, głodnego i drapieżnego. Szmaragdowe spojrzenie przesuwa się po twarzy Henry'ego.

– Jesteś idealny – mruczy tamten, gładząc kciukiem policzek chłopaka. Jego głos brzmi jedwabiście, a Henry nachyla się ku niemu, poddaje się dotykowi i niemal traci równowagę, kiedy dłoń mężczyzny opada. – Ból potrafi być piękny – oznajmia, wypuszczając chmurę dymu. – Potrafi przekształcać. Potrafi tworzyć.

– Ale ja nie chcę cierpieć – odpowiada Henry ochryple. – Chcę…

– Chcesz, żeby cię kochano.

Słychać krótki, smutny odgłos, na wpół kaszel, na wpół szloch:

– Tak.

– W takim razie niech cię kochają.

– W pańskich ustach brzmi to tak prosto!

– Bo to proste – wyjaśnia tamten. – Jeżeli tylko jesteś gotów zapłacić.

Henry parska zdławionym śmiechem.

– Nie szukam takiej miłości!

Na twarzy nieznajomego tańczy cień uśmiechu.

– A ja nie mówię o pieniądzach.

– A co jeszcze wchodzi w grę?

Mężczyzna kładzie dłoń na mostku Henry'ego.

– To, co może mi dać każdy człowiek.

Przez chwilę Henry sądzi, że nieznajomy chce jego serca, mimo że jest pęknięte – a potem spływa na niego zrozumienie. Pracuje w końcu w antykwariacie, przeczytał w życiu dość opowieści, pochłaniał alegorie i mity. Cholera, spędził dwie trzecie życia, studiując Pismo, a wychował się na diecie z dzieł Blake'a, Miltona i Goethego. Minęło jednak wiele lat, od kiedy uznawał którekolwiek z nich za coś więcej niż tylko fantastyczną opowieść.

– Kim jesteś?

– Jestem tym, który dostrzega iskrę i rozdmuchuje ją w płomień. Pielęgnuję wszelki ludzki potencjał.

Henry patrzy na nieznajomego, mimo szalejącej burzy wciąż suchego. Jego znajoma twarz jest szatańsko piękna, a oczy wyglądają niczym oczy węża, i Henry nagle wie, co się dzieje: śni na jawie. Miewał już wcześniej takie sny, raz czy dwa, w następstwie zażycia większej ilości narkotyków.

– Nie wierzę w diabła – mówi, wstając. – I nie wierzę w duszę.

Nieznajomy wyciąga szyję.

– W takim razie nie masz nic do stracenia.

Przejmujący do głębi smutek, powstrzymywany przez ostatnie kilka minut tylko dzięki towarzystwu mężczyzny, teraz zalewa Henry'ego znowu, napierając na pękające szkło. Chwieje się, lecz tamten go podtrzymuje.

Henry nie pamięta, żeby nieznajomy wstawał, ale nagle stoi obok, patrząc mu prosto w oczy. A kiedy diabeł znów przemawia, w jego głosie jest nowa głębia, ciepła nuta, jak koc zarzucony na ramiona chłopaka, który czuje się tak, jakby się weń wtulał.

– Chcesz, żeby cię kochali – odzywa się mężczyzna. – Wszyscy. Chcesz być dla nich wystarczająco dobry. Mogę ci to dać, za cenę czegoś, za czym nie będziesz nawet tęsknił. – Wyciąga dłoń. – No, Henry, co na to powiesz?

Chłopak nie sądzi, by to wszystko działo się naprawdę.

A więc nie ma to znaczenia.

Może zresztą mężczyzna w deszczu ma rację.

Henry nie ma nic do stracenia.

To przecież łatwe.

Tak łatwe jak krok naprzód na krawędzi urwiska.

I upadek.

Henry bierze dłoń nieznajomego, a tamten ściska ją tak mocno, że rany od szkła znów się otwierają. Chłopak jednak tego nie czuje. Nie czuje już nic, gdy ciemność uśmiecha się i wypowiada dwa słowa:

– Umowa stoi.

Nowy Jork
17 marca 2014

III

Istnieją setki odmian ciszy.

Jest gęsta cisza miejsc, które długo stały puste, i stłumiona cisza zatkanych uszu. Nieruchoma cisza wśród martwych i ciężka cisza umierających.

Pełna próżni cisza człowieka, który przestał się modlić, i przestronna cisza pustej synagogi, a także cisza wstrzymanego oddechu kogoś, kto chowa się przed samym sobą.

Jest pełna skrępowania cisza, wypełniająca przestrzeń pomiędzy ludźmi, którzy nie wiedzą, co powiedzieć. I napięta cisza, która zapada wśród tych, którzy wiedzą, co powiedzieć, ale nie wiedzą, jak i od czego zacząć.

Henry nie wie, jakiego rodzaju cisza wisi pomiędzy nimi, ale wydaje mu się zabójcza.

Zaczął opowiadać przed sklepem i ciągnął historię przez cały spacer, ponieważ łatwiej mu było mówić, kiedy Addie szła obok niego i nie musiał cały czas na nią patrzeć. Słowa płynęły z jego ust, kiedy dotarli do niebieskich drzwi na klatkę, wspinali się po schodach i weszli do mieszkania. Teraz prawda wisi pomiędzy nimi, ciężka jak dym, a Addie nie mówi ani słowa.

Siada na kanapie i podpiera brodę dłonią.

Za oknem trwa dzień, tak jakby nic się nie zmieniło, ale oni czują się tak, jakby zmieniło się wszystko, ponieważ Addie LaRue jest nieśmiertelna, a Henry Strauss – potępiony.

– Addie – odzywa się chłopak, kiedy już nie może tego wytrzymać. – Powiedz coś, proszę!

Dziewczyna patrzy na niego z oczami lśniącymi nie magią, ale łzami, a on z początku nie wie, czy to łzy smutku, czy szczęścia.

– Nie mogłam tego zrozumieć – wyznaje Addie. – Nikt mnie nigdy nie pamiętał. Myślałam, że to przypadek. Myślałam, że to pułapka. Ale nie spotkaliśmy się przypadkowo, Henry. Nie jesteś pułapką. Pamiętasz mnie, ponieważ zawarłeś umowę. – Kręci głową. – Spędziłam trzysta lat, próbując przełamać klątwę, a tymczasem Luc zrobił jedyną rzecz, której się nie spodziewałam. – Ociera łzy i uśmiecha się zwycięsko. – Popełnił pomyłkę.

Jej oczy są pełne triumfu, ale Henry nie rozumie dlaczego.

– A więc nasze umowy znoszą się nawzajem? Czy to dlatego jesteśmy odporni na te klątwy?

Addie kręci głową.

– Moja klątwa działa dalej, Henry.

Krzywi się znów, jakby go uderzyła.

– Ale mój dar na ciebie nie działa.

Jej twarz łagodnieje, dziewczyna bierze go za rękę.

– Oczywiście, że działa. Mój i twój dar pasują do siebie jak rosyjskie matrioszki. Patrzę na ciebie i widzę dokładnie to, co chcę, dlatego że to, czego ja chcę, nie ma nic wspólnego z wyglądem, urokiem osobistym czy sukcesem. W innym życiu zabrzmiałoby to strasznie, ale to, czego chcę najbardziej, czego potrzebuję, nie ma nic wspólnego z tobą. Chcę i zawsze naprawdę chciałam tylko tego, żeby ktoś mnie zapamiętał. Dlatego możesz wymówić moje imię, dlatego możesz odejść, a potem wrócić i dalej wiedzieć, kim jestem. Dlatego właśnie mogę patrzeć na ciebie i widzieć cię takim, jaki jesteś. I to mi wystarczy, to zawsze będzie mi wystarczało.

„Wystarczy”. To słowo rozplata się pomiędzy nimi, zaczynając się w jego gardle. Teraz Henry może oddychać.

Wystarczy.

Opada na kanapę obok niej, chwytają się za dłonie, splatając palce.

– Powiedziałaś, że urodziłaś się w tysiąc sześćset dziewięćdziesiątym pierwszym – zastanawia się na głos. – Czyli teraz masz…

– Trzysta dwadzieścia trzy lata – dopowiada Addie.

Henry gwiżdże z podziwem.

– Jesteś najstarszą kobietą, z jaką w życiu byłem! – mówi, a ona się śmieje. – Wyglądasz znakomicie, jak na swój wiek.

– Och, dziękuję ci!

– Opowiedz mi o tym – prosi chłopak.

– O czym?

– Nie wiem. O wszystkim. Trzysta lat to taki szmat czasu! Przeżyłaś wszystkie wojny i rewolucje. Widziałaś, jak powstają pociągi, samochody, samoloty i telewizja. Doświadczyłaś całej historii!

Addie marszczy brwi.

– Chyba tak – mówi w końcu – ale nie wiem, historia to coś, na co patrzy się z perspektywy, a nie coś, co się przeżywa. W danej chwili po prostu się… żyje. Nie chciałam żyć wiecznie. Chciałam po prostu żyć!

Wtula się w niego i leżą razem na kanapie, z głowami obok siebie, połączeni jak kochankowie w baśni, i teraz zapada nad nimi inna cisza, lekka jak letnie prześcieradło.

Potem Addie pyta:

– Jak długo?

Odwraca ku niej głowę:

– Co?

– Kiedy zawierałeś umowę – precyzuje ostrożnie, tak jakby próbowała stąpać po zmrożonej ziemi. – Na jak długo ją zawarłeś?

Henry się zastanawia, patrząc nie na nią, lecz w sufit.

– Na całe życie – mówi. To prawda, lecz twarz Addie pochmurnieje.

– A on się zgodził?

Chłopak kiwa głową i przyciąga ją z powrotem, zmęczony wszystkim tym, co powiedział i co przemilczał.

– Całe życie – szepcze Addie.

Te słowa zawisają pomiędzy nimi w mroku.

Nowy Jork
18 marca 2014

IV

„O Addie można powiedzieć tyle rzeczy – myśli Henry – ale na pewno nie to, że da się o niej zapomnieć”.

Jak ktokolwiek mógłby zapomnieć tę dziewczynę, skoro wszędzie jest jej pełno? W całym pokoju brzmią jej opowieści, śmiech, który napełnia całe otoczenie ciepłem i światłem.

Zaprzągł ją do pracy, a właściwie to ona sama zaprzęgła się do pracy przy uzupełnianiu zapasów i rozkładaniu ich na półkach, podczas gdy on zajmuje się klientami.

Nazwała siebie duchem – i być może jest zjawą dla innych, ale Henry nie może oderwać od niej wzroku.

Porusza się pomiędzy książkami tak, jakby się z nimi przyjaźniła. I być może w pewien sposób tak właśnie jest. Są, jak przypuszcza chłopak, częścią jej historii, jeszcze jedną rzeczą, z którą się zetknęła. Oto, mówi Addie, autor, którego kiedyś spotkała, tu pomysł, na który wpadła i mu podsunęła, a to książka, którą czytała świeżo po premierze. Co jakiś czas Henry dostrzega smutek albo tęsknotę, ale trwają one tylko mgnienie, a potem dziewczyna zdwaja wysiłki, śmieje się i zaczyna kolejną opowieść.

– Znałaś może Hemingwaya?

– Spotkaliśmy się raz czy dwa – odpowiada Addie z uśmiechem. – Ale Colette była inteligentniejsza.

Książek chodzi za Addie jak cień. Henry nigdy nie widział kota tak zafascynowanego człowiekiem: kiedy pyta o powody, dziewczyna z nieśmiałym uśmiechem wyciąga z kieszeni garść kocich przysmaków.

Patrzą na siebie często przez cały antykwariat. Henry pamięta, że jej klątwa działa dalej, że ich dary pasują do siebie, ale pozostaje faktem, że jej piwne oczy nie błyszczą magicznym uwielbieniem, spojrzenie ma czyste, niczym światło latarni morskiej we mgle.

Uśmiecha się i świat Henry'ego robi się jaśniejszy. Odwraca się i znów ogarnia go cień.

Do kasy podchodzi jakaś kobieta, więc Henry odwraca się ku niej z ociąganiem.

– Znalazła pani wszystko, czego potrzebowała? – pyta, a jej oczy zachodzą mgłą.

– O tak! – odpowiada z ciepłym uśmiechem, a on zastanawia się, kogo widzi kobieta zamiast niego. Syna? Kochanka? Brata? Przyjaciela?

Addie opiera łokcie na ladzie.

Stuka palcem w album, który przeglądał, kiedy akurat przy kasie nie było klientów. Kolekcja współczesnych dokumentalnych zdjęć Nowego Jorku.

– Widziałam te wszystkie aparaty w twoim mieszkaniu – mówi. – I zdjęcia. Twoje, prawda?

Henry kiwa głową, opierając się chęci dodania: „To tylko hobby", a raczej: „Miałem kiedyś takie hobby".

– Jesteś bardzo dobrym fotografem – ocenia Addie, co jest miłe, szczególnie z jej ust. A on wie, że jest niezły, może czasami nawet nieco lepszy niż niezły.

Fotografował Robbiego jeszcze w koledżu, ale tylko dlatego, że Robbie nie mógł sobie pozwolić na zawodowca. Muriel twierdziła, że jego dzieła są „urocze". Wywrotowe przez swoją konwencjonalność.

Henry nie próbował jednak niczego wywrócić. Chciał tylko uchwycić coś nieuchwytnego.

Patrzy teraz na album.

– Wisi tam rodzinna fotografia – zaczyna. – Nie ta w korytarzu, ta druga, z czasów, kiedy miałem sześć czy siedem lat. Tamten dzień był straszny. Muriel skleiła książkę Davida gumą do żucia, ja byłem podziębiony, a rodzice się kłócili niemal do chwili, kiedy błysnął flesz. Tymczasem na zdjęciu wyglądamy wszyscy na… szczęśliwych. Pamiętam, jak spojrzałem na to zdjęcie i zdałem sobie sprawę, że fotografie nie są

prawdziwe. Nie zawierają kontekstu, tylko złudzenie, że pokazujesz wycinek życia, ale życie nie składa się z wycinków, jest płynne. Zdjęcia są jak fikcja literacka. Uwielbiałem to w nich. Wszyscy myślą, że fotografie pokazują prawdę, ale w rzeczywistości są tylko bardzo przekonującym kłamstwem.

– Dlaczego przestałeś?

Ponieważ czas nie funkcjonuje tak jak zdjęcia.

Klik – i zatrzymuje się nieruchomo.

Mrugnięcie i skacze naprzód.

Zawsze myślał o fotografii jako hobby, jako sposobie na zaliczenie zajęć ze sztuki, a kiedy zdał sobie sprawę, że mogłoby to być jakieś poważne zajęcie, było już za późno. A przynajmniej tak to czuł.

Był już daleko z tyłu za innymi.

Dlatego się poddał. Odłożył aparaty na półkę obok innych porzuconych hobby… Jednak coś, co dostrzegł w Addie, sprawia, że chce jej zrobić zdjęcie.

Oczywiście nie ma ze sobą aparatu, tylko komórkę, ale obecnie to wystarczy. Unosi smartfona, kadruje nieruchomą Addie z półkami w tle.

– To się nie uda – ostrzega dziewczyna, kiedy Henry robi zdjęcie. A właściwie próbuje. Stuka w ekran, ale nie rozlega się kliknięcie, telefon nie reaguje. Próbuje znów i tym razem owszem, zdjęcie pojawia się na ekranie. Rozmazane.

– Mówiłam przecież – stwierdza cicho Addie.

– Nie łapię – przyznaje Henry. – To było tak dawno. Jak mógł przewidzieć powstanie filmu, fotografii czy telefonów?

Addie uśmiecha się smutno.

– Nie majstrował przecież przy technologii. To chodzi o mnie.

Henry przypomina sobie uśmiech nieznajomego w mroku.

I odkłada telefon.

Nowy Jork
5 września 2013

V

Hałas zza okna budzi Henry'ego. Poranny ruch, jak zwykle.

Krzywi się na dźwięk klaksonów samochodowych. Promienie słońca wpadają przez okno. Przypomina sobie poprzedni wieczór i przez sekundę ma w tym miejscu nicość, czarną plamę, miękką ciszę. Kiedy jednak zaciska oczy, ciemność pęka, wpuszczając falę bólu i smutku, wspomnienie stłuczonego szkła, mocnego deszczu i nieznajomego w czarnym stroju. Rozmawiał z nim… chociaż to musiał być sen.

Henry wie, że Tabitha dała mu kosza – ta część była prawdziwa, a jej wspomnienie kąsa za mocno, żeby było złudzeniem. Przecież dlatego zaczął wczoraj wieczorem pić, a potem szedł do domu w deszczu i przed wejściem usiadł na podeście, a wtedy nieznajomy… Nie, to się nie wydarzyło.

Obcy mężczyzna i ich rozmowa należeli do świata fikcji, stanowili komentarz podświadomości, byli demonami Henry'ego, wywołanymi przez zrozpaczony umysł.

Ból głowy pulsuje tępo pod czaszką, a Henry przeciera oczy wierzchem dłoni. Coś metalowego uderza go w policzek. Mruży oczy i dostrzega na nadgarstku ciemny skórzany pasek. Elegancki mechaniczny zegarek ze złotymi cyframi osadzonymi w onyksowym cyferblacie. Pojedyncza złota wskazówka pokazuje chwilę przed północą.

Henry nigdy nie nosił zegarka.

Jego widok oraz niewygodny ciężar na ręku kojarzą mu się z kajdanami. Siada i manipuluje przy klamerce, ogarnięty nagłym strachem, że został

do niego przykuty, że mechanizm nie da się zdjąć – ale zapięcie puszcza przy najlżejszym nacisku, a zegarek spada na kołdrę.

Leży cyferblatem w dół, a na rewersie Henry dostrzega dwa słowa wygrawerowane cieniutkimi, pajęczymi literami.

„Dobrego życia!”

Zwleka się z łóżka, z dala od zegarka, patrząc na niego tak, jakby spodziewał się ataku z jego strony. Czasomierz leży jednak na pościeli, cichy i nieruchomy. Serce wali Henry’emu w piersi tak głośno, że słyszy jego bicie, i nagle jest z powrotem w ciemności, deszcz spływa mu po włosach, a nieznajomy uśmiecha się i wyciąga dłoń.

„Umowa stoi”.

Ale to się przecież nie wydarzyło.

Henry spogląda na swoją dłoń i widzi płytkie rozcięcia ze świeżymi strupami. Zauważa również czerwonobrązowe kropki na prześcieradle i kołdrze. Stłuczona butelka… A więc to też było prawdziwe, jednak diabelska dłoń ściskająca jego rękę – to musiały być gorączkowe majaczenia. Ból potrafi wywołać takie iluzje, przenieść z jawy w sen. Kiedyś, w wieku dziewięciu czy dziesięciu lat, Henry przechodził ciężkie zapalenie gardła i bolało go tak mocno, że za każdym razem, kiedy tracił poczucie rzeczywistości, śnił o połykaniu gorących węgli, o tym, że został uwięziony w płonącym budynku, a dym dławi mu oddech. Tak umysł próbuje odnaleźć jakieś wytłumaczenie dla bólu.

Jednak ten zegarek…

Przykłada go do ucha i słyszy niskie, rytmiczne stukanie. Mechanizm nie wydaje żadnego innego dźwięku (pewnej nocy niedługo potem rozbierze zegarek na części i odkryje, że koperta jest pusta, w środku nie ma żadnych trybików ani niczego innego, co napędzałoby pełznącą naprzód wskazówkę).

Mimo to czasomierz w jego dłoni jest solidny i ciężki. Zupełnie jak prawdziwy.

Stukanie robi się głośniejsze, a wówczas Henry zdaje sobie sprawę, że nie dochodzi wcale z wnętrza zegarka. To odgłos kostek dłoni pukających w drewno. Ktoś jest pod drzwiami. Henry wstrzymuje oddech i czeka, aż pukanie ustanie, ale ono wciąż się rozlega. Odsuwa się od zegarka, od łóżka, i łapie czystą koszulę z oparcia krzesła.

– Już idę – mruczy, naciągając ją przez głowę. Kołnierzyk zaczepia o okulary, a Henry na ślepo uderza ramieniem w futrynę i cicho przeklina. Przez całą drogę z sypialni ku drzwiom ma nadzieję, że osoba, która tam stoi, da za wygraną i sobie pójdzie. Niestety przybysz jest uparty, więc Henry otwiera w końcu drzwi, spodziewając się ujrzeć Beę, Robbiego lub może Helen, sąsiadkę znowu szukającą kota.

Tymczasem jest to jego siostra Muriel.

Muriel, która odwiedziła go w mieszkaniu dokładnie dwa razy w ciągu ostatnich pięciu lat, przy czym raz dlatego, że wypiła na służbowym lunchu za dużo herbaty ziołowej i obawiała się, że nie zdąży na czas do własnej ubikacji w Chelsea.

– Co ty tu robisz? – pyta Henry, ale siostra już się koło niego przeciska, odwijając z szyi szal, bardziej dekoracyjny niż funkcjonalny.

– A czy potrzebuję specjalnego powodu, żeby odwiedzić rodzinę?

To pytanie jest czysto retoryczne.

Odwraca się i ogląda go od stóp do głów, tak jak (według niego) ogląda eksponaty, a on czeka, aż Muriel go oceni, co zwykle brzmi jak wariacja na temat: „Wyglądasz jak ostatni lump”.

Zamiast tego siostra mówi:

– Wyglądasz całkiem dobrze – co jest dziwne, ponieważ Muriel nie zwykła kłamać (jak mawia: „nie lubi wspierać błędnych przekonań w świecie pełnym pustych słów”), a przelotne spojrzenie w lustro w korytarzu wystarczy, by potwierdzić fakt, że Henry w rzeczywistości wygląda równie kiepsko, jak się czuje. – Beatrice przysłała mi wczoraj wieczorem esemesa, kiedy nie odbierałeś telefonu. Napisała mi o Tabicie i całej tej sprawie. Tak mi przykro, Hen.

Obejmuje go, a Henry nie wie, co zrobić z rękami. W końcu unosi je nad jej ramionami i tak trwa, dopóki siostra go nie puści.

– Co się stało? Zdradzała cię? – pyta, a on chciałby odpowiedzieć twierdząco, ponieważ prawda jest dużo gorsza, prawda wygląda tak, że nie był dla niej dość interesujący. – To bez znaczenia – mówi Muriel. – Pieprzyć ją, zasługujesz na kogoś lepszego.

Henry musi powstrzymywać śmiech. Nie policzy, ile razy siostra podkreślała, że Tabitha jest poza jego zasięgiem.

Tymczasem ona rozgląda się po mieszkaniu.

– Zmieniłeś wystrój? Bardzo tu teraz przytulnie.

Chłopak przygląda się salonowi usianemu świeczkami, drobną sztuką i innymi pozostałościami po Tabicie. Bałagan należy do niego, ale to ona nadała styl temu wnętrzu.

– Nie.

Muriel wciąż stoi. Nigdy nie siada, nigdy nie zabawi dłużej, nie przycupnie nawet na chwilę.

– No cóż, widzę, że czujesz się już dobrze – konkluduje – ale następnym razem odbieraj, proszę, telefon. Och – dodaje, chwytając swój szalik, w połowie drogi do drzwi. – Szczęśliwego nowego roku.

Mija dłuższa chwila, zanim Henry skojarzy, o czym mowa.

Rosz ha-Szana.

Muriel dostrzega jego zmieszanie i się uśmiecha.

– Ależ kiepski byłby z ciebie rabbi!

Nie może się z tym nie zgodzić. Normalnie pojechałby do rodziców, zresztą oboje by pojechali, ale w tym roku David nie mógł przenieść szpitalnego dyżuru na inny dzień, więc rodzice zaplanowali wszystko inaczej.

– Idziesz do synagogi? – pyta teraz Henry.

– Nie – odpowiada jego siostra. – Ale w centrum grają dzisiaj jakąś perwersyjną burleskę i jestem pewna, że będzie tam również pokaz ognia. Zapalę za kogoś świeczkę.

– Mama i tato byliby bardzo dumni – mówi oschle chłopak, ale prawdę mówiąc, podejrzewa, że rzeczywiście by tak było. Wszystko, co robi Muriel Strauss, jest z definicji dobre.

Siostra wzrusza ramionami.

– Każdy świętuje po swojemu. – Zawiązuje zamaszyście szalik. – Widzimy się na Jom Kipur. – Zmierza do drzwi, ale po drodze odwraca się ku niemu i mierzwi mu przyjaźnie włosy. – Moja burzowa chmurka – mówi pieszczotliwie. – Nie pozwól, żeby tam w środku zrobiło się za ciemno.

Potem wychodzi, a Henry osuwa się obok drzwi, oszołomiony, zmęczony i całkowicie zdezorientowany.

Słyszał kiedyś, że żałobę przechodzi się etapami.

Zastanawia się, czy tak samo bywa z miłością.

Czy to normalne, kiedy czuje się zagubiony i wściekły, smutny i pusty w środku, ale jednocześnie, co wydaje mu się potworne, odczuwa ulgę. Może to kwestia kaca, mieszającego wszystkie jego emocje w jedną miksturę.

Henry zatrzymuje się w Roast, ruchliwej kawiarni o przecznicę od antykwariatu. Serwują tam świetne muffinki, ale niezbyt dobre napoje, a obsługa jest straszna, co wydaje się dość typowe w tej części Brooklynu. Dzisiaj przy kasie pracuje Vanessa.

W Nowym Jorku jest pełno pięknych ludzi, aktorów i modeli pracujących po godzinach jako barmani i bariści, nalewających drinki, żeby móc opłacić czynsz przed pierwszym dużym kontraktem. Zawsze zakładał, że jedną z nich jest właśnie Vanessa, wychudzona blondynka z małym symbolem nieskończoności wytatuowanym po wewnętrznej stronie nadgarstka. Zakłada również, że na imię ma Vanessa, bo tak napisano na identyfikatorze przypiętym do jej fartuszka, ale nigdy mu się nie przedstawiła. Jeśli już przy tym jesteśmy, to nigdy nie powiedziała do niego niczego poza profesjonalnym „Co ci podać?”.

Henry stanie przy kasie, ona zapyta, co chce zamówić i jak ma na imię (mimo że chłopak przychodzi tu w ciągu ostatnich trzech lat przez sześć dni w tygodniu, a ona pracuje tu od dwóch lat), a od chwili, kiedy nabije flat white na kasę, do momentu, kiedy napisze jego imię na kubku i poprosi następnego klienta, nie spojrzy na niego ani razu. Jej spojrzenie powędruje z jego koszuli na ekran komputera, potem na jego podbródek, a Henry będzie się czuł, jakby go tam w ogóle nie było.

Tak to się zawsze odbywa.

Tyle że dzisiaj jest inaczej.

Dzisiaj Vanessa, przyjmując jego zamówienie, podnosi wzrok.

To taka mała zmiana, jakieś pięć centymetrów różnicy, może siedem, ale teraz Henry widzi jej oczy, oszałamiająco niebieskie, a ona patrzy na niego, nie na jego podbródek. Nie spuszcza oczu i uśmiecha się, kiedy on odwzajemnia spojrzenie.

– Cześć – wita go. – Co ci podać?

Zamawia flat white i podaje swoje imię… i dotąd na tym się kończyło.

Ale nie dziś.

– Dobrze się będziesz dzisiaj bawił? – zagaduje go, wypisując jego imię na kubku.

Vanessa nigdy wcześniej go nie zagadywała.

– Raczej pracował – odpowiada Henry, a ona znów patrzy mu prosto w twarz. Tym razem chłopak dostrzega w jej oczach lśniącą błonę, coś niewłaściwego. To chyba nic innego, tylko złudzenie optyczne, ale przez sekundę wygląda jak szron albo mgła.

– Czym się zajmujesz? – pyta tak, jakby rzeczywiście ją to interesowało, on opowiada jej o Ostatnim Słowie, a jej oczy lśnią teraz jaśniej. Zawsze była zagorzałą czytelniczką i nie przychodzi jej do głowy lepsze miejsce pracy niż księgarnia. Kiedy chłopak płaci za kawę, ich palce muskają się, a ona rzuca mu jeszcze jedno powłóczyste spojrzenie. – Do zobaczenia jutro, Henry.

Baristka wymawia jego imię, jakby je ukradła. Uśmiecha się przy tym wyjątkowo figlarnie.

A on nie jest pewny, czy dziewczyna z nim flirtuje, dopóki nie dostaje swojej kawy i nie zauważa czarnej strzałki, którą narysowała, wskazującej na denko, a kiedy delikatnie przechyla kubek, żeby zobaczyć, co się tam kryje, jego serce wydaje głośny łomot, niczym ruszający samochód ze starym silnikiem.

Napisała pod spodem swoje imię i numer telefonu.

W Ostatnim Słowie podciąga żaluzję, a potem otwiera drzwi, dopijając kawę. Włącza podświetlenie szyldu i robi to, co zwykle: karmi Książka, otwiera kasę i rozkłada nowo nabyte książki na półkach, dopóki nie odezwie się dzwonek u drzwi, zwiastujący przybycie pierwszego klienta.

Henry przemyka między półkami i natyka się na starszą panią, wędrującą od sekcji „Historyczne” przez „Kryminały” do „Romansów” i z powrotem. Daje jej kilka minut, ale kiedy zaczyna pętlę po raz trzeci, wkracza do akcji.

– Czy mogę pani pomóc?

– No nie wiem, nie wiem… – mruczy kobieta, na wpół do siebie, lecz potem spogląda na niego i coś w jej twarzy ulega zmianie. – To znaczy tak, proszę, mam nadzieję, że tak. – W jej oczach Henry dostrzega słabe lśnienie, wilgotny blask, kiedy starsza pani wyjaśnia, że szuka książki,

którą kiedyś czytała. – Nie mogę ostatnio spamiętać wszystkich dotychczasowych lektur – skarży się, kręcąc głową. – Wszystko brzmi znajomo. Wszystkie okładki wyglądają tak samo. Dlaczego to robią? Dlaczego każda książka wygląda tak jak inne?

Henry przypuszcza, że to ma coś wspólnego z marketingiem i modą, ale wie, że jeśli nawet powie to na głos, nie pomoże w poszukiwaniach. Zamiast tego pyta więc, czy pamięta cokolwiek z tej książki.

– Och, chwileczkę… To była wielka księga. O życiu i śmierci, i też o historii.

To niekoniecznie zmniejsza liczbę tytułów, jakie wchodzą w grę, ale Henry przywykł do klientów, którzy nie pamiętają szczegółów. Wchodzą do Ostatniego Słowa w poszukiwaniu czegoś, co widzieli, ale nie potrafią wydusić z siebie nic ponad „Okładka była czerwona” lub „Wydaje mi się, że w tytule było słowo »dziewczyna«”.

– Była smutna i piękna jednocześnie – wyjaśnia klientka. – Na pewno działa się w Anglii. O jejciu, moja pamięć. Chyba… miała na okładce różę.

Rozgląda się po półkach, załamując ręce blade jak pergamin. Najwyraźniej nie potrafi się zdecydować, więc on musi to zrobić za nią. Skrępowany jak nigdy, wyciąga z najbliższej półki z beletrystyką grubą powieść historyczną.

– Czy może o to chodzi? – pyta, podając jej W komnatach Wolf Hall. W tym samym momencie dociera do niego jednak, że to nie ta książka. Na okładce jest mak, nie róża, a w życiorysie Thomasa Cromwella nie ma nic szczególnie smutnego ani pięknego, nawet jeśli książka faktycznie jest dobrze napisana. – Ach, nieważne – mówi, sięgając po tę pozycję, by odłożyć ją na miejsce, kiedy twarz starszej pani rozjaśnia zachwyt.

– To jest to! – mówi i łapie go za ramię kościstymi palcami. – Dokładnie tego szukałam! – Henry nie może w to uwierzyć, ale radość kobiety jest tak wielka, że zaczyna wątpić w swoje rozeznanie.

Już ma ją skasować, kiedy coś mu się przypomina. Atkinson. Jej wszystkie życia. Powieść o życiu, śmierci i historii, smutna i piękna, z akcją osadzoną w Anglii, z parą róż na okładce.

– Momencik – mówi, skacząc za róg i przeglądając najnowsze nabytki z literatury pięknej, a po chwili znajduje właściwą książkę. – A może to to?

Twarz kobiety rozjaśnia się dokładnie tak samo, jak parę minut wcześniej.

– Tak! Ty spryciarzu, to o tę mi chodziło! – woła z takim samym przekonaniem.

– Cieszę się, że mogłem pomóc – odpowiada Henry, niepewny, czy rzeczywiście mu się to udało.

Klientka decyduje się na obie książki, twierdząc, że na pewno jej się spodobają.

Równie dziwne rzeczy dzieją się przez resztę przedpołudnia.

Mężczyzna w średnim wieku zagląda do Ostatniego Słowa w poszukiwaniu thrillera i wychodzi ze wszystkimi pięcioma książkami poleconymi przez Henry'ego. Studentka szuka książki o mitologii japońskiej, a kiedy Henry przeprasza, że jej nie ma, dziewczyna praktycznie wychodzi ze skóry, zapewniając go, że to nie jego wina, i upiera się, żeby zamówił ją dla niej, mimo że nawet nie jest pewna, czy będzie jej potrzebowała na zajęciach. Facet o ciele modela i twarzy ostrej jak brzytwa starannie przegląda zawartość sekcji fantasy, a przy kasie na potwierdzeniu płatności obok podpisu zostawia swój adres mailowy.

Henry czuje się wytrącony z równowagi, tak jak wtedy, gdy Muriel powiedziała mu, że wygląda całkiem dobrze. To trochę jak déjà vu i zarazem nie jak déjà vu, ponieważ to całkiem nowe uczucie. To jak prima aprilis, kiedy zmieniają się zasady i wszystko staje się grą, w którą grają wszyscy inni. Henry z rumieńcem na twarzy wciąż zastanawia się nad ostatnim klientem, kiedy do Ostatniego Słowa wpada Robbie, a dzwonek dzwoni wyjątkowo głośno.

– O rany! – mówi, zarzucając ramiona na szyję Henry'ego, który przez chwilę myśli, że coś się stało, a dopiero potem uprzytamnia sobie, że to właśnie jemu samemu poprzedniej nocy stało się coś strasznego.

– W porządku – odpowiada Robbiemu, chociaż oczywiście nie jest w porządku, ale dzisiejszy dzień obfitował w tak dziwne wydarzenia, że wszystko, co było wcześniej, pamięta trochę jak sen. A może to właśnie jest sen? Jeżeli tak, to wcale nie ma ochoty się budzić. – W porządku.

– Nie musisz tak mówić – przerywa mu Robbie. – Chciałem tylko, żebyś wiedział, że tu jestem i byłbym przy tobie również ostatniej nocy, chciałem przyjść, kiedy nie odbierałeś telefonu, ale Bea powiedziała, że

powinniśmy dać ci trochę oddechu, a ja jej posłuchałem, sam nie wiem czemu, przepraszam.

To wszystko brzmi jak jedno długie zdanie.

Uścisk Robbiego jest coraz ciaśniejszy, a Henry rozkoszuje się jego bliskością. Pasują do siebie niczym dobrze znany, znoszony płaszcz do pleców właściciela. Uścisk trwa jednak nieco zbyt długo. Henry odchrząkuje i odsuwa się, a Robbie chichocze z zakłopotaniem i odwraca twarz, na którą pada przelotnie światło, a Henry dostrzega wówczas delikatną fioletową kreskę na skroni przyjaciela, tuż pod linią płowych włosów.

– Błyszczysz się.

Robbie bez przekonania ściera makijaż.

– Och, to z próby.

W jego oczach lśni dziwny, szklisty blask, który Henry zna aż za dobrze, toteż zaczyna się zastanawiać, czy przyjaciel coś wziął, czy też po prostu za długo nie spał. W koledżu Robbie potrafił doprowadzić się do takiego stanu narkotykami, marzeniami lub jakąś wielką ideą, że musiał spalić całą energię, która go rozpierała, a potem powietrze kompletnie z niego uchodziło.

Dzwonek u drzwi odzywa się znowu.

– Co za skurwysyn – oznajmia Bea, stawiając z rozmachem torbę na ladzie. – Skurwiel z ptasim móżdżkiem.

– Ej, ale klienci… – ostrzega Henry, mimo że jedynym klientem w pobliżu jest Michael, głuchy staruszek, który często odwiedza sekcję horrorów.

– Czemuż zawdzięczamy te przekleństwa? – pyta radośnie Robbie. Dramatyczne wydarzenia zawsze wprawiały go w dobry humor.

– Mój promotor to dupek! – odpowiada dziewczyna, z wściekłością maszerując obok nich do sekcji ze sztuką i historią sztuki. Wymieniają spojrzenia i ruszają za nią.

– Nie spodobał mu się konspekt? – pyta Henry.

Bea od prawie roku próbuje uzyskać akceptację tematu swojej pracy doktorskiej.

– Odrzucił go! – Przemyka alejką między półkami, niemal zrzucając na podłogę stos czasopism. Henry podąża za nią, starając się naprawić

zniszczenia, jakie sieje wkurzona dziewczyna. – Powiedział, że jest zbyt ezoteryczny! Nie skojarzyłby właściwego znaczenia tego słowa, nawet gdyby podeszło i ugryzło go w dupę!

– To może użyj go w jakimś zdaniu? – podsuwa Robbie, ale dziewczyna go ignoruje, zdejmując z półki książkę.

– Ten ograniczony…

I kolejną.

– …odmóżdżony…

I jeszcze jedną.

– …truposz!

– Hej, to nie biblioteka – protestuje Henry, kiedy Bea niesie stos tomów do niskiego skórzanego fotela w rogu i opada na niego, płosząc kupę rudego futra ze zniszczonych poduch.

– Przepraszam, Książku – mruczy, ostrożnie przenosząc kota na oparcie starego fotela, a zwierzak patrzy na nią jak ciężko obrażony bochenek chleba. Przeklinając wciąż pod nosem, Bea zaczyna przewracać kartki książek.

– Wiem dokładnie, czego nam trzeba! – ogłasza triumfalnie Robbie, odwracając się w kierunku magazynu. – Czy Meredith nie trzyma na zapleczu zapasu whisky?

Mimo że jest dopiero piętnasta, Henry nie sprzeciwia się temu pomysłowi. Siada na podłodze, oparty plecami o najbliższą półkę, ze swobodnie wyciągniętymi nogami, nagle czując się nieznośnie zmęczony.

Bea podnosi na niego wzrok i wzdycha.

– Przepraszam… – zaczyna, ale Henry tylko macha ręką.

– Proszę bardzo, demoluj dalej swojego promotora, werbalnie, i moją sekcję historii sztuki, fizycznie. Ktoś musi się tu w końcu zachowywać normalnie.

Dziewczyna zamyka książkę, kładzie ją z powrotem na stosie i dołącza do Henry’ego na podłodze.

– Mogę ci coś powiedzieć? – mówi z intonacją wznoszącą, ale on wie, że to nie pytanie. – Cieszę się, że zerwałeś z Tabithą.

Ukłucie bólu jak cięcie przez dłoń.

– To ona zerwała ze mną.

Bea macha dłonią, tak jakby ten szczegół nie miał większego znaczenia.

– Zasługujesz na kogoś, kto pokocha cię takiego, jakim jesteś. Dobrego, złego i wkurzającego.

„Chcesz, żeby cię kochali. Chcesz być dla nich wystarczająco dobry”.

Henry przełyka ślinę.

– Tak, no cóż, tym razem bycie sobą nie bardzo mi wyszło.

Bea nachyla się ku niemu.

– Właśnie w tym rzecz, Henry. Nie byłeś sobą. Marnujesz mnóstwo czasu na ludzi, którzy na ciebie nie zasługują. Ludzi, którzy cię nie znają, ponieważ nie pozwalasz im się poznać. – Podpiera brodę dłońmi, a jej oczy lśnią dziwnym blaskiem. – Henry, jesteś inteligentny, życzliwy i potwornie wkurzający. Nienawidzisz oliwek i ludzi, którzy gadają podczas filmów. Uwielbiasz szejki i ludzi, którzy potrafią śmiać się do łez. Uważasz, że zaglądanie na koniec książki, zanim się ją całą przeczyta, to zbrodnia. Kiedy jesteś wściekły, milkniesz, gdy jesteś smutny, zaczynasz zachowywać się przesadnie głośno, a kiedy jesteś szczęśliwy, nucisz sobie.

– No i?

– Od lat nie słyszałam, żebyś nucił – wyjaśnia, a jej dłonie opadają. – Ale widziałam, jak zjadasz tony oliwek. Przez nią.

Wraca Robbie, niosąc butelkę i trzy kubki. Jedyny klient wytacza się z Ostatniego Słowa, a Robbie zamyka za nim drzwi i odwraca tabliczkę na szybie. „Zamknięte”. Wraca, siada pomiędzy Beą i Henrym na podłodze i odkorkowuje butelkę zębami.

– Za co pijemy? – pyta Henry.

– Za nowy początek – mówi Robbie, a jego oczy wciąż lśnią, kiedy napełnia kubki.

Nowy Jork
18 marca 2014

VI

Odzywa się dzwonek przy drzwiach i do Ostatniego Słowa wchodzi Bea.

– Robbie chce wiedzieć, czy go unikasz – mówi zamiast powitania.

Henry czuje się niewyraźnie. Odpowiedź to oczywiście „tak”, a jednocześnie „nie”. Nie może zapomnieć cierpienia w oczach Robbiego, ale to nie usprawiedliwia postępowania tamtego, a może właśnie usprawiedliwia?

– Przyjmuję, że odpowiedź jest twierdząca – oznajmia Bea. – Gdzie się ostatnio ukrywałeś?

Henry w pierwszej chwili chce powiedzieć: „Widzieliśmy się na ostatniej imprezie u ciebie”, ale nie wie, czy Bea zapomniała cały tamten wieczór, czy tylko tę jego część, podczas której była obecna Addie.

A jak już przy tym jesteśmy.

– Bea, to jest Addie.

Beatrice odwraca się ku niej i przez sekundę, ale tylko sekundę, Henry myśli, że ją pamięta. Chodzi o sposób, w jaki patrzy na Addie, tak jakby tamta była dziełem sztuki, ale takim, które Bea już wcześniej widziała. Wbrew wszelkiej nadziei Henry spodziewa się, że jego przyjaciółka skinie głową i powie „O, miło cię znowu widzieć”, lecz zamiast tego Bea się uśmiecha i mówi:

– Wiesz co, w twojej twarzy jest coś ponadczasowego.

Czuje się wstrząśnięty tymi słowami, powtarzającymi się jako przedziwne déjà vu.

Addie odpowiada uśmiechem i stwierdza:

– Słyszałam to już kiedyś.

Kiedy Bea się jej przygląda, Henry studiuje twarz przyjaciółki.

Zawsze wyglądała nienagannie, ale dzisiaj na palcach ma odblaskową farbę, na skroni – ślad złota, a na rękawie coś, co wygląda jak cukier puder.

– Gdzie byłaś? – pyta.

Dziewczyna patrzy na swoją rękę.

– Och, na Artefakcie! – odpowiada, tak jakby to cokolwiek znaczyło, a widząc ich zmieszanie, wyjaśnia: – Artefakt to wystawa na High Line, połączona ze zbiorem interaktywnych instalacji.

Kiedy Bea opowiada o gabinetach luster i szklanych kopułach pełnych gwiazd, cukrowych chmurach, pierzu po bitwie na poduszki i muralach tworzonych przez tysiące nieznajomych uczestników, Addie rozpromienia się w uśmiechu, a Henry myśli, że trudno czymś zaskoczyć dziewczynę, która żyje już trzysta lat.

Dlatego kiedy odwraca się ku niemu z błyszczącymi oczami, mówi:

– Musimy tam iść! – Henry nie może na to nic poradzić. Pozostaje oczywiście kwestia antykwariatu, którego jest jedynym pracownikiem, i to, że do zamknięcia zostały jeszcze cztery godziny. Ma jednak pewien pomysł.

Chwyta zakładkę, jedyny gadżet reklamowy antykwariatu, i pośpiesznie pisze coś na jej rewersie.

– Hej, Bea – odzywa się, podając jej improwizowaną kartę przez ladę. – Możesz dzisiaj posiedzieć do końca dnia, a potem zamknąć interes?

– Mam swoje życie… – zaczyna tamta, ale potem czyta to, co Henry napisał na zakładce.

„Biblioteka Ostatniego Słowa”.

Bea uśmiecha się i chowa kartę do kieszeni.

– Bawcie się dobrze – mówi, poganiając ich gestem do wyjścia.

Nowy Jork
5 września 2013

VII

Czasem Henry żałuje, że nie ma kota.

Podejrzewa, że mógłby po prostu adoptować Książka, ale pręgowany rudzielec wydaje się rezydentem Ostatniego Słowa, a Henry nie może się powstrzymać od przesądnej myśli, że gdyby spróbował wynieść wiekowe kocisko z antykwariatu, rozsypałoby się w pył, zanim dotarłby do domu.

Zdaje sobie sprawę, że to dość niezdrowy sposób myślenia o ludziach i miejscach, w tym przypadku zwierzętach i miejscach, ale właśnie zapada zmierzch, a on wypił trochę za dużo whisky; Bea musiała iść na zajęcia, a Robbie – na przedstawienie przyjaciela, więc Henry został znowu sam. Wraca do pustego mieszkania, żałując, że nie ma kota albo innego zwierzaka, który czekałby w domu na jego powrót.

Wchodzi i na próbę woła:

– Kici, kici, wróciłem!

Dopiero po chwili zdaje sobie sprawę, jak to wygląda: dwudziestoośmioletni kawaler mówiący do wymyślonego zwierzaka. Teraz czuje się nieskończenie gorzej.

Bierze piwo z lodówki, gapi się na otwieracz do kapsli i przypomina sobie, że należał do Tabithy. Różowo-zielony przedmiot stylizowany na postać zapaśnika lucha libre, przywieziony z podróży do Mexico City w zeszłym miesiącu. Rzuca go na blat i otwiera szufladę, szukając innego otwieracza. Znajduje drewnianą łyżkę, magnes reklamowy zespołu tanecznego i paczkę śmiesznie wygiętych słomek do napojów, rozgląda się i dostrzega tuzin innych rzeczy rozsianych po mieszkaniu, a należących do Tabithy. Odkopuje pudło z książkami i opróżnia je, a potem wkłada do

niego fotografie, okolicznościowe kartki, kilka tanich wydań powieści, parę baletek, kubek, bransoletkę, szczotkę do włosów i jeszcze jedno zdjęcie.

Dopija pierwsze piwo, otwiera drugie o brzeg kuchennego stołu i idzie dalej z pokoju do pokoju, zbierając przedmioty. Nie przeszukuje apartamentu metodycznie, raczej błąka się po nim. Godzinę później pudło jest w połowie pełne, ale Henry traci zapał. Nie chce już tego robić, nie chce nawet tu być, w mieszkaniu, które jest nieźle zagracone, a jednocześnie tak bardzo puste. Za dużo tu przestrzeni skłaniającej do myślenia, a za mało miejsca, by oddychać.

Henry siada na kilka minut pomiędzy pustymi butelkami po piwie i na wpół wypełnionym pudłem, kolano mu drga, a potem zrywa się na równe nogi i wychodzi.

Merchant jest pełny.

Jak zawsze – to jeden z tych barów z sąsiedztwa, które zawdzięczają sukces bardziej dogodnemu położeniu niż jakości drinków. To lokalna instytucja. Większość stałych bywalców mówi o nim po prostu „nasz bar".

Henry przeciska się przez tłum i zajmuje stołek na skraju kontuaru, mając nadzieję, że rozbrzmiewający tu ludzki gwar pozwoli mu poczuć się mniej samotnie.

Dziś wieczorem za barem pracuje Mark, pięćdziesięciokilkulatek z siwymi baczkami i uśmiechem z żurnala. Zwykle trzeba dobrych dziesięciu minut, żeby zwrócić na siebie jego uwagę, ale dzisiaj barman, ignorując kolejkę, podchodzi prosto do Henry'ego, który zamawia tequilę. Mark po chwili wraca z butelką i parą kieliszków.

– Na koszt firmy – mówi, nalewając gościowi i sobie.

Henry zdobywa się na słaby uśmiech.

– Naprawdę wyglądam tak kiepsko?

Ale w oczach Marka nie ma litości, raczej dziwne, subtelne lśnienie.

– Nie, wyglądasz świetnie – mówi, prawie jak Muriel. Po raz pierwszy odezwał się do kogoś więcej niż jednym słowem, bo zwykle ogranicza się do odpowiedzi na zamówienia i kiwania głową.

Stukają się kieliszkami, a potem Henry zamawia drugą kolejkę, i jeszcze trzecią. Wie, że pije za dużo i za szybko, mieszając mocny alkohol z piwem

z domu i whisky wlaną w siebie w antykwariacie.

Przy barze siada dziewczyna i patrzy na Henry'ego.

Odwraca wzrok, a po chwili spogląda znowu, tak jakby widziała go po raz pierwszy. I znów pojawia się to samo lśnienie, jak szklista błona na jej oczach, kiedy pochyla się ku niemu, a on nie słyszy jej imienia, kiedy mu się przedstawia, ale to bez znaczenia.

Starają się rozmawiać mimo gwaru, a jej dłoń wędruje z jego przedramienia na ramię, a ostatecznie wślizguje się we włosy.

– Chodźmy do mnie – mówi w końcu, a on jest zaskoczony tęsknotą w jej głosie, otwartym pożądaniem. Potem jednak zjawiają się jej przyjaciele i zgarniają ją ze sobą, a ich oczy również lśnią, tak jakby chcieli powiedzieć: „Bardzo nam przykro", „Jesteś takim fajnym gościem" i „Wspaniałego wieczoru".

Henry zsuwa się ze stołka i idzie do łazienki. Tym razem czuje falę spojrzeń: głowy odwracają się ku niemu.

Jakiś facet łapie go za ramię i mówi coś o swoim projekcie fotograficznym i o tym, jak Henry by do niego świetnie pasował, a potem wciska mu wizytówkę.

Dwie kobiety próbują wciągnąć go do rozmowy.

– Żałuję, że nie mam takiego syna – odzywa się jedna.

– Syna?! – mówi druga z lubieżnym uśmiechem, a on wyrywa im się i ucieka korytarzem ku toaletom.

Łapie za blat przy umywalkach.

Nie ma pojęcia, co się tu dzieje.

Wraca myślą do wydarzeń z dzisiejszego poranka w kawiarni i numeru Vanessy wypisanego na dnie kubka, do klientów w antykwariacie tak entuzjastycznie reagujących na jego pomoc. Do Muriel, która powiedziała, że wygląda całkiem dobrze. Przypomina sobie bladą mgłę, jak dym ze zgaszonej świecy, zasnuwającą oczy ich wszystkich.

Patrzy na zegarek na nadgarstku, lśniący w świetle łazienkowych lamp, i po raz pierwszy jest pewien, że to wszystko stało się naprawdę.

Mężczyzna w deszczu był prawdziwy.

Naprawdę zawarli umowę.

– Hej! – podnosi wzrok i widzi faceta ze szklistymi oczami, uśmiechającego się do niego tak, jakby byli najlepszymi przyjaciółmi.

– Wyglądasz, jakbyś miał ochotę wciągnąć działkę – mówi i wyciąga ku Henry'emu szklany słoiczek, a ten patrzy na jego zawartość: delikatny biały proszek.

Miał dwanaście lat, kiedy naćpał się po raz pierwszy.

Ktoś za trybunami wręczył mu skręta, a dym poparzył mu płuca. Henry niemal zwymiotował, ale potem wszystko nieco… złagodniało. Zioło sprawiło, że poczuł pod czaszką nową przestrzeń, i złagodziło nerwowe przerażenie. Nie potrafił jednak kontrolować działania trawki. Valium i xanax były lepsze, bo stępiały ostre krawędzie od razu, ale Henry zawsze trzymał się z daleka od mocniejszego towaru, przede wszystkim ze strachu. Nie ze strachu, że coś pójdzie źle, wręcz przeciwnie: ze strachu, że będzie się czuł dobrze. Bał się przekroczyć granicę uzależnienia, wiedząc, że nie będzie dość silny, by przestać.

Nigdy nie czuł takiego haju, jakiego pragnął, nigdy nie dotarł na szczyt.

Wystarczył mu spokój.

Efekt uboczny.

Próbował się zmienić na lepsze – dla Tabithy.

Ona jednak odeszła i teraz to już nie ma znaczenia.

Najmniejszego.

Teraz Henry chce tylko poczuć się lepiej.

Wysypuje odrobinę proszku na kciuk, nie mając pojęcia, czy robi to właściwie, ale wciąga ją przez nos. Koka uderza go jak nagły, szarpiący chłód, a potem świat się otwiera. Szczegóły stają się krystalicznie czyste, kolory wyraźne i jakimś cudem wszystko wydaje się ostre i zamazane równocześnie.

Musiał coś powiedzieć, ponieważ tamten facet wybucha śmiechem. Potem strzepuje dłonią odrobinę proszku z policzka Henry'ego, a ten w chwili kontaktu czuje, jakby przeskoczyła między nimi iskra, tak jak ładunek statyczny.

– Jesteś idealny – mówi nieznajomy, gładząc palcami linię szczęki chłopaka, który czuje nagle zawroty głowy i wypełzający na twarz rumieniec. Musi się ruszyć z miejsca.

– Przepraszam – mówi, wycofując się na korytarz.

Opiera się bezwładnie o ciemny mur i czeka, aż świat przestanie się kołysać.

– Hej!

Henry podnosi wzrok i widzi chłopaka, obejmującego ramieniem dziewczynę: oboje wysocy, szczupli i o kocich ruchach.

– Jak masz na imię? – pyta tamten.

– Henry.

– Henry… – powtarza dziewczyna z kocim uśmiechem.

Patrzy na niego z tak widocznym pożądaniem, że Henry zaczyna się mimowolnie odsuwać. Nikt nie patrzył na niego dotąd w taki sposób, ani Tabitha, ani Robbie. Nikt, ani na pierwszej randce, ani w samym środku seksu, ani wtedy, gdy ukląkł i…

– Jestem Lucia – przedstawia się dziewczyna. – A to Benji. Szukaliśmy cię.

– Co takiego zrobiłem? – pyta.

Uśmiecha się krzywo.

– Jeszcze nic.

Dziewczyna przygryza wargę, jej towarzysz patrzy na Henry'ego z twarzą napiętą od żądzy, a Henry z początku nie rozumie, o czym mówią.

A potem dociera do niego.

Wstrząsa nim śmiech, dziwny i nieokiełznany.

Nigdy nie próbował seksu w trójkącie, chyba że liczyć ten jeden raz w szkole, kiedy niewiarygodnie się urżnęli z Robbiem i jeszcze jednym chłopakiem, lecz nie jest pewny, jak daleko zaszły wtedy sprawy.

– Chodź z nami – mówi Lucia, wyciągając dłoń.

Do głowy przychodzą mu dziesiątki wykrętów, ale potem opuszczają ją równie szybko, jak się pojawiły, i Henry idzie z nimi.

Nowy Jork
7 września 2013

VIII

Boże, jak to dobrze czuć się pożądanym!

Gdziekolwiek się znajdzie, czuje tę falę spojrzeń. Ludzie zwracają na niego uwagę, a on łaskawie pozwala, by otaczały go uśmiechy, ciepło i światło. Po raz pierwszy w pełni rozumie, jak to jest być pijanym władzą.

Czuje, jakby zdjął wielki ciężar z ramion, które od dawna bolały go z wysiłku. Nagłą, wszechogarniającą lekkość, jak powietrze w płucach, jak światło słońca po deszczu.

Czuje się świetnie jako ten, który wykorzystuje, a nie ten, który jest wykorzystywany.

Zwycięzca, a nie przegrany.

Czuje się naprawdę znakomicie. Wie, że nie powinien, ale tak się czuje.

Wchodzi do Roast i staje w kolejce, rozpaczliwie potrzebuje kawy.

Kilka ostatnich dni zmieniło się w rozmazaną plamę: wieczory ustępowały miejsca dziwnym porankom, a każda chwila pełna była gwałtownej przyjemności płynącej z pożądania, z wiedzy, że cokolwiek zobaczą, będzie dobre, wspaniałe, idealne.

To Henry jest idealny.

Nie zawsze chodzi o pierwotną siłę pożądania. Henry przyciąga ludzi, a oni krążą po jego orbicie z różnych powodów. Czasem chodzi o prostą żądzę, ale bywają również bardziej zniuansowane przypadki. Czasami to oczywista potrzeba, lecz innym razem nie potrafi odgadnąć, co widzą, kiedy na niego patrzą.

W tym wszystkim tylko jedno wydaje się naprawdę niepokojące: ich oczy. Mgła, która je zasnuwa, gęstniejąca do szronu, a nawet lodu. Stały

element, przypominający, że jego nowe życie nie jest normalne ani całkowicie prawdziwe.

Ale to wystarczy.

– Następny!

Podchodzi do lady, podnosi wzrok i widzi Vanessę.

– O, cześć! – mówi.

– Nie zadzwoniłeś.

W jej głosie nie pobrzmiewa jednak gniew ani irytacja. Jeśli już, wydaje się zbyt radosny, kuszący, ale to radość, za którą ukrywa się zakłopotanie. Powinien wiedzieć, sam używał tego tonu dziesiątki razy, by ukryć urazę.

– Przepraszam – mówi, rumieniąc się. – Nie wiedziałem, czy powinienem.

Vanessa uśmiecha się przebiegle.

– Ach, więc imię, nazwisko i numer były zbyt subtelne?

Henry śmieje się i wręcza jej swoją komórkę.

– Zadzwoń do siebie – mówi, a ona wbija swój numer i naciska „Połącz". – Proszę bardzo. – Henry odbiera telefon. – Teraz nie mam wymówki.

Kiedy to mówi, czuje się jak idiota, jak dzieciak recytujący tekst z filmu, ale Vanessa tylko się czerwieni, przygryza wargę, a on zastanawia się, co by było, gdyby powiedział jej właśnie teraz, w tej chwili, żeby z nim poszła; czy zdjęłaby fartuszek i przeskoczyła przez ladę… Ale nie próbuje tego, tylko obiecuje:

– Zadzwonię.

A ona odpowiada:

– Pamiętaj!

Henry uśmiecha się i rusza ku wyjściu. Jest niemal przy drzwiach, kiedy słyszy swoje nazwisko:

– Panie Strauss!

Czuje nagły ciężar w żołądku. Zna ten głos, przypomina sobie tweedową marynarkę i szpakowate włosy starszego mężczyzny, wyraz rozczarowania na jego twarzy, kiedy radził Henry'emu, by zmienił wydział i uczelnię, by odkrył swoją pasję, ponieważ tamten kierunek studiów najwyraźniej nią nie był.

Henry próbuje przywołać uśmiech na twarz, ale średnio mu się to udaje.

– Pan dziekan Melrose – mówi, zwracając twarz ku człowiekowi, który zepchnął go z drogi.

I rzeczywiście, to dziekan we własnej osobie i tweedach. Zamiast pogardy, do której przywykł Henry, starszy mężczyzna wydaje się zadowolony. Nad jego starannie przystrzyżoną siwą brodą pojawia się uśmiech.

– Cóż za szczęśliwy obrót spraw – mówi. – Właśnie myślałem o spotkaniu z panem.

Henry'emu trudno w to uwierzyć, dopóki nie zauważa bladego dymu przewijającego się przez oczy rozmówcy. Wie, że powinien zachować dobre maniery, tyle że ma ochotę powiedzieć dziekanowi, żeby się pierdolił, więc wybiera drogę pośrednią i pyta krótko:

– Dlaczego?

– Na wydziale teologii będziemy niedługo mieli wakat, myślę, że pan byłby idealnym kandydatem na to stanowisko.

Henry prawie parska śmiechem.

– Chyba pan żartuje.

– Ależ skąd!

– Nie skończyłem doktoratu. Oblał mnie pan.

Dziekan unosi palec.

– Nie oblałem.

Henry obrzuca go gniewnym spojrzeniem.

– Ale groził pan oblaniem, jeżeli nie odejdę.

– Wiem – przyznaje tamten, wyglądając na autentycznie skruszonego. – Myliłem się.

Dwa słowa, których dziekan z pewnością nigdy nie wypowiedział! Henry chciałby się nimi nacieszyć, ale nie potrafi.

– Nie – mówi zdecydowanie. – Miał pan rację. Nie pasowałem do wydziału, nie byłem tam szczęśliwy. I nie mam ochoty wracać.

To akurat kłamstwo. Tęskni za tamtejszą uporządkowaną strukturą, za ścieżką kariery, za celem, który miał w życiu. Może faktycznie tam nie pasował, ale do czego innego pasował lepiej?

– Proszę przyjść na rozmowę – nalega dziekan Melrose, wręczając mu wizytówkę. – Proszę dać mi szansę na zmianę zdania.

– Spóźniłeś się!

Bea czeka na schodkach przed antykwariatem.

– Przepraszam – mówi chłopak, otwierając drzwi. – To nadal nie jest biblioteka! – dodaje, kiedy dziewczyna kładzie pięciodolarówkę na ladzie i znika w sekcji ze sztuką. Mruczy wymijająco „mhm", a po chwili Henry słyszy, jak zdejmuje książki z półek.

Bea to jedyna osoba, która się nie zmieniła, jedyna, która traktuje go tak samo jak dawniej.

– Hej – odzywa się chłopak, idąc za nią alejką. – Zobacz, nie wyglądam inaczej?

– Nie – mówi, przeglądając zawartość półek.

– Bea, ale popatrz na mnie!

Odwraca się i mierzy go wzrokiem od stóp do głów.

– Czy nie wyglądasz inaczej… poza tą szminką na szyi?

Henry rumieni się i wyciera skórę.

– Tak – mówi. – Poza tym.

Dziewczyna wzrusza ramionami.

– W sumie to nie.

A przecież widzi to w jej oczach, wyraźne lśnienie, lekką, tęczową błonę, która wydaje się rozrastać, kiedy taksuje go wzrokiem.

– Naprawdę? Nic?

Bea wyciąga książkę z półki.

– Henry, czego ode mnie oczekujesz? – pyta, szukając następnej. – Wyglądasz jak… ty.

– A więc nie… – Nie wie, jak o to zapytać. – Nie pożądasz mnie?

Bea odwraca się i patrzy na niego przez dłuższą chwilę, a potem wybucha śmiechem.

– Przepraszam, kocie – mówi, kiedy już może złapać oddech. – Nie zrozum mnie źle, śliczny jesteś, ale ja wciąż jestem lesbijką.

W chwili, kiedy to mówi, Henry czuje się absurdalnie, a po chwili uczucie to zmienia się w ogromną ulgę.

– O co ci chodzi? – pyta Bea.

„Zawarłem umowę z diabłem i teraz za każdym razem, kiedy ktoś na mnie spojrzy, widzi tylko to, czego chce”. Kręci głową i mówi.

– Nic takiego. Nieważne.

– No cóż – rzuca dziewczyna, dodając do stosu kolejny album. – Myślę, że znalazłam nowy temat doktoratu.

Niesie książki do lady i rozkłada je na rachunkach i fakturach. Henry patrzy, jak przewraca strony kolejnych tomów, aż znajduje w każdym z nich to, czego szukała, a potem cofa się, żeby mógł zobaczyć, co znalazła.

Trzy portrety: każdy z nich przedstawia młodą kobietę, chociaż najwyraźniej pochodzą z różnych czasów i szkół malarskich.

– I co my tu mamy?

– Nazywam ją duchem z obrazu.

Pierwsza reprodukcja to szkic ołówkiem, z surowymi, niedokończonymi krawędziami. Widać na nim kobietę leżącą na brzuchu, owiniętą prześcieradłami. Włosy rozpościerają się wokół niej, a jej twarz to niewiele więcej niż kilka cieni z lekko zaznaczonymi piegami na policzkach. Tytuł szkicu zapisano po włosku.

Ho Portato le Stelle a Letto.

Pod spodem widnieje przekład:

Przyniosłem gwiazdy do łóżka.

Drugie dzieło pochodzi z Francji: to bardziej abstrakcyjny portret, cały w błękitach i zieleniach impresjonizmu. Kobieta siedzi na plaży, a obok niej na piasku leży książka. Modelka patrzy na artystę przez ramię, widać tylko kontur jej twarzy, a piegi wydają się ledwie muśnięciami światła, nieobecnością koloru.

Ten obraz zatytułowano La Sirène.

Syrena.

Ostatnie dzieło to płytka płaskorzeźba, sama sylwetka przebita światłem: w czereśniowej desce wydrążono tunele na wylot.

Konstelacja.

– Widzisz to? – pyta Bea.

– To portrety.

– Nie – zaprzecza. – To wizerunki tej samej kobiety.

Henry unosi brew.

– Mocno naciągana teza.

– Popatrz na kąt jej szczęki, linię nosa, a zwłaszcza piegi. Policz je.

Robi to. Na każdym z dzieł jest ich dokładnie siedem.

Bea wskazuje pierwszą i drugą reprodukcję.

– Włoski pochodzi z początku dziewiętnastego wieku. Francuski jest pięćdziesiąt lat późniejszy. Ale to tutaj – mówi, pukając palcem w zdjęcie rzeźby – to jest z lat sześćdziesiątych. Dwudziestego wieku!

– Więc może jedno z tych dzieł zainspirowało pozostałe? Czy nie było takiej tradycji… zapomniałem, jak to się nazywało, ale polegało to na czymś w rodzaju wizualnego głuchego telefonu? Jednemu artyście coś tam się podobało, a potem kolejnemu artyście podobała się twórczość tego pierwszego, więc ją naśladował, i tak dalej? Jak wzór?

Bea już macha odmownie rękę.

– Owszem, zdarzało się to w leksykonach i bestiariuszach, ale nie w formalnych szkołach i prądach. To tak, jakby dziewczynę z perłą namalowali Warhol oraz Degas, nie widząc nigdy dzieła Vermeera. A nawet jeżeli stałaby się wzorem, to ten „wzór” miałby wpływ na całe stulecia sztuki. Byłaby czymś w rodzaju tkanki łącznej pomiędzy epokami. A więc…

– A więc? – powtarza Henry.

– A więc kim była? – Oczy Bei świecą, trochę tak, jak oczy Robbiego po wyjątkowo udanym spektaklu albo wciągnięciu działki koki. Henry nie chce jej rozczarować, ale dziewczyna najwyraźniej czeka, żeby coś powiedział.

– Dobra – zaczyna chłopak delikatnie. – A co, jeżeli nie była nikim konkretnym? Nawet jeśli to wizerunki tej samej kobiety, to pierwszy artysta mógł ją po prostu zmyślić – wyjaśnia, a Bea już marszczy brwi, kręcąc głową. – Słuchaj, nikt bardziej niż ja nie chce, żebyś znalazła temat pracy, ze względu na ten antykwariat, jak i twoje zdrowie psychiczne. To wszystko brzmi kompletnie odlotowo, ale czy twoja ostatnia propozycja nie została odwalona jako zbyt dziwaczna?

– Ezoteryczna.

– No właśnie – przytakuje Henry. – A jeżeli temat Postmodernizm i jego wpływ na architekturę Nowego Jorku był zbyt „ezoteryczny”, to jak myślisz, jak zareaguje Parrish na to, o czym mi właśnie opowiedziałaś?

Wskazuje na otwarte tomy i piegowate twarze spoglądające z każdej strony.

Bea przez dłuższą chwilę patrzy w milczeniu najpierw na niego, a potem na książki.

– Kurwa! – krzyczy w końcu, chwytając jeden z wielkich albumów, i wybiega z antykwariatu.

Henry patrzy za nią i wzdycha.

– To nie biblioteka! – woła za nią, a potem odkłada pozostałe księgi na półki.

Nowy Jork
18 marca 2014

IX

Henry milknie, uświadamiając sobie nagle prawdę.

Zapomniał o tym, jak Bea próbowała znaleźć nowy temat, bo było to jedno drobne wydarzenie w ciągu roku obfitującego w o wiele bardziej znaczące wypadki, ale teraz wydaje mu się to oczywiste.

Dziewczyna uwieczniona na szkicu, na obrazie, w rzeźbie, opiera się na poręczy obok niego, z zachwyconym uśmiechem na twarzy.

Idą przez Chelsea po drodze do High Line, a on zatrzymuje się na środku chodnika, zdając sobie sprawę z prawdy przebłyskującej z tej historii jak łza, jak promień światła.

– To byłaś ty – mówi.

Addie uśmiecha się olśniewająco.

– Zgadza się.

Trąbi klakson samochodu, migający znak zastyga w ostrzeżeniu, a oni przebiegają na drugą stronę ulicy.

– Zabawna sprawa – mówi dziewczyna, kiedy wchodzą po żelaznych schodach. – Nie wiedziałam o tym drugim obrazie. Pamiętam, jak siedziałam na plaży, a wysoko na nabrzeżu mężczyzna pracował nad sztalugą, ale nigdy nie odnalazłam ukończonego dzieła.

Henry kręci głową z niedowierzaniem.

– Myślałem, że nie możesz pozostawić śladu.

– Nie mogę – przyznaje Addie, podnosząc wzrok. – Nie utrzymam w dłoni pióra, nie potrafię opowiedzieć swojej historii. Nie władam bronią ani nie zmuszę nikogo, żeby mnie zapamiętał. Ale sztuka… – dodaje z nikłym uśmiechem – …sztuka przekazuje idee. A idee są o wiele bardziej

szalone niż wspomnienia. Idee wydają się piąć w górę jak zielsko i zawsze znajdują sposób, żeby się przecisnąć.

– Ale nie można ci zrobić żadnego zdjęcia ani cię sfilmować?

Mina jej nieco rzednie.

– Nie – mówi prawie bezgłośnie, a Henry czuje wyrzuty sumienia, że zwrócił jej uwagę znowu na więzienne kraty klątwy, a nie na luki między nimi, jakie znalazła przez wieki. Potem jednak Addie się prostuje, unosi wysoko głowę i uśmiecha się niemal wyzywająco.

– Czy to nie cudowne? – pyta. – Stać się ideą?

Gdy docierają na High Line, ogarnia ich chłodny powiew. Powietrze wciąż jeszcze pachnie zimą, ale Addie, zamiast się osłonić przed chłodną bryzą, odwraca się w jej kierunku: policzki różowieją jej od chłodu, wiatr rozwiewa włosy i w tej chwili Henry dostrzega to, co widział każdy z artystów, co kazało im chwycić za ołówek lub pędzel; tę niesamowitą, nieuchwytną dziewczynę.

Mimo że Henry jest bezpieczny i stoi mocno na ziemi, czuje, że zaczyna spadać.

Nowy Jork
13 września 2013

X

Ludzie często dyskutują o domu.

„Tam dom twój, gdzie serce twoje”, mówią. „Nie ma jak w domu”. „Kiedy wyjeżdżasz z domu na dłużej, łapie cię nostalgia”.

„Nostalgia”. Henry wie, że powinno się ją odczuwać właśnie tak, jako pragnienie powrotu do domu, a nie jako tęsknotę za jego opuszczeniem. Co więcej, naprawdę kocha swoją rodzinę, tylko nie zawsze ich lubi, a dokładniej nie lubi tego, jak go traktują.

Tymczasem, proszę bardzo, właśnie jedzie od półtorej godziny na północ, miasto znika za jego plecami, a silnik wynajętego samochodu mruczy po swojemu. Henry wie, że powinien był pojechać pociągiem, to na pewno tańsze, ale lubi prowadzić auto. A dokładniej lubi biały szum podczas prowadzenia auta, konkretny cel podróży z punktu A do punktu B, wskazania nawigacji, kontrolę nad kierownicą. Najbardziej ze wszystkiego lubi zaś to, że kiedy prowadzi, nie może robić nic innego: dłonie na kierownicy, oczy na drodze, muzyka rycząca z głośników.

Zaproponował Muriel, że ją podwiezie, i w myślach odetchnął z ulgą, kiedy powiedziała, że kupiła już bilet na pociąg, a David przyjechał już rano i odbierze ją ze stacji, co oznaczało, że Henry dotrze do domu ostatni.

Tak się składa, że Henry zawsze przybywa do domu ostatni.

Im bliżej Newburgh, tym czarniejsze chmury zbierają się nad jego głową. Na horyzoncie odzywa się ostrzegawczy grzmot. Burza jest coraz bliżej. Oddycha głęboko, przygotowując się wewnętrznie na rodzinną kolację u Straussów.

Wyobraża to sobie: siedzą całą piątką przy stole nakrytym świeżym obrusem jak skrępowana aszkenazyjska rodzina na podróbce obrazu Rockwella lub na upozowanym zdjęciu, matka na jednym końcu, ojciec na drugim, a całe rodzeństwo obok siebie z boku.

David, filar rodziny, sztywny i z poważnym spojrzeniem.

Muriel, tornado, z burzą ciemnych loków, zawsze pełna energii.

I Henry, duch (nawet jego imię nie pasuje do pozostałych, wcale nie jest żydowskie, nadano mu je z szacunku wobec jednego z najstarszych przyjaciół ojca).

Przynajmniej wyglądają jak rodzina. Szybkie spojrzenie na zgromadzonych przy stole i wprawne oko rozróżni powtarzalne elementy: policzek, szczęka, linia brwi. David nosi okulary tak samo jak tato, na czubku nosa, więc wygląda, jakby górna część oprawek zasłaniała mu część pola widzenia. Muriel uśmiecha się tak jak mama, swobodnie i szczerze, śmieje się podobnie, z odrzuconą głową, głośno i radośnie.

Henry ma czarne kędziory po ojcu oraz szarozielone oczy matki, ale w tej kompozycji czegoś brak. Brakuje mu konsekwencji ojca i radości matki. Napięcie ramion, linia ust i inne subtelne znaki zawsze sprawiały, że wydawał się gościem w cudzym domu.

Tak właśnie upłynie kolacja: ojciec z bratem będą rozmawiali o medycynie, matka z siostrą – o sztuce, a Henry będzie z przerażeniem czekał, aż zaczną go wypytywać. Kiedy matka zacznie się głośno o niego martwić, ojciec znajdzie pretekst, by użyć słowa „zagubiony”, David przypomni mu, że ma prawie trzydzieści lat, a Muriel poradzi, żeby Henry się postarał, ale tak naprawdę. Tak jakby sama wyszła już na prostą, a przecież rodzice wciąż jeszcze płacą rachunki za jej telefon.

Henry zjeżdża z autostrady i czuje, jak w jego głowie wiatr zaczyna wiać coraz mocniej.

Przejeżdża przez centrum miasteczka i słyszy trzask gromu.

Napięcie rośnie niczym statyczny ładunek elektryczny.

Wie, że się spóźnił.

Zawsze się spóźnia.

Od tego właśnie zaczynały się rozmaite kłótnie w przeszłości. Swego czasu sądził, że to jego lekkomyślność, ale potem zdał sobie sprawę, że w ten dziwny sposób próbuje ochronić siebie, że podświadomie zwleka,

odsuwając w czasie nieuniknioną katastrofę, że wizytę w domu rodzinnym traktuje jako zło konieczne. Kiedy siada przy stole obok rodzeństwa, w obecności rodziców, czuje się jak zbrodniarz przed plutonem egzekucyjnym.

Henry jest spóźniony, a kiedy jego ojciec otwiera drzwi, chłopak przygotowuje się na wzmiankę o czasie, potępiające spojrzenie, ciętą uwagę na temat brata i siostry, którzy zawsze przybywają na miejsce pięć minut przed czasem…

Ale ojciec tylko się uśmiecha.

– No proszę, jesteś! – mówi, a jego oczy promieniują ciepłem i dobrocią.

Zasnuwa je dobrze znana mgła.

Może tym razem rodzinna kolacja u Straussów będzie wyglądać inaczej?

– Patrzcie, kto przyjechał! – woła ojciec, wprowadzając Henry'ego do gabinetu.

– Kopę lat – mówi David, ściskając mu dłoń. Mimo że bracia mieszkają w tym samym mieście, cholera, przy tej samej linii metra, ostatnio spotkali się właśnie tutaj, pierwszego chanukowego wieczoru.

– Henry! – Rozmazana plama ciemnych loków przemyka ku niemu, a potem Muriel zarzuca mu ramiona na szyję. Całuje go w policzek, zostawiając smugę koralowej szminki, którą Henry później zetrze przed lustrem w korytarzu.

Przechodzą z gabinetu do jadalni i nikt ani razu nie komentuje długości jego włosów (zawsze za długie), ani stanu jego swetra (wytarty, lecz również najwygodniejszy ze wszystkich).

Henry ani razu nie musi wysłuchiwać, że jest za chudy, że potrzebuje więcej słońca ani że wygląda na zmęczonego. Zwykle po takich wstępnych uwagach pojawiają się uszczypliwe komentarze, że prowadzenie księgarni w Brooklynie nie jest chyba takie trudne.

Matka wychodzi z kuchni, ściągając rękawice kuchenne, ujmuje jego twarz w dłonie, uśmiecha się i mówi mu, jaka jest szczęśliwa, że przyjechał.

A on jej wierzy.

Kiedy wreszcie siadają do stołu, jego ojciec wznosi toast:

– Za rodzinę! Znowu razem.

Henry czuje, jakby znalazł się w innej wersji własnego życia, nie w przeszłości ani w przyszłości, ale w rzeczywistości równoległej: siostra patrzy na niego z podziwem, brat nie spuszcza wzroku, rodzice są dumni, a krytyczne opinie znikają z otoczenia tak jak dym w kuchennym wyciągu. Nie zdawał sobie sprawy, w jakim stopniu rodzinne więzi łączyły się z poczuciem winy. Bez jej brzemienia czuje się lekko i radośnie.

Niemal euforycznie.

Nikt nie wspomina Tabithy ani odrzuconych zaręczyn, chociaż oczywiście informacja o ich zerwaniu dotarła i tutaj, co widać po pustym krześle pozostawionym przy stole. Nikt nawet nie próbuje udawać, że to rodzinna tradycja.

W zeszłym miesiącu, kiedy rozmawiał z Davidem o pierścionku, starszy brat zastanawiał się z roztargnieniem, czy Henry sądzi, że Tabitha się zgodzi. Muriel nigdy jej nie lubiła, ale Muriel nigdy nie lubiła żadnego z partnerów ani partnerek Henry'ego. Nie dlatego, że byli poza jego zasięgiem, chociaż o tym również wspominała, ale dlatego, że uważała ich za nudnych, bo rozszerzała na nich swoją opinię o bracie.

„TV kablowa", tak ich czasem nazywała. Rozmowa z nimi jest lepsza niż oglądanie schnącej farby, ale gdyby do wyboru była powtórka serialu… Jedynym, którego niemal zaakceptowała, był Robbie, a nawet wówczas Henry był przekonany, że liczyła na skandal, który by wybuchł, gdyby przedstawił partnera rodzicom. Tylko Muriel wie, że Robbie był kiedykolwiek kimś więcej niż tylko przyjacielem. To jedyna tajemnica, której potrafiła dotrzymać.

Kolacja przebiega niezwykle irytująco.

David promieniuje ciepłem i ciekawością.

Muriel wydaje się uważna i życzliwa.

Ojciec słucha jego każdego słowa z autentycznym zainteresowaniem.

Matka powtarza, jaka jest dumna.

– Z czego? – pyta Henry, autentycznie zdezorientowany, a ona wybucha śmiechem, jakby jego pytanie ją rozbawiło.

– Z ciebie!

A on odbiera brak krytycznych uwag jako coś rażącego, aż kręci mu się w głowie.

Opowiada im o niedawnym spotkaniu z dziekanem Melrose'em i czeka, aż David wytknie mu oczywisty brak kwalifikacji, aż ojciec zapyta, gdzie tkwi haczyk. Matka zamilknie, a siostra, wręcz przeciwnie, głośno zauważy, że porzucił kierunek z jakiegoś powodu, i zażąda, żeby wytłumaczył, po co to robił, skoro teraz chce tam wrócić.

Tymczasem nic podobnego się nie dzieje.

– Dobrze – mówi ojciec.

– Powinni się cieszyć, że mogą to zaproponować właśnie tobie! – mówi matka.

– Byłbyś dobrym nauczycielem – mówi David.

Tylko Muriel wydaje się wyłamywać z tego wzoru:

– Nigdy nie byłeś tam szczęśliwy…

Ale w jej słowach nie ma krytyki, tylko zaborcza opiekuńczość.

Po kolacji wszyscy wycofują się do swoich zajęć: matka do kuchni, ojciec i brat do gabinetu, a siostra – na zewnątrz, w noc, żeby popatrzeć na gwiazdy i poczuć, że stoi mocno na ziemi, co zwykle oznacza, że chce zapalić sobie trawkę.

Henry idzie do kuchni, żeby pomóc matce przy zmywaniu.

– Ja myję, ty wycierasz – oznajmia, wręczając mu ręcznik. Znajdują wspólny rytm, a potem matka odchrząkuje. – Przykro mi z powodu Tabithy – mówi cicho, tak jakby wiedziała, że to temat tabu. – Przykro mi, że zmarnowałeś z nią tyle czasu.

– Nie marnowałem czasu – protestuje Henry, chociaż teraz trochę tak czuje.

Matka spłukuje talerz.

– Chcę tylko twojego szczęścia. Zasługujesz na nie. – Jej oczy lśnią, a on nie może się zdecydować, czy to ten dziwny szron, czy też autentyczne matczyne łzy. – Jesteś silny, inteligentny i odnosisz sukcesy.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odpowiada Henry, wycierając talerz. – Wciąż czuję się rozczarowany swoim życiem.

– Nie mów tak! – mówi matka. Wygląda na autentycznie zranioną. Kładzie dłoń na jego policzku. – Kocham cię Henry, takim, jaki jesteś. – Opuszcza rękę. – Daj mi skończyć zmywanie – dodaje. – Idź, znajdź siostrę.

Henry dokładnie wie, gdzie jest jego siostra.

Wychodzi na tylny ganek i widzi Muriel siedzącą na huśtawce, palącą skręta i patrzącą w zamyśleniu na drzewa. Zawsze tak siada, jakby oczekiwała, że ktoś zrobi jej zdjęcie. Henry sfotografował ją raz czy dwa, ale zawsze wychodziła zbyt sztywno. Jeżeli ktoś z jego bliskich zawsze wychodzi na zdjęciu z zaskoczenia jak na upozowanej fotografii, to właśnie Muriel.

Deski trzeszczą lekko pod jego stopami, a ona uśmiecha się, nie podnosząc wzroku.

– Hej, Hen.

– Skąd wiedziałaś, że to ja? – pyta, siadając obok.

– Masz najlżejsze kroki – odpowiada, podając mu blanta.

Henry zaciąga się długo i łapczywie, zatrzymuje dym w płucach, aż czuje go w głowie. Miękkie, rozmazane brzęczenie. Przekazują sobie skręta, przyglądając się przez okno rodzicom. Rodzicom i Davidowi, który snuje się za ojcem, przyjmując dokładnie te same pozycje.

– Aż mam ciary – mruczy Muriel.

– Rzeczywiście, niepokojące.

Siostra chichocze.

– Dlaczego częściej się nie widujemy?

– Jesteś zarobiona – wyjaśnia Henry, ponieważ tak jest grzeczniej, niż gdyby jej przypomniał, że tak naprawdę wcale się nie przyjaźnią.

Opiera głowę na jego ramieniu.

– Dla ciebie zawsze znajdę czas.

Palą w milczeniu, aż ze skręta nie zostaje nic, a matka woła ich na deser. Henry wstaje, a w głowie przyjemnie mu się kręci.

– Miętówkę? – pyta Muriel, wyciągając w jego kierunku pudełko, ale kiedy Henry je otwiera, widzi małe, różowe pigułki. Parasolki. Przypomina mu się ulewny deszcz i kompletnie suchy nieznajomy, więc zamyka pudełko.

– Nie, dzięki.

Wracają do domu na deser i spędzają następną godzinę na rozmowie o wszystkim i niczym. Jest tak miło, tak straszliwie przyjemnie, do tego stopnia brakuje złośliwych uwag, małostkowych sprzeczek, pasywnej agresji, że Henry czuje się, jakby wciąż wstrzymywał oddech, czekając, aż nadejdzie haj; płuca go bolą, ale to ze szczęścia.

Wstaje, odstawiając kawę.

– Muszę już ruszać.

– A może zostaniesz? – proponuje mama i po raz pierwszy od dziesięciu lat Henry'ego kusi, by faktycznie zostać na noc. Zastanawia się, jak by to było, obudzić się w tym domu, pełnym rodzinnego ciepła i spokoju, ale prawdę mówiąc, wieczór był zbyt idealny. Czuje się tak, jakby lada moment miał przekroczyć granicę dzielącą dobry rausz od wieczoru spędzonego na podłodze łazienki, a nie chciałby, żeby cokolwiek naruszyło równowagę.

– Muszę wracać – wyjaśnia. – Otwieramy antykwariat codziennie o dziesiątej.

– Tak ciężko pracujesz – nie powiedziała nigdy jego matka, ale najwyraźniej mówi to teraz.

David chwyta go za ramię, patrzy na niego zamglonym litościwie wzrokiem i mówi:

– Kocham cię, Henry. Cieszę się, że tak świetnie dajesz sobie radę.

Muriel obejmuje go w pasie.

– Nie izoluj się tak od nas!

Ojciec odprowadza go do samochodu, ignoruje wyciągniętą dłoń i serdecznie ściska Henry'ego, mówiąc:

– Jestem z ciebie dumny, synu.

Coś w umyśle chłopaka chce zapytać dlaczego, sprowokować reakcję, sprawdzić granice zaklęcia, przycisnąć ojca tak, żeby pękł, ale nie może się do tego zmusić. Wie, że to nie jest prawda, nie w ścisłym sensie, ale wcale go to nie obchodzi.

Dobrze mu z tym.

Nowy Jork
18 marca 2014

XI

Śmiech spływa kaskadą z High Line.

Wybudowany na estakadzie nieczynnej linii kolejki park biegnie wzdłuż zachodniej krawędzi Manhattanu, od Dwunastej do Trzydziestej Ulicy. Zwykle to całkiem przyjemne miejsce, pełne zieleni, wózków ulicznych sprzedawców i krętych ścieżek biegnących przez tunele. Z otwartych części rozciąga się wspaniały widok na miasto.

Dzisiaj jednak wygląda kompletnie inaczej.

Artefakt pochłonął znaczny odcinek estakady i przekształcił go w pełen barw i świateł małpi gaj ze zwariowanego snu. Trójwymiarowy krajobraz pełen kapryśnych cudów.

Przy wejściu wolontariuszka daje im kolorowe opaski na nadgarstki, całą tęczę, a każdy kolor pozwala na wstęp do innej części wystawy.

– Ta zabierze was do Nieba – objaśnia, tak jakby dzieła sztuki były atrakcjami w lunaparku. – Z tą odwiedzicie Głos. Z tą wejdziecie do Pamięci.

Podczas tych wyjaśnień uśmiecha się do Henry'ego, a niebieskie oczy ma zamglone, ale kiedy wchodzą na wystawę, artyści odwracają się, żeby popatrzeć na Addie. Henry może być słońcem, lecz ona jest traktowana jak błyszcząca kometa, przyciągająca uwagę wszystkich.

W pobliżu jakiś facet kształtuje watę cukrową tak, jakby robił zabawki z baloników, a potem wręcza ludziom jadalne dzieła sztuki. Niektóre z nich mają rozpoznawalne kształty, proszę, oto pies, żyrafa czy smok, lecz inne są abstrakcyjne: zachód słońca, sen czy nostalgia.

Henry'emu wszystkie smakują tak samo – jak cukier.

Addie go całuje. Ona też smakuje jak cukier.

Oddają zieloną opaskę i wchodzą do Pamięci, która okazuje się czymś w rodzaju trójwymiarowego kalejdoskopu z kolorowego szkła, rzeźbą otaczającą ich ze wszystkich stron i obracającą się z każdym krokiem.

Trzymają się mocno za ręce, kiedy świat wokół nich zagina się, prostuje i znów zagina, ale kiedy wychodzą, oboje czują ulgę, że już się skończyło, chociaż żadne z nich nie mówi tego na głos.

Sztuka wlewa się również w przestrzeń między eksponatami: tu pole metalowych słoneczników, tam staw roztopionych kredek, a ówdzie zasłona z wody, cienka jak papier, pozostawiająca na jego okularach tylko lekką mgiełkę, a na skórze Addie – tęczowy blask.

Niebo, jak się okazuje, funkcjonuje w tunelu.

To stworzona przez artystkę operującą światłem seria połączonych pomieszczeń. Z zewnątrz wyglądają niepozornie, drewniane ramy osłaniające konstrukcję, niewiele więcej niż gwoździe i wkręty, ale w środku – w środku jest wszystko.

Idą, ściskając mocno swoje dłonie, żeby się nie zgubić. Jeden z pokojów jest oślepiająco jasny, a następny – tak ciemny, że cały świat pogrąża się w mroku. Addie dygocze, zaciskając palce na ramieniu Henry'ego. Kolejne pomieszczenie pełne jest bladej mgły, jak wnętrze chmury, a w sąsiednim ze wszystkich stron wznoszą się i opadają włókna cienkie jak deszcz. Chłopak przesuwa palcami przez połać srebrnych kropli, a one dźwięczą niczym dzwoneczki.

Ostatni pokój jest pełen gwiazd.

To czarna komora, identyczna z poprzednią, tyle że tym razem w ciemności widać tysiące światełek wielkości główki szpilki, układających się w Drogę Mleczną, w setki konstelacji leżących na wyciągnięcie ręki. Nawet w niemal całkowitej ciemności Henry dostrzega skierowaną ku górze i uśmiechniętą twarz Addie.

– Trzysta lat – szepcze dziewczyna – i ciągle jeszcze można odkryć coś nowego.

Kiedy wychodzą na drugą stronę, mrugając w popołudniowym słońcu, Addie ciągnie go od razu dalej, w kierunku wejścia do następnej części wystawy, kolejnych drzwi, pragnie zobaczyć, co się za nimi kryje.

Nowy Jork
19 września 2013

XII

Chociaż raz Henry zjawia się wcześniej.

Zdaje sobie sprawę, że to lepiej, niż gdyby się spóźnił, ale nie chce przyjść za wcześnie, ponieważ to jest jeszcze gorsze niż spóźnienie, jeszcze dziwniejsze i… musi przestać zadręczać się tymi myślami.

Przygładza koszulę, sprawdza fryzurę w błyszczącej karoserii zaparkowanego samochodu i wchodzi.

W taquerii jest jasno i gwarnie. To spore wybetonowane pomieszczenie, z przeszklonymi garażowymi bramami zamiast okien i food truckiem zaparkowanym w jednym z kątów. Okazuje się, że Vanessa już tam jest.

Zmieniła fartuszek baristki na legginsy i wzorzystą sukienkę. Blond włosy, które Henry widywał dotąd tylko starannie upięte, wiją się swobodnymi falami wokół jej twarzy, a kiedy go widzi, błyska olśniewającym uśmiechem.

– Cieszę się, że zadzwoniłeś – mówi.

Chłopak odwzajemnia uśmiech.

– Ja też.

Składają zamówienie na paskach papieru, pisząc małymi ołówkami, których Henry nie używał od czasów, kiedy grał w minigolfa w wieku dziesięciu lat. Ich palce stykają się, kiedy Vanessa wskazuje na tacosy, a on zapisuje ich nazwy. Dłonie trafiają na siebie znów, kiedy jedzą frytki, nogi ocierają się o siebie pod metalowym stołem, a Henry za każdym razem czuje się tak, jakby w jego piersi zapalało się światełko.

Chociaż raz nie musi zastanawiać się nad każdą odzywką, nie beszta się w myślach za każde posunięcie, nie przekonuje sam siebie, że musiał powiedzieć tak, a nie inaczej – nie musi szukać właściwych słów, jeśli wszystkie są właściwe. Nie musi kłamać, nie musi próbować, może być sobą, bo to na pewno wystarczy.

Jedzenie jest boskie, ale miejsce wydaje się hałaśliwe. Głosy odbijają się od wysokich sufitów, a Henry krzywi się, kiedy ktoś odsuwa ze zgrzytem krzesło.

– Przepraszam – mówi – wiem, że nie jest tu zbyt elegancko.

Wybrał to miejsce, mimo że wie, że prawdopodobnie powinni wpaść gdzieś na drinka, ale to Nowy Jork, gdzie drinki kosztują dwa razy tyle, co jedzenie, a on przy pensji sprzedawcy książek w antykwariacie ledwie może sobie pozwolić na tacosy.

– Człowieku – odpowiada dziewczyna, mieszając agua fresca. – Pracuję w kawiarni.

– Przynajmniej masz napiwki.

Vanessa udaje, że jest wstrząśnięta.

– Co? W antykwariacie nie dają napiwków?!

– Nie

– Nawet kiedy polecisz dobrą książkę?

Henry kręci głową.

– To zbrodnia – ocenia dziewczyna. – Powinieneś postawić przy kasie słój.

– I co miałbym na nim napisać? – Stuka palcami w stół. – „Książką nakarmisz głodny umysł, napiwkiem nakarmisz kota”?

Vanessa śmieje się raptownie i głośno.

– Zabawny jesteś!

– Naprawdę?

Pokazuje mu język.

– Polujesz na komplementy, co nie?

– Nie – mówi zdecydowanie chłopak. – Jestem ciekawy. Co we mnie widzisz?

Dziewczyna uśmiecha się, nagle nieśmiała.

– Jesteś... Wiem, że to trąci kiczem, ale jesteś dokładnie takim facetem, jakiego szukałam.

– Czyli jakim? – pyta.

Gdyby powiedziała „szczerym”, „wrażliwym” albo „troskliwym”, może by to kupił.

Ale Vanessa nie używa tych słów.

Zamiast nich wymienia „towarzyskiego”, „zabawnego” i „ambitnego”. Im dłużej o nim mówi, tym gęstszy szron rośnie na jej oczach, tym szerzej się rozpościera, aż Henry ledwie dostrzega kolor tęczówek pod jego warstwą i zastanawia się, jak dziewczyna może przez niego cokolwiek zobaczyć, bo przecież to niemożliwe, żeby cokolwiek widziała.

W tym właśnie rzecz.

Tydzień później siedzą w Merchancie we trójkę: Henry, Bea i Robbie, a przed nimi stoją trzy piwa i koszyk frytek.

– Jak tam Vanessa? – pyta Bea, a Robbie uparcie wpatruje się w swoje piwo.

– No świetnie – odpowiada Henry.

I tak właśnie im jest, świetnie. Jemu i jej. Im.

– Ostatnio sporo się z nią widujesz.

Chłopak unosi brwi.

– Przecież to właśnie ty mi powiedziałaś, żebym wybił sobie Tabithę z głowy.

Bea unosi dłonie w obronnym geście.

– Wiem, wiem.

– To nowy związek. Wiesz, jak to jest. To...

– Kserokopia – mamrocze Robbie.

Henry odwraca się ku niemu.

– A co to ma znaczyć? – pyta wkurzony. – Gadaj. Wiem, że uczyli cię, jak narzucać innym swoje wyobrażenia.

Robbie wygląda żałośnie. Pociąga spory łyk piwa i wyjaśnia:

– Mówię tylko, że to kserokopia Tabby. Blond chudzielec…

– I kobieta, tak? – Ta kwestia od dawna stanowi punkt zapalny w ich stosunkach: to, że Henry nie jest gejem, ale pociąga go najpierw czyjaś osoba, a dopiero potem płeć. Robbie krzywi się, ale nie przeprasza. – Poza wszystkim: nie poderwałem Vanessy. To ona wybrała mnie. Lubi mnie.

– A czy ty ją lubisz? – pyta Bea.

– Oczywiście – odpowiada, trochę za szybko. Lubi ją i oczywiście podoba mu się, że ona lubi jego (tego, którego widzi), a te dwie emocje mają część wspólną. Henry jest przekonany, że w tej części jest bezpieczny. Nie wykorzystuje jej, prawda? A przynajmniej to nie on jest powierzchowny: to ona go wykorzystuje, malując kogoś innego na płótnie swojego życia. A jeśli to wzajemność, to przecież nie jego wina… prawda?

– Chcemy tylko, żebyś był szczęśliwy – oznajmia Bea. – Ale po wszystkim, co ostatnio zaszło… nie szarżuj.

Chociaż raz to nie on powinien zwolnić.

Gdy obudził się tego ranka, w kuchni czekał już na niego talerz pankejków z kawałkami czekolady i szklanka soku pomarańczowego, a obok talerza – karteczka z narysowanym serduszkiem i podpisem „V". Vanessa spała u niego przez trzy ostatnie noce i za każdym razem coś zostawiała: bluzkę, parę butów i szczoteczkę do zębów w szklance nad umywalką.

Przyjaciele patrzą na niego, blada mgła wiruje w ich oczach, a on wie, że troszczą się o niego, że go kochają, że chcą dla niego jak najlepiej. Muszą, nie mają wyboru, dzięki temu, że zawarł umowę.

– Nie martwcie się – mówi i bierze łyk piwa. – Postaram się zwolnić tempa.

– Henry…

Jeszcze na wpół śpi, kiedy czuje, jak dziewczyna przesuwa pomalowany paznokieć w dół jego pleców.

Słaby szary brzask wlewa się przez okna.

– Hm? – pyta, obracając się na drugi bok.

Vanessa leży z głową na dłoni, blond włosy opadają na poduszkę, a on zastanawia się, jak długo czekała w tej pozycji, aż on się obudzi, zanim zdecydowała się wziąć sprawy we własne ręce.

– Muszę ci coś powiedzieć. – Patrzy na niego z oczami zamglonymi mlecznym światłem. Henry zaczyna się bać tego blasku, bladej mgły, która go prześladuje, którą widzi we wzroku znajomych i nieznajomych.

– O co chodzi? – pyta, unosząc się na łokciu. – Coś nie tak?

– Nie. Ja tylko… – uśmiecha się do niego – …kocham cię.

Najstraszniejsze jest to, że wydaje się w to wierzyć.

– Nie musisz mówić, że ty też. Wiem, że jeszcze wcześnie. Chciałam tylko, żebyś wiedział.

Muska go nosem.

– Jesteś pewna? – pyta Henry. – Rozumiesz, minął dopiero tydzień.

– I co z tego ? – odpowiada dziewczyna. – To się wie. A ja właśnie wiem.

Henry przełyka ślinę i całuje ją w skroń.

– Wezmę prysznic.

Stoi pod strumieniem gorącej wody tak długo, jak się da, zastanawiając się, co ma na to odpowiedzieć oraz czy i jak przekonać Vanessę, że to nie miłość, że to obsesja, co oczywiście również nie jest prawdą. Zawarł umowę. Zgodził się na warunki. Tego właśnie chciał.

Prawda?

Zakręca wodę, owija się ręcznikiem i w tym momencie czuje dym.

Nie zapach zapałki przy knocie świecy, czy też czegoś przypalającego się na kuchence, ale smród czegoś, co nie powinno się palić, a jednak płonie.

Wybiega na korytarz i widzi Vanessę w kuchni, przy blacie, z pudełkiem zapałek w dłoni, i tekturowe pudełko z rzeczami Tabithy płonące w zlewie.

– Co ty wyprawiasz?!

– Trzymasz się kurczowo przeszłości – odpowiada dziewczyna, zapalając kolejną zapałkę i wrzucając ją między pamiątki. – I to dosłownie. Przechowujesz to pudełko od dawna, od początku naszego związku.

– Jesteśmy razem dopiero tydzień! – krzyczy Henry, ale ona wie lepiej.

– Zasługujesz na kogoś lepszego. Zasługujesz na szczęście. Powinieneś żyć teraźniejszością. W ten sposób ci pomagam. To zamknięcie jakiegoś rozdziału w twoim życiu. To…

Wytrąca jej zapałki z dłoni i odpycha ją, sięgając do kranu.

Woda leje się na pudełko, z sykiem gasząc płomienie i posyłając w powietrze chmurę dymu.

– Vanessa – cedzi Henry przez zaciśnięte zęby. – Chciałbym, żebyś sobie poszła.

– To znaczy do domu?

– To znaczy poszła sobie.

– Henry – mówi, dotykając jego ramienia. – Co zrobiłam nie tak?

Mógłby w tej chwili wskazać na dymiące szczątki w zlewie lub uświadomić jej, że wszystko między nimi dzieje się o wiele za szybko, lub powiedzieć wprost, że kiedy na niego patrzy, widzi kogoś całkiem innego. Zamiast tego wszystkiego mówi tylko:

– To nie twoja wina. To ja.

– Nieprawda! – protestuje, a łzy spływają jej po policzkach.

– Potrzebuję trochę oddechu, tak?

– Przepraszam – łka teraz, lgnąc do niego. – Przepraszam. Kocham cię.

Ściska go ramionami w pasie, przytulając głowę do jego boku, a on przez sekundę myśli, czy będzie musiał fizycznie ją od siebie odepchnąć.

– Vanessa, puść.

Prowadzi ją delikatnie do wyjścia, a ona wydaje się zdruzgotana, niepocieszona. Wygląda tak, jak on się czuł tamtej nocy, kiedy zawarł umowę, a teraz serce mu pęka na myśl, że wyjdzie od niego, czując się taka zagubiona i samotna.

– Zależy mi na tobie – mówi, chwytając ją za ramiona. – Naprawdę.

Vanessa uśmiecha się nieśmiało przez łzy. Więdnąca roślina, którą podlano.

– Więc już się nie wściekasz?

Oczywiście, że płonie gniewem.

– Nie, już się nie wściekam.

Przytula głowę do jego piersi, a on głaszcze ją po włosach.

– Zależy ci na mnie.

– Tak, owszem. – Wyplątuje się z jej objęć. – Zadzwonię, obiecuję.

– Obiecujesz – powtarza Vanessa, kiedy Henry pomaga jej zbierać rzeczy.

– Obiecuję – potwierdza, odprowadzając ją korytarzem do wyjścia.

Zatrzaskują się między nimi drzwi, a Henry opiera się o nie bezsilnie – i w tym momencie uruchamia się w końcu alarm przeciwpożarowy.

Nowy Jork
23 października 2013

XIII

– Wieczór filmowy!

Robbie rozwala się na kanapie Henry'ego jak rozgwiazda, przewieszając długie nogi i ręce przez oparcie i podłokietniki. Bea przewraca oczami i przepycha go na bok.

– Posuń się!

Henry wyjmuje torbę z kuchenki mikrofalowej i przerzuca ją z ręki do ręki, żeby uniknąć poparzenia, po czym przesypuje popcorn do miski.

– Jaki film dzisiaj oglądamy? – pyta, wychodząc z kuchni.

– Lśnienie.

Henry jęczy przeciągle: nigdy nie był wielbicielem filmów grozy, ale Robbie lubi mieć powód do wrzasku i traktuje wspólne oglądanie jako coś w rodzaju występu, a w tym tygodniu to on wybiera tytuł.

– No ale Halloween! – broni swojego wyboru Robbie.

– Jest dopiero dwudziesty trzeci – poprawia go Henry. Jego przyjaciel traktuje święta tak samo jak urodziny, rozciągając je z dni na tygodnie, a czasem nawet na pory roku.

– Za co się przebieracie? – pyta Bea.

Przebieranki, myśli Henry, to jak oglądanie kreskówek, coś, co człowiek uwielbia jako dziecko, zanim przejdzie przez pustynię nastoletnich lęków, a potem zaraz po dwudziestce wkroczy w wiek ironii. A potem jakimś cudem wraca do nostalgicznego królestwa autentycznych przeżyć, miejsca zarezerwowanego dla cudów.

Robbie na kanapie przybiera stosowną pozę i mówi:

– Ziggy Stardust. – To ma sens. W ciągu ostatnich kilku lat wcielał się w rozmaite persony Bowiego: w zeszłym roku wystąpił jako Thin White Duke.

Bea ogłasza, że będzie Sędzią Dredem (to zamierzony dowcip), a Robbie podnosi ze stolika aparat Henry'ego, staroświeckiego nikona służącego obecnie jako przycisk do papieru. Odchyla głowę i patrzy na przyjaciela przez wizjer, do góry nogami.

– A ty za kogo się przebierasz?

Henry zawsze lubił Halloween – nie straszenie innych, ale pretekst do zmiany, do przebrania się za kogoś innego. Robbie twierdzi, że w takim razie powinien zostać aktorem, bo oni przebierają się przez cały rok, ale myśl o występowaniu na scenie powoduje u Henry'ego mdłości. Był już Freddiem Mercurym, Szalonym Kapelusznikiem, Tuxedo Mask i Jokerem.

Teraz jednak jest inaczej: czuje się już jak ktoś inny.

– Włożyłem już kostium – oznajmia, wskazując czarne dżinsy i dopasowaną koszulkę. – Potraficie rozpoznać, kim jestem?

– Peter Parker? – zgaduje Bea.

– Sprzedawca książek?

– Harry Potter przechodzący kryzys wieku lekko półśredniego?

Henry śmieje się i kręci głową.

Bea mruży oczy.

– Tak naprawdę to nie wybrałeś jeszcze przebrania?

– Nie – przyznaje. – Ale coś wybiorę.

Robbie wciąż manipuluje aparatem. Obraca go w dłoniach, zaciska usta i robi zdjęcie. Rozbrzmiewa suche kliknięcie, bo w środku nie ma kliszy. Bea wyciąga mu nikona z dłoni.

– Dlaczego nie wrócisz do fotografii? – pyta Henry'ego. – Jesteś w tym naprawdę dobry.

Henry wzrusza ramionami, niepewny, czy Bea rzeczywiście tak myśli.

– Może w innym życiu – oświadcza, wręczając wszystkim po piwie.

– Przecież mógłbyś – ciągnie dziewczyna. – Jeszcze nie jest za późno.

Być może, ale gdyby zaczął teraz, to czy zdjęcia obroniłyby się same? Czy oceniono by je jako dobre lub złe na podstawie rzeczywistych zalet? A może każde z nich również pozostawałoby pod wpływem zaklęcia? Czy

też każdy widziałby taki obraz, jaki chciałby widzieć, a nie taki, jaki rzeczywiście byłby na zdjęciu? Czy mógłby zaufać widzom?

Zaczyna się film, tymczasem Robbie upiera się przy zgaszeniu wszystkich świateł. Cała trójka siada na nieco przyciasnej kanapie. Zmuszają Robbiego, żeby odstawił miskę z popcornem na stół, tak żeby nie zrzucił jej z kolan, jak tylko na ekranie pojawi się coś strasznego, i żeby Henry nie musiał zbierać rozsypanego popcornu, a on przez następną godzinę odwraca oczy za każdym razem, kiedy muzyka wznosi się w ostrzegawczych akordach.

Gdy chłopczyk jedzie na trójkołowcu korytarzem, Bea mruczy:

– Nie, nie, nie… – Robbie pochyla się, zafascynowany strasznym widokiem, a Henry zasłania twarz ramieniem. Pojawiają się bliźniaczki trzymające się za ręce i Robbie łapie Henry'ego za nogę.

Kiedy przerażająca scena mija i film na chwilę traci tempo, dłoń Robbiego wciąż pozostaje na udzie przyjaciela. Henry czuje się tak, jakby ktoś poskładał z powrotem stłuczony kubek, a nierówne linie zniknęły, co oczywiście jest niepokojące.

Henry wstaje, podnosi pustą miskę po popcornie i rusza do kuchni.

Robbie przekłada nogę przez oparcie kanapy.

– Pomogę ci.

– To popcorn – rzuca przez ramię Henry, skręcając za róg. Rozdziera foliową torebkę i potrząsa zawartością. – Trzeba tylko wrzucić go do mikrofali i nacisnąć guzik.

– Zawsze nastawiasz za długi czas – protestuje Robbie, idąc za nim.

Henry wrzuca nową torbę do kuchenki i zamyka drzwiczki. Naciska „start" i odwraca się.

– A więc teraz jesteś popcornowym poli…

Nie ma szansy dokończyć, bo uniemożliwia mu to pocałunek Robbiego. Wciąga powietrze, zaskoczony nagłością całusa, ale przyjaciel nie przestaje. Przyciska go do blatu, biodra przy biodrach, gładząc palcami jego policzki i całując coraz mocniej.

To dużo, dużo lepsze niż wszystkie inne wieczory.

To lepsze niż zainteresowanie ze strony setki nieznajomych.

To jak różnica między łóżkiem w hotelu i we własnym domu.

Czuje na udzie erekcję Robbiego, a w piersi – gwałtowne, bolesne pożądanie. Tak łatwo byłoby cofnąć czas, wrócić do znanego ciepła pocałunków, jego ciała, prostej przyjemności prawdziwego związku.

Ale w tym właśnie problem.

Tamten związek był prawdziwy. To, co się między nimi działo, też. Niestety, jak wszystko w życiu Henry'ego, ten etap dobiegł końca. Nie udało się.

Przerywa pocałunek, kiedy pękają pierwsze ziarna popcornu.

– Czekałem na to całe tygodnie – szepcze Robbie z rumieńcem na twarzy i gorączkowo lśniącymi oczami. Widać w nich znajomą mgłę, zasnuwającą błękit tęczówek.

Henry wzdycha z drżeniem i przeciera oczy pod okularami.

Popcorn grzechocze i pęka, a on ciągnie Robbiego do korytarza, z dala od kanapy i strasznego filmu, a Robbie idzie za nim, sądząc, że to zaproszenie, ale Henry wyciąga dłoń, zatrzymując go.

– To pomyłka.

– Nie, skąd – protestuje Robbie. – Kocham cię. Zawsze cię kochałem.

Brzmi to tak szczerze, tak prawdziwie, że Henry musi zacisnąć oczy z całych sił, żeby się skupić.

– W takim razie dlaczego ze mną zerwałeś?

– Co? Nie wiem. Byłeś inny. Nie pasowaliśmy do siebie.

– Jak to? – drąży Henry.

– Nie wiedziałeś, czego chcesz.

– Chciałem ciebie. Chciałem, żebyś był szczęśliwy.

Robbie kręci głową.

– To nie może chodzić tylko o drugą osobę. Samemu też trzeba być kimś. Musisz wiedzieć, kim jesteś, a wtedy nie byłeś. – Uśmiecha się. – Ale teraz wiesz.

No i właśnie.

Henry tego nie wie.

Nie ma pojęcia, kim jest, a teraz nie wie tego również nikt inny.

Czuje się zagubiony, ale nie pójdzie tą drogą.

Byli z Robbiem przyjaciółmi, zanim stali się kimś więcej, potem znów stali się przyjaciółmi, kiedy to Robbie zakończył ich związek, a Henry wciąż był w nim zakochany. Teraz sytuacja się odwróciła, to Robbie musi się

odnaleźć i dać sobie radę bez Henry'ego, a przynajmniej znaleźć sposób, by zmienić „zadurzenie" w spokojniejszą „miłość", tak jak zrobił to wcześniej Henry.

– Hej, ile czasu zabiera zrobienie zwykłego popcornu?! – krzyczy Bea.

Z mikrofali dobiega smród przypalonej kukurydzy, a Henry przeciska się koło Robbiego do kuchni, naciska „stop" i wyciąga torbę z kuchenki.

Niestety jest już za późno.

Popcorn kompletnie się spalił.

Nowy Jork
14 listopada 2013

XIV

Dzięki Bogu, w Brooklynie jest mnóstwo kawiarni.

Henry nie odwiedzał Roast od Wielkiego Pożaru w 2013, jak Robbie (z nieco zbyt przesadną radością) nazywa incydent z Vanessą. Kiedy nadchodzi jego kolej, zamawia latte u bardzo miłego faceta o imieniu Patrick, który na szczęście jest hetero, więc kiedy patrzy zamglonymi oczami na Henry'ego, widzi tylko idealnego klienta, kogoś przyjaznego, życzliwego i…

– Henry?

Czuje nagły ciężar w żołądku, ponieważ zna ten głos, wysoki i słodki, słyszał wiele razy, jak przeciąga głoski, wymawiając jego imię, i znów jest tamten wieczór, a on przyklęka jak ostatni głupiec, a ona go odrzuca.

„Jesteś wspaniały. Naprawdę jesteś. Ale nie…"

Odwraca się i rzeczywiście, stoi przed nim…

– Tabitha.

Włosy ma trochę dłuższe, na czole blond grzywkę, na policzek opada jej niesforny lok. Stoi przed nim ze swobodą i gracją tancerki między figurami. Henry nie spotkał jej od tamtego wieczoru, zdołał jej unikać aż do teraz, unikać tego, co zaraz się zacznie. Wolałby się wycofać jak najdalej od niej, ale nogi odmawiają mu posłuszeństwa.

Tabitha posyła mu jasny, ciepły uśmiech. Pamięta, jak zakochał się w tym uśmiechu dawno temu, wtedy, kiedy jeszcze czuł się jak zwycięzca, za każdym razem, kiedy na niego zasłużył. Teraz dziewczyna po prostu się do niego uśmiecha, a jej piwne oczy zachodzą mgłą.

– Tęskniłam za tobą – odzywa się. – Bardzo tęskniłam.

– Ja też – przyznaje Henry i to prawda. Dwa lata spędzone razem, a potem nagle osobne życie. W jego umyśle na zawsze pozostała po niej pusta przestrzeń. – Miałem pudło z twoimi rzeczami, ale wybuchł pożar…

– O Boże! – Dotyka jego ramienia. – Wszystko w porządku? Czy nikt nie został ranny?

– Nie, nie. – Henry kręci głową, przypominając sobie Vanessę stojącą nad zlewem. – Sytuacja została… opanowana.

Tabitha pochyla się ku niemu.

– Och, to dobrze.

Z bliska pachnie bzem. Minął tydzień, zanim ta woń zniknęła z jego pościeli, a potem kolejny, zanim przestał ją czuć na poduszkach kanapy i ręcznikach. Dziewczyna jest tak blisko, że najłatwiej byłoby mu ją przytulić i poddać się tej samej niebezpiecznej sile, która przyciągnęła do niego Robbiego, znanemu pożądaniu kogoś ukochanego i utraconego, kto teraz powrócił.

Ale to nie jest prawdziwe uczucie.

Ani trochę prawdziwe.

– Tabitha – mówi, odpychając ją delikatnie. – Zakończyłaś przecież to, co było między nami.

– Nie. – Dziewczyna kręci głową. – Nie byłam gotowa na następny krok, ale nigdy nie chciałam niczego zakończyć. Kocham cię, Henry.

A on słabnie, ponieważ jej ufa, a przynajmniej ufa, że Tabitha wierzy w to, co mówi, co jest jeszcze gorsze, ponieważ wie, że to wszystko nie jest prawdą.

– Możemy spróbować jeszcze raz? – pyta dziewczyna.

Henry z wysiłkiem łyka ślinę i kręci głową.

Chciałby ją zapytać, co widzi, zrozumieć przepaść pomiędzy tym, kim był wcześniej, a tym, czego chce ona… ale nie zadaje pytania.

Ponieważ koniec końców nie ma to znaczenia.

Mgła zasłania jej oczy, a on wie, że Tabitha kogoś widzi… ale nie jego.

Nigdy go nie widziała.

I już nigdy nie zobaczy.

Dlatego pozwala jej odejść.

Nowy Jork
18 marca 2014

XV

Henry i Addie składają gumowe opaski w ofierze Artefaktowi, oddając po jednej za wstęp na każdą z części wystawy.

Za fioletową zostają wpuszczeni pomiędzy kałuże, płytkie baseny, które falują u ich stóp. Dno tych sadzawek wyłożono błyszczącymi lustrami, odbijającymi wszystko i wszystkich. Addie ogląda zmarszczki na wodzie, a fale powoli się wygładzają, i trudno powiedzieć, czy jej odbicie pojawia się o pół sekundy wcześniej niż odbicie Henry'ego.

Za żółtą opaskę wchodzą do wnętrza dźwiękoszczelnych sześcianów rozmiarów większej szafy. Część z nich wzmacnia dźwięk, podczas gdy inne zdają się pochłaniać najlżejszy szmer oddechu. To coś w rodzaju gabinetu luster, tyle że zagięte powierzchnie zniekształcają głos, a nie wizerunek.

W pierwszym sześcianie powinni „szeptać", a przynajmniej takie słowo wypisano na ścianie malutką, czarną czcionką, a kiedy Addie szepcze:

– Mam tajemnicę – słowa odbijają się i wracają, owijając się wokół nich pętlą.

W następnym rozkaz brzmi „KRZYCZ!". Tym razem litery zajmują całą wysokość ściany. Henry z początku nie potrafi się zdobyć na nic więcej niż krótki, zakłopotany okrzyk, ale Addie nabiera powietrza w płuca i ryczy, tak jakby ostrzegała kogoś pod wiaduktem, że nadjeżdża pociąg. Jej nieustraszony, swobodny krzyk uwalnia coś w umyśle Henry'ego, który nagle opróżnia płuca, wyrzucając z siebie gardłowy, urywany dźwięk, dziki wrzask.

Addie nie daje się przekrzyczeć, podnosi tylko głos i oboje drą się do utraty tchu, do ochrypnięcia, a potem wychodzą z sześcianu z zawrotami głowy i nagłą lekkością. Jutro będą go bolały płuca, ale warto było spróbować.

Kiedy wytaczają się na zewnątrz i znów słyszą miejski gwar, słońce już zachodzi, a chmury wyglądają, jakby płonęły. To jeden z tych przedziwnych wiosennych wieczorów, kiedy wszystko skąpane jest w pomarańczowym świetle.

Podchodzą do balustrady i patrzą na miasto, na odbicia światła od ścian budynków, smugi zachodzącego słońca w szkle i stali, a Henry przyciąga ją i całuje w zgięcie szyi, uśmiechając się pod nosem.

Cały jest podminowany po zjedzeniu sporej ilości cukru, do tego lekko wstawiony i szczęśliwy jak nigdy w życiu.

Addie jest lepsza niż jakakolwiek różowa parasolka.

Lepsza niż mocna whisky w chłodną noc.

Lepsza od wszystkiego, co w życiu czuł.

Kiedy Henry z nią jest, czas przyspiesza, ale go to nie przeraża.

Kiedy jest z Addie, czuje, że żyje, ale nic go nie boli.

Dziewczyna przytula się do niego tak jakby był parasolem, a ona kimś poszukującym schronienia. Henry wstrzymuje oddech, zupełnie jakby to miało utrzymać niebo nad ich głowami i zapobiec upływowi dni.

Jakby mogło powstrzymać to wszystko od runięcia.

Nowy Jork
9 grudnia 2013

XVI

Bea mawia, że powrót na kampus jest jak powrót do domu.

Henry jednak nie czuje się tak, jakby wracał do domu, choć przecież u rodziców również nie czuł się bezpiecznie. Zawsze towarzyszył mu strach, wymuszający ostrożność na każdym kroku, strach, że znów kogoś rozczaruje. Podobnie czuje się teraz, więc może mimo wszystko Bea ma rację.

– Panie Strauss – wita go dziekan, wyciągając rękę przez biurko – Tak się cieszę, że pan tu dotarł.

Ściskają dłonie i Henry siada na krześle naprzeciwko. Na tym samym miejscu siedział trzy lata wcześniej, kiedy dziekan Melrose groził oblaniem go, jeśli nie będzie miał dość rozsądku, by zrezygnować samemu. A teraz…

„Chcesz być dla nich wystarczająco dobry".

– Przepraszam, że tyle to trwało… – mówi, ale dziekan tylko macha dłonią.

– Na pewno jest pan zajętym człowiekiem.

– Prawda – przyznaje Henry, wiercąc się na krześle. Obciera go garnitur, który spędził zbyt wiele miesięcy między kulkami na mole w głębi szafy. Nie wie, co zrobić z rękami. – Powiedział pan – mówi z zakłopotaniem – że jest jakiś wakat na wydziale teologii, ale nie sprecyzował pan, czy chodzi o stanowisko adiunkta, czy asystenta.

– Chodzi o etatowego wykładowcę.

Henry gapi się na szpakowatego mężczyznę po drugiej stronie biurka i próbuje powstrzymać się od wybuchnięcia śmiechem. Etat wykładowcy

to rzecz tak pożądana, że ludzie mogliby za to zabić konkurenta. Niektórzy przez całe lata potrafią rywalizować o takie stanowisko.

– I pomyślał pan o mnie.

– W tej samej chwili, kiedy zobaczyłem cię w kawiarni – potwierdza dziekan z uśmiechem, który mógłby reklamować całą uczelnię.

A potem nachyla się nad biurkiem.

– Pytanie, panie Strauss, brzmi najprościej, jak się da: czego pan by dla siebie chciał?

Słowa odbijają się echem w jego głowie, straszne przez swoją symetrię.

To samo pytanie zadał mu Melrose pewnego jesiennego dnia, wezwawszy go do gabinetu po trzech latach studiów doktoranckich, a potem powiedział mu, że na tym koniec. Henry czuł przez skórę, że coś takiego go czeka. Przeniósł się już z seminarium teologicznego na studia o szerszym programie religioznawczym, odbiwszy się od tematów, które zbadały już setki ludzi, niezdolny do odnalezienia nowych lądów, niezdolny, by uwierzyć.

„Czego by pan dla siebie chciał?" – zapytał wówczas Melrose, a Henry rozważał odpowiedź: „Żeby rodzice byli ze mnie dumni", ale to nie brzmiało szczególnie przekonująco, więc powiedział to, co poza tamtym było najbliższe prawdy: że szczerze mówiąc, nie jest pewien. Że lata upływają mu jak z bicza trzasł i wszyscy zdążyli już okopać się na jakichś pozycjach, przetrzeć ścieżki, a on wciąż stoi na środku pola, niepewny, gdzie powinien zacząć kopać.

Dziekan wysłuchał go, oparł łokcie na biurku i powiedział, że w jego ocenie Henry jest dobry.

Ale „dobry" nie wystarczył.

Co oznaczało oczywiście, że nie był wystarczająco dobry.

„Czego by pan dla siebie chciał?" – pyta teraz dziekan, a Henry nie ma dla niego innej odpowiedzi niż wtedy.

– Nie wiem.

W tym miejscu można się spodziewać, że dziekan pokręci głową, zdając sobie sprawę, że Henry Strauss jest równie bezradny, jak wcześniej. Nie, oczywiście nie robi nic podobnego, uśmiecha się tylko i mówi:

– To świetnie. Cieszy mnie taka otwarta postawa. Ale na pewno chce pan do nas wrócić, prawda?

Henry milczy, zastanawiając się nad odpowiedzią.

Zawsze lubił się uczyć. Naprawdę, uwielbiał to. Gdyby mógł spędzić całe życie w sali wykładowej, robiąc notatki, przenosić się z wydziału na wydział, próbując rozmaitych kierunków studiów, nasiąkając językiem, historią i sztuką, może wreszcie poczułby się spełniony i szczęśliwy.

W taki właśnie sposób spędził pierwsze dwa lata.

Rzeczywiście był wtedy szczęśliwy. Miał Beę i Robbiego, a wymagano od niego tylko tego, żeby się uczył, zbudował sobie solidne podstawy. Problemy zaczęły się, kiedy zażądano, by na tym fundamencie wybudował dom.

To było tak… zobowiązujące.

Wybór kierunku oznaczał wybór dyscypliny naukowej, co oznaczało wybór całej kariery, co oznaczało w efekcie wybór dalszego życia… a jak ktokolwiek mógł sensownie wybrać, mając do dyspozycji tylko jedno życie?

Ale nauczanie innych mogłoby być furtką do takiej kariery, jakiej sobie życzył.

Nauczanie to dalszy ciąg uczenia się, sposób na pozostanie wiecznym studentem.

Mimo to...

– Nie jestem dość wykwalifikowany, proszę pana.

– Wybór ciebie na to stanowisko byłby niekonwencjonalny – przyznaje dziekan – ale to nie oznacza, że jesteś złym kandydatem.

Tyle że w tym przypadku taki wybór dokładnie to oznacza.

– Nie mam doktoratu.

Szron w oczach dziekana twardnieje w lodową powłokę.

– Co oznacza świeżą perspektywę.

– A wymagania?

– Owszem, istnieją, ale mamy pewien margines swobody i możemy brać pod uwagę rozmaite konteksty.

– Nie wierzę w Boga.

Te słowa staczają się niczym kamienna lawina, lądując ciężko na biurku pomiędzy nimi.

A kiedy Henry już je wypowiedział, zdaje sobie sprawę, że nie są do końca prawdą. Od dłuższego czasu nie wie, w co wierzy, ale trudno mu

całkowicie wykluczyć obecność siły wyższej, skoro ostatnio sprzedał duszę sile niższej.

Orientuje się, że w pokoju wciąż panuje milczenie.

Dziekan patrzy na niego przez dłuższą chwilę, a chłopak myśli, że to koniec. Teraz przegiął.

Potem jednak Melrose pochyla się i mówi powściągliwie:

– Ja też nie. – Odchyla się z powrotem i dodaje: – Panie Strauss, jesteśmy instytucją akademicką, a nie kościołem. Sprzeciw jest fundamentem nowych nurtów w nauce.

W tym cały problem. Nikt mu się nie sprzeciwia. Henry patrzy na dziekana i wyobraża sobie tę samą bezwarunkową, ślepą akceptację na twarzach wszystkich innych członków wydziału, każdego nauczyciela i studenta… i robi mu się niedobrze. Będą na niego patrzyli i widzieli dokładnie to, czego chcą, i tego, kogo chcą. A nawet jeżeli trafi na kogoś, kto chce się kłócić, kto czerpie przyjemność z konfliktu lub dyskusji, to sytuacja taka również nie będzie realna.

Żadna sytuacja na uczelni taka nie będzie.

Oczy dziekana, siedzącego za biurkiem, są teraz mlecznoszare.

– Może pan mieć, czegokolwiek pan sobie zażyczy, panie Strauss, być, kimkolwiek pan zechce. Chcielibyśmy pana u siebie – oznajmia, po czym wstaje i wyciąga dłoń. – Proszę o tym pomyśleć.

– Tak, pomyślę – odpowiada Henry.

I rzeczywiście, robi to.

Myśli o tym w drodze powrotnej przez kampus, a potem w metrze, z każdą stacją oddalając się od tamtego życia. Tego, które wiódł, i tego, którego nie zaznał. Myśli o tym, otwierając antykwariat, zdejmując źle dopasowaną marynarkę i rzucając ją na najbliższą półkę, rozluźniając krawat pod szyją. Myśli o tym, karmiąc kota, rozpakowując najnowsze pudło książek, ściskając je, aż bolą go palce, ale przynajmniej są materialne, realne. Czuje burzę narastającą w głowie, więc idzie na zaplecze, znajduje należącą do Meredith butelkę whisky, w której pozostało jeszcze trochę alkoholu po popijawie z dnia zawarcia umowy, i niesie tę butelkę do lady.

Nie ma jeszcze południa, ale Henry nie zwraca na to uwagi.

Wyciąga korek i napełnia filiżankę od kawy, kiedy do sklepu docierają pierwsi klienci, czeka, aż ktoś spojrzy na niego z dezaprobatą albo pokręci głową, wymamrocze coś nieżyczliwego czy nawet wyjdzie. Nic podobnego się nie dzieje, wszyscy grzecznie kupują książki, spoglądając z uśmiechem na Henry'ego, tak jakby nic, co robi, nie budziło w nich zastrzeżeń.

W końcu do Ostatniego Słowa wchodzi miejscowy gliniarz. Facet jest już po służbie, ale Henry nawet nie próbuje ukryć butelki za kasą. Patrzy wyzywająco na tamtego i bierze spory łyk z filiżanki, pewien, że łamie właśnie jakieś prawo, albo to o otwartych pojemnikach z alkoholem, albo to o publicznym pijaństwie.

Policjant tylko się uśmiecha i wznosi wyimaginowany kieliszek.

– Zdrówko – mówi do Henry'ego, a oczy zachodzą mu szronem.

Napij się za każdym razem, kiedy usłyszysz czyjeś kłamstwo.
Jesteś świetnym kucharzem
(mówią, kiedy przypalisz tosta).
Jesteś taki zabawny!
(Nigdy nie opowiedziałeś dowcipu).
Jesteś taki...
…przystojny.
…ambitny.
…skuteczny.
… silny.
(„Pijesz już?").
Jesteś taki...
…uroczy.
…inteligentny.
…seksowny.
(„Napij się").
Tak pewny siebie.
Tak nieśmiały.
Tak tajemniczy.
Tak szczery.
Jesteś wcieloną niemożliwością, paradoksem, zbiorem sprzeczności.
Jesteś dla każdego wszystkim.

Synem, którego nigdy nie mieli.
Przyjacielem, którego zawsze chcieli mieć.
Życzliwym nieznajomym.
Synem odnoszącym sukcesy.
Idealnym dżentelmenem.
Idealnym partnerem.
Idealnym…
Ideal…
(„Napij się”).
Uwielbiają twoje ciało.
Twój sześciopak na brzuchu.
Twój śmiech.
Twój zapach.
Brzmienie twojego głosu.
Pożądają cię.
(Nie ciebie).
Potrzebują cię.
(Nie ciebie).
Kochają cię.
(Nie ciebie).
Jesteś tym, kim chcą, żebyś był.
Jesteś kimś więcej, ponieważ nie jesteś prawdziwy.
Jesteś idealny, ponieważ nie istniejesz.
(Nie ty).
(Nigdy nie jesteś to prawdziwy ty).
Patrzą na ciebie i widzą tego, kogo chcą widzieć…
Ponieważ nie widzą ciebie.

Nowy Jork
31 grudnia 2013

XVII

Zegar odmierza czas – kolejne minuty do końca roku. Wszyscy mówią, żeby żyć teraźniejszością, chwytać chwilę, ale to raczej trudne zadanie, kiedy ta chwila upływa między setką ludzi upchniętych w mieszkaniu z kontrolowanym czynszem w Bedford-Stuyvesant, które Robbie wynajmuje wspólnie z dwójką innych aktorów. Henry został uwięziony w kącie korytarza, między wieszakiem na ubrania a szafą. W jednej dłoni ma piwo, a drugą trzyma koszulę faceta, który go całuje. Facet z pewnością jest poza zasięgiem Henry'ego, a raczej byłby, gdyby zasięg Henry'ego podlegał jeszcze ograniczeniom.

Henry przypuszcza, że tamten nazywa się Mark, ale w panującym tu hałasie nie dosłyszał imienia podczas prezentacji. Nie ma pewności: równie dobrze mógłby to być Max albo Malcolm. Chciałby również móc powiedzieć, że to pierwsza osoba, z którą się całuje tego wieczoru, a przynajmniej pierwszy facet, ale prawdę mówiąc, tego też nie jest pewien. Nie wie dokładnie, ile już wypił, ani czy to, czego smak czuje na języku, to cukier, czy coś zupełnie innego.

Wie tylko, że pił za dużo i za szybko, próbując zmyć wspomnienia, oraz że w Zamku jest zdecydowanie zbyt tłoczno.

Zamek – tak nazywają mieszkanie Robbiego, chociaż Henry nie pamięta dokładnie, kiedy zostało tak ochrzczone ani dlaczego. Szuka wzrokiem Bei. Widział ją ostatnio, kiedy przecisnął się przez tłum do kuchni, a ona siedziała tam na blacie, grając barmankę, dyrygując grupą kobiet i…

Nagle facet zaczyna manipulować przy pasku Henry'ego.

– Czekaj – mówi chłopak, ale muzyka jest tak głośna, że musi krzyczeć, i to prosto do ucha Marka/Maksa/Malcolma, co tamten odbiera jako zachętę do dalszych pocałunków. – Czekaj! – woła, odpychając go. – Czy ty w ogóle tego chcesz?

Co za głupie pytanie, a przynajmniej źle postawione.

Jasna mgła wiruje w oczach nieznajomego.

– Oczywiście, dlaczego nie? – pyta, klękając, lecz Henry łapie go za łokieć.

– Przestań, w tej chwili! – Ciągnie go do góry. – Co we mnie widzisz?

Pytanie, które zaczął zadawać każdemu, mając nadzieję, że w końcu usłyszy coś zbliżonego do prawdy. Facet patrzy jednak na niego z oczami zaciągniętymi szronem i wyrzuca z siebie szybko:

– Jesteś przepiękny, seksowny i inteligentny.

– Skąd wiesz?! – przekrzykuje muzykę Henry.

– Co?!

– Skąd wiesz, że jestem inteligentny? Prawie nie rozmawialiśmy!

Ale Mark/Max/Malcolm posyła mu tylko ociężały, leniwy uśmiech ustami zaczerwienionymi od pocałunków i mówi:

– Po prostu wiem! – Jednak to już nie wystarczy, to bardzo nie w porządku, więc Henry zaczyna się wyplątywać z objęć tamtego. W tej samej chwili zza rogu wyłania się Robbie i widzi, jak Mark/Max/Malcolm prawie kopuluje z Henrym. Robbie patrzy na przyjaciela, jakby ten chlusnął mu piwem w twarz, odwraca się i znika z pola widzenia.

Henry wydaje głośny jęk, a facet, który się o niego ociera, myśli, że to z rozkoszy, tymczasem robi się tak gorąco, że Henry nie może myśleć ani oddychać.

Pokój zaczyna wirować, więc mruczy, że musi się odlać, ale potem przemyka obok toalety prosto do pokoju Robbiego i zatrzaskuje za sobą drzwi. Podchodzi do okna, otwiera je i dostaje porcję mrozu prosto w twarz. Gramoli się na schody przeciwpożarowe, czując szczypiący chłód na policzkach.

Wciąga zimne powietrze, które pali go w płuca, musi pochylić się do okna, żeby je za sobą zatrzasnąć, ale kiedy szkło opada, świat nagle cichnie.

Nie zapada absolutna cisza, w Nowym Jorku to niemożliwe, a do tego sylwester posyła przez miasto fale hałasu, ale przynajmniej może oddychać, myśleć i zmyć z siebie wspomnienia tego wieczoru – i całego roku – we względnym spokoju.

Chce łyknąć piwa, ale butelka okazuje się pusta.

– Kurwa – mamrocze do siebie.

Powoli zaczyna zamarzać, bo jego płaszcz został pogrzebany pod stosem innych na łóżku Robbiego, a nie potrafi zmusić się do powrotu po piwo lub okrycie. Nie znosi fali odwracających się ku niemu głów, dymu wypełniającego ich oczy, nie chce ich uwagi. Dostrzega w tym oczywiście pewną ironię. W tej chwili oddałby wszystko za jedną z małych, różowych parasolek Muriel, ale właśnie mu się skończyły, więc opada na zimne, metalowe stopnie i wmawia sobie, że jest szczęśliwy, że właśnie tego chciał.

Stawia pustą butelkę koło doniczki, w której kiedyś rosło coś żywego, ale teraz doniczka zawiera tylko kupkę niedopałków.

Czasami Henry żałuje, że nie pali, bo miałby wymówkę za każdym razem, kiedy musi odetchnąć świeżym powietrzem.

Próbował papierosów raz czy drugi, ale nie mógł się przekonać do smolistego posmaku i nieświeżego zapachu, jakim przesiąkało ubranie. Miał w dzieciństwie ciotkę, która paliła, aż jej paznokcie pożółkły, a skóra popękała jak stary pasek, aż każde kaszlnięcie brzmiało tak, jakby w piersi grzechotała jej garść drobnych. Za każdym razem, kiedy się zaciągał, myślał o niej i czuł mdłości. Nie wiedział, czy to wspomnienie, czy też smak, ale wyraźnie czuł, że papierosy nie są tego warte.

Była też oczywiście trawka, ale trawka to coś, co powinno się palić w towarzystwie, a nie wymykać na bucha w samotności, a poza tym marihuana zawsze wywoływała u Henry'ego głód i smutek. To znaczy głębszy niż zwykle. Nie była w stanie wygładzić żadnych fałd na jego korze mózgowej, po tym, jak zbyt wiele ciosów sprawiło, że zakręciły się w spirale, w których myśli plątały się w nieskończoność.

Pamięta dość dobrze, jak upalił się na ostatnim roku. Leżeli razem z Beą i Robbiem o trzeciej w nocy na dziedzińcu kampusu Columbii, szybując na haju wysoko jak jaskółki i gapiąc się w niebo. Mimo że musieli mrużyć oczy, by dostrzec jakiekolwiek gwiazdy, i tak to, co widzieli, mogło być

złudzeniem optycznym, wywołanym przez wysiłek, by dostrzec coś na rozległym, czarnym nieboskłonie. Bea i Robbie gadali w kółko o tym, jak wielki i cudowny jest wszechświat oraz jakim spokojem przejmuje ich nikłość własnych rozmiarów wobec jego ogromu, a Henry nie mówił nic, bo wstrzymywał oddech, żeby nie wrzeszczeć.

– Co tam robisz, do cholery?!

Bea wychyla się z okna. Przekłada nogi za parapet i dołącza do niego na schodach, sycząc, gdy zimny metal parzy ją przez cienkie legginsy. Siedzą przez kilka minut w milczeniu, a Henry gapi się na pobliskie budynki. Nisko nad nimi wiszą chmury, rozjaśnione światłami z Times Square.

– Robbie się we mnie zakochał – komunikuje Henry.

– Robbie zawsze był w tobie zakochany – uściśla Bea.

– Ależ w tym rzecz – mówi chłopak, kręcąc głową. – Nie był zakochany w osobie, którą rzeczywiście byłem, ale w kimś, kim mógłbym być. Chciał, żebym się zmienił, a ja nie chciałem, no i…

– Dlaczego miałbyś się zmieniać? – pyta dziewczyna, odwracając się ku niemu, a na jej oczach osiada szron. – Tak jak teraz jest idealnie.

Henry przełyka ślinę.

– A jak jest teraz? Kim jestem?

Obawiał się tego pytania, obawiał się tego, co oznacza lśnienie jej oczu, tego, co widzi Bea, kiedy na niego patrzy. Już zaczyna żałować, że je zadał, lecz ona tylko się uśmiecha i odzywa się:

– Jesteś moim najlepszym przyjacielem, Henry.

Odpręża się trochę, ponieważ to prawdziwa odpowiedź.

Tak, to prawda.

Potem jednak Bea mówi dalej:

– Jesteś przemiły, wrażliwy i potrafisz słuchać.

Ta ostatnia część sprawia, że Henry’emu w gardle rośnie wielka gula, bo nigdy nie potrafił słuchać innych. Przestał już liczyć kłótnie, które wybuchały między nimi, ponieważ nie zwrócił uwagi na coś, co powiedziała.

– Zawsze jesteś przy mnie, kiedy cię potrzebuję – ciągnie, a jemu pęka serce, ponieważ wie, że nie zawsze. To kłamstwo jest inne od pozostałych: tu nie chodzi o wyrzeźbione mięśnie brzucha, szczękę jak wykutą z granitu czy głęboki głos, o urok, błyskotliwość, o syna, którego

rozmówca zawsze chciał mieć, czy brata, za którym tęskni, ani żadną z rzeczy, którą widzą inni ludzie, kiedy na niego patrzą, rzeczy pozostających całkowicie poza jego kontrolą. – Chciałabym, żebyś widział sam siebie tak, jak ja widzę ciebie.

Bea widzi dobrego przyjaciela.

A Henry nie może zaprzeczyć, że jest kimś takim.

Opiera głowę w dłoniach, naciska palcami oczy, dopóki nie pojawią się gwiazdy, i zastanawia się, czy może to naprawić, tylko tę jedną rzecz: czy potrafi zostać taką wersją Henry'ego, jaką widzi Bea; czy to sprawi, że szron z jej oczu zniknie i w końcu zobaczy go naprawdę.

– Przepraszam – szepcze przed siebie, w przestrzeń pomiędzy kolanami i piersią.

Czuje, jak dziewczyna gładzi go po głowie.

– Za co?

I co jej ma na to odpowiedzieć?

Lekko drżąc, wypuszcza powietrze z płuc i podnosi wzrok.

– Gdybyś mogła życzyć sobie czegokolwiek, co by to było?

– To zależy – mówi Bea. – A za jaką cenę?

– Skąd wiesz, że trzeba zapłacić jakąś cenę?

– To zawsze jest transakcja.

– Okej – decyduje Henry. – Gdybyś miała sprzedać duszę za jedną rzecz, co by to było?

Dziewczyna przygryza wargę.

– Szczęście.

– A czym ono jest? – drąży Henry. – Czy chodzi ci o to, żeby być szczęśliwą bez powodu? Czy też uszczęśliwiać innych ludzi? Czy chciałabyś być zadowolona ze swojej pracy, z życia, czy może…

Bea wybucha śmiechem.

– Zawsze wszystko komplikujesz, Henry. – Rozgląda się po schodach przeciwpożarowych. – Nie wiem, chyba chodziło mi o to, że chciałabym być zadowolona z siebie. Usatysfakcjonowana. A ty?

Myśli, żeby skłamać, ale w końcu tego nie robi.

– Chciałbym, żeby mnie kochano.

Bea patrzy na niego oczami pełnymi wirującego szronu, a potem, mimo zaklęcia, raptownie smutnieje.

– Nie możesz zmusić ludzi, żeby cię kochali, Hen. Jak nie będą mieli wyboru, to nie będzie prawdziwe uczucie.

Nagle zasycha mu w ustach.

Ona ma rację. Oczywiście, że ma rację.

A on, idiota, został uwięziony w świecie, gdzie wszystko jest kłamstwem.

Bea trąca go ramieniem.

– Wracajmy do środka – proponuje. – Znajdź kogoś, kogo będziesz mógł pocałować tuż przed północą. Na szczęście.

Podnosi się i stoi wyczekująco, ale Henry nie potrafi się zmusić do wstania.

– Okej – mówi. – Idź już.

Wie, że taką zawarł umowę, wie, że sam wygląda w jej oczach inaczej niż w rzeczywistości – a mimo to czuje wielką ulgę, kiedy dziewczyna siada z powrotem i opiera się o jego ramię. Najlepsza przyjaciółka, która zostaje z nim w ciemności. Wkrótce muzyka cichnie, natomiast ludzie rozmawiają coraz głośniej. Po chwili Henry rozróżnia, jak odliczają za ich plecami.

„Dziesięć! Dziewięć! Osiem!”

O rany.

„Siedem! Sześć! Pięć!”

Co on najlepszego narobił?

„Cztery! Trzy! Dwa!”

Wszystko dzieje się za szybko.

„Jeden!”

Wokół rozlegają się gwizdy i wiwaty, ludzie zaczynają sobie składać życzenia, a Bea przyciska wargi do jego ust – ciepłe dotyka zimnego. Rok mija ot tak, zegary zaczynają liczyć od nowa, trójkę w dacie zastępuje czwórka, a Henry już wie, że popełnił straszliwą pomyłkę.

Poprosił niewłaściwego boga o niewłaściwą rzecz i teraz jest wystarczająco dobry dla każdego, ponieważ jest nikim. Jest idealny, ponieważ w ogóle go nie ma.

– To będzie dobry rok. Czuję to w kościach! – wyrokuje Bea, wypuszczając kłęby pary z ust. – Kurwa, ale tu mróz! – Wstaje i rozciera ręce. – Wracajmy do środka.

– Idź przodem – mówi Henry. – Zaraz przyjdę.

Dziewczyna mu wierzy, jej kroki dźwięczą na schodach przeciwpożarowych, a potem wślizguje się przez okno, zostawiając je otwarte dla przyjaciela.

Henry dalej siedzi samotnie w ciemności, na mrozie, aż do chwili, gdy nie jest już w stanie wytrzymać.

Nowy Jork
Zima 2014

XVIII

Henry się poddaje.

Akceptuje ograniczenia swojej umowy, którą uważa od pewnego czasu za klątwę. Usiłuje być lepszym przyjacielem, lepszym bratem, lepszym synem, próbuje zapomnieć, co oznacza mgła w oczach rozmówców, próbuje udawać, że zachowują się autentycznie, że on sam jest prawdziwy.

Aż pewnego dnia spotyka dziewczynę.

Dziewczynę, która wchodzi do sklepu i kradnie książkę, a kiedy on łapie ją na schodach, a ona odwraca się, by na niego spojrzeć, w jej oczach nie ma mgły, szronu, błony ani lodowej skorupy. Normalne piwne oczy w trójkątnej twarzy z siedmioma piegami rozsianymi na jej policzkach niczym gwiazdy.

Henry sądzi, że to złudzenie optyczne, ale dziewczyna wraca następnego dnia, a on znów nie widzi w jej oczach mgły. Chodzi nie tylko o jej brak, ale także o to, co tam widać zamiast lśnienia.

Widać osobowość, solidną i autentyczną. Pierwsze przyciąganie czyjejś grawitacji, jakie poczuł od miesięcy.

Wszedł na inną orbitę.

A kiedy dziewczyna patrzy na niego, nie widzi ideału, dostrzega natomiast kogoś, kto za bardzo się przejmuje, kto czuje za dużo, kto błądzi, wychudzony i głodny, ograniczony przez swoją klątwę.

Widzi prawdę, a on nie wie, jak i dlaczego to możliwe, wie tylko, że nie chce, żeby to się skończyło.

Ponieważ po raz pierwszy od miesięcy, od lat, chyba pierwszy raz w życiu Henry nie czuje się przeklęty.

Po raz pierwszy czuje, że ktoś go dostrzega.

Nowy Jork
18 marca 2014

XIX

Została im ostatnia część wystawy.

Światło dnia rzednie, gdy Henry i Addie oddają niebieskie gumowe opaski i wchodzą do pomieszczeń zbudowanych wyłącznie z pleksiglasu. Przezroczyste ściany wznoszą się w rzędach, przypominając mu rzędy półek w bibliotece albo w jego antykwariacie, ale na wystawie nie ma książek, tylko napis, zamontowany wysoko nad ich głowami, głoszący:

„TO TY TWORZYSZ SZTUKĘ".

W każdym rzędzie stoją miski z jaskrawą farbą i – jak można się spodziewać – ściany są pokryte znakami. Podpisami i krótkimi tekstami, odciskami dłoni i wzorami.

Niektóre z nich biegną przez całą długość ściany, a inne są malutkie i kryją się w zakamarkach większych napisów. Addie macza palec w zielonej farbie i przykłada go do muru. Rysuje spiralę, pojedynczy, rozszerzający się znak, ale w chwili, gdy zaczyna czwartą pętlę, pierwsza zaczyna znikać, niczym żwir wpadający w głęboką wodę.

To beznadziejna sprawa. Po chwili po spirali nie ma śladu.

Addie nie daje po sobie poznać rozczarowania, ale Henry widzi przelotny grymas smutku, znikający szybciej niż znak na ścianie.

Chce zapytać: „Jak to wytrzymujesz?", ale zamiast tego macza dłoń w zielonej farbie i wyciąga ją ponad ramieniem dziewczyny, ale niczego nie rysuje, tylko czeka z ręką nad pleksiglasem.

– Połóż dłoń na mojej – proponuje, a ona waha się zaledwie chwilkę, a potem przyciska palce do jego ręki. – Proszę, teraz możemy rysować – oznajmia Henry.

Addie obejmuje jego dłoń mocniej, przykłada jego palec wskazujący do przeźroczystej tafli i przesuwa go, pozostawiając pojedyncza zieloną linię. Wstrzymuje oddech, a Henry czuje, jak cała sztywnieje, czekając, aż znak zniknie.

Tymczasem kreska nie znika.

Pozostaje na ścianie, doskonale widoczna, w neonowym odcieniu zieleni.

Wówczas coś w Addie pęka.

Kreśli drugą linię, potem trzecią, wybucha zdławionym śmiechem, a potem z dłonią na dłoni Henry'ego, dotykającej pleksi, zaczyna rysować. Po raz pierwszy od trzystu lat rysuje ptaki, drzewa, potem ogród, warsztat, miasto, parę oczu. Przelewa na ścianę obrazy szerokim strumieniem, za pośrednictwem jego dłoni, w oszalałym pośpiechu. Śmieje się przy tym i jednocześnie płacze, łzy spływają jej po policzkach, a on chciałby je wytrzeć, ale jego dłonie są w tej chwili jej dłońmi, a Addie rysuje.

Potem zaś macza jego palec w farbie, przykłada go do przejrzystej ściany i tym razem niepewnie pisze po jednej literze.

Jej nazwisko.

Pozostaje tam pomiędzy wieloma innymi rysunkami i napisami.

Addie LaRue.

Dziesięć liter, dwa słowa. Henry myśli, że ten podpis nie różni się od setek innych znaków, pozostawionych przez gości Artefaktu… ale jednak jest inny. On to wie.

Jej dłoń odrywa się od jego palców. Teraz sięga sama, przesuwa palcami po literach i na chwilę rozmazuje swój podpis w smugi zieleni na pleksiglasie, ale kiedy opuszcza dłoń, litery znów tam są, nietknięte, niezmienione.

Wtedy coś się w niej przełamuje. Przez jej umysł przetacza się zmiana, tak jak burze w głowie Henry'ego, ale inna, nie mroczna, lecz przeszywająca, oszałamiająca, nagła i ostra.

Chwyta go za rękę, wyciąga z pleksiglasowego labiryntu, spośród ludzi leżących pod bezgwiezdnym niebem, z dala od święta sztuki, z Manhattanu, aż Henry zdaje sobie sprawę, że dziewczyna nie odciąga go od czegoś, ale ciągnie ku czemuś.

Ku promowi.

Do metra.

Na Brooklyn.

Do domu.

Przez cały czas kurczowo trzyma jego dłoń, ich splecione palce ciągle jeszcze są brudne od zielonej farby. Wbiegają po schodach, Henry otwiera drzwi, a potem puszcza Addie, która przebiega koło niego przez mieszkanie. Odnajduje ją w sypialni: dziewczyna wyciąga z półki niebieski notes i chwyta ze stolika długopis. Wciska mu obie te rzeczy w dłonie, a on siada na brzegu łóżka i otwiera okładkę notesu, jednego z tuzina notatników, których nigdy nie używał. Zdyszana Addie klęka koło niego na łóżku.

– Zrób to jeszcze raz.

Henry unosi długopis ku pustej stronie i kreśli jej imię zwartym, starannym charakterem pisma.

„Addie LaRue”.

Nazwisko nie rozpuszcza się, nie znika, pozostaje na papierze, na samym środku strony. Henry podnosi na nią wzrok, czekając, aż zacznie dyktować, a ona spogląda przez niego, na wylot, szukając słów.

W końcu odchrząkuje.

– Tak to się zaczęło – mówi.

A on zapisuje każde jej słowo.

CZĘŚĆ PIĄTA

CIEŃ, KTÓRY SIĘ UŚMIECHAŁ, I DZIEWCZYNA, KTÓRA ODWZAJEMNIŁA TEN UŚMIECH

Tytuł dzieła: Ho Portato le Stelle a Letto

Autor: Matteo Renatti

Data: ok. 1806–1808

Technika: ołówek na pergaminie, szkic 20 x 35 cm

Własność: Galerie dell'Accademia

Opis: Wizerunek kobiety z liniami ciała zaznaczonymi przez owijające ją prześcieradła. Jej twarz to niewiele więcej ponad kilka cieniowanych kresek, okolonych włosami w nieładzie, ale artysta zaznaczył pewną charakterystyczną cechę: siedem małych piegów na policzkach.

Kontekst: Rysunek ten, odnaleziony w notatniku Renattiego z lat 1806–1808, jest uważany przez niektórych za inspirację do jego późniejszego majstersztyku, obrazu Muza. Mimo że poza modelki i technika w obu dziełach są różne, liczba i rozmieszczenie piegów są podejrzanie podobne, co dało wielu krytykom asumpt do spekulacji na temat znaczenia tej osoby dla twórczości Renattiego.

Przybliżona wartość: 267 000 dolarów

Villon-sur-Sarthe
29 lipca 1764

I

Addie dociera do kościoła.

Budynek stoi w pobliżu centrum Villon, przysadzisty, szary i niezmienny, a połać ziemi przy nim odgradza od reszty miasteczka niski kamienny mur.

Odnalezienie grobu ojca nie zajmuje jej zbyt wiele czasu.

„Jean LaRue".

Nagrobek ojca jest oszczędny: imię, nazwisko, daty i werset z Biblii: „Każdy, kto wezwie imienia Pańskiego, będzie zbawiony". Ani słowa o tym, kim był, nic na temat jego sztuki czy choćby życzliwości wobec innych.

Życie zredukowane do kamiennego bloku i skrawka trawy.

Po drodze Addie zebrała bukiecik polnych kwiatków rosnących przy ścieżce, zielska o białych i żółtych pączkach. Klęka, by położyć je na ziemi, i w tej chwili dostrzega daty pod nazwiskiem ojca.

1670–1714.

Rok, w którym opuściła miasteczko.

Przeszukuje pamięć, próbując sobie przypomnieć jakiekolwiek oznaki choroby: kaszel, który czaiłby się w jego piersi? Cień słabości, widoczny w dłoniach? Wspomnienia z jej drugiego życia zachowały się idealnie, niczym owady w bursztynie, ale te sprzed zawarcia umowy, kiedy nazywała się jeszcze Adeline LaRue i ugniatała ciasto na stolnicy obok matki, obserwowała, jak ojciec rzeźbi twarze w drewnianych klockach, czy brodziła wraz z Estele po płyciznach Sarthe – powoli znikają. Dwadzieścia

trzy lata, przeżyte przed spotkaniem w lesie, przed umową, ograniczają się do ogólnych, niejasnych wrażeń.

Później Addie będzie w stanie przywołać z pamięci najdrobniejsze szczegóły z niemal trzystu lat życia, każdą chwilę i każdy dzień, doskonale zapisane w pamięci.

Tymczasem już przestaje pamiętać, jak brzmiał śmiech jej ojca.

Nie potrafi przypomnieć sobie dokładnie koloru oczu matki.

Ani szczegółów twarzy Estele.

Przez następne lata podczas bezsennych nocy będzie leżała i opowiadała sobie historie o dziewczynce, którą była przedtem, w nadziei, że zatrzyma wszystkie ulotne detale, ale będzie to miało odwrotny efekt: wspomnienia staną się jak talizmany dotykane zbyt często, jak używane monety z czyimś wizerunkiem, wygładzone srebrne krążki z niewyraźnymi zarysami postaci.

Co do choroby ojca, to musiał na nią zapaść w zimie, na przełomie lat, a Addie po raz pierwszy cieszy się z zapomnienia zsyłanego przez jej klątwę, z tego, że w ogóle zawarła umowę – nie ze względu na nią, ale na jej matkę. Dzięki temu Marthe LaRue musiała opłakiwać tylko jedną stratę, nie dwie.

Jeana pochowano wśród innych członków ich rodziny: siostry, zmarłej w wieku dwóch lat, oraz dziadków, którzy odeszli, zanim Addie skończyła dziesięć. Rząd dalej leżą ich rodzice i rodzeństwo, niezamężne lub bezżenne. Miejsce obok Jeana czeka na jego żonę.

Oczywiście nie ma tu miejsca dla Adeline LaRue, ale to właśnie ta linia grobów, wyglądająca trochę jak oś czasu, rozciągająca się z przeszłości w przyszłość, doprowadziła ją tamtego wieczoru do lasu: obawa przed takim życiem, prowadzącym do takiego samego skrawka trawy.

Spoglądając na grób ojca, Addie czuje brzemię smutku, ostateczności, brzemię wiecznego spoczynku. Żal pojawił się i minął: straciła tego mężczyznę pięćdziesiąt lat wcześniej, odbyła żałobę i chociaż nadal odczuwa ból, to jest on raczej stłumiony, stępiony, tak jak rana, która już się zabliźniła.

Kładzie kwiaty na mogile i wstaje. Wchodzi głębiej między kwatery, z każdym krokiem cofając się w czasie, aż nie nazywa się już Addie, tylko Adeline, nie jest już duchem, tylko śmiertelniczką z krwi i kości. Wciąż

zakorzenioną w tym miejscu, mimo że korzenie bolą ją niczym kończyny fantomowe.

Przygląda się nazwiskom na nagrobkach. Zna je wszystkie, każde z nich, ale różnica polega na tym, że kiedyś ich właściciele znali również ją.

Oto Roger, leżący obok swojej pierwszej i jedynej żony, Pauline.

Oto Isabelle i jej najmłodsza córka Sara, pochowane w tym samym roku.

A tu, niemal w sercu cmentarza, nazwisko, które znaczy dla niej najwięcej. Jego właścicielka tyle razy trzymała ją za rękę i pokazywała, że życie polega na czymś więcej.

„Estele Magritte", widnieje na płycie. „1642–1719".

Daty wyrzeźbiono nad prostym znakiem krzyża. Addie niemal słyszy staruszkę syczącą przez zęby na samą myśl o tym symbolu.

Estele pochowana w cieniu domu boga, którego nie czciła.

Estele, która mawiała, że dusza to tylko ziarno zwracane do ziemi… która chciała, by nad jej kośćmi wyrosło drzewo. Powinni ją pochować na skraju lasu albo pomiędzy warzywami w ogródku, a przynajmniej w rogu cmentarza, gdzie ponad murem zwisały gałęzie starego cisu, ocieniające groby.

Addie idzie do małej szopy na skraju cmentarza, znajduje między narzędziami rydel i udaje się do lasu.

Jest środek lata, ale powietrze pod koronami drzew jest chłodne. Środek dnia, a mimo to w liściach da się wyczuć woń nocy, aromat tego miejsca, tak wszechobecny i zarazem tak specyficzny. Z każdym oddechem dziewczyna czuje na języku smak ziemi i przypomina jej się zrozpaczona Adeline, wbijająca w nią dłonie podczas modlitwy.

Teraz zagłębia w nią rydel zamiast rąk i wydobywa ze ściółki sadzonkę, delikatną roślinkę, którą mogłaby wyrwać następna silna burza. Niesie ją z powrotem na cmentarz, hołubiąc w ramionach niczym noworodka, a jeżeli ktokolwiek uzna to za dziwne, zapomni o tym widoku na długo, zanim będzie mógł komukolwiek powiedzieć. A jeżeli zauważą drzewo rosnące na grobie starej kobiety, zapewne zatrzymają się i pomyślą o starszych bóstwach.

Kiedy Addie zostawia za sobą kościół, dzwony zaczynają bić, wzywając mieszkańców na mszę.

Idzie drogą, kiedy wylewają się z domów ludzie, dzieci trzymają się matek, mężczyźni i kobiety obok siebie. Niektóre twarze są dla niej nowe, inne zna.

Oto Georges Caron i najstarsza córka Rogera, a dalej dwóch synów Isabelle. Kiedy Addie pojawi się tu następnym razem, wszyscy będą martwi. Ostatni świadkowie jej poprzedniego, pierwszego życia zostaną pochowani na tym samym cmentarzyku.

Opuszczona chata stoi na skraju lasu.

Niski płot dawno się zapadł, a ogródek Estele zarósł chwastami, dom zaś powoli chyli się ku upadkowi pod ciężarem wieku, kompletnie zaniedbany. Drzwi są zamknięte na głucho, ale okiennice zwisają na wyłamanych zawiasach, odsłaniając szybę jedynego okna, popękaną niczym żyłki zmęczonego oka.

Kiedy Addie przyjedzie tu znowu, szkielet domu zniknie już pod zielenią, a następnym razem las pochłonie go całkiem.

Dzisiaj jednak wciąż stoi, a ona podchodzi zarośniętą ścieżką ze skradzioną latarnią w dłoni. Nadal spodziewa się, że staruszka wyjdzie z lasu, niosąc w pomarszczonych ramionach świeżo ścięte zioła, ale słychać tylko głosy srok w gałęziach drzew i chrzęst jej kroków.

Wnętrze chaty jest puste i wilgotne: ciemna przestrzeń pełna śmieci, glinianych odłamków stłuczonego kubka i resztek stołu. Zniknęły gdzieś misy, w których staruszka mieszała balsamy, i laska, której używała podczas deszczowej pogody, pęki ziół, zwisające kiedyś z krokwi, a także żelazny saganek z paleniska.

Addie jest przekonana, że rzeczy Estele zostały po jej śmierci rozkradzione przez mieszkańców miasteczka, podobnie jak jej życie, uznane za własność publiczną, ponieważ nie wyszła za mąż. Villon ogłosiło się jej prawnym opiekunem, ponieważ Estele nie miała dzieci.

Dziewczyna idzie do ogródka i zbiera to, co się da, z zaniedbanych grządek, wnosi pęczek przywiędłych marchewek i fasolki szparagowej do środka i układa na stole. Otwiera szeroko okiennice i staje twarzą w twarz z lasem.

Drzewa stoją ciemnym rzędem, drapiąc niebo poplątanymi gałęziami. Ich korzenie wysuwają się, wpełzając do ogródka i na trawnik, powoli

i cierpliwie.

Słońce już zachodzi i mimo że jest lato, wilgoć dostaje się do środka przez dziury w krytym strzechą dachu, pomiędzy kamieniami i pod drzwiami, podobnie jak chłód.

Addie niesie skradzioną latarnię do kominka. Poprzedni miesiąc upłynął pod znakiem deszczu i drewno na palenisku jest wilgotne, lecz ona czeka cierpliwie, rozniecając płomyk z latarni, dopóki podpałka nie zacznie się tlić.

Minęło pięćdziesiąt lat, a Addie wciąż poznaje ograniczenia swojej klątwy.

Nie może stworzyć rzeczy, ale może jej użyć.

Nie może popsuć rzeczy, ale może ją ukraść.

Nie może rozniecić ognia, ale może go podsycać.

Nie wie, czy to litość, czy luka, jedno z niewielu pęknięć, jakie znalazła w więziennych murach swojego nowego życia. Być może Luc tego nie zauważył… a może specjalnie zostawił taką możliwość, żeby ją sprowokować, żeby miała nadzieję, że coś da się zmienić.

Addie wyciąga płonącą gałąź z kominka i przykłada ją leniwie do wytartego dywanu. Jest dość suchy, by zająć się ogniem i spłonąć, ale tak się nie dzieje. Płomień migocze i gaśnie zbyt szybko, tuż obok kominka.

Siedzi na podłodze, nucąc cicho i dorzucając patyk za patykiem do żaru, dopóki nie przepędzi chłodu z wnętrza chaty, tak jak podmuch rozpraszający chmurę kurzu.

Czuje jego obecność niczym przeciąg.

Nie puka do drzwi.

Nigdy nie puka.

W jednej chwili jest sama, a w następnej już nie.

– Adeline.

Nienawidzi swojej reakcji na jego głos wypowiadający jej imię, nienawidzi tego, jak lgnie do tego słowa, jak ktoś szukający schronienia przed burzą.

– Luc.

Odwraca się, oczekując, że cień będzie wyglądał tak jak w Paryżu, ubrany wedle najnowszej salonowej mody, ale on przybrał taką postać, jak tego wieczoru, kiedy spotkali się po raz pierwszy: powyginaną

wiatrem i z zamazanymi krawędziami, w prostej czarnej tunice, rozsznurowanej pod szyją. Blask ognia tańczy na jego twarzy, rzucając cienie na jego policzki i czoło, tak że wydają się smoliście czarne.

Jego wzrok prześlizguje się po skromnych plonach leżących na blacie, a potem powraca do niej.

– A więc znalazłaś się znów tam, skąd wyruszyłaś…

Addie wstaje, tak żeby nie mógł patrzeć na nią z góry.

– Pięćdziesiąt lat – mówi cień. – Jak to szybko przeleciało…

Wcale nie szybko, nie dla niej, a on doskonale o tym wie. Szuka nagiej skóry, wrażliwych miejsc, które mógłby zaatakować, ale dziewczyna nie da mu takiego łatwego celu.

– To bardzo krótko – stwierdza chłodno dziewczyna. – I pomyśleć, że niektórym wystarcza jedno życie.

Luc uśmiecha się nieznacznie.

– Dokładając do ognia, wyglądasz prawie jak Estele. – Addie po raz pierwszy słyszy to imię z jego ust. Wymawia je osobliwie, niemal tęsknie. Luc podchodzi do okna i patrzy na linię drzew. – Ileż to nocy stała tutaj, szepcząc do drzew. – Ogląda się przez ramię, a na jego ustach igra fałszywy uśmieszek. – Tyle opowiadała o wolności, a w końcu została sama.

Addie kręci głową.

– Nie.

– Powinnaś była być tu z nią – mówi cień. – Ulżyć jej w bólu, kiedy chorowała. Zamknąć jej oczy na wieczny spoczynek. Byłaś jej to winna.

Dziewczyna cofa się jak spoliczkowana.

– Myślałaś tylko o sobie, Adeline. Przez ciebie umarła samotnie.

„Wszyscy umieramy w samotności”. Tak powiedziałaby Estele, a w każdym razie tak sądzi Addie. Taką ma nadzieję. Kiedyś byłaby tego pewna, ale pewność znikła wraz ze wspomnieniem głosu staruszki.

Cień przemyka ku niej przez pokój. W jednej chwili jest przy oknie, w następnej tuż za nią, a jego głos dociera do Addie z bliska, przez jej włosy:

– Była gotowa umrzeć. Tak rozpaczliwie pragnęła miejsca w cieniu, że stała przy oknie, błagając i żebrząc. Mogłem jej dać to, o co prosiła.

W tym momencie Addie przypomina sobie uścisk palców starszej kobiety na swoim nadgarstku.

„Nigdy nie módl się do bogów, którzy odpowiadają po zapadnięciu zmroku”.

Odwraca się do niego.

– Nie pomodliłaby się do ciebie!

Po jego twarzy przemyka drwiący uśmiech.

– Nie, ale pomyśl, jakim smutkiem przejęłaby ją wiadomość, że ty to zrobiłaś!

Addie wybucha gniewem. Jej dłoń wystrzeliwuje w powietrze, zanim zdoła się powstrzymać, a nawet wtedy na wpół oczekuje, że nie sięgnie celu, że napotka tylko powietrze i dym. Zaskakuje jednak Luca, który się tego nie spodziewał, więc jej ręka uderza w skórę albo coś w tym rodzaju. Głowa cienia cofa się od uderzenia o kilka milimetrów. Oczywiście na idealnych wargach nie ma śladu krwi, a na policzku zaczerwienienia, ale przynajmniej udało jej się zetrzeć mu z twarzy kpiącą minę.

A w każdym razie tak jej się wydaje.

Dopóki Luc nie wybuchnie śmiechem.

Ten dźwięk jest kompletnie upiorny, nierealny, a kiedy odwraca się ku niej, dziewczyna nieruchomieje. Nie ma w nim teraz nic ludzkiego. Kości są zbyt ostre, cienie za głębokie, oczy zbyt jasne.

– Zapomniałaś się – mówi, a jego głos rozpływa się w dym. – Zapomniałaś też o mojej potędze.

Ból przeszywa stopy Addie, nagły i ostry. Patrzy w dół, szukając rany, lecz cierpienie pali ją od środka. Tępa wewnętrzna tortura, tak jakby poczuła naraz wszystkie kroki, całą odległość przebytą w życiu.

– Chyba byłem zbyt litościwy.

Cierpienie wspina się po jej nogach, docierając do kolan i bioder, nadgarstków i ramion. Kolana uginają się pod nią i dziewczyna ledwie powstrzymuje się od krzyku.

Cień patrzy w dół z uśmiechem.

– Za bardzo ci to ułatwiłem.

Addie patrzy z przerażeniem, jak jej dłonie zaczynają się marszczyć i chudnąć, a na skórę, przypominającej teraz pergamin, występują błękitne żyły.

– Prosiłaś tylko o życie, a ja dałem ci także zdrowie i młodość.

Kok na jej głowie rozwiązuje się, a rzadkie włosy zwisają jej przed oczami, siwe, kruche i wyschnięte.

– Dlatego stałaś się arogancka.

Wzrok jej słabnie, a widok pokoju rozmazuje się w smugi i niewyraźne kształty.

– Teraz powinnaś pocierpieć.

Addie zaciska powieki, a w piersi wzbiera jej panika.

– Nie – mówi niemal błagalnym tonem.

Wyczuwa, że Luc się do niej zbliża, że jego cień góruje nad nią.

– Zabiorę ten ból, pozwolę ci odpocząć, a nawet zasadzę drzewo nad twoimi kośćmi – sączy jej do ucha ciemność. – Musisz się tylko poddać…

To słowo rozrywa zasłonę. Mimo bólu i przerażenia, jakie czuje w tej chwili, Addie wie, że nie zrezygnuje z życia.

Przeżyła już gorsze chwile – i jeszcze takie przeżyje. To tylko paskudna zabawa boga.

Kiedy w końcu jest w stanie zaczerpnąć powietrza, przemawia ochrypłym szeptem:

– Idź do diabła!

Cała sztywnieje. Teraz Luc sprawi, że jej ciało przegnije, zmieni się w pomarszczone zwłoki i zostanie w chacie Estele już na wieki jako smętny wrak. Zamiast tego dobiega ją tylko kolejny wybuch śmiechu, niskiego i grzmiącego, a potem nie ma już nic, noc zamiera w bezruchu.

Addie boi się otworzyć oczy, ale kiedy w końcu to robi, okazuje się, że jest sama.

Ból zniknął z jej kości, luźne włosy odzyskały kasztanową barwę. Ręce, przed chwilą wychudłe i pomarszczone, są znów młode, gładkie i silne.

Wstaje, trzęsąc się, i odwraca się w stronę kominka.

Niestety ogień, tak starannie podsycany, zgasł.

Tego wieczoru Addie kuli się na gnijącym posłaniu, pod bezpańskim kocem pełnym dziur, i myśli o Estele.

Zamyka oczy i wciąga powietrze, aż niemal jest w stanie wyczuć aromat ziół, który na stałe przylgnął do włosów staruszki, woń ogrodu i mokrych liści na jej skórze. Wspomina krzywy uśmiech Estele, jej chrapliwy śmiech, ton, którego używała staruszka, mówiąc do bogów, i ten, którym

rozmawiała z Addie. Dawno temu, kiedy dziewczyna była mała, a starsza kobieta uczyła ją, by nie bać się burzy, cienia ani odgłosów nocy.

Nowy Jork
19 marca 2014

II

Addie opiera się na parapecie i patrzy przez okno na słońce wschodzące nad Brooklynem.

Trzyma w dłoniach kubek z herbatą, rozkoszując się ciepłem promieniującym od napoju. Para osiada na chłodnej szybie niczym osad zimy, rankiem jeszcze dającej o sobie znać. Addie nosi jedną z bawełnianych koszulek Henry'ego, oznaczonych logo Uniwersytetu Columbia. Koszulka ma jego zapach, jak stare książki i świeża kawa.

Człapie na bosaka z powrotem do sypialni, gdzie Henry leży na brzuchu z ramionami pod poduszką, tak że widać tylko jego policzek. W tej chwili wygląda jak Luc i zarazem zupełnie inaczej. Podobieństwo pomiędzy nimi wydaje się migotać niczym przy podwójnym widzeniu. Kędziory chłopaka, rozpostarte niczym czarne pióra na białej poduszce, przechodzą w drobny meszek na karku. Plecy wznoszą się i opadają miarowo, zgodnie z rytmem snu.

Addie stawia kubek na stoliku nocnym, pomiędzy okularami Henry'ego i zegarkiem na skórzanym pasku. Obrysowuje palcem kontur ciemnej metalowej koperty, wzdłuż złotych cyfr osadzonych na czarnym cyferblacie. Przewraca się pod jej dotykiem, odsłaniając inskrypcję na odwrocie:

„Dobrego życia!"

Przebiega ją nikły dreszcz i już ma podnieść czasomierz, kiedy Henry jęczy w poduszkę, protestując cicho przeciwko porankowi.

Addie zostawia zegarek i wchodzi do łóżka obok niego.

– Cześć.

Chłopak sięga po okulary, zakłada je, patrzy na nią i się uśmiecha. Ten moment nigdy jej się nie znudzi. Poznaje ją. Teraźniejszość łączy się z przeszłością, zamiast ją wymazać i zastąpić. Przyciąga ją.

– Cześć – szepcze w jej włosy. – Która godzina?

– Prawie ósma.

Henry jęczy i obejmuje ją ciaśniej. Jest ciepły i Addie życzyłaby sobie, żeby zostali tak przez cały dzień, ale kiedy to mówi, on już nie śpi. Jego niespożyta energia zaczyna być widoczna, niczym skręcona sprężyna. Addie wyczuwa ją w napięciu jego ramion, w subtelnym przesunięciu ciała.

– Powinnam już iść – mówi, zakładając, że to właśnie trzeba powiedzieć, kiedy znajduje się rano w czyimś łóżku, zwłaszcza kiedy druga osoba pamięta, jak się tam dostaliście. Nie mówi jednak „Powinnam już iść do domu", a Henry wyczuwa brakujące słowa.

– Gdzie mieszkasz? – pyta.

„Nigdzie", myśli Addie. „Wszędzie".

– Daję sobie radę. W tym mieście pełno jest łóżek.

– Ale nie masz swojego miejsca.

Dziewczyna patrzy na pożyczoną koszulkę, na ubranie, które w tej chwili jest niemal wszystkim, co posiada, przewieszone przez pobliskie krzesło.

– Nie.

– W takim razie możesz zostać tutaj.

– Trzecia randka i już prosisz, żebym się wprowadziła?

Henry się śmieje, ponieważ to takie absurdalne. Nie jest to jednak najdziwniejsza rzecz, jaka przydarzyła się któremukolwiek z nich.

– To może poproszę cię, żebyś została na pewien czas?

Addie nie wie, co powiedzieć, a zanim zdąży coś wymyślić, on wyskakuje z łóżka i otwiera dolną szufladę komody. Przepycha zawartość na jedną stronę, robiąc miejsce.

– Możesz wsadzić swoje rzeczy tutaj. – Po czym patrzy na nią niepewnie. – A masz w ogóle jakieś?

Kiedyś wyjaśni mu w końcu szczegółowo ograniczenia swojej klątwy, wszystkie jej zawiłości i meandry, ale teraz Henry jeszcze ich nie zna. Nie musi. Dla niego jej historia dopiero się zaczęła.

– Nie, naprawdę nie ma sensu posiadać więcej, niż można unieść, kiedy nie ma się miejsca, żeby to odłożyć.

– No cóż, w takim razie jeżeli będziesz miała jakieś rzeczy, o ile w ogóle zechcesz, możesz je odłożyć właśnie tam.

Co powiedziawszy, odwraca się i idzie pod prysznic, zmyć z siebie resztki snu, a ona patrzy na miejsce, które dla niej zrobił, i zastanawia się, co by było, gdyby miała jakieś rzeczy do schowania. Czy zniknęłyby natychmiast? A może powoli i niedbale, niczym skarpetki kradzione przez pralkę? Nigdy nie mogła zachować żadnej rzeczy na dłużej, z wyjątkiem skórzanej kurtki i drewnianego pierścionka. Wiedziała jednak, dlaczego tak się dzieje: to Luc chciał, żeby zachowała obie te rzeczy, przywiązał je do niej, chociaż oficjalnie wręczył je jako prezenty.

Odwraca się i przygląda ciuchom leżącym na krześle.

Całe są pomazane farbą z High Line. Na bluzce widać zielone plamy, a na kolanie dżinsów fioletową smugę. Jej buty również są usiane żółtymi i niebieskimi ciapkami. Addie wie, że farba z czasem zniknie, wymyta przez deszcz albo po prostu starta, tak samo, jak powinna działać pamięć.

Wspomnienia powinny po trochu znikać, jedno po drugim.

Ubiera się we wczorajszy strój, podnosi również skórzaną kurtkę, ale zamiast narzucić ją na ramiona, składa ją starannie i umieszcza w pustej szufladzie. Kurtka leży tam, zajmując tylko część pustej przestrzeni czekającej na inne rzeczy.

Addie okrąża łóżko, prawie nadeptując na notatnik.

Leży otwarty na podłodze, widocznie zsunął się z łóżka w nocy, a ona podnosi go ostrożnie, tak jakby składał się z popiołu i pajęczyny, a nie z papieru i kleju. Na wpół oczekuje, że rozpadnie się pod jej dotykiem, ale nie, trzyma się, a kiedy otwiera go, okazuje się, że kilka pierwszych stron zostało zapisanych. Próbuje szczęścia dalej i przesuwa opuszkami po wyrazach, czując wgłębienia pozostawione przez długopis, lata ukryte za każdym zdaniem.

„Tak to się zaczęło”, napisał pod jej nazwiskiem.

„Pierwszą rzeczą, którą pamięta, jest podróż na targ. Ojciec siedzi na koźle obok niej, a wóz wypełniają jego dzieła…”

Czyta, wstrzymując oddech, podczas gdy spod prysznica dobiega cichy szum.

„Ojciec opowiada jej historie, a ona nie pamięta słów, ale pamięta ton jego głosu podczas tych opowieści…”

Addie siada na łóżku i czyta aż do końca, do miejsca, gdzie wyrazy ustępują kolejnym pustym stronom, czekającym na wypełnienie.

Kiedy słyszy, że Henry zakręca wodę, zmusza się do zamknięcia notatnika i kładzie go delikatnie z powrotem na łóżku, niemal z szacunkiem.

Fécamp, Francja
29 lipca 1778

III

Pomyśleć, że mogłaby żyć i umrzeć, nie zobaczywszy nigdy morza!

Teraz to nie ma już większego znaczenia. Addie jest tutaj, gdzie po prawej wznoszą się białe zbocza klifu, kamienni strażnicy na skraju plaży, a ona siedzi niedaleko, ze spódnicą rozpostartą na piasku. Spogląda w przestwór oceanu, w miejsce, gdzie kończy się ląd i zaczyna woda, a potem tam, gdzie woda ustępuje miejsca niebu. Widziała oczywiście mapy, ale papier i tusz nie mogą się równać z tym widokiem, z zapachem soli, z szumem fal i hipnotycznymi przypływami oraz odpływami. Z rozmiarami i zasięgiem morza, a także ze świadomością, że gdzieś za horyzontem znajduje się coś więcej.

Minie sto lat, zanim Addie przemierzy Atlantyk, a podczas tej podróży zacznie się zastanawiać, czy mapy się nie mylą, zacznie powątpiewać w istnienie lądu jako takiego – ale tu i teraz jest kompletnie zauroczona.

Kiedyś jej świat miał rozmiary niewielkiego miasteczka w środku Francji, jednak od tamtej pory wciąż rośnie. Mapa jej życia rozwija się, odsłaniając wzgórza i doliny, wsie i miasta, a także morza. Odkryła już Le Mans, Paryż, a teraz to.

Addie przebywa w Fécamp od blisko tygodnia, dzieląc czas pomiędzy molo a plażę, a jeśli nawet ktokolwiek zauważa dziwną kobietę siedzącą na piasku, zwykle nie uznaje za stosowne jej niepokoić. Dziewczyna patrzy, jak statki wpływają do portu i go opuszczają, i zastanawia się, dokąd płyną, a także co by się stało, gdyby weszła na pokład jednego z nich. Dokąd by ją zabrał? W Paryżu coraz dotkliwiej odczuwa się niedostatki w zaopatrzeniu, kary stają się coraz surowsze i żyje się coraz

gorzej. Miasto czuje nerwowe napięcie, energię sięgającą aż tu, na wybrzeże. Addie sądzi, że to kolejny powód, by stąd odpłynąć.

Mimo to…

Coś ciągle ją powstrzymuje.

Dzisiaj to nadciągająca burza, która unosi się nad morzem, barwiąc horyzont na sino. Tu i tam przez chmury przedziera się słońce, którego promienie padają na płaską, szarą taflę wody. Addie podnosi książkę, leżącą koło niej na piasku i zaczyna czytać:

„Nasza zabawa skończona. Aktorzy
Byli duchami, zgodnie z zapowiedzią,
I rozpłynęli się w zwiewnym powietrzu”[3].

To Burza Szekspira. Co jakiś czas Addie potyka się na jego rytmie i dziwnym stylu. Angielskie rymy i tempo wciąż wydają się obce jej umysłowi, ale uczy się, toteż tu i tam udaje jej się przeczytać fragment płynnie.

„A jak ulotna materia tych wizji,
Jak nasze bezcielesne widowisko,
Tak i pałace świetne, wieże w chmurach,
Wzniosłe świątynie, ba, cały ten glob”…

Światło dnia gaśnie, a ona czyta z coraz większym wysiłkiem.

„Ze wszystkim, co ma na swej powierzchni,
Kiedyś rozwieje się, nie zostawiając
Strzępy mgły nawet”.

– „Jesteśmy surowcem, z którego sny się wyrabia” – dociera zza pleców znany głos. – „A życie to chwila jawy między dwoma snami”. – Śmieje się cicho. – No, nie każde życie.

Luc wyrasta nad nią jak cień.

Nie przebaczyła mu agresji, jaką okazał jej tamtej nocy w Villon. Nawet teraz przygotowuje się wewnętrznie na podobny atak, chociaż widzieli się

już kilka razy podczas lat, które upłynęły od tamtego spotkania, i zawarli coś w rodzaju ostrożnego paktu.

Addie wie jednak doskonale, że nie należy mu ufać. Cień siada na piasku obok, z jednym ramieniem opartym na kolanie, z sennym wdziękiem, nawet tu.

– Byłem tam, rozumiesz, kiedy pisał ten kawałek.

– Szekspir? – pyta dziewczyna, nie ukrywając zdumienia.

– A jak myślisz, kogo wezwał w środku nocy, kiedy nie potrafił znaleźć odpowiednich słów?

– Kłamiesz.

– Chwalę się. To nie to samo – zastrzega Luc. – Nasz William szukał mecenasa, a ja wyświadczyłem mu przysługę.

Burza jest coraz bliżej, zasłona deszczu prześlizguje się ku brzegowi.

– Naprawdę uważasz się za kogoś takiego? – pyta Addie, strząsając piasek z książki. – Wspaniałego dobroczyńcę?

– Nie powinnaś się dąsać tylko dlatego, że kiepsko wybrałaś.

– A wybrałam kiepsko? – odpala. – Mimo wszystko jestem przecież wolna.

– I zapomniana.

Dzisiaj jest gotowa na ten argument.

– Jak większość rzeczy – odpowiada, patrząc na morze.

– Adeline, jakaś ty uparta! – strofuje ją. – A przecież nie minęło nawet sto lat. Zastanawiam się, jak się będziesz czuła za następne sto.

– Nie wiem – stwierdza beznamiętnie dziewczyna. – Podejrzewam, że będziesz musiał mnie wtedy o to zapytać.

Burza dociera do brzegu. Zaczynają padać pierwsze krople, a Addie przyciska książkę do piersi, chroniąc papier przed wilgocią.

Luc wstaje.

– Przejdźmy się – proponuje, wyciągając dłoń. To niezupełnie zaproszenie, raczej rozkaz, lecz z pojedynczych kropel szybko rośnie stała ulewa, a ona ma tylko jedną suknię. Wstaje bez jego pomocy, czyszcząc spódnicę z piasku. – Tędy.

Prowadzi ją przez miasto do sklepionego budynku, którego strzelista wieża przeszywa niskie chmury. Jest to – coś podobnego! – kościół.

– Żartujesz!

– To nie ja tu moknę – mówi Luc. I rzeczywiście, nie moknie. Kiedy docierają do kamiennego wejścia, chroniącego przed deszczem, Addie jest przemoczona do nitki, ale jej towarzysz suchutki. Deszcz nawet go nie tknął.

Uśmiecha się, sięgając dłonią do klamki.

Nawet jeśli kościół był zamknięty, to bez znaczenia. Nawet gdyby owinięto go łańcuchem, i tak by się otworzył przed cieniem. Dziewczyna nauczyła się, że takie ograniczenia nie obowiązują Luca.

Wewnątrz panuje zaduch. Kamienne mury są nagrzane letnim słońcem. Panuje tu półmrok, pozwalający dostrzec niewiele więcej niż kontury ławek i figurę na krzyżu.

Luc rozkłada ramiona.

– Spójrzcie, oto dom Boga!

Jego głos odbija się echem od sklepienia, miękki i złowieszczy.

Addie zawsze zastanawiała się, czy Luc może postawić stopę na poświęconej ziemi, ale stukot jego butów na posadzce kościoła zdaje się odpowiadać na to pytanie.

Idzie pomiędzy ławkami, lecz nie może pozbyć się wrażenia, że to dziwne miejsce. Bez dzwonów, organów i ciał tłoczących się podczas mszy kościół wydaje się opuszczony. Teraz to nie świątynia, ale grobowiec.

– Może wyznasz swoje grzechy?

Luc porusza się wokół niej z całą swobodą, na jaką stać cień w półmroku. Teraz nie stoi już za nią, ale siedzi w pierwszym rzędzie, z ramionami szeroko rozłożonymi na oparciu ławki i nogami wyciągniętymi nonszalancko do przodu i założonymi na siebie.

Addie wychowywano w przeświadczeniu, że w Villon należy klękać przed ołtarzem, a potem spędziła wiele dni w Paryżu skulona na kościelnych ławkach. Słuchała bicia w dzwony, brzmienia organów i wezwań do modlitwy, a mimo to nigdy nie rozumiała uroku religii. Jak sklepienie mogło przybliżać kogoś do nieba? A jeżeli Bóg jest tak wielki, po co wznosić mury, które trzymają go w środku?

– Moi rodzice byli wiernymi katolikami – wspomina, wiodąc dłonią po ławkach. – Zawsze mówili o Bogu, o Jego sile, miłosierdziu i świetle. Mówili, że On jest wszędzie i we wszystkim. – Zatrzymuje się przed ołtarzem. – Tak łatwo przychodziło im uwierzyć w słowa księży.

– A tobie?

Addie patrzy na witraże. Obrazy są niemal niewidoczne, kiedy brakuje słońca, które mogłoby je podświetlić. Chciała wierzyć. Słuchała i czekała na Jego głos, na to, by Bóg jej się objawił. Czekała, by poczuć Jego obecność tak, jak słońce na ramionach czy też muśnięcia pszenicy pod dłońmi. Tak, jak czuła obecność starych bogów, których upodobała sobie Estele. Ale tam, w zimnym, kamiennym domu, nigdy niczego nie czuła.

Kręci głową i mówi głośno:

– Nigdy nie rozumiałam, dlaczego miałabym uwierzyć w coś, czego nie mogę poczuć, usłyszeć ani zobaczyć.

Luc unosi brew.

– Na tym chyba polega wiara – stwierdza.

– Powiedział diabeł w domu Boga – kontruje Addie, zerkając w jego stronę i dostrzegając krótki, żółty błysk w zieleni jego oczu.

– Dom to dom – mówi zirytowany. – Ten należy do wszystkich albo do nikogo. Teraz uważasz mnie za diabła? Nie byłaś tego taka pewna tam w lesie.

– Być może to dzięki tobie uwierzyłam?

Luc odchyla głowę, a na jego ustach igra złośliwy uśmieszek.

– A więc myślisz, że skoro ja jestem prawdziwy, to on też? Światło przeciw mojemu cieniowi, dzień przeciw mojemu mrokowi? Jesteś przekonana, że gdybyś pomodliła się do niego, nie do mnie, to okazałby ci życzliwość i litość.

Zastanawiała się nad tym setki razy, choć oczywiście nigdy tego nie powiedziała.

Dłonie Luca ześlizgują się z oparcia, kiedy się pochyla.

– A teraz już nigdy się tego nie dowiesz – komentuje, wstając. – Ale jeżeli chodzi o mnie, to „diabeł” jest po prostu nowym słowem na określenie bardzo starej idei. A co do „Boga”, to cóż, jeśli wystarczy mieć zmysł do dramatycznych scen i trochę złota…

Pstryka palcami i nagle guziki jego fraka, sprzączki u butów i wzory na kamizelce są nie czarne, lecz pozłacane. Lśnią niczym gwiazdy w bezksiężycową noc.

Uśmiecha się, po czym zdmuchuje z siebie ozdoby jak kurz.

Dziewczyna patrzy, jak spadają, po czym podnosi wzrok, a on jest o centymetry od niej.

– Cała różnica pomiędzy nami, Adeline – szepcze, a jego palce chwytają jej podbródek – polega na tym, że ja zawsze odpowiadam. – Dziewczyna drży wbrew sobie. Zbyt dobrze zna ten dotyk na skórze, upiorną zieleń oczu i dziki, wilczy uśmiech. – Poza tym wszyscy bogowie mają swoją cenę. Jestem niemal jedynym, który handluje duszami – ciągnie, cofając palce od jej twarzy. Unosi otwartą dłoń z jednej strony i tuż nad nią pojawia się w powietrzu światełko. – On pozwala duszom usychać na półkach, ja je podlewam. – Światło łamie się i wije. – On obiecuje, ja płacę z góry.

Błyska raptownie i jasno, a potem zbliża się, przybierając materialny kształt.

Addie zawsze zastanawiała się, jak wygląda dusza.

To takie ważne słowo. „Dusza". Tak jak „bóg", „czas" czy „przestrzeń". Kiedy próbowała ją sobie wyobrazić, widziała obraz błyskawicy, promieni słonecznych w kurzu czy chmur w kształcie ludzi, rozległych i białych.

Prawda wygląda o wiele mniej okazale.

Światło w dłoni Luca to szklana kulka, w której wnętrzu tli się słaba iskierka.

– I to wszystko?

Mimo to Addie nie może oderwać spojrzenia od kruchej sfery. Mimowolnie po nią sięga, lecz cień cofa rękę z dala od niej.

– Niech cię nie zwiedzie ten wygląd. – Obraca żarzący się paciorek między palcami. – Patrzysz na mnie i widzisz mężczyznę, chociaż wiesz, że nie jestem wcale człowiekiem. Ten kształt to tylko pewien aspekt, przeznaczony dla widza.

Światełko kręci się, przesuwa, a sfera spłaszcza się w dysk, a potem w pierścień. Jej pierścień. Jesionowe drewno błyszczy, a jej serce wyrywa się ku niemu. Chce go oglądać, trzymać, czuć w dłoni wypolerowaną powierzchnię, jednak zaciska dłonie w pięści, by znów po niego nie sięgnąć.

– Jak wygląda w rzeczywistości?

– Och, mogę ci ją pokazać – mruczy Luc, pozwalając, by światełko osiadło na jego dłoni. – Powiedz tylko słowo, a pokażę ci twoją nagą

duszę. Poddaj się, a obiecuję, że ostatnią rzeczą, jaką zobaczysz, będzie prawda.

No i znów to samo.

W jednej chwili sól, w następnej miód, a każdy z tych smaków ma ukryć truciznę.

Addie patrzy na krążek ostatni raz przez dłuższą chwilę, a potem zmusza się, żeby podnieść wzrok i spojrzeć w oczy ciemności.

– Wiesz co – mówi z namysłem – myślę, że wolę jeszcze pożyć w niepewności.

Usta Luca drgają, a ona nie potrafi rozpoznać: z gniewu czy z rozbawienia?

– Ależ jak sobie chcesz, moja droga – oświadcza, gasząc światełko między palcami.

[3] Ten i następne cytaty z Burzy: William Shakespeare, Komedie w przekładzie Stanisława Barańczaka, Kraków 2012, s. 1367–68.

Nowy Jork
23 marca 2014

IV

Addie siedzi skulona na skórzanym fotelu w Ostatnim Słowie. Ciche mruczenie kota dobiega z półek gdzieś za jej głową, a ona patrzy, jak klienci obracają się ku Henry'emu, niczym kwiaty do słońca.

Kiedy człowiek się o czymś dowie, zaczyna widzieć to wszędzie.

Ktoś powie „fioletowy słoń" i nagle dostrzegamy takie słonie na wystawach sklepowych i na koszulkach, wśród wypchanych zwierząt i na billboardach, a do tego zastanawiamy się, jakim cudem ich dotąd nie zauważyliśmy.

Tak samo dzieje się z Addie, kiedy już wie o umowie Henry'ego.

Widzi mężczyznę chichoczącego ze wszystkiego, co powie Henry.

Kobietę z uradowanym uśmiechem.

Nastolatkę ukradkiem dotykającą jego ramienia i rumieniącą się z ekscytacji.

Mimo to Addie nie jest zazdrosna.

Żyła zbyt długo i straciła zbyt wiele, a tego, co zdołała pożyczyć lub ukraść, nigdy nie zatrzymywała dla siebie. Nauczyła się dzielić, a jednak za każdym razem, kiedy Henry na nią zerka, czuje przyjemny przypływ ciepła, równie pożądany, jak nagły promień słońca zza chmur.

Podciąga kolana wyżej i otwiera tomik poezji.

Zamieniła poplamione farbą ubrania na nową parę czarnych dżinsów i za duży sweter, ściągnięty z second-handu, kiedy Henry był w pracy. Zatrzymała tylko buty: żółte i niebieskie ciapki przypominają jej o poprzednim wieczorze. Ponieważ nie mogła zrobić zdjęcia, ma tylko taką pamiątkę.

– Gotowa?

Podnosi wzrok i widzi, że tabliczka na drzwiach została już odwrócona napisem „Zamknięte” na zewnątrz, a Henry stoi w pobliżu z kurtką przerzuconą przez ramię. Wyciąga dłoń, pomagając jej wstać z fotela, który, jak wyjaśnia, ma w zwyczaju pożerać ludzi.

Wychodzą na zewnątrz, po czterech schodkach na ulicę.

– Dokąd idziemy? – pyta Addie.

Jest jeszcze wcześnie, a Henry wibruje niespożytą energią. Wydaje się ona słabnąć o zmierzchu, tak jakby zachód słońca był znakiem upływającego dnia, jakby czas mijał szybciej pod nieobecność światła.

– Byłaś w Fabryce Lodów?

– Brzmi jak dobra zabawa.

Henry wyraźnie smutnieje.

– Aha, więc już tam byłaś.

– Nie mam nic przeciwko, żeby iść tam jeszcze raz.

Chłopak kręci głową i mówi:

– Chcę ci pokazać coś nowego. Czy gdzieś jeszcze nie byłaś? – pyta, a Addie po dłuższej chwili wzrusza ramionami.

– Na pewno jest takie miejsce – odpowiada – ale jeszcze go nie znalazłam.

Chciała, żeby to zabrzmiało lekko i zabawnie, lecz Henry marszczy czoło, pogrąża się w myślach i rozgląda.

– Okej – mówi, łapiąc ją za rękę. – Chodź ze mną.

Godzinę później stoją na dworcu Grand Central.

– Niestety muszę ci zdradzić pewien sekret – stwierdza Addie, rozglądając się po gwarnym wnętrzu stacji. – Już tu byłam, podobnie jak większość ludzi w Nowym Jorku.

Henry jednak uśmiecha się do niej szelmowsko.

– Tędy!

Podąża za nim ruchomymi schodami na niższy poziom. Lawirują w morzu wieczornych podróżników ku kipiącym od ludzi barom, ale Henry zatrzymuje się wcześniej, na skrzyżowaniu pod wykafelkowanymi łukami, od którego rozchodzą się boczne korytarze. Ciągnie ją ku jednemu z kątów pod filarami, gdzie łuki rozgałęziają się nad ich głowami na wszystkie strony, po czym odwraca ją ku ścianie wyłożonej ceramiką.

– Zostań tu – mówi i rusza dalej.

– Dokąd się wybierasz? – pyta Addie, odwracając się, żeby iść dalej za nim.

Henry cofa się i ustawia ją ponownie twarzą ku łukowi.

– Zostań tutaj, w tej pozycji – powtarza. – I słuchaj.

Addie odwraca ucho ku ścianie, ale nie słyszy nic poza szuraniem stóp i innymi odgłosami wieczornego tłumu. Ogląda się przez ramię.

– Henry, nie rozu…

Ale jego już tam nie ma. Truchta przez hol na drugą stronę, niecałe dziesięć metrów od niej. Patrzy na nią raz jeszcze, a potem odwraca się i zbliża twarz do kąta pomiędzy ścianami, wyglądając dla reszty widzów jak dzieciak grający w chowanego, który właśnie liczy do dziesięciu.

Addie czuje się absurdalnie, ale nachyla się bliżej ceramiki, czekając i nasłuchując.

A potem, co niebywałe, słyszy jego głos:

– Addie…

Wzdryga się. Słowo dobiega ją cicho, lecz wyraźnie, tak jakby chłopak stał tuż koło niej.

– Jak to robisz? – pyta łuku i niemal słyszy w głosie Henry’ego uśmiech, kiedy odpowiada:

– Dźwięk podąża po łuku. Taki fenomen zdarza się przy odpowiednim zakrzywieniu ściany. Nazywa się to galerią szeptów.

Addie słucha tego z zachwytem. Trzysta lat i wciąż uczy się nowych rzeczy!

– Mów do mnie – dobiega do niej jego głos.

– A co mam powiedzieć? – szepcze.

– No cóż – zastanawia się cicho Henry. – Może opowiesz mi jakąś historię?

Paryż
29 lipca 1789

V

Paryż płonie.

Na ulicach powietrze śmierdzi prochem strzelniczym i dymem. Mimo że w mieście nigdy nie panowała cisza, od kilkunastu dni jest tu wyjątkowo głośno. Salwy z muszkietów i wystrzały z dział, żołnierze wykrzykujący rozkazy, hasła i odzewy przekazywane z ust do ust.

„Vive la France! Vive la France! Vive la France!”

Od zdobycia Bastylii minęły dwa tygodnie, a miasto wciąż wydaje się rozerwane na pół. Musi jednak trwać, przeżyć, a jego mieszkańcy starają się znaleźć drogę omijającą codzienne burze.

Addie woli się poruszać nocą.

Przemyka przez mrok, z szablą podskakującą u boku i trójgraniastym kapeluszem nasuniętym na oczy. Zdjęła ubranie z mężczyzny zastrzelonego na ulicy i ukryła zakrwawioną dziurę na brzuchu pod kamizelką ocaloną z innych zwłok. Żebracy nie mogą wybrzydzać, a jest zbyt niebezpiecznie, by podróżować jako samotna kobieta. Jeszcze gorzej byłoby udawać arystokratkę. Lepiej wtopić się w tłum.

Przez miasto płynie nowy nurt, upojny i pełen triumfu. Z czasem Addie nauczy się wyczuwać zmiany w powietrzu i orientować się, kiedy zostanie przekroczona granica między podnieceniem a przemocą. Dzisiaj wieczorem rewolucja jest jeszcze nowa, niesie ze sobą dziwną, nieczytelną energię.

Jeśli zaś chodzi o samo miasto, to aleje Paryża zmieniły się w labirynt: wznoszone nagle bariery i barykady sprawiają, że na każdej trasie czai się

seria ślepych uliczek. Addie nie jest zaskoczona, kiedy za kolejnym rogiem napotyka się na płonący stos skrzyń i szczątków.

Przeklina pod nosem i już ma zawrócić, kiedy na ulicy za nią rozlega się stukot butów, a zaraz potem wystrzał z muszkietu, po czym kula trafia prosto w barykadę nad jej głową.

Odwraca się i widzi, że drogę ucieczki odcięło jej kilkunastu mężczyzn ubranych w kolorowe stroje rewolucjonistów. Ich muszkiety i szable lśnią słabo w świetle wieczoru. Addie dziękuje sobie w duchu, że jej ubranie pochodzi od ludzi z plebsu.

Odchrząkuje, po czym wykrzykuje sztucznie pogrubionym, szorstkim głosem:

– Vive la France!

Mężczyźni odwzajemniają okrzyk, ale ku jej przerażeniu się nie wycofują. Zamiast tego zmierzają ku niej, czujnie trzymają broń. W świetle płomieni widać, że ich oczy są szkliste od wina i nieokreślonej mrocznej energii.

– Co tu robisz? – pyta groźnie jeden z nich.

– Może być szpiegiem – dodaje drugi. – Mnóstwo żołnierzy paraduje tutaj w zwykłych ubraniach zdartych z ciał naszych dzielnych zmarłych.

– Nie chcę kłopotów! – wykrzykuje Addie. – Zgubiłem się. Przepuśćcie mnie i zaraz sobie pójdę.

– Aha, i wrócisz z całym oddziałem – mruczy drugi z przeciwników.

– Nie jestem ani szpiegiem, ani żołnierzem, ani trupem! – woła dziewczyna. – Sprawdzałem tylko…

– …czy nie dałoby się czegoś popsuć? – przerywa jej trzeci.

– Albo okraść naszych magazynów – sugeruje kolejny.

Już nie krzyczą, nie ma takiej potrzeby. Podeszli dość blisko, żeby mówić normalnym tonem, przypierają ją do płonącej barykady. Chciałaby przemknąć między nimi i uciec, zniknąć im z oczu i z umysłów, ale nie ma gdzie. Boczne uliczki zostały zagrodzone, a za nią płoną skrzynie.

– Udowodnij, że jesteś przyjacielem.

– Złóż broń.

– Zdejmij kapelusz i pokaż twarz.

Addie przełyka ślinę i odrzuca nakrycie głowy, mając nadzieję, że ciemność wystarczy, by ukryć jej kobiece rysy, ale właśnie w tej chwili

barykada za nią trzeszczy, jakaś belka zajmuje się ogniem i na chwilę wokół robi się jaśniej. Dziewczyna wie, że to wystarczyło, by przejrzeli jej przebranie. Ich twarze zmieniają się w jednej chwili.

– Przepuśćcie mnie – powtarza, a jej dłoń wędruje na rękojeść szabli. Wie, jak nią obracać, wie także, że tamtych jest pięciu, a ona jedna, i jeśli dobędzie stali, czeka ją droga po ich trupach. Obietnica przeżycia nie pociesza jej zbytnio wobec perspektywy tego, co stanie się przedtem. Zbliżają się, a Addie wyciąga ostrze. – Cofnąć się! – warczy.

Ku jej zdumieniu mężczyźni zamierają w pół kroku. Stają bez ruchu, a na ich zwiotczałych nagle twarzach osiada cień. Dłonie ześlizgują się z broni, a głowy opadają na ramiona. Wszystko nieruchomieje poza trzaskającymi płomieniami i podmuchem zza pleców, który niesie znany głos:

– Ludzie nie są przystosowani do pokojowego współistnienia.

Odwraca się ze wzniesioną bronią i dostrzega Luca, czarną postać wyraźnie widoczną na tle ognia. Nie cofa się przed szablą, tylko wyciąga dłoń i przesuwa nią wzdłuż stali z wdziękiem kochanka muskającego skórę partnerki, muzyka pieszczącego instrument. Addie niemal oczekuje, że ostrze zaśpiewa pod jego palcami.

– Moja Adeline, ależ ty masz skłonność do wpadania w kłopoty! – Jaskrawozielone spojrzenie wędruje ku nieruchomym mężczyznom. – Miałaś szczęście, że tu byłem.

– Jesteś przecież nocą – przedrzeźnia go. – Czy nie powinieneś być wszędzie?

Luc uśmiecha się przelotnie.

– Masz znakomitą pamięć. – Zaciska palce wokół jej broni, która zaczyna rdzewieć. – Jakie to musi być męczące!

– Wcale nie – odpowiada sucho Addie. – To dar. Pomyśl, ile mogę się nauczyć. A skoro mam tyle czasu na naukę…

Przerywa jej z oddali salwa muszkietów, której odpowiada pojedynczy wystrzał z działa, donośny niczym grom. Luc krzywi się z niesmakiem, a ona uśmiecha się na ten widok. Działo odzywa się znów, a on łapie ją za nadgarstek.

– Chodź – komenderuje krótko. – Nie słyszę własnych myśli.

Odwraca się na pięcie i ciągnie ją za sobą, ale nie naprzód, tylko w bok, w głęboki cień pod najbliższym murem. Addie wyrywa się, przekonana, że uderzy w kamienną ścianę, lecz ta się otwiera. Zanim dziewczyna jest w stanie odetchnąć, czy też się cofnąć, Paryż znika, a razem z nim Luc.

Addie wpada w kompletną ciemność.

Nie panuje tu bezruch śmierci, nie jest pusto ani spokojnie. Absolutna czerń jest pełna gwałtownych poruszeń: ptasie skrzydła biją o jej skórę, wiatr rozwiewa jej włosy, a tysiąc głosów szepcze do ucha. Jest strach i spadanie, szybkość i szaleństwo, a zanim dziewczyna nawet pomyśli, żeby krzyknąć, ciemność rozwiera się ponownie, noc odzyskuje kształt, a Luc znów stoi koło niej.

Addie chwieje się, odzyskuje równowagę, opierając się o framugę czyichś drzwi, czuje mdłości, pustkę i dezorientację.

– Co to było? – pyta, lecz Luc milczy. Stoi teraz kilka metrów od niej, opierając się o balustradę mostu i przyglądając rzece.

Nie jest to jednak Sekwana.

Wokół nie widać płonących barykad, nie słychać wystrzałów armatnich. Nikt nie czai się na nią z bronią w ręku. Tylko obca rzeka toczy nurt pod obcym mostem, wzdłuż obcych brzegów wznoszą się obce budynki, a ich dachy kryją czerwone dachówki.

– Dużo lepiej – ocenia cień, poprawiając mankiety. Kiedy lecieli przez nicość, w jakiś sposób zmienił strój: ubranie o wyższym kołnierzu, innym kroju, luźniejsze i jedwabne, podczas gdy Addie wciąż ma na sobie źle dopasowaną tunikę, ocaloną z paryskiej ulicy.

Obok nich przechodzi jakaś para, trzymając się za ręce, a do uszu Addie dociera melodia obcego języka.

– Gdzie jesteśmy? – pyta.

Luc ogląda się przez ramię i mówi coś w tym samym języku, a potem powtarza po francusku:

– Jesteśmy we Florencji.

Florencja. Addie słyszała już kiedyś nazwę tego miasta, ale niewiele o nim wie, poza oczywistym faktem: znajdują się teraz nie we Francji, ale we Włoszech.

– Coś ty narobił?! – krzyczy. – Jakim cudem… Nie, mniejsza o to. Zabierz mnie z powrotem.

Luc unosi brew.

– Adeline, jak na kogoś, kto ma tyle czasu, strasznie się spieszysz. – Rusza dalej, a ona nie ma wyboru, musi podążać za nim.

Wchłania osobliwą atmosferę nowego miasta. Florencja składa się z dziwnych kształtów i ostrych krawędzi, kopuł i iglic, murów z białego kamienia i dachów krytych miedzią. To miejsce malowane inną paletą, muzyka grana w innej tonacji. Serce skacze jej w piersi od otaczającego piękna, a Luc uśmiecha się, tak jakby wyczuwał jej zachwyt.

– Wolałabyś płonące ulice Paryża?

– Zakładam, że ta wojna ci się podobała?

– To nie wojna – ucina. – To tylko zamieszki.

Addie idzie za nim na otwarty podwórzec, placyk, na którym stoją kamienne ławki, a powietrze jest ciężkie od aromatu letnich kwiatów. Luc, wzorowy dżentelmen zażywający nocnego spaceru, idzie przed siebie i zwalnia kroku dopiero, kiedy widzi mężczyznę z butelką wina pod pachą. Zgina palce i tamten zmienia trasę, podchodząc niczym pies na gwizdnięcie. Towarzysz Addie gładko przechodzi na inny język, florencki dialekt włoskiego, którego ona kiedyś się nauczy, ale mimo że teraz nie zna jeszcze słów, rozpoznaje pokusę w jego głosie, zwiewny blask, który rośnie w powietrzu między nimi. Zna również rozmarzony wyraz twarzy, jaki pojawia się u Włocha. Mężczyzna oddaje wino z posłusznym uśmiechem i odchodzi niepewnym krokiem.

Luc opada na ławkę i wyciąga znikąd dwa kieliszki.

Addie nie siada. Stoi, patrzy, jak cień odkorkowuje butelkę i nalewa wino do naczyń, a potem pyta:

– Dlaczego wojna miałaby mi się podobać?

Chyba po raz pierwszy zadał uczciwe pytanie, bez podstępnej intencji, nie próbując jej do niczego skłonić.

– Czyż nie jesteś bogiem chaosu?

Luc robi kwaśną minę.

– Jestem bogiem obietnic, Adeline, a podczas wojen zdarzają się straszni klienci. – Podaje jej kieliszek, a kiedy ona nie reaguje, unosi go, jakby w toaście. – Wypijmy za długie życie.

Addie nie może się powstrzymać i kręci ze zdumieniem głową.

– W niektóre noce uwielbiasz mnie torturować, żebym się poddała, ale w inne mnie oszczędzasz. Naprawdę, czasem chciałabym, żebyś się zdecydował.

Cień przemyka przez jego twarz.

– Zaufaj mi, moja droga, nie chciałabyś – mówi, a ją przebiega dreszcz. Luc unosi kieliszek do ust. – Nie myl mojego zachowania z życzliwością, Adeline. – Jego oczy błyszczą złośliwie. – Ja tylko chcę cię złamać.

Dziewczyna rozgląda się po placu obramowanym drzewami, rozświetlonym latarniami i blaskiem księżyca świecącego na dachy kryte czerwoną dachówką.

– No to musisz chyba bardziej się postarać…

Milknie, kiedy jej wzrok pada na kamienną ławkę.

– O, do diabła – klnie pod nosem, rozglądając się po pustym placu.

Ponieważ Luc oczywiście zniknął.

Nowy Jork
6 kwietnia 2014

VI

– I tak cię tam zostawił? – pyta Henry z osłupieniem.

Addie bierze frytkę i obraca ją między palcami.

– Są gorsze miejsca.

Siedzą przy wysokim stoliku w tak zwanym pubie, czy też tym, co może uchodzić za pub poza Wielką Brytanią, dzieląc się kuflem ciepłego piwa i porcją ryby z frytkami skropionymi octem.

Kelner przechodzi koło nich i uśmiecha się do Henry'ego.

Para dziewczyn zmierzająca do toalety zwalnia w ich pobliżu i ogląda się na nich.

Od pobliskiego stolika dobiega ich potok słów, niskie, szybkie staccato niemieckiego, a Addie krzywi usta w uśmiechu.

– O co chodzi? – pyta Henry.

Nachyla się ku niemu.

– Tamta para – nieznacznie kiwa ku nim głową – się kłóci. Najwyraźniej facet przespał się ze swoją sekretarką. I asystentką. No i z instruktorką pilatesu. Kobieta wiedziała o pierwszych dwóch, ale jest wściekła z powodu tej trzeciej, ponieważ oboje ćwiczą pilates w tym samym studiu.

Henry gapi się na nią z podziwem.

– Ile znasz języków?

– Dość – mówi Addie, ale ponieważ on chciałby wiedzieć dokładnie, odlicza na palcach. – Oczywiście francuski. Angielski. Grekę i łacinę. Niemiecki, hiszpański, gwarę szwajcarską, trochę portugalskiego, chociaż nie idealnie.

– Byłabyś wspaniałą szpieginią.

Addie unosi brew, podnosząc kufel.

– A kto mówi, że nie byłam?

Talerz jest pusty, kiedy dziewczyna rozgląda się i widzi kelnera wchodzącego do kuchni.

– Chodź – nagli, łapiąc dłoń Henry'ego.

– Ale nie zapłaciliśmy.

– Wiem – mówi Addie, zeskakując ze stołka. – Ale jeśli teraz sobie pójdziemy, pomyśli, że zapomniał sprzątnąć ze stolika. Nie będzie nas pamiętał.

To cały problem z życiem takim jak życie Addie.

Zaszła tak daleko bez korzeni, że nie wie, jak je znowu zapuścić.

Tak przywykła do tracenia rzeczy, że nie za bardzo wie, jak je zatrzymać na dłużej.

Jak wykroić sobie w świecie przestrzeń o rozmiarach odpowiednich dla jej osoby.

– Nie – przyznaje Henry. – Nie zapamięta ciebie, ale zapamięta mnie. Ja nie jestem niewidzialny, Addie, wprost przeciwnie!

„Niewidzialny". To słowo ją kłuje.

– Ja też nie jestem niewidzialna – oponuje.

– Wiesz, co mam na myśli. Nie mogę tak sobie wstać i odejść. A nawet gdybym mógł – zastrzega, sięgając po portfel – wciąż byłoby to niewłaściwe.

To słowo uderza ją na odlew. Znów jest w Paryżu, zgięta wpół z głodu. Siedzi w jadalni markiza, biesiadując w skradzionym ubraniu, a żołądek ściska jej się, gdy Luc podkreśla, że ktoś zapłaci za każdy jej kęs.

Twarz płonie jej ze wstydu.

– Świetnie – mówi, wyciągając z kieszeni garść dwudziestodolarówek. Upuszcza dwie z nich na stolik. – Teraz lepiej? – Kiedy podnosi wzrok na Henry'ego, widzi, że marszczy czoło jeszcze głębiej.

– Skąd masz te pieniądze?

Nie ma ochoty wyjaśniać mu, że wyszła z modnego butiku, a potem udała się do lombardu, przeniosła rzeczy z jednego miejsca do drugiego, a w zamian dostała pieniądze. Nie chce mówić, że wszystko, co ma – wszystko poza nim – jest kradzione. On zresztą też, na swój sposób. Addie

nie lubi oglądać jego pełnej potępienia miny ani nie ma zamiaru rozmyślać nad tym, na ile jest uzasadniona.

– Czy to ma znaczenie? – pyta.

A Henry odpowiada na to:

– Tak! – z takim przekonaniem, że Addie rumieni się jeszcze mocniej.

– Myślisz, że chcę żyć w ten sposób? – cedzi. – Bez pracy, bez więzi, nie mogąc zatrzymać na dłużej żadnego przedmiotu ani bliskiej osoby? Czy sądzisz, że lubię być sama?

Henry wygląda, jakby go zraniła.

– Nie jesteś sama, masz mnie – oponuje.

– Wiem, ale nie powinieneś robić wszystkiego ani być dla mnie wszystkim.

– Nie przeszkadza mi…

– Ale mnie przeszkadza! – przerywa mu ostro, sama zaskoczona własnym gniewem. – Jestem człowiekiem, Henry, nie ulubionym zwierzątkiem, i nie potrzebuję, żebyś patrzył na mnie z góry ani mnie zagłaskiwał. Robię to, co muszę, i nie zawsze jest to grzeczne, nie zawsze uczciwe, ale w ten sposób przeżyłam trzysta lat. Przykro mi, że ci się to nie podoba, ale taka właśnie jestem. Tak to działa w moim życiu.

Henry kręci głową.

– Ale nie zadziała w naszym.

Addie cofa się, jakby ją uderzył. Nagle w pubie jest zbyt głośno, zbyt tłoczno, a ona nie może wytrzymać w środku, nie może stać nieruchomo, więc odwraca się i wybiega.

W chwili, gdy owiewa ją nocne powietrze, czuje mdłości.

Świat kołysze się, potem wraca do równowagi… i nagle, gdzieś między jednym krokiem a drugim cały gniew znika, a dziewczyna czuje się tylko zmęczona i smutna.

Nie rozumie, jak to się stało, że wydarzenia tego wieczoru zeszły na manowce.

Nie rozumie nagłego ciężaru w sercu, aż zdaje sobie sprawę, co to naprawdę jest. Strach. Przerażenie, że to schrzaniła, odrzuciła jedyną rzecz, jakiej zawsze pragnęła. Obawa, że ich związek jest tak kruchy, że rozpadnie się tak łatwo.

Potem jednak słyszy kroki i wyczuwa za sobą Henry’ego.

Chłopak nie mówi nic, tylko idzie o pół kroku za nią, a milczenie, jakie między nimi zapadło, jest całkiem nowe. To cisza po burzy, kiedy straty nie zostały jeszcze podliczone.

Addie ociera łzę z policzka.

– Zniszczyłam to?

– Co?

– Nasz związek.

– Addie – mówi Henry i łapie ją za ramię. Dziewczyna odwraca się, oczekując gniewu na jego twarzy, ale nie, jest spokojny. – To była tylko kłótnia, to nie koniec świata, a na pewno nie koniec naszego związku.

Marzyła o tym przez trzysta lat.

Zawsze myślała, że będzie łatwo.

Inaczej niż z Lukiem.

– Nie wiem, jak to jest być z kimś – szepcze Addie. – Nie wiem, jak być normalną osobą.

Henry uśmiecha się krzywo.

– Jesteś niesamowita. Silna, uparta i inteligentna. Sądzę jednak, że najbezpieczniej byłoby powiedzieć, że nigdy nie będziesz normalna.

Idą obok siebie, a wokół nich zapada chłodna noc.

– Wróciłaś wtedy do Paryża? – pyta Henry.

To gałązka oliwna, pomost wystawiony w jej kierunku. Jest mu za to głęboko wdzięczna.

– W końcu tak – przyznaje.

Powrót zabrał jej o wiele więcej czasu bez wsparcia Luca i jej naiwnej motywacji, by dotrzeć do Paryża. Z zakłopotaniem wyznaje Henry'emu, że wcale się nie spieszyła. Nawet jeżeli Luc chciał jej zaszkodzić, porzucając ją we Florencji, to jednocześnie przełamał w ten sposób pewną barierę i uwolnił Addie od części ograniczeń.

Do tej chwili nigdy nie przyszło jej do głowy, że mogłaby opuścić Francję. Teraz to absurd, ale wówczas jej świat był o wiele mniejszy. I nagle urósł.

Być może cień chciał pogrążyć jej życie w chaosie.

Może myślał, że jest jej za wygodnie, a przez to stała się zbyt uparta.

Może chciał, by wezwała go znowu i błagała, żeby wrócił.

Może, może, może – ale tego Addie nigdy się nie dowie.

Wenecja, Włochy
29 lipca 1806

VII

Addie budzi się w jedwabiach, oświetlona promieniami słońca.

Czuje się ociężała, a w głowie ma gęstą mgłę. Tego rodzaju uczucie pojawia się, kiedy przesadzi ze słońcem i ze snem.

W Wenecji panuje piekielny upał, większy niż kiedykolwiek w Paryżu.

Okno jest otwarte, ale ani lekki wiaterek, ani jedwabna pościel nie są w stanie rozproszyć obezwładniającego gorąca. Jest dopiero rano, a kropelki potu już pojawiają się na jej skórze, zastanawia się więc, jak będzie w południe. Otwiera z wysiłkiem oczy i widzi Mattea siedzącego w nogach łoża.

W świetle dnia wygląda równie pięknie, opromieniony słońcem i muskularny, ale ją mniej ujmuje jego uroda, a bardziej dziwny spokój tej sceny.

Rankiem zwykle wybucha zamieszanie z konsternacją, przeprosinami i wszystkimi pozostałymi efektami zapomnienia. Czasem sytuacja bywa bolesna, a zawsze – krępująca.

Tymczasem Matteo wydaje się kompletnie nieporuszony.

Nie pamięta jej, to oczywiste, ale obecność nieznajomej w jego łóżku ani go nie zaskakuje, ani nie martwi. Skupia się wyłącznie na szkicowniku, trzymanym na kolanie. Węgiel tańczy zwinnie po pergaminie. Dopiero kiedy jego wzrok pada na nią, a potem z powrotem na szkicownik, zdaje sobie sprawę, że rysuje właśnie ją.

Addie ani drgnie: nie próbuje się przykryć ani sięgnąć po halkę rzuconą na krzesło czy cienki szlafroczek leżący na łóżku. Od dłuższego czasu nie wstydzi się swojego ciała, a nawet cieszy ją podziw innych. Być może

z czasem do tego przywykła, a może to dlatego, że jej ciało się nie zmienia, a może wyzwoliła się od wstydu, wiedząc, że ci, którzy ją oglądają, nie zachowają jej wizerunku w pamięci.

Mimo wszystko zapomnienie innych zapewnia jej jakąś wolność.

Matteo tymczasem nadal rysuje, swobodnymi, zwinnymi ruchami.

– Co robisz? – pyta cicho Addie, a on odrywa spojrzenie od pergaminu.

– Przepraszam – mówi. – Wyglądałaś tak, że musiałem to uchwycić.

Addie marszczy brwi i zaczyna się podnosić, ale rysownik wydaje zduszone stęknięcie i protestuje:

– Jeszcze nie! – Więc dziewczyna powstrzymuje się z najwyższym wysiłkiem, zostaje na łóżku, z dłońmi w pościeli, dopóki Matteo nie westchnie i nie odłoży szkicu z oczami pełnymi blasku, jak to artysta po skończonej pracy.

– Mogę zobaczyć? – pyta Addie melodyjnym włoskim, którego zdążyła się nauczyć przez ostatnie lata.

– Jeszcze nie skończyłem – odpowiada, ale i tak podaje jej szkicownik.

Dziewczyna patrzy na rysunek. Linie są swobodne, nieprecyzyjne, to szybkie studium nakreślone przez utalentowaną dłoń. Jej twarz jest niemal niewidoczna, prawie abstrakcyjna w plątaninie światła i cienia.

To ona i zarazem nie ona.

Obraz zniekształcony przez filtr czyjegoś stylu. Addie dostrzega w nim jednak siebie, od krzywizny policzka do obrysu ramion, od poplątanej podczas snu fryzury do zaznaczonych węglem piegów rozsianych po jej twarzy. Siedem kropek, które wyglądają jak gwiazdy.

Ściera drobinki węgla ku dołowi rysunku, gdzie linie jej ciała płynnie przechodzą w zarys pościeli, i czuje, jak brudzi sobie skórę.

Kiedy jednak podnosi rękę, kciuk jest brudny, ale linia na rysunku – nietknięta. Nie pozostawiła śladu, chociaż w pewien sposób tak. Wywarła na Matteo takie wrażenie, że przelał swoją wizję na pergamin.

– Podoba ci się? – pyta rysownik.

– Tak… – mruczy, opierając się pokusie, by wydrzeć kartę ze szkicownika i zabrać ją ze sobą. Pragnie tego każdą komórką ciała: zatrzymać rysunek i wpatrywać się w niego niczym Narcyz w powierzchnię stawu. Ale jeśli go zabierze, na pewno prędzej czy później

zniknie albo będzie należał do niej i tylko do niej, a to tak samo, jakby się zagubił, jakby go zapomniano.

Jeżeli Matteo go zachowa, zapomni o modelce, ale nie o samym szkicu. Zapewne po jej odejściu wróci do niego i będzie się zastanawiał, kim była kobieta leżąca w jego pościeli. Nawet jeśli uzna, że to efekt którejś pijanej nocy i gorączkowych rojeń, jej obraz pozostanie tam, węgiel na pergaminie, palimpsest pod ukończoną pracą.

Pozostanie prawdziwy, a wraz z nim – ona.

Dlatego Addie przygląda się bacznie rysunkowi, wdzięczna za ostrość pamięci, a potem oddaje go artyście. Wstaje, sięgając po ubranie.

– Czy dobrze się bawiliśmy? – pyta Matteo. – Muszę przyznać, że nie pamiętam.

– Ja też nie – kłamie Addie.

– Ach, w takim razie musieliśmy się bawić bardzo dobrze – oznajmia rysownik z lubieżnym uśmiechem.

Całuje jej nagie ramię, a puls jej przyspiesza, ciało przypomina sobie poprzednią noc i nagle robi się cieplejsze. Teraz jest mu obca, ale Matteo okazuje namiętność artysty zakochanego zawsze w najnowszym obiekcie. Najprościej byłoby zostać, zacząć od nowa, cieszyć się jego towarzystwem jeszcze jeden dzień, lecz jej myśli wciąż krążą wokół rysunku, znaczenia tych linii, ich niezmiernej wagi.

– Muszę już iść – stwierdza, pochylając się, by pocałować go po raz ostatni. – Spróbuj mnie zapamiętać.

Mężczyzna śmieje się, rozpromieniony, przyciąga ją do siebie, pozostawiając odciski umazanych węglem palców na skórze.

– Jakże mógłbym zapomnieć?

Tego wieczoru zachód słońca zmienia wodę kanałów w złoto.

Addie stoi na moście, wyciera kciuk z węgla i myśli o rysunku, o wizji artysty będącej echem prawdy, myśli o słowach Luca sprzed wielu lat, kiedy wygnał ją z salonu Madame Geoffrin.

„Idee są dużo dziwniejsze od wspomnień”.

Bez wątpienia chciał jej w ten sposób dopiec, ale powinna była dostrzec w jego słowach podpowiedź, klucz.

Wspomnienia są sztywne, a idee – swobodniejsze. Zapuszczają korzenie, plączą się i rozprzestrzeniają, czasem także w oderwaniu od źródła. Są inteligentne, uparte i być może, ale tylko być może, Addie potrafi zaszczepić je w umysłach innych ludzi.

Dwie przecznice dalej, w małym atelier nad kawiarnią mieszka artysta, na jednej z kart jego szkicownika znajduje się rysunek, a na tym rysunku widnieje właśnie ona. Teraz Addie zamyka oczy, odchyla głowę i uśmiecha się, a w jej piersi rośnie nadzieja. To pęknięcie w murze nieustępliwej klątwy. Myślała, że zbadała jego każdy centymetr, ale oto otwierają się drzwi do nowego, nieodkrytego pokoju.

Powietrze za jej plecami porusza się, dochodzi ją ostry zapach lasu, kompletnie nie na miejscu w weneckim upale.

Powoli otwiera oczy.

– Dobry wieczór, Luc.

– Adeline.

Odwraca się ku niemu, ku mężczyźnie, któremu nadała kształt, cieniowi, diabłu powołanemu przez nią do życia. A kiedy pyta, czy Addie ma dosyć, czy jest już zmęczona, czy podda mu się dziś wieczorem, ona uśmiecha się i mówi:

– Nie dzisiaj.

Jeszcze raz pociera palcem o kciuk, czuje tam węgiel i zastanawia się, czy zdradzić mu, co odkryła, tylko po to, by nasycić się jego zaskoczeniem.

Chciałaby mu powiedzieć: „Teraz wiem, jak zostawić po sobie ślad. Myślałeś, że wymażesz mnie z tego świata, ale nie możesz. Wciąż tu jestem. Zawsze tu będę”.

Czuje smak tych triumfalnych słów, słodkich niczym cukier, ale w jego spojrzeniu kryje się dzisiaj ostrzeżenie, a jak zna Luca, potrafiłby obrócić to odkrycie przeciwko niej, zabrać jej tę małą radość, zanim znalazłaby sposób, by ją wykorzystać.

Dlatego milczy.

Nowy Jork
25 kwietnia 2014

VIII

Fala braw toczy się ponad trawnikiem.

Jest cudowny wiosenny dzień, jeden z pierwszych, kiedy czuje się ciepło nawet po zachodzie słońca, a oni siedzą na kocu, na skraju Prospect Park, podczas gdy artyści kolejno pojawiają się na przenośnej scenie pośrodku rozległego trawiastego placu.

– Nie mogę uwierzyć, że to wszystko pamiętasz – mówi Henry, kiedy nowy wokalista wchodzi po schodach.

– To jak życie w ciągłym déjà vu – wyjaśnia Addie – tyle że wiem dokładnie, gdzie coś wcześniej widziałam, słyszałam albo czułam. Znam datę, godzinę i miejsce, a wszystko to leży poukładane na stosie jak strony bardzo długiej i bardzo skomplikowanej książki.

Henry kręci głową.

– Na twoim miejscu oszalałbym.

– Och, ja też oszalałam – odpowiada beztrosko dziewczyna – ale jeśli żyjesz dość długo, nawet szaleństwo mija.

Nowy wokalista jest… taki sobie.

To nastolatek, którego głos składa się w równych częściach z warczenia i pisku. Addie nie potrafi rozróżnić większości słów ze śpiewanej przez niego piosenki, nie mówiąc już o melodii. Trawnik jest jednak pełen ludzi, widownia kipi entuzjazmem, tyle że ludzie nie cieszą się z występu, a bardziej z tego, że mogą pomachać kartkami z wielkimi numerami.

To brooklińska odpowiedź na formułę sceny otwartej: dobroczynny koncert, podczas którego jedni płacą, by wystąpić, a drudzy – by ich ocenić.

– Wydaje się to dość okrutne – stwierdziła Addie, kiedy Henry wręczał jej kartki.

– To dla dobra sprawy – odpowiedział, krzywiąc się na ostatnie nuty płynące z saksofonu.

Piosenka się kończy i słychać słabe brawa.

Na widowni podnosi się morze dwójek i trójek. Henry podnosi nad głowę dziewiątkę.

– Nie możesz dawać im wszystkim dziewiątek i dziesiątek – oponuje Addie.

Chłopak wzrusza ramionami.

– Współczuję im. Trzeba mieć niezłe jaja, żeby tam wejść i wystąpić. A ile byś dała?

Dziewczyna spogląda na swoje karty.

– Nie wiem.

– Mówiłaś, że jesteś łowczynią talentów?

– Tak, no wiesz, to łatwiejsze niż powiedzieć, że jestem trzystudwudziestotrzyletnim duchem, którego jedynym hobby jest inspirowanie artystów.

Henry wyciąga dłoń i głaszcze ją po policzku.

– Nie jesteś żadnym duchem.

Następna piosenka zaczyna się, potem kończy, a rzadkie brawa brzmią jak deszcz padający na trawnik.

Henry pokazuje kartkę z cyfrą siedem.

Addie podnosi trójkę.

Chłopak patrzy na nią z zaskoczeniem.

– Co? – pyta go obronnym tonem. – Nie był zbyt dobry.

– A to my tu oceniamy talent? O cholera…

Addie się śmieje, a tymczasem następuje przerwa w występach, ponieważ kolejni wykonawcy nie mogą się porozumieć co do kolejności wyjść na scenę. Głośniki rozbrzmiewają nagraniami z taśmy, a Henry i Addie kładą się na trawie. Głowa dziewczyny spoczywa na jego brzuchu, toteż jego oddech niesie ją niczym płytka fala.

Zapada pomiędzy nimi nowe milczenie, dużo rzadsze niż inne jego odmiany: przyjazna cisza znanych miejsc – przyjazna dlatego, że nie jest się tam samemu. Pomiędzy nimi leży na kocu notatnik, ale nie niebieski,

tamten jest już pełen. Nowy jest szmaragdowozielony, niemal tego samego koloru, co oczy Luca, kiedy się popisuje.

Między stronami notesu tkwi długopis.

Addie codziennie opowiada Henry'emu dalszy ciąg historii.

Nad jajkami i kawą relacjonowała mu morderczy marsz do Le Mans. Pewnego dnia w antykwariacie, kiedy rozpakowywali nowe wydania, opowiedziała mu o pierwszym roku życia w Paryżu. Zaplątana w prześcieradła ostatniej nocy, mówiła o Remym. Henry poprosił ją o prawdę, jej prawdę, więc ją opowiada. Po trochu, we fragmentach tkwiących jak zakładki pomiędzy codziennymi czynnościami.

Henry jest niczym naładowany kondensator, pełen nerwowej energii: nie potrafi usiedzieć w miejscu, jednak co chwilę następuje przerwa, chwila ciszy i spokoju. Łapie wtedy najnowszy notatnik i długopis, i mimo że zawsze przechodzi ją dreszcz podniecenia na widok słów – jej słów – sypiących się na kartkę, śmieje się z szybkości jego zapisków.

– Mamy czas – przypomina mu, gładząc go po głowie.

Wyciąga się koło niego i patrzy na gasnące światło dnia, na niebo pokryte pasami fioletu i błękitu. Zapada wieczór, a ona wie, że nie ukryje się przed ciemnością nawet pod dachem, ale kiedy leży pod gołym niebem, czuje się szczególnie narażona na niebezpieczeństwo.

Mieli szczęście, mnóstwo szczęścia, ale cały kłopot ze szczęściem polega na tym, że zawsze się kończy.

Może to tylko nerwowe postukiwanie palców Henry'ego w okładkę notatnika.

Może to tylko niebo bez księżyca.

A może to radość z bycia razem wydaje jej się taka przerażająca.

Następny zespół wchodzi na scenę.

Kiedy muzyka rozbrzmiewa nad widownią, Addie nie może oderwać oczu od ciemnego nieba.

Londyn, Anglia
26 marca 1827

IX

Mogłaby zamieszkać w National Gallery.

W sumie prawie tak jest: spędziła tu kilka miesięcy, wędrując od sali do sali, pasąc oczy widokiem pejzaży i portretów, rzeźb i tkanin. Życie pomiędzy przyjaciółmi, między echami z przeszłości.

Przemierza marmurowe korytarze i liczy dzieła noszące piętno jej dotyku lub znaki pozostawione przez inne dłonie, prowadzone przez nią.

Kiedy ostatnio odwiedzała to miejsce, w tej konkretnej kolekcji naliczyła sześć takich obrazów.

Sześć filarów podtrzymujących ją przy życiu.

Sześć głosów pomagających jej przetrwać.

Sześć luster ukazujących jej wizerunek światu.

Nie ma tu śladu po szkicu Mattea, przynajmniej nie pomiędzy ukończonymi dziełami. Lecz widzi tamte linie w jego arcydziele, zatytułowanym Muza, widzi je znów w rzeźbie twarzy spoczywającej na dłoni i w obrazie kobiety siedzącej nad morzem.

Addie jest duchem, pajęczyną nałożoną na dzieła sztuki niczym półprzezroczysta błona.

Mimo ulotności jej wizerunek tam jest.

Jest tam na pewno.

Strażnik informuje ją, że wkrótce zamykają, a ona dziękuje mu i kontynuuje obchód. Mogłaby tu zostać, ale ogromne sale nie są tak przytulne, jak pozostawione na zimę bez opieki mieszkanko w Kensington, prawdziwy klejnot wśród lokali.

Zatrzymuje się przed ulubionym obrazem, portretem dziewczyny przed lustrem. Modelka siedzi tyłem do artysty, który namalował tło i jej postać niezwykle szczegółowo, lecz jej odbicie to niewiele więcej niż niewyraźna smuga. Twarz Addie jest tylko srebrną, rozmazaną plamą w lustrze. A mimo to z bliska każdy może dostrzec siedem piegów, jak gwiazdy płynące po zakrzywionym szarym niebie.

– Aleś ty chytra – odzywa się głos za jej plecami.

Addie była w galerii sama, ale teraz ma już towarzystwo.

Patrzy w lewo i widzi Luca, spoglądającego na malowidło z przechyloną głową, tak jakby je podziwiał. Przez chwilę dziewczyna czuje się jak szafka z szeroko otwartymi drzwiami. Dała się zmylić, nie czekała na niego w napięciu, ponieważ do ich rocznicy zostało jeszcze kilka miesięcy.

– Co tu robisz? – pyta.

Cień z przyjemnością patrzy na jej zaskoczenie, a jego usta drgają w lekkim uśmiechu.

– Jestem wszędzie.

Nigdy nie przyszło jej do głowy, że Luc może odwiedzać ją, kiedy mu przyjdzie ochota, że w żaden sposób nie jest związany datą zawarcia umowy. Składał wizyty w lipcu (lub je pomijał) zawsze z rozmysłem, z wyboru.

– Widzę, że byłaś zajęta – mówi, a jego zielone oczy błądzą po portrecie.

To prawda. Rozrzuciła swoje wizerunki jak okruszki pomiędzy setkami dzieł sztuki. Nie byłoby mu łatwo wymazać je wszystkie. Mimo to dzisiaj da się wyczuć u niego mroczny nastrój. Addie nie ufa jego spojrzeniu.

Wyciąga dłoń i przesuwa palcem po ramie.

– Zniszcz ten obraz, a postaram się o więcej – ostrzega go.

– To nic nie znaczy – mówi, odsuwając dłoń. – Nic nie znaczysz, Adeline.

Słowa ranią ją, nawet teraz, po tylu latach.

– Zachowaj te echa i udawaj, że są głosem.

Addie doskonale zna paskudne humory Luca, jego napady gniewu, krótkie i jasne niczym błyskawice. Dziś wieczorem jednak w jego głosie czai się okrucieństwo i przemoc. Raczej nie rozgniewała go jej przebiegłość, przebłyski jej twarzy schowane w sztuce.

Nie, przybył tutaj już w takim mrocznym nastroju.

Ciemność nadchodzi jego śladem.

Minęło niemal sto lat, od kiedy go uderzyła, tamtej nocy w Villon, a on jej oddał, zmieniając ją w powykręcaną staruszkę na podłodze domu Estele. Teraz, zamiast wycofać się na widok obnażonych zębów, łapie przynętę.

– Sam to powiedziałeś, Luc. Idee są dużo dziwniejsze od wspomnień. A ja potrafię je zasiać. Jestem uparta niczym zielsko. Nie uda ci się mnie wykorzenić. Myślę, że w gruncie rzeczy ci się to podoba i dlatego przyszedłeś… ponieważ ty też jesteś samotny.

Oczy cienia błyskają odrażającą, gwałtowną zielenią.

– Nie bądź idiotką – syczy. – Wszyscy znają bogów!

– A ilu ich pamięta? – odpala Addie. – Jak wielu śmiertelników spotkało cię więcej niż dwa razy, raz, kiedy zawieraliście umowę, a potem drugi raz, kiedy płacili wyznaczoną cenę? Ilu z nich odwiedzałeś tak często jak mnie? – pyta z triumfalnym uśmiechem. – A może właśnie dlatego rzuciłeś na mnie taką klątwę? Po to, żeby mieć towarzystwo, żeby ktoś cię zapamiętał.

W jednej chwili znajduje się przy niej, przypiera ją do ściany muzeum.

– Przeklątem cię, bo byłaś głupia.

Addie wybucha śmiechem.

– Wiesz, w dzieciństwie wyobrażałam sobie starych bogów jako wspaniałych nieśmiertelnych, będących ponad pospolite sprawy, trapiące ich czcicieli. Myślałam, że jesteście więksi niż my, ale tak nie jest. Jesteście równie kapryśni i niedoskonali jak ludzie, którymi pogardzacie. – Jego dłoń zaciska się na jej ramieniu, ale dziewczyna ani drgnie, wytrzymując jego wzrok. – Wcale się tak bardzo nie różnimy, prawda?

Wściekłość Luca twardnieje i stygnie, zieleń jego oczu wpada teraz niemal w czerń.

– Utrzymujesz, że znasz mnie tak dobrze? No to zobaczmy... – Jego ręka opada z ramienia na nadgarstek Addie, a ona zbyt późno zdaje sobie sprawę, co chce zrobić.

Minęło czterdzieści lat, od kiedy pociągnął ją przez mrok, ale nie zapomniała tamtego pierwotnego strachu, dzikiej nadziei i poczucia, że ktoś lekkomyślnie zostawił drzwi otwarte prosto w noc.

Spadanie zdaje się ciągnąć w nieskończoność…

A potem nagle się kończy. Addie stoi na czworakach na parkiecie, trzęsąc się po tej niesamowitej podróży.

Przed nią stoi łóżko, puste, z pościelą pozostawioną w nieładzie. Zasłony rozsunięto jak szeroko, podłoga jest zasłana zapisanym papierem nutowym, a w pokoju śmierdzi stęchlizną.

– Co za marnotrawstwo – mruczy Luc.

Addie podnosi się chwiejnie.

– Gdzie jesteśmy?

– Wzięłaś mnie za jakiegoś samotnego śmiertelnika. Za żałosnego człowieczka w poszukiwaniu towarzystwa. Nie jestem żadnym z nich.

Addie dostrzega poruszenie po drugiej pokoju i zdaje sobie sprawę, że nie są sami. Na stołku przy fortepianie siedzi tyłem do klawiatury człowiek wyglądający jak duch, siwy i z szaleństwem w oczach.

Błaga o coś po niemiecku.

– Jeszcze nie – mówi, przyciskając do piersi karty zapisane nutami. – Jeszcze nie. Potrzebuję więcej czasu.

Jego głos brzmi dziwnie, zbyt głośno, jak u niesłyszącego. Natomiast głos Luca, kiedy mu odpowiada, jest gładki i niski, jak dzwon, równie dobrze go słychać, jak i czuć:

– Najbardziej irytująca cecha czasu polega na tym, że nigdy go nie wystarcza – zauważa. – Czasem brakuje dekady, czasem tylko chwili, ale życie zawsze kończy się zbyt szybko.

– Proszę – żebrze mężczyzna, padając przed ciemnością na kolana, a Addie współczuje mu całym sercem, bo wie, że te prośby nic nie dadzą. – Zawrzyjmy jeszcze jedną umowę!

Luc podnosi tamtego.

– Czas zawierania umów się skończył, Herr Beethoven. Teraz musi pan wypowiedzieć właściwe słowa.

Jego rozmówca kręci głową.

– Nie!

Addie nie widzi oczu Luca, ale wyczuwa jego narastający gniew. Powietrze w pokoju faluje niczym wicher albo coś jeszcze potężniejszego.

– Oddaj mi duszę – rozkazuje Luc – albo zabiorę ją siłą.

– Nie! – wrzeszczy histerycznie tamten. – Precz, Szatanie! Odejdź i…

To ostatnia rzecz, jaką jest w stanie wypowiedzieć, zanim Luc się rozwinie.

Tylko tak można to opisać.

Z jego twarzy wyrastają czarne włosy niczym pnącza, skóra faluje i pęka, a to, co wyłania się ze środka, to nie człowiek, to potwór, to bóstwo. To sama noc i coś jeszcze, coś, czego nigdy nie widziała, czego widoku nie może znieść. Coś starszego niż mrok.

– Oddaj duszę!

Teraz głos nie jest już głosem, lecz kakofonią łamiących się gałęzi i świstu letniego wiatru, niskiego warkotu wilka i nagłego dudnienia skał przesuwających się pod stopami.

Mężczyzna bełkocze błagalnie, po czym krzyczy:

– Pomocy! – ale to bez sensu. Jeżeli nawet za drzwiami ktoś jest, nie usłyszy. – Pomocy! – wrzeszczy. Bez sensu.

Wtedy potwór zanurza dłoń w jego pierś.

Kompozytor zatacza się, blednąc nagle, gdy ciemność wyłuskuje z niego duszę niczym owoc. Wydziera mu ją z piersi z okropnym odgłosem, a Beethoven chwieje się i pada na podłogę. Addie patrzy jednak na płomyczek w dłoni cienia, poszarpany i niepewny. Zanim zdąży dojrzeć kolorową wstęgę wijącą się wokół niego, zanim zachwyci się wirującymi wewnątrz obrazami, ciemność zamyka palce wokół duszy, która trzaska, przeszywając go niczym błyskawica, i znika.

Mężczyzna siedzi bezwładnie, oparty o stołek przed fortepianem, z odchyloną głową i pustymi oczami.

Luc, jak dowie się Addie, zawsze działa delikatnie. Ludzie widzą jego dzieło i mówią, że to choroba, atak serca, a czasami także szaleństwo, samobójstwo, przedawkowanie lub wypadek.

Dzisiaj wieczorem jednak Addie widzi tylko martwego mężczyznę na podłodze.

Ciemność odwraca się teraz do niej i w kłębach mętnego dymu nie ma śladu Luca. Żadnych zielonych oczu, złośliwego uśmiechu. Nic, tylko groźna pustka, cień pełen zębów.

Minęło sporo czasu, od kiedy Addie czuła prawdziwy strach. Poznała smutek, samotność i żal, ale strach odczuwają zwykle ci, którzy mają wiele do stracenia.

Mimo to, patrząc w tę ciemność, jest przerażona.

Siłą woli zmusza stopy do pozostania w miejscu, do utrzymania pozycji. Udaje jej się to, kiedy cień robi pierwszy krok w jej kierunku, a potem drugi, lecz przy trzecim Addie czuje, że mimowolnie się cofa. Byle dalej od wijącego się mroku, potwornej nocy, aż jej plecy dotykają ściany.

Ciemność mimo to się zbliża.

Z każdym krokiem jednak mglisty kształt staje się coraz bardziej materialny, jego kontury wyraźnieją, aż wygląda mniej na burzową chmurę, a bardziej na dym uwięziony w butelce. Twarz odnajduje dawną formę, mrok skręca się w luźne, czarne kędziory, oczy, znów widoczne, lśnią jak schnący kamień, a przepastna paszcza kurczy się do rozmiarów normalnych ust, skrzywionych w uśmiechu zadowolenia.

Luc znów przybiera ludzką postać, przebranie z krwi i kości. Jest teraz tak blisko, że Addie wyczuwa niosące się od niego chłodne nocne powietrze.

Tym razem przemawia dobrze jej znanym głosem:

– No cóż, kochanie. – Kładzie dłoń na jej policzku. – Czy na pewno się nie różnimy?

Dziewczyna nie próbuje nawet odpowiedzieć na to pytanie.

Popycha ją leciutko, a mur za nią się otwiera. Nie jest pewna, czy spada, czy też to cień pociąga ją w dół, wie tylko, że Luc zniknął razem z pokojem kompozytora. Przez chwilę wszędzie wokół jest ciemno, a potem nagle Addie pojawia się na świeżym powietrzu, na brukowanym nabrzeżu, wokół rozlega się śmiech, a w wodzie odbijają się światła. Słychać również cichą melodię, śpiewaną przez mężczyznę gdzieś nad Tamizą.

Nowy Jork
15 maja 2014

X

Addie wpada na pomysł, żeby przynieść do domu kota.

Być może zawsze tęskniła za zwierzęciem domowym.

Być może myśli, że kocur musi czuć się samotnie.

A może wydaje jej się, że to pomoże Henry'emu.

Nie wie, dlaczego to zrobiła, ale to bez znaczenia. Pewnego dnia, kiedy chłopak zamyka antykwariat, Addie pojawia się tuż za nim na schodkach z powieścią pod jedną pachą i starym kociskiem pod drugą – i już.

Niosą Książka do mieszkania Henry'ego, pokazują mu niebieskie drzwi, potem idą do ciasnego brooklińskiego mieszkania (kot, wbrew przesądnym obawom chłopaka, nie obrócił się w pył po wyniesieniu z antykwariatu). Teraz wałęsa się przez godzinę po apartamencie, a potem kładzie się koło stosu książek filozoficznych. Wygląda, jakby się właśnie zadomowił.

Podobnie jak Addie.

Siedzą przytuleni na kanapie, kiedy słyszy trzask polaroida, dostrzega nagły błysk i przez chwilę zastanawia się, czy to zadziała, czy Henry jest w stanie zrobić jej zdjęcie, tak jak napisał jej imię.

Jednak pismo w jego notatnikach nie wyszło spod jej ręki, mimo że zapisane słowa opowiadają jej historię, jej życie.

No i oczywiście, kiedy zdjęcie się wywołuje, a aparat je wypluwa, okazuje się, że nic z tego. Dziewczyna w kadrze ma jej falujące brązowe włosy, białą koszulkę, ale nie ma twarzy, a może nawet ma, lecz odwróciła ją od obiektywu, który uchwycił ją w ruchu, jako rozmazaną plamę.

Wiedziała, że się nie uda, ale i tak czuje rozczarowanie.

– Nie rozumiem – przyznaje Henry, obracając aparat w dłoniach. – Mogę spróbować jeszcze raz? – pyta, a ona rozumie, skąd ten upór. Trudno się pogodzić z tak oczywistą niemożliwością. Umysł nie potrafi tego pojąć, więc próbuje jeszcze raz i jeszcze, i znów, przekonany, że w końcu będzie inaczej.

Można od tego oszaleć. Addie doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

Mimo to posłusznie pozuje Henry'emu, kiedy chłopak fotografuje ją po raz drugi i trzeci, a potem patrzy, jak aparat się zacina, potem wysuwa pusty kartonik; następne zdjęcie jest prześwietlone, kolejne niedoświetlone, zamazane, aż zaczyna jej się kręcić w głowie od błysków flesza.

Pozwala mu spróbować różnych kątów, różnego oświetlenia, aż fotografie zaścielają podłogę między nimi. Addie tam jest, a jednocześnie jej nie ma, prawdziwa osoba, a zarazem duch.

Henry najwyraźniej dostrzega smutek dziewczyny, mimo że Addie próbuje go ukryć, więc w końcu opuszcza aparat.

Dziewczyna patrzy na zdjęcia i myśli o obrazach w londyńskiej galerii i o słowach Luca.

„To nic nie znaczy".

„Nic nie znaczysz, Adeline".

Podnosi ostatnią fotografię i przygląda się postaci dziewczyny, zamazanej tak, że nie da się jej rozpoznać. Zamyka oczy i przypomina sobie, że jest wiele sposobów, by pozostawić po sobie ślad, że obrazy kłamią.

A potem czuje w dłoniach masywny korpus aparatu i nabiera powietrza, żeby mu powiedzieć, że to nie zadziała, nie ma szans, ale Henry tam jest, za nią, kładąc jej palce na swojej dłoni i unosząc wizjer do jej oka. Pozwala jej prowadzić swoją rękę tak samo, jak to robił, kiedy pisali farbą po przeźroczystych ścianach. Puls jej przyspiesza, kiedy ustawia obiektyw na stertę zdjęć na podłodze i własne bose stopy u dołu kadru.

Wstrzymuje oddech i ma nadzieję, że…

Trzask. Błysk.

Tym razem zdjęcie wychodzi.

Oto życie w serii nieruchomych ujęć.

Chwile jak fotografie z polaroida, jak malowidła, jak kwiaty zasuszone między kartkami książki. Idealnie zachowane.

Cala trójka, drzemiąca w słońcu.

Addie głaszcząca włosy Henry'ego, opowiadająca mu historie, które on zapisuje, zapisuje i zapisuje.

Henry przyciskający ją do łóżka, ich palce splątane, ich oddechy szybkie, jej imię stłumione przez jej gęste włosy.

Oto stoją razem w jego małej kuchence, jego ramiona obok jej rąk, kiedy mieszają beszamel czy ugniatają ciasto na chleb.

Kiedy bochenek wędruje do pieca, chłopak ujmuje jej twarz dłońmi białymi od mąki, zostawiając wszędzie ślady.

Potem robią bałagan, a kuchnia wypełnia się zapachem świeżego chleba.

Rano wygląda to, jakby tańczyły po niej duchy, a oni udają, że oboje są duchami, a nie tylko jedno z nich.

Villon-sur-Sarthe
29 lipca 1854

XI

Nie przypuszczała, że Villon tak się zmieni.

Kiedy dorastała, miasteczko było wręcz nieznośnie spokojne, jak letnie powietrze przed burzą. Miejscowość wyrzeźbiona w skale. Ale przecież Luc powiedział kiedyś coś podobnego…

„Nawet skała ściera się na proch”.

Villon jednak nie starło się na proch. Przesunęło się, urosło, wypuściło nowe korzenie, a inne odcięło. Las został odepchnięty od granic miasta, drzewa z brzegu padły pod ciosami siekier, by nakarmić paleniska kominków i zrobić miejsce dla pól i plonów. Teraz jest tu więcej murów, budynków i dróg.

Kiedy Addie maszeruje ulicami z włosami ukrytymi pod bogato zdobionym czepkiem, zauważa od czasu do czasu jakieś nazwisko, niczym widmo rodziny, którą kiedyś znała. Jednak Villon z jej młodości ostatecznie zniknęło, więc dziewczyna zastanawia się, czy właśnie tak wygląda pamięć innych ludzi: powolna erozja szczegółów.

Po raz pierwszy nie potrafi rozpoznać każdej ścieżki.

Po raz pierwszy nie jest pewna, czy zna drogę.

Skręca, spodziewając się ujrzeć jeden dom, ale zamiast niego znajduje dwa, przedzielone niskim, kamiennym murem. Kieruje się w lewo, lecz zamiast otwartego pastwiska widzi stajnię za ogrodzeniem. W końcu rozpoznaje drogę do domu i wstrzymuje oddech. Idzie ścieżką i czuje potężną ulgę na widok starego cisu, wciąż pogiętego i zawęźlonego, stojącego na skraju posesji.

Za drzewem jednak widać inne miejsce. Nowe ubranie udrapowane na starych kościach.

Warsztat ojca został zburzony, choć jego ślad widać wciąż jeszcze w trawie, która zarosła to miejsce: jej źdźbła mają nieco inny odcień. Addie przygotowała się na widok opuszczonego, nieruchomego gospodarstwa, tymczasem widzi ruch, słyszy głosy i śmiech.

Ktoś inny wprowadził się do jej rodzinnego domu, zapewne jacyś nowi przybysze w rosnącym mieście. Rodzina składająca się z matki, całej w uśmiechach, śmiertelnie poważnego ojca i dwóch blond chłopców bawiących się na podwórzu. Starszy goni psa, który ucieka ze skarpetką, a młodszy wspina się na stary cis. Jego bose stopy odnajdują te same węzły i sęki, co stopy małej Adeline ze szkicownikiem pod pachą. Musiała być wtedy w jego wieku… a może starsza?

Zamyka oczy, próbuje przypomnieć sobie ten obraz, ale coraz trudniej jej uchwycić tamto wspomnienie. Tych wczesnych lat nie obejmują granice klątwy, więc pamięć o nich się zaciera. Przymyka oczy tylko na chwilę, lecz kiedy je otwiera, drzewo jest puste, chłopiec zniknął.

– Witaj – słyszy głos zza pleców.

To ten młodszy z braci, z uniesioną głową.

– Dzień dobry – odpowiada Addie.

– Zgubiłaś się?

Zastanawia się nad odpowiedzią, rozdarta pomiędzy „tak” i „nie”, niepewna, które z tych słów będzie bliższe prawdy.

– Jestem duchem – decyduje w końcu. Zaskoczony i zachwycony chłopiec otwiera szeroko oczy, po czym każe jej tego dowieść. Addie mówi mu, żeby zacisnął powieki, a kiedy tak robi, ona wymyka się stamtąd po cichu.

Na cmentarzu okazuje się, że drzewko, które tam przesadziła, przyjęło się całkiem ładnie.

Wznosi się teraz nad grobem Estele, kryjąc jej kości w plamie cienia.

Addie przesuwa dłonią po korze i zachwyca się tym, jak sadzonka wyrosła w wielki pień, o korzeniach i gałęziach wystrzeliwujących we wszystkie strony. Minęło sto lat, od kiedy je tam wkopała, szmat czasu kiedyś zbyt długi, by go sobie wyobrazić, a teraz zbyt trudny do

zmierzenia. Dotychczas mierzyła czas w sekundach i porach roku, w podmuchach zimna i odwilżach, w rewolucjach i ich następstwach. Widziała, jak rosną i padają budynki, miasta płoną i są odbudowywane, przeszłość i teraźniejszość zacierają się, tworząc płynną, efemeryczną całość.

Jednak to… to da się zauważyć.

Lata znaczone w słojach drzewa, jego korze, korzeniach i glebie wokół nich.

Addie siada, oparta o nagrobek starszej kobiety, składając własne kości w cętkowanym cieniu, i liczy, ile czasu minęło od jej ostatniej wizyty. Opowiada Estele historie z Anglii, Włoch i Hiszpanii, mówi o Matteo i galerii, o Lucu i jej sztuce, a także o tym, jak zmienił się świat. Mimo że nie słyszy odpowiedzi, tylko szum liści, wie, jak zareagowałaby tamta.

„Wszystko się zmienia, głupia dziewczyno. Taka jest natura świata. Nic nie zostaje takie samo".

„Poza mną", myśli Addie, ale wówczas pada odpowiedź Estele, sucha niczym chrust:

„Nawet ty".

Tęskni za radami staruszki, nawet jeśli rozbrzmiewają tylko w jej głowie. Przez wszystkie te lata głos ucichł, wytarł się, rozmazał, tak jak inne wspomnienia z wcześniejszego życia.

Tutaj jednak nareszcie powraca.

Słońce chyli się już ku zachodowi, kiedy wstaje i idzie na skraj wioski, ku linii lasu, do miejsca, które Estele kiedyś nazywała domem. Czas jednak nie oszczędził również tej chatki. Ogródek, kiedyś tylko zarośnięty, został połknięty przez las, a dzicz wygrała walkę z budynkiem, powaliła go. Pomiędzy belkami szkieletu wystają młode pędy. Drewno zgniło, kamienie się osunęły, dach zniknął, a chwasty i pnącza powoli dokonują dzieła rozkładu.

Kiedy przyjdzie tu następnym razem, nie będzie śladu po chacie, a jej pozostałości pochłonie rozrastający się las. Teraz jednak wciąż stoi tu szkielet, powoli pochłaniany przez kępy mchu.

Addie podchodzi blisko rozpadającej się chaty i zdaje sobie sprawę, że nie jest całkiem opuszczona.

Coś porusza się szybko w stercie belek, a dziewczyna mruży oczy, spodziewając się ujrzeć królika albo sarenkę. Zamiast tego dostrzega chłopca, który bawi się w ruinach, wspina na pozostałości kamiennych murów i smaga zielsko witką urwaną z drzewa.

Poznaje go: to starszy syn tamtej rodziny, ten, którego widziała, jak gonił psa przez jej podwórze. Ma dziewięć, może dziesięć lat. Jest dość duży, by podejrzliwie na nią zerknąć, kiedy już ją zauważy.

Wyciąga swój patyk tak, jakby był mieczem.

– Kim jesteś? – pyta stanowczo.

Tym razem „duch" nie wystarczy.

– Jestem czarownicą.

Nie wie, dlaczego to powiedziała. Być może dla zabawy, a może dlatego, że kiedy nie da się powiedzieć prawdy, fikcja zyskuje nowy wymiar? A może przyczyna jest jeszcze inna: tak by powiedziała Estele, gdyby tu była?

Cień przemyka przez twarz chłopca.

– Czarownice nie istnieją – mówi, ale głos ma niepewny, a kiedy Addie podchodzi krok bliżej i pod jej trzewikiem łamie się sucha gałązka, dzieciak zaczyna się wycofywać.

– Bawisz się na moich kościach – ostrzega go. – Proponuję, żebyś stamtąd zszedł, zanim spadniesz.

Chłopak potyka się, zaskoczony, i prawie ześlizguje się z kępy mchu.

– A może jednak zostaniesz? – zastanawia się Addie. – Na pewno znajdzie się tam jeszcze mnóstwo miejsca również dla twoich kości.

Teraz dzieciak zsuwa się na ziemię i zmyka w podskokach. Addie śledzi go wzrokiem, a w uszach brzmi jej kraczący śmiech Estele.

Przestraszyła chłopca, ale nie czuje się z tego powodu źle, ponieważ nie spodziewa się, by cokolwiek zapamiętał. Mimo to następnego dnia znów tu przyjdzie, a ona stanie w ukryciu na skraju lasu i będzie obserwować, jak dzieciak zaczyna wspinać się na belki, ale po chwili waha się z nerwowym grymasem, odwraca się i odchodzi. Wtedy Addie zacznie się zastanawiać, czy czasem nie pomyślał o czarownicach i pogrzebanych kościach, czy ta idea nie zapuściła korzeni w jego głowie, jak zielsko.

Dzisiaj jednak jest jeszcze sama i myśli tylko o Estele.

Przesuwa dłonią wzdłuż na wpół zwalonego muru i snuje w głowie plany: zostanie tutaj jako wiedźma z lasu, wymysł cudzej wyobraźni. Wyobraża sobie, jak odbudowuje dom staruszki, a wizja jest tak sugestywna, że zaraz potem Addie klęka, by usypać stosik z kamieni. Przy czwartym jednak cały stos się rozsypuje, a kamyki lądują w trawie, dokładnie tam, skąd je podniosła.

Tusz znika z zapisanych stronic.

Rany zabliźniają się wzdłuż rozcięć.

Dom nie pozwala się odbudować.

Addie wzdycha tak głośno, że kilka ptaków odlatuje z pobliskiego drzewa z głośnym krakaniem, co brzmi jak śmiech. Odwraca się w kierunku lasu. Dzień się jeszcze nie skończył, pozostała może godzina, zanim zapadnie wieczór, a mimo to, patrząc w stronę drzew, wyczuwa czającą się w nich ciemność. Lawiruje pomiędzy zagrzebanymi w ziemi kamieniami i wkracza w leśny półmrok.

Przenika ją dreszcz.

To tak, jakby przechodziła przez zasłonę.

Idzie między pniami. Kiedyś bała się tu zgubić, lecz teraz bezbłędnie pamięta całą trasę. Nie mogłaby pomylić drogi, nawet gdyby chciała.

Pod koronami drzew powietrze jest chłodniejsze, a wieczór zdecydowanie bliższy. Teraz dostrzega, że tego dnia straciła rachubę czasu. Linia pomiędzy półcieniami a ciemnością się zaciera. Addie zastanawia się, czy półtora wieku temu pomodliłaby się, gdyby wiedziała, że zapada zmrok?

Czy wezwałaby bogów, gdyby potrafiła przewidzieć, który z nich się ukaże?

Nie znajduje odpowiedzi.

Nie potrzebuje jej.

Nie wie, od jak dawna Luc czai się za jej plecami i czy od jakiegoś czasu nie śledził jej po cichu. Wie tylko, że w pewnej chwili słyszy za sobą gałązkę pękającą pod czyjąś stopą.

– Ależ ty się upierasz przy tych dziwnych pielgrzymkach.

Addie uśmiecha się do siebie.

– Czyżby?

Odwraca się i widzi Luca opartego o drzewo.

To nie pierwsze spotkanie od nocy, kiedy wyrwał duszę z piersi Beethovena, ale jeszcze nie zapomniała tego widoku. Pamięta również, że cień chciał, by to zobaczyła, by patrzyła na niego, kiedy będzie to robił, i poznała jego prawdziwą potęgę. To była jednak głupia rzecz, tak jak przechylenie kart w niewłaściwym kierunku, kiedy na stole leży najwyższa stawka.

„Widzę cię", myśli dziewczyna, kiedy on odrywa się od pnia. „Widziałam twoją prawdziwą postać. Teraz nie możesz mnie przerazić".

Luc wkracza w plamę światła.

– Co cię tu sprowadza? – pyta.

Addie wzrusza ramionami.

– Przyjmij, że to nostalgia.

Unosi głowę.

– Nazywam to słabością. Krążenie wkoło, kiedy można przecierać nowe szlaki.

Addie marszczy brwi.

– Jak mam przecierać szlak, jeśli nie mogę nawet usypać stosu z kamyków? Uwolnij mnie, a zobaczysz, jak wtedy sobie poradzę.

Cień wzdycha i rozpływa się w mroku.

Odzywa się znowu zza jej pleców, a jego głos tchnie przez jej włosy.

– Adeline, Adeline… – strofuje ją, a ona wie, że jeśli teraz się odwróci, to Luca tam nie będzie, więc stoi bez ruchu, patrząc w las. Ani drgnie, kiedy dłonie cienia prześlizgują się po jej skórze, a potem jego ręka pełznie wokół jej ramion. Z bliska pachnie dębem, liśćmi i lasem po deszczu. – Czy nie jesteś zmęczona? – szepcze.

A ona wzdryga się na te słowa.

Przygotowała się na atak, na ostre przytyki, ale nie na to pytanie, nie na ten niemal życzliwy ton.

Minęło sto czterdzieści lat. Prawie półtora wieku życia w charakterze ducha, echa odbijającego się od ludzi. Oczywiście, że jest zmęczona.

– Nie chciałabyś odpocząć, moja droga? – Słowa lgną do jej skóry niczym pajęczyna. – Mógłbym pochować cię tutaj, obok Estele… Posadzić drzewo i sprawić, by wyrosło wysoko nad twoimi kośćmi.

Addie zamyka oczy.

Tak, jest zmęczona.

Może nie poczuła, jak wszystkie te lata osłabiły jej kości, jej ciało nie zrobiło się z wiekiem kruche i delikatne, ale zmęczenie tkwi w jej duszy niczym ośrodek zgnilizny. Bywają dni, kiedy ogarnia ją rozpacz na myśl o kolejnym roku, dekadzie, wieku. Są noce, kiedy nie może spać, chwile, gdy leży z otwartymi oczami i marzy o śmierci.

Potem jednak się budzi, widzi różowe i pomarańczowe światło świtu, odbijające się w chmurach, albo słyszy smętną melodię samotnych skrzypiec, a wszystko razem przypomina jej piękno tego świata.

Nie chce go przegapić.

Odwraca się w ramionach Luca i patrzy mu prosto w twarz.

Nie wie, czy to nadciągająca noc, czy też natura samego lasu, ale wygląda inaczej. Przez ostatnie lata widziała go w aksamitach i koronkach, zawsze ubranego według najnowszej mody… a także jako ciemność, nieokiełznaną i gwałtowną. Teraz jednak wygląda inaczej.

Dziś jest cieniem, takim samym jak tamtej nocy. Dziką magią, która przybrała postać kochanka.

Krawędzie jego postaci rozmazują się w cieniach, skórę ma koloru księżycowego światła, a oczy dokładnie w tym samym odcieniu, co mech tuż za nim. Czyste szaleństwo.

Podobne do tego, które właśnie ogarnia Addie.

– Zmęczona? – powtarza z uśmiechem. – Dopiero się budzę.

Przygotowuje się wewnętrznie na manifestację niezadowolenia, zmianę odcienia oczu, błysk zębów.

Tymczasem w jego oczach nie ma śladu żółci.

Prawdę mówiąc, lśnią całkiem nową, jaskrawą zielenią.

Miną całe lata, zanim Addie pozna znaczenie tego odcienia i zrozumie, że to rozbawienie.

Dziś wieczorem dostrzega go tylko przelotnie, a potem czuje muśnięcie warg na policzku.

– Nawet skała… – mruczy jej do ucha, a potem znika.

Nowy Jork
13 czerwca 2014

XII

Chłopak i dziewczyna idą, trzymając się za ręce.

Zmierzają do Knitting Factory, Fabryki Dzianin. Podobnie jak w większości miejsc w Williamsburgu, pozory mylą: na północnym skraju Brooklynu mieści się coś innego, niż sugeruje nazwa: nie manufaktura ani sklep z przędzą, ale klub muzyczny.

Henry ma urodziny.

Wcześniej, kiedy zapytał Addie o jej urodziny, a ona powiedziała mu, że już były, w marcu, posmutniał.

– Przykro mi, że je przegapiłem.

– Wiesz, ale urodziny to świetna sprawa – odparła, przytulając się do niego. – Zdarzają się co roku.

Po czym roześmiała się, on też, ale jego śmiech brzmiał nieco głucho i smutno, co odebrała jako zwykłe roztargnienie.

Przyjaciele Henry'ego zajęli już w pobliżu sceny stolik, na którym leżą między nimi małe pudełka.

– Henry! – wykrzykuje Robbie. Stoją już przed nim dwie puste butelki.

Bea przyjacielsko mierzwi my włosy.

– Och, nasze słodkie dziecko lata, i to dosłownie!

Ich wzrok pada teraz na jego dziewczynę.

– Cześć, ludziska – mówi Henry. – To jest Addie.

– No w końcu! – stwierdza Bea. – Umieraliśmy z pragnienia, żeby cię poznać.

Oczywiście poznali ją już wcześniej.

Mimo to od tygodni ciągle chcą spotkać nową dziewczynę w życiu Henry'ego. Oskarżają go, że ją przed nimi ukrywa, tymczasem Addie była już z nimi na piwie w Merchancie, na wieczorze filmowym u Bei, wpadała na nich w galeriach i parkach. Za każdym razem Bea wspomina o déjà vu, a potem o prądach w sztuce, a Robbie się dąsa, mimo wysiłków Addie, by go udobruchać.

Henry przejmuje się tym bardziej niż ona. Chłopak musi myśleć, że się z tym pogodziła, ale prawdę mówiąc, wcale tak nie jest. Nieskończony cykl „Cześć, a kto to taki? Fajnie cię poznać, cześć" działa na nią jak woda opływająca skałę. Erozja jest powolna, lecz nieunikniona. Nauczyła się z tym żyć.

– Wiesz co – mówi Bea, przyglądając jej się uważnie. – Wyglądasz znajomo.

Robbie podnosi się, żeby zamówić kolejkę, a Addie czuje nieprzyjemne ściskanie w piersi na myśl, że za chwilę wszystko zacznie się od nowa. Na szczęście w tym momencie wkracza Henry, dotykając ramienia Robbiego.

– Ja się tym zajmę – mówi.

– Solenizant nie stawia! – protestuje Bea, lecz Henry tylko macha dłonią i zaczyna się przedzierać przez gęstniejący tłum.

Addie zostaje sama z jego przyjaciółmi.

– Wspaniale was poznać – zagaja. – Henry gada o was przez cały czas.

Robbie mruży podejrzliwie oczy.

Addie znów czuje, jak rośnie pomiędzy nimi mur, ale teraz już zna nastroje Robbiego, więc naciska:

– Jesteś aktorem, prawda? Byłoby wspaniale, gdybym mogła zobaczyć cię na scenie. Henry mówi, że jesteś świetny.

Chłopak skubie naklejkę na swojej butelce.

– Tak, pewnie… – mamrocze, ale Addie dostrzega na jego ustach uśmieszek.

Wówczas Bea wtrąca:

– Henry wygląda na szczęśliwego, naprawdę szczęśliwego.

– Zgadza się – odpowiada Henry, stawiając na stoliku kolejkę piwa.

– Za dwudzieste dziewiąte urodziny! – wznosi toast Bea.

Po czym przechodzą do dyskusji na temat zalet wieku i zgadzają się, że dwadzieścia dziewięć to raczej beznadziejna rocznica, zaledwie rok przed

monumentalną trzydziestką.

Bea chwyta Henry'ego za szyję.

– W przyszłym roku będziesz oficjalnie dorosły.

– Na pewno już coś takiego słyszałem… w osiemnaste urodziny! – protestuje solenizant.

– Nie bądź śmieszny, po ukończeniu osiemnastki można głosować, dwudziestu jeden lat pić alkohol, ale ważne decyzje powinno się podejmować dopiero po trzydziestce.

– Bliżej kryzysu wieku średniego niż lekko półśredniego – kpi Robbie.

Z głośników dobiega kaszlnięcie, a potem lekkie piski: mężczyzna na scenie zapowiada przez mikrofon specjalny występ na początek wieczoru.

– Dzisiaj wschodząca gwiazda, słyszeliście chyba jego nazwisko, ale jeżeli jeszcze nie, to z pewnością wkrótce się to zmieni. Wielkie brawa, przed państwem Toby Marsh!

Serce Addie skacze jej w piersi.

Tłum krzyczy i wiwatuje, a Robbie gwiżdże, gdy Toby wchodzi na scenę, ten sam piękny chłopak, ale kiedy macha do widzów, unosi podbródek, a na jego twarzy widać dumny uśmiech. Teraz nie wygląda już jak pierwszy szkic artysty, raczej jak skończone dzieło.

Siada przy fortepianie i zaczyna grać. Pierwsze nuty uderzają w nią niczym niewypowiedziane pragnienie, a wtedy Toby śpiewa:

– Zakochałem się w dziewczynie, której nigdy nie poznałem…

Czas skacze gwałtownie i oto Addie siedzi w jego salonie, na stołku przy pianinie, na parapecie stoi parujący kubek herbaty, a jej palce z roztargnieniem wybierają kolejne nuty.

– Chociaż widzę ją chyba co noc…

Leży w jego łóżku, a jego dłonie wygrywają melodie na jej skórze. Twarz Addie na to wspomnienie okrywa się rumieńcem, tymczasem Toby ze sceny śpiewa dalej:

– Tak bardzo się boję, że ją zapomnę, mimo że spotykam ją tylko w snach.

Nigdy nie podyktowała mu słów, znalazł je sam.

Jego głos jest czystszy i mocniejszy, śpiewa teraz pewniej. Potrzebował tylko właściwej piosenki, czegoś, co przyciągnie tłumy i skłoni je do wysłuchania go.

Addie zaciska powieki, a przeszłość i teraźniejszość plączą się w jej głowie.

Wszystkie te wieczory w Alloway, kiedy patrzyła, jak gra.

Wszystkie te sytuacje, gdy spotykał ją w barze i się uśmiechał.

Wszystkie te pierwsze razy, które dla niej nie były wcale pierwsze.

Palimpsest przebija przez papier.

Toby podnosi wzrok znad fortepianu. Niemożliwe, żeby dostrzegł ją w tak wielkim pomieszczeniu, a mimo to Addie jest pewna, że patrzy jej prosto w oczy. Cała sala się kołysze, lecz dziewczyna nie wie, czy piła za szybko, czy to zawrót głowy z powodu wspomnień. Zaraz potem piosenka dobiega końca i rozlegają się gorące brawa, a ona wstaje i idzie ku wyjściu.

– Addie, poczekaj – prosi Henry, ale ona nie może, chociaż wie, co oznacza wyjście, wie, że Robbie i Bea ją zapomną i będzie musiała zacząć od nowa, podobnie jak Henry… ale w tej chwili jej to nie obchodzi.

Nie może oddychać.

Drzwi otwierają się szeroko, wpuszczając nocne powietrze. Addie dyszy, zmuszając się do oddychania.

Powinna się poczuć lepiej, słysząc swoją muzykę.

Przecież tyle razy chodziła do galerii oglądać „swoje” dzieła sztuki.

Jednak to były tylko przedmioty, odarte z kontekstu. Wyrzeźbione ptaszki na marmurowej podstawie i malowidła za sznurami. Gablotki wiszące na białych ścianach, szkło oddzielające teraźniejszość od przeszłości.

Kiedy szkło pęka, jest inaczej.

Jej matka w drzwiach chaty, chuda i pomarszczona.

Remy w paryskim salonie.

Sam, która za każdym razem zaprasza ją, żeby została.

Toby Marsh grający ich kawałek.

Addie może w tej sytuacji obrać tylko jeden kierunek: prosto przed siebie. Oni są Orfeuszem, ona Eurydyką i za każdym razem, kiedy się odwrócą, jest zgubiona.

– Addie? – Henry idzie tuż za nią. – Co się stało?

– Przepraszam – odpowiada. Wyciera łzy i kręci głową, ponieważ jej historia jest zbyt długa, a jednocześnie za krótka. – Nie mogę tam teraz

wrócić.

Henry ogląda się przez ramię. Musiał zauważyć, jak zbladła podczas koncertu, ponieważ pyta:

– Znasz tego chłopaka? Toby'ego Marsha?

Nie opowiadała mu jeszcze tej historii. Jeszcze do tego nie doszli.

– Znałam – mówi teraz, co nie jest do końca prawdą, ponieważ sugeruje, że działo się w przeszłości, a tymczasem przeszłość jest jedyną rzeczą, do której Addie nie ma prawa. Henry musi słyszeć kłamstwo ukryte w jej słowach, ponieważ marszczy brwi i zakłada dłonie za głowę.

– Czy wciąż coś do niego czujesz?

Chce być uczciwa i powiedzieć, że oczywiście, tak. Nigdy nie miała okazji zamknąć jakiegoś etapu w życiu, powiedzieć komuś „do widzenia". Żadnych kropek ani wykrzykników, całe życie z wielokropkami. Każdy inny zaczyna od nowa, z czystą kartą, tylko jej karta jest pełna tekstu. Jest takie powiedzenie, że stara miłość nigdy nie gaśnie, chociaż nie płonie pełnym ogniem, tymczasem Addie ma ręce pełne świeczek. Jak ma je odstawić lub zdmuchnąć? Dawno temu skończyło jej się powietrze w płucach.

Ale to nie miłość.

To nie miłość, i o to właśnie pyta Henry.

– Nie – odpowiada. – Tylko… zaskoczył mnie trochę. Przepraszam.

Henry pyta, czy chce iść do domu, a Addie nie wie, czy ma na myśli ich oboje, czy tylko ją, a nie chce się dowiedzieć, więc kręci głową. Wracają do klubu, oświetlenie się zmieniło, scena jest pusta, a z głośników gra muzyka, wypełniająca czas przed atrakcją wieczoru. Bea i Robbie rozmawiają, nachyleni ku sobie tak samo, jak przed chwilą, kiedy weszli tam po raz pierwszy. Gdy docierają do stolika, Addie bardzo stara się miło uśmiechać.

– Ach, wróciłeś! – woła Robbie.

– Dokąd uciekłeś? – pyta Bea, patrząc to na Henry'ego, to na dziewczynę u jego boku. – I kto to jest?

Henry obejmuje towarzyszkę w talii.

– Ludziska, to jest Addie.

Robbie mierzy ją wzrokiem, lecz Bea uśmiecha się promiennie.

– No w końcu! – mówi. – Umieraliśmy z pragnienia, żeby cię poznać!

W drodze do Berlina, Niemcy
29 lipca 1872

XIII

Szklanki na stoliku dzwonią cicho, a pociąg toczy się przez Niemcy. Addie siedzi w wagonie restauracyjnym, sączy kawę i wygląda przez okno, zachwycając się prędkością, z jaką umyka świat.

Ludzie potrafią dokonać doprawdy zadziwiających rzeczy: zarówno jeśli chodzi o okrucieństwa wojny, jak i sztukę oraz wynalazki. Addie będzie o tym rozmyślać przez całe lata, kiedy będą spadać bomby, budynki walić się w gruzy, a przerażenie ogarnie całe kraje… ale także wówczas, gdy na kliszy pojawią się pierwsze obrazy, samoloty wzniosą się w powietrze, a filmy z czarno-białych staną się kolorowe.

Będzie wtedy zachwycona.

Zawsze będzie się zachwycać.

Pogrążona w myślach nie słyszy konduktora, dopóki nie znajdzie się tuż koło niej, a jego ręka nie dotknie delikatnie jej ramienia.

– Fräulein – odzywa się – poproszę pani bilet.

Addie się uśmiecha.

– Ależ oczywiście.

Spogląda na stolik i udaje, że szuka w torebce.

– Przepraszam – mówi, wstając. – Musiałam zostawić go w przedziale.

Nie po raz pierwszy wykonują ten taniec, ale tym razem konduktor decyduje się jej towarzyszyć, podąża za nią jak cień, gdy dziewczyna zmierza do przedziału, którego nie ma, po bilet, którego nie kupiła.

Addie przyspiesza kroku, mając nadzieję, że zamkną się między nimi jakieś drzwi, ale to nie ma sensu, konduktor idzie zaraz za nią, więc zwalnia i zatrzymuje się przed drzwiami prowadzącymi do przedziału,

w którym na pewno nie siedziała, mając nadzieję, że przynajmniej będzie pusty.

Nie jest.

Kiedy sięga do klamki, drzwi się odsuwają, ukazując ciemne wnętrze. W przejściu staje elegancki mężczyzna o czarnych lokach wijących się na jego skroniach niczym namalowane tuszem.

Addie czuje falę ulgi.

– Herr Wald – mówi konduktor, prostując się, jakby mężczyzna w drzwiach był księciem, a nie cieniem.

Luc się uśmiecha.

– Tu jesteś, Adeline – mówi głosem gładkim i gęstym jak letni miód. Spojrzenie jego zielonych oczu pada teraz na konduktora. – Ach, ta moja żona. Lubi ode mnie uciekać – wyjaśnia z filuternym uśmiechem. – Cóż cię sprowadza z powrotem?

Addie pozwala sobie na mdły uśmieszek.

– Kochanie, zapomniałam biletu.

Luc chichocze i wyciąga pasek papieru z kieszeni płaszcza. Przyciąga ją.

– Moja droga, ale z ciebie zapominalska!

Dziewczyna patrzy na niego z oburzeniem, ale trzyma język za zębami i przytula się do „męża".

Konduktor wnikliwie ogląda bilet, życzy im dobrej nocy, a kiedy znika, Addie odsuwa się od Luca.

– Moja Adeline – mówi cień i cmoka z niesmakiem. – Tak się nie traktuje męża.

– Nie jestem twoja – odpala. – I nie potrzebowałam twojej pomocy.

– Ależ nie, skądże znowu – odpowiada oschle. – Chodź, nie kłóćmy się na korytarzu.

Wciąga ją do przedziału, a w każdym razie w pierwszej chwili tak jej się wydaje, ale zamiast do znanego wnętrza wchodzi w ciemność, głęboką i rozległą. Serce podskakuje jej w piersi, kiedy zaczyna spadać, pociąg znika gdzieś daleko, a razem z nim cały świat. Unoszą się znów w nicości, przestrzeni pomiędzy światami, a ona wie, że nigdy jej nie pozna, nigdy nie będzie w stanie ogarnąć umysłem natury tego mroku. Zdaje sobie teraz sprawę, czym w istocie jest to miejsce.

To właśnie on.

Tak wygląda naprawdę: niezmierzona, dzika ciemność, noc, pełna obietnic, przemocy, przerażenia i wolności.

A kiedy znów zapada wokół nich zwykła noc, nie znajdują się już w niemieckim pociągu, ale na ulicy, w centrum miasta, którego Addie jeszcze nie zna i nie wie, że to Monachium.

Powinna się na niego wściec za to porwanie, nagłą zmianę kierunku podróży, lecz nie potrafi stłumić ciekawości, powoli biorącej górę nad dezorientacją. Czuje nagły przypływ czegoś nowego, dreszcz przygody.

Puls jej przyspiesza, decyduje jednak, że nie okaże tego, nie da Lucowi satysfakcji.

Podejrzewa, że cień i tak się tego domyśla.

W jego oczach spod smug ciemniejszej zieleni widać błysk zadowolenia.

Stoją na stopniach budynku opery, pod filarami. Jej podróżny strój zniknął, zastąpiony przez o wiele bardziej elegancką suknię. Addie zastanawia się, czy jest prawdziwa, czy cokolwiek tu jest prawdziwe, czy tylko wyczarowane z dymu i cienia. Luc stoi obok niej z szarym fularem pod szyją. Zielone oczy lśnią pod rondem jedwabnego cylindra.

Wokoło nich rozbrzmiewa gwar ludzkich głosów, mężczyźni i kobiety wchodzą po schodach, by obejrzeć wieczorne przedstawienie. Addie słyszy, że to Tristan i Izolda Wagnera, chociaż tytuł ani nazwisko kompozytora nic jej jeszcze nie mówią. Nie wie, że Wagner znajduje się właśnie u szczytu kariery, ani też że ten dramat stanie się jego największym dziełem.

Potrafi jednak wyczuć wokół słodką atmosferę triumfu, gdy przechodzą pomiędzy marmurowymi kolumnami i pod malowanymi łukami foyer na widownię, całą w aksamitach i złocie.

Luc kładzie dłoń na jej plecach, kierując ją ku nisko położonej loży z idealnym widokiem na scenę. Serce przyspiesza jej z ekscytacji, ale potem przypomina sobie Florencję.

„Nie myl mojego zachowania z życzliwością, Adeline” – powiedział. „Ja tylko chcę cię złamać”.

Mimo to teraz zajmuje miejsce obok niego. W jego oczach nie ma złośliwości, a uśmiech jest pozbawiony okrucieństwa, widać w nim tylko leniwą rozkosz kota wygrzewającego się na słońcu.

Przybywają dwa kieliszki, pełne pieniącego się szampana, a Luc wręcza jej jeden.

– Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy – mówi, zaraz potem światła gasną i podnosi się kurtyna.

Spektakl zaczyna się uwerturą.

Rośnie napięcie symfonii, nuty wydają się płynąć falami przez salę i rozbijać o ściany, niczym odwrotność burzy bijącej o kadłub statku.

Wreszcie na scenie zjawia się Tristan, a po nim Izolda.

Ich głosy brzmią doprawdy niezwykle.

Addie słyszała już musicale, koncerty i sztuki sceniczne, w których występowali aktorzy o głosach tak czystych, że doprowadzały ją do łez, ale nigdy nie słyszała czegoś takiego jak to.

Takiego śpiewu. Skali i potęgi ich emocji.

Namiętności w ich ruchach, potęgi ich radości i cierpienia.

Chciałaby zachować to uczucie na dłużej, by nieść je ze sobą przez ciemność.

Miną lata, zanim usłyszy nagranie tej muzyki i podkręci głośność aż do bólu, otoczy się dźwiękiem, chociaż nie zabrzmi to tak samo jak tutaj.

Tylko raz odrywa spojrzenie od aktorów i widzi, że Luc patrzy na nią, nie na nich. W jego oczach znów widać ów osobliwy odcień zieleni. Nie protekcjonalny, nie potępiający, nie okrutny, lecz zadowolony.

Później zda sobie sprawę, że to pierwszy wieczór, kiedy nie zapytał jej, czy się poddaje.

Po raz pierwszy nie wspomina ani słowem o jej duszy.

Teraz jednak Addie myśli tylko o muzyce, o harmonii, o akcji. Pełne boleści nuty przyciągają jej uwagę z powrotem do sceny, gdzie ciała kochanków splątują się w uścisku.

Pochyla się i wdycha atmosferę tego spektaklu, aż czuje w piersi ból.

Kurtyna po pierwszym akcie opada, a Addie zrywa się na równe nogi i bije gorące brawa.

Luc śmieje się cicho, kiedy dziewczyna opada z powrotem na fotel.

– Podoba ci się.

A ona nie chce kłamać, nawet po to, żeby zrobić mu na złość.

– Jest cudownie!

Uśmiech igra na jego twarzy.

– Zgadniesz, którzy z nich należą do mnie?

Z początku nie rozumie go, a potem oczywiście dociera do niej, co miał na myśli.

Cała ekscytacja z niej opada.

– Przyszedłeś tu, żeby zażądać ich dusz? – pyta i z ulgą widzi, że Luc kręci głową.

– Nie, nie dzisiaj. Ale wkrótce.

Teraz ona kręci głową.

– Nie rozumiem. Dlaczego kończyć życie kogoś, kto znajduje się u szczytu kariery?

Spogląda na nią uważnie.

– Zawarli umowę. Znali cenę.

– Dlaczego ktoś miałby chcieć przehandlować talent całego życia za kilka lat chwały?

Uśmiech Luca posępnieje.

– Ponieważ czas jest okrutny dla wszystkich, a szczególnie dla artystów. Ponieważ wzrok się psuje, głos słabnie, a talent zanika – wyjaśnia. Nachyla się i owija sobie jeden z jej loków naokoło palca. – Ponieważ szczęście trwa krótko, historia trwa dalej, a ostatecznie każdy chciałby zostać zapamiętany.

Jego słowa są niczym nóż, tną gładko i głęboko.

Addie odtrąca jego dłoń i z powrotem skupia się na scenie, gdzie zaczyna się drugi akt.

Spektakl trwa długo, a mimo to kończy się zbyt wcześnie.

Godziny minęły jak chwile. Addie chciałaby zostać na fotelu i obejrzeć widowisko jeszcze raz, zanurzyć się w historii tragicznych kochanków, zatracić się w pięknie ich głosów.

Mimo to nie może się oprzeć myślom: czy to, co pokochała, kocha dzięki nim dwojgu? Albo właśnie dzięki niemu?

Luc wstaje i podaje jej ramię.

Addie nie przyjmuje go.

Idą obok siebie przez wieczorne monachijskie ulice, a Addie wciąż czuje, jakby płynęła na falach tamtej muzyki. Głosy dźwięczą jej w głowie niczym dzwon.

Oprócz nich dźwięczy również pytanie Luca:

„Którzy z nich należą do mnie?”

Patrzy na elegancką postać w ciemności obok niej.

– Z kim zawarłeś najdziwniejszą umowę?

Luc przechyla głowę i zastanawia się chwilę.

– Joanna D’Arc – mówi w końcu. – Dusza za błogosławiony miecz, dzięki któremu nie mogła zostać zwyciężona.

Addie marszczy brwi.

– A jednak w końcu ją pokonano.

– Ach, tyle że nie w bitwie – zastrzega Luc z przebiegłym uśmiechem. – Semantyka może wydawać się nieważna, Adeline, ale potęga umowy leży w słowach. Prosiła o boską ochronę, kiedy będzie miała miecz w dłoniach, jednak nie poprosiła o to, żeby móc go zawsze utrzymać.

Dziewczyna kręci głową, speszona.

– Nie chce mi się wierzyć, że Joanna D’Arc zawarła umowę z ciemnością.

Luc uśmiecha się szerzej, pokazując zęby.

– No cóż, chyba podczas wizyty u niej przybrałem trochę bardziej… anielski wygląd? Myślę jednak, że w głębi duszy wiedziała. Wielkość wymaga poświęcenia. To, komu się coś poświęca, nie liczy się tak bardzo, jak to, co oddaje się w zamian. W końcu została tym, kim chciała zostać.

– Męczennicą?

– Legendą.

Addie ponownie kręci głową.

– Ale artyści? Pomyśl tylko o wszystkim, czego by mogli jeszcze dokonać. Nie żałujesz ich utraty?

Twarz Luca mrocznieje, a dziewczyna przypomina sobie jego nastrój tego wieczoru, kiedy spotkali się w National Gallery, i jego pierwsze słowa w pokoju Beethovena.

„Co za marnotrawstwo”.

– Oczywiście, że żałuję – odpowiada. – Jednak każda wspaniała sztuka ma swoją cenę. – Odwraca wzrok. – Powinnaś to wiedzieć, przecież oboje jesteśmy mecenasami sztuki, każde na swój sposób.

– Wcale nie jestem taka jak ty – protestuje Addie, ale w jej słowach nie ma zbyt wiele jadu. – Jestem muzą, a ty złodziejem.

Luc wzrusza ramionami.

– Coś za coś – mruczy, a potem milknie.

Kiedy robi się późno, Luc znika, a ona wędruje samotnie ulicami miasta, muzyka nadal gra w jej głowie, idealnie zachowana w pułapce jej pamięci. Addie zastanawia się w milczeniu, czy dusze artystów były uczciwą ceną za tak wspaniałe dzieło.

Nowy Jork
4 lipca 2014

XIV

Światła eksplodują nad miastem.

Zebrali się na dachu domu Robbiego, ponad dwadzieścia osób, żeby oglądać fajerwerki malujące panoramę Manhattanu na różowo, zielono i złoto.

Addie i Henry stoją obok siebie, ale noc jest zbyt gorąca, żeby się przytulać. Jego okulary wciąż zaparowują, a on sam wydaje się mniej zainteresowany piciem piwa niż trzymaniem puszki przy karku w charakterze środka chłodzącego.

Słaby wiaterek porusza powietrzem, przynosząc mniej więcej tyle samo ulgi, co suszarka do włosów, jednak wszyscy na dachu wzdychają przesadnie, przy czym ich „ochy" i „achy" mogą być równie dobrze komentarzem na temat fajerwerków, jak i nikłego podmuchu.

Na środku dachu ktoś ustawił basenik dla dzieci, a obok niego – plastikowe krzesła. Część ludzi moczy nogi w ciepławej wodzie.

Pokaz fajerwerków dobiega końca. Addie rozgląda się za Henrym, ale chłopak gdzieś odszedł.

Przez cały dzień był w dziwnym nastroju, ale ona założyła, że to przez upał, spoczywający ciężkim brzemieniem na wszystkim wokoło. Antykwariat był zamknięty, a oni spędzili większość dnia rozciągnięci na kanapie przed chłodzącym wiatrakiem. Książek bawił się kostką lodu, natomiast oni oglądali telewizję. Wysoka temperatura wystarczyła, by poskromić nawet szaloną energię Henry'ego.

Addie była zbyt zmęczona, by opowiadać mu historie.

On był zbyt zmęczony, by je zapisywać.

Teraz drzwi na dach otwierają się gwałtownie i wchodzi Robbie. Wygląda, jakby obrabował furgonetkę lodziarza: ramiona ma pełne topiących się lodów na patyku. Ludzie biją brawo i wiwatują, a on rusza w obchód po dachu, rozdając mrożone przysmaki.

„Do dwunastu razy sztuka", myśli Addie, kiedy Robbie wręcza jej owocowego loda. Mimo że jej nie pamięta, Henry chyba mu o niej powiedział? A może Robbie rozpoznał wszystkich innych i przeprowadza proste rozumowanie.

Jedna z nich jest inna niż wszystkie.

Addie nie traci ani chwili. Natychmiast uśmiecha się szeroko i mówi:

– O rany, ty pewnie jesteś Robbie? – zarzuca mu ramiona na szyję. – Henry powiedział mi o tobie wszystko.

Robbie uwalnia się z objęć.

– Naprawdę?

– Jesteś tym aktorem! Opowiadał, że jesteś wspaniały! Że to tylko kwestia czasu, zanim zaczniesz grać na Broadwayu – nadaje Addie, a on rumieni się nieco i odwraca wzrok. – Byłoby wspaniale, gdybym mogła zobaczyć cię kiedyś na scenie. W czym teraz grasz?

Doskonale wyczuwa wahanie Robbiego, rozdartego pomiędzy chęcią spławienia jej a podzielenia się dobrymi wieściami.

– Będziemy próbować czegoś na motywach Fausta – oznajmia. – Rozumiesz, facet zawiera umowę z diabłem…

Addie wgryza się w loda. Jej zęby reagują falą bólu, co wystarczy, by usprawiedliwić nagły grymas na jej twarzy. Robbie kontynuuje:

– Ale chcemy wystawić to w dekoracjach nawiązujących w pewien sposób do Labiryntu Jima Hensona. Wiesz, Mefistofeles, ale wyglądający trochę jak król Goblinów – tu wskazuje na siebie. – To będzie naprawdę odlot. Kostiumy są świetne. W każdym razie premiera gdzieś we wrześniu.

– Brzmi cudownie – komentuje Addie. – Nie mogę się doczekać!

Robbie prawie się uśmiecha na te słowa.

– Myślę, że będzie niezłe.

– Za Fausta – wznosi lodowy toast Addie.

– …i diabła – uzupełnia Robbie.

Jej dłonie są lepkie od loda, więc zanurza je w baseniku, a potem idzie na poszukiwanie Henry'ego. Znajduje go w końcu samego, w rogu, tam, gdzie nie sięga światło. Patrzy za krawędź dachu, ale nie w górę, lecz w dół.

– Myślę, że w końcu rozszyfrowałam Robbiego – mówi Addie, wycierając mokre dłonie o szorty.

– Hm? – odpowiada Henry, co oznacza, że jej nie słuchał. Strumyk potu cieknie mu po policzku. Zamyka oczy, wystawiając twarz na słabą letnią bryzę, i kołysze się lekko.

Addie odciąga go od skraju dachu.

– Coś nie tak?

Patrzy na nią mrocznie. Przez chwilę wydaje się znękany i zagubiony.

– Nic – mówi cicho. – Myślę tylko…

Addie żyje już dość długo, by rozpoznać, kiedy ktoś łże. Kłamstwo ma własny język, taki jak język pór roku albo mowa ciała, czy też odcień oczu Luca.

Dlatego wie, że Henry kłamie.

A przynajmniej nie mówi jej całej prawdy.

„Może to tylko jedna z jego burz", myśli dziewczyna. „Może to ten upał".

Oczywiście wcale nie o to chodzi, a później, kiedy pozna prawdę, będzie żałować, że nie zapytała, że nie drążyła i nie dowiedziała się w porę.

Później… tymczasem teraz Henry przyciąga ją i całuje, głęboko, zachłannie, tak jakby mógł sprawić, że zapomni to, co przed chwilą widziała.

A ona mu na to pozwala.

Tego wieczoru po powrocie do domu jest im zbyt gorąco, by myśleć albo spać, więc napełniają wannę zimną wodą, gaszą światło i wchodzą do środka, drżąc z nagłej ulgi.

Leżą w ciemności, z nogami splecionymi pod wodą. Palce Henry'ego wystukują rytm na jej kolanie.

– Dlaczego nie przedstawiłaś mi się prawdziwym imieniem, kiedy się poznaliśmy?

Addie patrzy na pociemniałe płyty sufitu i widzi puste oczy Isabelle ostatniego dnia, kiedy się widziały. Widzi zamyślonego Remy'ego w kawiarni: patrzy sennie przed siebie i nie może usłyszeć jej słów.

– Ponieważ nie sądziłam, że mi się uda – odpowiada, przegarniając palcami wodę. – Kiedy próbuję mówić ludziom prawdę, przestają zwracać uwagę. Kiedy próbuję wymówić moje imię, zawsze więźnie mi w gardle. Chyba że rozmawiam z tobą. – Uśmiecha się.

– Ale dlaczego? – dopytuje Henry. – Jeżeli i tak zostaniesz zapomniana, prawda nie ma znaczenia.

Addie zamyka oczy. To dobre pytanie, zadawała je sobie setki razy.

– Myślę, że Luc chciał mnie wymazać. Chciał mieć pewność, że będę się czuła niewidoczna, niesłyszana, nierealna. Człowiek nie zdaje sobie sprawy z potęgi imienia, dopóki nie zniknie. Przed tobą tylko on potrafił je wymówić.

Echa głosu w jej umyśle kłębią się jak dym.

„Och, Adeline".

„Adeline, Adeline".

„Moja Adeline".

– Co za dupek – ocenia Henry, a ona chichocze, przypominając sobie wieczory, kiedy darła się w niebo, obrzucając ciemność jeszcze gorszymi wyzwiskami. A potem pyta: – Kiedy go ostatnio widziałaś? – a ona się waha.

Przez moment leży w łóżku, owinięta w czarne, jedwabne prześcieradła, a nowoorleański upał dokucza jej nawet w środku nocy. Splecione z nią ciało Luca jest jednak chłodne. Jego zęby muskają jej ramię, kiedy szepcze z twarzą przy jej skórze.

„Poddaj się".

Addie przełyka ślinę jak żółć napływającą do gardła i odpycha to wspomnienie.

– Prawie trzydzieści lat temu – mówi, tak jakby nie liczyła dni. Tak jakby nie zbliżała się szybko kolejna rocznica.

Patrzy na stos ubrań na podłodze łazienki. Na materiale spodni wyróżnia się wypukłość drewnianego pierścionka.

– Pokłóciliśmy się – dodaje, co najogólniej rzecz biorąc, jest prawdą.

Henry patrzy na nią, najwyraźniej ciekawy, ale nie pyta, co się stało. Jest mu za to bardzo wdzięczna.

Ta historia ma swój porządek.

Addie opowie mu wszystko, kiedy nadejdzie właściwy czas.

Teraz włącza prysznic. Woda spada na nich jak deszcz, stałą, kojącą mżawką. Zapada idealne milczenie: czują się swobodnie z pustymi umysłami. Siedzą naprzeciwko siebie pod lodowatymi kroplami wody. Addie zamyka oczy, odchyla głowę i słucha tej zaimprowizowanej ulewy.

Cotswolds, Anglia
31 grudnia 1899

XV

Pada śnieg.

To nie lśniąca pokrywa szronu czy kilka zabłąkanych płatków, lecz porządna śnieżyca.

Addie siedzi skulona w oknie chatki, za plecami ma ogień płonący na kominku, a na kolanie otwartą książkę. Patrzy na padający śnieg.

Zaczynała już nowy rok na tak wiele sposobów!

Balansowała na londyńskim dachu z butelką szampana lub spacerowała z pochodnią w dłoni po brukach Edynburga. Tańczyła w balowych salach Paryża albo oglądała, jak niebo bieleje od fajerwerków w Amsterdamie. Całowała się z nieznajomymi lub śpiewała o przyjaciołach, których nigdy nie spotka. Świętowała sylwestra z przytupem i po cichu.

Dziś wieczorem woli tylko siedzieć i patrzeć, jak świat za oknem powoli robi się biały, a śnieg zamazuje wszystkie linie i ostre kąty.

Chatka nie należy oczywiście do niej, przynajmniej nie w ścisłym sensie.

Znalazła ją w niezłym stanie, opuszczoną lub zapomnianą. Meble były podniszczone, a półki niemal puste. Miała jednak kilka miesięcy, by zaprowadzić tu swoje porządki, na przykład pozbierać chrust z zagajnika po drugiej stronie pola, a także wypielić zdziczały ogródek i ukraść to, czego nie zdołała wyhodować.

To miejsce, gdzie może odpocząć.

Burza śnieżna na zewnątrz dobiegła końca.

Biała pierzyna leży cicho na ziemi, gładka i czysta jak niezapisany papier.

Być może to sprawia, że Addie zrywa się na równe nogi.

Naciąga na siebie pelerynę, zapina ją i wypada na zewnątrz, a jej buty natychmiast toną w śniegu. Jest leciutki, puszysty niczym wata cukrowa i pozostawia jej na języku smak zimy.

Kiedy miała pięć czy sześć lat, śnieg spadł również w Villon. Rzadki widok: pokrywająca wszystko warstwa puchu, gruba na kilkanaście centymetrów. W ciągu kilku godzin rozjechały ją konne powozy i brodzący przez nią piesi, ale Addie znalazła wówczas niewielki skrawek nietkniętej bieli. Wbiegła na niego, zostawiając za sobą rządek śladów stóp. Przeciągnęła gołymi dłońmi po zamarzniętej tafli, zagłębiając w niej palce, i zniszczyła w ten sposób całą śnieżną połać.

Kiedy skończyła, rozejrzała się po polu, teraz pełnym jej śladów, i zasmuciła się, że to już koniec. Następnego dnia mróz zelżał, a lód się stopił: to był ostatni raz, kiedy bawiła się w śniegu.

Aż do teraz.

Teraz jej kroki miażdżą doskonałą biel, lecz śnieg za nią podnosi się z powrotem.

Teraz przesuwa palcami przez delikatne wzgórki, a one po jej przejściu robią się znów gładkie.

Teraz bawi się na śniegu i nie zostawia ani śladu.

Świat pozostaje nieskalany, a ona chociaż raz się z tego cieszy.

Obraca się i wiruje, tańczy sama na śniegu, śmiejąc się z prostej, choć dziwnej magii tej chwili, ale zaraz wpada w śnieg głębszy, niż sądziła.

Traci równowagę i leci w stos bieli, sapiąc ze zdziwienia, kiedy czuje za kołnierzem nagłe zimno. Śnieg wpada jej do kaptura. Patrzy w górę: znów zaczęło padać, teraz rzadziej. Płatki sypią się jak spadające gwiazdy. Świat cichnie, tak jakby przykryła go płachta miękkiej bawełny. Gdyby nie lodowata wilgoć, przesączająca jej się przez ubranie, mogłaby tu zostać na zawsze.

Może nie na zawsze, jednak poleży sobie jeszcze przez chwilę.

Zapada w śnieg, pozwalając mu ograniczyć widoczność, aż dostrzega tylko śnieżną ramkę wokół nocnego nieba, zimnego i pełnego gwiazd.

Znów ma dziesięć lat i leży w wysokiej trawie za warsztatem ojca, marząc, że jest gdzieś indziej, nie w domu.

Jak dziwnymi, krętymi drogami spełniają się marzenia.

Teraz, patrząc w bezdenną czerń, nie myśli jednak o wolności, ale o nim.

I nagle on też się pojawia.

Staje ponad nią, otoczony przez ciemność, a jej wydaje się, że być może znów oszalała. Nie pierwszy raz.

– Dwieście lat, a wciąż bawisz się jak dziecko – odzywa się Luc, klękając koło niej.

– Co tu robisz?

– Mógłbym cię spytać o to samo.

Wyciąga dłoń, a ona ją łapie i pozwala mu się wyciągnąć z zaspy. Idą razem do chatki, lecz tylko Luc pozostawia po sobie ślad.

Wewnątrz ogień już wygasł, a ona wydaje cichy jęk, sięgając po latarnię z nadzieją, że to wystarczy, by rozpalić go z powrotem.

Luc patrzy tylko na dymiące resztki i pstryka z roztargnieniem palcami. Z paleniska natychmiast tryskają płomienie, układając się w ognisty kwiat, rzucający cienie na wnętrze chaty.

Jak łatwo poruszać mu się przez świat, myśli Addie.

Jak bardzo jej to utrudnił.

Luc rozgląda się po chatce i jej pożyczonym życiu.

– Moja Adeline – mówi. – Wciąż chciałabyś dorosnąć i zostać Estele.

– Nie jestem twoja – protestuje, chociaż w jej słowach nie ma złośliwości.

– Tam czeka cały świat, a ty spędzasz czas, udając wiedźmę w środku dziczy, staruchę modlącą się do starych bogów.

– Nie modliłam się do ciebie, a mimo to jesteś tutaj.

Przygląda mu się: Luc ma na sobie wełniany płaszcz i kaszmirowy szal, kołnierz postawił wysoko, tak że zasłania mu policzki. Addie zdaje sobie sprawę, że po raz pierwszy odwiedził ją zimą. Ta pora roku służy mu równie dobrze jak lato. Gładka skóra na jego policzkach jest marmurowo biała, a czarne loki przybrały kolor bezksiężycowego nieba. Zielone oczy są chłodne i jasne niczym gwiazdy. Stojąc przy kominku, wygląda tak, że

chciałaby go narysować. Mimo że minęło tyle czasu, świerzbią ją palce, by chwycić węgiel.

Przesuwa dłonią po gzymsie nad kominkiem.

– Widziałem słonia. W Paryżu.

To samo powiedziała mu wiele lat temu. Teraz te słowa brzmią w jej uszach dziwnie, pełne niewypowiedzianych treści. Widziałem słonia i pomyślałem o tobie. Byłem w Paryżu, a ty nie.

– I pomyślałeś o mnie – rzuca Addie.

To pytanie, lecz on nie odpowiada. Zamiast tego rozgląda się i mówi:

– Witać rok w takim miejscu? To żałosne. Możemy znaleźć coś lepszego. Chodź ze mną.

A ją – jak zawsze – bierze ciekawość, ale tego wieczoru kręci głową.

– Nie.

Wysuwa dumnie podbródek i ściąga ciemne brwi.

– Dlaczego nie?

Addie wzrusza ramionami.

– Ponieważ dobrze mi tutaj, a nie wierzę, że po wszystkim zabierzesz mnie tu z powrotem.

Jego uśmiech migocze niczym płomień, a ona spodziewa się, że na tym wizyta się zakończy.

Ona się odwróci, a jego już nie będzie. Odejdzie z powrotem w ciemność.

Nie, wciąż tu jest, cień w pożyczonym domu.

Siada na drugim krześle.

Wyczarowuje z niczego kieliszki z winem, a potem siedzą przy ogniu jak przyjaciele, a może nawet wrogowie, lecz honorujący zawieszenie broni. Luc opowiada jej o Paryżu pod koniec wieku – na przełomie wieków. O pisarzach pojawiających się jak kwiaty, o sztuce, muzyce i pięknie. Doskonale wie, jak ją skusić. Mówi, że nastał złoty wiek, czas światła.

– Spodobałoby ci się – mówi.

– O, jestem tego pewna.

Addie pojedzie tam wiosną i zobaczy Wystawę Światową, a także wieżę Eiffla, stalową rzeźbę wspinającą się ku niebu. Będzie się przechadzać pomiędzy szklanymi budynkami i efemerycznymi instalacjami. Wszyscy będą rozmawiać o starym i nowym stuleciu, tak jakby pomiędzy

teraźniejszością a przeszłością widniała jakaś linia. Tak jakby nie istniały wszystkie razem.

Historię tworzy się po fakcie.

Teraz Addie słucha opowieści cienia i to jej wystarczy.

Nie pamięta, jak odpłynęła w sen, ale kiedy się budzi, jest wczesny ranek, w chatce jest pusto, a z ognia pozostało niewiele ponad żar na palenisku. Na jej ramiona narzucono koc, a świat za oknem znów jest biały.

Teraz Addie będzie się zastanawiać, czy Luc w ogóle tam był.

CZĘŚĆ SZÓSTA

NIE UDAWAJ, ŻE TO MIŁOŚĆ

Tytuł dzieła: Dziewczyna marzeń
Autor: Toby Marsh
Data: 2014
Technika: zapis na papierze nutowym
Własność: kolekcja rodziny Pershingów
Opis: Ten oryginalny zapis utworu z własnoręczną sygnaturą piosenkarza i autora tekstów Toby'ego Marsha obejmuje początek piosenki Dziewczyna marzeń. Został on zlicytowany w ramach dorocznej gali Music Notes, będącej częścią programu finansowania nowojorskich szkół artystycznych. Podczas gdy część słów różni się od ostatecznej wersji piosenki, najsłynniejsze wersy („Tak bardzo się boję, że ją zapomnę, mimo że spotykam ją tylko w snach"). są czytelne na środku strony.
Kontekst: Piosenka ta jest powszechnie uważana za przełomowy punkt w karierze Marsha. Muzyk sam przyczynił się do stworzenia mitologii otaczającej ten temat, utrzymując, że napisał piosenkę po serii snów. „Budziłem się, mając w głowie takty muzyki" – wyznał w wywiadzie dla „Paper Magazine" z 2016. „Znajdowałem wersy napisane w notesach i na luźnych karteczkach, ale nie pamiętałem, żebym je tam zostawiał. To było jak lunatykowanie. A może lunatykomponowanie? To wszystko było jak sen". Marsh zaprzecza, by znajdował się wtedy pod wpływem narkotyków.
Przybliżona wartość: 15 000 dolarów

Villon-sur-Sarthe
29 lipca 1914

I

W Villon leje.

Wezbrana Sarthe napiera na brzegi, a ulewa zamienia ścieżki w błotniste strumyki. Przelewa się przez progi, wypełnia uszy białym szumem płynącej wody, kiedy zaś Addie zamyka oczy, upływ czasu wydaje się złudzeniem: dziewczyna znów ma dziesięć, piętnaście, dwadzieścia lat. Biegnie na bosaka w mokrej spódnicy, z rozwianymi włosami przez zmytą deszczem okolicę.

Potem jednak otwiera oczy. Minęło dwieście lat i nie da się zaprzeczyć, że miasteczko Villon uległo zmianom. Rozpoznaje coraz mniej miejsc, okolica staje się coraz dziwniejsza. Tu i tam wciąż kojarzy fragmenty, ale jej wspomnienia z lat sprzed zawarciem umowy są coraz słabsze.

Mimo to pewne rzeczy pozostały tam, gdzie były.

Droga biegnąca przez środek miasteczka.

Kościół w centrum.

Niski mur cmentarza, niewrażliwy na zmiany.

Addie kryje się w drzwiach kaplicy, by przeczekać ulewę. Kiedy wychodziła, miała w ręku parasol, ale ostry powiew wiatru wygiął druty, toteż teraz czeka, aż deszcz ustanie, ponieważ ma tylko jedną sukienkę. Stoi tam z dłonią wyciągniętą i złożoną w miseczkę, by złapać nieco deszczówki, i myśli o Estele, która zwykła stać w strugach wody z wyciągniętymi ramionami, serdecznie witając ulewę.

W końcu porzuca schronienie i zmierza do bramy cmentarza.

W ciągu kilku chwil przemaka do suchej nitki, ale deszcz jest ciepły, a ona się przecież nie rozpuści. Przechodzi koło kilku nowych nagrobków

i mnóstwa starych, składa dziką różę na grobach rodziców i wreszcie idzie odnaleźć Estele.

Przez wszystkie te lata tęskniła za staruszką, za jej pociechą i radą, za mocnym uściskiem, skrzypiącym śmiechem i za jej wiarą w Addie, kiedy ta nazywała się jeszcze Adeline, kiedy wciąż tam mieszkała i była zwykłym człowiekiem. Mimo że Addie usiłuje zatrzymać jak najwięcej wspomnień, po tylu latach prawie nie pamięta głosu Estele. Potrafi go wyczarować z pamięci tylko tu, gdzie wyczuwa obecność tamtej w sędziwych kamieniach, zarośniętej ziemi i chłostanym wiatrem drzewie.

Tymczasem okazuje się, że drzewo zniknęło.

Zapadnięty grób stoi na swoim miejscu, nagrobna płyta pęka i rozpada się, ale pięknego drzewa o szerokich konarach i głębokich korzeniach po prostu nie ma.

Pozostała tylko nierówno ścięta karpa.

Addie zachłystuje się powietrzem, opada na kolana, głaszcze martwy pień o poszarpanych krawędziach. Nie, tylko nie to. Utraciła i opłakała już wiele, ale po raz pierwszy od lat poniosła stratę tak bolesną. Cierpienie odbiera jej oddech, całą siłę, wolę życia.

W jej umyśle otwiera się przepastna studnia rozpaczy.

Po co w takim razie sadzić nasiona?

Po co ich doglądać i pomagać w rośnięciu?

W końcu wszystko i tak popada w ruinę.

Wszystko umiera.

Została tylko ona, samotny duch, trzymający straż przy zapomnianym grobie. Zaciska powieki i próbuje wyczarować Estele, przywołać głos staruszki i usłyszeć od niej, że wszystko będzie dobrze, że to tylko kawałek drewna, lecz głos zniknął, stłumiony przez szalejącą ulewę.

Addie siedzi tam aż do zmierzchu.

Deszcz osłabł do mżawki, pojedyncze krople kapią od czasu do czasu na kamień. Ulewa kompletnie ją przemoczyła, ale dziewczyna już tego nie czuje, nie czuje w ogóle niczego, aż wyczuwa za plecami poruszenie powietrza, zwiastujące przybycie cienia.

– Przykro mi – mówi Luc. Po raz pierwszy Addie słyszy takie słowa wypowiedziane tym jedwabistym głosem i po raz pierwszy brzmią one szczerze.

– Czy ty to zrobiłeś? – szepcze, nie podnosząc wzroku.

Ku jej zdumieniu Luc klęka koło niej na mokrej ziemi. Jego ubranie wydaje się całkowicie suche.

– Nie możesz obwiniać mnie o każdą stratę – mówi. Addie nie zdaje sobie sprawy, że drży, dopóki cień jej nie obejmie, dopóki nie poczuje dygotu ramion pod jego ręką. – Potrafię być okrutny – przyznaje. – Ale natura bywa okrutniejsza.

Dopiero teraz Addie dostrzega zwęgloną linię na środku pnia. Szybkie, gorące uderzenie błyskawicy. Nie łagodzi to jednak poczucia straty.

Nie może patrzeć na ścięte drzewo.

Nie chce tu już być ani chwili dłużej.

– Chodź – mówi Luc, dźwigając ją z ziemi. Dziewczyna nie wie, dokąd idą, ale wcale jej to nie obchodzi, byle dalej od cmentarza w Villon. Odwraca się plecami do kikuta pnia i popękanego nagrobka. „Nawet skała…", myśli, podążając za cieniem do wyjścia, pozostawiając za sobą cmentarz, miasteczko i przeszłość.

Nigdy tu już nie wróci.

Paryż zmienił się oczywiście dużo bardziej niż Villon.

Po latach miasto lśni nowością: budynki z jasnego kamienia kryte ciemnymi dachami, o wysokich oknach i balkonowych balustradach z kutego żelaza stoją wzdłuż szerokich alej. Wokół widać kwiaciarnie i kawiarnie pod czerwonymi markizami.

Siedzą na patio, jej sukienka schnie na letnim wietrze, a pomiędzy nimi stoi otwarta butelka porto. Addie pije do dna, próbując usunąć z pamięci obraz drzewa, ale wie, że żadna ilość wina nie oczyści jej wspomnień.

Mimo to dalej próbuje.

Gdzieś nad Sekwaną ktoś zaczyna grać na skrzypcach. Pod wysokimi nutami dociera do nich niski warkot silnika samochodu i uparty stukot końskich kopyt: dziwna muzyka Paryża.

Luc unosi kieliszek.

– Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy, moja Adeline.

Dziewczyna patrzy na niego, otwiera usta, żeby odpowiedzieć to, co zwykle, ale powstrzymuje się. Jeśli jest „jego Adeline", to on musi także należeć do niej.

– Wszystkiego najlepszego, mój Lucu – odpowiada, żeby zobaczyć jego minę.

Zostaje nagrodzona uniesioną brwią i niedowierzającym skrzywieniem ust. Zaskoczenie zmienia odcień jego zielonych oczu.

A potem Luc opuszcza wzrok, obracając kieliszek porto w palcach.

– Powiedziałaś mi kiedyś, że jesteśmy podobni – odzywa się cicho, jakby mówił do siebie. – Oboje… samotni. Znienawidziłem cię za te słowa, ale przypuszczam, że pod pewnym względem miałaś rację. Mam wrażenie, że wspólne spędzanie czasu faktycznie ma swoje zalety.

Nigdy przedtem nie brzmiał bardziej jak człowiek.

– Czy tęsknisz za mną, kiedy cię tu nie ma? – pyta Addie.

Zielone oczy z powrotem spoglądają na nią, lśniąc szmaragdowo nawet w mroku.

– Jestem z tobą częściej, niż myślisz.

– Oczywiście – przyznaje niechętnie. – Ty możesz przychodzić i odchodzić, kiedy chcesz. Ja nie mam wyboru, mogę tylko czekać.

Oczy ciemnieją mu z przyjemności.

– Czekasz na mnie?

Teraz to ona spuszcza oczy.

– Sam to powiedziałeś. Wszyscy tęsknimy za towarzystwem.

– A gdybyś mogła mnie odwiedzać, tak jak ja odwiedzam ciebie?

Jej puls nieco przyspiesza.

Nie podnosi wzroku i dlatego widzi, co toczy się ku niej po stoliku. Wąski krążek, wyrzeźbiony w jasnym, jesionowym drewnie.

To pierścionek.

To jej pierścionek.

Ofiara, którą złożyła ciemności tamtego wieczoru.

Ofiara, którą cień pogardził i obrócił w dym.

Złudzenie wyczarowane w nadmorskim kościele.

Jeśli teraz jest to również iluzja, to wyjątkowo dobra. Proszę, oto nacięcie w miejscu, gdzie dłuto ojca wbiło się nieco za głęboko. A tu kawałek wypolerowany na gładko, niczym kamień przez lata zmartwień.

Jest prawdziwy, musi taki być. A przecież…

– Zniszczyłeś go.

– Zabrałem go – poprawia ją Luc znad kieliszka. – To nie to samo.

Addie wybucha gniewem.

– Powiedziałeś, że to nic niewarte.

– Powiedziałem, że nie pobieram opłaty w takiej walucie. Nie niszczę pięknych rzeczy bez powodu. Przez pewien czas był mój, ale poza tym zawsze twój.

Dziewczyna patrzy na pierścionek.

– Co muszę zrobić?

– Wiesz, jak wzywać bogów.

Głos Estele, słaby niczym podmuch.

„Musisz się przed nimi ukorzyć".

– Włóż go, a przyjdę. – Luc rozsiada się na krześle. Podmuch wiatru rozwiewa mu krucze loki. – Proszę, teraz jesteśmy kwita.

– Nigdy nie będziemy kwita – odpowiada Addie, obracając krążek w palcach. Decyduje, że nigdy go nie użyje.

To wyzwanie. To zaproszenie do gry, ukryte pod pozorem prezentu. Nie wojna, lecz zakład. Walka woli. Gdyby włożyła pierścionek i wezwała Luca, przyznałaby się do porażki.

Musiałaby się poddać.

Wsuwa pierścionek do kieszeni i zmusza palce, by puściły talizman.

Dopiero wtedy zauważa napiętą atmosferę tego wieczoru. Czuła ją już wcześniej, ale nie potrafiła jej z niczym powiązać. Wówczas jednak Luc mówi:

– Zbliża się wielka wojna.

Nic o tym nie słyszała, lecz on opowiada jej z niezadowoloną miną o zabójstwie arcyksięcia.

– Nienawidzę wojny – mówi ponuro.

– Myślałby kto, że lubisz konflikty.

– Ich pokłosiem zwykle jest sztuka – przyznaje cień. – Ale wojna z cyników czyni wierzących. Lizusy nagle chcą dostąpić zbawienia, więc wszyscy zazdrośnie strzegą swoich dusz, niczym kobieta najcenniejszych pereł. – Kręci głową. – Oddajcie mi Belle Epoque!

– A więc bogowie bywają również nostalgiczni?

Luc dopija porto i wstaje.

– Powinnaś opuścić tę okolicę, zanim wybuchnie wojna – radzi. Addie wybucha śmiechem, bo to brzmi prawie tak, jakby mu na niej zależało.

Pierścionek w jej kieszeni nagle zaczyna jej ciążyć. Cień wyciąga dłoń. – Mogę cię stąd zabrać.

Powinna była zaakceptować jego propozycję, zgodzić się, żeby przeniósł ją gdzieś indziej. Gdyby pozwoliła, by poprowadził ją przez straszną ciemność, a potem z powrotem w świat, oszczędziłaby sobie podróży przez ocean, paskudnego tygodniowego rejsu na gapę we wnętrznościach statku, a także piękna morskich fal, przyćmionego ich bezkresną naturą.

Przez wszystkie te lata nauczyła się jednak odmawiać.

Luc kręci głową.

– Dalej się upierasz. To głupie.

Addie rozważa pozostanie, ale po tym, jak cień znika, przypomina sobie jego mroczne spojrzenie i przygnębienie, z jakim mówił o nadciągającej wojnie. Kiedy nawet bogowie i demony obawiają się walki, to dość wyraźny znak.

Tydzień później dziewczyna ustępuje i wchodzi na pokład statku do Nowego Jorku.

Kiedy przybywa do celu, na świecie trwa już wojna.

Nowy Jork
29 lipca 2014

II

To po prostu kolejny dzień.

Addie powtarza to sobie przez cały czas.

To tylko dzień jak każdy inny… ale oczywiście to nieprawda.

Minęło trzysta lat od jej niedoszłego ślubu, od kiedy ktoś próbował zaplanować dziewczynie przyszłość wbrew jej woli.

Trzysta lat, od kiedy klęknęła w lesie, wezwała ciemność i straciła wszystko poza wolnością.

Trzysta lat.

Z tej okazji powinno nastąpić zaćmienie słońca… albo powinna nadejść burza. W każdym razie ten dzień powinien zostać jakoś uczczony.

Tymczasem od rana panuje idealna pogoda, niebo jest błękitne i bezchmurne.

Miejsce w łóżku obok niej jest puste, ale dziewczyna słyszy krzątaninę Henry'ego w kuchni. W nocy musiała trzymać mocno kołdrę, bo palce jej ścierpły, a na środku lewej dłoni czuje ognisko bólu.

Kiedy ją otwiera, wypada z niej drewniany pierścionek.

Zmiata go z łóżka, tak jakby był pająkiem, znakiem nieszczęścia, a potem słucha, jak uderza o parkiet, odbija się i toczy. Podciąga kolana i opiera na nich czoło, oddychając w zamkniętej przestrzeni, prosto we własny brzuch, i powtarza sobie, że to tylko pierścionek, a poza tym dzień jak co dzień. Mimo to czuje, jak jej serce ściska tępy strach, niczym zadzierzgnięta lina, coraz ciaśniej i ciaśniej. Coś podpowiada jej, żeby uciekała jak najdalej od Henry'ego, na wypadek gdyby zjawił się cień.

Wmawia sobie, że Luc się nie zjawi.

Minęło przecież tyle czasu.

Mimo to nie chce podejmować ryzyka.

Henry puka do drzwi, a ona podnosi wzrok. Chłopak stoi na progu, w dłoni trzyma talerz z donutem, w którym tkwią trzy świeczki.

Addie nie może się powstrzymać od śmiechu.

– Cóż to?

– Hej, moja dziewczyna nie codziennie kończy trzysta lat.

– Ale to nie są moje urodziny.

– Owszem, ale nie wiedziałem dokładnie, jak to nazwać.

Nagle, znikąd, w jej umyśle unosi się głos, niczym dym:

„Wszystkiego najlepszego, kochanie".

– Pomyśl życzenie – proponuje Henry.

Addie przełyka ślinę i zdmuchuje świeczki.

Henry opada na łóżko obok niej.

– Mamy cały dzień – informuje. – Bea zastępuje mnie dzisiaj w pracy. Pomyślałem, ze moglibyśmy wsiąść w pociąg do… – milknie, kiedy dostrzega jej minę. – Co się dzieje?

Strach wbija szpony w jej brzuch, głębiej niż głód.

– Myślę, że nie powinniśmy być razem – mówi. – Nie dziś.

Patrzy na nią ze smutkiem.

– Och…

Addie podpiera twarz dłońmi i kłamie:

– To tylko jeden dzień, Henry.

– Masz rację – zgadza się. – Jeden dzień. Ale ile ich już popsuł? Nie pozwól mu tego zabrać – mówi i całuje ją. – Nie pozwólmy sobie tego zabrać.

Jeżeli Luc zastanie ich razem, zabierze coś więcej niż tylko to.

– Daj spokój – upiera się Henry. – Odwiozę cię z powrotem, zanim zmienisz się w dynię. A potem, jeżeli zechcesz spędzić noc osobno, zrozumiem to. Martw się nim o zmroku, ale zostało jeszcze sporo czasu, a tobie należą się dobry dzień i dobre wspomnienia.

Ma rację, Addie na to zasługuje.

Strach w jej piersi nieco odpuszcza.

– Okej – stwierdza; jedno małe słowo, a twarz Henry'ego rozjaśnia uśmiech. – Co wymyśliłeś?

Chłopak znika w łazience i wyłania się ponownie z parą żółtych kąpielówek i ręcznikiem przewieszonym przez ramię. Rzuca jej niebiesko-białe bikini.

– Chodźmy.

Rockaway Beach to morze kolorowych ręczników i flag wetkniętych w piasek.

Śmiech toczy się falą niczym przypływ. Dzieciaki budują zamki i stawiają babki z piasku, a ludzie plażują, opalając się na słońcu. Henry rzuca ręczniki na wąski pasek wolnego miejsca, przyciska je butami, a potem Addie łapie go za rękę i biegną po piasku, palącym ich w podeszwy, aż docierają do samego brzegu i rzucają się do wody.

Addie wzdryga się, czując wokół nóg falę, chłodną mimo upału, i brnie, aż morze sięga jej do pasa. Henry zanurza głowę koło niej, potem prostuje się z powrotem, a krople słonej wody ściekają mu po okularach. Przyciąga ją i scałowuje sól z jej palców, a ona odgarnia mu włosy z twarzy. Stoją w wodzie, miotani falami przyboju.

– Widzisz? Czy nie lepiej w ten sposób?

I rzeczywiście, tak jest lepiej.

Dużo lepiej.

Pływają, aż bolą ich wszystkie mięśnie, a skóra zaczyna się marszczyć od wody, a wreszcie wracają na plażę, do swoich ręczników, i rozciągają się na nich, by wyschnąć na słońcu. Jest zbyt gorąco, by zostać tu dłużej, w dodatku przyciąga ich woń jedzenia docierająca z promenady.

Henry zbiera swoje rzeczy, potem rusza ku wyjściu z plaży, a Addie podnosi się i strząsa piasek z ręcznika.

Wypada z niego również drewniany pierścionek.

Leży tak, o odcień ciemniejszy od piasku, jak kropla deszczu na suchym chodniku. Jak przypomnienie. Addie kuca przy nim i zasypuje go garścią piasku, a później biegnie za Henrym.

Zmierzają ku rzędowi barów stojących wzdłuż plaży, gdzie zamawiają tacosy i dzbanek mrożonej margarity, po czym rozkoszują się jej intensywnym zapachem i slodko-słonym smakiem chłodnego napoju. Henry ociera zroszone szklanki, a Addie patrzy na ocean i czuje, jak przeszłość przechodzi w teraźniejszość, niczym fala przypływu.

Déjà vu. Déjà su. Déjà vécu.

– O czym myślisz? – pyta Henry.

Addie rzuca mu nieobecne spojrzenie.

– Hm?

– Zawsze masz taką minę, kiedy coś sobie przypominasz – wyjaśnia.

Addie znowu patrzy na Atlantyk, na nieskończoną połać plaży, a wspomnienia rozwijają się wzdłuż horyzontu. Kiedy jedzą, opowiada Henry'emu o wszystkich wybrzeżach, jakie odwiedziła. O tym, jak przekraczała kanał La Manche na pokładzie promu, a białe klify Dover wyłaniały się z mgły. O tym, jak płynęła na gapę wzdłuż wybrzeży Hiszpanii, schowana w głębi statku, a także o rejsie do Ameryki, podczas którego wszyscy chorowali, a ona musiała udawać, że również biorą ją mdłości, żeby nie posądzono jej o czary.

Kiedy opowiadanie już ją zmęczy, a obojgu skończą się drinki, spędzają kilka następnych godzin, wędrując pomiędzy zacienionymi straganami i chłodną falą przyboju, kładąc się na piasku tylko po to, żeby wyschnąć.

Dzień upływa aż za szybko, tak jak wszystkie dobre dni.

A kiedy czas im się kończy, idą do metra. Siadają na ławeczce, pijani słońcem i senni, i siedzą tak, aż pociąg ruszy ze stacji.

Henry wyjmuje książkę, natomiast Addie czuje, że szczypią ją oczy, więc pochyla się ku niemu, rozkoszując się wonią papieru i ciała nagrzanego słońcem. Mimo zapachu plastikowych siedzeń i stęchłej atmosfery metra nigdy nie było jej wygodniej. Czuje, że zapada się w Henry'ego, gdy kładzie mu głowę na ramieniu.

Wtedy on szepcze w jej włosy dwa słowa:

– Kocham cię.

Addie zastanawia się, czy to rzeczywiście miłość, to delikatne uczucie.

Czy miłość powinna być tak stonowana?

Czuje różnicę pomiędzy gorącym i ciepłym.

Pasją i zadowoleniem.

– Też cię kocham – odpowiada.

Bardzo chce, żeby to była prawda.

Chicago, Stany Zjednoczone Ameryki
29 lipca 1928

III

Nad barem wisi anioł.

Podświetlony z tyłu panel witrażowego szkła przedstawia postać ze wzniesionym kielichem i rozpostartymi dłońmi, tak jakby wzywała do modlitwy.

Tylko że to nie kościół.

Tajne bary są jak łodygi zielska przebijające się pomiędzy cegłami w murze prohibicji. Ta melina nie ma nazwy, tylko anioła z kielichem nad barem, a nad drzwiami numer XII. Dwanaście, jak dwunasta w południe albo w nocy. Wiszą tu pluszowe zasłony, na parkiecie stoją szezlongi, niczym w kuszetce, przy drzwiach zaś wszyscy klienci otrzymują maski, utrudniające identyfikację.

Lokalizacja baru przekazywana jest w tajemnicy pocztą pantoflową, z ust do ust zionących alkoholem.

Addie uwielbia to miejsce.

Tańczy tutaj, czasami sama, czasem w towarzystwie nieznajomych. Daje się ponieść jazzowi, odbijającemu się echem od ścian i wypełniającemu nutami tę przestrzeń. Tańczy, aż piórka jej maski przylepiają się do spoconych policzków, a zarumieniona Addie bez tchu pada na skórzany fotel.

Jest prawie północ, a jej palce wędrują niczym wskazówki zegarka ku górze, ku szyi i pierścionkowi zawieszonemu na srebrnym łańcuszku. Drewniany krążek wydaje jej się ciepły.

Zawsze pozostaje w jej zasięgu.

Raz, kiedy łańcuszek się zerwał, myślała już, że pierścionek się zapodział, lecz odnalazła go w kieszeni bluzki. Innym razem zostawiła go na parapecie, a kilka godzin później znalazł się na jej szyi.

Jedyna rzecz, jakiej nie może zgubić.

Bawi się nim teraz leniwie, tak jakby nawijała kosmyk włosów na palec. Wodzi po jego krawędzi paznokciem, obraca go w dłoni, bardzo uważając, żeby przypadkiem nie ześlizgnął jej się na palec.

Sięgała po niego setki razy: kiedy była samotna, znudzona lub kiedy zobaczyła coś pięknego i pomyślała o cieniu. Jest jednak zbyt uparta i zbyt dumna, a także zdecydowana wygrać tę rundę.

Przez czternaście lat opierała się pokusie włożenia pierścionka.

A on nie przychodził przez czternaście lat.

A więc miała rację – to gra. Tym razem o niższej stawce, ale nadal polegająca na oczekiwaniu na kapitulację.

Czternaście lat.

Addie jest samotna, nieco pijana i zastanawia się, czy tego wieczoru się złamie. To byłby upadek, ale nie z tak dużej wysokości. Być może… być może… Zamawia następnego drinka, by zająć czymś ręce.

Podchodzi do baru i zamawia gin fizz, ale barman w białej maseczce stawia przed nią kieliszek szampana. Pomiędzy bąbelkami pływa samotny kandyzowany płatek róży, a kiedy pyta, od kogo to, kiwa głową w kierunku postaci siedzącej w obitej pluszem loży. Maska mężczyzny wygląda jak spleciona z gałęzi, które idealnie okalają zielone oczy.

Addie uśmiecha się na jego widok.

Skłamałaby, twierdząc, że czuje tylko ulgę. Kamień z serca. Swobodny oddech.

– Wygrałam – mówi, sadowiąc się w loży.

Mimo że poddał się pierwszy, jego oczy lśnią triumfalnie.

– Jak to?

– Nie wezwałam cię, a i tak się zjawiłeś.

Unosi lekceważąco brodę.

– Zakładasz, że jestem tu dla ciebie.

– Ach, zapomniałam – odpowiada Addie, naśladując jego gładki, niski głos. – Kręci się tu przecież tylu irytujących ludzi, gotowych przehandlować swoje dusze.

Jego idealne usta krzywią się w kpiącym uśmiechu.

– Adeline, przysięgam, że niewielu z nich jest równie irytujących jak ty.

– Niewielu? – drażni się z nim. – To muszę się bardziej postarać.

Luc unosi kieliszek i pochyla go lekko w kierunku baru.

– A jednak to ty przyszłaś do mnie. To moje miejsce.

Addie rozgląda się i nagle wszystko staje się oczywiste.

Wszędzie dostrzega jego ślady.

Po raz pierwszy zdaje sobie sprawę, że anioł nad barem nie ma skrzydeł, loki wokół jego twarzy są czarne, a krążek, który wzięła za aureolę, może równie dobrze być Księżycem.

Zastanawia się, co ją tu przyciągnęło.

Czy może ona i Luc są jak dwa magnesy?

Czy krążyli wokół siebie tak długo, że teraz znajdują się na tej samej orbicie?

Takie kluby staną się jego hobby: założy je w wielu miastach, będzie ich doglądał jak ogrodów, a one wyrosną bujnie.

„Równie liczne jak kościoły – powie – a dwukrotnie bardziej popularne".

Będą kwitły jeszcze długo po zniesieniu prohibicji, dostarczać towaru licznym klientom, a ona będzie się zastanawiać, czy podsyca je energia Luca, czy też traktuje je jako miejsca, gdzie mógłby wabić ludzi gotowych oddać duszę, a potem zastawiać na nich sidła, uwodzić ich i zawierać z nimi umowy. W pewien sposób będą to miejsca modlitwy, ale innego rodzaju.

– A więc, jak widzisz – stwierdza Luc – być może to ja wygrałem.

Addie kręci głową.

– To czysty przypadek. Nie wzywałam cię.

Cień uśmiecha się, a jego spojrzenie pada na pierścionek na jej piersi. – Znam twoje serce. Poczułem, jak słabnie.

– Ale się nie poddałam.

– Nie – przyznaje tak cicho, jakby oddychał. – Ale zmęczyło mnie czekanie.

– A więc to ty zatęskniłeś za mną – upewnia się Addie z uśmiechem. W zielonych oczach widać iskierkę, odłamek światła.

– Życie jest długie, a ludzie nudni. Wolę twoje towarzystwo.

– Zapominasz, że ja też jestem człowiekiem.

– Adeline – mówi Luc z lekkim współczuciem – od naszego pierwszego spotkania nie jesteś już człowiekiem i nigdy nim nie będziesz.

Na te słowa Addie czuje przypływ gniewu, gorącą falą wędrującego przez jej ciało.

– Wciąż jestem człowiekiem – upiera się, ale gardło ściska jej się tak, jakby próbowała wypowiedzieć swoje imię.

– Poruszasz się wśród nich jak duch – stwierdza cień, pochylając ku niej głowę – ponieważ nie jesteś jedną z nich. Nie możesz żyć jak oni. Nie możesz kochać jak oni. Nie należysz do nich. – Jego usta zawisają przy jej twarzy, obniża głos do niemal niesłyszalnego szeptu. – Należysz do mnie. – W jego gardle rodzi się dźwięk przypominający grzmot. – Twoje miejsce jest przy mnie.

A kiedy patrzy w jego oczy, widzi nowy odcień zieleni i od razu wie, co oznacza. Luc wydaje się wytrącony z równowagi, jego pierś unosi się gwałtownie i opada, tak jakby był mężczyzną.

To dobra chwila, by wbić mu nóż.

– Wolałabym raczej rzeczywiście zostać duchem.

Po raz pierwszy ciemność się wzdryga, a potem cofa, jak cień przed światłem. Jego oczy błyszczą gniewem, i oto znów siedzi przed nią bóg, którego zna, potwór, któremu nauczyła się stawiać czoła.

– Jak sobie życzysz – mruczy, a ona czeka, aż roztopi się w ciemności, przygotowuje się wewnętrznie na nagłą, wszechogarniającą próżnię, oczekuje, że zostanie wessana i wypluta po przeciwnej stronie świata.

Luc nie znika jednak – i ona też nie.

Kiwa głową w stronę parkietu.

– W takim razie idź, wracaj do nich – mówi.

Wolałaby chyba, żeby ją ukarał, przenosząc na antypody. Wstaje jednak, mimo że całkiem straciła ochotę na picie, taniec i towarzystwo innych ludzi.

Czuje się tak, jakby zeszła ze słońca w cień: w parnym pomieszczeniu owiewa ją chłód. Cień siedzi w loży obitej pluszem, a ona zachowuje pozory dobrej zabawy, lecz po raz pierwszy czuje przepaść pomiędzy sobą a ludźmi i zaczyna się obawiać, że Luc miał rację.

W końcu to ona pierwsza wychodzi z baru.

Następnego dnia okazuje się, że drzwi i okna meliny zabito deskami, a Luca nie ma nigdzie w pobliżu. Addie orientuje się, że oto nakreślili nowe linie frontów, rozstawili wojska i rozpoczęli bitwę.

Nie spotka go aż do wybuchu drugiej wojny światowej.

Nowy Jork
29 lipca 2014

IV

Pociąg metra linii A szarpie, wyrywając Addie ze snu.

Dziewczyna otwiera oczy w chwili, gdy lampa nad jej głową migocze i gaśnie, pogrążając cały wagon w ciemności. Czuje w piersi nagły przypływ paniki, za oknami przemyka ciemny świat, lecz dłoń Henry'ego ściska jej rękę.

– To tylko awaria – mówi, po chwili światło ponownie się włącza, a pociąg znów kołysze się łagodnie. Kiedy z głośników brzmi zapowiedź kolejnej stacji, Addie zdaje sobie sprawę, że wrócili już na Brooklyn, znajdują się na ostatnim, podziemnym odcinku metra, a kiedy wysiądą, słońce będzie jeszcze bezpiecznie wysoko na niebie.

Wracają powoli do mieszkania Henry'ego, zmęczeni od słońca i ospali, zmywają z siebie sól i piasek pod prysznicem i padają na łóżko, a mokre włosy chłodzą ich skórę. Książek zwija się w kłębek przy ich stopach. Henry przyciąga ją, prześcieradła są chłodne, a on jest ciepły, i nawet jeżeli to nie miłość, jej to wystarczy.

– Pięć minut – mamrocze w jej włosy.

– Pięć minut – odpowiada Addie, a jej słowa wyrażają na wpół prośbę, na wpół obietnicę, kiedy przytula się do niego.

Na zewnątrz słońce wisi nad budynkami.

Wciąż mają czas.

Addie budzi się w ciemności.

Kiedy zamykała oczy, słońce stało jeszcze wysoko na niebie. Teraz pokój jest pełen cieni, a niebo za oknem nabrało odcienia soczystego indygo.

Henry wciąż śpi, ale w pokoju jest zbyt cicho, zbyt spokojnie, a Addie czuje nagłe przerażenie. Gwałtownie siada.

Nie wymawia jego imienia, nawet o tym nie myśli, wstaje tylko z łóżka, wstrzymując oddech, i wychodzi do ciemnego korytarza. Rozgląda się po salonie, przygotowując na to, że zastanie Luca na kanapie, z ramionami rozpostartymi na oparciu.

„Adeline".

Nie ma go tam.

Oczywiście, że go tam nie ma.

Minęło prawie trzydzieści lat.

Nie przyjdzie, a Addie jest już zmęczona czekaniem.

Wraca do sypialni, gdzie zastaje Henry'ego stojącego obok łóżka, ze zmierzwioną czarną czupryną. Szuka okularów pod poduszką.

– Przepraszam – mówi ze skruchą. – Powinienem był nastawić budzik. – Rozpina torbę i wrzuca do środka ciuchy na zmianę. – Zatrzymam się u Bei i…

Addie łapie go za rękę.

– Nie idź.

Henry się waha.

– Jesteś pewna?

Niczego nie jest pewna, ale tak się dobrze dzisiaj bawiła, że nie chce zmarnować wieczoru. Nie chce oddać go tamtemu.

Cień odebrał jej już dość.

W mieszkaniu nie ma nic do jedzenia, więc ubierają się i idą do Merchanta. Poruszają się przy tym jak we śnie, zdezorientowani po tak długim przebywaniu na słońcu i przebudzeniu po zapadnięciu zmroku. Wokół nich unosi się atmosfera rozmarzenia, tak jakby zmierzali ku idealnemu zakończeniu idealnego dnia.

Mówią kelnerce, że to dla nich specjalny wieczór, a kiedy pyta, czy świętują urodziny, czy może zaręczyny, Addie unosi piwo i mówi:

– Rocznicę.

– Gratulacje! – promienieje tamta. – Ile to już lat?

– Trzysta!

Henry zachłystuje się piwem, kelnerka wybucha śmiechem, zakładając, że to jakiś dowcip zrozumiały tylko dla tamtych dwojga, Addie zaś

uśmiecha się tajemniczo.

Rozbrzmiewa piosenka, wyraźnie słyszalna ponad gwarem tłumu, a wówczas ona ciągnie go na parkiet.

– Zatańcz ze mną – prosi. Henry próbuje jej powiedzieć, że nie tańczy, mimo że była z nim przecież w Czwartej Szynie, gdzie rzucali się oboje w rytm tamtej muzyki, a on mówi, że to co innego, jednak ona mu nie wierzy, ponieważ czasy się zmieniają, ale wszyscy nadal tańczą. Widziała na parkietach walca i kadryla, fokstrota i jive'a oraz tuzin innych i jest przekonana, że Henry poradzi sobie przynajmniej z jednym.

Ciągnie go więc między stoliki. Nawet nie wiedział, że w Merchancie jest parkiet do tańca, ale proszę bardzo, oto on, a oni pląsają po nim jako jedyni. Addie pokazuje mu, jak unieść dłoń i poruszać się tak, jakby był jej lustrzanym odbiciem. Podpowiada mu, jak prowadzić w tańcu, jak ją obracać i pochylać. Pokazuje też, gdzie powinien położyć dłonie i jak wyczuć rytm poprzez jej biodra, a już po chwili wszystko wychodzi im prawidłowo, swobodnie i znakomicie.

Idą ze śmiechem do baru, by zamówić następną kolejkę.

– Dwa piwa – mówi Henry. Barman posłusznie kiwa głową, odchodzi, a minutę później wraca i stawia przed nimi zamówione napoje.

Tylko jeden z nich to piwo.

Drugi to szampan z kandyzowanym płatkiem róży.

Addie czuje, jak świat się przechyla, a ciemność wokół niej zaciska w tunel.

Pod kieliszkiem znajduje się liścik, napisany eleganckim, pochyłym charakterem pisma.

Pour ma Adeline. Dla mojej Adeline.

– Hej, nie zamawialiśmy czegoś takiego! – protestuje Henry.

Barman wskazuje drugi koniec kontuaru.

– Pozdrowienia od tego tam dżentelme… Co? Przed chwilą tam był.

Serce podchodzi Addie do gardła. Łapie Henry'ego za rękę.

– Musisz iść.

– Co? Czekaj…

Nie ma na to czasu. Ciągnie go do drzwi.

– Addie.

Luc nie może zobaczyć ich razem, nie może się dowiedzieć, że znaleźli…

– Addie – słyszy dziewczyna i w końcu ogląda się za siebie. Czuje, jak świat wokół niej się rozpada.

W barze panuje idealny bezruch.

Nie zrobiło się nagle pusto, o nie. Wciąż jest tu mnóstwo ludzi.

Tylko nikt się nie porusza.

Wszyscy zamarli w pół gestu, w pół słowa, w pół łyku. Żyją, ale zostali unieruchomieni siłą, jak marionetki na sznurkach. Muzyka wciąż płynie z głośników, teraz trochę cichsza, ale jest to jedyny dźwięk w barze poza urywanym oddechem Henry'ego i biciem jego serca.

A teraz z ciemności odzywa się również głos:

– Adeline…

Cały świat wstrzymuje oddech. Słychać tylko miękkie echo stóp kroczących po parkiecie. Z cienia wychodzi znana postać.

Trzydzieści lat minęło – i oto jest, niezmieniony, tak samo jak ona: te same krucze loki, szmaragdowe oczy i ten sam nieszczery uśmiech na pięknych ustach. Ma na sobie czarną koszulę z rękawami podwiniętymi do łokci, marynarkę przewieszoną przez ramię, a jedną dłoń trzyma luźno w kieszeni eleganckich spodni.

Pełna swoboda w całej okazałości.

– Kochanie – mówi. – Znakomicie wyglądasz.

Na dźwięk jego głosu coś w niej pęka, tak jak zawsze. Coś w jej piersi rozluźnia się, rozładowuje, ale nie na tyle, by przynieść jej ulgę. Czekała, oczywiście że czekała, wstrzymując oddech w przerażeniu i w nadziei. Teraz może wreszcie wypuścić powietrze.

– Co tu robisz?

Luc wygląda na urażonego.

– To nasza rocznica. Chyba nie zapomniałaś?

– Minęło trzydzieści lat.

– A czyja to wina?

– Wyłącznie twoja!

Wygina w uśmiechu kąciki ust, a potem jego wzrok pada na Henry'ego.

– Zapewne to podobieństwo powinno mi schlebiać.

Addie nie reaguje na przynętę.

– On nie ma z tym nic wspólnego. Odeślij go, przecież zapomni.

Uśmiech Luca rzednie.

– Proszę cię, zawstydzasz nas obu – mówi, obchodząc ich powoli, jak tygrys okrążający ofiarę. – Tak jakbym nie pilnował wszystkich moich klientów. Henry Strauss tak bardzo chciał być kochany. Oddał za to duszę. Ależ z was piękna para.

– Pozwól nam się tym nacieszyć!

Ciemna brew wędruje w górę.

– Myślisz, że chcę was rozdzielić? Ależ nie. Wkrótce czas zrobi to za mnie. – Spogląda na Henry'ego. – Tik-tak. Powiedz, czy wciąż liczysz pozostałe dni życia, czy przestawiłeś się już na godziny? Trudno z tym żyć, prawda?

Addie patrzy to na jednego, to na drugiego, dostrzegając triumfalną zieleń w oczach Luca i nagłą bladość na twarzy Henry'ego.

Nie rozumie.

– Och, Adeline.

Cofa się na to imię.

– Ludzie żyją tak krótko, prawda? Niektórzy z nich o wiele krócej od innych. Cieszcie się czasem, który wam pozostał. A ty wiedz, że to był jego wybór.

Z tymi słowami Luc odwraca się na pięcie i rozpływa w ciemności.

Kiedy znika, bar wraca do życia. Znów słychać gwar, a Addie gapi się w cień, dopóki nie jest pewna, że nikogo już tam nie ma.

„Ludzie żyją tak krótko".

Odwraca się do Henry'ego, który nie stoi już za nią, ale siedzi bezwładnie na krześle.

„Niektórzy z nich o wiele krócej od innych".

Zwiesił głowę, a jedną ręką trzyma za przegub drugiej, tam, gdzie powinien być zegarek. Poprawka, gdzie jest zegarek. Addie jest pewna, że go nie zakładał ani nie miał na sobie tego dnia.

Mimo to lśni na jego nadgarstku jak obręcz kajdanek.

„To był jego wybór".

– Henry – mówi, klękając przed nim.

– Chciałem ci powiedzieć... – mamrocze chłopak.

Addie przyciąga do siebie zegarek i patrzy na cyferblat. Są z Henrym od czterech miesięcy, a w tym czasie wskazówka godzinowa przesunęła się z wpół do szóstej na wpół do dziesiątej. Cztery miesiące. Cztery godziny

bliżej do północy. Zawsze zakładała, że po dwunastej wskazówka ruszy dalej.

„Całe życie”, powiedział Henry, a ona wiedziała, że to kłamstwo.

To musiało być kłamstwo.

Luc nigdy nie dałby innemu człowiekowi tyle czasu, nie po umowie z nią.

Wiedziała o tym, musiała się domyślać. Ale myślała, że może sprzedał duszę za pięćdziesiąt, trzydzieści, no, może dziesięć lat. To by wystarczyło.

Tarcza zegarka ma jednak tylko dwanaście godzin, a w roku jest dwanaście miesięcy… Nie zrobiłby tego. Nie mógł być taki głupi!

– Henry, o ile czasu poprosiłeś?

– Addie – odpowiada błagalnie i po raz pierwszy jej imię brzmi w jego ustach tak źle. Całe jest popękane. Całe się łamie.

– Ile czasu? – naciska dziewczyna.

Przez dłuższą chwilę milczy.

A potem w końcu mówi jej całą prawdę.

Nowy Jork
4 września 2013

V

Chłopak ma dosyć swojego pękniętego serca.

A także swojego umysłu, targanego burzami.

Dlatego pije, aż przestaje czuć odłamki trące o siebie w piersi, aż przestaje słyszeć grzmoty huczące w jego głowie. Pije, kiedy przyjaciele mówią mu, że wszystko będzie w porządku. Pije, kiedy mówią, że to minie. Pije, aż butelka jest pusta, a świat zaczyna się rozmazywać. To nie wystarczy, by złagodzić cierpienie, więc wychodzi, a oni go nie zatrzymują.

Kiedy wraca, zaczyna padać.

Dzwoni telefon, ale on nie odpowiada.

Butelka wymyka mu się z rąk, a jej ostre odłamki przecinają mu dłoń.

Siada przed domem, na schodkach, przyciska ręce do oczu i wmawia sobie, że to tylko kolejna burza.

Ta jednak wydaje się trwać dłużej niż zwykle. Tym razem w chmurach nie otwiera się szczelina, na horyzoncie nie widać światła, a grom w jego głowie brzmi cholernie głośno. Chłopak bierze więc kilka pigułek od siostry, tych małych, różowych parasolek, ale na tę burzę nic nie poradzą, więc bierze także kilka swoich.

Opiera się wygodnie o schody śliskie od deszczu, patrzy w górę, tam, gdzie krawędź dachu dotyka nieba, i zastanawia się, nie po raz pierwszy, ile stopni dzieli go od niej.

Nie wie, kiedy podejmuje decyzję, że skoczy.

A może wcale jej nie podejmuje?

Może zamierza tylko wejść do środka, potem na górę, a kiedy dociera do swoich drzwi, idzie dalej, a gdy staje przed ostatnimi drzwiami, stwierdza, że wyjdzie na dach, a w pewnej chwili, stojąc tam w ulewie, postanawia nic już więcej nie postanawiać.

Oto prosta droga: kawałek uliczki wylanej asfaltem. Tylko kilka stopni dzieli go od krawędzi. Pigułki zaczynają działać, tłumiąc ból i pozostawiając miękki spokój, który pod pewnymi względami jest jeszcze gorszy. Zamyka oczy i czuje, że jego ciało robi się ociężałe.

To tylko burza, wmawia sobie, ale jest zmęczony szukaniem schronienia.

To tylko burza, tyle że po jednej zawsze przychodzi następna.

To tylko burza, tylko burza – lecz dziś wieczorem to dla niego zbyt wiele. Jest nie dość dobry, więc przechodzi po dachu, nie zwalniając ani na chwilę, aż do miejsca, gdzie może spojrzeć za krawędź, gdzie czubki jego butów zawisają w powietrzu.

Tam właśnie znajduje go nieznajomy.

Tam ciemność składa mu propozycję.

Nie na całe życie, na jeden rok.

Łatwo oceniać tamtą sytuację z perspektywy czasu i zastanawiać się, jak mógł to zrobić, jak mógł oddać tak wiele za tak niedużo, ale w tamtej chwili, kiedy stał na krawędzi, naprawdę sprzedałby duszę za mniej, wymieniłby całe życie za dzień, godzinę, minutę czy chwilę spokoju.

Tylko po to, żeby stłumić ból w piersi.

Tylko po to, żeby uspokoić burzę w głowie.

Jest zmęczony – zarówno własnym cierpieniem, jak i bólem, który sprawia innym. Dlatego właśnie, kiedy nieznajomy wyciąga dłoń i proponuje, że uratuje Henry'ego znad krawędzi, ten nie waha się ani chwili.

Zgadza się od razu.

Nowy Jork
29 lipca 2014

VI

Teraz wszystko ma sens.

Teraz Addie rozumie zachowanie Henry'ego.

Chłopaka, który nigdy nie mógł usiedzieć na miejscu, nigdy nie marnował czasu, nie odkładał ani jednej rzeczy na później. Tego, który zapisuje każde jej słowo, tak żeby coś jej zostało, kiedy on odejdzie, który nie chce tracić ani jednego dnia, ponieważ nie zostało mu ich zbyt wiele.

Chłopaka, w którym się zakochała.

Który niedługo odejdzie.

– Jak? – pyta go bezradnie. – Jak mogłeś oddać tak wiele za tak niedużo?

Podnosi głowę i patrzy na nią pustym wzrokiem.

– W tamtej chwili oddałbym to za jeszcze mniej.

Rok. Wydawało mu się kiedyś, że to tak długo.

Teraz nie zostało mu prawie nic.

Miał rok, który właśnie dobiega końca. Addie widzi tylko uśmiech Luca i jego triumfujący wzrok. Nie byli cwani, nie mieli szczęścia, nie umknęli jego uwadze. Cień wiedział o nich, oczywiście, że wiedział, i pozwolił, żeby do tego doszło.

Pozwolił jej upaść.

– Addie, proszę… – mówi Henry, ale ona już wstaje i idzie przez bar.

Próbuje złapać ją za rękę, ale jest za późno.

Już jest daleko.

Już stamtąd wychodzi.

Trzysta lat.

Przeżyła trzysta lat i przez cały ten czas zdarzyło się tyle sytuacji, kiedy ziemia pod nią się rozstępowała, kiedy nie mogła złapać równowagi albo oddechu. Kiedy zostawała znowu sama, zagubiona, załamana, bez cienia nadziei.

Przed domem rodziców, w wieczór po zawarciu umowy.

W paryskich dokach, gdzie dowiedziała się, ile jest warte jej ciało.

U Remy'ego, kiedy wciskał jej w dłoń monety.

Przemoczona do suchej nitki przy ściętym pniu drzewa Estele.

W tej chwili jednak nie czuje się zagubiona ani załamana.

Kipi furią.

Wkłada dłoń do kieszeni i oczywiście znajduje pierścionek. Zawsze tam wraca. Ziarnka piasku opadają z gładkiej drewnianej powierzchni, kiedy Addie wkłada krążek na palec.

Minęło trzydzieści lat, od kiedy to poprzednio zrobiła, ale pierścień gładko wsuwa się na miejsce.

Czuje nagły podmuch wiatru, jak chłodny oddech na plecach, i obraca się na pięcie, oczekując Luca.

Ulica jest jednak pusta – to znaczy nie ma na niej żadnych cieni, obietnic ani bogów.

Obraca krążek na palcu.

Nic.

– Pokaż się! – wrzeszczy na całą ulicę.

Odwraca się kilka głów, ale Addie to nie obchodzi. Za chwilę o niej zapomną, a nawet gdyby nie była duchem, to znajduje się w Nowym Jorku, w miejscu niewrażliwym na wrzaski nieznajomych ludzi.

– Jasna cholera! – wyrzuca z siebie, ściąga pierścionek z palca, ciska go na ulicę i słyszy, jak odbija się i toczy po chodniku.

A potem dźwięk nagle zamiera. Najbliższa latarnia gaśnie, a z ciemności dobiega głos:

– Tyle lat, a twój temperament nic się nie zmienia.

Coś muska jej kark, a potem srebrny łańcuszek, cienki jak pajęczyna, ten sam, który zerwała dawno temu, znów lśni na jej szyi.

Palce Luca głaszczą jej skórę.

– Tęskniłaś za mną?

Odwraca się, by go odepchnąć, lecz jej dłoń przechodzi na wylot, a potem cień znów znajduje się za nią. Kiedy próbuje po raz drugi, Luc okazuje się twardy i nieustępliwy jak skała.

– Odkręć to! – żąda dziewczyna, uderzając go w pierś, ale ledwie jej pięść dotknie koszuli, on łapie ją za nadgarstek.

– Kimże jesteś, by wydawać mi rozkazy, Adeline?

Próbuje mu się wyrwać, ale trzyma ją mocno.

– Pamiętasz? – mówi niemal beztrosko. – Zdarzyło ci się kiedyś pełzać przede mną po mokrym leśnym poszyciu i błagać o moją interwencję.

– Chcesz, żebym błagała? Świetnie, w takim razie błagam. Proszę. Odkręć to. Odwołaj.

Luc zbliża się o krok, zmuszając ją do cofnięcia się.

– Henry zawarł umowę.

– Nie wiedział, że…

– Zawsze wiedzą – przerywa jej cień. – Nie chcą tylko przyjąć do wiadomości ceny. Duszę najłatwiej przehandlować, ale nikt nie myśli o czasie.

– Luc, proszę…

Jego zielone oczy lśnią teraz, nie złośliwością, nie triumfem, lecz poczuciem władzy. Ten odcień mówi: „oto ktoś, kto ma wszystko pod kontrolą”.

– Oczekujesz, że wysłucham twojej prośby? – pyta. – A dlaczego miałbym to zrobić?

Addie ma w głowie mnóstwo odpowiedzi, próbuje tylko znaleźć właściwe słowa, takie, które mogłyby go udobruchać, jednak zanim zdąży je znaleźć, Luc łapie ją pod brodę. Dziewczyna spodziewa się, że teraz cień wygłosi jedną ze starych, wyświechtanych kwestii, że z niej zadrwi lub zażąda jej duszy, tymczasem on mówi coś innego:

– Spędź ze mną noc. Jutro. Uczcijmy naszą rocznicę odpowiednio. Jeżeli się zgodzisz, będę gotów rozważyć zwolnienie pana Straussa ze zobowiązań jego umowy. – Usta mu drgają. – To znaczy, jeżeli potrafisz mnie przekonać.

To oczywiście kłamstwo.

A w dodatku pułapka, ale Addie nie ma wyboru.

– Zgadzam się – odpowiada, a cień z uśmiechem rozpływa się w ciemności.

Dziewczyna stoi sama na chodniku, aż jej serce zaczyna bić normalnie, a potem idzie z powrotem do Merchanta.

Jednak Henry'ego tam nie ma.

Znajduje go w domu, samego w ciemności.

Siedzi na skraju łóżka, na pościeli skłębionej po ich popołudniowej drzemce. Gapi się przed siebie, gdzieś daleko, tak jak to robił tamtej letniej nocy na dachu, po pokazie fajerwerków.

Addie zdaje sobie wówczas sprawę, że go utraci, tak samo jak traciła wszystkich innych.

Nie wie, czy potrafi się z tym pogodzić. Nie tym razem.

Czy nie straciła już dosyć?

– Przepraszam – szepcze Henry, kiedy Addie rusza ku niemu. – Bardzo przepraszam – mówi, gdy głaszcze go po głowie.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś?

Henry przez chwilę milczy.

– Zmierzałem do końca świata – mówi w końcu, podnosząc wzrok. – Chciałem, żeby każdy krok trwał jak najdłużej.

Wzdycha cicho, a oddech mu drży.

– Kiedy byłem jeszcze w koledżu, wujek zachorował na raka. Był w ostatnim stadium, lekarze dawali mu zaledwie kilka miesięcy, a on wszystkim o tym powiedział. Wiesz, co zrobiła cała rodzina? Nie potrafiła tego ogarnąć. Tak się zapamiętali w smutku i żalu, że zaczęli go opłakiwać, zanim jeszcze odszedł. Kiedy człowiek się dowie, że ktoś jest umierający, nie może już tego od-wiedzieć. Taka wiedza niszczy całą normalność, a zamiast niej zostawia coś złego i gnijącego. Przepraszam, Addie, nie chciałem, żebyś patrzyła na mnie w ten sposób.

Dziewczyna kładzie się obok na łóżku i ciągnie go do siebie.

– Przepraszam – mówi znowu, cicho i uparcie, jakby się modlił.

Leżą teraz twarzami do siebie, splatając dłonie.

– Przepraszam.

Addie zmusza się w końcu, żeby go zapytać:

– Ile czasu ci zostało?

Henry przełyka ślinę.

– Miesiąc.

Te słowa uderzają ją obuchem.

– Trochę więcej – poprawia się. – Trzydzieści sześć dni.

– Jest już po północy.

Wypuszcza powietrze.

– W takim razie trzydzieści pięć.

Addie obejmuje go ciaśniej, a on odwzajemnia uścisk. Trzymają się tak aż do bólu, tak jakby w każdej chwili ktoś mógł ich od siebie oderwać, tak jakby to drugie mogło wyślizgnąć się z objęć i zniknąć.

W pobliżu Orleanu, Francja
23 listopada 1944

VII

Addie uderza plecami w szorstki kamienny mur.

Drzwi celi zgrzytają i zatrzaskują się, a niemieccy żołnierze rechoczą za kratami, kiedy dziewczyna osuwa się na podłogę, kaszląc krwią.

Garść ludzi kuli się w kącie pomieszczenia, garbiąc ramiona i mamrocząc. Przynajmniej nie obchodzi ich, że Addie jest kobietą. Niemcy to zauważyli. Chociaż złapali ją w starych spodniach i płaszczu, chociaż spięła włosy z tyłu, po ich gniewnych, pożądliwych spojrzeniach zorientowała się, że rozpoznali jej płeć. Powiedziała im w dziesięciu różnych językach, co im zrobi, jeśli się zbliżą, a oni tylko się roześmiali i zadowolili pobiciem jej do nieprzytomności.

„Wstawać!" – nagli znużone mięśnie.

„Wstawać!" – nagli zmęczone kości.

Zmusza się, by wstać, i kuśtyka ku kracie. Chwyta zimną stal i ciągnie aż do bólu mięśni, aż pręty jęczą, ale poza tym ani drgną. Naciska na nie, dopóki jej palce nie zaczną krwawić, a wartownik wali łapskiem w kratę i grozi, że ją spali.

Ależ była głupia.

Ależ była głupia, myśląc, że to zadziała, że zapomnienie to to samo, co niewidzialność, że ją tu ochroni.

Powinna była zostać w Bostonie, gdzie groziło jej najwyżej racjonowanie żywności i zimowe mrozy. Nigdy nie powinna wracać, ale skłoniły ją do tego idiotyczny honor i uparta duma. Podczas poprzedniej wojny uciekła na drugą stronę Atlantyku, zamiast stawić czoła

niebezpieczeństwu na ojczystej ziemi. Mimo wszystko tym właśnie pozostanie dla niej Francja.

Ojczyzną.

W którymś momencie stwierdziła, że mogłaby pomóc. Nie w oficjalnym sensie, oczywiście, ale tajemnice nie mają właścicieli. Każdy może nimi handlować, nawet duch.

Musiała tylko uniknąć złapania.

Trzy lata przewożenia sekretów przez okupowaną Francję.

Trzy lata, które dobiegają końca tutaj.

W więzieniu pod Orleanem.

Nie ma znaczenia, czy zapomną jej twarz, ponieważ tych żołnierzy to nie obchodzi. Tutaj wszystkie twarze są obce, cudzoziemskie i bezimienne, a jeżeli nie uda jej się wyjść, to zniknie.

Osuwa się po lodowatym murze i otula szczelniej obszarpanym płaszczem. Zamyka oczy. Nie modli się, ściśle rzecz biorąc, ale myśli o cieniu. Być może nawet życzyłaby sobie, żeby było lato – lipcowa noc, kiedy mógłby ją znaleźć sam z siebie.

Żołnierze obszukali ją z grubsza, zabierając wszystko, czego mogłaby użyć, by zrobić im krzywdę albo uciec. Zabrali także pierścionek, zerwawszy rzemyk, na którym wisiał, i wyrzucili go.

Mimo to, kiedy przetrząsa swoje obszarpane odzienie, znajduje drewniany krążek, niczym monetę schowaną w jakimś zakamarku. W tym momencie Addie jest głęboko wdzięczna, że pierścionek zawsze do niej wraca, i wyjmuje go z kieszeni.

Przez chwilę się waha: nosiła go przy sobie przez trzydzieści lat ze wszystkimi konsekwencjami.

Trzydzieści lat – i ani razu go nie użyła.

Teraz jednak nawet chełpliwa satysfakcja Luca byłaby lepsza niż wieczność w więziennej celi albo jeszcze gorszy los.

„Jeśli tylko się zjawi”.

Te słowa szepcze jakiś głosik w jej umyśle. Strach, którego nie potrafi się pozbyć. Wspomnienie z Chicago podnosi jej się do gardła jak żółć.

Wściekłość w jej sercu, jad w jego oczach.

„Wolałabym raczej rzeczywiście zostać duchem”.

Myliła się.

Nie chce być takim duchem.

Dlatego po raz pierwszy od stuleci zaczyna się modlić.

Wkłada drewniany pierścionek na palec i wstrzymuje oddech, spodziewając się coś poczuć, jakieś magiczne poruszenie, podmuch wiatru.

Jednak nic takiego się nie dzieje.

Nic. Zastanawia się, po tak wielu latach, czy nie była to jeszcze jedna sztuczka, by wzbudzić w niej nadzieję, a później ją zawieść, tak by kompletnie upadła na duchu.

Już ma soczyście zakląć, kiedy czuje powiew, nie mroźny i kąsający, ale ciepły, pachnący daleką wonią lata.

Ludzie po drugiej stronie celi przestają rozmawiać.

Kulą się w swoim kącie, przytomni, lecz całkowicie nieruchomi, patrząc tępo w dal, tak jakby bardzo się nad czymś skupiali. Kroki żołnierzy na kamieniach przed celą cichną, a głosy Niemców milkną niczym kamyk wrzucony do studni.

Wokoło niej zapada niesamowita cisza.

Aż w końcu rozlega się dźwięk: niegłośne, niemal rytmiczne stukanie palców, tak jakby ktoś przesuwał dłonią po kratach.

Nie widziała go od czasu spotkania w Chicago.

– Och, Adeline – mówi, wiodąc dłonią po lodowatych prętach. – W jak żałosnym stanie cię zastaję.

Dziewczyna śmieje się cicho i boleśnie.

– Nieśmiertelność sprawia, że częściej ma się ochotę podejmować ryzyko.

– Ale przecież istnieją rzeczy gorsze od śmierci – rzuca Luc, tak jakby już tego nie wiedziała. Cień rozgląda się po celi, marszcząc brwi w pogardliwym grymasie. – Wojny… – mruczy pod nosem.

– Powiedz mi, że w nich nie pomagasz.

Patrzy na nią nieomal z urazą.

– Ależ nawet ja mam pewne granice!

– Kiedyś chełpiłeś się przede mną sukcesami Napoleona.

Wzrusza ramionami.

– Istnieje ambicja i istnieje też zło. Owszem, mógłbym się chwalić całą gamą moich dokonań z przeszłości, ale tu i teraz ważniejsze jest twoje

życie. – Opiera się o kratę. – Jak chcesz się stąd wydostać?

Wie, czego od niej chce: żeby błagała. Tak jakby samo włożenie pierścionka nie wystarczyło… tak jakby już nie wygrał tego rozdania. Żołądek skręca jej się ze strachu, poobijane żebra bolą i chce jej się pić do tego stopnia, że rozpłakałaby się, byle zamoczyć usta. Nie może się jednak zdobyć na gest poddania.

– Znasz mnie – odpowiada ze zmęczonym uśmiechem. – Zawsze znajduję sposób.

Luc wzdycha.

– Jak sobie życzysz – oznajmia, odwraca się i… to dla niej zbyt wiele. Nie może znieść myśli, że zostawi ją tu samą.

– Czekaj! – woła rozpaczliwie, napierając na kratę, tylko po to, by odkryć, że zamek jest otwarty, a drzwi do celi ustępują pod jej naciskiem.

Luc zerka przez ramię i niemal się uśmiecha. Odwraca się i podaje jej dłoń.

Addie wypada z celi na wolność, prosto w jego ramiona. Przez chwilę uścisk jest tylko uściskiem, a Luc jest materialny, ciepły, kiedy przyciąga ją w ciemności. Łatwo byłoby uwierzyć, że jest prawdziwym człowiekiem, że jego objęcia to bezpieczne schronienie.

Potem jednak świat pęka i cień pochłania ich oboje.

Więzienie ustępuje nicości, czerni, szalonej ciemności. A kiedy ta się rozstępuje, Addie jest znów w Bostonie, gdzie słońce zaczyna zachodzić. Dziewczyna z ulgi ma ochotę pocałować ziemię, ale zamiast tego owija się szczelniej płaszczem i siada na krawężniku. Nogi jej się trzęsą, a na palcu wciąż ma drewniany pierścionek. Wezwała go i się zjawił. Poprosiła, a on odpowiedział na tę prośbę. Wie, że kiedyś cień wykorzysta to przeciwko niej, lecz teraz się tym nie przejmuje.

Nie chce być sama.

Kiedy jednak podnosi głowę, by mu podziękować, okazuje się, że Luc zniknął.

Nowy Jork
30 lipca 2014

VIII

Henry chodzi za Addie po mieszkaniu, kiedy ta przygotowuje się do wyjścia.

– Dlaczego się na to zgodziłaś?

Ponieważ zna Luca lepiej niż ktokolwiek inny, potrafi prześledzić tok jego myśli, nawet jeżeli nie uczuć.

– Ponieważ nie chcę cię stracić – mówi, upinając włosy.

Henry wygląda na zmęczonego, pustego w środku.

– Już na to za późno – odpowiada.

Ale nie jest za późno.

Jeszcze nie.

Addie sięga do kieszeni i wyczuwa pierścionek: oczekuje tam, gdzie zawsze, ogrzany ciepłem jej ciała. Wyciąga go, lecz Henry łapie jej dłoń.

– Nie rób tego – błaga.

– Chcesz umrzeć? – pyta, a jej słowa brzmią nadspodziewanie ostro.

Chłopak nieco się cofa.

– Nie, Addie, ale już wybrałem.

– Pomyliłeś się.

– Zawarłem umowę – podkreśla. – Przepraszam. Przepraszam, że nie poprosiłem o więcej czasu. Przepraszam, że wcześniej nie powiedziałem ci prawdy, jednak… jest jak jest.

Addie kręci głową.

– Może ty się z tym pogodziłeś, Henry, ale ja nie.

– To się nie uda – ostrzega ją. – Nie przekonasz go.

Addie wyzwala się z jego uścisku.

– Ale chcę spróbować – mówi, wkładając pierścionek na palec.

Ciemność nie zalewa jej nagłą falą.

Wszystko nieruchomieje, zapada jałowa cisza, a potem…

Rozlega się pukanie.

Addie czuje wdzięczność, że Luc nie pojawił się wewnątrz apartamentu. Henry stoi jednak pomiędzy nią i drzwiami, z rękami rozpostartymi w poprzek wąskiego korytarza. Stoi bez ruchu, patrząc na nią błagalnie. Addie ujmuje jego twarz w dłonie.

– Musisz mi zaufać – mówi.

Coś w nim pęka. Jedna ręka opada bezsilnie.

Dziewczyna całuje go, a potem prześlizguje się obok i otwiera cieniowi drzwi.

– Adeline.

Luc w tym korytarzu powinien wydawać się nie na miejscu, tyle że nigdy mu się to nie zdarza.

Lampy na ścianach nieco przygasły. Podświetlają teraz na żółto jego czarne loki niczym aureola, a ich światło odbija się złotymi iskierkami w zielonych oczach.

Cień jest ubrany na czarno: luźne spodnie szyte na miarę i elegancka koszula z rękawami podwiniętymi do łokci. Pod szyją ma jedwabny krawat, spięty szpilką ze szmaragdem.

Jest o wiele za gorąco na taki strój, ale Lucowi najwyraźniej to nie przeszkadza. Upał, tak jak deszcz, jak cały świat, kompletnie nie ma na niego wpływu.

Nie mówi jej, że wygląda pięknie.

Niczego jej nie mówi.

Odwraca się, oczekując, że Addie za nim pójdzie.

A kiedy dziewczyna wychodzi z mieszkania, patrzy na Henry’ego i puszcza do niego oko.

Addie powinna się była wtedy zatrzymać.

Powinna się odwrócić i pozwolić, by Henry wciągnął ją z powrotem do wnętrza. Powinni zamknąć drzwi przed ciemnością na trzy spusty.

Ale tego nie zrobili.

I nie zrobią.

Addie ogląda się przez ramię na Henry'ego, który stoi nieruchomo w drzwiach z pochmurną miną. Chciałaby, żeby zamknął drzwi, ale on tylko stoi, więc dziewczyna nie ma wyboru, na jego oczach odchodzi za Lukiem.

Na dole cień otwiera przed nią drzwi wyjściowe, ale Addie staje jak wryta, patrząc za próg. W futrynie, pomiędzy nimi i schodkami na ulicę, wirują kłęby migoczącej ciemności.

Nie wierzy Lucowi. Nie widzi, dokąd idą, a woli, żeby nie porzucił jej na drugim końcu świata, w razie gdyby noc skończyła się fiaskiem.

– Są pewne zasady – oznajmia.

– Och, tak?

– Nie opuszczamy miasta – mówi Addie, wskazując gestem wyjście. – I nie chcę przemieszczać się w ten sposób.

– Przez drzwi?

– Przez ciemność.

Luc unosi brew.

– Nie ufasz mi?

– Nigdy nie ufałam, więc dlaczego miałabym nagle zacząć?

Cień śmieje się bezdźwięcznie i wychodzi, by przywołać samochód. Sekundę później przy krawężniku zatrzymuje się smukły czarny sedan. Luc wyciąga dłoń, by pomóc jej wsiąść, ale ona jej nie przyjmuje.

Jej towarzysz nie podaje kierowcy adresu.

Kierowca również o niego nie prosi.

A kiedy Addie pyta, dokąd jadą, Luc nie odpowiada.

Wkrótce mkną już przez Manhattan Bridge.

Milczenie powinno stać się krępujące, jak urywana rozmowa pomiędzy byłymi kochankami, żyjącymi osobno zbyt długo, ale wciąż nie dość długo, by wybaczyć sobie dawne krzywdy.

Czymże jest trzydzieści lat wobec trzystu?

Tym razem jednak to milczenie strategiczne.

To milczenie przeciwników podczas partii szachów.

Tym razem Addie musi wygrać.

Los Angeles, Stany Zjednoczone Ameryki
7 kwietnia 1952

IX

– Boże, jakaś ty piękna – mówi Max, unosząc kieliszek.

Addie rumieni się, opuszczając wzrok na swoje martini.

Poznali się tego samego dnia rano, na ulicy koło stacji Wilshire. Addie wciąż ma na skórze odcisk fałd jego prześcieradła. Czekała na chodniku w sukience w jego ulubionym kolorze czerwonego wina, a kiedy wyszedł na poranny spacer, zatrzymał się i zapytał bezczelnie, czy może jej towarzyszyć, dokądkolwiek dziewczyna się wybiera, a gdy dotarli na miejsce, pod ładny budynek, wybrany przez nią kompletnie losowo, ucałował jej dłoń i pożegnał się, ale nie odszedł i ona też nie. Spędzili resztę dnia razem, najpierw w herbaciarni, potem w parku i muzeum. Znajdowali coraz to nowe preteksty, by kontynuować wspólną wędrówkę.

Kiedy powiedziała mu, że to najlepsze urodziny od lat, zamrugał z przerażeniem oczami, wstrząśnięty tym, że dziewczyna taka jak ona mogłaby być samotna… i oto wylądowali tutaj, nad martini w barze hotelu Roosevelt.

(Oczywiście Addie nie ma urodzin. Sama nie wie, dlaczego tak powiedziała, być może po to, żeby zobaczyć, co zrobi Max, a może dlatego, że jest znudzona przeżywaniem tego samego wieczoru znów w ten sam sposób).

– Czy spotkałaś kiedyś kogoś, z kim czułaś się tak, jakbyś znała tę osobę od wieków? – pyta mężczyzna.

Addie się uśmiecha.

Max zawsze mówi te same rzeczy i za każdym razem z równym przekonaniem. Addie bawi się srebrnym łańcuszkiem na szyi, schowawszy

drewniany pierścionek za dekoltem sukienki. Nie może się pozbyć tego nawyku.

U jej łokcia pojawia się kelner z butelką szampana.

– Co to?

– Dla solenizantki w ten specjalny wieczór – odpowiada szarmancko Max. – I dla szczęściarza, który za chwilę się z nią napije.

Dziewczyna podziwia bąbelki wznoszące się w wysokim kieliszku i jeszcze zanim weźmie pierwszy łyk, wie, że to autentyczny szampan, stary i drogi. Wie również, że Max może sobie swobodnie pozwolić na taki luksus.

Jest rzeźbiarzem (a Addie zawsze miała słabość do sztuki), i to utalentowanym, a co więcej, dalekim od ubóstwa. Inaczej niż tak wielu artystów, z którymi była, pochodzi z bogatej rodziny, której okazały majątek pozwolił przetrwać obie wojny i chude lata pomiędzy nimi.

Wznosi kieliszek, kiedy na ich stolik pada cień.

Addie spodziewa się kelnera, ale Max unosi wzrok i robi zdziwioną minę.

– Czy mogę w czymś pomóc?

Wówczas rozlega się jedwabisty, matowy głos:

– Ależ tak, jak najbardziej.

Obok stolika stoi Luc w eleganckim czarnym garniturze. Wygląda pięknie. Zawsze tak wyglądał.

– Cześć, kochanie.

Zdziwienie Maxa rośnie.

– Czy wy się znacie?

– Nie – oświadcza Addie w tym samym momencie, kiedy Luc mówi:

– Tak. – Ale to nie fair: jego głos jest tak donośny, że ją zagłusza.

– To stary przyjaciel – przyznaje kwaśno dziewczyna. – Ale…

Luc znów jej przerywa:

– …ale ponieważ nie widzieliśmy się od dłuższego czasu, czy byłbyś tak uprzejmy i…

Max marszczy gniewnie brew.

– Co za impertynencja!

– Odejdź.

Jedno słowo, ale wypowiedziane z siłą, od której faluje powietrze, owija się wokół jej zalotnika jak miękka mgła i oto z jego twarzy znika cała wojowniczość. Zmarszczone od irytacji czoło wygładza się, oczy Maxa stają się szkliste; wstaje od stolika i posłusznie odchodzi. Nawet nie ogląda się za siebie.

– Co, do cholery?! – przeklina Addie, zapadając w swoje krzesło. – Dlaczego musisz się zachowywać jak ostatni kutas?

Luc siada na zwolnionym miejscu i ponownie napełnia kieliszki szampanem.

– Urodziny masz w marcu.

– Kiedy ktoś ma tyle lat, co ja, świętuje tak często, jak może.

– Jak długo z nim jesteś?

– Dwa miesiące. Jest całkiem nieźle – odpowiada, sącząc wino. – Zakochuje się we mnie codziennie.

– I co noc cię zapomina.

Te słowa ją ranią, ale nie tak głęboko jak kiedyś.

– Przynajmniej dotrzymuje mi towarzystwa.

Spojrzenie szmaragdowych oczu błądzi po jej skórze.

– Ja też bym mógł, gdybyś zechciała.

Na jej policzki wypełza rumieniec.

Luc nie wie przecież, że za nim tęskniła. Myślała o nim tak, jak dawno temu o swoim nieznajomym, sama w łóżku. Myślała o nim za każdym razem, kiedy bawiła się pierścionkiem na szyi… i za każdym razem, kiedy tego nie robiła.

– No cóż – odzywa się, dopijając szampana. – Zakończyłeś moją randkę przed czasem, więc może chociaż spróbujesz zająć miejsce Maxa?

I oto oczy Luca znów błyszczą jasną zielenią.

– Chodź – mówi, podnosząc ją z krzesła. – Noc jeszcze młoda, znajdziemy sobie dużo lepsze miejsce.

Klub Cicada tętni życiem.

Żyrandole w stylu art déco wiszą nisko nad głowami, oświetlając lśniący sufit. Do lóż prowadzi po schodach kreszowany czerwony chodnik, a przed niską sceną znajduje się wypolerowany parkiet do tańca, otoczony stolikami.

Kiedy się tu zjawiają, jazzowa orkiestra dęta kończy właśnie kolejny set: w całym klubie rozbrzmiewają dźwięki trąbek i saksofonów. Luc prowadzi ją przez tłum i mimo tłoku znajduje pusty stolik z przodu. Najlepsze miejsce w klubie.

Zajmują krzesła i chwilę później pojawia się kelner, niosący na tacy dwa martini. Addie przypomina sobie pierwszą wspólną kolację w domu markiza, wieki temu, i posiłek przygotowany, zanim jeszcze zgodziła się go zjeść. Zastanawia się teraz, czy Luc zaplanował to z wyprzedzeniem, czy też świat po prostu spełnia jego życzenia.

Na scenie pojawia się następny artysta, a tłum wybucha entuzjazmem.

Szczupły facet o mizernej twarzy i wąskich brwiach, z łobuzerskim spojrzeniem spod ronda szarej fedory.

Luc patrzy na niego z dumą właściciela.

– Jak się nazywa? – pyta Addie.

– Sinatra – odpowiada. W tym momencie zespół zaczyna grać, a mężczyzna śpiewać. Po sali niesie się tęskna ballada, gładka i namiętna. Addie słucha jak zahipnotyzowana, a tymczasem mężczyźni i kobiety zaczynają wstawać z krzeseł i wychodzić na parkiet.

Addie wstaje i wyciąga dłoń.

– Zatańcz ze mną.

Luc spogląda na nią, ale nie rusza się z miejsca.

– Max by zatańczył – dodaje dziewczyna.

Spodziewa się odmowy, jednak cień wstaje, chwyta jej dłoń i prowadzi na parkiet.

Oczekuje, że będzie tańczył sztywno, nie poddając się, lecz on porusza się z płynną gracją wiatru wiejącego przez pola pszenicy, burzy toczącej się przez letnie niebo.

Próbuje przypomnieć sobie, kiedy byli tak blisko siebie, i nie potrafi.

Zawsze zachowywali pewną odległość.

Teraz przestrzeń pomiędzy nimi się zamyka.

Jego ciało owija się wokół niej niczym koc, niczym podmuch, tak jak sama noc, ale dziś wieczorem Luc nie jest istotą z mroku i dymu. Dzisiaj Addie czuje na skórze jego dłonie, a jego głos prześlizguje się przez jej włosy.

– Nawet gdyby zapamiętał cię każdy, kogo spotkałaś, to i tak ja znałbym cię najlepiej.

Przygląda mu się.

– Czy ja cię na pewno znam?

Pochyla się ku niej jeszcze bliżej.

– Tylko ty mnie znasz.

Ich ciała przywierają do siebie. Pasują idealnie.

Jego ramię do jej policzka.

Jego dłonie do jej talii.

Jego głos do pustych miejsc w jej umyśle. Mówi:

– Pożądam cię. – A po chwili dodaje: – Zawsze cię pożądałem.

Spogląda na nią oczami ciemnymi z rozkoszy, a ona stara się nie ustępować.

– Pożądasz mnie jak łupu – odpowiada. – Jak posiłku albo kieliszka wina. Jak kolejnej rzeczy, którą mógłbyś pochłonąć.

Luc przechyla głowę i całuje ją w obojczyk, mówiąc:

– A czy to źle? – Addie próbuje nie drżeć, kiedy całuje ją w szyję. – Czy to taka zła rzecz… – jego usta błądzą przy krawędzi jej szczęki – …kiedy ktoś cieszy się twoim towarzystwem? – jego oddech drażni jej ucho – … kiedy ktoś czerpie z niego radość?

Jego wargi zbliżają się do jej ust – one również są dla nich stworzone.

Nigdy nie będzie pewna, co zdarzyło się najpierw, czy to ona go pocałowała, czy odwrotnie, kto zaczął ten pocałunek, a kto go odwzajemnił. Wie tylko, że pomiędzy nimi był przedtem dystans, który właśnie zniknął. Oczywiście wyobrażała sobie, jak całuje Luca, wcześniej, kiedy był jeszcze tylko wytworem jej wyobraźni, a także nieco później, kiedy stał się kimś więcej. Jednak we wszystkich wyobrażeniach całował ją tak, jakby zdobywał łup: zrobił to właśnie w ten sposób, w noc, kiedy spotkali się po raz pierwszy, gdy przypieczętował umowę krwią na jej wargach. Zakładała, że zawsze będzie ją całował w ten sposób.

Teraz jednak robi to tak, jakby próbował trucizny.

Ostrożnie, pytająco, niemal lękliwie.

Dopiero kiedy Addie odpowiada pocałunkiem, posuwa się nieco dalej, jego zęby muskają jej dolną wargę i dziewczyna czuje ciepło jego ciała.

Luc smakuje jak powietrze nocą, ciężkie od letniej burzy, jak słaby aromat dymu z płonącego drewna, jak ogień przygasający w ciemności. Smakuje jak las, a także, niewiarygodne, jak dom rodzinny.

A potem ciemność ogarnia ją, ich oboje, i klub Cicada znika: ballada i głos śpiewaka zostają pochłonięte przez nacierającą próżnię, gwałtowny wiatr, pulsowanie serc, i oto Addie spada przez wieczność, a jednocześnie tylko o krok – aż wreszcie jej stopy trafiają na gładką marmurową podłogę hotelowego pokoju. Luc też tam jest, popycha ją, a ona cofa się przed nim aż do najbliższej ściany.

Jego ramiona zamykają się wokół niej, tworząc luźną, otwartą klatkę.

Mogłaby ją wyłamać, gdyby spróbowała.

Nie próbuje.

Luc całuje ją znowu i tym razem nie kosztuje trucizny. Tym razem robi to bez zawahania, bez wycofywania. Pocałunek jest nagły, ostry i głęboki, kradnie jej powietrze i myśli, pozostawia tylko głód. Przez chwilę Addie czuje, jak wokół niej rozwiera się ciemność, mimo że podłoga pozostaje na swoim miejscu.

Całowała się już z mnóstwem osób, ale żadna z nich nie robiła tego tak jak Luc. Różnica nie leży w szczegółach technicznych. Jego usta nie są lepiej przystosowane do tego zadania, chodzi o to, jak je wykorzystuje.

To różnica pomiędzy smakiem brzoskwini poza sezonem a pierwszym wgryzieniem się w idealnie dojrzały na słońcu owoc.

Pomiędzy oglądaniem świata w odcieniach czerni i bieli a życiem w kolorze.

Tamten pierwszy raz był czymś w rodzaju walki, podczas której oboje się pilnowali, oboje szukali ostrzegawczego błysku ukrytego ostrza wycelowanego w pierś.

Teraz jednak rzucają się na siebie z całym pożądaniem ciał, którym zbyt długo tego odmawiano.

Przez całą noc na łóżku rozgrywa się prawdziwa bitwa.

Rano jej ślady widać w całym pokoju.

– Sporo czasu minęło, od kiedy nie chciało mi się wychodzić z sypialni – komentuje Luc.

Addie patrzy w okno. Na horyzoncie widać cienką wstążkę świtu.

– To nie wychodź.

– Muszę – mówi. – Jestem istotą ciemności.

Dziewczyna podpiera głowę dłonią.

– Znikniesz ze słońcem?

– Po prostu odejdę tam, gdzie teraz jest ciemno.

Addie wstaje, podchodzi do okna i zaciąga zasłony, pogrążając pokój z powrotem w kompletnej czerni.

– Proszę – mówi, szukając po omacku drogi z powrotem. – Teraz znów masz ciemno.

Luc wybucha cichym, przepięknym śmiechem i wciąga ją z powrotem do łóżka.

Wszędzie i nigdzie
1952–1968

X

To tylko seks.

A przynajmniej tak to się zaczyna.

On jest czymś, czego ona próbuje się pozbyć.

Ona jest kimś nowym w jego życiu, a on czerpie przyjemność z tego związku.

Addie na wpół oczekuje, że ich uczucie wypali się w ciągu jednej nocy, marnując całą energię, jakiej nabrali przez lata krążenia po swoich orbitach.

Ale dwa miesiące później Luc ponownie do niej przychodzi: wyłania się z nicości i znów pojawia się w jej życiu. Addie myśli, jak dziwnie widzieć go w jesiennej czerwieni i złocie, wśród spadających liści, z grafitowym szalem zawiązanym luźno na szyi.

Kolejna wizyta następuje po kilku tygodniach.

A potem – po kilku dniach.

Samotne noce przez tyle lat, godziny czekania, nadziei i nienawiści. A teraz cień jest przy niej.

Mimo to Addie pomiędzy jego wizytami przyrzeka sobie rozmaite rzeczy.

Nie będzie się do niego przytulać.

Nie zaśnie przy nim.

Żadnych głębszych uczuć, tylko jego usta na jej skórze, splatane dłonie, ciężar jego ciała opadającego na nią.

Proste obietnice. Żadnej z nich nie udaje jej się dotrzymać.

To tylko seks.

Do pewnego momentu.

– Zjedz ze mną kolację – proponuje Luc, kiedy zima ustępuje miejsca wiośnie.

– Zatańcz ze mną – prosi w sylwestrową noc.

– Bądź ze mną – mówi w końcu, gdy kończy się jedna dekada, a zaczyna następna.

Pewnej nocy Addie budzi się w ciemności pod delikatnym dotykiem jego palców, rysujących wzory na jej skórze, i uderza ją to, jak Luc na nią patrzy. Nie, nie samo spojrzenie, ale kryjąca się za nim świadomość.

Po raz pierwszy obudziła się w łóżku z kimś, kto ją jeszcze pamięta. Po raz pierwszy usłyszała po przebudzeniu swoje imię. Po raz pierwszy nie czuje się samotnie.

Wówczas coś się w niej łamie.

Cień nie budzi w niej już wstrętu. Prawdę mówiąc, jest tak już od dłuższego czasu.

Nie wie, kiedy zaczęła się ta zmiana, czy był to konkretny moment, czy też, jak ostrzegł ją kiedyś Luc, powolna erozja.

Wie tylko, że jest zmęczona i chce odpocząć właśnie przy nim.

I na swój sposób czuje się szczęśliwa.

Ale to nie miłość.

Za każdym razem, kiedy czuje, że o tym zapomina, przyciska ucho do jego nagiej piersi, szukając rytmu życia, szmeru oddechu, a słyszy tylko odgłosy lasu i ciszę letniej nocy. To jej przypomina, że cień jest kłamcą, że jego twarz i ciało to tylko przebranie.

Nie jest człowiekiem, a to, co do niego czuje, to nie miłość.

Nowy Jork
30 lipca 2014

XI

Miasto przesuwa się za oknem, lecz Addie nie odwraca głowy, nie podziwia panoramy Manhattanu, wysokich budynków wznoszących się po obu stronach. Woli przyglądać się Lucowi, jego odbiciu w przyciemnianej szybie, linii jego szczęki, łukowi jego brwi, kształtom, które rysowała tyle lat temu. Obserwuje go tak, jak myśliwy mógłby obserwować wilka na skraju lasu, czekając, co zrobi.

Cień przerywa milczenie jako pierwszy.

Pierwszy wykonuje ruch.

– Pamiętasz operę w Monachium?

– Pamiętam wszystko, Luc.

– A to, jak patrzyłaś na aktorów na scenie, tak jakbyś nigdy wcześniej nie widziała spektaklu?

– Nigdy nie widziałam takiego spektaklu.

– Zachwyt w twoich oczach na widok czegoś nowego... Wiedziałem wtedy, że nigdy nie wygram.

Chciałaby rozkoszować się tymi słowami jak łykiem dobrego wina, ale zamiast tego czuje kwaśny smak. Nie ufa im.

Samochód zatrzymuje się przed Le Coucou, piękną francuską restauracją w południowej części SoHo, o ścianach oplecionych bluszczem. Była tam już wcześniej dwa razy i za każdym razem zaserwowano jej najlepsze posiłki w Nowym Jorku. Zastanawia się teraz, czy Luc wie, jak bardzo jej się tam podoba, czy po prostu ma równie dobry gust.

Znowu podaje jej dłoń.

A ona znów jej nie przyjmuje.

Addie patrzy na parę, która podchodzi do drzwi restauracji i odbija się od nich: zamknięte. Niedoszli goście odchodzą rozczarowani, mamrocząc coś o rezerwacji, ale kiedy klamkę naciska Luc, drzwi otwierają się z łatwością.

Wewnątrz olbrzymie żyrandole zwisają z wysokich sufitów, a wielkie szyby w oknach lśnią czernią. Miejsce wygląda na przepastne: mogłaby się tu zmieścić setka ludzi, ale dziś wieczorem panuje tu kompletna pustka. Przez otwarte przejście do kuchni widać dwójkę kuchmistrzów, parę kelnerów i szefa sali, który zgina się na widok Luca w niskim ukłonie.

– Dobry wieczór, monsieur Dubois – mówi sennym głosem. – Mademoiselle.

Prowadzi ich do stolika, na którym przed każdym nakryciem stoi czerwona róża. Szef odsuwa jej krzesło, a Luc czeka, aż Addie usiądzie, i dopiero wtedy zajmuje miejsce. Mężczyzna otwiera butelkę merlota i nalewa, a Luc wznosi kieliszek w toaście.

– Twoje zdrowie, Adeline.

Nie ma menu, nikt nie przyjmuje zamówień. Na stół wjeżdżają kolejne dania.

Wołowina po burgundzku i pasztet z królika. Halibut w sosie maślanym, świeżo wypieczony chleb i pół tuzina gatunków sera.

Jedzenie jest oczywiście wyśmienite.

Jednak kiedy jedzą, obsługa i kelnerzy stoją nieruchomo z szeroko otwartymi pustymi oczami i nieobecnym wyrazem twarzy. Addie zawsze brzydził ten aspekt mocy Luca i to, jak beztrosko się nim posługiwał.

Wskazuje kieliszkiem marionetki pod ścianami.

– Odeślij ich – mówi, a on wykonuje w milczeniu gest i wszyscy odchodzą. Addie i Luc zostają sami w pustej restauracji. – Byłbyś w stanie zrobić coś takiego ze mną? – pyta, kiedy obsługa już zniknie.

Cień kręci głową.

– Nie mógłbym – odpowiada, a ona sądzi, że za bardzo mu na niej zależy, lecz Luc dodaje: – Nie władam tymi, którzy obiecali mi swoje dusze. Mają wolną wolę.

To słaba pociecha, myśli Addie, ale chociaż coś.

Luc spogląda na swoje wino. Obraca w palcach kieliszek, a ona widzi w pociemniałym szkle ich oboje, zaplątanych w jedwabne prześcieradła, jej palce w jego włosach, jego dłonie wygrywające melodie na jej skórze.

– Powiedz mi, Adeline, czy za mną tęskniłaś?

Oczywiście, że tęskniła.

Mogłaby sobie wmawiać, tak jak mu powiedziała, że tęskniła za jego spojrzeniami, za potęgą jego wzroku, za upajającą obecnością Luca – ale w gruncie rzeczy nie tylko za tym. Brakowało go jej tak, jak komuś mogłoby brakować słońca w zimie, mimo że obawia się upału. Tęskniła za dźwiękiem jego głosu, za dotykiem kogoś, kto dobrze ją zna, za ich rozmowami krzeszącymi iskry, za ich dopasowaniem.

Luc to grawitacja.

To trzysta lat wspólnej historii.

To jedyna stała w jej życiu, jedyna osoba, która zawsze, zawsze pamięta.

Luc to mężczyzna, o którym marzyła w młodości, którego potem znienawidziła, a wreszcie pokochała. Tęskniła za nim każdej samotnej nocy, a on nie zasłużył na jej względy, ponieważ to była jego wina, że nikt inny jej nie pamiętał, jego wina, że Addie wciąż wszystko traciła, ale nie mówi na ten temat ani słowa, ponieważ to i tak nic nie zmieni, a także dlatego, że jest jeszcze jedna rzecz, której nie straciła. Jeden fragment jej historii, który może ocalić.

Henry.

Dlatego Addie rozgrywa swój gambit.

Sięga przez stół i bierze dłoń Luca, po czym mówi mu prawdę.

– Tęskniłam za tobą.

Na te słowa jego zielone oczy zmieniają barwę i blask. Cień przesuwa palcem po pierścionku na jej palcu wzdłuż linii słojów.

– Ile razy prawie go założyłaś? – pyta. – Jak często o mnie myślałaś? – Addie zakłada, że ją podpuszcza, ale wówczas jego głos cichnie do szeptu, do niemal niesłyszalnego grzmotu, przetaczającego się w powietrzu pomiędzy nimi. – Ja zawsze o tobie myślałem.

– Ale nie przychodziłeś.

– Bo nie wzywałaś.

Dziewczyna opuszcza wzrok na ich splecione dłonie.

– Powiedz mi, Luc, czy cokolwiek z tego było prawdą?

– A co uważasz za prawdziwe, Adeline? Czy moja miłość się dla ciebie nie liczy?

– Nie jesteś zdolny do miłości.

Spogląda gniewnie, w jego oczach tańczą szmaragdowe iskry.

– Dlaczego, że nie jestem człowiekiem? Ponieważ nie więdnę i nie umieram?

– Nie – odpowiada Addie, cofając dłoń. – Nie potrafisz kochać, ponieważ nie rozumiesz, jak to jest, troszczyć się o kogoś bardziej niż o siebie. Gdybyś mnie kochał, pozwoliłbyś mi już odejść.

Luc pstryka palcami.

– Co za nonsens. Nie pozwolę ci odejść właśnie dlatego, że cię kocham. Miłość jest głodna. Samolubna.

– Myślisz raczej o posiadaniu.

Wzrusza ramionami.

– A czy to się tak bardzo różni? Widziałem, co robią ludzie z rzeczami, które kochają.

– Ludzie to nie rzeczy – protestuje Addie. – A ty ich nigdy nie zrozumiesz.

– Rozumiem ciebie, Adeline. Znam cię lepiej niż kogokolwiek innego na świecie.

– Ponieważ nie pozwalasz mi być z nikim innym – kontruje dziewczyna i oddycha głęboko dla uspokojenia. – Wiem, że mnie nie oszczędzisz, Luc, i zapewne masz rację, jesteśmy sobie przeznaczeni. Dlatego, jeśli mnie kochasz, oszczędź Henry'ego Straussa. Jeżeli mnie kochasz, pozwól odejść jemu.

Przez twarz Luca przemyka cień gniewu.

– To nasz wieczór, Adeline. Nie psuj go rozmową o kimś innym.

– Ale przecież powiedziałeś…

– Chodź – rozkazuje jej, odpychając się od stołu. – To miejsce już mi nie w smak.

Kelner właśnie podał tartę gruszkową, ale kiedy Luc wygłasza te słowa, deser obraca się w popiół, a Addie zastanawia się, jak zawsze, nad zmiennością nastrojów u bóstw.

– Luc… – zaczyna mówić, lecz on już stoi przy stole i rzuca serwetkę na spopielone danie.

Nowy Orlean, Stany Zjednoczone Ameryki
29 lipca 1970

XII

– Kocham cię.

Kiedy Luc to mówi, jedzą właśnie kolację w jednym z wielu należących do niego ukrytych barów w Dzielnicy Francuskiej w Nowym Orleanie.

Addie kręci głową, zdumiona, że te słowa nie obracają się w popiół w jego ustach.

– Nie udawaj, że to miłość.

Luc spogląda z irytacją.

– W takim razie czym jest miłość? Zdradź mi to. Powiedz, że serce nie skacze ci w piersi, kiedy słyszysz mój głos. Że nie tęsknisz za swoim imieniem w moich ustach.

– Tęsknię za swoim imieniem, nie za twoimi ustami!

Kąciki jego warg podjeżdżają do góry, szmaragdowe oczy lśnią przyjemnością.

– Kiedyś może tak było – stwierdza. – Teraz jednak to coś więcej.

Addie obawia się, że cień ma rację.

Wówczas stawia przed nią pudełko.

Prosty, czarny prostopadłościan. Gdyby Addie po niego sięgnęła, zapewne zmieściłby się jej w dłoni.

Nie wyciąga jednak dłoni, przynajmniej nie od razu.

– Co to jest?

– Prezent.

Mimo to wciąż jej się nie spieszy, żeby go otworzyć.

– Adeline, naprawdę – oburza się Luc i sam bierze pudełko w dłoń. – Nie ugryzie cię.

Otwiera je i kładzie z powrotem przed nią.

Wewnątrz leży prosty, mosiężny klucz, a kiedy dziewczyna pyta, co otwiera, cień odpowiada:

– Dom.

Addie sztywnieje.

Nie miała domu, przynajmniej od czasów Villon. Prawdę mówiąc, nigdy nie miała swojego miejsca i jest niemal wdzięczna, kiedy przypomina sobie, że to wszystko oczywiście przez niego.

– Nie kpij ze mnie, Luc.

– Nie kpię!

Chwyta jej dłoń i prowadzi ją przez Dzielnicę Francuską, na sam koniec Bourbon Street, do żółtego domu z balkonem i oknami do samej podłogi. Addie wkłada klucz do dziurki, słyszy zgrzyt zamka i zdaje sobie sprawę, że gdyby dom należał do Luca, nie do niej, drzwi po prostu stanęłyby otworem. Nagle czuje, że mosiężny przedmiot w jej dłoni staje się materialny, prawdziwy, że nabiera wielkiej wartości.

Drzwi otwierają się szeroko, ukazując wnętrze z wysokimi sufitami, parkietami, meblami, szafami i mnóstwem przestrzeni do wypełnienia. Dziewczyna wychodzi na balkon, gdzie docierają do niej przez wilgotne powietrze zmieszane dźwięki dzielnicy. Jazz przelewa się ulicami, miażdżąc inne brzmienia i nakładając się na nie, tworząc chaotyczną melodię, zmienną i żywą.

– Ten dom jest twój – oznajmia Luc, a ona czuje w głębi duszy ostrzegawczy sygnał.

Sygnał ten słabnie jednak szybko, niczym światło latarni dostrzeżone zbyt daleko od portu.

Cień przyciąga ją, a ona dostrzega, jak idealnie do siebie pasują.

Tak jakby został dla niej stworzony.

Oczywiście właśnie tak jest. To ciało, ta twarz, te rysy powstały po to, by czuła się swobodnie.

– Wyjdźmy – proponuje.

Addie chce zostać, zacząć tu mieszkać i poczuć, że wreszcie gdzieś się zadomowiła, ale cień twierdzi, że ma jeszcze mnóstwo czasu i zawsze będzie miała. Dziewczyna po raz pierwszy nie boi się słowa „zawsze”. Po

raz pierwszy dni i noce nie będą się ciągnąć bez końca, lecz biec naprzód niczym wyścigowy koń.

Wie, że ta sytuacja nie potrwa wiecznie.

Nie może tak trwać.

Nic nie trwa wiecznie.

W tej chwili jednak jest szczęśliwa.

Idą pod rękę przez Dzielnicę Francuską, Luc zapala papierosa, a gdy Addie mówi mu, że to szkodliwe dla zdrowia, wybucha chropawym, bezdźwięcznym śmiechem, wydmuchując kłęby dymu.

Dziewczyna zwalnia przed wystawą sklepową.

Sklep jest oczywiście zamknięty, ale przez przyciemniane szkło dostrzega na manekinie skórzaną kurtkę, czarną ze srebrnymi sprzączkami.

W szybie widzi lśniące odbicie Luca, który podąża za nią wzrokiem.

– Jest lato – mówi.

– Ale kiedyś minie.

Luc gładzi ją po ramionach i oto Addie czuje na sobie miękką skórę, a manekin na wystawie zostaje nagi. Dziewczyna próbuje nie myśleć o wszystkich latach, przez które obywała się bez okrycia, cierpiąc chłód, o wszystkich okazjach, kiedy musiała się ukrywać, walczyć i kraść. Próbuje o tym nie myśleć, ale i tak to robi.

W połowie drogi powrotnej do żółtego budynku Luc ją opuszcza.

– Muszę coś załatwić – komunikuje. – Wracaj do domu.

„Dom”, to słowo grzechocze jej w głowie, kiedy cień się oddala.

Nie rusza tam jednak.

Patrzy, jak Luc skręca za róg, przechodzi przez ulicę. Addie ukrywa się w cieniu, obserwując, jak podchodzi do sklepiku z neonową dłonią namalowaną na drzwiach.

Starsza kobieta stoi na chodniku; zamyka sklep, pochylona nad pękiem kluczy. Z jednego ramienia zwisa jej wielka torba.

Musi słyszeć, że ktoś się zbliża, ponieważ mruczy przed siebie coś o zamykaniu, coś o innym dniu. A potem odwraca się i dostrzega, kto idzie.

W wystawowej szybie Addie widzi odbicie Luca, nie takiego, jakim się jej ukazuje, ale takiego, jakim widzi go tamta staruszka. Zachował ciemne

loki, ale twarz ma szczuplejszą, z ostrzejszymi rysami, niczym wilk, oczy głęboko osadzone, a kończyny zbyt chude, by mogły należeć do człowieka.

– Umowa to umowa – mówi, a jego słowa gną się w powietrzu. – Właśnie dobiegła końca.

Addie patrzy, spodziewając się, że kobieta zacznie błagać lub uciekać.

Tymczasem staruszka stawia torbę na chodniku i unosi dumnie brodę.

– Umowa to umowa – potwierdza. – A ja jestem zmęczona.

W jakiś sposób to jeszcze gorsze.

Ponieważ Addie dobrze to rozumie.

Sama również jest zmęczona.

A kiedy patrzy, ciemność znów się rozwija.

Minęło ponad sto lat, od kiedy Addie ostatnio widziała go w prawdziwej postaci, mętnych kłębów mroku z licznymi zębami. Tym razem jednak Luc nie rozdziera ciała kobiety, nie ucieka się do efektów rodem z horroru.

Ciemność owija się wokół staruszki jak burza, zasłaniając światło.

Addie się odwraca.

Idzie z powrotem do żółtego domu na Bourbon Street i nalewa sobie kieliszek wina, białego, zimnego i cierpkiego. Jest potwornie gorąco, toteż drzwi balkonu pozostają otwarte, by uczynić upał nieco znośniejszym. Opiera się na żelaznej poręczy i słyszy, jak Luc wraca. Nie przychodzi jednak ulicą, jak mógłby przybywać zalotnik, ale pojawia się w pokoju za nią.

A kiedy jego ręce otulają jej ramiona, Addie przypomina sobie, jak trzymał staruszkę przed sklepem, jak się wokół niej owijał i jak połknął ją w całości.

Nowy Jork
30 lipca 2014

XIII

Podczas spaceru nastrój Luca nieco się poprawia.

Noc jest ciepła, a ledwie widoczny sierp księżyca wisi im nad głowami. Cień odchyla głowę, wdychając powietrze, tak jakby nie było nagrzane w letnim upale, jakby nie niosło woni zbyt wielu ludzi zgromadzonych w zbyt ciasnej przestrzeni.

– Od jak dawna jesteś w mieście? – pyta Addie.

– Przychodzę i odchodzę – odpowiada, ale ona umie już czytać między wierszami, toteż zgaduje, że przebywał w Nowym Jorku prawie tak długo, jak ona, czając się w mroku za jej plecami.

Nie wie, dokąd się udają, i po raz pierwszy zastanawia się, czy Luc zna cel ich spaceru, czy po prostu idzie przed siebie, próbując maksymalnie zwiększyć dystans dzielący ich od restauracji.

Kiedy tak maszerują, Addie czuje, że czas owija się wokół nich, a ona nie wie, czy to jego magia, czy jej pamięć, ale z każdą mijaną przecznicą coś się zmienia: oto ucieka od niego wzdłuż Sekwany. Oto on prowadzi ją znad morza w głąb lądu. Podąża za nim przez ulice Florencji. Idą obok siebie przez Boston, a potem pod rękę przez Bourbon Street.

Teraz są razem tutaj, w Nowym Jorku. Dziewczyna zastanawia się, co by się stało, gdyby nie wypowiedział tego słowa, gdyby nie nachylił dłoni, gdyby nie zniszczył wszystkiego.

– Ten wieczór należy do nas – oznajmia teraz Luc, odwracając się ku niej, a jego oczy znów jasno błyszczą. – Dokąd pójdziemy?

Do domu, myśli Addie, chociaż nie może tego powiedzieć.

Spogląda w górę, na drapacze chmur, wyrastające ze wszystkich stron.

– Z którego z nich jest najlepszy widok? – zastanawia się na głos.

Po chwili Luc uśmiecha się, błyskając zębami, i mówi:

– Chodźmy.

Przez wszystkie lata w Nowym Jorku Addie poznała wiele tajemnic tego miasta.

Jednej wszakże jeszcze nie zna.

Ta jedna nie leży pod ziemią, ale na dachu.

Osiemdziesiąt cztery piętra wzwyż, wjazd na górę dwiema windami: pierwsza z nich kompletnie niepozorna, jadąca tylko na osiemdziesiąte pierwsze, a druga – dokładna kopia Bramy piekieł Rodina, pełnej wijących się, usiłujących uciec ciał, zabiera pasażerów jeszcze wyżej.

Jeżeli ktoś ma klucz.

Luc wyciąga z kieszeni koszuli czarną kartę i wsuwa ją w rozwarte usta postaci na ramie drzwi do windy.

– Czy to też twoja własność? – pyta Addie, kiedy drzwi się otwierają.

– W rzeczywistości nic nie należy do mnie – mówi zamiast odpowiedzi, po czym wchodzą.

Jazda trwa krótko, raptem trzy piętra, a gdy winda się zatrzymuje, jej drzwi otwierają się na niczym niezakłóconą panoramę miasta.

U jej stóp wiją się czarne litery, układające się w nazwę baru: Droga występku.

Addie przewraca oczami.

– Co, „Potępienie” było już zajęte?

– Potępienie to całkiem inny klub – odpowiada, a w jego oczach jarzą się złośliwe iskierki.

Podłogi są tu z brązu, poręcze – ze szkła, a sufit otwiera się prosto na niebo. Ludzie rozpierają się na pluszowych kanapach, moczą nogi w płytkich sadzawkach i stoją wzdłuż okalających dach balkonów, podziwiając widoki.

– Panie Green – wita Luca hostessa. – Witamy z powrotem.

– Dziękuję, Renee – odpowiada gładko. – To Adeline. Daj jej wszystko, czego zechce.

Hostessa patrzy na nią, ale w jej oczach nie ma przymusu, żadnego znaku, że została zauroczona, tylko gotowość do współpracy. Wydaje się

doskonała w swoim fachu. Addie zamawia najdroższego drinka, a Renee uśmiecha się do Luca.

– Znalazł pan godną partnerkę.

– To prawda – potwierdza cień, kładąc dłoń na plecach Addie i prowadząc ją przed sobą. Dziewczyna przyspiesza kroku, tak by Luc został z tyłu, i przeciska się przez tłum do szklanej poręczy, by podziwiać Manhattan. Oczywiście nie widać żadnych gwiazd, ale za to ze wszystkich stron rozpościera się Nowy Jork z własną galaktyką świateł.

Tu na górze może wreszcie odetchnąć.

Dobiega ją swobodny śmiech tłumu, zwykłe odgłosy towarzystwa, które dobrze się bawi, o wiele milsze dla ucha niż sztywne milczenie w pustej restauracji lub klasztorna cisza wnętrza limuzyny. To niebo, otwierające się ponad nią, piękno miasta i to, że nie są sami.

Renee wraca z butelką szampana. Szkło pokrywa widoczna warstewka kurzu.

– Dom Perignon, rocznik tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty dziewiąty – wyjaśnia, podsuwając butelkę, by mogli się sami upewnić. – Z prywatnych zapasów, panie Green.

Luc macha zachęcająco dłonią, a ona otwiera butelkę i nalewa trunku do dwóch wysokich kieliszków. Bąbelki są tak maleńkie, że przypominają diamentowy proszek w szkle.

Addie sączy szampana, rozkoszując się uczuciem mrowienia na języku.

Obserwuje tłum, pełen twarzy, które można rozpoznać na pierwszy rzut oka, nawet jeśli nie jest się pewnym, skąd. Luc wskazuje jej poszczególnych gości, senatorów, aktorów, autorów i krytyków, a ona zastanawia się, czy którykolwiek z nich sprzedał swoją duszę. Albo ma zamiar to zrobić.

Opuszcza wzrok do wnętrza kieliszka i patrzy, jak bąbelki wędrują żwawo ku powierzchni. Kiedy dziewczyna się odzywa, jej słowa są niewiele głośniejsze niż szept, w większości pochłania je gwar tłumu. Wie jednak, że jej towarzysz dobrze ją słyszy.

– Odpuść mu, Luc.

Cień nieznacznie zaciska usta.

– Adeline… – mówi ostrzegawczo.

– Obiecałeś, że mnie wysłuchasz.

– W porządku. – Opiera się o poręcz i rozkłada ramiona. – Powiedz mi w takim razie, co w nim widzisz? W tym swoim najnowszym ludzkim kochanku?

Chciałaby powiedzieć: „Henry Strauss jest troskliwy i uprzejmy, inteligentny i bystry, delikatny i ciepły. Kompletnie inny niż ty".

Addie wie jednak, że musi postępować ostrożnie.

– Co w nim widzę? – zastanawia się na głos. – Widzę siebie. Chociaż nie taką, jaką jestem teraz, ale taką, jaką byłam tamtego wieczoru, kiedy przybyłeś mnie uratować.

Luc spogląda na nią gniewnie.

– Henry Strauss chciał umrzeć, a ty chciałaś żyć. Wcale nie jesteście podobni.

– To nie takie proste.

– Ach, nie?

Addie kręci głową.

– Widzisz tylko wady i niedoskonałości, słabości, które możesz wykorzystać, ale w rzeczywistości ludzie są skomplikowani, Luc. Na tym polega ich piękno. Żyją i kochają, popełniają pomyłki i przeżywają mnóstwo emocji. I może… może faktycznie nie jestem już jedną z nich. – Wypowiada te słowa z trudem, jakby wydzierała je z siebie, ponieważ wie, że to prawda. Bez względu na to, czy to dobrze, czy źle. – Ale pamiętam to. Pamiętam, jak to jest. A Henry…

– Jest zagubiony – wchodzi jej w słowo Luc.

– Wciąż szuka – poprawia dziewczyna. – I znajdzie swoją drogę, jeśli mu pozwolisz.

– Gdybym mu pozwolił, skoczyłby z dachu.

– Tego nie wiesz – zastrzega Addie. – I nigdy nie będziesz wiedział, bo wpłynąłeś na bieg wydarzeń.

– Adeline, zajmuję się ludzkimi duszami, a nie dawaniem drugiej szansy.

– Błagam cię, odpuść mu. Nie chcesz anulować mojej umowy, więc chociaż idź na rękę Henry'emu.

Luc wypuszcza powietrze i wskazuje szerokim gestem tłum na dachu.

– Wybierz kogoś.

– Co?

Odwraca ją twarzą ku rozbawionym ludziom.

– Wybierz duszę, którą dostanę zamiast Henry'ego. Wskaż mi nieznajomego, którego skażesz na potępienie – mówi niskim, gładkim, pewnym głosem. – Wszystko ma swoją cenę – dodaje ciszej. – Za wszystko trzeba płacić. Henry Strauss zawarł umowę i odda mi swoją duszę. Czy sprzedałabyś cudzą, żeby ją odzyskać?

Addie patrzy na tłum, na twarze, które rozpoznaje, i te nieznane. Młodzi i starzy, w grupach i samotni.

Którzy są niewinni?

A którzy okrutni?

Nie wie, czy potrafi to zrobić… aż jej dłoń wędruje ku górze i wskazuje jakiegoś mężczyznę. Serce podchodzi jej do gardła, kiedy czeka, aż Luc ją puści i wyznaczy swoją cenę.

Luc jednak nie rusza się z miejsca.

Wybucha tylko śmiechem.

– Moja Adeline – mówi, całując jej włosy. – Zmieniłaś się bardziej, niż myślisz.

Kręci jej się w głowie i czuje mdłości. Odwraca się, by spojrzeć mu w twarz.

– Żadnych gierek – mówi.

– Proszę bardzo! – odpowiada Luc i zaraz potem wciąga ją w ciemność.

Dach znika, a wokół niej rozpościera się pusta przestrzeń, pochłaniająca wszystko poza bezgwiezdnym niebem: nieskończona, brutalną czerń. A kiedy chwilę później się wycofuje, wokół panuje cisza. Miasto zniknęło, a Addie stoi samotnie w lesie.

Nowy Orlean
1 maja 1984

XIV

Tak się to kończy.

Świeczkami płonącymi na parapecie, których niepewne światło rzuca długie cienie na łóżko. Kiedy za otwartym oknem rozciąga się najczarniejsza noc, w powietrzu czuć pierwszy powiew lata, a Addie spoczywa w ramionach Luca. Ciemność otula ją niczym prześcieradło.

Tak właśnie wygląda dom, myśli dziewczyna.

To zapewne jest miłość.

I to jest w tym wszystkim najgorsze. W końcu o czymś zapomniała, tyle że tym razem o czymś złym. A przecież powinna pamiętać: że mężczyzna w łóżku obok niej nie jest mężczyzną, że to życie nie jest zwyczajnym życiem, że składa się z gierek i bitew, a całe jest czymś w rodzaju wojny.

Czuje na twarzy delikatny dotyk zębów.

Ciemność szepcze tuż przy jej skórze:

– Moja Adeline.

– Nie jestem twoja – odpowiada, ale on tylko uśmiecha się w ciemności.

– Mimo to jesteśmy razem – mówi Luc. – Stanowimy całość.

„Należysz do mnie”.

– Kochasz mnie? – pyta Addie.

Jego palce wędrują po jej biodrach.

– Wiesz, że tak.

– To pozwól mi odejść.

– Nie trzymam cię tu.

– Nie to mam na myśli – odpowiada dziewczyna, opierając się na łokciu. – Uwolnij mnie.

Luc się odsuwa, na tyle, by popatrzeć jej prosto w oczy.

– Nie mogę złamać umowy. – Jego głowa opada, czarne loki muskają jej policzek. – Ale być może mógłbym ją nagiąć… – szepcze w jej ramię.

Serce Addie nagle przyspiesza.

– Być może mógłbym zmienić warunki.

Wstrzymuje oddech, a po jej skórze spływają zdradzieckie słowa Luca.

– Mogę sprawić, że będą korzystniejsze – mruczy. – Musisz się tylko poddać…

To słowo pada niczym zimny prysznic.

Kurtyna opada na scenę: przepiękne dekoracje, rekwizyty i znakomici aktorzy znikają za mroczną zasłoną.

„Poddaj się”.

Rozkaz wyszeptany w ciemności.

Rada udzielona załamanemu człowiekowi.

To samo żądanie, ponawiane wciąż i wciąż, i wciąż, przez lata… aż Luc przestał o nim wspominać. Jak dawno? Oczywiście Addie doskonale wie, to było wtedy, kiedy zmienił metodę, a jego zawziętość wobec niej osłabła.

Ależ była głupia, myśląc, że to oznacza pokój zamiast wojny.

„Poddaj się”.

– O co chodzi? – pyta Luc, udając zakłopotanie, dopóki nie odrzuca mu tego słowa prosto w twarz.

– Poddać się? – warczy.

– To tylko słowo – mówi, ale przecież nauczył ją potęgi słów. Słowo jest wszystkim, a jego słowa to zwinięty wąż, podstęp, klątwa. – Taka jest natura rzeczy. Żeby zmienić umowę.

Addie odsuwa się od niego, byle dalej.

– Mam ci teraz zaufać? Oddać duszę i uwierzyć, że mi ją zwrócisz?

Tyle lat i tyle różnych sposobów, by żądać tego samego.

„Poddajesz się?”

– Chyba masz mnie za idiotkę, Luc – syczy, a jej twarz płonie gniewem. – Zadziwia mnie twoja cierpliwość, ale przecież zawsze lubiłeś polowania.

Cień mruży zielone oczy.

– Adeline.

– Jak śmiesz wymawiać moje imię! – Dziewczyna stoi teraz obok łóżka, płonąc z wściekłości. – Wiedziałam, że jesteś potworem, Luc. Widziałam dość, żeby się o tym przekonać, a mimo to wciąż myślałam... że jakimś cudem, po wszystkich tych latach… ale to oczywiście nie była miłość, prawda? To nie była nawet życzliwość. To była tylko kolejna gra.

Przez chwilę myśli, że się pomyliła.

Przez ułamek sekundy Luc wygląda na zranionego i zmieszanego, a ona zastanawia się: „Może rzeczywiście nie miał na myśli nic złego, a może nawet…”

Potem jednak to wrażenie mija.

Uraza znika z jego twarzy i przepada w mroku, tak jak słońce przesłonięte przez chmurę. Na jego ustach igra ponury uśmiech.

– Ależ to była męcząca gra.

Addie wie, że sama zaczęła rozmowę na ten temat, ale prawda i tak ją rani.

Wcześniej czuła, że pęka, a teraz całkiem się łamie.

– Nie możesz obwiniać mnie za to, że próbowałem innego podejścia.

– Obwiniam cię za wszystko!

Luc wstaje, a ciemność otacza go niczym jedwab.

– Dałem ci wszystko.

– Nic z tego nie było prawdą!

Addie się nie rozpłacze.

Nie da mu tej satysfakcji. Nie pozwoli, żeby widział jej cierpienie.

Już nigdy nic mu nie da.

Tak zaczyna się bitwa.

A właściwie tak się kończy.

Większość bitew nie rozgrywa się w jednej chwili. Przygotowania do nich trwają przez wiele dni, a nawet tygodni. Obie strony zbierają amunicję i podsycają morale.

To jednak jest bitwa rozciągnięta na całe stulecia.

Równie stara i nieunikniona jak obrót Ziemi wokół osi, jak upływ kolejnych epok, jak starcie dziewczyny i ciemności.

Powinna była wiedzieć, że tak się stanie.

Może nawet wiedziała o tym od początku.

Mimo to do dziś nie wie, jak wybuchł pożar. Czy od świeczki zrzuconej przez nią ze stołu, czy od latarni zerwanej ze ściany, a może od lamp strzaskanych przez Luca... czy wreszcie był to ostatni akt wściekłości.

Wie, że nie miała siły, by cokolwiek zniszczyć, a przecież to zrobiła. Zrobili to razem. Być może pozwolił jej podpalić dom. Być może po prostu go nie gasił.

Ostatecznie nie ma to znaczenia.

Addie stoi na Bourbon Street i patrzy, jak cały budynek staje w płomieniach, a kiedy przybywają strażacy, nie ma już zbyt wiele do uratowania. Zostaje tylko popiół.

Kolejne życie poszło z dymem.

Addie nie ma teraz niczego, z jej kieszeni zniknął nawet klucz. Przed chwilą tam był, ale kiedy po niego sięga, trafia na pustkę. Jej dłoń wędruje ku pierścionkowi na szyi.

Zrywa łańcuszek, rzuca drewniany krążek w dymiące ruiny domu i odchodzi.

Nowy Jork
30 lipca 2014

XV

Drzewa otaczają Addie ze wszystkich stron.

Wilgotny zapach lata spędzanego w lesie.

Ogarnia ją strach, nagła, potworna pewność, że Luc złamał obie reguły zamiast jednej, że przeniósł ją przez ciemność, wykradł z Nowego Jorku i porzucił gdzieś daleko od domu.

Potem jednak oczy przystosowują jej się do ciemności, odwraca się i widzi panoramę miasta ponad koronami drzew. Zdaje sobie sprawę, że musi być w Central Parku.

Opływa ją fala ulgi.

A potem poprzez mrok dociera do niej głos Luca.

– Adeline… Adeline… – mówi, a ona nie potrafi rozpoznać, czy to echo, czy to on we własnej postaci, wolny od ograniczeń ludzkiego, śmiertelnego ciała.

– Obiecałeś! – woła Addie.

– Czy rzeczywiście?

Luc wyłania się z ciemności, tak jak tamtej nocy, materializując się z kłębów mgły i mroku. Burza uformowana w ludzką postać.

„Czy jestem diabłem, czy cieniem?” – zapytał jej kiedyś. „Czy może potworem, czy też bogiem?”

Nie ma już na sobie eleganckiego czarnego garnituru, ale ten sam strój, w którym wystąpił, kiedy wezwała go po raz pierwszy, spodnie i tunikę z rozcięciem pod szyją. Czarne włosy kręcą mu się u skroni.

Marzenie wyczarowane tyle wieków temu.

Jedna rzecz się zmieniła: w jego oczach nie ma triumfu, zniknął z nich jakikolwiek kolor, są tak blade, że niemal szare. Nie widziała nigdy tego odcienia, lecz zgaduje, że oznacza smutek.

– Dam ci to, czego chcesz, jeśli zrobisz jedną rzecz.

– Co takiego? – pyta Addie.

Luc wyciąga dłoń.

– Zatańcz ze mną – prosi.

W jego głosie jest tęsknota, poczucie straty, a jej wydaje się, że to chyba koniec tego wszystkiego, ich związku. Gra dobiegła końca. W tej wojnie nie ma zwycięzców.

Dlatego zgadza się zatańczyć.

Nie ma muzyki, ale to bez znaczenia.

Kiedy przyjmuje jego dłoń, słyszy w głowie melodię, cichą i kojącą. Nie piosenkę, ale dźwięki letniego lasu, stały szum wiatru w zbożu. A kiedy Luc ją przyciąga, Addie słyszy ciche, żałosne dźwięki skrzypiec znad Sekwany. Jego palce wślizgują się w jej drugą dłoń i odzywa się stały pomruk morskich fal. Symfonia wznosząca się nad ulicami Monachium. Addie opiera głowę na jego ramieniu i słyszy deszcz padający w Villon, jazzband grający w klubie w Los Angeles i brzmienie saksofonu, dobiegające przez otwarte okno z Bourbon Street.

Taniec dobiega końca.

Muzyka cichnie.

W dół jej policzka pełznie łza.

– Wystarczyło tylko, żebyś mnie uwolnił.

Luc wzdycha i unosi głowę.

– Nie mogłem.

– Ponieważ tak brzmiała umowa?

– Ponieważ jesteś moja.

Addie wyswobadza się jego objęć.

– Nigdy nie byłam twoja, Luc – oznajmia, odwracając się. – Ani tamtego wieczoru w lesie, ani wtedy, kiedy poszłam z tobą do łóżka. To ty powiedziałeś, że to tylko gra.

– Kłamałem – przyznaje cień, a ona czuje, że to słowo jest jak nóż. – Kochałaś mnie, a ja ciebie – uzupełnia.

– A mimo to nie zjawiłeś się, dopóki nie znalazłam kogoś innego.

Staje znów przed nim, spodziewając się, że zobaczy oczy żółte od zawiści. Tymczasem gorzeją arogancką zielenią, której odpowiada również jego mina: lekko uniesiona brew i ironiczny uśmieszek.

– Och, Adeline – mówi. – Myślisz, że go znalazłaś, ot tak?

Dziewczyna potyka się o te słowa.

Czuje się tak, jakby nagle zaczęła spadać.

– Naprawdę sądzisz, że pozwoliłbym na to?

Ziemia trzęsie się jej pod stopami.

– Że ze wszystkich zawartych umów akurat ta umknęłaby mojej uwadze?

Addie zaciska powieki i oto leży znów obok Henry'ego na trawie, ze splecionymi dłońmi, patrzy w nocne niebo i śmieje się z pomyłki, którą w końcu popełnił Luc.

– Musiałaś uważać się za taką sprytną! – odzywa się teraz cień. – Pechowi kochankowie, których połączył los. Jakie było prawdopodobieństwo, że się spotkacie, że oboje będziecie związani umowami ze mną, że oboje sprzedaliście swoje dusze za to, co mogło wam zapewnić tylko to drugie? Prawda jest o wiele prostsza: to ja postawiłem Henry'ego na twojej drodze. Podałem ci go na srebrnej tacy.

– Dlaczego? – pyta Addie, z trudem wymawiając słowa. – Dlaczego miałbyś to zrobić?

– Ponieważ tego właśnie chciałaś. Tak się skupiłaś na poszukiwaniu miłości, że niczego poza tym nie widziałaś. Dałem ci to, dałem ci Henry'ego, żebyś sama się przekonała, że miłość nie jest warta miejsca, które dla niej rezerwowałaś. Miejsca, którego odmawiałaś mnie!

– Ale przecież była tego warta. Jest tego warta.

Wyciąga dłoń, by pogładzić jej policzek.

– Nie będzie, kiedy Henry'ego zabraknie.

Addie cofa się przed jego słowami i dotykiem.

– To okrutne, Luc, nawet jak na ciebie.

– Nie! – zaprzecza gniewnie cień. – Okrucieństwem byłoby dać mu dziesięć lat zamiast roku. Okrucieństwem byłoby pozwolić ci spędzić z nim życie i cierpieć jeszcze bardziej, kiedy go stracisz.

– I tak wybrałabym taki los! – Addie kręci głową. – Nie miałeś zamiaru darować mu życia, prawda?

Luc przechyla głowę.

– Umowa to umowa, Adeline. Wiąże obie strony.

– Zrobiłeś to wszystko, żeby mnie torturować…

– Nie! – przerywa jej. – Zrobiłem to, żeby ci coś pokazać. Żebyś zrozumiała. Stawiasz ludzi na piedestale, a przecież żyją tak krótko i bezbarwnie. Taka właśnie jest ich miłość, płytka i nietrwała. Tęsknisz za ludzką miłością, ale nie jesteś człowiekiem, Adeline, i to od stuleci. Nie należysz do nich. Twoje miejsce jest przy mnie!

Addie drży z wściekłości, która po chwili tężeje w lód.

– Ależ to musi być dla ciebie trudna lekcja – mówi. – Nie możesz mieć wszystkiego, czego ci się zachce.

– Zachce? – przedrzeźnia ją. – Zachcianki są dla dzieci. Gdyby to była zachcianka, już bym się ciebie pozbył i zapomniał parę wieków temu – dodaje z gorzką odrazą. – To jest potrzeba, bolesna i wymagająca cierpliwości. Słyszysz mnie, Adeline? Potrzebuję cię, tak samo jak ty potrzebujesz mnie. Kocham cię tak jak ty mnie.

Dziewczyna słyszy udrękę w jego głosie.

Być może dlatego właśnie ma ochotę zranić go mocniej.

– Ależ właśnie o to chodzi, Luc – stwierdza. – Wcale cię nie kocham.

Jej głos jest cichy i opanowany, a mimo to słowa toczą się przez mrok jak grzmot. Drzewa szumią, cienie gęstnieją, a oczy Luca płoną jadowitym odcieniem zieleni, którego nie widziała nigdy przedtem. Po raz pierwszy od wieków Addie zaczyna się bać.

– Czy ten chłopak naprawdę tyle dla ciebie znaczy? – pyta głosem zimnym i twardym jak głazy w rzece. – W takim razie idź. Spędź resztę czasu ze swoim ukochanym człowiekiem, a potem pochowaj go, opłakuj i posadź drzewo na jego grobie. – Jego kontury zaczynają wtapiać się w mrok. – Wciąż tam będę. I ty też.

Luc odwraca się i znika.

Addie pada na kolana w trawie.

Zostaje tam, aż pierwsze promyki słońca wypełzną na niebo. Dopiero wtedy zmusza się, żeby wstać, i wędruje przez mgłę do metra. Słowa Luca odbijają się w jej głowie nieskończonym echem.

„Nie jesteś już człowiekiem, Adeline”.

„Myślisz, że go znalazłaś, ot tak?”

„Musiałaś uważać się za taką sprytną”.

„Spędź resztę czasu ze swoim ukochanym”.

„Wciąż tam będę”.

„I ty też”.

Kiedy dociera na Brooklyn, wstaje już słońce.

Zatrzymuje się, żeby kupić coś na śniadanie w ramach przeprosin za to, że nie było jej przez całą noc. Wówczas widzi na stojaku codzienną gazetę – i datę w prawym górnym rogu na stronie tytułowej.

Szósty sierpnia 2014.

Wyszła od Henry’ego trzydziestego lipca.

„Spędź resztę czasu ze swoim ukochanym”, powiedział Luc.

Po czym skradł jej ten czas, nie tylko noc, ale cały tydzień. Siedem cennych dni, wymazanych z życia jej i Henry’ego.

Addie rusza biegiem.

Wpada przez drzwi i wbiega po schodach, wyciąga torebkę, ale nie ma w niej klucza, więc wali do drzwi, zdjęta przerażeniem, że świat się zmienił, że Luc w jakiś sposób przestawił coś więcej niż tylko czas, że nadpisał wydarzenia ostatnich miesięcy, że odebrał im więcej, że zabrał wszystko.

Potem jednak zamek szczęka, drzwi się otwierają i oto staje w nich Henry, wyczerpany, z włosami w nieładzie, a ona poznaje po wyrazie jego oczu, że nie spodziewał się już jej powrotu, że w którejś chwili pomiędzy pierwszym porankiem a następnym, a może jeszcze następnym pomyślał, że odeszła.

Teraz Addie rzuca mu się na szyję.

– Przepraszam cię! – mówi i nie chodzi jej tylko o skradziony tydzień. Przeprasza za umowę, za klątwę, za to, że wszystko to jest jej winą. – Przepraszam, przepraszam, przepraszam… – powtarza bez końca, a Henry nie krzyczy, nie wścieka się, nawet nie rzuci: „A nie mówiłem?”. Trzyma ją tylko w ciasnym uścisku i wreszcie mówi:

– Dosyć. – A potem jeszcze: – Obiecaj mi. – I dodaje: – Zostań.

Nigdzie tu nie ma znaku zapytania, ale Addie wie, że prosi, błaga ją, żeby odpuściła, żeby przestała walczyć i próbować zmienić ich los, żeby tylko była z nim aż do końca.

Addie nie może znieść myśli, że się podda, że zrezygnuje z niego, a on odejdzie bez walki.

Henry jest jednak bliski załamania, a to jej wina, więc w końcu się zgadza.

Nowy Jork
sierpień 2014

XVI

To najszczęśliwsze dni w życiu Henry'ego.

Wie, że to dziwna sprawa.

Ten okres wydaje się naznaczony szaloną wolnością, osobliwą otuchą płynącą ze świadomości sytuacji. Koniec zbliża się wielkimi krokami, a mimo to chłopak nie czuje przerażenia.

Wie, że powinien się bać.

Codziennie przygotowuje się, że ogarnie go bezbrzeżny strach, czeka, aż w jego umyśle zbiorą się burzowe chmury, spodziewa się ataku nieuniknionej paniki, rozpierającej mu serce.

Tymczasem po raz pierwszy od wielu miesięcy, od wielu lat, od kiedy sięgnie pamięcią, nie boi się ani trochę. Martwi się oczywiście o przyjaciół, o antykwariat i kota, ale poza niskim szumem troski jest tylko dziwny spokój, poczucie stabilności i niewiarygodna ulga, że znalazł Addie, że poznał ją, pokochał, a teraz ma ją obok siebie.

Czuje się szczęśliwy.

I gotowy.

Nie boi się.

To właśnie sobie powtarza.

Nie boi się.

Postanowili, że pojadą na północ stanu.

By wyrwać się z miasta i zostawić za sobą otępiający letni upał.

Żeby zobaczyć gwiazdy.

Henry wypożycza samochód i jadą tam, a on w połowie drogi nad rzeką Hudson zdaje sobie sprawę, że Addie nigdy nie poznała jego rodziny, a potem uprzytomnia sobie z nagłą rozpaczą, że nie miał odwiedzać domu przed Rosz ha-Szana, a przecież nie dożyje tego święta. Że jeśli nie skręci na najbliższym zjeździe, nie zdąży się pożegnać.

Wówczas w jego głowie zaczynają kłębić się chmury, a strach zaczyna wspinać mu się po plecach, ponieważ nie wie, co miałby powiedzieć, ani też czy to zmieniłoby cokolwiek na lepsze.

Aż nagle okazuje się, że minął ten zjazd, że jest już za późno, i znów może oddychać, a Addie zwraca jego uwagę na reklamę świeżych owoców, więc zjeżdżają z autostrady i kupują brzoskwinie ze straganu oraz kanapki ze sklepu, a potem jadą jeszcze przez godzinę na północ, do parku stanowego, gdzie słońce praży, lecz w cieniu pod drzewami jest nawet chłodno, i spędzają cały dzień na wędrowaniu po leśnych ścieżkach, a kiedy zapada wieczór, urządzają sobie piknik na dachu wynajętego samochodu, a później rozciągają się na dzikiej, bujnej trawie i patrzą w gwiazdy.

Jest ich tak wiele, że noc wcale nie wydaje się mroczna.

Henry wciąż jest szczęśliwy.

I ciągle może oddychać.

Nie mają namiotu, ale i tak jest za ciepło, żeby musieli się w nim chować.

Leżą na kocu rozłożonym na trawie i patrzą na widmo Mlecznej Drogi, a Henry przypomina sobie Artefakt w High Line, instalację naśladującą niebo: ależ bliskie wydawały się wtedy gwiazdy – i jak dalekie są teraz!

– Gdybyś mogła to zrobić jeszcze raz, to czy i tak zawarłabyś umowę? – pyta.

A Addie odpowiada:

– Tak.

Po czym zaczyna opowiadać: wiodła życie trudne i samotne, ale także wspaniałe. Przeżyła wojny i walczyła w nich, przetrwała rewolucje i odrodzenie. Pozostawiła ślady na tysiącu dzieł sztuki, niczym odciski palców na dnie schnącej miski. Widziała cuda i oszalała, tańczyła w śnieżnych zaspach i zamarzła na śmierć nad Sekwaną. Zakochała się wiele razy w cieniu i raz w człowieku.

Czuje się zmęczona. Niewymownie zmęczona.

Nie ulega jednak kwestii, że żyła pełnią życia.

– Nic nie jest całkiem dobre i całkiem złe – mówi. – Życie jest dużo bardziej skomplikowane.

Kiedy zapada ciemność, Henry pyta, czy było warto.

Czy radosne chwile były nagrodą za dłuższe okresy smutku?

Czy opłacało się czekać całymi latami na piękne momenty?

A ona odwraca głowę, patrzy na niego i mówi:

– Tak, zawsze!

Zasypiają pod gwiazdami, a kiedy budzą się rano, upał gdzieś się ulotnił, powietrze jest chłodne i da się w nim wyczuć pierwsze oznaki następnej pory roku, której Henry już nie doświadczy.

Mimo to powtarza sobie, że się nie boi.

Potem tygodnie zmieniają się w dni.

A on musi pożegnać się z kilkoma ludźmi.

Pewnego wieczoru spotyka się w Merchancie z Beą i Robbiem. Addie siada z napojem po przeciwnej stronie baru, pozostawiając mu pole do popisu. Henry chce, żeby tam była, potrzebuje jej tam, milczącej kotwicy podczas sztormu. Oboje wiedzą, że gdyby siedziała z nim przy stole, Bea i Robbie mogliby zapomnieć to spotkanie, a Henry chce, żeby je zapamiętali.

Przez jedną małą chwilkę wszystko przebiega cudownie, boleśnie normalnie.

Bea opowiada o swojej najnowszej propozycji tematu pracy doktorskiej (najwyraźniej do dziewięciu razy sztuka, bo tym razem temat został przyjęty), natomiast Robbie mówi o premierze swojego przedstawienia w przyszłym tygodniu, a Henry trzyma język za zębami, by nie powiedzieć mu, że wślizgnęli się z Addie wczoraj na próbę generalną i przyczaili się w ostatnim rzędzie, nisko pochyleni, tak by móc obserwować Robbiego w swoim żywiole: na scenie, w genialnej, przepięknej roli, rozpierającego się na tronie z wdziękiem Bowiego, z szatańskim uśmieszkiem na ustach i roztaczającego wokoło własną, magiczną atmosferę.

W końcu Henry kłamie przyjaciołom, że musi wyjechać z miasta.

Na północ, do rodziców. Nie, to jeszcze nie ten czas, wyjaśnia, ale kuzyni przyjeżdżają z wizytą i matka poprosiła go, żeby przyjechał. Tylko na weekend, mówi.

Pyta Beę, czy mogłaby popracować w antykwariacie.

Pyta Robbiego, czy nakarmi kota.

Zgadzają się, tak po prostu, bo nie wiedzą, że to pożegnanie. Henry płaci za wszystkich, Robbie żartuje, Bea skarży się na swoich studentów. Henry obiecuje, że zadzwoni do nich po powrocie.

Kiedy wstaje, Bea całuje go w policzek, Robbie pada mu w objęcia i prosi, żeby nie przegapił premiery, a Henry obiecuje, że przyjdzie, a potem sobie idą i już ich nie ma.

Tak właśnie powinno wyglądać pożegnanie, decyduje Henry.

Nie kropka, ale wielokropek, zdanie przerwane w połowie, aż ktoś się pojawi, żeby je dokończyć.

Drzwi, których nikt nie zamyka.

Spokojne zapadnięcie w sen.

Henry mówi sobie, że się nie boi.

Powtarza w myślach, że wszystko jest w porządku, w najlepszym porządku.

W chwili, kiedy opada go zwątpienie, Addie kładzie dłoń na jego ramieniu, delikatnie i stanowczo, a potem idą razem do domu. Wchodzą do łóżka i wtulają się w siebie, by przetrwać burzę.

W środku nocy Henry czuje, że Addie wstaje, i słyszy, jak człapie korytarzem.

Jest późno, więc nie przywiązuje do tego wielkiej wagi.

Odwraca się na drugi bok i śpi dalej, kiedy zaś się znowu budzi, jest jeszcze ciemno, a dziewczyna leży przy nim.

Zegarek na stoliku nocnym przeskakuje o sekundę bliżej północy.

Nowy Jork
4 września 2014

XVII

To taki zwyczajny dzień.

Zostają w łóżku, przytuleni do siebie w gnieździe z pościeli, głowa przy głowie, dłonie wędrują po ramionach i policzkach, palce zapamiętują skórę. Henry szepcze w kółko jej imię, tak jakby mogła zachować jego słowa na zapas, kiedy go już nie będzie.

– Addie, Addie, Addie…

Mimo wszystko jest szczęśliwy.

A przynajmniej powtarza sobie, że jest szczęśliwy, że jest gotowy, że się nie boi. Mówi sobie, że jeżeli zostaną tutaj, w łóżku, dzień będzie trwał. Jeśli wstrzyma oddech, zatrzyma także czas, sekundy przestaną płynąć, a minuty utkną w ich splecionych dłoniach.

Addie najwyraźniej wyczuwa jego niewypowiedzianą prośbę, ponieważ nie próbuje nawet wstawać. Zostaje z nim w łóżku i opowiada mu historie.

Nie o rocznicach, bo opowieści z dwudziestego dziewiątego lipca już im się skończyły, ale o wrześniach i majach, o spokojnych dniach, których nikt nie będzie pamiętał. Addie mówi o Fairy Pools, magicznych jeziorach na wyspie Skye, o zorzy polarnej na Islandii i o tym, jak pływała w jeziorze tak czystym, że widziała dno dziesięć metrów niżej, a było to w Portugalii… a może w Hiszpanii?

Tych historii Henry już nie zapisze.

To wyłącznie jego wina: nie potrafi się zmusić, by wyplątać się z ramion Addie, wstać z łóżka i chwycić najnowszy notatnik z półki. Jest ich teraz sześć, ostatni zapisany w połowie, a Henry zdaje sobie sprawę, że tak już

zostanie. Ostatnie strony będą już zawsze puste, ściśnięte gęsto litery stoją niczym ściana, fałszywe zakończenie historii, która wciąż trwa. Jego serce na chwilę się zatrzymuje, ogarnięte paniką, ale nie chce, żeby znów się zaczęło, wie, że poczuje burzę do szpiku kości, tak jak chwilowy dreszcz zmienia chłód w szczękający zębami mróz, a on jeszcze przez chwilę musi zachować spokój.

Jeszcze przez chwilę musi się opanować.

Dlatego Addie opowiada, a on słucha, pozwalając, by historie prześlizgiwały się niczym jej palce przez jego włosy. Za każdym razem, kiedy panika usiłuje przedrzeć się na powierzchnię, zwalcza ją, wstrzymuje oddech i mówi sobie, że wszystko jest w porządku, ale jednak nie rusza się z miejsca, nie wstaje. Nie może, bo jeśli to zrobi, złamie zaklęcie, czas nagle przyśpieszy i wszystko skończy się za szybko.

Wie, że ten nagły przypływ zabobonnego przekonania może się wydać głupi, ale strach znajduje się teraz blisko, niepokojąco prawdziwy, a łóżko jest bezpieczne, Addie trzyma go mocno, on czuje się szczęśliwy, że ona przy nim jest, i dziękuje losowi za każdą minutę od ich pierwszego spotkania.

Po południu Henry nagle robi się głodny. Wydaje mu się to niewłaściwe, niemal niepoważne, czy też niekonsekwentne, ale głód sięga głęboko, a z jego przybyciem zegar znów zaczyna tykać.

Nie może utrzymać czasu na wodzy.

Teraz przyśpiesza, ucieka daleko w przód, wymyka się.

Addie patrzy na Henry'ego, jakby potrafiła czytać mu w myślach i widziała sztorm zagrażający jego umysłowi. Dzięki niej świeci tam słońce i panuje piękna pogoda.

Wyciąga go z łóżka do kuchni, a on siada na stołku i słucha, podczas gdy ona przygotowuje omlet i opowiada mu o swojej pierwszej podróży samolotem, pierwszej piosence usłyszanej przez radio i pierwszym ruchomym obrazie.

To jej ostatni prezent dla Henry'ego: chwile, których już nie doświadczy.

To także jego ostatni prezent dla Addie: wysłuchanie jej historii.

Chciałby, żeby wrócili do łóżka razem z Książkiem, ale oboje wiedzą, że nie ma powrotu. A teraz, kiedy już wstał, nie potrafi znieść bezruchu. Cały

promieniuje niespożytą energią, wydaje się, że zaraz pęknie, a przecież nie ma dosyć czasu, by ją zużyć, i oczywiście już go nie będzie.

Czas zawsze kończy się na sekundę, zanim jest się gotowym.

Życie to wszystkie minuty, których potrzebujesz, minus jedna.

Ubierają się, wychodzą i spacerują, zataczając kręgi wokół kwartału, a panika zaczyna brać górę, tak jak dłoń przyciśnięta do cienkiej szyby, stały nacisk na miejsce, z którego rozchodzą się coraz gęstsze pęknięcia. Na szczęście Addie cały czas jest koło Henry'ego i trzyma go za rękę.

– Jak to jest, żyć trzysta lat? – pyta chłopak.

Dziewczyna w odpowiedzi się uśmiecha.

– Tak samo, jak żyć rok. Sekunda po sekundzie.

W końcu nogi zaczynają go boleć, a poziom niespożytej energii spada, nie do zera, ale do rozsądnego poziomu, więc idą do Merchanta i zamawiają jedzenie, które pozostaje nietknięte, a także piwo, którego nie piją, ponieważ Henry nie chce łagodzić tych ostatnich godzin alkoholem: mimo że są przerażające, woli stawić im czoła na trzeźwo.

Rzuca komentarz na temat ostatniego posiłku skazańca i śmieje się z tego przesadnego porównania, a kiedy uśmiech Addie rzednie na momencik, zaczyna ją przepraszać, kajać się, a ona mocno go przytula i oboje wiedzą, że panika już wczepiła się pazurami w jego umysł.

W jego głowie niebo się chmurzy, nadciąga burza, ale Henry nie próbuje z nią walczyć.

Pozwala jej nadejść.

Dopiero kiedy zaczyna padać, zdaje sobie sprawę, że to prawdziwa burza.

Odchyla głowę, czuje krople deszczu na policzkach i myśli o wieczorze, kiedy poszli do Czwartej Szyny, i ulewie, która pozbawiła ich tchu, gdy wyszli na ulicę. Myśli o tym, zanim przychodzi mu do głowy wspomnienie z dachu domu, a to już jest coś.

Czuje się tak inny od tamtego Henry'ego, który wszedł na górę rok wcześniej – a może jednak nie różnią się tak bardzo? To przecież tylko kwestia paru kroków, z ulicy do krawędzi dachu.

Oddałby wiele, żeby cofnąć się do tamtego wieczoru.

Boże, oddałby naprawdę dużo za jeszcze jeden dzień.

Słońce zachodzi, światło dnia powoli zanika, a on już nigdy go nie zobaczy, i nagle czuje potworny, zdradziecki strach, niczym podmuch wiatru, kiedy wszystko wokół nieruchomieje. Zwalcza go, jeszcze nie, jeszcze nie, jeszcze nie, a Addie ściska jego dłoń, więc nie wybuchnie.

– Zostań ze mną – błaga go.

A on odpowiada:

– Jestem tutaj.

Zaciska palce na jej ręce.

Nie musi prosić, a ona nie musi odpowiadać.

Nie muszą potwierdzać, że Addie zostanie tu z nim do samego końca.

Tym razem nie będzie sam.

Dlatego czuje się dobrze.

Jest dobrze.

Wszystko będzie dobrze.

XVIII

Już prawie pora. Stoją na dachu.

Na tym samym dachu, z którego Henry rok temu niemalże zrobił krok przed siebie, tym samym, na którym spotkał diabła i zawarł z nim umowę. Historia zatoczyła pełne koło, a on nie wie, czy to musi nastąpić tutaj, czy on sam musi tu być, ale czuje, że to odpowiednie miejsce.

Trzymają się za ręce z Addie, i to też wydaje się właściwe.

Siła kotwicząca go na ziemi wbrew nadciągającej burzy.

Zostało jeszcze kilka chwil, wskazówka zegarka znajduje się ułamek ułamka ułamka sekundy od północy, a Henry słyszy w głowie głos Bei:

„Tylko ty potrafiłbyś przybyć na własny pogrzeb przed czasem".

Henry uśmiecha się wbrew sobie i żałuje, że nie mógł powiedzieć więcej jej i Robbiemu, ale prawda jest taka, że sobie nie ufał. Pożegnał się z nimi, chociaż nie będą wiedzieli, że to pożegnanie, dopóki go nie zabraknie. Przykro mu, że będą przez niego cierpieć, ale cieszy się, że przynajmniej mają siebie.

Addie zaciska palce na jego dłoni.

Już prawie pora, a on zastanawia się, co poczuje, tracąc duszę.

Czy poczuje to jak zawał, nagły i gwałtowny, czy też będzie łatwo i szybko, jak przy zasypianiu? Śmierć następuje na tak wiele sposobów, więc może w tym przypadku będzie podobnie? Czy ciemność pojawi się, sięgnie dłonią do jego piersi i wyciągnie duszę spomiędzy żeber niczym iluzjonista wyjmujący królika z kapelusza? Czy też jakaś siła zmusi go, by dokończył to, co zaczął? Podszedł do krawędzi dachu i wykonał jeszcze jeden krok? Czy znajdą go na ulicy poniżej, tak jakby skoczył?

A może jego bezwładne ciało zostanie tu, na dachu?

Nie wie.

Nie musi wiedzieć.

Jest gotów.

Nie, nie jest jeszcze gotów.

Nie był gotów rok wcześniej, na dachu, kiedy nieznajomy przytrzymał go za rękę. Nie był gotów ani wtedy, ani teraz, i zaczyna podejrzewać, że nikt nie jest gotowy na chwilę, w której ciemność wyciąga dłoń po zapłatę.

Przez otwarte okno sąsiedniego mieszkania sączy się cicha muzyka, tymczasem Henry odsuwa od siebie myśl o skraju dachu i śmierci, zamiast tego koncentruje się na dziewczynie trzymającej go za rękę, która mówi mu, żeby z nią zatańczył.

Przyciąga ją bliżej, a ona pachnie latem, czasem i domem.

– Jestem tutaj – mówi Addie.

Przyrzekła, że zostanie z nim do końca.

Do końca. Do końca. Do końca.

Te słowa odbijają się echem w jego głowie niczym uderzenia zegara, lecz jeszcze nie pora, wciąż jeszcze ma czas, chociaż tak szybko upływa.

Kiedy dorastał, uczono go, że człowiek może odczuwać tylko jedną emocję w jednej chwili – gniew, tęsknotę, zadowolenie – ale nigdy nie uważał, że to prawda. Czuje dziesięć rzeczy naraz. Jest zagubiony, przerażony i wdzięczny, jest szczęśliwy, zawiedziony i przestraszony.

Ale nie jest sam.

Znów zaczyna padać, powietrze pachnie petrichorem, lecz Henry nie zwraca na to uwagi.

Krążą powoli po dachu.

Henry od wielu dni nie spał zbyt dobrze, dlatego chodzi i myśli ociężale. Minuty umykają wokół niego, a on żałuje, że muzyka nie jest głośniejsza, a niebo jaśniejsze, żałuje, że nie ma trochę więcej czasu.

Nikt nigdy nie jest gotów, by umrzeć.

Nawet jeżeli myśli, że tego chce.

Nikt nie jest gotów.

Henry również.

Tymczasem nadchodzi już pora.

Już czas.

Addie coś mówi, ale zegarek stanął i teraz wisi mu na dłoni jak nieważki, już pora, a Henry czuje, że zaczyna się ślizgać, że granice jego umysłu miękną pod naciskiem nocy, a nieznajomy w każdej chwili może wyjść z ciemności.

Addie przysuwa do siebie jego twarz i mówi coś, ale on nie chce słuchać, boi się, że to pożegnanie, chce tylko, by ten moment trwał, chce go zatrzymać siłą woli, zastopować film w nieruchomy kadr, niech koniec wygląda w ten sposób, nie ciemność, nie nicość, tylko trwanie, rozciągnięte na wieczność. Wspomnienie uwięzione w bursztynie, w szkle, w czasie.

Ona jednak wciąż coś mówi.

– Obiecałeś, że mnie wysłuchasz. Przyrzekłeś, że wszystko zapiszesz.

Nie rozumie. Notatniki stoją na półce, a w nich czeka jej historia, zapisana co do słowa.

– Przecież to zrobiłem.

Addie jednak kręci głową.

– Henry, nie powiedziałam ci, jak to się kończy.

Nowy Jork
1 września 2014
(trzy noce przed końcem)

XIX

Niektóre decyzje podejmowane są w ułamku sekundy.

Inne zaś dojrzewają stopniowo.

Dziewczyna, która przez wiele lat snuła marzenia, zawiera umowę z ciemnością.

Dziewczyna w jednej chwili zakochuje się w chłopaku i postanawia go uwolnić.

Addie nie wie dokładnie, kiedy się zdecydowała.

Może wiedziała o tym od tego wieczoru, kiedy Luc z powrotem pojawił się w ich życiu?

A może od chwili, kiedy Henry zapisał jej imię?

Czy też od kiedy powiedział:

„Pamiętam cię".

Nie jest pewna.

Ale nie ma to większego znaczenia.

Znaczenie ma teraz tylko to, że trzy noce przed końcem Addie wymyka się z łóżka. Henry przewraca się na drugi bok, w półśnie słyszy, jak dziewczyna idzie korytarzem, ale potem znów zasypia i nie wie, że Addie wkłada buty, a potem wymyka się w ciemność.

Jest prawie druga, pora nocy, kiedy jest już zarazem bardzo późno i bardzo wcześnie, gdy nawet zwykły brookliński gwar zmienił się w cichy pomruk. Dziewczyna idzie dwie przecznice dalej, do Merchanta. Zamykają za godzinę, toteż tłum stopniał do kilku najzagorzalszych pijaków.

Addie siada przy barze i zamawia szota tequili. Nigdy nie miała skłonności do mocnych trunków, ale wychyla kieliszek na raz, czuje, jak ciepło przepływa jej przez gardło, a potem sięga do kieszeni i znajduje pierścionek.

Jej palce zaciskają się na drewnianym krążku.

Wyciąga go i stawia pionowo na kontuarze.

Kręci nim jak monetą, z tym że tutaj nie ma orła ani reszki, żadnego „tak" lub „nie", nie ma wyboru poza tym, którego już dokonała. Postanawia, że kiedy pierścionek się zatrzyma, włoży go na palec. Kiedy upadnie… ale zaledwie zaczyna się chwiać i przechylać, czyjaś dłoń nakrywa go i przyciska do baru.

Dłoń jest gładka i silna, o długich palcach. Wszystkie szczegóły wyglądają dokładnie tak, jak je wyrysowała.

– Nie powinnaś być ze swoim kochankiem?

W oczach Luca brak wesołości. Są ciemne i matowe.

– Teraz śpi – wyjaśnia Addie. – A ja nie mogę zasnąć.

Luc puszcza pierścień, a ona patrzy na jasny krążek, spoczywający na blacie.

– Adeline – mówi cień, głaszcząc jej włosy. – To zaboli, a potem minie. Tak jak wszystko.

– Poza nami – mamrocze dziewczyna, a potem dodaje, tak jakby do siebie: – Dobrze, że to trwało tak niedługo.

Luc zajmuje stołek koło niej.

– I jak też wyglądała ta twoja ludzka miłość? Czy była tym wszystkim, o czym marzyłaś?

– Nie – odpowiada zgodnie z prawdą. Ta miłość była chaotyczna, trudna, cudowna, przerażająca i krucha – tak krucha, że bolało – i warta każdej chwili. Nie mówi mu jednak niczego podobnego, pozwala tylko, żeby jej „nie" zawisło pomiędzy nimi w powietrzu, ciężkie od przypuszczeń. Zielone oczy Luca płoną próżnością. – Ale Henry nie zasługuje na śmierć tylko dlatego, żeby dowieść twojej racji.

Arogancja gaśnie, natychmiast zastąpiona gniewem.

– Umowa to umowa – stwierdza cień. – Nie może zostać złamana.

– A przecież powiedziałeś mi kiedyś, że jej warunki można nagiąć, przepisać na nowo. Czy rzeczywiście? Czy chodziło tylko o to, żeby

podstępem skłonić mnie do poddania się?

Wzrok Luca ciemnieje.

– Nie było żadnego podstępu, Adeline, ale jeśli myślisz, że zmienię warunki jego…

Addie kręci głową.

– Nie mówię o umowie Henry'ego, tylko o swojej. – Ćwiczyła tę kwestię, ale mimo to słowa nadal brzmią krępująco. – Nie proszę cię o litość, bo wiem, że jej nie oferujesz. Dlatego proponuję wymianę. Odpuść Henry'emu, pozwól mu żyć. Pozwól mu zapamiętać mnie, a…

– Oddasz mi swoją duszę? – W jego spojrzeniu czai się mrok, wypowiada te słowa z wahaniem, mniej z pożądaniem, a bardziej z troską, a wówczas Addie wie, że ma go w garści.

– Nie. Ale tylko dlatego, że ty sam tego nie chcesz – odpowiada, a zanim on zdąży zaprotestować, ciągnie: – Chcesz mnie. Mnie samej.

Luc milczy, ale oczy mu błyszczą. Najwyraźniej propozycja go zainteresowała.

– Miałeś rację – mówi dziewczyna. – Nie jestem jedną z nich, już nie. Zmęczyło mnie ciągłe przegrywanie. Zmęczyło mnie opłakiwanie wszystkiego, co kiedykolwiek próbowałam kochać. – Dotyka policzka Luca. – Ale ciebie nie stracę, a ty nie stracisz mnie. Dlatego… tak. – Patrzy mu prosto w oczy. – Zrób to, a będę twoja, tak długo, jak zechcesz.

Cień wydaje się wstrzymywać powietrze, ale to ona nie może oddychać. Świat kołysze się, potyka, niemal rozpada się na kawałki…

W końcu Luc się uśmiecha, a jego szmaragdowe oczy lśnią triumfalnie.

– Zgadzam się.

Wtedy pochyla się ku niemu z ulgą i opiera głowę o jego pierś. A jego palce chwytają ją pod brodą, przechylają jej twarz ku niemu i Luc całuje ją tak jak tamtej nocy, kiedy się poznali, zwinnie, zachłannie i głęboko, a po chwili gryzie ją w dolną wargę, aż Addie czuje miedziany smak krwi na języku.

I wtedy wie, że to koniec.

Nowy Jork
4 września 2014

XX

– Nie – protestuje Henry, choć burza niemal go zagłusza. Wielkie krople deszczu spadają z nieba na dach. I na nich. Zegarek się zatrzymał. Wskazówka stoi w górze, na dwunastej, jakby w geście poddania, a mimo to Henry nadal tu jest. – Nie możesz tego zrobić – upiera się, oszołomiony. – Nie pozwolę ci na to.

Addie rzuca mu współczujące spojrzenie, bo oczywiście chłopak jej nie powstrzyma.

To nie udało się nikomu. Nigdy.

Estele mawiała, że kiedy Addie się uprze, jest jak skała.

Ale nawet skała ściera się na proch.

A dziewczyna trwa.

– Nie możesz tego zrobić – powtarza chłopak.

A ona odpowiada:

– Już to zrobiłam.

Henry czuje zawroty głowy, mdłości, wydaje mu się, że ziemia zaczyna się kołysać.

– Dlaczego? – pyta z rozpaczą. – Po co?

– W podziękowaniu za to, że mnie dostrzegłeś – wyjaśnia Addie. – Za to, że pokazałeś mi, jak to jest być widzianą. I kochaną. Teraz masz drugą szansę, pozwól tylko ludziom zobaczyć cię takim, jakim jesteś. Musisz znaleźć takie osoby.

To nie tak.

Wszystko nie tak.

– Nie kochasz go.

Na jej twarzy pojawia się smutny uśmiech.

– Dostałam już swój przydział miłości – odpowiada. Już pora, to musi być ten czas, ponieważ świat rozmazuje mu się przed oczami, a kontury zaczynają wtapiać się w ciemność. – Posłuchaj mnie – dodaje nagląco Addie. – Życie może się czasem wydawać bardzo długie, ale ostatecznie mija bardzo szybko. – Łzy stają jej w oczach, a mimo to się uśmiecha. – Przeżyj swoje życie jak najlepiej, Henry.

Zaczyna się od niego odsuwać, ale on przytula ją mocniej.

– Nie.

Addie wzdycha, przegarnia palcami jego czuprynę.

– Dałeś mi tak dużo, Henry… ale chciałabym jeszcze czegoś. – Dotyka czołem jego czoła. – Chciałabym, żebyś pamiętał.

Chłopak czuje, że jego uścisk słabnie, a ciemność przesłania mu świat, panoramę miasta, dach i dziewczynę w jego ramionach.

– Obiecaj – naciska Addie, a jej twarz zaczyna się rozmazywać: zamaszysta kreska ust, kasztanowe loki wokół trójkątnej twarzy, wielkie oczy i siedem piegów jak gwiazdy. – Obiecaj – szepcze, a on unosi dłonie, by przytrzymać ją przy sobie, by przyrzec, że będzie pamiętać, ale w końcu zostaje z pustymi ramionami, dziewczyna znika.

A on czuje, że spada.

CZĘŚĆ SIÓDMA

PAMIĘTAM CIĘ

Tytuł dzieła: Dziewczyna, która odeszła
Autor: nieznany
Data: 2014
Technika: fotografia w systemie Polaroid
Własność: prywatne archiwum Henry'ego Straussa
Opis: Kolekcja sześciu zdjęć przedstawiających dziewczynę w ruchu. Jej rysy są zamazane, zasłonięte lub niewyraźne z innego względu. Ostatnia fotografia jest jednak inna: ukazuje podłogę salonu, skraj stołu, stos książek, a u dołu kadru – parę stóp.
Kontekst: Osoba przedstawiona na zdjęciach pozostaje przedmiotem zażartych dyskusji ze względu na związek autora z materiałem źródłowym. Lampa błyskowa prześwietliła wszystkie znaczące szczegóły, lecz technika wykonania czyni tę kolekcję wyjątkową. W standardowej fotografii podobny efekt dałoby się osiągnąć dłuższym czasem naświetlania, ale stały czas otwarcia migawki polaroida sprawia, że iluzja ruchu jest tym bardziej godna uwagi.
Przybliżona wartość: nie na sprzedaż

Wszystkie dzieła można obejrzeć na wystawie w Muzeum of Modern Art, zatytułowanej W poszukiwaniu prawdziwej Addie LaRue. Jej kuratorką jest dr Beatrice Caldwell z Uniwersytetu Columbia.

Nowy Jork
5 września 2014

I

I tak się to kończy.

Chłopak budzi się sam we własnym łóżku.

Promienie słońca wpadają przez szparę w zasłonach, a domy za oknem lśnią po deszczu.

Dźwiga się ociężale, jakby miał kaca, wciąż otrząsając z siebie resztki snu. Wie, że o czymś śnił, ale za żadne skarby nie potrafi przypomnieć sobie szczegółów. Sen musiał być raczej nieprzyjemny, ponieważ po przebudzeniu czuje tylko głęboką ulgę.

Książek patrzy na niego wyczekująco znad zmiętoszonej kołdry, szeroko otwartymi pomarańczowymi oczami.

Po kącie padania światła i dźwiękach ruchu ulicznego chłopak rozpoznaje, że już późno,.

Nie miał zamiaru spać tak długo.

Jego ukochana budzi się zawsze pierwsza: jej poruszenia pod kołdrą, jej spojrzenie i delikatny dotyk palców na jego skórze zawsze wystarczą, by się ocknął. Tylko raz otworzył oczy jako pierwszy i z dziwną przyjemnością patrzył, jak dziewczyna leży z podkulonymi kolanami i twarzą wtuloną w poduszkę, wciąż pogrążona we śnie.

To był jednak deszczowy poranek, zaraz po wschodzie słońca, kiedy na świecie dominowała jeszcze szarość, a dzisiaj słońce świeci tak jasno, że chłopak nie wie, jak którekolwiek z nich zaspało.

Odwraca się, żeby ją obudzić.

Łóżko po drugiej stronie jest jednak puste.

Dotyka dłonią miejsca, gdzie powinna leżeć, ale prześcieradło jest gładkie i chłodne.

– Addie?! – woła, wyskakując z łóżka. Przeszukuje mieszkanie, sprawdza w kuchni, w łazience, na schodach przeciwpożarowych, chociaż wie, doskonale wie, wie przecież, że jej tam nie ma. – Addie?

A potem oczywiście wszystko sobie przypomina.

Nie sen, bo nie było żadnego snu, tylko poprzednią noc.

Ostatnią noc jego życia.

Zapach wilgotnego betonu na dachu, ostatnie tyknięcie zegarka, kiedy jego wskazówka dotarła do dwunastej, jej uśmiech, gdy spoglądała mu prosto w oczy i wymogła na nim przyrzeczenie, że będzie pamiętał.

Teraz on został tu, a ona odeszła bez śladu, nie pozostawiając po sobie nic poza tym, co zapamiętał, oraz…

Notatnikami!

Wielkimi krokami podchodzi do wąskiego regału, gdzie je postawił: czerwony, niebieski, srebrny, czarny, biały, zielony. Sześć notatników, wszystkie na swoim miejscu. Zdejmuje je z półki, rozkłada na łóżku, a wówczas na kołdrę wypadają zdjęcia z polaroida.

Te, które zrobił Addie tamtego dnia: jej twarz zamazana, plecami do aparatu, duch na skraju kadru… Patrzy na nie przez dłuższą chwilę, przekonany, że jeśli zmruży oczy, zobaczy jej twarz w najdrobniejszych szczegółach, ale bez względu na to, jak długo patrzy, widzi tylko niewyraźne kształty i cienie. Jedyną rzeczą, którą dostrzega, jest siedem piegów, ale tak niewyraźnych, że nie potrafi stwierdzić, czy rzeczywiście je widać, czy też jego pamięć umieszcza je na zdjęciu tam, gdzie powinny być.

Odkłada fotografie i sięga po pierwszy notatnik, po czym gwałtownie cofa dłoń, przekonany, że jeśli… że kiedy go otworzy, okaże się, że strony są puste, że tusz zniknął, podobnie jak wszystkie inne ślady, które usiłowała zostawiać Addie.

Musi jednak spojrzeć, a gdy to robi, wszystko jest na swoim miejscu, kolejne strony zapisane jego pochyłym charakterem pisma, chronione przed klątwą faktem, że słowa należą do niego, mimo że historia – do Addie.

„Woli być drzewem”.

„Roger nie ma zbyt wielu wad”.

„Miną całe lata, zanim Addie nauczy się mowy tych oczu”.

„W końcu dociera do samej góry i na zewnątrz, a jej dłoń ląduje na kościstych plecach martwego mężczyzny”.

„Tak to powinno wyglądać od początku”.

„Opuszcza wzrok, odwraca głowę i wtyka jej w dłoń trzy monety”.

„To takie ważne słowo. «Dusza». Prawda wygląda o wiele mniej okazale”.

„Odnalezienie grobu ojca nie zajmuje jej zbyt wiele czasu”.

Henry bierze w dłoń następny notatnik.

„Paryż płonie”.

„Ciemność znów się rozwija”.

I kolejny.

„Nad barem wisi anioł”.

Henry siedzi przez wiele godzin na łóżku, wędrując przez strony kolejnych notatników, przez wszystkie historie, które opowiedziała mu Addie, a kiedy kończy, zamyka oczy i opiera głowę na dłoniach wśród otwartych notesów.

Ponieważ dziewczyna, którą kochał, odeszła.

A on wciąż jest tutaj.

I wszystko pamięta.

Nowy Jork
13 marca 2015

II

– Henry Samuelu Straussie, to skandal! – Bea rzuca ostatnią stronę na kontuar, płosząc kota, który zdrzemnął się na stosie książek tuż obok. – Nie możesz tego tak zakończyć! – protestuje, przyciskając resztę manuskryptu do piersi, tak jakby chciała ją przed nim obronić.

Z pierwszej strony patrzy na Henry'ego tytuł:

Niewidzialne życie Addie LaRue.

– Co się z nią stało? Naprawdę odeszła z Lukiem? Po tym wszystkim?

Chłopak wzrusza ramionami.

– Tak przypuszczam.

– Tak przypuszczasz?!

Prawdę mówiąc, nie wie.

Spędził ostatnie pół roku, próbując spisać historie z notatników i połączyć je w spójną całość. Co wieczór, kiedy chwytał go skurcz w dłoniach, a głowa zaczynała go boleć od gapienia się w ekran komputera, rzucał się na łóżko i zastanawiał, jak to się skończyło.

Jeśli w ogóle się skończyło.

Napisał kilkanaście różnych zakończeń tej powieści: takie, w których była szczęśliwa, i takie, w których była nieszczęśliwa, takie, w których ona i Luc zakochiwali się w sobie do szaleństwa, i takie, w których cień strzegł jej zazdrośnie niczym smok swego skarbu, ale wszystko to były jego wersje, nie jej. Jego końcówki doczepione do jej historii. Jeśli napisze cokolwiek wykraczającego poza ostatnie wspólnie spędzone chwile i ostatni pocałunek, będzie to kompletna fikcja.

Próbował.

Ale cała ta historia jest prawdziwa, chociaż nikt inny się o tym nie przekona.

Henry nie wie, co stało się z Addie, gdzie się znalazła i jak się czuje, ale może mieć nadzieję, że jest szczęśliwa. Ma nadzieję, że wciąż kipi niezmordowaną radością i upartą wiarą. Ma także nadzieję, że nie zrobiła tego tylko dla niego i że pewnego dnia jakimś cudem znów ją spotka.

– Kurde, serio chcesz ograć cały ten bajzel metodą Stanisławskiego? – pyta Bea.

Henry podnosi wzrok.

Chciałby jej powiedzieć, że to wszystko prawda.

Że Bea poznała Addie, tak jak napisał, i że mówiła to samo przy każdym spotkaniu z tamtą. Chciałby jej powiedzieć, że mogłyby zostać przyjaciółkami. Że nimi w gruncie rzeczy były, że zaakceptowały się nawzajem bez zastrzeżeń. To było wszystko, na co mogła liczyć Addie.

Oczywiście Bea nigdy by mu nie uwierzyła, więc pozwala jej myśleć, że to fikcja.

– Podobało ci się? – pyta.

A ona uśmiecha się szeroko. W jej oczach nie ma teraz mgły ani podejrzanego blasku, a on jest jej nieskończenie wdzięczny za to, że może mu powiedzieć szczerą prawdę.

– To dobra rzecz, Henry – ocenia. – Naprawdę dobra. – Stuka palcem w stronę tytułową. – Tylko żebyś na pewno umieścił mnie w podziękowaniach!

– Co?

– Mój doktorat, pamiętasz? Chciałam napisać pracę o dziewczynie z tych dzieł sztuki. O duchu z obrazu. To ona, prawda?

Oczywiście że to Addie.

Henry gładzi dłonią manuskrypt, czując ulgę i smutek, że jest już po wszystkim. Żałuje, że nie może spędzić z nim jeszcze kilku chwil, żałuje, że nie może być z Addie.

Teraz jednak jest zadowolony, że to spisał.

Ponieważ prawdę mówiąc, zaczyna już zapominać.

Nie chodzi o to, że padł ofiarą jej klątwy. Nie została wymazana z jego pamięci. Szczegóły się po prostu zacierają, tak jak w przypadku

normalnych wspomnień, umysł stopniowo przestaje panować nad przeszłością, żeby zrobić miejsce dla przyszłości.

Henry nie chce jednak zapomnieć.

Próbuje nie zapomnieć.

Leży wieczorem w łóżku, zamyka oczy i próbuje przywołać jej twarz, przypomnieć sobie krzywiznę jej ust, specyficzny odcień jej włosów, światło nocnej lampki na jej lewym policzku, jej skroń, jej podbródek. Jej śmiech późną nocą, jej głos tuż przed zaśnięciem.

Wie, że te szczegóły nie są tak ważne jak zapisane w książce, ale wciąż jeszcze obawia się, że nie zniesie ich utraty.

Wiara przypomina trochę grawitację. Jeśli wystarczająca liczba ludzi w coś uwierzy, to staje się to równie materialne i prawdziwe, jak grunt pod stopami, ale w sytuacji gdy Henry jako jedyny wierzy w istnienie Addie, we własne wspomnienia, trudno ustrzec je przed rozpłynięciem się w nicości.

– Wiedziałam, że zostaniesz pisarzem – stwierdza Bea. – Wszystko na to wskazywało, tylko ty to cały czas wypierałeś.

– Nie jestem pisarzem – odpowiada nieuważnie.

– Powiedz to tej książce. Sprzedasz ją jakiemuś wydawnictwu, prawda? Zrób to koniecznie, jest za dobra, żeby trafić do szuflady.

– Och. Tak – odpowiada z namysłem. – Chyba muszę spróbować.

I rzeczywiście spróbuje.

Znajdzie agenta i książka trafi na aukcję, a Henry ostatecznie zgodzi się ją sprzedać pod jednym warunkiem: że na okładce będzie tylko jedno nazwisko – nie jego. W końcu wydawnictwo również się zgodzi. Pomyślą, że to niewątpliwie jakaś sprytna marketingowa sztuczka, ale on będzie zachwycony na myśl, że inni ludzie czytają te słowa, należące nie do niego, ale do niej, że jej imię wędruje z ust do ust, z umysłu do pamięci.

„Addie, Addie, Addie".

Zaliczka wystarczy, by Henry spłacił kredyt studencki i złapał trochę oddechu. W tym czasie zastanawia się, co dalej. Nie wie jeszcze, co będzie robić w życiu, ale ta niewiedza po raz pierwszy go nie przeraża.

Świat jest wielki, a on widział na własne oczy zaledwie jego małą część. Chce podróżować, robić zdjęcia, słuchać historii innych ludzi, a może

nawet stworzyć własną. Życie wydaje się czasem bardzo długie, ale Henry wie, że upływa szybko, a on nie chce przegapić ani chwili.

Londyn
3 lutego 2016

III

Księgarnia zaraz zostanie zamknięta.

O tej porze roku ciemność zapada wcześnie, w dodatku prognozy zapowiadają śnieg, co w Londynie jest rzadkością. Sprzedawcy krzątają się po sklepie, rozbierając stare wystawy i stawiając nowe, próbując skończyć pracę, zanim mgła na zewnątrz zmieni się w szron.

Dziewczyna stoi w pobliżu, przesuwając kciukiem po pierścionku wiszącym na szyi, gdy dwie nastolatki uzupełniają półki w dziale „Nowa fikcja".

– Czytałaś to już? – pyta jedna z nich.

– O tak, przez cały weekend – mówi druga.

– Nie wierzę, że autor nie chciał, żeby umieszczono tam jego nazwisko. To musi być jakaś marketingowa sztuczka.

– No nie wiem. Uważam, że to świetne, przez to cała historia nabiera realizmu. Tak jakby to rzeczywiście Henry opowiadał jej historię.

Pierwsza z nich się śmieje.

– Ale z ciebie romantyczka!

– Przepraszam – przerywa im starszy facet. – Mogę prosić egzemplarz Addie LaRue?

Dziewczyna czuje dreszcz: mężczyzna z łatwością wymawia to nazwisko, mimo że pochodzi z obcego języka.

Czeka, aż cała trójka przejdzie do kasy, a potem podchodzi w końcu do wystawy. To nie tylko stół, ale cała półka, trzydzieści egzemplarzy książki ustawionych frontem do klienta. Ten wzór powtarza się na całej ścianie. Okładka jest prosta: większość powierzchni zajmuje tytuł, dość długi, by

ją wypełnić. Wydrukowano go pochyłą czcionką, przypominającą zapiski w notatnikach przy łóżku, nieco bardziej czytelną wersją ręcznego pisma Henry'ego.

Niewidzialne życie Addie LaRue.

Przesuwa palcami po imieniu i nazwisku, wyczuwając wypukłości wytłoczonych liter. Prawie tak, jakby sama je napisała.

Sprzedawczynie miały rację. Brakuje tu nazwiska autora i zdjęcia z tyłu książki. Nie ma śladu po Henrym Straussie, pozostaje tylko prosty, piękny fakt: Addie naprawdę ma w dłoniach książkę z własną historią.

Otwiera okładkę, odwraca stronę tytułową i patrzy na dedykację.

Na środku strony widnieją dwa słowa.

„Pamiętam cię".

Zamyka oczy i przypomina sobie ich pierwsze spotkanie w antykwariacie: Henry, z łokciami na kontuarze, podnoszący na nią wzrok i marszczący brwi za okularami.

„Pamiętam cię".

Widzi go w Artefakcie, pomiędzy lustrami, a potem pomiędzy gwiazdami, widzi, jak jego palce rysują jej imię na szklanej ścianie. Henry patrzy na nią znad polaroida, szepcze do niej na dworcu Grand Central i zapisuje jej historię w notatniku, a czarne loki opadają mu na twarz. Leży obok niej w łóżku, w trawie na północy stanu, na plaży, a ich dłonie łączą się niczym ogniwa łańcucha.

Czuje ciepło jego ramion, kiedy wciąga ją z powrotem pod kołdrę, jego czysty zapach, ulgę w jego głosie, kiedy powiedziała: „Nie zapomnij mnie", a on odparł: „Nigdy".

Przypomina go sobie na dachu tamtej ostatniej nocy i uśmiecha się, ocierając łzy.

Tyle razy się witała, ale to był pierwszy i jedyny raz, kiedy musiała się pożegnać. Tamten pocałunek był niczym element długo oczekiwanej interpunkcji. Nie myślnik na końcu urwanej linii albo wielokropek dyskretnej ucieczki, ale kropka, zamknięty cudzysłów, wyraźne zakończenie.

Koniec.

Tak to już jest, kiedy się żyje w teraźniejszości i tylko w niej: to niekończące się, długie zdanie. A Henry stanowił doskonałą pauzę w jej

historii. Dzięki niemu miała szansę złapać oddech. Nie wie, czy to była miłość, czy tylko chwila ulgi, czy zadowolenie może się równać z pasją, czy ciepłe uczucia dorównają kiedykolwiek wrzącym.

To był jednak podarunek.

Nie gra, nie wojna, nie pojedynek silnych osobowości.

Tylko podarunek.

Dar czasu i pamięci, jak u kochanków z bajki.

Przegląda rozdziały książki, jej książki i zachwyca się własnym nazwiskiem widocznym na każdej stronie. Teraz o jej życiu może przeczytać każdy. Ta książka stała się czymś więcej niż ona sama. Czymś więcej niż którekolwiek z nich: ludzi, bogów czy bezimiennych rzeczy. Historia to idea, dziwna niczym dzika roślina, wystrzeliwująca wzwyż, gdziekolwiek się ją posadzi.

Zaczyna czytać i dociera do opisu swojej pierwszej zimy w Paryżu, gdy czuje poruszenie w powietrzu za plecami.

Słyszy swoje imię, niczym delikatny pocałunek na karku:

– Adeline.

I oto zjawia się przy niej Luc. Obejmuje ją od tyłu, a ona opiera się o niego. Pasują do siebie idealnie, chociaż Addie nawet teraz zastanawia się, czy to nie wynika po prostu z jego natury: dymu dostosowującego się do każdego kształtu i zajmującego każdą przestrzeń, jaką dostanie do dyspozycji.

Jego wzrok pada na książkę w jej dłoniach, z nazwiskiem wyraźnie widocznym na okładce.

– Aleś ty cwana – mruczy z ustami tuż przy jej skórze, ale nie wydaje się rozgniewany. – Niech o tobie czytają. Ja wolę ciebie we własnej osobie.

Odwraca się w jego objęciach tak, żeby na niego spojrzeć.

Luc wydaje się piękny, kiedy się chełpi.

Oczywiście nie powinien tego robić. Arogancja jest raczej odpychającą cechą, lecz on okazuje ją z taką swobodą, jakby została stworzona specjalnie dla niego. Promienieje wewnętrznym światłem, ponieważ przywykł, żeby zawsze mieć rację, zawsze wszystko wokół kontrolować.

W jego oczach lśni jasna, triumfalna zieleń.

Addie miała trzysta lat, żeby nauczyć się rozpoznawać nastroje Luca po kolorach. Teraz zna każdy odcień i jego znaczenie, orientuje się w jego

stanie ducha, zachciankach i myślach, wystarczy, że spojrzy w te oczy.

Dziwi ją, że cień miał do dyspozycji tyle samo czasu, a mimo to nie umie odczytywać jej usposobienia.

Być może widział tylko to, czego się spodziewał: kobiecy gniew, potrzebę bliskości, strach, nadzieję i pożądanie, wszystkie te proste, oczywiste rzeczy.

Nigdy jednak nie wziął pod uwagę, że powinien zwracać większą uwagę na jej spryt i inteligencję. Nigdy nie nauczył się rozpoznawać niuansów jej działań i subtelności wypowiedzi.

Kiedy teraz Addie patrzy na niego, myśli o wszystkim, co powiedziałyby mu jej oczy.

Że popełnił zasadniczy błąd.

Że diabeł tkwi w szczegółach, a on przeoczył najważniejszy z nich.

Że semantyka może wydawać się nieistotna, ale to on nauczył ją kiedyś, że słowa są wszystkim. A kiedy negocjowała warunki nowej umowy, kiedy wymieniła swoją duszę na siebie, nie powiedziała: „na zawsze", ale: „tak długo, jak zechcesz".

A to nie to samo.

Gdyby jej oczy mogły mówić, roześmiałyby się w głos.

Potem zaś powiedziałyby, że cień jest kapryśnym bogiem, a zanim ją pokochał, nienawidził jej, doprowadzał ją do szaleństwa. Dzięki bezbłędnej pamięci mogła szczegółowo przestudiować jego manipulacje i nauczyć się okrucieństwa. Miała na to trzysta lat, a teraz sprawi, że Luc pożałuje swojego postępowania. To będzie majstersztyk.

Być może okaże się, że Addie potrzebuje na to dwudziestu lat.

A może stu.

Luc nie jest zdolny do miłości, a ona tego dowiedzie.

Zniszczy go. Zniszczy jego wyobrażenie na ich temat.

Złamie mu serce, a on znów ją znienawidzi.

Doprowadzi go do szaleństwa, po czym obrzydzi mu siebie.

A wtedy Luc ją porzuci.

I ostatecznie będzie wolna.

Marzy o tym, by powiedzieć mu to wszystko, choćby po to, żeby zobaczyć odcień jego oczu, zieleń upokorzenia, poczucia straty i przegranej.

Ale jeśli czegokolwiek ją nauczył, to na pewno cierpliwości.

Dlatego Addie nie mówi nic na temat nowej gry, nowych zasad i nowej wojny, która właśnie się zaczyna.

Uśmiecha się tylko i odkłada książkę na półkę.

A potem wychodzi z nim prosto w ciemność.

Podziękowania

Każdy, kto na bieżąco śledzi moją aktywność w internecie, wie, że pomiędzy mną a opowiadanymi historiami panuje pewne napięcie.

Właściwie to cały problem polega na powoływaniu ich do życia. Trzymam to trudne, ruchliwe zwierzę w dłoniach, aż zaczynają mi drżeć i boli mnie głowa, i wiem, że jeśli je teraz upuszczę, zanim będzie gotowe, to się rozleci i będę musiała pozamiatać resztki, a przy tej okazji pogubi się co najmniej kilka kawałków.

Dlatego kiedy ja trzymałam historię Addie, wiele osób podtrzymywało mnie.

Bez nich ta książka by nie powstała.

Tutaj powinnam im podziękować.

(Nienawidzę podziękowań).

(A dokładniej nienawidzę pisać rozdziałów „Podziękowania". Mam strasznie kiepską pamięć. Wszystkie dotychczasowe powieści, jak sądzę, nieźle przeorały mi umysł, więc kiedy trzeba podziękować osobom, które pomagały pisać tę konkretną książkę, zastygam, przerażona i pewna, że o kimś zapomnę).

(Wiem, że zapomnę).

(Zawsze zapominam).

(Chyba dlatego właśnie piszę: próbując złapać pomysły, zanim mi się wyślizgną i zostanę z niczym, gapiąc się bezmyślnie przed siebie i zastanawiając, po co weszłam do tego pokoju, dlaczego otworzyłam nową zakładkę w przeglądarce albo czego szukałam w lodówce).

(To oczywiście dość ironiczne, biorąc pod uwagę temat tej powieści).

(Ta książka żyła w mojej głowie tak długo i zabrała tyle miejsca w pamięci, że pewnie jest odpowiedzialna za przynajmniej część sytuacji, w których o czymś zapominałam).

Dlatego poniższa lista będzie zapewne niekompletna.

Ta książka jest dla mojego taty, który spacerował po ulicach w okolicy naszego domu w East Nashville i słuchał, kiedy po raz pierwszy zwerbalizowałam pomysł kiełkujący w mojej głowie.

Dla mojej mamy, która podążała za mną każdą krętą ścieżką i nigdy nie pozwoliła mi się zgubić.

Dla Jenny, mojej siostry, która wiedziała dokładnie, kiedy muszę pisać, a kiedy muszę przestać pisać i zamiast tego iść na jakiegoś fikuśnego drinka.

Dla Holly, mojej agentki, która przeciągnęła mnie przez ogniste bagna i nie pozwoliła, żebym się przysmażyła, utopiła ani została zjedzona przez G.O.N.O.R.-y[4].

Dla Miriam, mojej redaktorki, która była ze mną na każdym kroku tej długiej i krętej drogi.

Dla Kristin, mojej wydawczyni, która została moją rycerką, orędowniczką i przyjaciółką.

Dla Lucille, Sarah, Eileen i reszty mojej niezwykłej załogi z wydawnictwa Tor, które uwierzyły w tę historię, kiedy była ledwie zalążkiem, kibicowały mi, gdy nakreśliłam pierwszy szkic, i promowały ją, kiedy stała się kompletną książką. Dzięki nim przez cały czas czułam, że mogę się puścić i upaść, a one mnie chwycą.

Dla moich przyjaciół – wy już wiecie, dla kogo – którzy przeciągnęli mnie przez mrok i uciekli ze mną w poszukiwaniu słów (i pieczonego kurczaka).

Dla ludzi z Al Mare i Red Kite, za to, że udostępnili mi miejsce do myślenia i pisania, a także dostarczali rozsądnych porcji herbaty.

Dla Danielle, Ildy, Britt i Dana, za pasję i wsuwanie pizzy pod moje drzwi.

Dla każdego księgarza, który jeszcze sprzedaje moje książki.

Dla wszystkich czytelniczek i czytelników, którzy mówili, że nie mogą się doczekać, ale i tak obiecali, że zaczekają.

[4] Ogniste Bagna i G.O.N.O.R.-y (czyli Gryzonie O Nadzwyczaj Olbrzymich Rozmiarach) pojawiają się w powieści Williama Goldmana Narzeczona księcia w przekładzie Pauliny Braiter (przyp. tłum.).